



Marian Keyes

ARBUZ

Tytuł oryginału WATERMELON

Siostry Walsh 01



Mamie i Tacie

LR

Podziękowania

Pierwszą osobą, której chcę podziękować, jest mój wydawca w osobie Kate Cruise O'Brien. Kate „odkryła” mnie — czysto intuicyjnie — kiedy przysłałam kilka nowel do wydawnictwa Poolbeg. Natychmiast powstała między nami tajemnicza, fascynująca więź. Uwierzyła w *Arbuz* wcześniej niż ja, i to jeszcze zanim powieść w ogóle została napisana! Była dla mnie naprawdę cudowna, bardzo pomocna, pełna entuzjazmu, nie szczędziła mi słów zachęty i pochwał, poza tym była bardzo miła i gościnnie — prawdziwa przyjaciółka.

Oczywiście ogromne podziękowania należą się panu Poolbegowi, Philipowi MacDermottowi i jego wspaniałym pracownikom. Philip przyjął mnie bardzo ciepło i miło, a jego zespół pracował nad *Arbuzem* z ogromną wytrwałością. Specjalne podziękowania kieruję do Brendy za świetną okładkę, do Nicole za dokładny skład, do Bredy za zorganizowanie akcji marketingowo-reklamowej oraz do Kierana za cierpliwość przy redagowaniu kontraktu.

Dziękuję Rodzicom, którzy cały czas mnie wspierali. To dwoje najbardziej bezinteresownych i skromnych ludzi, jakich znam. Proszę, by podziękowania przyjęli także bracia i siostry — Niall, Caitriona, Tadhg i Rita-Anne — wszyscy są cudowni, uzdolnieni i wyjątkowi.

Charlotte i Niallowi należą się podziękowania za cierpliwość, tolerancję i wsparcie daleko wykraczające poza ramy zwykłego obowiązku. Dziękuję im — a także Kirsten — za okazane mi współczucie i ciepło. Dziękuję Belindzie — mojemu króliczkowi doświadczalnemu — za słowa zachęty i entuzjazm.

Ogromne podziękowania składam Eileen — za jej delikatność, bezwarunkową przyjaźń i mozolną pracę, jaką wykonała, przygotowując mój kontrakt.

Dziękuję Ailish za entuzjazm, wsparcie i przyjaźń, jaką obdarzała mnie przez tyle lat.

Dziękuję Conorowi, Patricii i Alanowi za wszystko, zwłaszcza za styczeń 1994. Nie ma słów, które mogłyby wyrazić moją wdzięczność.

Dziękuję Liamowi za dobry przykład i cenne krytyczne uwagi.

Dziękuję Jenny za wszystko. Zrobiła dla mnie tak wiele, że nie wiem, gdzie mam zacząć. Więc nie będę wszystkiego wyliczać.

Dziękuję wspaniałej Albyn. Poznanie jej było dla mnie cudownym zrzędzeniem losu.

Dziękuję Maureen Rice za jej wspaniałą ofertę.

Dziękuję pracownikom Rutland Centre i „obecnym” w czasie mojego tam pobytu. Dziękuję wszystkim wspaniałym ludziom, których spotkałam w klubie Anonimowych Alkoholików.

Wreszcie dziękuję mojemu ukochanemu Tony'emu — mojemu domowemu pedantowi! Za jego podziw, za zmuszanie mnie do pracy, gdy nie miałam na nią ochoty, za praktyczne rady, za śmiech, gdy napisałam coś zabawnego, i za to, że dzięki niemu czułam się bardzo szczęśliwa.

Prolog

Piętnasty lutego to dla mnie wyjątkowa data. Tego dnia urodziłam pierwsze dziecko. Tego samego dnia opuścił mnie mąż. Ponieważ był obecny przy porodzie; mogę się domyślać, że między tymi dwoma wydarzeniami istnieje jakiś związek.

Wiedziałam, że powinnam była postępować zgodnie z własnym instynktem.

Zgodziłam się na klasyczną, można powiedzieć — tradycyjną rolę, jaką spełniają ojcowie przy narodzinach swoich dzieci. Którą można opisać następująco:

Zamknąć ich w korytarzu na zewnątrz porodówki. Nie pozwalać w żadnym momencie wejść do środka. Dać im czterdzieści papierosów i zapalniczkę. Poinstruować, by przespacerowali się do końca korytarza, a potem wykonali zwrot i wrócili do punktu wyjścia.

W razie potrzeby powtórzyć procedurę.

Rozmowy należy ukrócić. Wolno im wymienić kilka słów z innym oczekującym ojcem, który także przemierza korytarz tam i z powrotem.

— To moje pierwsze — (krzywy uśmiech).

— Gratki... moje trzecie — (smutny uśmiech).

— Dobra robota — (wymuszony uśmiech, facet próbuje sugerować, że jest bardziej męski ode mnie).

W takich chwilach rządzą nimi emocje.

Wolno im także rzucać się na każdego lekarza, który wychodzi z porodówki, umazany krwią po łokcie, i wołać: „Jakie wieści, panie doktorze?” Na co ten może odpowiedzieć: „Jeszcze za wcześnie, człowieku. Rozwarcie ma dopiero trzy centymetry”. Wtedy mężczyzna kiwa głową z mądrą miną, chociaż rozumie tylko tyle, że czeka go jeszcze długi spacer wzdłuż korytarza.

Wolno mu także westchnąć boleśnie na dźwięk dobiegającego z porodówki krzyku jego ukochanej. A gdy jest już po wszystkim, gdy matka i dziecko są już umyte, gdy matka ma na sobie czystą koszulę i siedzi oparta na poduchach ze zmęczonym, lecz radosnym obliczem, a dziecko ssie jej pierś — dopiero wtedy wolno mu wejść do środka.

Ale nie, ja poddałam się panującym obyczajom i zgodziłam się być nowoczesna. Miałam wątpliwości, nie kryję tego. To znaczy, nie chciałam, aby ktoś z mojej rodziny lub jedna z najbliższych przyjaciółek byli obecni przy usunięciu mojego... powiedzmy... mojego wyrostka. Poniżające! Wszyscy patrzą na ciebie, na miejsca, których sama nigdy nie oglądałaś, nawet w lusterku. Nie wiedziałam, jak wygląda moje jelito grube. Podobnie jak nie wiedziałam, jak wygląda moja szyjka. I wcale nie chciałam tego wiedzieć. Ale połowa personelu w szpitalu św. Michała widziała to.

Czułam się kimś gorszym, czułam, że nie zasługuję na coś takiego.

Mówiąc wprost: nie wyglądałam najlepiej. Jak wspomniałam wcześniej, było to poniżające.

Widziałam w telewizji wystarczającą liczbę prostackich kierowców ciężarówek, którzy ze łzą w oku, ze ściśniętym gardłem mówili, że obecność przy narodzeniu dziecka była dla nich najbardziej dogł... dog... głębokim przeżyciem, jakiego kiedykolwiek doznali. Słyszałam też opowieści o rugbistach, którzy zapraszali wszystkich kolegów z drużyny, by obejrżeli nagrany na taśmie wideo film z porodu.

Trzeba jednak zastanowić się nad ich motywami.

W każdym razie James i ja podeszliśmy do sprawy emocjonalnie i zdecydowaliśmy, że powinien być przy mnie.

Tak więc był obecny przy porodzie. Opowieść o tym, dlaczego i w jaki sposób mnie opuścił, jest trochę dłuższa.

Rozdział 1

Wybaczcie, pewnie myślicie, że jestem źle wychowana. Ledwie się znamy, a ja wam tu opisuję wszystkie okropności, jakie mnie spotkały.

Pozwólcie, że w skrócie opowiem o sobie. Szczegóły takie jak na przykład mój pierwszy dzień w szkole zostawię na później, jeśli wystarczy nam czasu.

Zobaczmy, o czym powinnam wam powiedzieć? No cóż, na imię mi Claire, mam dwadzieścia dziewięć lat i —jak już wspomniałam — przedwczoraj urodziłam pierwsze dziecko (prześliczną dziewczynkę o wadze trzy i pół kilograma), a mój mąż (czy wspomniałam, że ma na imię James?) powiedział mi dwadzieścia cztery godziny temu, że od pół roku ma romans z — posłuchajcie — nawet nie z sekretarką lub inną pięknoscią z pracy, lecz z mężatką, która mieszka dwa piętra pod nami. Boże, ależ to drobnomieszczańskie! Poza tym nie tylko ma romans, ale chce się rozwieść.

Wybaczcie, że piszę o tym tak bezceremonialnie. Po prawdzie to mnie nosi. Zaraz znowu się poryczę. Chyba wciąż jestem w szoku. Ona ma na imię Denise i całkiem dobrze ją znam.

Oczywiście nie tak dobrze jak James.

To straszne, ale ona zawsze była taka miła.

Ma trzydzieści pięć lat (nie pytajcie, skąd o tym wiem, po prostu wiem. Rzykuję, że mogę stracić waszą sympatię, ale ona naprawdę wygląda na trzydzieści pięć), dwójkę dzieci i fajnego męża (to znaczy nie licząc mojego). Wyprowadziła się ze swojego mieszkania, a on ze swojego (a raczej z naszego), po czym oboje przenieśli się do nowego, tajnego gniazdka.

Dacie wiarę? Jakież to teatralne. Wiem, że jej mąż jest Włochem, ale raczej ich nie pozabija. To kucharz, a nie członek mafii, więc co zrobi? Zasypie ich czarnym pieprzem? A może komplementami, aż pograżą się w śpiączce?

Ech, znowu popadłam w lekceważący ton.

A przecież czuję się fatalnie.

Mam złamane serce.

To naprawdę tragiczne. Nie wiem, jak nazwać moje małżeństwo. Razem z Jamesem rozważaliśmy różne imiona — a raczej to ja je rozważałam, a on udawał, że słucha ale nie podjęliśmy żadnej decyzji. Wygląda na to, że straciłam umiejętność podejmowania samodzielnych decyzji. Żalotne, wiem, ale tym właśnie jest dla nas małżeństwo. Bum i znika gdzieś poczucie osobistej autonomii!

Nie zawsze taka byłam. Kiedyś byłam niezależna i miałam silną wolę. A teraz wydaje mi się to odległą historią.

Jestem z Jamesem od pięciu lat, trzy lata temu wzięliśmy ślub. Boże, jak ja kocham tego człowieka.

Chociaż początek nie rokował wielkich nadziei, bardzo szybko podaliśmy się czarowi — po kwadransie zakochaliśmy się w sobie i tak już zostało.

Przynajmniej z mojej strony.

Bardzo długo trwałam w przekonaniu, że nie poznam mężczyzny, który zechce się ze mną ożenić. Hm, może powinnam to uściślić.

Długo trwałam w przekonaniu, że nie poznam miłego mężczyzny, który zechce się ze mną ożenić. Oczywiście przewinęło się wielu wariantów. Ale żaden miły facet, trochę starszy ode mnie, z dobrą pracą, przystöjny, uprzejmy, zabawny. Wicie, taki, który nie spojrział na mnie spode łba, gdy wspomniałam o „Rodzinie Partridge'ów”, nie taki, który obiecał zabrać mnie wieczorem do McDonalda, gdy tylko zdał ważny egzamin; nie taki, który przeproszał, że nie kupił mi prezentu na urodziny, bo zła żona na podstawie sądowego wyroku zabiera mu całą pensję na utrzymanie rodziny; nie taki, przez którego poczułam się staromodna i ograniczona, bo wkurzyłam się, gdy mi powiedział, że wybykał swoją byłą dziewczynę następnego dnia po tym, jak był ze mną.

(„Jezu, wy, klasztorne dziewczyny, jesteście takie uczciwe”); nie taki, który mnie zawstydził, bo nie znałam różnicy między Piat d'Or i Zinfandelem (cokolwiek to jest!)

James nie traktował mnie w żaden z wyżej opisanych sposobów. Podobałam mu się. Podobało mu się we mnie niemal wszystko.

Kiedy się poznaliśmy, oboje mieszkaliśmy w Londynie. Ja byłam kelnerką (później napiszę o tym więcej), a on księgowym.

Ze wszystkich meksykańskich restauracji na całym świecie musiał wejść właśnie do mojej. Nie byłam zwyczajną kelnerką, rozumiecie, miałam dyplom z literatury angielskiej, ale zbuntowałam się później niż większość młodzieży, bo dopiero w wieku dwudziestu trzech lat. Wtedy pomyślałam sobie, że będzie zabawnie, jeśli poświęcę swoją nieźle płatną pracę w Dublinie i przeprowadzę się do bezbożnego Londynu, gdzie rozpocznę życie nieodpowiedzialnej studentki.

Co powinnam uczynić, gdy naprawdę byłam nieodpowiedzialną studentką. Lecz wtedy byłam zbyt zajęta zdobywaniem doświadczenia w pracy podczas letnich wakacji, więc moja nieodpowiedzialność musiała poczekać, aż będę na nią przygotowana.

Jak zwykłam mówić — zawsze jest odpowiedni czas i miejsce na spontaniczność.

W każdym razie znalazłam sobie pracę jako kelnerka w tej bardzo modnej londyńskiej restauracji, gdzie królowały głośna muzyka i ekrany wideo. Czasami wpadały tam znane osoby.

Zresztą więcej znanych osób było wśród personelu niż klienteli, jako że personel stanowili bezrobotni aktorzy, modelki, modele i tym podobni.

Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się tam zaczepić. Może zatrudniono mnie jako symbol Kelnerki Apetycznej? Zacznę od tego, że byłam jedyną kelnerką o wzroście poniżej 180 centymetrów i wadze ponad 35 kilogramów. Chociaż nie był ze mnie materiał na modelkę, to miałam chyba — nazwijmy to — pewien naturalny urok. No wiecie: krótkie, lśniące, brązowe włosy, niebieskie oczy, piegi, szeroki uśmiech i takie tam różne.

Poza tym byłam taka otwarta i naiwna. Nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy, gdy stawałam twarzą w (pięknie utrzymaną) twarz z gwiazdą sceny i telewizji.

Nieraz obsługiwałam (używam tego słowa w najbardziej swobodnym znaczeniu) jakiś stolik, przy którym siedzieli goście (tego słowa także używam w najbardziej swobodnym znaczeniu), gdy nagle któraś z kelnerek dawała mi kuksańca łokciem (ochlapując gorącym sosem nieszczęsny podolek klienta) i syczała na przykład:

— Czy ten facet, którego obsługujesz, to nie jest czasem jakmutam z tego zespołu?

Odpowiadałam na przykład:

— Który facet? Ten w skórzanej sukience? (Pamiętajcie, to były lata osiemdziesiąte).

— Nie — odpowiadała szeptem. — Ten w jasnych dredach, umalowany szminką od Chanel. Czy to nie ten wokalista?

— Naprawdę? — dukałam. Czułam się głupio, nie na czasie, bo nie wiedziałam, kto to taki.

W każdym razie uwielbiałam tę pracę. Porywała mnie aż do należącego do klasy średniej szpiku moich burżuazyjnych kości. To wydawało się takie dekadentkie, a zarazem ekscytujące — budzić się codziennie o pierwszej po południu, aby iść do pracy na szóstą, kończyć o północy, a potem upić się w towarzystwie barmanów.

A w domu w Irlandii moja biedna matka gorzko płakała, że jej wykształcona córka serwuje hamburgery gwiazdom muzyki pop.

I wcale nie jakimś sławnym gwiazdom, aby jeszcze dopełnić czary goryczy.

Pracowałam tam około pół roku, gdy poznałam Jamesa. Był piątkowy wieczór, który tradycyjnie był wieczorem krawaciarzy.

W każdy piątek o siedemnastej wszystkie biura w centrum Londynu uwalniały swoich pracowników — niczym grobowce swoich zmarłych — na weekend, tak więc spadały na nas hordy bladych, krostowatych młodzieńców w tanich garniturach, którzy gorączkowo poszukiwali słynnych gwiazd i pragnęli się upić. Kolejność bez znaczenia.

Zgodnie z panującą etykietą my, kelnerki, spoglądałyśmy pogardliwie na tę odzianą w garnitunki klientelę, kręcąc głowami z niedowierzaniem na widok ich wymyślnych fryzur itd. Ignorowałyśmy tych biedaków

przez pierwsze piętnaście minut, mijałyśmy ich w dzikim pędzie, pobrękując kolczykami i bransoletami, dając im w ten sposób do zrozumienia, że mamy na głowie znacznie ważniejsze sprawy niż zaspokajanie ich żalosnych potrzeb. Wreszcie, gdy zaczęli niemalże płakać z rozżalenia i głodu, podchodziłyśmy do stolika z szerokim uśmiechem, a także bloczkiem i długopisem w dłoni.

— Witam panów. Czy podać coś do picia?

Ogarniało ich wielkie poczucie wdzięczności. A potem nie miało już znaczenia, czy drinki są zgodne z zamówieniem, czy w ogóle podano im jedzenie — i tak zostawiali duże napiwki, uszczęśliwieni, że zdołali zwrócić na siebie naszą uwagę.

Naszym mottem było: „Klient nie tylko nigdy nie ma racji, ale w dodatku jest zazwyczaj bardzo źle ubrany”.

Krytycznego wieczoru James z trzema kolegami zasiedli przy stoliku w moim rewirze, a ja zaspokajałam ich potrzeby we właściwy sobie, normalny, nonszalancki sposób. Niemal zupełnie nie zwracałam na nich uwagi, prawie nie słuchałam, gdy składali zamówienie, no i nie spojrzałam żadnemu z nich w oczy. Gdybym to jednak uczyniła, mogłabym spostrzec, że jeden z nich (tak, oczywiście James) był niezwykle przystojny. Miał czarne włosy, zielone oczy i 180 centymetrów wzrostu. Powinnam była zobaczyć coś więcej niż tylko jego garnitur, zajrzeć do jego duszy.

Ludzka powierzchowności — imię twe brzmi Claire.

Chciałam wrócić na zaplecze, gdzie ze starszymi kelnerkami mogłam popijać piwo, palić i gadać o seksie. A klienci w tym tylko przeszkadzali.

— Czy mogę poprosić, aby mój stek był słabo wysmażony? — spytał jeden z mężczyzn.

— Uhm — odparłam. Moje zainteresowanie było jeszcze mniejsze niż zwykle, gdyż na stole zauważyłam książkę. Była naprawdę dobra, sama ją przeczytałam.

Uwielbiałam książki. I czytanie. A także czytających mężczyzn. Kochałam każdego mężczyznę, który potrafił odróżnić egzystencjalizm od realizmu. Poza tym przez ostatnie pół roku pracowałam z ludźmi, którzy od wielkiego dzwonu sięgali po „Kulturę” (a czytając w milczeniu, poru-

szali wargami). Nagle zrozumiałam, jak bardzo brakuje mi inteligentnych rozmów.

Boja mogłabym wziąć aktywny udział w każdej dyskusji na temat współczesnej powieści amerykańskiej. Chętnie przekonam się, co wiecie o Hunterze S. Thompsonie albo Jayu McInerneyu.

Nagle osoby siedzące przy tym stoliku przestały być irytujące. W moich oczach nabrały pewnych indywidualnych cech ludzkich.

— Czyja to książka? — spytałam nagle, przerywając składającemu zamówienie. (Nie obchodzi mnie, jak bardzo wysmażony ma być twój stek).

Wszyscy czterej aż podskoczyli z wrażenia. Odezwałam się do nich! Potraktowałam ich niemal tak, jakby byli ludźmi!

— Moja — powiedział James i wtedy moje niebieskie oczy napotkały jego zielone ponad daiquiri o smaku mango (choć, prawdę mówiąc, zamówił szklanekę piwa). To było to. Opadł na nas srebrzysty, magiczny proszek. W tej sekundzie stało się coś cudownego. Od chwili, gdy nasze spojrzenia się spotkały, chociaż nic o sobie nie wiedzieliśmy (poza tym, że lubimy te same książki) (aha, i że spodobaliśmy się sobie), stało się oczywiste, że każde z nas właśnie poznało wyjątkową osobę.

Twierdziłam, że natychmiast zakochaliśmy się w sobie. On twierdził, że nic takiego się nie stało, że jestem głupią romantyczką.

Powiedział, że zakochał się we mnie dopiero po trzydziestu sekundach.

Historycy będą się o to spierać.

Przede wszystkim musiał ustalić, czy ja również przeczytałam rzezoną książkę. Bo myślał, że jestem ograniczoną modelką albo piosenkarką, skoro pracowałam tam jako kelnerka. Rozumiecie — na tej samej zasadzie, na jakiej ja uznałam go za prowincjonalnego urzędniczynę. Dobrze mi tak.

— Czytałaś to? — spytał najwyraźniej zdumiony. Ton jego głosu w ogóle podawał w wątpliwość moją umiejętność czytania.

— Tak, czytałam wszystkie jego książki — odparłam.

— Naprawdę? — spytał z namysłem. Oparł się wygodnie i patrzył na mnie z zainteresowaniem. Kosmyk czarnych jedwabistych włosów opadł mu na czoło.

— Owszem — wydusiłam z siebie. Poczulałam lekkie oszołomienie wywołane pożądaniem.

— Fajne pościgi samochodami, prawda? — odezwał się. Powinnam was poinformować, że w żadnej z omawianych

książek nie ma pościgów. To poważne powieści głęboko wnikające w problemy życia, śmierci i podobnych spraw.

„Jezu!”, pomyślałam przerażona. „Przystojny, inteligentny i do tego jeszcze zabawny. Czy podołam temu wyzwaniu?”

I wtedy James uśmiechnął się do mnie — powolny, seksowny uśmiech świadomego mężczyzny, całkowicie nie pasujący do jego garnituru w prążki. Przysięgam wam: poczułam się tak, jakby nagle wszystkie moje trzewia zmieniły się w ciepłe lody. No wiecie... było mi gorąco i zimno, poczułam mrowienie ogarniające całe ciało, a te lody... jakby się rozpuszczały we mnie.

I przez wiele kolejnych lat, gdy pierwotne zauroczenie minęło, a nasze rozmowy z reguły dotyczyły polis ubezpieczeniowych i murszejącego drewna, wystarczyło, że przypomniałam sobie ten jego uśmiech, by znowu się w nim zakochać.

Wymieniliśmy jeszcze kilka słów.

Tylko kilka.

Jednak to wystarczyło, bym przekonała się, że jest miłym i inteligentnym facetem, obdarzonym poczuciem humoru. Poprosił mnie o numer telefonu.

Za podanie gościowi swojego numeru telefonu groziło wywalenie z pracy.

Jednak dałam mu.

Gdy tego wieczoru wychodził z restauracji w towarzystwie trzech koleśków, którzy mignęli mi tylko przed oczami — a raczej, ich teczki, parasole, ciemne garnitury i zrolowane egzemplarze „Financial Times” — uśmiechnął się do mnie na pożegnanie, a ja (łatwo to powiedzieć po

fakcie, łatwo przewidzieć przyszłość, która już się stała, chyba mnie rozumiecie) wiedziałam, że patrzę na swoje przeznaczenie.

Moją przyszłość.

Po kilku minutach wrócił.

— Przepraszam. — Uśmiechnął się. — Jak ci na imię?

Gdy tylko inne kelnerki dowiedziały się, że krawaciarz poprosił mnie o numer telefonu, a — co gorsza — ja mu go dałam, zostałam potraktowana jak parias. Minęło dużo czasu, nim ponownie zaprosiły mnie do siebie na działkę koki.

Ale miałam to gdzieś. Bo naprawdę zakochałam się w Jamesie.

Mimo całej mojej gadaniny o niezależności, w głębi serca byłam romantyczką. A moja gadanina o buncie przeciw establishmentowi nie przeszkadzała mi być klasyczną przedstawicielką klasy średniej.

Od naszego pierwszego wspólnego wyjścia było cudownie. Romantycznie. Pięknie.

Przepraszam was, ale będę tu musiała użyć wielu frazesów, bo nie potrafię inaczej wyrazić pewnych spraw.

Ze wstydem muszę się wam przyznać, że chodziłam pijana ze szczęścia. Jeszcze trudniej jest mi wyznać, że czułam się tak, jakbym go znała całe życie. Skomplikuję to jeszcze bardziej, gdy powiem, że nikt mnie nie rozumiał tak jak on. A ponieważ i tak straciłam już wiarygodność w waszych oczach, mogę jeszcze dodać, że nie sądziłam, że człowiek może być tak szczęśliwy. Na tym jednak poprzestanę i nie będę wam wciskała, że przy nim czułam się bezpieczna, seksowna, elegancka i urocza. (Przepraszam, ale naprawdę muszę to powiedzieć: czułam, że znalazłam drugą, brakującą połówkę i stałam się pełnowartościową całością. Obiecuję, że więcej nie będę o tym wspominać). (Może jeszcze tylko dodam, że był przezabawny i świetny w łóżku. I to już naprawdę wszystko. Obiecuję).

Gdy zaczęliśmy chodzić ze sobą, większość wieczorów pracowałam, więc mogłam się z nim spotykać dopiero po pracy. Ale on zawsze na mnie czekał. A gdy przychodziłam zmęczona wieloma godzinami serwowania przypalonych różności londyńczykom (a dokładniej mieszkańcom Pensylwanii albo Hamburga), on — do dziś nie mogę w to uwierzyć

— on mył moje obolałe stopy i nacierał je miętowym balsamem. Robił to, chociaż było po północy, a musiał na ósmą rano iść do pracy, by pomagać ludziom kombinować z podatkami, czy też zajmować się innymi typowymi dla księgowych czynnościami. Pięć nocy tygodniowo. Poza tym opowiadał mi treść telenoweli. I jeździł do całodobowej stacji benzynowej, aby kupić mi papierosy. Albo opowiadał różne zabawne historijki ze swojej pracy. Wiem, trudno uwierzyć, że jakaś opowiadka o księgowości może być śmieszna, ale jemu się to udawało.

Poza tym nigdy nie mogliśmy wyjść w sobotni wieczór. Ale nie narzekał.

Dziwne, co?

Też tak myślałam.

Pomagał mi też liczyć moje napiwki i doradzał, w co je zainwestować. Obligacje rządowe i takie tam.

Ale ja zazwyczaj kupowałam sobie buty.

Wkrótce potem szczęśliwym zrządzeniem losu zostałam wylana z pracy (głupie nieporozumienie z udziałem moim, kilku butelek importowanego piwa oraz kolacji, która wylądowała na kolanach gościa, co okazał się totalnie pozbawiony rozsądku i poczucia humoru. W każdym razie po jego bliznach na pewno nie ma śladu).

Udało mi się znaleźć inną posadę o bardziej cywilizowanych godzinach pracy. Tym sposobem nasz romans zaczął funkcjonować według bardziej tradycyjnego rozkładu.

Po jakimś czasie zamieszkaliśmy razem. A niedługo potem wzięliśmy ślub. Po paru latach zdecydowaliśmy się na dziecko, u ponieważ moje jajniki były w porządku, w jego spermie znajdowała się wystarczająca liczba plemników, moja macica zaś nie stawiała przeszkód, tak więc zaszałam w ciążę. I urodziłam córeczkę.

Wówczas to mnie poznaliście.

W takim razie jesteśmy mniej więcej na bieżąco.

A jeśli mieliście nadzieję — czy też oczekiwaliście dramatycznego opisu porodu, w którym byłaby mowa o ginekologicznym samolociku, kleszczach, rozdzierających krzykach i wulgarnych porównaniach z wy-

ciągnięciem dwudziestokilogramowego worka kartofli, to przykro mi, ale was rozczaruję.

(No dobrze, żeby nie było wam smutno, wyobraźcie sobie swój największy ból miesiączkowy, pomnóżcie go przez siedem milionów i sprawcie, by trwał całą dobę, wtedy w pewnym stopniu zrozumiecie, co oznaczają bóle porodowe).

Tak, było krwawo, uwłaczająco i okropnie boleśnie. Ale też ekscytująco i wspaniale. Jednak najważniejsze dla mnie było to, że wreszcie wszystko się skończyło. Pamiętałam ból, ale już nie sprawiał mi cierpienia. Ale gdy James odszedł ode mnie, zrozumiałam, że wolałabym w agonii rodzić setkę dzieci, niż doznać cierpienia, jakie towarzyszyło jego odejściu.

Oto w jaki sposób przekazał mi wiadomość o swoim odejściu.

Po tym, jak po raz pierwszy trzymałam w ramionach swoje dziecko, pielęgniarki zabrały je na oddział noworodków, a ja zostałam odwieziona do mojej sali, gdzie zasnęłam.

Gdy się obudziłam, nade mną stał James i spoglądał na mnie swymi zielonymi oczami. Był blady. Uśmiechnęłam się do niego śpiąco, lecz zarazem triumfalnie.

— Witaj, kochanie — powiedziałam.

— Witaj, Claire — odparł formalnie i bardzo grzecznie. Byłam głupia, gdyż pomyślałam sobie, że jest taki poważny, by tym sposobem wyrazić swój szacunek. (Patrzcie na moją żonę, urodziła dzisiaj dziecko, jest kobietą, dawczynią życia — rozumiecie, coś w tym rodzaju).

Usiadł na brzegu twardego szpitalnego krzesła, jakby chciał lada chwila zerwać się i uciec. Co zresztą było prawdą.

— Byłeś już w sali noworodków, żeby ją zobaczyć? — spytałam sennie. — Jest śliczna.

— Nie — odrzekł krótko. — Posłuchaj, Claire. Ja odchodzę — stwierdził nagle.

— Dlaczego? — Oparłam się wygodniej na poduszkach. — Przecież dopiero co przyszedłeś. (Tak, nie mogę uwierzyć, że powiedziałam również to. Kto wymyśla za mnie te zdania?)

— Claire, posłuchaj. — Zaczął się niecierpliwić. — Odchodzę od ciebie.

— Co takiego? — spytałam powoli. Muszę przyznać, że udało mi się teraz skupić na sobie całą moją uwagę.

— Claire, naprawdę bardzo mi przykro, ale poznałem kogoś i chcę z nią być. Przykro mi z powodu dziecka i tego wszystkiego, że zostawiam cię w takiej sytuacji, ale po prostu muszę — wyrzucił z siebie, biały jak ściana. W jego oczach widoczne było cierpienie.

— Co to znaczy, że poznałeś kogoś? — spytałam zdębiała.

— To znaczy, że... zakochałem się w kimś. — Miał nieszczęsną mi-
nę.

— Chcesz przez to powiedzieć, że poznałeś kobietę? — Czułam się tak, jakby ktoś zdzielił mnie kijem do krykieta w podstawę czaszki.

— Tak. — Wyraźnie odczuł ulgę, że zrozumiałam istotę nowej sytuacji.

— I odchodzisz ode mnie? — Z niedowierzaniem powtórzyłam jego wcześniejsze słowa.

— Tak. — Patrzył na swoje buty, na sufit, na moją butelkę lemoniady, byle nie spojrzeć mi w oczy.

— Czy już mnie nie kochasz? — usłyszałam swój głos.

— Nie wiem. Chyba nie.

— A dziecko? — spytałam osłupiała. Przecież nie może mnie zostawić, zwłaszcza teraz, gdy mamy dziecko. — Musisz się nami obiema opiekować.

— Przykro mi, ale nie mogę. Zapewnię ci środki do życia, ustalimy coś w sprawie mieszkania, pożyczki hipotecznej i tak dalej, ale muszę odejść.

Nie mogłam uwierzyć, że ta rozmowa naprawdę się odbywa.

O czym on gada, do cholery?! Mieszkanie, pieniądze, pożyczka i inne bzdury? Zgodnie ze scenariuszem powinniśmy gruchać, pochylając się nad dzieckiem, i delikatnie spierać się o to, do której rodziny jest bardziej podobne. Ale James, mój James, mówił o tym, że odchodzi ode mnie. Kto jest tu kierownikiem? Chciałabym złożyć zażalenie na moje życie.

Przecież wyraźnie zamówiłam sobie szczęśliwy byt z kochającym mężem i nowo narodzonego dzieckiem, a zamiast tego co dostałam? Jakąś tandentną parodię.

— Claire, na litość boską, naprawdę głupio mi zostawiać cię w takiej sytuacji. Ale jeśli teraz wrócę z tobą i dzieckiem do domu, to już nigdy nie odejdę.

„A czyż mnie o to chodzi?“, pomyślałam zdumiona.

— Wiem, że na taką rozmowę nie ma dobrej chwili. Nie mogłem ci o tym powiedzieć, gdy byłaś w ciąży, bo gdybyś poroniła... Więc muszę ci powiedzieć teraz.

— To wszystko jest takie dziwaczne — odparłam słabo.

— Tak, wiem — zgodził się pośpiesznie. — Wiele przeżyłaś przez ostatnią dobę.

— Dlaczego byłeś obecny przy porodzie, skoro planowałeś zostawić mnie w chwili, gdy się zakończył? — Przytrzymałam go za ramię, aby na mnie spojrzeć.

— Bo obiecałem. — Uwolnił się od mojej ręki, nadal unikając mego wzroku. Wyglądał niczym uczeń, który właśnie został wychłostany.

— Bo obiecałeś? — Starłam się doszukać tu jakiegoś sensu. — Ale przecież obiecałeś mi wiele rzeczy. Ślubowałeś mi miłość, wierność i uczciwość małżeńską do grobowej deski.

— Przykro mi — wymamrotał. — Tego ślubu nie mogę dotrzymać.

— Co więc będzie? — spytałam drętwo. Nie przyjmowałam do wiadomości ani jednego słowa. Jednak zespół gra, nawet jeśli nikt nie tańczy. Odbywałam z Jamesem coś, co dla niezależnego obserwatora z zewnątrz mogło wyglądać jak rozmowa. Ale to wcale nie była rozmowa, gdyż absolutnie nie miałam na myśli tego, co mówiłam, i nie przyjmowałam do wiadomości jego słów. Pytając go, co będzie, nie oczekiwałam odpowiedzi. Wiedziałam, co się stanie. Wróci ze mną i dzieckiem do domu, a takich bezsensownych rozmów już więcej nie będzie.

Czułam, że jeśli uda mi się zająć go rozmową, zrozumie, że nawet sama myśl o zostawieniu mnie jest absurdalna.

Wstał. Znajdował się zbyt daleko, bym mogła go dotknąć. Miał na sobie czarny garnitur (w przeszłości często żartował, że wkłada go na specjalne okazje — ogłoszenie upadłości i likwidacje), w którym wyglądał ponuro i blado. W pewien sposób nigdy nie wydawał mi się piękniejszy niż właśnie wtedy.

— Widzę, że włożyłeś swój mundurek karawaniarza — rzekłam z goryczą. — Bardzo stosownie.

Nawet nie próbował się uśmiechnąć i wtedy zrozumiałam, że go straciłam. Wyglądał jak James, miał jego głos i zapach, ale to nie był James.

Jak w jakimś filmie science fiction z lat pięćdziesiątych, gdzie ciało dziewczyny głównego bohatera zabiera przybysz z kosmosu — na zewnątrz wygląda ono tak samo (różowy sweterek z angory, śliczna torebeczka, szpiczasty biustonosz, na którego widok patrzącym wyskakują oczy z orbit itd.), ale zmieniły się jej oczy.

Przelotny obserwator mógłby pomyśleć, że to James. Ale patrząc w jego oczy, wiedziałam, że James już odszedł. W jego ciele zamieszkał jakiś zimny, pozbawiony uczuć nieznajomy. Nie wiem, dokąd odszedł mój James.

Może był na pokładzie statku kosmitów z Peggy-Jo?

— Zabrałem większość swoich rzeczy — powiedział. — Będę się z tobą kontaktował. Uważaj na siebie.

Odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł z sali. Prawie biegł. Chciałam ruszyć za nim, ale drań wiedział, że jestem przykuta do łóżka dzięki kilku szwom w mojej pochwie.

Odszedł.

Leżałam w łóżku długi czas zupełnie nieruchomo. Byłam porażona, zszokowana, przerażona, wydawało mi się to niewiarygodne. Jednak w pewien sposób — o dziwo — było coś, co kazało mi w to uwierzyć. Osobliwie znajome uczucie.

Wiem, że to nie mogło być dla mnie znajome uczucie, bo nigdy dotąd nie opuścił mnie mąż. Ale coś jednak było. Myślę, że w mózgu każdego człowieka — a na pewno w moim — jest cząstka wyczulona na zewnętrzne niebezpieczeństwo i przekazuje sygnał mózgowi o nadchodzą-

cym nieszczęściu. Taka emocjonalna wersja sygnału alarmowego: „Uwaga, Indianie!” Im więcej o tym myślałam, tym lepiej rozumiałam, że ta częśćka mojego mózgu zapewne już od wielu miesięcy przesyłała mi świetlne sygnały lusterkiem i znaki dymne. Ale reszta mózgu przebywała w obozowisku otoczonym wozami w zielonej dolinie odmiennego stanu i nie chciała nic wiedzieć o nadchodzącym niebezpieczeństwie, więc całkowicie ignorowała wszelkie nadsyłane znaki.

Wiedziałam, że przez całą moją ciążę biedny James był raczej nieszczęśliwy, ale kładłam to na karb moich zmiennych nastrojów, nieustannego głodu, nie dającego się poskromić sentymentalizmu, który sprawiał, że płakałam, oglądając zarówno *Domek na prerii*, jak i *Wiadomości finansowe*.

No i oczywiście nasze życie seksualne uległo drastycznym ograniczeniom. Myślałam jednak, że gdy tylko urodzę dziecko, wszystko wróci do normy. A może nawet będzie lepiej niż przedtem, jeśli wicie, o co mi chodzi.

Sądziłam, że rozgoryczenie Jamesa wynika z efektów ubocznych mojej ciąży, ale, spoglądając wstecz, być może nie wzięłam pod uwagę pewnych rzeczy, których nie powinnam była lekceważyć.

Co więc miałam zrobić? Nawet nie wiedziałam, gdzie zamieszkał. Jakiś instynkt podpowiadał mi jednak, że na pewien czas powinnam zostawić go w spokoju. Rozbawić go. Udawać, że pogodziłam się z sytuacją.

Z trudem przyjęłam to do wiadomości.

Zostawić mnie w taki sposób! Moją normalną reakcją na poczucie krzywdy lub zdradę było wstąpienie na wojenną ścieżkę, ale wiedziałam, że w zaistniałej sytuacji niewiele mi to pomoże. Musiałam zachować spokój i trzeźwość umysłu do chwili, aż zdecyduję, co robić dalej.

Tuż obok stanęła jedna z pielęgniarek w pantoflach na gumowej podszwie i spojrzała na mnie z uśmiechem.

— Jak się pani teraz czuje?

— Dobrze — odparłam. Chciałam, żeby sobie poszła.

— Pewnie niedługo wpadnie mąż, żeby odwiedzić panią i zobaczyć dziecinę.

— Nie stawiałabym na to — rzekłam z goryczą. Popatrzyła na mnie zdziwiona i odeszła szybko do jednej z miłych, dobrze wychowanych matek. Pstrykając długopisem, rzuciła mi nerwowe spojrzenie.

Postanowiłam zadzwonić do Judy.

Judy była moją najlepszą przyjaciółką. Przyjaźniłyśmy się od osiemnastego roku życia. Razem przyjechałyśmy do Londynu. Była moim świadkiem.

Sama nie mogłam sobie z tym poradzić. Judy na pewno coś mi podpowie.

Ostrożnie uniosłam się z łóżka i tak szybko, jak pozwalała na to moja przecięta pochwa, dobiegłam do automatu telefonicznego. Odebrała natychmiast.

— Witaj, Claire — powiedziała. — Właśnie wybieram się do ciebie.

— Dobrze. — Nie udało mi się wymówić ani słowa więcej.

Bóg jeden wie, że pragnęłam wykrzyczeć jej wszystko o Jamesie, o jego odejściu, lecz za mną ustawiła się kolejka odzianych w różowe szlafroki kobiet, pragnących skorzystać z telefonu (niewątpliwie by zadzwonić do swoich oddanych mężów), a ja — wbrew wszystkiemu — miałam jeszcze odrobinę godności.

„Szczęśliwe suki”, myślałam kwaśno (a także irracjonalnie), kuśtykając do łóżka.

Gdy tylko zjawiała się Judy, od razu poznałam, że wie o Jamesie. Poznałam, bo powiedziała: „Claire, wiem o Jamesie”. A także po tym, że nie uśmiechała się szeroko, nie przyniosła kwiatów ani kartki gratulacyjnej wielkości stołowego blatu z wymalowanymi bocianami. Wydawała się podenerwowana.

Serce we mnie zamarło. Skoro James rozpowiadał o swoim odejściu, musiała to być prawda.

— Zostawił mnie — powiedziałam dramatycznie.

— Wiem — odparła.

— Jak mógł?

— Nie wiem.

— Zakochał się w innej.

— Wiem.

— Skąd wiesz? — spytałam żadną informacjami.

— Michael mi powiedział. Jemu Alice, a jej z kolei George. (Michael był chłopakiem Judy. Alice pracowała z Michaeliem, a jej mężem był George, który z kolei pracował z Jamesem).

— Więc wszyscy wiedzą — rzekłam cicho.

Nastało milczenie. Judy wyglądała tak, jakby chciała umrzeć.

— A więc to prawda — odezwałam się.

— Chyba tak — stwierdziła wyraźnie zażenowana.

— Wiesz, kim jest ta kobieta? — spytałam. Głupio mi było stawiać ją w takim niezręcznym położeniu, ale musiałam wiedzieć. Wcześniej doznałam szoku i nie zdążyłam spytać Jamesa, zanim wyszedł.

— No... wiem. — Jeszcze bardziej się zmieszała. — To ta Denise.

Dopiero po minucie zrozumiałam, o kim mówi.

— Co?! — wrzasnęłam. — Chyba nie ta miła kobieta, która mieszka na dole?!

Judy żałośnie pokiwała głową.

Dobrze, że już znajdowałam się w pozycji leżącej.

— Dziwka! — krzyknęłam.

— To nie wszystko — mruknęła. — On chce się z nią ożenić.

— Co to ma znaczyć? Przecież on już jest żonaty. Ze mną. Nie słyszałam, by w ciągu ostatniej doby zalegalizowano poligamię.

— Masz rację.

— Więc... — zawiesiłam głos.

— Claire — westchnęła przybita. — On mówi, że chce się z tobą rozwieść.

Jak wspomniałam, dobrze, że już znajdowałam się w pozycji leżącej.

Mijało popołudnie, a wraz z nim cierpliwość Judy i wszelka nadzieja.

Popatrzyłam na nią z rozpaczą.

— Judy, co ja teraz zrobię?

— Posłuchaj — odezwała się rzeczowo — za dwa dni stąd wyjdiesz. Masz gdzie mieszkać, masz dość pieniędzy, by zapewnić utrzymanie sobie i dziecku, za pół roku wrócisz do pracy, musisz się opiekować noworodkiem i dać Jamesowi trochę czasu, abyście w końcu mogli wspólnie coś ustalić.

— Ale on chce rozwodu — jęknęłam.

Jednakże James zapomniał o jednej ważnej sprawie. W Irlandii nie ma rozwodów. A my wzięliśmy ślub właśnie w Irlandii. Nasz związek pobłogosławili ojcowie z kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. I co nam z tego przyszło? Żegnaj, Nieustająca.

Byłam kompletnie zagubiona. Czułam się samotna, wystraszona. Chciałam naciągnąć sobie koc na głowę i umrzeć. Ale nie mogłam tego zrobić, bo musiałam zaopiekować się biednym, bezbronnym dzieciątkiem.

Jakież to start życiowy dla mojej córeczki? Nie miała jeszcze dwóch dni, a już opuścił ją ojciec, natomiast matka była na skraju załamania i szaleństwa.

Po raz tysięczny zastanawiałam się, jak on mógł mi to zrobić.

— Jak on mógł mi to zrobić? — spytałam Judy.

— Pytałaś mnie o to już tysiąc razy — odparła. Fakt.

Nie miałam pojęcia, jak James mógł mi to zrobić. Wiedziałam tylko, że zrobił.

Dotychczas myślałam, że życie serwowało mi nieprzyjemności w równych, niewielkich porcjach. Nigdy nie musiałam borykać się z problemem większym, niż byłam w stanie podolać.

Gdy słyszałam o ludziach dotkniętych wieloma nieszczęściami, takimi jak wypadek samochodowy, utrata pracy, przyłapanie chłopaka w łóżku z własną siostrą, myślałam, że to ich własna wina. No może nie do końca wina. Lecz jeśli ludzie zachowywali się jak ofiary, stawali się ofiarami; gdy oczekiwali czegoś najgorszego, najgorsze w nieunikniony sposób przychodziło.

Teraz rozumiałam, jak bardzo się myliłam. Czasami ludzie wcale nie chcą być ofiarami, a i tak nimi zostają. I to bez własnej winy. Przecież to

nie moja wina, że mój mąż zdecydował, że zakochał się w innej. Wcale tego nie oczekiwałam i nie chciałam. A Jednak to się stało.

Zrozumiałam, że życie nie liczy się z okolicznościami, w jakich znalazł się człowiek. Siła, która ciska w nas nieszczęścia, nie mówi: „No dobrze, jeszcze przez rok nie złożę guza w jej piersi. Niech najpierw dojdzie do siebie po śmierci matki”. Życie idzie naprzód i robi to, co chce i kiedy chce.

Zdałam sobie sprawę, że nikt nie jest w stanie uniknąć syndromu mnogich nieszczęść. Oczywiście nie uważam za nieszczęście urodzenia dziecka. Jednak można by je określić jako mały wstrząs.

Sądziłam, że tak dobrze kontroluję swe życie, że gdyby — Boże, uchowaj — cokolwiek stało się ze mną i Jamesem, poświęciłabym cały swój czas i energię, aby to naprawić. Nie oczekiwałam, że zostanę porzucona nazajutrz po urodzeniu pierwszego dziecka, gdy moja energia była niemal zerowa, ja zaś byłam niezwykle podatna na wszelką krzywdę.

Nie wspominając już o tym, że byłam tak samo gruba jak głupia.

Gruba dupa nie była w stanie zdobyć przystojnego Jamesa.

Razem z Judy siedziałyśmy w milczeniu na łóżku, próbując wymyślić coś konstruktywnego. Nagle znalazłam rozwiązanie. No, może nie takie, o jakie mi chodziło, ale już zawsze coś, co pozwalało przetrwać najbliższy okres.

— Wiem, co zrobię — odezwałam się.

— Bogu dzięki. — Widziałam, jak usilnie myśli. — Bogu dzięki.

I jak Scarlett O'Hara w zakończeniu *Przeminęło z wiatrem*, powiedziałam żałośnie:

— Pojadę do domu. Pojadę do domu, do Dublina. Zgodzę się z wami, że „Dublin” nie brzmi tak dobrze jak „Tara”, ale jakiż sens miałby mój wyjazd do Tary? Nikogo tam nie znałam. Przejeżdżałam tamtędy chyba tylko dwa razy w drodze do Droghedy.

Rozdział 2

Dwa dni później Judy odebrała mnie ze szpitala. Wcześniej zarezerwowała dla mnie i dziecka bilet lotniczy do Dublina w jedną stronę. Zabrała mnie do domu, żeby spakować trochę rzeczy.

Przez cały ten czas nie miałam żadnych wiadomości od Jamesa. Chodziłam jak otumaniona, rozżalona, potykając się co krok.

Chwilami nie mogłam w to uwierzyć. Wszystko, co mi powiedział, wydawało się jakimś snem. Nie pamiętałam szczegółów, ale samo uczucie, że coś jest bardzo źle, wydawało mi się znajome.

Czasami ogarniało mnie też poczucie pustki. Czulałam, że oładnęła mną całkowicie, niczym fizyczna siła, która wyciska ze mnie życie, pozbawia oddechu. Była bezlitosna. Nienawidziła mnie.

Musiało tak być, abym cierpiała jeszcze bardziej.

Nie pamiętam, jak spędziłam te dwa pozostałe dni w szpitalu.

Przypominam sobie niejasno, jak ze zdziwieniem słuchałam, gdy inne matki opowiadały, że od tej chwili ich życie ulegnie wielkiej zmianie, że nie będą już takimi samymi kobietami, że będą musiały przystosować się do nowych warunków i tym podobne.

Nie rozumiałam, na czym polegają ich problemy. Ja nie mogłam wyobrazić sobie życia bez mojego maleństwa. „Będziemy razem, ty i ja, kochanie”, szeptałam do niej.

Fakt, że obie zostałyśmy opuszczone przez mężczyznę, zapewne przyspieszył powstanie między nami silnej więzi. Jak to mówią, wspólne nieszczęście zbliża ludzi.

Wiele czasu spędzałam, siedząc spokojnie i trzymając ją na rękach.

Dotykałam jej maleńkich stopek, cudownych, miniaturowych paluszków, zaciśniętych w piąstki dłoni, aksamitnych uszu, łagodnie gładziłam delikatną skórę na małej twarzączce, zastanawiając się, jakiego koloru będą jej oczy.

Była prześliczna, idealna, po prostu cudowna.

Uprzedzano mnie, że będę odczuwała przeogromną miłość do mojego dziecka. Bóg świadkiem, że mnie uprzedzano. Ale nie byłam przygo-

towana na aż tak wielkie uczucie. Byłam gotowa zabić każdego, kto ośmieliłby się choćby tylko dotknąć jeden jasny włoszek na jej główce.

Mogłam zrozumieć, dlaczego James opuścił mnie — chociaż po prawdzie to nie mogłam — ale nie potrafiłam pojąć, jak mógł zostawić to piękne, cudowne dziecko.

Dużo płakała.

Nie mogę się jednak na to uskarżać, gdyż sama także płakałam.

Staralam się ją pocieszać, lecz z reguły efekt był marny.

Pierwszego dnia płakała non stop przez osiem godzin. W tym czasie zmieniałam jej pieluchę ze sto dwadzieścia razy, z tysiąc razy ją karmiłam, lecz nie przyniosło to żadnego rezultatu. Popadłam w lekką histerię i zdecydowałam, że musi ją obejrzeć lekarz.

— Na pewno jest bardzo chora — stwierdziłam, spoglądając na zmęczonego młodzieńca, który był lekarzem. — Z pewnością nie odczuwa głodu, nie ma też (zachichotałam lekko) mokro, lecz mimo to wciąż płacze.

— Zbadałem ją i według mnie jest całkowicie zdrowa — wyjaśnił cierpliwie.

— Więc dlaczego płacze?

— Bo to małe dziecko. A małe dzieci płaczą. Studiował medycynę przez siedem lat i tylko tyle potrafił powiedzieć?

Nie przekonał mnie.

Może płakała, bo jakimś sposobem wyczuła, że tatuś ją zostawił?

A może — tu ogarnęło mnie bolesne poczucie winy — płakała, bo nie karmiłam jej piersią. Pewnie nie chciała butelki. Wiem, na pewno jesteście wzburzeni, że nie karmiłam jej piersią. Pewnie myślicie, że jestem złą matką. Lecz dawno temu, zanim urodziłam dziecko, myślałam, że będzie mi wolno odzyskać swoje ciało po tym, jak wypożyczyłam je na dziewięć miesięcy. Wiedziałam, że gdy zostanę matką, moja dusza nie będzie już należała tylko do mnie, ale miałam nadzieję, że przynajmniej moje sutki będą należały do mnie. Wstyd powiedzieć — obawiałam się, że jeśli będę karmić piersią, zostanę ofiarą syndromu „skurczonych, płaskich, obwisłych cycków”.

Teraz, gdy byłam z moim cudownym maleństwem, tamte obawy dotyczące karmienia piersią wydawały się egoistyczne i mało ważne. Naprawdę wszystko zmienia się po urodzeniu dziecka. Nigdy nie sądziłam, że nadejdzie taki dzień, gdy przedłożę potrzeby kogoś innego ponad atrakcyjność moich cycków.

Więc gdyby moja maleńka nie przestała płakać, gotowa byłam powtórnie rozważyć opcję karmienia piersią. Jeśli to by ją uspokoiło, pogodziłabym się z popękkanymi, ciekącymi brodawkami, a także trzynastoletnimi urwisami, którzy próbowaliby zerknąć na moje balony w autobusie.

Judy, mała i ja przyjechałyśmy do domu. Weszłyśmy do środka i chociaż James powiedział mi już wcześniej, że się wyprowadza, nie byłam przygotowana na widok gołych półek w łazience, pustej szafy, ubiteków na regale z książkami.

To było okropne.

Powoli usiadłam na łóżku. Poduszka nadal miała jego zapach. Tak bardzo za nim tęskniłam.

— Nie mogę w to uwierzyć — załkałam. — On naprawdę odszedł.

Mała również zaczęła płakać, jakby tak samo jak ja wyczuła panującą w domu pustkę.

A była spokojna dopiero od pięciu minut.

Biedna Judy wyglądała na zupełnie bezradną. Nie wiedziała, którą z nas ma pocieszać.

Po chwili przestałam płakać i odwróciłam załzawioną twarz do Judy. Pod wpływem ogarniającego mnie żalu zupełnie opadłam z sił.

— Chodź — powiedziałam do niej. — Lepiej zacznę pakować rzeczy.

— Dobrze — szepnęła, wciąż kołysząc mnie i dziecko w objęciach.

Zaczęłam wrzucać do torby rzeczy, wszystko, co — jak sądziłam — będzie mi potrzebne. Chciałam zabrać wielką stertę jednorazowych pieluch, ale Judy kazała mi je zostawić.

— W Dublinie też można je kupić — wyjaśniła mi delikatnie. Włożyłam do środka butelki dla niemowląt, podgrzewacz z wymalowanym na

boku rysunkiem przedstawiającym krowę przeskakującą przez księżyc, smoczki, zabawki, grzechotki, śpioszki, maleńkie skarpetki wielkości pocztowych znaczków, wszystko, co przyszło mi do głowy dla tego biednego dzieciątka bez ojca.

Ponieważ byłam teraz matką samotnie wychowującą dziecko, czułam przemożną potrzebę wynagrodzenia maleństwu zaznanej krzywdy.

— Przepraszam cię, kochanie, pozbawiłam cię ojca, bo nie byłam wystarczająco mądra ani piękna, by go zatrzymać, ale wynagrodzę ci to, obsypując cię materialnymi dobrami.

Następnie poprosiłam Judy, by oddała mi jednak kilka pieluch.

— Po co? — spytała, przyciskając je do piersi.

— W samolocie może się nam przytrafić mała kraksa — odpowiedziałam, starając się wyrwać jej pieluchy.

— Czy w szpitalu nie dali ci podpasek? — Była wyraźnie zaskoczona.

— Nie chodzi o mnie, głupia, ale o małą. Chociaż, prawdę mówiąc, nie byłaby to wcale kraksa, prawda? Raczej wypadek przy pracy.

Niechętnie wydała mi trzy pieluchy.

— Słuchaj, nie możesz wciąż nazywać jej „mała” — rzekła Judy. — Będziesz musiała nadać jej imię.

— Teraz nie jestem w stanie o tym myśleć — odparłam, czując spływającą na mnie falę panicznego lęku.

— Co więc robiłaś przez ostatnie dziewięć miesięcy? — spytała zszokowana Judy. — Musiałaś zastanawiać się nad jakimiś imionami.

— Tak. — Moje usta zadrżały. — Ale rozważaliśmy to razem z Jamesem. Nie byłoby właściwe nadać jej jedno z tych imion.

Judy spojrzała na mnie trochę zła. Ale ja znowu byłam na krawędzi płaczu, więc nie powiedziała nic więcej.

Dla siebie nie zabrałam prawie nic, jeśli nie liczyć paru książek o niemowlakach. Po co mi to wszystko, pomyślałam, skoro moje życie i tak jest już skończone?

Poza tym i tak nic na mnie nie pasowało.

Otworzyłam swoją szafę i aż się cofnęłam — z takim obrzydzeniem spojrzały na mnie moje małe sukienki. Nie było wątpliwości. Musiały mnie obgadywać.

Niemal widziałam, jak trącają się łokciami i mówią: „Zobacz, jaka ona gruba. Czy naprawdę sądzi, że my, skromne dziesiątki, pomieścimy w sobie to o cztery rozmiary większe ciało? Nic dziwnego, że jej mąż zostawił ją dla innej”.

Wiedziałam, co sobie myślą.

„Przytyłaś. A zawsze mówiłaś, że do tego nie dopuścisz. Zawiodłaś nas i siebie samą też”.

„Przepraszam”, wyjaśniłam pokornie. „Schudnę. Wrócę do was, obiecuję. Gdy tylko będę mogła”.

Ich sceptycyzm był wręcz namacalny.

Miałam do wyboru: włożyć sukienkę ciążową lub dzinsy, które James zostawił w pośpiechu. Włożyłam je i ujrzałam w lustrze swoje otyłe ciało. Okropność! Wyglądałam tak, jakbym miała na sobie pękaty kombinezon maskotki Michelina. Albo też — co gorsza — wyglądałam, jakbym jeszcze była w ciąży,

Ostatnie kilka tygodni przed urodzeniem dziecka byłam naprawdę ogromna. Okrągła jak beczka. Jedyną rzecz, jaka na mnie pasowała, to zielona, wełniana sukienka, co w połączeniu z faktem, że z powodu bezsenności moja twarz ciągle była zielona, nadawało mi wygląd arbuza, który nałożył sobie pantofelki i trochę szminki.

A teraz, mimo że nie byłam już zielona, pod każdym innym względem nadal przypominałam arbuza, któremu przydałaby się kuracja tabletkami zawierającymi żelazo.

Co się ze mną działo? Gdzie się podziała prawdziwa Claire i jej życie?

Z ciężkim sercem zadzwoniłam po taksówkę.

Zabrzmiał dzwonek domofonu. Ostatni raz spojrzałam na dzienny pokój, na przetrzebione półki, wiszący na ścianie lśniący, nie używany interkom dla niemowląt (co za marnotrawstwo), stertę porzuconych pieluszek na podłodze.

Zamknęłam za sobą drzwi i dopiero wtedy zaczęłam płakać.

Mocno.

Tak, wiem. To mało subtelny symbolizm. Wybaczcie mi. Wtedy zdałam sobie sprawę, że czegoś mi brakuje.

— Boże — powiedziałam. — Moje pierścionki. — Wróciłam do mieszkania i zabrałam z sypialni zaręczynowy pierścionek i obrączkę. Leżały na toalecie przez ostatnie dwa miesiące, gdyż moje palce były takie grube i opuchnięte, że nie mogłam ich nosić. Teraz z trudnością na mnie pasowały.

— On nadal jest moim mężem — powiedziałam z przekorą do Judy. — Co oznacza, że nadal jestem jego żoną!

— Ja nic nie mówiłam — odparła z niewinną miną. Zjechałyśmy windą na dół, taszcząc torby i torebki, a także dwudniowe dziecko w specjalnym nosidełku.

I to jest właśnie kolejna rzecz, o której nikt mi nie mówił przed urodzeniem maleństwa. W podręcznikach powinno być napisane: „Mężowi nie wolno cię zostawić w ciągu kilku pierwszych miesięcy po urodzeniu dziecka, bo w przeciwnym razie wszystko będziesz musiała nosić sama”.

Judy wkładała wszystko do taksówki, podczas gdy ja z przerażeniem ujrzałam nadchodzącego ulicą męża Denise. Pewnie wracał z pracy do domu.

— Jezu — odezwałam się złowieszczo.

— Co się dzieje? — spytała zaalarmowana Judy. Po jej czerwonej od wysiłku twarzy spływały strużki potu.

— Mąż Denise — mruknęłam.

— I co z tego? — spytała głośno.

Oczekiwałam, że zaraz między mną i nim wywiąże się jakaś emocjonalna wymiana zdań. Jak już wspomniałam, był Włochem. Może obawiałam się, że zaproponuje mi jakieś przymierze? Coś w rodzaju „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”. A ja nie miałam na to ochoty.

Nasze spojrzenia spotkały się i wtedy wyczułam—obarczona wyrzutami sumienia — co on sobie myśli. „To wszystko twoja wina. Gdybyś była tak atrakcyjna jak moja Denise, mąż zostałby z tobą, a ja nadal miał-

bym szczęśliwe małżeństwo. Ale nie — ty musiałaś wszystko zniszczyć, gruba, obrzydliwa macioro".

„W porządku", pomyślałam. „To działa w obie strony".

Nieustraszenie patrzyłam mu w oczy.

„Gdybyś nie ożenił się z tą dziwką, rujnąjącą szczęśliwe domy, złodziejką cudzych mężów — odparłam w myślach na jego zarzuty — gdybyś ożenił się z porządną dziewczyną, żadne z nas nie znalazłoby się teraz w tej godnej pożałowania sytuacji".

Zapewne krzywdziłam tego biedaka. W ogóle się do mnie nie odezwał. Po prostu patrzył na mnie smutno i w pewien sposób oskarżycielsko.

Uściskałam Judy. Obie zalałyśmy się łzami. Dla odmiany tym razem moje małżeństwo nie płakało.

— Heathrow, pierwszy terminal — załkałam do kierowcy. Ruszyliśmy, a za nami został spoglądający ponuro pan Andrucetti.

Przedzierając się środkowym przejściem samolotu linii Aer Lingus, popychałam innych zirytowanych pasażerów moją torbą pełną niemowlęcych drobiazgów. Gdy wreszcie znalazłam swoje miejsce, jakiś mężczyzna wstał, by pomóc mi z podręcznym bagażem. W podziękowaniu obdarzyłam go uśmiechem i odruchowo pomyślałam, czy miał na mnie ochotę.

Okropne. To była jedna z tych rzeczy, które najbardziej podobały mi się w małżeństwie. Przez parę lat nie musiałam bujać się, aby poznać odpowiedniego mężczyznę, a potem dowiedzieć się, że jest już żonaty albo mieszka z innym facetem, jest patologicznie skąpy, czytuje Jeffreya Archera lub też może osiągnąć orgazm tylko wtedy, gdy mówi do mnie „mamusiu", albo ma jedną z tysiąca innych wad, które nie były widoczne na pierwszy rzut oka, gdy odczuwałam znajomy skurcz w żołądku, który nie miał absolutnie nic wspólnego z nie przepisanyymi przez lekarza lekami, jakie być może zażyłam wcześniej owego wieczoru i pomyślałam sobie: „Hej, może to właśnie on".

Teraz tamto znajome wrażenie powróciło w nowej sytuacji, gdy każdy mężczyzna stał się znowu potencjalnym przyjacielem. Wróciłam do

świata, w którym osiemset olśniewająco pięknych kobiet przypada na jednego heteroseksualnego faceta. I to zanim zaczniemy wykluczać tych najbrzydszych i najbardziej obrzydliwych.

Przyjrzałam się uważniej mężczyźnie, który mi pomógł. Nawet nie był atrakcyjny. Pewnie jakiś pedzio. A może raczej ksiądz, skoro znalazł się na pokładzie samolotu Irlandzkich Linii Lotniczych.

Co do mnie — opuszczonej żony z dwudniowym dzieckiem która miała o sobie opinię nie lepszą niż ameba (aż tak dobrą?) oczekiwała nadejścia depresji po rozstaniu z mężem, odznaczała się kilkunastokilogramową nadwagą i pochwą dziesięciokrotnie większą od normalnej—nie byłam najciekawszą z możliwych zdobyczy

Samolot wystartował i po chwili ujrzałam w dole zabudowania Londynu, którego ulice z każdą chwilą stawały się coraz mniejsze. Zostawiałam za sobą sześć lat swojego życia.

Czy tak właśnie czują się uchodźcy?

Gdzieś tam w dole został mój mąż, moje mieszkanie, przyjaciele, całe moje życie.

Byłam tam szczęśliwa.

A potem widok zakryły chmury.

Kolejny prymitywny symbolizm. Wybaczcie.

Siedziałam w fotelu, trzymając dziecko. Pewnie w oczach innych pasażerów wyglądałam jak normalna matka. Lecz wcale tak nie było, co boleśnie sobie uświadomiłam. Teraz byłam Opuszczoną Żoną. Kolejnym przypadkiem w statystyce.

W życiu odgrywałam już różne role. Byłam posłuszną córeczką, Claire, a także niepokorną córką. Byłam Claire studentką I ladcnicą (króciutko. Jak wspomniałam, jeśli starczy nam czasu, opowiem i o tym). Byłam Claire administratorką, żoną, a teraz byłam Claire opuszczoną żoną. I mówię wam — ta świadomość wcale nie podnosiła mnie na duchu.

Zawsze myślałam (mimo wyznawanego liberalizmu), że opuszczone żony to kobiety, które mieszkają w komunalnych blokach. Mężowie zostawili je, zatrzymawszy się tylko po to, by podbić im oko, zabierając wszystkie pieniądze, zostawiając je zapłakane, z mnóstwem nie opłaco-

nych rachunków, opowiadką dla otoczenia, jak to wpadły na zamknięte drzwi, a także czwórka małych, upośledzonych dzieci, samych urwisów.

Z pokorą doznałam olśnienia, że jednak się myliłam. Przecież lo ja byłam opuszczoną żoną. Ja, Claire, kobieta pochodząca z klasy średniej.

Może faktycznie byłoby to upokarzającym olśnieniem, gdybym nie czuła się zdradzona, zgorzkniała, po prostu wściekła. Kimże byłam? Tybetańskim mnichem? Matką Teresą, do cholery?!

Zabawne, ale użalając się nad sobą, rozumiałam jednak, że pewnego dnia, gdy to wszystko się skończy, stanę się lepszym człowiekiem, będę silniejsza, mądrzejsza, bardziej wrażliwa.

Ale chyba jeszcze nie teraz.

— Twój ojciec to drań — szepnęłam do maleństwa.

Pedziowaty ksiądz poruszył się gwałtownie.

Musiał usłyszeć moje słowa.

Po godzinie zaczęliśmy podchodzić do lądowania w Dublinie. Okrążaliśmy zielone pola na północ od miasta i chociaż maleńka nie mogła jeszcze niczego zobaczyć, uniosłam ją nieco wyżej, by ujrzeć po raz pierwszy Irlandię. Wyglądała zupełnie inaczej niż Londyn, który zostawiłyśmy za sobą. Spoglądając na błękit Morza Irlandzkiego, szarą mgiełkę ponad zielonymi polami, nigdy nie czułam się gorzej. Byłam strasznym nieudacznikiem.

Wyjechałam z Irlandii sześć lat temu, podniecona i pełna nadziei na przyszłość. Miałam znaleźć świetną pracę w Londynie, poznać wspaniałego faceta i odtąd żyć szczęśliwie. No i znalazłam świetną pracę, poznałam wspaniałego faceta i żyłam szczęśliwie — przynajmniej przez pewien czas — jednak wszystko; poszło nie tak jak trzeba i oto wracałam do Dublina z upokarzającym uczuciem *déjà vu*.

Ale zmieniła się jedna ważna rzecz.

Teraz miałam dziecko. Cudowne, śliczne, wspaniałe dziecko. Nie zamieniłabym tego na nic innego.

Pomocny ksiądz wydawał się zażenowany, gdy bezradnie płakałam. „Trudno”, pomyślałam. „Bądź sobie zażenowany. Jesteś facetem. Sam pewnie doprowadziłeś do płaczu wiele kobiet”.

Miewałam już dni, gdy myślałam bardziej rozsądnie.

Gdy tylko wylądowaliśmy, zwawo wysiadł z samolotu. Śpieszył się jak wszyscy diabli. Już nie zaproponował mi pomocy przy bagażu. Wcale nie miałam mu tego za złe.

Rozdział 3

A teraz do biura reklamacji bagażowych! Zawsze spada na mnie taki dopust Boży. Rozumiecie, co mam na myśli?

Niepokój pojawia się, gdy wchodzę do hali przylotów i staję przy taśmie bagażowej. Nagle uświadamiam sobie, że ci wszyscy mili, kulturalni ludzie, z którymi leciałam samolotem, zmienili się w antypatycznych złodziei bagażu. Że każdy z nich obserwuje taśmociąg w celu przywłaszczenia sobie moich toreb.

Stoję tam z podejrzliwym wyrazem twarzy. Jednym okiem zerkam na otwór, w którym pojawiają się bagaże, drugim łypię po kolei na wszystkich pasażerów, starając się dać im do zrozumienia, że przejrzałam ich nieczne plany. Że wybrali sobie złą ofiarę.

Zapewne sprawy miałyby się nieco inaczej, gdybym była osobą dobrze zorganizowaną, której udaje się zająć miejsce blisko początku taśmy. Zamiast tego zawsze ląduję na samym końcu, potem mrużąc oczy, staję na palcach, by dojrzeć, co pojawia się w otworze, a gdy wreszcie spostrzegam swoją torbę, tak się boję, że ktoś ją ukradnie, iż nie mogę ustać spokojnie i poczekać, aż powoli dojedzie do mnie na taśmie. Biegnę więc przez całą halę przylotów, by chwycić torbę, zanim uczyni to ktoś inny. Tyle że zwykle nie udaje mi się przedostać przez zwarty kordon wózków innych pasażerów. Tym sposobem moja torba majestatycznie mija mnie i okrąża halę kilka razy, nim wpada wreszcie w moje ręce. Koszmar!

Tym razem, o dziwo, udało mi się stanąć tuż przy otworze. Może inni ludzie starali się być dla mnie miłsi, ponieważ byłam z małym dzieckiem.

Wiedziałam, że mała się przyda.

Czekałam więc przy taśmie, usiłując zachować cierpliwość, szturchając się z pozostałymi pasażerami i uginając nogi za każdym razem, gdy ktoś z impetem wjechał mi od tyłu wózkami w łydki.

Nawiązałam kontakt wzrokowy z tyloma osobami, z iloma było to możliwe, w nadziei, że przekonam ich, by nie kradli moich toreb. Czyż nie takich właśnie rad udzielają kryminolodzy? Wiecie, o co mi chodzi. Jeśli zostaliście porwani, starajcie się zaprzyjaźnić z przestępcą. Patrzcie mu w oczy, aby zrozumiał, że jesteście ludźmi, a wtedy być może was nie zabije.

Jestem przekonana, że wiecie, o czym mówię.

Jednak nic się nie działo.

Oczy wszystkich były skupione na otworze w oczekiwaniu pojawienia się pierwszej walizki.

Nikt się nie odzywał, nawet nie śmiał oddychać. I nagle... rozległ się odgłos ruszającej taśmy!

Wspaniale!

Tyle że to nie nasza taśma została wprawiona w ruch. Z głośników zabrzmiał komunikat.

— Pasażerowie, którzy przybyli z Londynu lotem numer EI179, proszeni są o przejście do taśmy numer cztery po odbiór bagażu.

No proszę, a przez ostatnie dwadzieścia minut napis na tablicy znajdującej się nad taśmą numer dwa zapewniał nas, że właśnie tam pojawią się nasze walizki.

Wszyscy rzucili się we wskazane miejsce. Przepychali się, jakby od tego zależało ich życie. Tym razem nikt już nie zwracał uwagi na dziecko w moich ramionach.

Rezultat był taki, że znalazłam się na samym końcu taśmy numer cztery.

Przez chwilę wszystko było mniej więcej w porządku.

Nawet byłam spokojna.

Starłam się wyglądać na zadowoloną, gdy stojący wokół pasażerowie po kolei odbierali z taśmy swój bagaż.

Powiedziałam sobie, że przecież nikt zdrowy na umyśle nie ukradłby torby pełnej ubrań i butelek dla niemowląt.

Poza tym miałam pełne zaufanie do naziemnego personelu lotniska w Dublinie, że nie skierował moich bagaży do Darwin.

Albo na Marsa.

Lecz gdy na taśmie została jedynie torba kijów golfowych, które wyglądały tak, jakby znajdowały się tam od końca lat siedemdziesiątych, gdy przejechały koło mnie czternaście razy, gdy w hali przylotów zostałam sama z dzieckiem, a koło mnie zaczęły przelatywać zwinięte w kulki uschnięte lodygi pustynnych krzewów, nadszedł czas, by odczytać wiszące na ścianie informacje.

„Wiedziałam, że pewnego dnia mnie dopadną”, pomyślałam. Źle się czułam. „To była jedynie kwestia czasu. Założę się, że zrobiła to ta stara krowa z różańcem. Najgorsi są ci niepozorni”.

Zacząłam biegać w tę i z powrotem z dzieckiem na rękach, szukając jakiegoś pracownika.

— Proszę, proszę wejść — zaprosił mnie jeden z nich, gdy kręciłam się bezradnie przy drzwiach. — Jak możemy pani pomóc w to piękne, deszczowe irlandzkie popołudnie?

Zacząłam opowiadać o skradzionych torbach i nosidełku dla dziecka. Znowu niemal zanosłam się łzami. Czułam się taka biedna.

— Proszę się nie martwić — zapewnił mnie. — Nie zostały ukra-
dzione. Jedynie zaginęły. Znajdę je dla pani. Mam bezpośrednie połącze-
nie ze świętym Antonim.

W rzeczy samej po pięciu minutach wrócił z moim bagażem.

— Czy to pani, złociutka? — spytał. Zapewniłam go, że tak.

— I nie wybiera się pani do Bostonu?

— Nie wybieram się do Bostonu — potwierdziłam gładko.

— Na pewno? — rzekł z powątpiewaniem.

— Absolutnie.

— No cóż, ktoś jednak sądził, że wybiera się pani do Bostonu, ale
nieważne. Sprawa załatwiona. Może pani iść — zaśmiał się.

Podziękowałam i skierowałam się do wyjścia z napisem „Nic do
oclenia”.

Pędziłam, pchając przed sobą wózek, na którym spoczywało moje
dziecko i bagaż. Odczułam nieprzyjemny skurcz w sercu, gdy zatrzymał
mnie jeden z celników.

— Spokojnie — powiedział. — Przecież się nie pali. Ma pani coś do
oclenia?

— Nie.

— A co tu jest?

— Dziecko.

— Pani dziecko?

— Tak, moje.

Moje serce niemal przestało bić. Nie zawiadomiłam Jamesa o plano-
wanym wyjeździe. Czy domyślił się, że przybędę właśnie tutaj? Czy
zgłosił policji, że porwałam nasze dziecko? Czy wszystkie porty i lotni-
ska były pod obserwacją? Czy zabiorą mi dziecko? Deportują mnie?

Byłam przerażona.

— A więc nie ma pani nic do oclenia z wyjątkiem własnych genów
— zaśmiał się rubasznie.

— Tak, dobre — odparłam sztywno.

— Nasz pan Wilde miał genialne poczucie humoru — mówił dalej
celnik. — Wspaniały człowiek.

— Absolutnie — zgodziłam się. — Przestraszył mnie pan — dodałam z uśmiechem.

Przyjął oficjalną pozę.

— W porządku. — Mrugnął do mnie. — Tylko wykonuję swoją pracę.

Jak miło znowu znaleźć się w domu.

Rozdział 4

Wybiegłam do głównej hali. Po drugiej stronie barierki czekali na mnie rodzice. Wydawali się starsi i mniejsi, niż gdy widziałam; ich ostatni raz pół roku temu. Miałam wyrzuty sumienia. Oboje dobiegali sześćdziesiątki i martwili się o mnie od chwili, gdy przyszłam na świat. Po prawdzie to nawet wcześniej, gdyż byłam trzy tygodnie przenoszona. Myśleli, że czekam na komitet powitalny.

Słyszałam o ludziach, którzy spóźnili się na swój pogrzeb, ale ja miałam odczucie, że spóźniłam się na własne narodziny.

Potem martwili się o mnie, gdy w wieku sześciu tygodni dostałam kolki.

Gdy miałam dwa lata, przez cały rok nie chciałam jeść nic innego niż brzoskwinie z puszki. Martwili się o mnie, gdy miałam siedem lat i nie dawałam sobie rady w szkole. Martwili się, gdy w wieku ośmiu lat dobrze się uczyłam, ale nie miałam przyjaciół. Martwili się, gdy jako jedenastolatka złamałam nogę w kostce. Potem martwili się, gdy poszłam na szkolną dyskotekę i pijana zostałam przyprowadzona do domu przez jednego z nauczycieli. Wtedy miałam piętnaście lat. Martwili się, gdy jako osiemnastoletnia dziewczyna poszłam na studia, ale przez cały rok nie uczęszczałam na wykłady. Martwili się, gdy przed egzaminami nie opuszczałam żadnego wykładu, a potem gdy w wieku dwudziestu lat roz-

stałam się ze swoją pierwszą wielką miłością i przez dwa tygodnie zalewałam się łzami, leżąc w ciemnym pokoju. Martwili się też, kiedy porzuciłam dotychczasowe zajęcie i w wieku dwudziestu trzech lat wyjechałam do Londynu, by pracować jako kelnerka.

A teraz miałam prawie trzydzieści lat, męża i małe dziecko, I oni wciąż musieli martwić się o mnie. To nie fair, prawda? Właśnie gdy już odetchnęli z ulgą i pomyśleli: „Dzięki Bogu, znalazła sobie porządnego faceta, więc może pozwólmy, by od tej chwili on się o nią martwił, a my zajmijmy się martwieniem o jej cztery młodsze siostry”, ja miałam chęć odwrócić się i powiedzieć: „Przykro mi, kochani, fałszywy alarm, wróciłam, a moje obecne kłopoty są o wiele gorsze niż te, które były powodem waszych wcześniejszych zgryzot”.

Nic dziwnego, że wyglądali na przygaszonych.

— Bogu dzięki — powiedziała matka, gdy mnie zobaczyła. — Myśleliśmy, że nie zdążyłaś na samolot.

— Przepraszam — odpowiedziałam i znowu zalałam się łzami. Zaczęliśmy się wszyscy obejmować, przytulać, a rodzice popłakali się, gdy zobaczyli moje dziecko, a swoją pierwszą wnuczkę.

Będę musiała szybko nadać jej jakieś imię.

Pokonaliśmy labirynt, jakim był parking przy lotnisku w Dublinie. Straciliśmy nieco czasu, gdy ojciec próbował wyjechać bramką dla kierowców, którzy z góry opłacili parkowanie, podczas gdy on tego nie uczynił, więc stojące w kolejce za nami samochody musiały się cofnąć, abyśmy mogli wydostać się z bramki i wrócić na parking. Trochę się zdenerwował, podobnie zresztą jak jeden z pozostałych kierowców, ale nie zatrzymujemy się na tym epizodzie.

Gdy wreszcie wydostaliśmy się na ulicę, przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. To była dziwna sytuacja. Mama siedziała ze mną z tyłu i trzymała na rękach małą, kołysząc ją delikatnie. Szkoda, - że ja nie byłam już dzieckiem i mama nie mogła mnie tak przytulić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, abym poczuła się bezpiecznie.

— Więc miałaś pecha, że James się zmył — rzekł nagle ojciec.

— Tak, tato — odpowiedziałam przez łzy.

Ojciec po prawdzie nigdy nie lubił Jamesa. Jest jedynym mężczyzną w domu pełnym kobiet i tęskni za męskim towarzystwem, za kimś, z kim mógłby pogadać o futbolu i tym podobnych rzeczach. James nie grał w rugby, a poza tym—jak na gust ojca — zbyt dobrze znał się na gotowaniu. Nie miał znaczenia fakt, że ojciec wykonywał wszystkie prace w gospodarstwie domowym — gotowanie uznawał za typowo damskie zajęcie. Jednak ostatnie, czego pragnął, to widzieć mnie nieszczęśliwą.

— Posłuchaj, Claire — odezwał się głosem, jaki znałam już z przeszłości. Powie coś w rodzaju: „Zaraz wygłoszę przemowę dotyczącą kwestii emocjonalnych, chociaż nie przywykłem i nie lubię tego robić, jednak zrobić to należy i tak ma być”. — Jesteśmy twoją rodziną i kochamy cię, i tu zawsze będzie twój dom. Możesz zostać tu z dzieckiem, jak długo chcesz. My... oboje z matką wiemy, że jesteś nieszczęśliwa, i jeśli tylko możemy ci jakoś pomóc, po prostu nam powiedz. I... tak. — Przyspieszył z ulgą, że udało mu się dobrnąć do końca.

— Dziękuję, tato. — Znowu zaczęłam płakać. — Wiem o tym.

Byłam im ogromnie wdzięczna. To wspaniałe uczucie mieć i świadomość, że mnie kochają. Tylko nie mogło mi to zastąpić mężczyzny, który był moim przyjacielem od serca, kochankiem i jedyną opoką w tym strasznym świecie.

Wreszcie dojechaliśmy do domu. Wyglądał dokładnie tak samo. Niby dlaczego miałyby być inaczej? Życie — wbrew logice wydarzeń — toczy się dalej. I tak samo pachniał. Znajome, wspaniałe, uspokajające uczucie. Zanieśliśmy rzeczy na górę do pokoju, który dzieliłam z moją siostrą Margaret całe życie, aż do wyjazdu z Irlandii. (Margaret, lat dwadzieścia sześć, wysportowana, imprezowa, prowadząca higieniczny tryb życia, mieszkająca w Chicago, pracująca w firmie prawniczej, wyszła za jedynego chłopaka, jakiego miała w życiu). Pokój wyglądał naprawdę śmiesznie, bo nikt od dawna w nim nie mieszkał. Na podłodze wały się pokryte kurzem pantofle Margaret. W szafie nadal wisiały niektóre z jej ubrań. Wyglądało to na jakieś sanktuarium.

Rzuciłam torby na podłogę, ułożyłam maleństwo w nosidełku, na toalecie postawiłam podgrzewacz z obrazkiem krowy podskakującej przez księżyc, usiadłam na łóżku i zrzuciłam pantofle, po czym ułożyłam na półce swoje książki, a kosmetyczkę na nocnej szafce. Bardzo szybko moja sypialnia zaczęła przypominać chlewik.

Tak, poczułam się o wiele lepiej.

— Więc kto jest w domu? — spytałam mamę.

— No... teraz tylko my i ojciec. Helen jest na uczelni, wróci trochę później. A tylko Bóg jeden wie, gdzie jest Anna. Nie widziałam jej od wielu dni.

Anna i Helen to moje najmłodsze siostry. Tylko one mieszkały jeszcze w domu razem z rodzicami.

Mama siedziała przy mnie, gdy karmiłam małą. Zaczekałam, żeby jej się odbiło. Gdy położyłam ją spać, dalej siedziałyśmy z mamą w milczeniu obok siebie. Deszcz przestał padać, wyjrzało słońce. Przez otwarte okno do sypialni wpadał zapach mokrego ogrodu, a także szum poruszanych delikatnym wiatrem gałęzi drzew. Był spokojny lutowy wieczór.

— Zjesz coś? — spytała w końcu. Pokręciłam głową.

— Musisz jeść, zwłaszcza teraz, gdy masz opiekować się dzieckiem. Musisz być silna. Zrobić ci zupę?

Bezwiednie zadrżałam.

— Z torebki? — spytałam.

— Z torebki — potwierdziła łagodnie.

— Nie, mamó, naprawdę.

Może powinnam coś wyjaśnić. Umiejętność gotowania pojawiała się w naszej rodzinie co drugie pokolenie. Ja potrafiłam gotować, więc moja córka nie posiada tej umiejętności. Niech Bóg ma ją w opiece. Cóż to dla niej za start w dorosłe życie? Zgodnie z tą samą zasadą moja matka również nie umiała gotować. Ona i wyborne potrawy omijały się z daleka, ledwie na powitanie kiwając sobie głową.

Spływały na mnie koszmarne wspomnienia naszych rodzinnych obiadów. Czy już traciłam rozum? Po co wróciłam do domu? Naprawdę chciałam zagłodzić się na śmierć?

Następnym razem, gdy zechcecie szybko stracić na wadze (ze względu na dwutygodniowe wakacje w ciepłych krajach, wesela siostry, randkę z przystojniakiem z pracy), nie traćcie czasu na ćwiczenia grupowe, dietę cud albo specjalne papki z proszku. Po prostu zamieszkajcie w naszym domu na dwa tygodnie i nalegajcie, by moja mama gotowała dla was posiłki.

Mówię poważnie, jest sporo wolnego miejsca, możecie zamieszkać w pokoju Rachel. Po dwóch tygodniach zostaną z was skóra i kości, gdyż bez względu na to, jak bardzo będziecie głodne, i tak nie weźmiecie do ust niczego, co przygotowała moja mama.

Jestem zdumiona, że żadna z nas w dzieciństwie nie wylądowała w szpitalu z powodu niedożywienia. Oto przykład.

Moje siostry i mnie zawołano na kolację. Usiedliśmy do stołu i patrzyliśmy w milczeniu, z zapartym tchem na stojący przed nami talerz. W końcu jedna z nas odważyła się odezwać.

— Macie jakieś sugestie?

— Może to kurczak? — mówi z powątpiewaniem Margaret, ostrożnie wbijając w potrawę widelec.

— Nie, według mnie to kalafior — stwierdza Rachel, wegetarianka, po czym wybiega, żeby zwymiotować.

— Cokolwiek to jest, ja tego nie tknę — mówi Helen. — Najlepsze są płatki kukurydziane. Przynajmniej nie ma wątpliwości. — I odchodzi od stołu, by przynieść sobie miseczkę płatków.

Tak więc zanim moja mama zasiadła przy stole i powiedziała, co jest na talerzach („to zapiekane ziemniaki z kapustą, wy niewdzięcznice”), my byliśmy już w kuchni, szukając po szafkach czegoś nadającego się do jedzenia.

— Margaret — zazwyczaj wołała mama, wiedząc, że była to najbardziej posłuszna z jej córek. — Nawet nie spróbujesz?

A Margaret, jak na dobre dziecko przystało, grzecznie próbowała.

— No i co? — pytała mama, wstrzymując oddech.

— To się nie nadaje nawet dla psa — odpowiadała Margaret. Kolejną z jej zalet była szczerość, a także posłuszeństwo i odwaga.

Tak więc po kilku latach łzawych kolacji i płatkowych śniadań, matka — ku uldze wszystkich członków rodziny — zdecydowała się zrezygnować z gotowania.

Zatem gdy któraś z jej córek lub mąż mówili, że są głodni, w milczeniu brała ich za rękę, prowadziła do kuchni i mówiła: „Spójrz, oto lodówka pełna mrożonek”, po czym otwierała szeroko jej drzwi i namawiała, by przyjrzeć się leżącym na półkach delikatesom. Potem szła przez kuchnię z przyszłą kolacją i mówiła: „Niech żyje kuchenka mikrofalowa. Szczególnie radzę, abyście zaprzyjaźnili się z obydwoma tymi urządzeniami. Okazują się dla was bezcenne w walce z głodem w naszym domu”.

Teraz już rozumiecie, dlaczego tak niechętnie odniosłam się do propozycji zjedzenia zupy.

Jednak fakt, że mama nie gotowała i nie zajmowała się sprzątaniami, miał jedną ogromną zaletę — dysponowała mnóstwem czasu, który mogła poświęcić na naprawdę ważne życiowo sprawy. Średnio dziennie oglądała sześć odcinków telenoweli, a tygodniowo mogła przeczytać około czterech romansów, tak więc była w stanie udzielać swoim córkom dobrych rad dotyczących ich sercowych rozterek.

Znała się też na romantycznej tragedii.

Zwłaszcza australijskiej.

Na przykład była obecna, gdy Skip (syn z nieprawego łoża Brada i jakiejś pielęgniarki, z którą miał romans podczas pobytu w Wietnamie) ożenił się z Bronnie (przyrodnią siostrą Wayne'a i Scotta), a potem Bronnie zaszła w ciążę, a Skip zaczął romansować z Chrissie. Oczywiście Jeannie (pasierbica Chrissie) dowiedziała się o tym i przekazała wieść pani Goolagong (nie spokrewniona). Pani Goolagong odbyła rozmowę ze Skipem przy lunchu zakrapianym piwkiem w knajpce „Billy Can”, po czym okazało się, że Skip czuje się odsunięty z powodu ciąży, a Bronnie na okrągło mówi tylko o dziecku. Pani Goolagong uspokoiła go.

Skip zerwał z Chrissie, wrócił do Bronnie, która urodziła śliczru dziecko imieniem Shane, Chrissie zaś wraz ze swoim pseri Bruce'em — wróciła do prowincji Terytorium Północne. (Wydaj je mi się, że pani Gologong została potem zwolniona z „Billj Can” za to, że w czasie pracy zjadła wspomniany wcześniej lunc| i wypła piwo. Ale to już zupełnie inna historia). |

Siedziałyśmy w ogarniętym półmrokiem pokoju, wsłuchują! się w równy oddech dziecka.

— Jest śliczna — powiedziała mama.

— Tak — odparłam i zaczęłam cicho płakać.

— Co się stało? — spytała. :

— Nie wiem. Wydawało mi się, że wszystko jest w porządku że oboje z taką samą radością oczekujemy dziecka. Wiem, ciąża nie była łatwa. Ciągle źle się czułam, przytyłam, rzadko się kochaliśmy, ale sądziłam, że on to rozumie.

Moja mama była wspaniała. Oszczędziła mi bzdurnego wykładu o tym, że mężczyźni są... no... inni od nas. Mają... potrzeby... takie same jak zwierzęta. Nie obraziła mnie, zakładając, że James odszedł, bo nie kochaliśmy się, gdy byłam w ciąży.

— Co ja teraz zrobię? — spytałam, chociaż wiedziałam, że mama również, tak jak ja, nie zna odpowiedzi.

— Musisz przez to przejść. Tylko tyle ci pozostało. Nie próbuj doszukać się w tym jakiegoś sensu, bo zwariujesz. Jedynym człowiekiem, który może ci powiedzieć, dlaczego James odszedł, jest sam James, a jeśli nie chce z tobą rozmawiać, to go nie zmusisz. Może on sam tego nie rozumie. Ale nie możesz zmienić jego uczuć. Jeśli twierdzi, że już cię nie kocha, natomiast kocha tamtą kobietę, musisz przyjąć to do wiadomości. Może wróci, może nie, lecz w każdym wypadku musisz przez to przejść i żyć dalej.

— Ale to takie bolesne — rzekłam bezradnie.

— Wiem. — W jej głosie zawdzięczał smutek. — Gdybym tylko umiała ci ulżyć, zrobiłabym to. Wiesz przecież.

Spojrzałam na moją śpiącą córeczkę, tak teraz spokojną, niewinną, bezpieczną i szczęśliwą, i ogarnęła mnie trudna do opisu boleść. Pragnęłam, aby zawsze była szczęśliwa, pragnęłam przytulać ją, ścisnąć, obejmować i nigdy nie wypuścić z rąk. Chciałam, by nigdy nie została odrzucona, nie odczuła samotności i nie przeżyła szoku, jaki teraz był moim udziałem.

Chciałam ją zawsze chronić przed cierpieniem, ale to mi się nie udało. Samo życie się o to postara.

W tym momencie otworzyły się drzwi, odrywając nas od ponurych myśli. Była to moja najmłodsza siostra, Helen. (Helen, lot osiemnaście, ledwo dostała się na studia, by zająć się bardzo pożyteczną dziedziną, jaką jest antropologia, historia sztuki oraz Język starogrecki. Czarne włosy, skośne, kocie oczy, zawsze Uśmiechnięta, niesforna i uwielbiana przez wszystkich, zwłaszcza mężczyzn, których serca nagminnie łamała. Myślałam, że wyrażenie „waleczna jak lwica” stworzono specjalnie dla niej).

— Jesteś! — zawołała, wpadając do pokoju. — Daj mi popatrzeć na moją siostrzenicę — zapiszczała. — Super! I pomyśleć, że jestem ciocią. Bardzo cię bolało? Czy to naprawdę przypomina sranie na łóżko? Powiedz, zawsze chciałam to wiedzieć, po co w czasie porodu zagotowują wrzątek i drą prześcieradła?

Nie czekając na odpowiedź, wsunęła głowę do nosidełka. Przerazone dziecko zaczęło płakać. Helen podniosła je i wsadziła sobie pod pachę, niczym rugbista piłkę.

— Dlaczego ona płacze? — spytała niecierpliwie. Co mogłam powiedzieć?

— Jak ma na imię?

— Claire jeszcze nie zdecydowała się na imię—odparła mama.

— Nieprawda — rzekłam, by jeszcze bardziej zagmatwać sytuację. Spojrzałam na mamę. — Zdecydowałam, że nazwę ją po twojej matce.

— Co? — zaskrzeczała wystraszona Helen. — Przecież nie możesz jej nazywać „babcia Maguire”. To się nie nadaje dla małego dziecka.

— Nie, Helen. Nadam jej imię Kate.

Przyglądała mi się przez chwilę, marszcząc śliczny nosek, aż wreszcie zrozumiała.

LPR

— Wszystko jasne — roześmiała się. A potem dodała cicho, lecz słyszalnie: — To imię też nie nadaje się dla dziecka.

Oddała mi małą w taki sposób, w jaki rolnicy rzucają sklepikarzom worki kartofli z ciężarówki. A więc niezręcznie, nie dbając o wygodę kartofli. Potem — ku mojemu przerażeniu — spytała:

— Hej, jest tu James? Gdzie on się podziewa? Widocznie o niczym nie wiedziała. Zaczęłam płakać.

— Boże — powiedziała zaszokowana. — Dlaczego ona płacze? — Spojrzała na mamę.

Ta jedynie patrzyła na Helen w milczeniu. Nie potrafiła odpowiedzieć.

Uwierzycie? Też płakała.

Zdumiona Helen spoglądała z niesmakiem na trzy pokolenia płaczących kobiet z rodziny Walshów.

— Co się z wami dzieje? Co ja takiego powiedziałam? Mamo czemu płaczesz?

Patrzyłyśmy na nią, siedząc objęte na łóżku i oblewając się łzami. Ochrzczona przed chwilą Kate ryczała na całe gardło.

— Co się dzieje? — spytała zdenerwowana Helen. Mimo to my nadal siedziałyśmy w milczeniu.

— Pójdę na dół spytać ojca — zagroziła. Zatrzymała się jednak przy drzwiach i z namysłem przygryzła wargę. — Chyba że on też zacznie płakać.

W końcu mama przerwała milczenie.

— Nie idź nigdzie, kochanie. — Wyciągnęła rękę do Helen — Usiądź. Nic złego nie zrobiłaś.

— Więc dlaczego płaczecie? — spytała Helen, niechętnie podchodząc do łóżka.

— No właśnie, dlaczego płaczesz? — odezwałam się do matki. W takim samym stopniu jak Helen byłam ciekawa, dlaczego płacze. Czy zostawił ją mąż? A może miała mokrą pieluchę?

Nie sądzę, więc skąd te łzy?

— Bo właśnie pomyślałam o babci. — Pociągnęła nosem. — O tym, że nie dożyła tej chwili, by ujrzeć swoją pierwszą prawnuczkę. Cudownie, że nazwałaś dziecko jej imieniem. Byłaby szczęśliwa. I zaszczycona.

Poczułam się winna. Przynajmniej moja mama jeszcze żyje, a przecież babcia zmarła w zeszłym roku, pogrążając nas wszystkich w wielkim smutku. Objęłam mamę i małą Kate. Obie płakały.

— Szkoda — rzekła posepnie Helen.

— Co szkoda? — spytałam.

— No wiesz, że babcia nie miała jakiegoś fajnego imienia, na przykład Tamsin, Isolda albo Jet.

Nie wiem, dlaczego w tamtym momencie jej nie zabiłam. Z jakiegoś powodu nie chciałam się z nią wadzić.

— A ty dlaczego płaczesz? — skierowała swoją uwagę na mnie. — Boże, już wiem, pewnie cierpisz na depresję poporodową. Czytałam kiedyś o kobiecie, która to miała i wyrzuciła swoje dziecko przez okno z dwunastego piętra, a gdy przyjechała policja, nie chciała otworzyć drzwi, więc musieli je wyłamać, a ona od paru tygodni nie wyrzucała śmieci, mieszkanie było w oplakany stanie, a ona próbowała się zabić, więc musieli wsadzić ją na krzesło elektryczne czy coś takiego — powiedziała z wyraźnym upodobaniem.

Nigdy nie pozwalała, by jakieś denerwujące drobiazgi, jak na przykład życiowe dramaty, popsuły przyjemność opowiedzenia krwawej historii.

— A może ją zamknęli lub coś takiego — przyznała niechętnie. — Wszystko jedno, co się z tobą dzieje? — spytała wesoło, nie tracąc dobrego humoru. — Przecież nie mieszkamy na dwunastym piętrze, prawda, mamó? W przeciwnym razie na chodniku przed domem leżałoby rozbryzgnięte dziecko. A Michael wściekałby się z powodu dodatkowego sprzątnia.

Michael był złośliwym, leniwym i przesadnym osiemdziesięcioletnim staruszką, który przychodził dwa razy w miesiącu, by w swój naukowy sposób pielegnować nasz mikroskopijny ogródek. Gniew Michaela to był straszny widok. Podobnie jak jego praca w ogródku,

oczywiście jeśli w ogóle cokolwiek tam robił. Mój ojciec za bardzo się go bał, żeby podziękować mu za dalszą współpracę. Prawdą jest, że cała nasza rodzina obawiała się Michaela. W jego towarzystwie cichła nawet pyskata Helen.

Przypomniałam sobie, jak w zeszłym roku moja biedna mama drżała z zimna w ogródku, ubrana jedynie w fartuszek (który nosiła wyłącznie dla fasonu). Z wymuszonym uśmiechem, kiwając głową, słuchała, jak Michael szczegółowo wyjaśniał — przy akompaniamencie nieartykułowanych chrząknięć, pomagając sobie zamaszystymi gestami ręki uzbrojonej w nożyce — że gdy żywopłot zostanie przycięty, wówczas runie cała ściana. („Ona potrzebuje żywopłotu na wsparcie, paniusia rozumie”). Matka bała się odejść. Albo też opowiadał, że jeśli skosić trawnik, to cała trawa zwiędnie i zgnije. („Zarazki wejdą do trawy przez ucięte końcówki, a potem wszystko umiera”).

Matka w końcu wróciła do kuchni i ze łzami w oczach, pobrzękując ze złości naczyniami, zagotowała wodę na herbatę dla Michaela.

— Leniwy drań — zapłakała matka. — Nigdy nic nie robi. Przez niego straciłam odcinek *Latającego doktora* i *Odliczanki*. A trawa wysoka już do kolan. Tak mi wstyd przed sąsiadami. W całej okolicy tylko nasz ogródek wygląda jak zarośnięta dżungla. Mam ochotę napluć mu do herbaty.

Zachlipała w milczeniu.

— Niech Bóg mi wybaczy — zadrżała. — Helen, zostaw w spokoju te ciasteczka. To na podwieczorek dla Michaela.

— Dlaczego kupujesz mu luksusowe ciasteczka, skoro go nienawidzisz, a my dostajemy te okropne dietetyczne herbatniki? — spytała głośno Helen.

„Ma rację”, pomyślałam.

— Ciii — powiedziała mama. — Usłyszysz cię.

W tym momencie Michael znajdował się przy tylnym wejściu, gdzie zdejmował swoje nieskazitelnie czyste kalosze. Można było jeść z nich kolację.

— To znaczy, mamó — podjęła gderliwie Helen — przecież nie czujesz do nas nienawiści, ale my nie dostajemy pysznych ciasteczek, za to Michaela nienawidzisz (te ostatnie słowa wyrzuciła z siebie szczególnie głośno, odwracając głowę w kierunku tylnych drzwi), a on dostaje wszystko, co najlepsze. O, witaj, Michael, poczęstuj się ciastkiem. — Uśmiechnęła się do niego, gdy wszedł do kuchni, utykając i ostentacyjnie trzymając się za plecy, jakby bolały go od ciężkiej pracy.

— Bry wieczór — chrząknął, spoglądając na mnie podejrzliwie. Na pewno myślał, że to ja mówiłam o nim w taki sposób. Helen z taką niewinną twarzą aniołka nikt nigdy nie podejrzewał.

Głupcy.

— Czy nalać panu herbaty? — spytała uniżenie mama. Jednak później tego samego wieczoru usłyszałam, jak rodzice kłócą się w kuchni.

— Musisz mu Coś powiedzieć — powiedziała matka.

— Mary... sam skoszę tę trawę.

— Nie, Jack, on powinien to zrobić, bo za to mu płacimy. Opowiada mi jakieś bzdury o zarazkach niszczących trawę. Pewnie uważa mnie za kompletną idiotkę.

— No dobrze już, dobrze. Porozmawiam z nim.

— A może powinniśmy po prostu zalać wszystko betonem? I wtedy będziemy musieli go wyrzucić.

Jednak ojciec nigdy nie „porozmawiał” z Michaeliem. Wiem, że sam skosił trawę w dniu, gdy mama wyjechała do Limerick, żeby odwiedzić ciocię Kitty, potem zaś okłamał ją w żywe oczy.

A Helen od czasu do czasu pytała matkę, czy kupi jej te pyszne ciasteczka, jeśli obieca, że nigdy nie skosi trawy.

Miała rację. Gdyby dziecko faktycznie „rozbryzgło się” (czy jest takie słowo?) w ogródku, Michael zgotowałby nam piekło.

Ale nic takiego się nie stanie.

Chociaż... jeśli wkrótce Kate nie przestanie płakać, będę musiała to rozważyć.

— Nie, Helen — wyjaśniłam jej. — Nie mam depresji poporodowej. W każdym razie jeszcze nie.

Jezu! Jeszcze tego mi brakowało..

Lecz zanim zdążyłam jej powiedzieć o odejściu Jamesa, do sypialni wszedł ojciec.

LPR

Trzeba będzie wynieść część mebli na korytarz, bo w sypialni zaraz zabraknie dla wszystkich miejsca.

— Hijack — zawołałyśmy chórem.

Ojciec przyjął pozdrowienie uśmiechem i ukłonem. Widzicie, ojciec ma na imię Jack, a pewnego razu wujek z Ameryki powitał go słowami „Hi, Jack” (na początku lat siedemdziesiątych „hijack” — czyli porwania samolotów — były na porządku dziennym, lecz od tamtej pory ich miejsce na pierwszych stronach gazet zajęła przemoc wobec dzieci). Ja i moje siostry niemal umarłyśmy ze śmiechu. To powiedzenie zawsze wywoływało uśmiech na naszych twarzach.

Myślę, że powinniście ujrzeć to na własne oczy.

— Przyszedłem zobaczyć moją pierwszą wnuczkę — powiedział ojciec. — Mogę ją wziąć na ręce?

Podaliśmy mu Kate, a on ujął ją fachowo. Od razu przestała płakać. Leżała spokojnie na jego rękach, zaciskając i prostując maleńkie piąstki.

„Tak jak jej matka”, pomyślałam. „Mężczyzna może zrobić z nią wszystko”.

Powinnam zniszczyć to w zarodku. Dziewczyno, nabierz szacunku do samej siebie! Nie potrzebujesz faceta do szczęścia! Co druga matka czyta swojej córeczce bajki o gadających maszynach, wilkach i Czerwonych Kapturkach, a ja postanowiłam, że będę jej czytać feministyczne diatryby.

Koniec z *Małą syrenką*. Jej miejsce zajmuje *Żeński eunuch*.

— Kiedy nadasz jej imię? — spytał ojciec.

— Właśnie to zrobiłam. Nazwałam ją po babci.

— Cudownie — promieniał ojciec. — Witaj, maleńka Noro — powiedział śpiewnie i pieszczotliwie do różowego becika.

Helen, mama i ja wymieniliśmy zdumione spojrzenia. To nie o tę babcie chodziło!

— Nie, tato — odezwałam się niezręcznie. — Nazwałam ją Kate.

— Ale przecież moja matka nie ma na imię Kate. — Zmarszczył czoło.

— Wiem, tato. — (Boże, dlaczego życie jest tak naszpikowane pułapkami?) — Ale nadałam jej imię po babci Maguire, nie po babci Walsh.

— Aha, rozumiem — odparł nieco zmrożony.

— Ale na drugie imię dam jej Nora — obiecałam solennie.

— Nie ma mowy! — przerwała Helen. — Nazwij ją jakoś ładniej. No wiesz! Może Elena? To grecki odpowiednik Helen.

— Przestań, Helen — upomniała ją mama. — To dziecko Claire.

— Zawsze mówiłaś nam, że powinniśmy dzielić się wszystkimi zabawkami — dąsała się Helen.

— Kate to nie zabawka — westchnęła mama. Helen naprawdę stawiała się nie do zniesienia.

Jednak ponieważ nie potrafiła dłużej skoncentrować się na jednej rzeczy, szybko zmieniła temat.

— Tato, możesz mnie podwieźć do Lindy?

— Nie jestem szoferem — odparł ojciec przez zaciśnięte zęby.

— Tato, nie pytałam, w jakim charakterze pracujesz, bo wiem, co robisz zawodowo. Poprosiłam cię tylko o podwiezienie — powiedziała bardzo rzeczowo i spokojnie.

— Nie, Helen, możesz iść na piechotę! — wykrzyknął. — Nie wiem, co z wami, młodymi, się dzieje. Totalne lenistwo. Kiedy ja byłem...

— Tato — przerwała mu ostro. — Proszę, nie opowiadaj mi, jak musiałeś chodzić piechotą pięć kilometrów na bosaka do szkoły. Nie zniosłabym tego. Po prostu podwieź mnie.—Uśmiechnęła się do niego jak kotka, spod długiej, czarnej grzywki.

Przez chwilę patrzył na nią rozgniewany, po czym zaczął się śmiać.

— No dobrze — rzekł, pobrząkując kluczykami. — Chodź. Oddał mi Kate.

Zrobił to tak, jak należy postępować z dzieckiem.

— Dobranocka, Kate Nora — powiedział, kładąc przesadny nacisk na imię „Nora”. Chyba nie do końca mi wybaczył.

Wyszedł razem z Helen.

Mama, Kate Nora i ja pozostałyśmy na łóżku, rozkoszując się ciszą, jaka nastąpiła po odejściu Helen.

— To była twoja pierwsza lekcja — odezwałam się poważnie do córki — jak traktować mężczyznę, a dowiedziałaś się tego dzięki swojej cioci Helen. Mam nadzieję, że pilnie uważałaś. Traktuj ich jak niewolników, a wtedy oni będą się zachowywać jak niewolnicy.

Kate patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

Mama po prostu uśmiechała się tajemniczo.

Filistersko, z politowaniem.

Znaczącym uśmiechem.

Był to uśmiech kobiety, której mąż odkurzał mieszkanie od piętnastu lat.

Rozdział 5

A więc do łóżka.

Dziwnie się czułam w łóżku, w którym spałam przez całe dzieciństwo. Myślałam, że tamte dni bezpowrotnie minęły. Déjà vu.

Wcale mi to nie było potrzebne.

To dziwne uczucie, gdy dostałam na dobranoc buziaka od mamy, podczas gdy moje własne dziecko leżało tuż obok.

Byłam matką, lecz nawet bez pomocy Zygmunta Freuda rozumiałam, że sama czuję się również jak dziecko.

Kate patrzyła na sufit szeroko otwartymi oczami. Zapewne wciąż była w szoku po spotkaniu z Helen. Wzbudzała we mnie pewien niepokój, lecz ku własnemu zdziwieniu stwierdziłam, że ogarnia mnie zmęczenie. Szybko zasnęłam, chociaż wcześniej byłam pewna, że wcale nie będę spać.

Nigdy.

Kate delikatnie obudziła mnie około drugiej w nocy, wrzeszcząc z siłą miliona decybeli. Ciekawe, czy w ogóle zasnęła. Nakarmiłam ją i wróciłam do łóżka.

Znowu zasnęłam, lecz po paru godzinach ponownie zerwałam się przerażona. Przerazenie to nie miało nic wspólnego z kwiecistymi wzorami na tapecie, narzutą na kołdrze, zasłonami ani z faktem, że prawie nic nie widziałam w ciemnym pokoju.

Przerażała mnie świadomość, że jestem w Dublinie, a nie w swoim londyńskim mieszkaniu u boku ukochanego Jamesa.

Spojrzałam na zegar, który pokazywał (tak, odgadliście) czwartą rano. Powinam znaleźć pociechę w fakcie, że mniej więcej jedna czwarta ludzi na świecie mieszkających w tej samej strefie czasowej również obudziła się o tej samej porze i spoglądając żałośnie w ciemność, poddawała się niewesołym myślom, począwszy od: „Czy zwolnią mnie z pracy?“, a na „Czy poznam kiedyś kogoś, kto mnie pokocha?“ i „Czy jestem w ciąży?“ skończywszy.

Jednakże ta myśl wcale mnie nie pocieszyła.

Bo czułam się tak, jakbym była w piekle.

A porównanie tego do cudzego piekła wcale nie przynosiło ulgi w moim bólu.

Wybaczcie, że jestem taka okrutna, ale jeśli ktoś odcina ci nogę zarzewiałą piłą, nie obchodzi cię los znajdującego się w sąsiedniej celi człowieka, którego oprawcy przybijają gwoździami do stołu.

Usiadłam na łóżku.

Kate spała spokojnie w różowym nosidełku.

Byłyśmy jak nocni strażnicy. Na przemian przejmowałyśmy wartę. W każdej chwili przynajmniej jedna z nas nie spała.

Na tym jednak podobieństwo się skończyło, gdyż nie mogłam powiedzieć — przynajmniej z pewną dozą szczerości — „Wybiła czwarta, wszystko w porządku“.

Poczułam bolesny skurcz w żołądku. Nie mogłam uwierzyć, że jestem w Dublinie, w domu moich rodziców, nie zaś z mężem w swoim londyńskim mieszkaniu. Stwierdziłam, że widocznie straciłam rozum,

skoro zdecydowałam się wyjechać z Londynu i zostawić Jamesa innej kobiecie. Po prostu porzuciłam go!

Czy kompletnie mi odbiło? Musiałam wrócić, walczyć o niego! Odzyskać go!

Jakim sposobem wylądowałam właśnie tutaj?

Pomyliłam drogę i znalazłam się w równoległym wszechświecie, gdzie wszystko dookoła przypominało moje dotychczasowe życie, lecz było okropne, ponure i złowrogie.

Ja nie mogłam żyć bez Jamesa.

Był częścią mnie.

Gdyby odpadła mi ręka, nie powiedziałabym: „Niech tak zostanie na jakiś czas. Jeśli ma wrócić i tak wróci. Nic na siłę, bo może się jeszcze bardziej oddalić”. Przecież to moja ręka, a James był częścią mnie w znacznie większym stopniu niż jakaś stara kończyna.

Potrzebowałam go znacznie bardziej.

Znacznie bardziej go kochałam.

Po prostu nie mogłam bez niego żyć.

Pragnęłam, by wrócił, byśmy znowu żyli razem. I zamierzałam do tego doprowadzić.

Ogarnęła mnie panika.

A może jest już za późno?

Nie powinnam była wyjeżdżać.

Powinnam zostać i po prostu powiedzieć mu, że moglibyśmy wspólnie popracować nad naszym związkiem. Że na pewno nie kocha tej Denise, tylko mnie. Że jestem mu tak bliska, że musi mnie kochać.

Ja jednak przyznałam się do porażki i bez słowa protestu wepchnęłam go prosto w poorane przez cellulit (to prawda!) ramiona Denise.

Musiałam z nim porozmawiać.

Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli zadzwonię o czwartej nad ranem. Przecież mówimy tu o Jamesie. Był moim najlepszym przyjacielem. Mogłam zrobić wszystko, a on i tak by to zaakceptował. Rozumiał mnie. I dobrze mnie znał.

A rano wróciłabym razem z Kate do Londynu i moje życie ustabilizowałyby się.

Zapomnimy o ostatnim tygodniu. Ta przerwa w naszych życiorysach zablizni się i nie pozostanie po niej najmniejszy ślad. No, chyba że ktoś spojrzy przez lupę.

Wszystko da się wyprostować i naprawić. Wszystko wróci do normy, tak jak powinno być.

To ogromna pomyłka, głupie nieporozumienie, ale nie stało się jeszcze nic strasznego.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy, prawda?

Wiem, co sobie myślicie.

Naprawdę wiem.

Myślicie: „Ona zwariowała”.

Być może zwariowałam. Może byłam obłąkana z powodu przeogromnego żalu.

Myślicie sobie: „Claire, trochę godności”.

Obawiam się jednak, że wówczas moje małżeństwo znaczyło dla mnie więcej niż własna godność. Godność nie daje ci ciepła w nocy, nie wysłucha cię pod koniec każdego dnia, nie powie, że woli kochać się z tobą niż z Cindy Crawford.

To nie był jakiś szkolny romans, który nie wypalił. On nie poprosił innej koleżanki na potańcówkę. Nie chodziło tu o romans, lecz o prawdziwą miłość.

Kochałam Jamesa. Był częścią mnie. Nie mogłam tego po prostu zostawić, bo miałam zbyt wiele do stracenia.

Gdyby nawet kapitan szkolnej drużyny futbolowej zaprosił mnie na tańce, gdybym w pięknej sukni nosiła wysoko głowę i ocaliła swoją dumę — nie miałyby to znaczenia. I tak musiałam odzyskać Jamesa.

Wygramoliłam się z łóżka, niezdarnie poruszając się w długiej nocnej koszuli, której włożenie wymusiła na mnie mama. Opuszczając Londyn, zapomniałam spakować koszulę nocną, a gdy dowiedziała się o tym moja matka, oznajmiła mi słodko, że w jej domu nikt nie będzie spać nago. „A co w razie pożaru?”, spytała. Albo: „Być może tak się robi w

Londynie, ale tu nie Londyn". Miałam więc do wyboru: włożyć piżamę ojca lub pożyczyć od matki jedną z jej ogromnych, wiktoriańskich, długich do ziemi nocnych

koszul z wysoką stójką i na wełnianej podszewce. Nie byłam w stanie pojąć, jakim sposobem mężczyzna mógł się dostać do, tak odzianej kobiety chociaż raz, a co dopiero mówić o pięciu udanych próbach.

Taka koszula przygasiłaby nawet zapal włoskiego kochanka. Zanim zdołałby pokonać przeszkodę w postaci kilku tam metrów materiału i obnażyć nieco ciała, byłby już tak zmęczony, że nie miałby ochoty cokolwiek z nim zrobić.

Wybrałam jednak nocną koszulę, gdyż dzięki dużej ilości tkaniny czułam się bezpieczna, mała, chudziutka. A piżama ojca była niepokojąco przytulna.

Pomyślałam, że wszystkie uczucia są względne. Nie miałam racji, uważając się za otyłą. Wcale nie byłam gruba. Miałam normalną figurę, po prostu reszta świata była za mała. Nie było potrzeby, abym się zmieniła, musiałam tylko zmienić otaczający mnie świat. Żeby wszystko wokół mnie stało się o piętnaście procent większe — ubrania, meble, ludzie, domy, państwa — a wtedy nagle okaże się, że mam idealne wymiary!

Albo o dwadzieścia procent. Wtedy poczuje się pozytywnie delikatna.

Zdałam sobie sprawę, że wszystko jest kwestią odpowiednich proporcji.

Wszystko było dobre lub złe, grube lub chude, duże lub małe jedynie w porównaniu z otoczeniem.

Więc zachowajcie dla siebie swoje błyskotliwe komentarze dotyczące mojej nocnej koszuli. W moim szaleństwie była metoda (przynajmniej w tym konkretnym jego aspekcie). Wiedziałam, co robię. Czułam się wyniszczona. Chuda, lekka, dziewczęca.

Po dziesięciu minutach udało mi się wydostać z łóżka i stanąć na podłodze. Niemal udusiłam się, stając na rąbku koszuli, przez co pociągnięty gwałtownie kołnierz wbił się w moje gardło i zacisnął niczym imadło.

Kaszlałam i dławiłam się, a tymczasem Kate zaczęła się ruszać nie-
spokojnie.

„Nie rozbudzaj się, kochanie”, pomyślałam z przerażeniem.

LR

— Nie płacz. Nie ma powodu. Wszystko będzie dobrze. Odzyskam dla ciebie twojego tatę. Zobaczysz.

O dziwo uspokoiła się i spała dalej. Na palcach wyszłam z sypialni. Ogromna koszula przyjemnie powiewała wokół mnie, gdy schodziłam po nie oświetlonych schodach. Telefon był na dole w holu. Jedyne światło dochodziło z ulicznej latarni i przenikało przez matową szybę frontowych drzwi.

Zaczełam wybierać numer mojego mieszkania w Londynie. Odgłos naciskanych klawiszy rozchodził się echem po całym domu, w nocnej ciszy brzmiał niczym wystrzały z dubeltówki. „Jezu”, pomyślałam. „McLoughlinowie, mieszkający trzy domy dalej, zaraz przybiegną ze skargą na hałas”.

W słuchawce rozległy się dwa ciche kliknięcia, gdy telefon w Dublinie łączył się z telefonem w odległym o sześćset kilometrów pustym mieszkaniu.

Pozwoliłam, by dzwonił. Może ze sto razy. Może nawet tysiąc.

Dzwonił i dzwonił w zimnym, pustym mieszkaniu. Mogłam go sobie wyobrazić, jak tak sobie dzwoni, stojąc obok gładkiego łóżka, w którym nikt nie spał, jak przez okno padają nań uliczne światła. Zastłony były rozsunięte, bo nie było nikogo, kto by je zasunął.

A jednak pozwoliłam, by dzwonił bez końca. I powoli opuszczała mnie nadzieja. James nie odbierał. Bo Jamesa tam nie było.

James był w innym mieszkaniu. W innym łóżku. Z inną kobietą.

To było idiotyczne uważać, że mogę go odzyskać tylko dlatego, że mam takie pragnienie. Musiałam stracić rozum, gdy starałam się zignorować fakt, że mieszkał z inną kobietą. Przecież mnie opuścił, do jasnej cholery! Powiedział mi, że kocha inną.

Powoli wracał mi rozsądek.

Przedtem zapukała do mych drzwi Niepoczytalność, a ja zawołałam: „Otwarte, proszę wejść”. Na szczęście nieoczekiwanie zjawił się Rozsądek i ujrzał, jak Chwilowa Niepoczytalność swobodnie penetruje zakamarki mojego umysłu, wchodzi do każdej komórki, otwiera sobie szufladki, czyta moje listy, zagląda do szafki, w której trzymam majtki i tak

dalej. Rozsadek odszukał Poczytalność, a po krótkiej szarpaninie oboje wyrzucił, Niepoczytalność i zatrzasnęli za nią drzwi. Teraz leżała na zwirowym podjeździe, dysząc ciężko i krzycząc: „Ona mnie zaprosiła. Chciała, abym do niej przyszła”.

Rozsadek i Poczytalność wychyliły się z okna na piętrze „Uciekaj! Jazda stąd! Nikt cię tu nie chce. Jeśli się nie wyniesiesz w ciągu pięciu minut, wezwiemy policję z wydziału do spraw emocji”.

Chyba każdy szanujący się psychiatra stwierdziłby, że działałam przeciwko sobie. Że szok wywołany tak nagłym odejściem Jamesa okazał się dla mnie zbyt wielki. Że nie mogłam go zaakceptować ani sobie z nim poradzić. Łatwiej było mi udawać że nic złego się nie stało, a może jeśli będę udawać, że wszystko da się jeszcze naprawić, tak się naprawdę stanie.

Usiadłam na podłodze w zimnym, ciemnym holu. Po dłuższe chwili odłożyłam telefon.

Moje bijące w szaleńczym tempie serce uspokoiło się. Ustąpiło drżenie rąk. Głowa przestała udawać i fantazjować.

Nie wrócę rano do Londynu.

Teraz moje życie jest tutaj. Przynajmniej na razie.

Czułam się fatalnie.

Tak się cieszyłam na myśl, że porozmawiam z Jamesem i wszystko wróci do normy, a teraz ogarnął mnie największy smutek, jakiego doznałam w życiu. Smutek tak ogromny, jak cały kontynent, głęboki jak Atlantyk, pusty jak mózg Helen.

Poczułam, że mam zimne stopy.

Było mi tak słabo, jakbym miała z tysiąc lat. Myślałam, że już nigdy nie uda mi się zasnąć.

Ból wywołany stratą był zbyt wielki, bym mogła spać. A snu potrzebowałam teraz najbardziej. Byle tylko nie myśleć o cierpieniu.

Szkoda, że nasza matka nie chorowała na nerwy. Że nie trzymała w apteczce tabletek nasennych, valium i leków przeciwko depresji.

Zamiast tego, gotowa była nas posłać do kliniki Betty Ford, gdy tylko prosiłyśmy o paracetamol na bolące gardło / ból brzucha / złamaną

nogę / perforację wrzodu dwunastnicy. „Bądźcie dzielne”, mawiała. „Pomyślcie o naszym Panu, który cierpiał na krzyżu”. Albo: „Co byście zrobiły, gdyby nie wynaleziono środków przeciwbólowych?” Na co mogła otrzymać odpowiedź: „W porównaniu z moim bólem ucha przybicie do krzyża było czystą przyjemnością”. Albo: „Jeśli zlikwidujesz ból mojego zęba, możesz mnie dowolnego dnia przywiązać do pręgierza i wychłostać”.

Oczywiście to niwelowało wszelkie — a przecież i tak znikome — szanse wydostania od matki jakichkolwiek leków. Błuznierstwo zajmowało wysoką pozycję na jej liście niewybaczalnych uczynków.

Tak samo żałowałam, że moja siostra Anna już nie handluje narkotykami. Za tabletkę ecstazy dałabym wtedy wszystko.

A tymczasem nie wiedziałam, czy uda mi się znaleźć choćby jakiegoś drinka. Rodzice nie pili dużo i trzymali w domu niewiele alkoholu.

Naprawdę. Nie był to wynik podjętej przez nich długofalowej decyzji. Nie zależało to też od ich punktu widzenia. Tak po prostu wypadło.

Nawet gdy próbowali trzymać w domu alkohol, w rzeczywistości było go bardzo niewiele dzięki mnie, a ostatnio dzięki moim siostrom.

Naszym mottem było: „Moc trunku nie ma znaczenia. Wypijemy wszystko, co jest”. Od bimbru po wiśniówkę i szampan dla dzieci.

W młodości, zanim odkryłam, co może zrobić ze mną alkohol, nasz eklektyczny barek był pełen.

Najczystsza polska wódka stała tuż obok litrowych butelek Malibu. Śliwowica rodem z Węgier rościła sobie prawo sąsiedzowania z butelką Southern Comfort. W naszym barku nie istniała zimna wojna.

Widzicie, ojciec zawsze wygrywał butelki brandy albo whisky! grając w golfa. Mama czasami wygrywała butelkę sherry czy tea jakiegoś damskiego likieru w klubie. Różni ludzie przynosili nani w prezencie wykwinne alkohole, ilekroć wyjeżdżali na wakacje! Sąsiad przywiózł z Cypru butelkę Ouzo.

Sekretarka ojca przywiozła śliwownicę, gdy wyjechała na urlop „za żelazną kurtynę” (to było w 1979 roku — ja i moje siostry uważałyśmy ją za bohaterkę i po powrocie zarzuciłyśmy dziesiątkami pytań, czy widzia-

ła na Węgrzech przypadki naruszania praw człowieka. „Czy to prawda? Czy wciąż muszą nosić szerokie spodnie i buty na koturnach?”, pytałyśmy, spoglądając na nią oczami szeroko otwartymi z przerażenia. Margaret, jak zwykle praktyczna, chciała wiedzieć, ile tam kosztuje paczka gumy do żucia. „Ile paczek potrzeba, żeby kupić dom?” Miała wyobraźnię, dziewczyna). Anna wygrała butelkę fluorescencyjnego żółtego bananowego sznapsa na świątecznej loterii zorganizowanej w kościele St. Vincent de Paul. Ktoś inny przyniósł flaszkę podobnego trunku, lecz o smaku morelowym.

Stopniowo nasza kolekcja alkoholi rosła. A ponieważ rodzice prawie nie pili, a my, dzieci, jeszcze nie zaczęłyśmy, barek pękał w szwach.

Jednak te szczęśliwe dni bezpowrotnie minęły.

Przykro mi wyznać, że w wieku około piętnastu lat odkryłam przyjemności wynikające ze spożycia alkoholu. Szybko też zdałam sobie sprawę, że kieszonkowe nie wystarczy mi na zaspokajanie tej nowo odkrytej pasji. W efekcie spędziłam wiele godzin, oglądając się przez ramię podczas ściągania niewielkich ilości trunku z różnych butelek stojących w barku.

Przelewałam je do małej butelki po lemoniadzie, która miała służyć jako pojemnik na sporządzaną przeze mnie miksturę. Bałam się przelać zbyt wiele z pojedynczej butelki, tak więc kompozycja składała się z szerokiego spektrum drinków. Nie zwracałam uwagi na smak gotowego produktu. Zależało mi tylko na tym, żeby się upić. Nawet jeśli wymagało to wypicia czegoś obrzydliwego.

Potem spędzałam wiele szczęśliwych godzin, popiwszy mieszaninę (przykładowo) sherry, wódki, dzinu, brandy i wermutu (ciocia Kitty przywiozła nam wermut, który kupiła podczas pobytu we Włoszech). Byłam radośnie wstawiona i bawiłam się na dyskotecce, gdzie udało mi się wyjść, przechytrzywszy rodziców lub wymusiwszy na nich pozwolenie. Cudowne, wspaniałe czasy.

By uniknąć niezręcznych i kompromitujących scen z rodzicami, uzupełniałam trunki w butelkach odpowiednią ilością wody. Myślałam, że jestem bardzo sprytna.

Jednakże tak jak nadmiernie podlewane rośliny umierają, tak lamo ja przesadnie nawodniłam dużo alkoholu. Szczególnie butelkę wódki.

W końcu nadszedł dzień wyrównania rachunków także dla mnie.

Miałam wtedy około siedemnastu lat. Pewnego sobotniego wieczoru rodzice zaprosili na drinka państwa Kellych i Smithów. Akurat mamą i pani Kelly piły wódkę. Przynajmniej tak sądziły. Jednak dzięki moim zabiegom na przestrzeni poprzednich osiemnastu miesięcy to, co kiedyś było Smirnoffem, stało się mniej więcej stuprocentowo czystą, nie rozcieńczoną wodą, nie skażoną najmniejszą ilością alkoholu.

Reszta towarzystwa miała szczęście popijać prawdziwy alkohol.

Tak więc, gdy tata, pan Kelly oraz oboje państwo Smith stawali się coraz bardziej głośni, czerwoni na twarzach, gadatliwi, śmiali się z rzeczy, które w najmniejszym stopniu nie były śmieszne, a tata opowiedział, że nie deklaruje w urzędzie skarbowym wszystkich swoich dochodów, natomiast Smithowie wyjawili, iż pan Smith miał zeszłego roku romans, co niemal doprowadziło do rozpadu ich małżeństwa, lecz postanowili pracować nad swoim związkiem — mama i pani Kelly siedziały sztywno z pokerowymi twarzami, uśmiechając się zaciśniętymi ustami do pozostałych, którzy wybuchali śmiechem.

Mojej mamy wcale nie rozbawił fakt, że pani Smith rozlała Bacardi z coca-colą (nie lubiłam Bacardi, więc zawartość alkoholu w tej butelce była niemal nienaruszona) na piękny dywan w pokoju dziennym, lecz u ojca wywołało to ogromną wesołość. Wszyscy świetnie się bawili. Z wyjątkiem osób pijących wódkę.

Dopiero nazajutrz mama doznała olśnienia.

Kazała przynieść ową butelkę wódki i poddać zawartość kilku testom. („No, powąchaj to. Jaki to ma zapach, według ciebie? „Wcale nie pachnie, mamo”. „No właśnie!”)

Rezultaty badań laboratoryjnych przeprowadzonych w kuchni wykazały, że ktoś wcześniej dobierał się do butelki. I to niejednokrotnie.

Między mną i rodzicami rozegrała się łzawa scena. To zna czy, moja mama płakała, lecz z wściekłości i upokorzenia. „Co za upadek”, jęczała. „Zapraszamy znajomych na drinka i podajemy im rozwodnione trunki.

Myślałam, że umrę ze wstydu! Jak mogłaś? A przecież ślubowałaś, że nie będziesz pić do ukończenia osiemnastego roku życia".

Byłam cierpka, ponura, milcząca. Zwiesiłam głowę, by ukryć zmieszanie i złość, że dałam się przyłapać.

Ojciec siedział smutny i nie odzywał się.

Nastąpiła pokuta. Wszystkie napoje alkoholowe zostały wzięte pod klucz — bez procesu wtrącono je do bezpiecznej szafki z solidnym zamkiem. Tylko mama wiedziała, gdzie jest klucz. Jak stwierdziła, prędzej zda się na wieczne potępienie, niż zdradzi miejsce jego przechowywania.

Oczywiście było jedynie kwestią czasu, by ja lub któraś z sióstr nauczyła się otwierać zamek prowizorycznym wytrychem.

Między nami a mamą wywiązało się coś na kształt partyzanckiej wojny, gdy ona nieustannie szukała nowych schowków dla szybko malejących zapasów alkoholu. Helen przysięga, że słyszała, jak matka rozmawiała przez telefon z ciocią Julią, która jest alkoholiczką, i prosiła o radę, gdzie najlepiej ukryć butelki. Jednak nigdy nie zostało to potwierdzone, więc nie musicie wierzyć w to jak w Ewangelię.

Mama zawsze była o mały krok przed nami. Gdy tylko wynalazła jakieś nowe miejsce, jedna z nas szybko trafiała na jego ślad. Tak więc mama musiała nieustannie szukać nowych skrytek, na tej samej zasadzie jak wciąż wymyślano nowe antybiotyki, by zwalczać nowe i uodpornione bakterie. Niestety dla niej, wszystkie kryjówki krótko pozostawały dla nas tajemnicą.

Próbowała nawet rozsądnie z nami rozmawiać. „Proszę, nie pijcie tyle. A przynajmniej nie pijcie tak dużo z moich i ojca butelek”.

W odpowiedzi najczęściej otrzymywała wypowiedziane — to muszę przyznać — bardziej ze smutkiem niż ze złością słowa w rodzaju: „Ale my lubimy pić, mamo. Jesteśmy biedne. Nie mamy wyboru. Myślisz, że lubimy się tak zachowywać jak pospolite złodziejki?”

Chociaż Margaret, Rachel i ja wyfrunęłyśmy z domu i mogłyśmy sobie pozwolić na zaspokajanie wszelakich złych nałogów, Helen oraz Anna wciąż mieszkały z rodzicami i były kompletnie spłukane. Tak więc walka trwała nadal.

To, co niegdyś stanowiło wspaniałą, będącą przedmiotem dumy kolekcję trunków, skurczyło się do rozmiaru paru nędznych butelek, odbywających wędrówkę w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia po szafach, kubłach na węgiel, pod łózkami. Nie było już śladu po pełnych, błyszczących butelkach z czytelnymi etykietami. Pozostała jedynie lepka flaszka Drambuie, pokryta kurzem, na której dnie znajdował się jeszcze centymetr alkoholu, lub też nieco więcej niż centymetr kubańskiej wódki (naprawdę jest coś takiego. Z pewnością stanowi odpowiedni trunek dla ideologicznie niezłomnego towarzysza na Kubie), a także niemal pełna butelka bananowego sznapsa, którego Helen ani Anna nie tknęłyby nawet wtedy, gdyby umierały z pragnienia.

Wciąż siedziałam na zimnej podłodze w ciemnym holu. Naprawdę chciałam się napić. Wypiłabym nawet bananowego sznapsa, gdybym wiedziała, gdzie jest schowany. Czułam się potwornie samotna. Zastanawiałam się, czy nie obudzić matki i nie poprosić jej o drinka, ale ogarnęło mnie poczucie winy. Tak bardzo martwiła się o mnie, więc skoro udało się jej zasnąć, nie miałam sumienia, żeby ją obudzić.

Może Helen mnie poratuje.

Ostrożnie weszłam po schodach i znalazłam się w jej sypialni; Jednak łóżko Helen było puste. Albo została na noc u Lindy, albo też jakiś młodzieniaszek miał dziś wyjątkowe szczęście. Jeśli spędzała noc z mężczyzną, zapewne rano odnajdą ciało samobójcy z listem pożegnalnym o treści: „Osiągnąłem w życiu wszystko! czego kiedykolwiek pragnąłem. Już nigdy nie będę równie szczęśliwy. Chcę umrzeć na tym ołtarzu ekstazy. PS. Ona jest Boginią”)

I jakbym nie czuła się wystarczająco okropnie, nagle ogarnął mnie paniczny strach, że coś strasznego stało się z Kate. Że umarła w swoim łóżeczku. Albo udławiła się swoimi wymiocinami. Albo udusiła się. Albo stało się jej coś innego.

Pognałam do swojej sypialni i z ulgą stwierdziłam, że wciąż normalnie oddycha.

Po prostu leżała sobie — pomarszczona, różowa, pachnąca twarzą z zamkniętymi oczkami.

Czekając, aż mój własny oddech wróci do normy, a pot ulotni się z czoła, zastanawiałam się, jak sobie radzą inni rodzice. Jakim sposobem pozwalają swoim maleństwom bawić się z innymi dziećmi? Czy nie wpadają w panikę, gdy na pięć minut pozostawiają dziecko bez opieki?

Teraz wiedziałam, że to bardzo trudne. Jak, do ciężkiej cholery, dam sobie radę, gdy ona zacznie chodzić do szkoły? Nie ma mowy, żebym ją tak po prostu zostawiła. Będą musieli pozwolić mi siedzieć na lekcjach w ostatniej ławce.

Teraz naprawdę potrzebowałam drinka.

Może Anna jest w domu?

Począpiałam do jej pokoju i otworzyłam drzwi.

Gdy tylko je uchyliłam, od razu uderzył mnie zapach.

Zapach alkoholu.

Bingo!

„Bogu dzięki”, pomyślałam. Ponad wszelką wątpliwość znalazłam się we właściwym miejscu.

Anna leżała skulona w łóżku, a jej długie czarne włosy rozpościerały się wachlarzowato dookoła. Na poduszce obok leżał przedmiot do złudzenia przypominający pudełko po Big Macu.

— Anno — szepnęłam dość głośno i potrząsnęłam ją za ramię. Nie zareagowała.

— Anno! — szepnęłam jeszcze głośniejszym głosem, szarpiąc mocno. Włączyłam nocną lampkę i poświeciłam jej w twarz, tak jak czyniło to gestapo.

— Obudźże się! Otworzyła oczy.

— Claire? — zaskrzeczała z niedowierzaniem. Wydawała się przerażona, jakby przyszło jej na myśl, że ulega halucynacji.

No cóż, jeśli chodzi o Annę, było to całkiem prawdopodobne.

To znaczy, że ulega halucynacji. Że lubi substancje, które wpływają na zmianę nastroju. Rozumiecie, o co mi chodzi.

Biedactwo. Według jej najlepszej wiedzy powinnam się znajdować sześćset kilometrów stąd, w innym mieście, w ogóle w innym życiu. A oto stałam przy niej w środku nocy, manifestując swoją obecność.

W dodatku beczelnie wpraszałam się na drinka.

— Anno, wybacz, że cię budzę, ale czy masz coś do picia? — spytałam.

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

— Skąd się tu wzięłaś? — wykrztusiła przestraszona.

— Szukam czegoś do wypicia — odparłam z irytacją.

— Masz dla mnie wiadomość? — spytała, wciąż gapiąc się na mnie szeroko otwartymi oczami.

„Jezu!”, pomyślałam ze złością.

Anna uwielbiała okultyzm. Nic nie mogłoby sprawić jej większej radości niż opętanie przez diabła. Lub mieszkanie w domu nawiedzonym przez duchy. Lub posiadanie umiejętności przepowiadania nieszczęść. Z pewnością miała nadzieję, że jestem jakimś nadnaturalnym zjawiskiem. Albo też była bardziej pijana niż zwykle.

Miałam ochotę powiedzieć jej coś okropnego.

Na przykład: „Tak, Anno, strzeż się! Stracisz wszystkie plony”. Lub: „Tak, Anno, strzeż się! (To „strzeż się” jest bardzo ważne). Twoje wiadro przecieka i utracisz całe mleko, które niesiesz na rynek”. Albo: „Tak, Anno, strzeż się! Nie obcinaj gałęzi z głogu”. i

Fakt, że Anna nie miała plonów ani mleka w dziurawym wiadrze, że w promieniu piętnastu kilometrów nie rósł żaden głóg, nie miałyby dla niej żadnego znaczenia. Byłaby zachwycona wizytą z zaświatów.

— Tak, Anno — powiedziałam. Czułam się trochę głupio, ale chciałam ją rozbawić. — Przysłali mnie z misją, bym zdobyła coś do picia.

— W moim plecaku — powiedziała słabo.

Leżał rzucony na podłogę razem z jednym pantoflem (a co się stało z drugim?), płaszczem, kartonem z resztką frytek i puszką Budweisera. Otwarcie torby sprawiło mi pewną trudność z powodu dwóch wypełnionych helem balonów, przywiązanych do paska. Widocznie Anna była na jakiejś imprezie.

Niemal wydałam z siebie okrzyk ulgi, gdy znalazłam w środku butelkę białego wina.

— Dzięki, Anno — powiedziałam. — Jutro ci to wyrównam, — I wyszłam.

Nadal sprawiała wrażenie osłupiałej i przerażonej. W milczeniu kiwnęła głową.

— OK — wykrztusiła w końcu.

Sprawdziłam, co się dzieje z Kate. Wciąż słodko spała.

Podświadomie spodziewałam się, że będzie siedziała ze skrzyżowanymi na piersiach rączkami i zażąda ode mnie odpowiedzi na pytanie, gdzie jest tatuś, którego jej obiecałam. Ale ona spała i zapewne śniła o różowych obłoczkach, ciepłym łóżeczku, miłych, pachnących ludzikach, o dużej ilości pokarmu i ludziach, którzy będą okazywali jej miłość.

I o tym, że nie musi czekać w kolejce do ubikacji.

Zaniosłam butelkę do kuchni i otworzyłam ją. Wiedziałam, że po wypiciu wina poczuję się lepiej. Gdy nalewałam je do szklanki, w drzwiach kuchni zjawiała się rozczochrana Anna — zdezorientowana i wylękniona przecierała zaspane oczy.

— Claire, to naprawdę ty. Więc wcale mi się nie zdawało. — W jej głosie zabrzmiała pewnego rodzaju ulga, ale także rozczarowanie. — Myślałam, że mam delirium tremens, a potem, że to Wizja. Ale gdybyś była wizją, nie zjawiałabyś się w okropnej nocnej koszuli naszej matki.

— Tak, to naprawdę ja. — Uśmiechnęłam się do niej. — Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam. Ale musiałam się napić. — Podeszłam bliżej i objęłam ją. Jakże cudownie było znowu ją widzieć.

Anna była bardzo podobna do Helen — miała blada twarzyczka, nieco skośne kocie oczy, figlarny nos.

Jednak na tym kończyło się podobieństwo. Przede wszystkim nigdy nie pragnęłam zamordować Anny ze dwadzieścia razy dziennie. Była o wiele spokojniejsza i słodsza, przemiła dla każdego. Niestety, była również bardzo chwiejna i eteryczna. Niejeden raz słyszałam, jak jej imię padało w tym samym zdaniu co słowa: „Precz z wrózkami”.

Powinnam być z wami zupełnie szczerą. Nie można było zaprzeczyć, że Anna była trochę... no cóż... chyba hipiską.

Nigdy nie miała normalnej pracy, za to zawsze jeździła na festiwale rockowe. Ilekroć dzwoniłam z Londynu i chciałam rozmawiać z Anną,

mama mówiła coś w rodzaju: „Anna jest w Lisdoonvarna” albo, Anna znalazła pracę w barze w Santorini”.

Bywały też dni — trzeba przyznać, złe dni — gdy mama mówiła: „Skąd, do licha, mam wiedzieć, gdzie podziewa się Anna? Cholera jasna, jestem tylko jej matką”.

Pracowała dorywczo. Najczęściej w restauracjach. Ale to nigdy nie trwało długo. Zresztą — o dziwo — te restauracje również nie przetrwały.

Wystąpiła o zasiłek dla bezrobotnych.

Jak już wcześniej wspomniałam, sprzedawała narkotyki. Krótko. I zajmowała się tym naprawdę bardzo wdzięcznie.

Poważnie.

Nigdy nie stała przy szkolnej bramie, próbując sprzedać ośmiolatkom czystą heroinę.

Sprzedawała niewielką ilość haszyszu swoim znajomym i rodzinie. Niewątpliwie traciła na tym interesie.

Robiła też biżuterię i od czasu do czasu udawało jej się nawet coś sprzedać.

Wiodła niebezpieczne życie, ale nigdy nie przejmowała się żadnym ryzykiem.

Ojciec stracił już wszelką nadzieję. Mówił, że jest nieodpowiedzialna. No i oczywiście winą za ten stan rzeczy obarczono wyłącznie — aczkolwiek niezasłużenie — właśnie mnie. Ojciec twierdzi że ja zwiłam (jego własne słowo) do Londynu, gdy Anna była w okresie naśladowania wzorców osobowościowych, a ja dałam jej przykład, że czymś zupełnie normalnym jest porzucenie dobrej pracy i zostanie kelnerką. Cóż ze mnie za wzorzec do naśladowania

Ojciec bardzo się starał uformować Annę w odpowiedzialni rzetelnie płacącą podatki obywatelkę. Załatwił jej pracę w biurze jakiejś firmy budowlanej.

Widocznie ktoś był mu winien przysługę.

I to niemałą.

Jednak zmuszanie Anny do pracy w biurze okazało się błędem. To tak, jakby ktoś usiłował wepchnąć okrągły kołek w kwadratowy otwór. Albo nosić prawy pantofel na lewej stopie i odwrotnie. Było to nieprzyjemne, niewdzięczne i niemal stuprocentowo skazane na porażkę. Po prostu katastrofa.

Anna przypominała egzotyczny, przywykły do tropikalnego klimatu kwiat, który nagle znalazł się w wilgotnym, zimnym kraju. Jak miała przetrwać w takich warunkach? Mogła jedynie uschnąć, zmarnieć, jej śliczne jasne płatki zwiędły i zbrązowiały, delikatny zapach gdzieś się ulotnił.

Nie miała talentu do pracy biurowej. Nudne wypełnianie formularzy tłamsiło jej wyobraźnię i wenę twórczą.

Poza tym była zbyt naćpana, by rzetelnie wykonywać tę pracę.

W pewien poniedziałkowy rano jej szef, pan Sheridan, rzuć na jej biurko czek i powiedział: „Wyślij to do Billa Prescota z naszymi »komplementami«”.

Na szczęście szef przechwycił pocztę, zanim czek został wysłany. Na dołączonej karteczce Anna napisała: „Szanowny Panie Prescot, chociaż nigdy nie poznałam Pana osobiście, sądzę, że jest Pan bardzo miłym człowiekiem. Wszyscy budowlańcy wyrażają się o Panu z najwyższym uznaniem”.

Znużony pan Sheridan wyjaśnił jej, że wysłanie liściku z „komplementami” nie oznacza w dosłownym sensie obsypywania kogoś pochwałami.

W czasie każdej przerwy na lunch traciła poczucie czasu, gdyż w kanale niedaleko biura odkryła łabędzie gniazdo i całymi godzinami przyglądała się, jak ptaki wysiadują jajka. (A także — jeśli wierzyć plotkom — wypalała kilka jointów).

Jednak w dniu, kiedy zaproponowała zmianę systemu ewidencjonowania pracowników, tak aby zamiast w kolejności alfabetycznej posegregować ich według znaków zodiaku, pan Ballard — kierownik biura — uznał, że ma już tego dosyć.

Dziewczyna musiała odejść bez względu na to, czy dyrektor naczelny był winien jakąś przysługę Jackowi Walshowi.

Anna protestowała, twierdziła, że to był tylko żart (śmiejąc się — co niewątpliwie pogorszyło jej sytuację — powiedziała: „Naprawdę, bądźmy poważni, jak mielibyśmy sklasyfikować ich według znaków zodiaku, skoro nie wiemy nawet, w jakim punkcie ekliptyka krzyżowała się ze wschodnim horyzontem w momencie ich narodzin”), lecz bardzo szybko wydano jej świadectwo pracy. Po raz kolejny Anna znalazła się bez pracy.

Ojciec był wściekły i upokorzony. „Co się dzieje w tej pustej głowie?”, grzmiał. „A mógłbym niemal przysiąc, że bierze narkotyki”.

Jak na inteligentnego mężczyznę, czasami był potwornie naiwny.

Jedyną dotychczas styczność z pracą zarobkową Anna miała, gdy była jeszcze w szkole. Nauczycielka zajmująca się ukierunkowaniem zawodowym wychowanków spytała ją, co chciałaby robić w życiu. Anna powiedziała, że pragnie zjednoczyć się z siłami natury, a potem nie mogła pojąć, dlaczego na dwa tygodnie skierowano ją do pracy w firmie produkującej wnętrza do czajników.

Gdy Anna upewniła się, że nie jestem wytworem jej wyobraźni, postanowiła — mimo pewnego rozczarowania — wykorzystać tę sytuację.

— Nalej i dla mnie. — Wskazała gestem butelkę wina. Spełniłam jej prośbę. Usiadłyśmy przy stole.

Było około piątej nad ranem.

Annie ta godzina wcale nie wydawała się specjalnie późna a raczej wczesna.

— Zdrówko — powiedziała, unosząc szklanę.

— Tak, na zdrowie — odparłam beznamiętnie. Jednym haustem opróżniłam szklanę. Anna patrzyła na mnie z podziwem.

— Więc skąd się tu wzięłaś? — spytała. — Nic nie wiedziałam, że masz przyjechać. Nikt mi nie powiedział... przynajmniej tak mi się wydaje — dodała z powątpiewaniem. — Od tygodni nie było mnie w domu.

— To była nagła decyzja, Anno. — Westchnęłam, przygotowując się na męczące wyjaśnianie mojej tragicznej sytuacji.

Zanim jednak zaczęłam, przerwała mi gwałtownie.

— Boże! — wykrzyknęła, zakrywając dłonią usta.

— Co się stało? — spytałam zaniepokojona. Czyżby korkociąg leciał w powietrzu? Albo w oknie pojawiła się zjawa zwiastująca śmierć?

— Ty nie jesteś już w ciąży! — zawołała. Wbrew sobie uśmiechnęłam się.

— Nie jestem, Anno. Domyślasz się dlaczego?

— Urodziłaś dziecko? — spytała powoli.

— Tak — potwierdziłam z uśmiechem.

— Jezu! — wrzasnęła. — To cudownie! — Rzuciła mi się na szyję. — Dziewczynka?

— Tak.

— Jest tutaj? Mogę ją zobaczyć? — spytała podniecona.

— Tak, jest w moim pokoju. Ale teraz śpi. I wolałabym jej nie budzić, jeśli pozwolisz. W każdym razie najpierw chciałabym dokończyć tę butelkę — rzekłam markotnie.

— W porządku — zgodziła się Anna, nalewając wino do mojej szklanki. Spotkały się dwie miłośniczki alkoholu. — Łyknij sobie. Chyba dość długo nie pozwalano ci pić. Nic dziwnego, że nadrabiasz zaległości.

— No tak, minęło sporo czasu od chwili, gdy mogłam się napić. Ale nie dlatego mam ochotę się urząnąć.

— Jak to? — spytała zdumiona. Opowiedziałam jej o Jamesie.

Była dla mnie taka delikatna, pełna współczucia. Nie osądzała mnie, natomiast na swój sposób okazała się bardzo mądra, dzięki czemu już wkrótce poczułam się nieco lepiej. Uspokoiliam się odrobinę. Nabrałam trochę sił i nadziei na lepszą przyszłość.

Myślę, że należy w tym miejscu także podkreślić zasługę butelki wina. Odegrała niedużą, lecz znaczącą rolę w podniesieniu mnie na duchu. Jednak w głównej mierze stało się to dzięki Annie.

Cicho mówiła do mnie mniej więcej tak: „Co ma być, to będzie” albo „Ktoś czuwa nad nami, nawet gdy w pewnej chwili wydaje się nam, że jest inaczej” lub też „Każde z nas zmierza ku swemu przeznaczeniu” oraz „Nic się nie dzieje bez przyczyny”.

Typowa hipisowska gadka.

Około szóstej, gdy za oknem zaczynały śpiewać ptaki, wyszliśmy z kuchni, zostawiając na stole szklanki, pustą butelkę, korek, korkociąg, popielniczkę, z której wysypywały się zmięte papierki po herbatnikach (oczywiście tych zwykłych. Mama nadal skąpiła nam delikatesowych smakołyków) zjedzonych przez Annę.

Za godzinę ojciec wstanie, by przygotować śniadanie dla siebie i mamy. Pomyślałyśmy, że wtedy posprząta ten bałagan. Zgodnie doszliśmy do wniosku, że lubi robić pożyteczne rzeczy. Pragnął czuć się potrzebny.

Obejmując się, powoli weszliśmy po schodach. Padłam na łóżko śpiąca, wyluzowana, spokojna. Anna przez kilka chwil przyglądała się w zachwycie maleńkiej Kate, po czym uparła się, że przyniesie dwa napełnione helem baloniki (które bezprawnie zabrała z imprezy razem z butelką wina) i przywiąże je do nosidełka. Potem pocałowała mnie na dobranoc i na palcach wyszła z pokoju, a ja natychmiast zapadłam w głęboki sen.

Kate obudziła mnie po piętnastu minutach, domagając się śniadania.

Nakarmiłam ją i wróciłam do łóżka.

Już zapadałam w sen, gdy usłyszałam, jak wstaje ojciec. Po kilku minutach rozległy się jego głośne kroki, gdy szybko wbiega po schodach na górę, krzycząc do matki: „Twoje córki to pijaczki!” (Zawsze były jej córkami, gdy traciły pracę, nie poszły na mszę, późno wracały do domu lub nieprzyzwoicie się ubierały. Jego córkami zaś były, kiedy zaliczały egzaminy, otrzymywały dyplomy, wychodziły za mąż, kupowały domy) „Piją całą noc, a potem cały dzień leżą w łóżku! Czy to ja mam posprzątać ten bałagan w kuchni?”

Z pewnością odkrył pozostałości po naszej małej porannej imprezce.

Matka jęknęła żałośnie.

— O, nie, znowu wygrzebały coś do picia. Myślałam, że pod zbiornikiem olejowym butelki są bezpieczne. Teraz muszę znaleźć jakieś inne miejsce.

Po chwili rozmowy ucichły. Gdy z nadzieją pomyślałam, że może uda mi się złapać ze dwie godziny snu, odezwał się dzwonek do frontowych drzwi, wywołując naturalny niepokój, gdy; było dopiero wpół do ósmej rano. Usłyszałam, jak ojciec otwiera drzwi i zaczyna rozmawiać z jakimś mężczyzną. Wyteżyłam słuch. Czy możliwe, że to James? Spłynęła na mnie tak ogromni fala nadziei, że niemal odczułam fizyczny ból.

Zaraz jednak usłyszałam, jak ojciec wbiega po schodach ni piętro.

— Przyszedł jakiś wariat z jednym pantoflem — zawołał do matki. — Pyta, czy to nasza własność. Co mam zrobić?

Matka milczała, najwyraźniej kompletnie zaskoczona.

— Jak tak dalej pójdzie, spóźnię się do pracy — stwierdzi ojciec, jakby nieoczekiwane wydarzenia tego ranka nastąpiły z je winy.

Rozczarowana zaczęłam płakać. A więc to jednak nie James. Już wiedziałam, kto stoi przed naszym domem.

— Tato! — zawołałam przez łyzy. — Taaatooo! Wsadził głowę w drzwi.

— Dzień dobry, kochanie. Zaraz do ciebie przyjdę. Zrobię ci herbatkę. Ale teraz muszę się pozbyć tego wariata, który czeka na dole.

— Nie, tato. To nie wariat, ale taksówkarz. Obudź Annę. To na pewno jej pantofel.

— O, więc wreszcie raczyła wrócić do domu? — zawołała mama ze swojej sypialni.

— Mogłem przypuszczać, że Anna ma z tym coś wspólnego — mruknął ojciec, kierując się do jej pokoju.

Obudzona Anna potwierdziła, że oczekujący mężczyzna faktycznie jest taksówkarzem, który wczesnym rankiem odwiózł ją do domu. Po skończonej pracy znalazł z tyłu pojazdu pantofel. A teraz — niczym księżę z bajki — odwiedzał wszystkie młode kobiety, które woził w nocy, próbując odnaleźć właścicielkę pantofelka. Najwyraźniej jego Kopciuszkiem okazała się Anna.

Podziękowała mu wylewnie. Taksówkarz odjechał, ona wróciła do łóżka, ojciec zaś wyszedł do pracy. Zamknęłam oczy. W tym momencie Kate zaczęła płakać.

I ja także.

Rozdział 6

Było mokro, wietrznie, okropnie. Przez pierwsze dwa tygodnie mojego pobytu w domu codziennie padało. Zdaje się, że był to najbardziej deszczowy luty w pamięci mieszkańców Dublina.

Każdej nocy budził mnie odgłos kropli wody rozbryzgujących się na szybach, uderzających głośno w dach.

Ta pogoda wszystkim psuła nastrój.

Na szczęście ja i tak miałam samobójcze myśli.

Prawdę mówiąc, taka pogoda poprawiała mi samopoczucie. To tak, jakby fortuna na swój sposób równała moje pożałowania godne życie ze szczęśliwym życiem innych ludzi. Myślę, że rozumiecie, o co mi chodzi.

Anna i Helen snuły się ponuro po domu, wyglądając tęsknie przez okno w nadziei na promyk słońca.

Mama zaczęła przebąkiwać o budowie arki.

Ojciec próbował grać w golfa, stojąc na polu po kolana w wodzie.

Tylko mnie nie przeszkadzały ciągle ulewy. Idealnie pasowały do mojego nastroju. Fakt, że nie mogę wyjść na dwór, nie miał dla mnie żadnego znaczenia.

Równie dobrze mogłabym już nigdy nie wychodzić z domu.

Całymi godzinami leżałam w łóżku, patrząc przed siebie bez celu. Tuż obok mnie leżała Kate, po szybach płynęły strużki lejącego wciąż deszczu, który zmieniał nasz ogródek w trzęsawisko.

Każdego ranka mama wpadała do mojej sypialni, podsuwała zasłony, wpuszczając do środka światło kolejnego szarego i mokrego dnia, po czym mówiła: „No więc, co masz w planach na dzisiaj?”

Wiedziałam, że chciała mnie trochę rozbawić, odwrócić moje myśli od smutnych spraw. Próbowałam się uśmiechać, ale cały czas czułam się bardzo zmęczona.

Potem proponowała, że zrobi mi śniadanie, ale gdy tylko wychodziła z pokoju, zwlekałam się z łóżka, podchodziłam do okna i z powrotem zaciągałam zasłony.

Nie zaniedbywałam mojej Kate. Naprawdę.

A może jednak tak.

Wstyd powiedzieć, ale to mama zawiozła ją do dziecięcej kliniki, a potem pojechała do supermarketu i kupiła mnóstwo jednorazowych pieluch, odżywek, kremów, talku, sterylizator do butelek oraz wiele innych rzeczy potrzebnych dla Kate.

Muszę jednak zaznaczyć, że nie do końca pozostawiłam małą córeczkę własnemu losowi. Dbałam o nią na różne sposoby. Karmiłam ją, przewijałam, myłam i martwiłam się o nią. Czasami nawet się z nią bawiłam. Nie mogłam jedynie zrobić dla niej niczego, co wiązałoby się z moim wyjściem z domu.

Nie dlatego, że jej nie kochałam, bo kochałam ją bardziej niż cokolwiek na świecie. Zrobiłabym dla niej dosłownie wszystko (z wyjątkiem —jak wspomniałam — wyjścia z domu). Jednak nie miałam już energii dla samej siebie.

Ubranie się przerastało moje siły. W tych nielicznych wypadkach, gdy wstawałam z łóżka, wkładałam na nocną koszulę mamy jakiś sweter ojca przeznaczony do gry w golfa oraz grube skarpety. Tak naprawdę to chciałam się normalnie ubrać, ale dopiero później.

To znaczy wtedy, gdy nakarmię Kate.

Ale wówczas czułam się tak wyczerpana, że musiałam się na chwilę położyć i przeczytać fragment artykułu z magazynu „Hello”. O stopniu mojej depresji świadczył już sam fakt, że w ogóle brałam pod uwagę mieszkanie w domu, w którym był egzemplarz tego pisma. Zupełnie nie mogłam skoncentrować się na czytaniu. Patrzyłam na zdjęcia nieznanymi członków rodziny królewskiej w ich wystawnych domach i zastanawiałam się, czy są szczęśliwi.

I jak to jest, gdy się doznaje tego uczucia.

A potem przychodziło mi do głowy, że nikt nie może się czuć szczęśliwy, mieszkając w domu pełnym tych okropnych barokowych foteli, starych draperii i obrazów. Albo też będąc żoną Księcia Jakiegoś tam, który był gruby i łysy, miał protezę i dwanaście razy tyle lat, co jakaś była tancerka egzotyczna, którą wziął sobie za żonę. Przy tym sięgał jej tylko do pępka.

Kiedy już tak sobie trochę poleżałam, mogłam pójść do toalety. Spędzałam tam jakieś pół godziny, starając się zebrać siły, by dotrzeć do łazienki. Czułam się tak, jakbym miała ołów w nogach, jakbym cała była z ołowiu.

A gdy w końcu dotarłam do łazienki, miałam już siły tylko na jedno — żeby wrócić do łóżka.

Obiecałam sobie, że położę się tylko na pięć minut, a potem się ubiorę.

Lecz wtedy nadchodziła pora, by znowu nakarmić Kate. A potem znowu musiałam się położyć, tylko na pięć minut...

Jakoś nigdy mi się to nie udawało.

Byłoby mi dobrze, gdybym tylko miała święty spokój i mogła zasnąć na zawsze. Tak myślałam. Ale ciągle ktoś czegoś ode mnie chciał.

Pewnego popołudnia leżałam w łóżku (sama nie wiem, czemu piszę „pewnego popołudnia”. Przecież działo się to właściwie codziennie), gdy do pokoju wszedł młody mężczyzna o wyglądzie neandertalczyka, z młotkiem w ręku.

Moja pierwsza myśl była taka, że zbyt długo przebywałam w odosobnieniu i zaczęłam mieć halucynacje.

Wtedy do środka wpadła jak bomba zaaferowana mama.

Okazało się, że młodzieniec miał zainstalować interkom dla niemowląt między moją sypialnią a pokojem dziennym. Obserwowała go na dole niczym jastrząb, ale gdy musiała odebrać telefon, skorzystał z okazji i uciekł na górę do mojej sypialni.

Mama wygoniła mnie z łóżka, jakby wcieliła się w rolę grupy tajnych agentów policji, którzy zjawili się w środku nocy, by zabrać mnie

na tortury. Do tej pory mam na ramieniu ślady po jej palcach. Boże, z elektrycznym batem w rękę siałaby dookoła zniszczenie i śmierć.

Widzicie, ona sądziła, że mogę wywołać u tego montera nieczyste myśli, gdyby miał pracować tuż przy mnie, ubranej jeszcze ciągle w nocną koszulę, tak więc najpilniejszą sprawą było jak najszybsze usunięcie mnie z sypialni.

W dodatku Helen też nigdy nie dawała mi spokoju. Prawie każdego ranka stawała w drzwiach mojego pokoju, patrzyła, jak leżę w łóżku, i ryczała: „Twoje śniadanie czeka! Ostatnia na dole to gruba, cuchnąca świnia!”

I w tej samej chwili rzucała się ku schodom i pędziła do kuchni, podczas gdy ja usiłowałam nieskładnie wytłumaczyć się, że i tak jestem już grubą, cuchnącą świnią. Dlatego jej zaczepka nie miała dla mnie żadnego znaczenia.

Nie ma wątpliwości, że byłam wielka i gruba. Bardzo podobna do arbuza. To znaczy, byłam taka, gdy wróciłam do Dublina. Teraz nie mogłam mieć pewności, bo nie przeglądałam się w lustrze, ani też nie wkładałam żadnych ubrań od dnia wyjazdu z Londynu.

Z pewnością cuchnęłam. Z mojego punktu widzenia umycie włosów było równie prawdopodobne jak wspięcie się na szczyt Mount Everestu.

Od czasu do czasu brałam kąpiel, ale tylko dlatego, że mama wszystko sama przygotowała.

Kombinacja perswazji i nacisku.

Napełniała wannę gorącą wodą z pachnącym płynem, abym nabrała aromatu owoców kiwi i papai. Na podgrzewanej rurce wieszala dla mnie wielkie, miękkie ręczniki. Proponowała mi skorzystanie z jej lawendowego balsamu do ciała (fuj, nie, dziękuję). Straszyla groźbą złożenia na mnie meldunku do władz, że nie nadaję się na matkę, mówiła mi, że Kate pójdzie do rodziny zastępczej.

Tak więc kąpałam się prawie codziennie.

Aczkolwiek niechętnie.

Może jednak nie byłam świnią. Szczerze mówiąc, nie pamiętałam, kiedy ostatni raz coś jadłam. W ogóle nie odczuwałam głodu. Myśl o je-

dzeniu przerażała mnie. Wiedziałam, że nie byłabym w stanie zjeść niczego. Czułam się jakby zamrożona. Jakby coś zablokowało moje gardło, uniemożliwiając mi przełknięcie czegokolwiek.

Nie mogłam uwierzyć, że coś takiego się ze mną dzieje. Bo zawsze miałam wilczy apetyt. Gdy chodziłam w ciąży, był jeszcze większy, przeogromny. Jako nastolatka marzyłam, by zostać anorektyczką. Wcale nie zniechęcała mnie świadomość, że anorektyczki to biedne, chore, nieszczęśliwe dziewczyny. Uważałam je za najszcześniejsze istoty na świecie o wystających kościstych biodrach, chudych udach oraz ogólnym wyglądem życiowych rozbitków.

Jednak nigdy nie traciłam apetytu, bez względu na sytuację. Nerwy przed egzaminami, rozmowy kwalifikacyjne, trema w dniu ślubu — nic nie było w stanie poskromić mego wilczego apetytu. Gdy spotykałam szczupłe osoby, która szczebiotały: „Och, ja głupia, po prostu zapominam o jedzeniu”, patrzyłam na nie ze źle skrywanym zdumieniem i goryczą, czując się nieatrakcyjna, gruba i ocieężała. „Fartowne suki”, myślałam. „Jak można zapomnieć

O jedzeniu?” Ja tam miałam apetyt. Cóż za niemodna i wstydliva skłonność.

Bo gdy nastąpi koniec świata i wszyscy znajdziemy się w niebie, a czas przestanie istnieć, my zaś będziemy żyć wiecznie, w czysto duchowej postaci rozmyślając bez końca o Wszechmogącym, ja codziennie o jedenastej rano nadal będę tęskniła za czekoladowym batonikiem.

Pocieszałabym się jednak myślą, że ci chudzielcy bezczelnie kłamią. Na pewno skręcało ich z głodu albo brali amfetaminę, albo w każdy weekend chodzili na odsysanie tłuszczu.

A ja w tej chwili po raz pierwszy w życiu nie odczuwałam łaknienia. Co więcej, myśl o jedzeniu napawała mnie przerażeniem.

Było mi wszystko jedno. Wcale mnie to nie ekscytowało. Szkoda, że się tak nie czułam, gdy miałam siedemnaście lat. Uważałabym się za jedną z nielicznych wybranek losu.

Byłam jednak zbyt słaba i zgnębiona, aby zawracać sobie tym głowę.

Mijał jeden długi dzień za drugim. Czasami wstawałam z łóżka i znosiłam Kate na dół, by obejrzeć z mamą odcinek australijskiej telenoweli. Wypijałam w jej towarzystwie kubek herbaty, po czym wracałam do sypialni.

Helen wciąż dawała mi się we znaki. Trzy dni po zainstalowaniu interkomu wślizgnęła się na palcach do mojego pokoju.

— Czy to jest włączone? — spytała cicho, przesadnie ruszając ustami. Jednocześnie wskazała palcem urządzenie.

— Co? — rzuciłam ostro, podnosząc wzrok znad egzemplarza „Hello”. — Oczywiście, że nie jest włączone. Po co miałoby być? Kate jest tutaj razem ze mną.

— To dobrze. Bardzo dobrze. — Po czym nagle ogarnęła ją nieopisana radość. Usiadła na łóżku i wybuchnęła gromkim śmiechem, aż łzy popłynęły jej po policzkach. Uniosłam się nieco

1 spoglądałam na nią z nie ukrywaną odrazą.

— Przepraszam — rzekła, ocierając oczy i próbując się opanować. Chrząknęła. — Przepraszam cię.

— Co się dzieje? — spytałam, gdy w końcu usiadła prosto.

— Pokażę ci — obiecała. — Ale bądź cicho.

Podeszła do interkomu i włączyła go, po czym zaczęła mówić śpiewnym, jęklwym głosem:

— Anno — zaintonowała. — Ooooooo, aaaaaaa. Patrzyłam zafascynowana.

— Co ty wyrabiasz? — spytałam.

— Zamknij się — syknęła, wyłączając urządzenie. — Nie rozumiesz? Załatwiłam jej spotkanie z duchem.

— Jak to? — Byłam kompletnie oszołomiona.

— Adeptka lotów kosmicznych Anna siedzi w pokoju dziennym i nic nie wie o interkomie, więc myśli, że słyszy głosy — wyjaśniła niecierpliwie Helen. — A teraz bądź cicho.

Znowu zaczęła śpiewnie zawodzić. Powiedziała Annie, że jest jej duchowym przewodnikiem, więc musi być miła dla swojej siostry Helen i

tym podobne bzdury. Dobrze pół godziny klęczała przy interkomie, jęcząc i szepcząc do mikrofonu.

Przez kilka następnych dni, gdy tylko ktoś znajdował się sam w pokoju na dole, Helen natychmiast przychodziła do mojej sypialni, gdzie spędzała całe wieki, opowiadając tej osobie, że jest jej sumieniem lub aniołem stróżem i że musi być szczególnie miła dla swojej siostry / córki / przyjaciółki (właściwie podkreślić) Helen.

Robiła to jeszcze długo po tym, jak wszyscy się zorientowali, że ten nieludzki głos pochodzi od Helen, i z uśmiechem ją ignorowali.

Oznaczało to, że nie miałam chwili spokoju.

A doznane rozczarowanie niemal zabiło Annę.

Tymczasem wciąż lało jak z cebra. Woda wystąpiła z brzegów kanału, ulice były nieprzejezdne, stały na nich porzucone przez właścicieli samochody. Słyszałam o tym od innych ludzi, bo sama nie ruszałam się z domu.

Cały czas myślałam o Jamesie. Śniłam o nim. Cudowne sny, w których ciągle byliśmy razem. A gdy się budziłam, na kilka chwil zapomniałam, gdzie jestem i co się wydarzyło. Nurzałam się cała w tym bajkowym, ciepłym, szczęśliwym, nierealnym doznaniu. Ale potem wracała mi pamięć. I waliła mnie obuchem w głowę.

Nie miałam od niego żadnych wiadomości. Absolutnie żadnych. Myślałam, że mniej więcej po tygodniu skontaktuje się ze mną, by zapytać, jak się czuję, a przynajmniej, jak miewa się Kate. Nie mogłam pojąć, że w ogóle się nią nie interesuje, nie mówiąc już o mnie.

Nawet nie wiedział, że jego córeczka ma na imię Kate. To było najsmutniejsze.

Zatelefonowałam do Judy mniej więcej pięć dni po powrocie do Dublina. Spytałam ją, czy James wie, gdzie jestem. Wstrzymałam oddech, oczekując odpowiedzi. Miałam ogromną nadzieję, że usłyszę, iż on nie ma pojęcia, gdzie się podziewam. To by wyjaśniało, dlaczego się ze mną nie skontaktował. Niestety. Judy ze smutkiem odparła, że James wie, gdzie jestem. Wtedy — z rozdartym sercem — spytałam, czy James cały czas mieszka z Denise. Ponownie usłyszałam odpowiedź twierdzącą.

Poczułam, że serce mi krwawi. Że umiera.

Podziękowałam Judy, przeprosiłam jeszcze raz za postawienie jej w tak niezręcznej sytuacji i odłożyłam słuchawkę. Ręce mi się trzęsły, na czole miałam kropelki potu, w sercu czułam ogromny ból.

Były chwile, gdy myślałam, że James prędzej czy później naprawdę do mnie wróci. Że kocha mnie tak bardzo, iż nie potrafi przestać mnie kochać w jednej chwili. Że jego przyjazd jest tylko kwestią czasu — oto pojawi się u mych drzwi ogarnięty wyrzutami sumienia, niepewny, czy nie jest jeszcze za późno, by odzyskać żonę i dziecko. A w takim razie powinnam chyba wstać z łóżka, umyć włosy, nałożyć makijaż i jakieś schludne ubranie, by uhonorować jego bliski przyjazd. Lecz wtedy przypomniałam sobie, jak bardzo przewrotna jest fortuna. Im ohydniej wyglądałam, tym większa była szansa, że właśnie wtedy nieoczekiwanie pojawi się James.

Tak więc pozostałam w nocnej koszuli, swetrze ojca i grubych skarpetach. Już zapomniałam, jak wygląda szminka.

Nieraz miałam zamiar do niego zadzwonić. Ale to pragnienie zawsze nachodziło mnie w środku nocy. Ogarniała mnie panika, gdy uświadamiałam sobie ogrom doznanej straty. Nie wiedziałam jednak, w jaki sposób mam nawiązać z nim kontakt. Nie umiałam się poniżyć, by poprosić Judy o numer telefonu mieszkania, w którym mieszkał z Denise. W ciągu dnia mogłam zadzwonić do niego do pracy, lecz ciekawość i ochota na rozmowę z nim nigdy nie nawiedzały mnie o tej porze. Bardzo mnie to cieszyło. A co dobrego wyniknęłoby, gdybym zatelefonowała? Co miałabym mu powiedzieć?

„Czy nadal mnie nie kochasz? Wciąż kochasz Denise?” Na co on odparłby: „Na pierwsze pytanie odpowiedź brzmi nie, na drugie tak. Dzięki, że zadzwoniłaś. Do usłyszenia”.

Wraz z upływem czasu powoli zmieniały się moje odczucia. Bardzo powoli. Krajobraz pustyni zmienia się stopniowo, gdy podmuchy wiatru wzbijają w powietrze i przenoszą ziarenka piasku czasem o metr, a czasem o całe kilometry, tak więc pod koniec dnia, gdy zachodzi słońce, obraz

pustyni jest zupełnie inny od tego, który był o świcie. W ten sam sposób we mnie również następowały pewne zmiany.

Były jednak zbyt małe, bym postrzegala je na bieżąco.

Nie tyle opuścił mnie ogromny, przytłaczający ciężar poczucia beznadziei, ile zjawilo się coś nowego. Panie i panowie, powitajcie gorącymi brawami Upokorzenie.

Tak, zaczęłam czuć się upokorzona.

Już słyszę, jak mówicie: „Dlaczego tak długo z tym zwlekałaś?”

Wybaczcie, ale przerabiałam wtedy Stratę i Porzucenie.

Zrazu przyszło niewielkie ukłucie. Takie dziwne uczucie, gdy pewnego dnia zaczęłam się zastanawiać, od kiedy Judy wiedziała o Jamesie i Denise. To uczucie nadymało się niczym balon do chwili, w której upokorzenie całkowicie przyćmiło wszystkie moje pozostałe doznania. Sprawiało mi okrutny, fizyczny ból. Napełniało moją duszę wstydem.

Ciekawe, kto jeszcze wiedział o romansie Jamesa.

Czy wiedziały o tym wszystkie moje przyjaciółki i rozmawiały na ten temat między sobą, dręczone dylematem, czy mają mi powiedzieć?

Czy mówiły coś w rodzaju: „Nie możemy jej teraz oświecić, gdy jest w ciąży”.

Czy patrzyły na mnie z litością?

Czy dziękowały Bogu, że same mają mężów i chłopaków, którym mogą całkowicie ufać?

Czy mówiły sobie: „Jedyne, czego mój Dave / Frank / William na pewno by się nie dopuścił, to zdrada z inną kobietą. Być może nie pomaga mi w domu / nie daje dość pieniędzy / nigdy nie dyskutuje ze mną o ważnych sprawach, ale przynajmniej jest mi wierny”.

Czy patrząc na mnie, wzdychały z ulgą i mówiły, nawet z poczuciem winy: „Jak dobrze, że przytrafiło się to jej, a nie mnie”.

Byłam wściekła. Chciałam wykrzyknąć całemu światu: „To nieprawda! Myślałam, że mogę ufać mojemu mężowi! Myślałam, że jest zbyt leniwy, by angażować się w romans. A jednak mnie zdradził. Tak samo mógł to zrobić Dave / Frank / William. Może już mają romans. Albo mieli. Może gdy twój mąż wyjechał do Francji na mecz rugby, kochał się tam

z inną kobietą. Nie wiesz tego. Wszystko jest możliwe. Nie pytaj, komu bije dzwon. Bo powiem ci, że bije on tobie".

Myśląc o Denise, doznawałam nieprzyjemnego skurczu. Gdy przypomniałam sobie, jak kurtuazyjnie rozmawialiśmy o pogodzie, jak chwaliłam jej wygląd, opowiadałam o przebiegu ciąży, sądząc, że jest taka miła, a ona tymczasem uprawiała seks z moim mężem i rozkochała go w sobie. W takiej chwili pragnęłam cofnąć się w czasie, chwycić siebie samą za kołnierz i mimo własnych protestów odciągnąć się od Denise, po czym udzielić sobie reprimendy i nakazać, jak matka niesfornemu dziecku: „Nie rozmawiaj z tą okropną kobietą".

A potem chciałam stłuc Denise na kwaśne jabłko.

Bardzo upokarzała i krępowała mnie myśl, że wszyscy wiedzieli o Jamesie i Denise, podczas gdy ja żyłam w błogiej nieświadomości.

Nie chciałam być uważana za ofiarę. Czułam się jednak bardzo żalśnie, głupio, potwornie upokorzona.

Zaczęła mnie ogarniać coraz większa złość na Jamesa.

Uczucie poniżenia spływało na mnie stopniowo. Wnikało we mnie, by pewnego dnia odwrócić się w moją stronę z uśmiechem i powiedzieć: „Witaj", jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. „Pamiętasz mnie? Myślę, że mojej przyjaciółki Zazdrości też nie muszę ci przedstawiać".

Trudno mi uwierzyć, że dopiero po trzech tygodniach zaczęłam odczuwać zazdrość. Zawsze myślałam, że jeśli kochany przeze mnie mężczyzna prześpi się z inną, od razu spłynie na mnie ogromna fala zazdrości. Jednak w obecnej sytuacji znalazła się na dole listy, daleko za Stratą, Samotnością, Beznadziejnością i Upokorzeniem.

Nie myślałam dużo o tym, że James jest z Denise. Raczej o tym, że nie jest ze mną. Że to bardziej moja strata niż jej zysk.

W jednej chwili to się zmieniło.

Któregoś popołudnia siedziałam z matką, gdy włączyła magnetowid i włożyła kasetę z jakimś filmem, który miał być romanssem, a okazał się zwykłą pornografią i całkowicie zaabsorbował jej uwagę. Co chwilę syczała z dezaprobatą. Staralam się śledzić akcję, jednocześnie karmiąc Kate, lecz co chwila traciłam wątek.

— Z kim on się teraz kocha? Czy to ta kobieta z windy?

— Nie, głupia — odparła mama. — To jej córka.

— Myślałam, że został złapany w łóżku z tą z windy.

— Tak było — wyjaśniła uprzejmie mama. — Ale teraz ją zdradza z jej własną córką.

— Biedna kobieta z windy — powiedziałam współczująco. Mama spojrzała na mnie bystro. Czułam, że zastanawia się,

czy zaraz nie wybuchnę płaczem. Na pewno żałowała, że nie wypożyczyła czegoś łagodniejszego, na przykład *Horror w Amityville* albo *Masakra w Teksasie*.

Oglądałam kochanków na ekranie, zaznajających przyjemności kosztem szczęścia kobiety z windy. I nagle pomyślałam o Jamesie i Denise w łóżku.

Głos we wnętrzu mojej głowy powiedział mi, że oni to robią.

Sypiają ze sobą. Uprawiają seks. Zatracają się w namiętności. Ona go dotyka, śpi z jego pięknym ciałem, smakowitą skórą, jedwabistymi czarnymi włosami. Obudziwszy się, może patrzeć na śpiącego Jamesa, na długie czarne rzęsy, rzucające na jego twarz niewielkie cienie.

Zaczęłam się zastanawiać, jak oni razem wyglądają. Jak on ją traktuje? Jaki jest, będąc przy niej?

Czy rano delikatnie ociera lekko zarośniętą szczękę o jej twarz, tak jak robił to mnie, a potem śmiał się, ukazując swe białe zęby, gdy krzyczałam oburzona?

Czy ona zasypia z głową na jego muskularnej piersi, z ręką przerzucaną przez jego brzuch, czując emanującą z jego lekko opalanej skóry delikatną woń wody Tuscany, podczas gdy on obejmuje ją ramieniem za szyję, tak samo jak kiedyś było ze mną?

Czy budzi ją rano, przesuwał dłoń po jej udach, tak jak robił to mnie, natychmiast wzbudzając u niej pożądanie, tak jak kiedyś u mnie?

Czy przygważdża ją do łóżka, przytrzymując jej dłonie nad głową, unieruchamiając nogami jej nogi, uśmiechając się do niej, podczas gdy ona jest cudownie bezbronna, a on zbliża się do niej, wywołując w niej żądę, tak jak robił to ze mną?

Czy całuje ją, trzymając w ustach kostkę lodu, i sprawia, że jej usta stają się zimne, jej ciało zaś ogarnia ogień namiętności, tak jak to robił ze mną?

Czy delikatnie gryzie ją w szyję i ramiona, rozbudzając w jej ciele elektryzujące dreszcze, tak jak robił to ze mną?

A czy jej pierwszą myślą zaraz po przebudzeniu się jest: „Boże, jakież on piękny, a w dodatku jest ze mną w łóżku”? Boja tak właśnie myślałam.

Byłam chora z zazdrości.

A może robią to inaczej? Może ona jest w łóżku inna niż ja? Jakie ma ciało? Czy ma mniejszy tyłek, większe cycki, bardziej płaski brzuch, dłuższe nogi? Czy ma fantazję i potrafi doprowadzić go do szaleństwa?

Zastanawiałam się nad tym wszystkim, chociaż znałam Deni-se i mogłam sama sobie odpowiedzieć na większość pytań. (Mniejszy tyłek? Nie. Większe cycki? Tak. Bardziej płaski brzuch? Mało prawdopodobne. Dłuższe nogi? Trudno powiedzieć. Pewnie mamy takie same).

Nie zachowywała się jak napalona kocica. Zawsze wydawała się miła i... hm, taka normalna, ale teraz w moich myślach była Heleną Trojańską, Sharon Stone albo Madonną.

Zazdrość rozrywała mnie na części.

To tak, jakbym miała w piersiach rozżarzoną, kolczastą kulę, która rozsyłała po moim ciele zielone, śmiertcionośne promienie, dławiąc mnie do tego stopnia, że ledwie mogłam oddychać.

W mojej wyobraźni powstawały obrazy ich dwojga razem w łóżku.

Nie mogłam znieść myśli, że on jej pożąda. Wywoływało to u mnie ogromną, nie dającą się opanować wściekłość. I furję. Miałam ochotę zabić ich oboje, płakać histerycznie. Czułam, że ta zazdrość mnie oszpeca, deformuje mi zzieleniałą twarz.

To taka wstrętna emocja. I bezsensowna. I prowadzi donikąd.

Jeśli tracisz kogoś lub coś, czujesz żal, a po jakimś czasie wypełniasz tę pustkę w swoim życiu i żal powoli mija. Ból ma swoje uzasadnienie. Ma swój cel i kierunek.

Lecz zazdrością nie mogłam niczego zyskać. I wcale nie była mi potrzebna, ale została wywołana całkowicie przeze mnie. Źródłem cierpienia była moja własna wyobraźnia.

Był to emocjonalny równoważnik sytuacji, w której wzięłabym brzytwę i rozcięła sobie ramię, brzuch albo nogę. Zazdrość to samookaleczenie. Bolesne i bezsensowne.

Ja zaś odczuwałam ból nie dlatego, że coś mi się stało, ale przeciwnie — dlatego, że czegoś mi zabrakło. Dlaczego nie mogło być moim udziałem coś, co istniało między dwojgiem innych ludzi? I dlaczego sprawiało mi to tyle cierpienia?

Nie miałam zielonego pojęcia.

Po prostu wiedziałam, że tak właśnie jest.



Rozdział 7

Okres, który nastąpił później, określa się w naszym domu mianem „epoki wielkiego terroru”. Nawet obecnie Helen robi do tego aluzję, mówiąc coś w rodzaju: „Czy pamiętasz czas, gdy zaczęłaś się zachowywać jak Adolf Hitler, a my wszyscy znienawidziliśmy cię i pragnęliśmy, żebyś wróciła do Londynu?”

Zaszła we mnie przerażająca zmiana.

Tak jakby ktoś przekręcił kontakt.

Poczucie smutku, osamotnienia i przygnębienia ustąpiło miejsca wybuchowi złości, zazdrości i żądy zemsty na Denise i Jamesie. Miałam wizje rozmaitych nieszczęść, jakie na nich spadają.

Nie obrażałam nikogo, gdy przechodziłam etap leżenia w łóżku, gdyż z powodu silnej depresji ledwie mogłam zebrać dość sił, by się w ogóle odzywać. Pewnie byłam trochę nudna i nie bardzo się nadawałam do odkurzania czy innych prac w gospodarstwie domowym, ale poza tym w ogóle nie chciało mi się ruszać.

Teraz zachowywałam się jak szaleniec na wolności. Było we mnie tyle złości i nienawiści, a nie miałam pod ręką jedyne go człowieka, na którym powinnam wyładować całą swoją wściekłość, czyli Jamesa. Tak więc zamiast na niego, zaczęłam się wydzierać na niewinnych członków mojej rodziny, którzy nie tylko nie wchodzili mi w drogę, ale nawet próbowali mi pomagać.

Kiedy tylko przyjechałam z Londynu, wszyscy z szacunkiem odnosili się do mojego cierpienia. Czułam się trochę jak bohaterka z epoki wiktoriańskiej, która doznała miłosnego zawodu i nie miała innego wyboru, jak tylko odwrócić się twarzą do ściany i umrzeć z żalu, aczkolwiek w piękny sposób, pośród woni aromatycznych soli. Jak Michelle Pfeiffer w *Niebezpiecznych związkach*.

Teraz bardziej przypominałam Christophera Walkena w *Łowcy jeleni*. Psychol. Świr. Stanowiłam zagrożenie dla otoczenia i dla samej siebie.

Chodziłam po domu z dzikim wzrokiem. Na mój widok cichły wszelkie rozmowy. Mama i tata patrzyli na mnie ze strachem. Anna i Helen

LPR

Nie miałam na sobie wojskowego kamuflażu, nie nosiłam przewieszzonego przez pierś pasa z nabojami ani granatu w kieszeni czy też wzbudzającej przerażenie automatycznej broni. Mojej twarzy nie zdobiła maskująca farba (choć teraz przestaję być tego taka pewna. Na tym okropnym etapie zupełnie zarzuciłam kąpiele). Jednak czułam w sobie taką siłę, jakbym miała całe to wyposażenie. Nic dziwnego, że wylekniiona rodzina patrzyła na mnie jak na Rambo.

„Wielki terror” zaczął się tego dnia, kiedy oglądałam z mamą ów film na wideo. (Nie będę wchodziła w szczegóły tego, co się stało. Za bardzo się wstydzę. W każdym razie właściciel wypożyczalni zgodził się wycofać oskarżenie. To, co powiedział, było całkowicie zgodne z prawdą. Oni tylko oferują kasety. Treść filmów nie odzwierciedla osobistych opinii ani etyki pracowników wypożyczalni. Po prostu byłam wtedy mocno przewrażliwiona).

„Wielki terror” ciągnął się przez następne dni. Każdy drobiazg mógł wywołać u mnie agresję, a zwłaszcza romantyczne sceny w telewizji. W mojej głowie non stop leciała taśma wideo z Jamesem i Denise razem w łóżku. Gdy widziałam na ekranie kochające się pary, wychodziłam z siebie.

Na szczęście nie widziałam kochających się par w rzeczywistości, bo nie odpowiadałabym za swoje uczynki. Mama i ojciec na pewno nie zachowywali się jak zakochane w sobie małżeństwo. Najbardziej romantyczne zdanie, jakie ojciec powiedział jej w ciągu całego tygodnia brzmiało: „Czy w czwartek wieczorem pojedziemy do Centrum Mrożonek?”

Do Helen wciąż przychodzili młodzi zalotnicy, ale ona naigrawała się z ich umizgów i pieskiego oddania. To w pewien sposób sprawiało mi mściwą satysfakcję. Co do Anny, to już zupełnie inna historia, którą być może opowiem przy okazji.

W tym okresie naprawdę dużo płakałam. I przeklinałam. I rzucałam różnymi przedmiotami.

Jak mówiłam, telewizja działała mi na nerwy. Gdy zobaczyłam, jak jakiś facet pochyla się nad kobietą i całuje ją, ogarniał mnie zielony płó-

mień zazdrości, czułam, jak spływa na mnie fala cierpienia i złości. Myślałam o Jamesie. O moim Jamesie z inną kobietą. Przez chwilę była to dla mnie czysta abstrakcja, jakby nadal był ze mną, a ja głupia wyobrażałam sobie „najgorsze możliwe” scenariusze. A potem przypominałam sobie, że to naprawdę się stało, że jest z inną kobietą. Ta świadomość bolała mnie tak samo za każdym razem. Gdy zrozumiałam to po raz dziesiąty, czułam się okropnie, byłam tak samo zszokowana jak za pierwszym razem.

Tak więc mogłam rzucić książką w telewizor albo pantoflem w ścianę, albo butelką Kate w okno. W rzeczy samej rzucałam czymkolwiek, co było pod ręką, w najbliższą powierzchnię. Potem klęłam niczym prostytutka baba i wychodziłam z pokoju, trzaskając drzwiami tak mocno, że zapewne z dachu odrywały się dachówki. Najgorzej było, gdy wchodziłam do dziennego pokoju, w którym grał telewizor. Anna, Helen czy inna obecna tam osoba za pomocą pilota szybko zmieniała kanał na jakiś nieszkodliwy program, na przykład *Uniwersytet telewizyjny*, gdzie akurat nadawano kurs z fizyki stosowanej albo film dokumentalny o działaniu lodówek lub teleturniej, którego wszyscy uczestnicy z pewnością przeszli trepanację czaszki. (Oto przykład ich głupoty: „Co to jest wersalka?”, „Hm, może mieszkanka Wersalu?”)

— Co nadają w telewizji? — warczałam na nich.

— Nic specjalnego... takie tam... — odpowiadali podenerwowani, lekceważąco machając ręką w stronę odbiornika.

Siedzieliśmy w milczeniu, udając, że oglądamy program, a ja w widoczny sposób gotowałam się od środka. Anna, Helen, mama lub ojciec siedzieli sztywno, bojąc się odezwać czy zasugerować zmianę kanału. Czekali więc do końca jakiegoś przyzwoitego fragmentu, by móc wyjść i oglądać dalej to, co chcieli, na telewizorku w pokoju mamy.

A gdy wstawali i kierowali się do drzwi, wsiadałam na nich.

— Dokąd to? — pytałam gniewnie. — Nie możecie nawet znieść mojej obecności w tym samym pokoju? Już i tak mąż mnie opuścił, ale dlaczego tak samo traktuje mnie najbliższa rodzina?

Taka biedna ofiara zatrzymywała się niezręcznie, czując zawstydzenie, ale nie mając ochoty ze mną zostać.

I nienawidząc mnie za to, co robię.

— No więc idź sobie — mówiłam złośliwie. — No idź.

Ponieważ wzbudzałam powszechny lęk, nikt, nawet Helen, nie odważył się powiedzieć mi, że zachowuję się bardzo egoistycznie i jestem — mówiąc dosadnie — wredną suką. TERRORYZOWAŁAM całą rodzinę napadami szału i nieoczekiwanymi zmianami nastrojów.

Jedyną osobą, której okazywałam nieco uwagi, była Kate. A i to tylko czasami.

Kiedy pewnego razu zaczęła płakać, zawołałam do niej ostro: „Zamknij się, Kate!” Niewiarygodne, ale niemal natychmiast umilkła. Cisza, jaka nastąpiła, była czymś niesamowitym. Od tego czasu wiele razy bezskutecznie próbowałam dokładnie skopiować ten okrzyk, kładąc nacisk na poszczególne sylaby. Na przykład: „Zamknij *się*, Kate!” albo „Zamknij się, *Katel*” lub „Za-*mknij* się, Kate!”, ale nie było żadnej różnicy. Radośnie płakała sobie dalej i zapewne myślała: „Ha, raz udało ci się mnie przestraszyć na ułamek sekundy, ale możesz być pewna, że to się już nie powtórzy”.

Roznosiła mnie energia. Moje ciało było za małe, aby ją pomieścić. Wcześniej w ogóle nie miałam siły, a teraz odczuwałam jej nadmiar. I nie wiedziałam, co mam z nią zrobić. Czułam się tak, jakbym miała wybuchnąć. Albo zwariować. Rozdzierały mnie przeciwstawne pragnienia, bo z jednej strony nie chciałam wychodzić z domu, ale z drugiej ciągnęło mnie, by przebiec ze sto kilometrów. Wiedziałam, że zbzikuję, jeśli tego nie zrobię. Miałam w sobie siłę dziesięciu mężczyzn. Przez te okropne dwa tygodnie mogłabym wygrać dziesięć złotych medali olimpijskich w każdej dyscyplinie, jaka przyjdzie wam do głowy.

Czułam, że potrafię biec szybciej, skakać wyżej, rzucać dalej, bić mocniej i podnosić większe ciężary niż jakikolwiek człowiek na świecie.

*

Pierwszej nocy, gdy spłynęła na mnie fala zazdrości, wypilałam pół butelki wódki.

Wymusiłam na Annie pożyczkę na ten cel w wysokości piętnastu funtów, natomiast Helen musiała pójść do sklepu i zrealizować moje zamówienie.

Anna chętnie poszłaby dla mnie do monopolu.

I tak samo chętnie wróciłaby do domu.

Pytanie jednak, kiedy.

Mogłaby zjawić się po tygodniu z jakąś niejasną historyjką, jak to w drodze do sklepu spotkała ludzi, którzy furgonetką jechali do Stonehenge, i pomyślała, że miło by było do nich dołączyć. Albo jak to wyszła ze swojego ciała i ocknęła się dopiero po tygodniu.

Mogłam jej powiedzieć, że nie ma w tym nic dziwnego. Że gdyby poszła do mieszkania swojego chłopaka Shane'a i wypaliła parę skrętów, konsekwencje byłyby właśnie takie. Tylko poprawna nazwa takiego doświadczenia to upadek na głowę, a nie wyjście ze swojego ciała.

Co nie oznacza, że z Helen poszło mi łatwo.

— Utopię się — mruknęła, bo pogoda wciąż była okropna.

— Wcale nie — zapewniłam ją ponuro przez zaciśnięte zęby tonem, który dawał do zrozumienia: „Ale bez trudu da się to załatwić”.

— To będzie cię kosztować — odparła, zmieniając taktykę.

— Ile?

— Piątaka.

— Daj jej jeszcze pięć funtów — rozkazałam Annie. Pieniądze przeszły z ręki do ręki.

— Więc teraz jesteś mi już winna dwadzieścia — powiedziała zaniepokojona Anna.

— Czy kiedykolwiek nie spłacałam swoich długów? — spytałam ją lodowato.

— No, nie. — Za bardzo się obawiała, aby przypomnieć mi, że nadal wiszę jej za butelkę wina, którą „pożyczyłam” od niej pierwszej nocy po powrocie do domu.

— A ty dokąd się wybierasz? — spytałam ostro Helen.

— Na górę. Przebrać się w kostium kąpielowy.

Kiedy po długim czasie, przemoczona do suchej nitki i utyskująca, wróciła ze sklepu, wręczyła mi litrową butelkę wódki w przemokniętej torbie.

Nie poprosiłam jej o zwrot reszty z piętnastu funtów.

Z jej strony propozycja zwrotu reszty także nie padła.

Gdy odkryłam, że butelka została już otwarta i jest w jednej czwartej pusta, Helen już dawno znikła.

Tak samo jak znikły jej szanse dotrwania do dziewiętnastych urodzin.

Gdy tylko ją dopadnę, moja zemsta będzie straszna, będzie krwawym widowiskiem.

Nie należałam do kobiet, które można robić w konia.

Pomimo wypitej wódki wciąż nie mogłam zasnąć. Snułam się po domu, chodziłam z pokoju do pokoju, gdy wszyscy już spali, taszcząc ze sobą butelkę i szklankę. Szukałam miejsca, w którym mogłabym poczuć się bezpiecznie, gdzie te okropne wizje wreszcie przestałyby przelatywać przez moją głowę. Jednak zazdrość i nienawiść nie pozwalały mi zasnąć. Wciąż dawały o sobie znać. Nie mogłam zaznać spokoju.

Zdesperowana pomyślałam, że może uda mi się zasnąć w innym łóżku, w innym pokoju.

Poszłam do dawnej sypialni Rachel. (Wiecie, do pokoju, w którym mieszka, gdy przyjeżdża do domu na głodowy tydzień). Włączyłam światło.

W sypialni panowała taka sama niesamowita atmosfera, jak w pokoju moim i Margaret zaraz po tym, jak przyjechałam z Londynu. Miałam wrażenie, że od dawna nikt tu nie spał, mimo że w szafie nadal wisiały ubrania, na ścianach plakaty, a pod łóżkiem stał jakiś talerz.

Zauważyłam rower treningowy i trener do wiosłowania, które ojciec kupił jakieś dziewięć lat temu, gdy na krótko zapalił się do intensywnych ćwiczeń.

Stały pokryte kurzem na podłodze w pokoju Rachel — przestarzałe, skrzypiące, oblepione pajęczynami, w niczym nie przypominające współ-

czesnych urządzeń, naszpikowanych elektroniką, wyposażonych w odpowiednie programy, monitory, liczniki kalorii.

Patrzyłam z rozczuleniem na te prehistoryczne maszyny, które wywołały we mnie falę wspomnień.

Jacyż byliśmy podekscytowani w dniu, gdy je przywieziono!

Tata, moje siostry i ja.

Jedynie mama nie przejawiała radości. Powiedziała, że nie rozumie, po co to całe zamieszanie.

Że nie ma ochoty zadawać sobie bólu i cierpienia. Że ma już tego nadmiar w codziennym życiu jako żona i matka pięciu córek.

Ale my wpadliśmy w prawdziwą euforię.

Asystowaliśmy pilnie przy wyładunku i instalacji pokrytych chromem urządzeń, wydając okrzyki radości.

Wszyscy mieliśmy wielkie nadzieje i oczekiwania w związku z tymi maszynami. Wydawało się nam, że nawet najkrótszy z nimi kontakt upodobni nas cieleśnie do Jamie Lee Curtis (ówczesnej gwiazdy), tak więc popyt na korzystanie z nowych nabytków był ogromny.

Ojciec także powiedział, że chce mieć ciało jak Jamie Lee Curtis. Mama przez tydzień nie odzywała się do niego.

Z początku walczyliśmy między sobą, by uzyskać dostęp do nich i ćwiczyć.

Urządzenia pracowały przez całą dobę — niczym fabryki zbrojeniowe podczas wojny. Zawsze były do nich kolejki.

Powiedzmy sobie, że ludzie nie zawsze honorowo i z szacunkiem traktują system kolejkowy. Dochodzi do aktów przekupstwa i usuwania z zajmowanego miejsca.

Podczas ognistych kłótni, kto ma być następny, padło niejedno ostre słowo, połała się niejedna łza.

Szczególnie upodobałyśmy sobie rowerek. Margaret, Rachel i ja miałyśmy obsesję na punkcie wielkości naszych tyłków i ud.

Trenażer do wiosłowania nie cieszył się tak dużym powodzeniem, gdyż ze względu na nasz młody wiek nie miałyśmy jeszcze pojęcia, że ludziom grubieją także ramiona.

Margaret, Rachel i ja spędziłyśmy większość naszych młodzięcych lat, stając tyłem do dużego lustra. Wykręcałyśmy szyje aż do bólu, by odwrócić głowy i zobaczyć, jak od tyłu wyglądają nasze pupy.

Zaniepokojone pytałyśmy się nawzajem: „Jak wygląda mój tyłek? Wielki czy średnio wielki?”

Marnowałyśmy mnóstwo czasu, katując się i martwiąc o rozmiar naszych tyłków.

Każda para dzinsów, jaką kupowałyśmy lub mierzyłyśmy, musiała poddać się weryfikacji pod kątem zdolności do zmniejszenia pupy. Każda bluzka, sweter czy żakiet był podobnie oceniany pod względem predyspozycji do zakrywania rzeczonoego tyłka.

Obsesja na punkcie wielkich rozmiarów naszych pośladków mogła równać się jedynie z obsesją na punkcie znikomych gabarytów naszych piersi.

Jakież to było smutne!

Gdyż naprawdę byłyśmy śliczne.

Miałyśmy piękne figury.

I o niczym nie miałyśmy zielonego pojęcia.

Rachel często mawiała, że wolałaby żyć w dawnych czasach. Dokładniej w epoce wielkiego głodu. Kiedyś powiedziała do mnie z nostalgią w głosie: „Wyobraź sobie tylko, jakie byłybyśmy chude, gdybyśmy przez kilka miesięcy jadły tylko trawę i kamienie”.

Zapłaciłabym teraz kupę forsy, żeby mieć takie ciało, jakie miałam wtedy.

Na myśl o tym wpadłam w panikę. „Jezu, czy nadejdzie kiedyś dzień, gdy zapragnę wyglądać tak jak dzisiaj?”

Może powinnam cieszyć się ze swojego obecnego wyglądu, nawet jeśli uważałam, że jest beznadziejny? Bo pewnego dnia znowu zapragnę tak wyglądać.

Chociaż z drugiej strony nie potrafiłam sobie wyobrazić siebie aż tak zdesperowanej.

Naturalnie fascynacja urządzeniami treningowymi szybko nam przeszła w wyniku kombinacji wypadków i doznanych rozczarowań.

Chociaż Helen miała dopiero dziewięć lat, uznała, że tylko ona wie, jak działa trenażer do wiosłowania. Zgromadziła nas, by dokonać demonstracji. Dla większego wrażenia ustawiła zbyt wielkie obciążenie, a potem bez rozgrzewki usiłowała ćwiczyć. Szybko naciągnęła sobie mięsień w klatce piersiowej.

Wywołała tym ogromne zamieszanie.

Nawet ofiary hiszpańskiej inkwizycji nie krzyczały tak głośno, nie awanturowały się tak jak ona.

Twierdziła, że ma sparaliżowany cały bok, a ulgę przynosiła jej tylko nasza nieustanna atencja oraz ogromne ilości czekolady.

Już od najmłodszych lat Helen była sobą.

Mówiła, że odczuwa nieznośny ból. I poprosiła doktora Blenheima, by ulżył jej cierpieniom. My także stwierdziłyśmy, że nie jesteśmy w stanie dłużej znosić jej bólu i należy jak najszybciej przerwać jej niedolę.

Ale doktor Blenheim stwierdził, że jest prawo, które tego zabrania.

Zdaje się, że określił to mianem morderstwa, czy też pozbawieniem życia.

Ojciec zapewnił go, że wolimy nazwać to zabójstwem z litości.

Oczywiście z litości dla nas.

Co więcej, ojciec zapewnił go o naszej całkowitej dyskrecji, jednak doktor Blenheim nie dał się przekonać.

Tak więc ponieważ żadna z nas mimo ogromnych wysiłków w najmniejszym stopniu nie zaczęła przypominać Jamie Lee Curtis, poczułyśmy się nieco zawiedzione i podjęłyśmy decyzję o zignorowaniu roweru.

Po jakimś czasie nawet ojciec przestał udawać, że korzysta z naszych urządzeń treningowych. Mruczał coś o przeczytanym w „Cosmopolitan” artykule o przetrenowaniu, które jest tak samo szkodliwe jak zupełny brak ruchu.

Przeczytałam rzeczony artykuł. Dotyczył ludzi obsesyjnie uprawiających ćwiczenia, którzy w najmniejszym stopniu nie przypominali ojca.

Ale z jego punktu widzenia była to doskonała wymówka. Porzucenie przez niego urządzeń treningowych było całkowicie usprawiedliwione.

Korzystał z tej linii obrony za każdym razem, gdy matka gderiała, że urządzenia kosztowały masę pieniędzy, że nigdy nie chciała, by je kupował, że dokładnie przewidziała taki właśnie scenariusz.

Tym sposobem oba trenażery poszły w odstawkę i zaczęły pokrywać się warstwą kurzu, a wraz z nimi różowe legginsy i różo-wo-niebieskie opaski, które kupiliśmy, by dobrze wyglądać.

Po prawdzie nawet ojcu kupiliśmy takie same legginsy i opaskę. Włożył je raz, by zrobić nam frajdę. Zdaje się, że mamy jeszcze zdjęcie, które mu wtedy zrobiłyśmy.

Tak więc byłam bardzo zdziwiona, gdy w pokoju Rachel niemal potknęłam się o rower i trenażer do wiosłowania.

Nie widziałam ich od lat. Myślałam, że już dawno zostały zesłane na Syberię, to znaczy do garażu, gdzie znalazły się razem zhopką, łyżworolkami, deskorolkami, grą „Kerplunk!”, „Trivial Pursuit”, wahadłem, rakietami do squasha, tiki-tiki, rowerkami dla dzieci, taśmami do nauki hiszpańskiego, miniaturowym mostkiem, kajakiem z włókna szklanego i tysiącem innych zabawek, które niegdyś cieszyły się ogromną, lecz krótkotrwałą popularnością — by nie wspomnieć o licznych kłótniach — w naszej rodzinie, zanim straciły nasze względy i zostały rzucone w ciemność, gdzie przebywały w towarzystwie węgla, kosiarki do trawy oraz śrubokrętów.

Ucieszyłam się na ich widok.

Przypomniałam sobie stare dzieje.

Były jak stare przyjaciółki, których nie widziałam od lat, a które nieoczekiwanie spotkałam na swojej drodze.

Z perspektywy czasu zdaję sobie sprawę, że wtedy najbardziej był mi potrzebny worek treningowy, abym mogła wyładować całą swoją wściekłość na Jamesa i Denise.

Jednak pod nieobecność worka i w sytuacji, gdy prawo zabraniało zastąpić go głową Helen, odkrycie roweru i trenażera do wiosłowania było dla mnie darem niebios.

Wiedziałam, że odrobina wysiłku fizycznego może okazać się dla mnie jedynym ratunkiem przed pomieszaniem zmysłów, przed doznaniem ataku szału z zazdrości.

Drugą deską ratunku pozostał już tylko alkohol. I to w dużych ilościach.

Tak więc odstawiłam butelkę i szklankę na toaletkę Rachel i wsia-
dłam na rower, podwijając pod siebie nocną koszulę. Tak, wciąż nosiłam
nocną koszulę mamy. Nie tę samą, którą włożyłam w dniu powrotu do
domu. Nie było aż tak źle. Nie upadłam jeszcze tak nisko. Co nie zmienia
faktu, że koszula pochodziła z tej samej szafy.

Czułam się trochę głupio (choć nie tak bardzo. Przecież wypięłam
już pół butelki wódki), ale zaczęłam pedałowac. Cały dom spał, a ja pe-
dałowałam i pociłam się. A potem wiosłowałam i pociłam się jeszcze
bardziej. Następnie wróciłam na rower, by powiększyć zmęczenie.

James spał sobie smacznie gdzieś w Londynie, obejmując pieśczo-
tliwie ramieniem Denise, podczas gdy ja pedałowałam jak szalona w sy-
pialni, gdzie na ścianach wciąż jeszcze wisiały plakaty Dona Johnsona.
Po mojej nagrzaney, czerwonej twarzy spływały wywołane złością gorące
łzy.

Nie mogłam przestać uzalać się nad sobą. To porównanie wypełniało
moje serce goryczą.

Za każdym razem, gdy wyobrażałam ich sobie w łóżku, pedałowałam
szybciej, jakbym chciała uciec od cierpienia.

Kiedy myślałam, jak ona dotyka jego pięknego, nagiego ciała, do-
znawałam nowego, nagłego przypływu energii i ćwiczyłam jeszcze inten-
sywniej.

Bałam się, że kogoś zabiję, jeśli przestanę pedałowac.

Nie gimnastykowałam się od wielu miesięcy, od lat nie robiłam nic,
co wymagałoby wysiłku (z wyjątkiem urodzenia dziecka), ale wcale się
nie zmęczyłam. Nie dostałam nawet zadyszki.

Im mocniej ćwiczyłam, tym lepiej mi szło.

Czułam się tak, jakbym miała uda ze stali (a wcale takie nie były, za-
pewniam was).

Pedały wirowały z zawrotną szybkością. Miałam wrażenie, że moje nogi są naoliwione — z taką łatwością się poruszały. Jakby ktoś posmarował mi stawy.

Pedałowałam coraz szybciej i szybciej, aż w końcu ból w moim sercu zaczął ustępować. Uspokoiałam się.

Byłam w stanie prawie normalnie oddychać.

Wreszcie zsiadłam z roweru. Kierownica była wilgotna od mojego potu, nocna koszula kleiła się do ciała, a jednak czułam się niemal radośnie.

Wróciłam do swojej sypialni i położyłam się.

Kate spojrzała na moją czerwoną twarz i mokrą koszulę, lecz nie wydawała się specjalnie zainteresowana tym widokiem.

Położyłam rozpaloną twarz na chłodnej poduszce i wiedziałam, że teraz już zasnę.

Obudziłam się wczesnym rankiem, nawet wcześniej niż Kate. Prawdę mówiąc, nastąpiło odwrócenie ról, gdyż to ona obudziła się na dźwięk mojego płaczu.

„Widzisz teraz, jak to jest”, pomyślałam, łkając. „Czy to jest sposób na rozpoczęcie dnia?”

Widmo zazdrości i furii powróciło.

Stały nade mną, gdy spałam. Patrzyły na mnie z góry.

— Czy powinnyśmy ją obudzić? — spytała jedna z nich.

— Dobrze — powiedziała Zazdrość. — Chcesz to zrobić?

— Nie, może ty? — rzekła grzecznie Furia.

— Z przyjemnością — odparła z wdzięcznością Zazdrość. Chwyciła mnie bezceremonialnie za ramię i potrząsnęła mocno, aż się obudziłam.

No i wróciłam na jawę, a w mojej głowie natychmiast pojawił się obraz Jamesa w łóżku z Denise.

Gorycz i wściekłość powróciły, przenikając mnie niczym trucizna.

Więc gdy karmiłam Kate, dopiłam resztę wódki, a potem wróciłam do pokoju Rachel i znowu wsiadłam na rower.

Jeśli na świecie istnieje sprawiedliwość, po wysiłku ostatniej nocy powinnam być sztywna jak pogrzebacz. Jednak w ciągu ostatniego miesiąca przekonałam się, że żadnej sprawiedliwości nie ma.

Więc nie byłam sztywna jak pogrzebacz.

Cały następny tydzień zżerała mnie zazdrość i gniew. Nienawidziłam Jamesa i Denise. Terroryzowałam rodzinę, nawet o tym nie wiedząc. A gdy już nie mogłam wytrzymać, wsiadałam na rower i starałam się pedałowaniem wyładować swoją złość. Za dużo też piłam.

Byłam dłużna Annie fortunę.

Helen wyłudzała ode mnie grube pieniądze za to, że chodziła do sklepu po alkohol.

A prawo popytu i podaży nie pozostawiało mi wyboru — musiałam jej płacić.

Stałam się klientką na wolnym rynku.

Można powiedzieć, że byłam na jej łasce.

Mogłam jej zapłacić albo iść do sklepu sama.

Ale nie byłam jeszcze gotowa do wyjścia z domu.

Dlatego dawałam jej pieniądze.

A raczej Anna jej dawała, boja nie miałam żadnej gotówki.

Miałam szczyry zamiar, by oddać Annie dług, ale w swoim czasie. Nie martwiłam się o to, że powoduję duży uszczerbek w jej finansach.

A powinnam była.

Przecież ona żyła z zasiłku.

I musiała zaspokajać swój średnio mocny narkotykowy głód. Ale ja myślałam tylko o sobie.

Większość czasu byłam w jakimś stopniu odurzona alkoholem. Myślałam, że w ten sposób ulżę swoim cierpieniom, przestanę odczuwać złość. Lecz wcale mi to nie pomogło. Czułam się zdezorientowana i zagubiona. A gdy trzeźwiałam, popadałam w ogromną depresję. Było mi naprawdę źle. To znaczy do momentu, aż znowu się napiłam i alkohol podjął przerwane chwilowo działanie na moją psychikę.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek to powiem, lecz alkohol niczego nie załatwia.

Może narkotyki.

Ale nie alkohol.

Dopiero gdy przypadkowo usłyszałam rozmowę między mamą, Helen i Anną, dotarło do mnie, jaka byłam okropna.

Właśnie miałam wejść do kuchni, kiedy zaczepiłam rękawem swetra (należącego w istocie do ojca) o uchwyt wbudowanej w ścianę szafki.

Uwalniając się, posłyszałam dobiegający z kuchni głos Helen.

— Ależ z niej podła suka. A my boimy się oglądać w telewizji filmy, na których się całują, żeby przypadkiem nie dostała ataku wściekłości.

Zastanawiałam się, o kim rozmawiają, ale gotowa byłam przyłączyć się do krytyki obgadywanej osoby, bez względu na jej tożsamość. Taka właśnie wtedy byłam — wredna i zgorzkniała.

— Tak — zgodziła się Anna. — A wczoraj, gdy oglądałyśmy telewizję, rzuciła w drzwi wazonem, który zrobiłam dla ciebie na Boże Narodzenie, tylko dlatego, że Sheila powiedziała Scottowi, że go kocha.

— Naprawdę? — spytała mama pełnym oburzenia głosem. Z przerażeniem stwierdziłam, że rozmawiają o mnie. Tak, bez wątpienia. To ja rzuciłam tym okropnym wazonem w drzwi. Bezczelne!

Stałam cicho pod drzwiami, podsłuchując. Świnia.

— Nie mogę w to uwierzyć — podjęła wstrząśnięta matka. — A co Scott na to powiedział?

— Mamo, czy nie możesz na pięć minut zapomnieć o swoich telefonach? — Helen niemal zanosła się płaczem. — To poważna sprawa. Claire zachowuje się jak potwór.

„Hm, być może, ale wszystkiego nauczyłam się od ciebie”, pomyślałam złośliwie.

— Wygląda, jakby ją coś opętało! — ciągnęła Helen.

— Myślisz, że to możliwe? — spytała podniecona Anna, najwyraźniej gotowa wyciągnąć swój kalendarzyk i podać im nazwisko dobrego egzorcysty. („Słyszałam, że jest świetny. Wszyscy moi znajomi korzystają z jego usług”).

— Posłuchajcie, dziewczęta — rzekła łagodnie mama. — Ona dużo przeszła.

„No pewnie, cholera jasna”, zgodziłam się w myślach, stojąc bez ruchu przy drzwiach.

— Okażcie jej trochę współczucia. I cierpliwości. Nawet nie wiecie, jak ona okropnie się czuje.

„Z całą pewnością”, przytaknęłam po cichu. Nastąpiło milczenie.

„Dobrze, zawstydziły się”, pomyślałam.

— Wczoraj w nocy rozbiła twoją popielniczkę z Aynsley — mruknęła Helen.

— Co takiego? — spytała ostro mama.

— To prawda — potwierdziła Anna. „Zdrajczyni”, pomyślałam.

— Rozumiem — stwierdziła zdecydowanym głosem mama. — Tego już za wiele.

— Ha! — triumfowała Helen, zwracając się zapewne do Anny. — Mówiłam ci, że mamie nie podoba się ten wstrętny wazon, który dla niej zrobiłaś. — Wiedziałam, że tylko udaje zachwyty. W przeciwnym razie byłaby zła, że Claire rzuciła nim w drzwi. A przecież zdenerwowała się tą popielniczką, prawda?

„Czas na mnie”, pomyślałam. Wstrząśnięta wróciłam na górę. Doznałam dziwnego uczucia.

Nieco później sprawdziłam to w swoim emocjonalnym leksykonie i zidentyfikowałam je. Nie mogłam mieć wątpliwości. To był wstyd.

Tego samego wieczoru leżałam na łóżku, popijając jabłecznik, gdy odwiedził mnie ojciec. Oczekiwałam go.

Tak działo się zawsze, ilekroć za młodu byłam niegrzeczna. Mama odkrywała jakiś mój występki albo wybryki i wytaczała ciężką artylerię, czyli mówiła o wszystkim ojcu.

Zapukał cicho i z niepewną miną zajrzał do sypialni.

Minęło dużo czasu, odkąd musiał to zrobić poprzednim razem. Nie wątpiłam tuż za nim stała matka z elektrycznym batem w ręku i syczała: „Wejź i powiedz jej o gniewie Bożym. Bo mnie nie chce słuchać, a ciebie się boi”.

— Witaj, Claire. Czy mogę wejść? — spytał.

— Siadaj, tato. — Wskazałam łóżko, pośpiesznie chowając do szafki w połowie pustą butelkę wysokoprocentowego jabłecznika.

— Witaj, moja ulubiona wnuczko — powiedział do Kate. Nie dosłyszałam jej odpowiedzi.

— No tak! — próbował być jowialny.

— No tak — zgodziłam się sucho. Nie ułatwiałam mu zadania.

Dreńczyły mnie mieszane uczucia. Była to kombinacja wstydu, upokorzenia, zażenowania moim dziecinnym zachowaniem, lęku przed reprimendą, niechęci do traktowania mnie jak dziecka i świadomości, że nadszedł czas, bym przestała zachowywać się jak egoistyczna suka.

Ojciec ciężko usiadł na łóżku, zgniatając leżącą na kołdrze pustą puszkę po piwie, której nie zauważył.

Wyjął ją i pokazał mi ze smutkiem.

— Co to jest? — spytał.

„A na co to wygląda?”, chciałam odpowiedzieć. Znowu poczułam się jak piętnastolatka odczuwająca wyrzuty sumienia.

— Puszka po piwie — wymamrotałam.

— Pomyśl, jak czuje się twoja matka. — Zaczął grać na moim poczuciu winy. — W biały dzień leżysz w łóżku i w samotności popijasz piwo.

„To jeszcze nic”, pomyślałam ze strachem. Miałam nadzieję, że nie rzuci się nagle na podłogę i nie zauważy dwóch pustych butelek po wódce leżących pod łóżkiem.

Ogarnęła mnie panika, poczułam wstyd. Nie mogłam się doczekać, kiedy sobie pójdzie. Biedak, nie miał o niczym pojęcia. Musiałam pozbyć się tych dwóch butelek, zanim wróci tu w piątek z odkurzaczem, żeby posprzątać pokój.

A może wcale by ich nie znalazł?

Gdy chodziło o odkurzanie, jego mottem był pośpiech.

Nie uznawał przesuwania mebli, na przykład krzeseł, żeby pod nimi posprzątać.

A nawet takich przedmiotów, jak książki czy pantofle, jeśli mam być szczerą.

A nawet chusteczek jednorazowych i agrahek, jeśli miałabym powiedzieć wam całą prawdę.

Pochodził ze szkoły, która wyznawała zasadę: „Po co sprzątać pod spodem, skoro wystarczy posprzątać dookoła”.

Jeśli czegoś nie widział, nie myślał o tym.

Można powiedzieć, że czego oczy nie widzą, tego odkurzaczowi nie żal.

Więc być może puste butelki po wódce mogły spokojnie spoczywać pod łóżkiem nie odkryte przez dziesiątki lat.

Ale i tak postanowiłam, że się ich pozbędę.

Czułam się zawstydzona i upokorzona swoim zachowaniem. Byłam nieodpowiedzialną egoistką.

— Jesteś nieodpowiedzialną egoistką — stwierdził ojciec.

— Wiem — mruknęłam.

Wyrzuty sumienia spłynęły na mnie z ogromną siłą. I jaką matką byłam dla Kate?

— I jaką matką jesteś dla Kate? — spytał.

— Gównianą — wymamrotałam.

„Biedne dziecko”, pomyślałam. „Jakby nie wystarczyło, że zostawił ją rodzony ojciec”.

— Biedne dziecko — rzekł. — Jakby nie wystarczyło, że zostawił ją rodzony ojciec.

Pragnęłam, by to powielanie moich myśli już się skończyło.

— Smutku nie da się utopić w alkoholu — westchnął — który tylko wzmaga nasze przygnębienie.

Moglibyście pomyśleć, że powiedział coś bardzo mądrego. Sama tak myślałam.

Przez pierwsze osiemset razy, kiedy to słyszałam.

Ale teraz już wiem, co to jest: pierwsza linijka wykładu ojca na temat szkodliwości picia alkoholu.

Słyszałam go już tyle razy, że mogłabym zacytować cały tekst z pamięci.

„To zabawa głupiego”, pomyślałam.

— To zabawa głupiego — powiedział smutno ojciec.

I Bóg jeden wie, że nie chciałabym skończyć jak ciocia Julia.

— I Bóg jeden wie, że nie chciałabyś skończyć jak ciocia Julia.

Biedny ojciec. Ciocia Julia była jego najmłodszą siostrą, a ón musiał brać na siebie cały impet jej alkoholowych kryzysów.

Gdy z powodu pijaństwa traciła pracę, od razu dzwoniła do ojca.

Gdy potrafił ją rower, ponieważ późno w nocy szła pijana jezdnią, do kogo dzwoniła policja? Tak jest. Do ojca.

„To zmarnowane pieniądze”, pomyślałam.

— W dodatku to zmarnowane pieniądze — rzekł ciężko. „Pieniądzy to ja akurat nie mam”.

— A pieniądze to ty nie masz — kontynuował. „I zniszczy mi to zdrowie”.

— I zniszczy ci to zdrowie — stwierdził. „A także oszpeci mnie”.

— I niczego nie rozwiązuje — konkludował.

Pomyłka! Zapomniał mi powiedzieć, że picie alkoholu mnie oszpeci. Lepiej mu przypomnę.

— A także oszpeci mnie — przypomniałam mu delikatnie.

— Właśnie — rzekł szybko. — Oszpeci cię.

— Tato, przepraszam za wszystko. Wiem, że byłam okropna dla wszystkich, że wszyscy martwiliście się o mnie, ale już przestanę. Obiecuję.

— Dobra dziewczyna. — Uśmiechnął się do mnie lekko. Poczulałam się tak, jakbym znowu miała trzy i pół roku.

— Wiem, że to dla ciebie niełatwe.

— Ale to żadne usprawiedliwienie dla takiego wrednego zachowania — przyznałam.

Kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Słyszeliśmy jedynie wesołe pochrapywanie śpiącej Kate — może cieszyła się tak samo jak inni, że wreszcie zostałam ukarana

— oraz moje pociąganie nosem.

— I pozwolisz dziewczynom oglądać w telewizji to, co chcą?

— pytał ojciec.

— Oczywiście — chlipnęłam.
— I przestaniesz na nas wrzeszczeć?
— Tak. — Zwiesiłam głowę.
— I nie będziesz już rzucać przedmiotami?
— Nie będę.
— Dobra z ciebie dziewczynka. — Znowu uśmiechnął się delikatnie.
— Bez względu na to, co mówi twoja matka i siostry.

Rozdział 8

Po tej rozmowie, która miała dodać mi animuszu, ojciec pocałował mnie—co prawda niezdarnie, ale mimo wszystko był to pocałunek — po czym nie mogąc spojrzeć mi w oczy, powiedział, że mnie kocha.

Potem delikatnie poruszał maleńką różową stopką Kate i wyszedł z pokoju.

A ja leżałam na łóżku i długo myślałam o tym, co mi powiedział. I o tym, co wcześniej mówiły mama i moje siostry, gdy podsłuchiwałam ich rozmowę.

Wtedy zaszła we mnie pewna zmiana.

W mojej duszy zawitał jakiś spokój. Życie toczy się dalej. Nawet moje życie.

Ostatni miesiąc spędziłam, izolując się od życia na własne żądanie. Długo spałam, piłam alkohol, ćwiczyłam, zarzuciłam kąpiele. A wszystko po to, by odseparować się od normalnego życia.

Bo życie bez Jamesa — za to ze świadomością, że zostałam odrzucona — okazało się zbyt trudne.

Nie chciałam swojego życia.

W każdym razie nie w tej wersji.

Więc zdecydowałam, że będę egzystować bez niego.

Lecz ono nieodparcie wkładało głowę w szczeliny mojego systemu obronnego i zapraszało do dalszej zabawy.

„Ach, tu więc jesteś”, mówiło wylewnie i radośnie podskakiwało, gdy leżałam w samotności na łóżku, popijając wódkę z sokiem pomarańczowym. Obok spoczywał egzemplarz nieśmiertelnego magazynu „Hello”. „Szukałem cię wszędzie. Hej, to mi nie wygląda na wesołą zabawę. Chodź ze mną, znajdziemy jakichś ludzi, z którymi pogadamy i pośmiejemy się trochę”.

„Odwal się i zostaw mnie w spokoju”, odpowiadałam. „Tak jest mi dobrze. Nie chcę z nikim gadać. Ale skoro już tu jesteś, to może przyniosłbyś mi z monopolu butelkę Smirnoffa?”

Jednak po rozmowie z ojcem zdecydowałam, że znowu muszę zacząć żyć.

I muszę przestać myśleć wyłącznie o sobie.

Wiedziałam, że dam radę.

Nadal bardzo kochałam Jamesa. Chciałam, żeby wrócił. Wciąż miałam złamane serce i strasznie za nim tęskniłam. I przez następne stulecie każdej nocy przed snem płakałabym do poduszki.

Ale teraz już nie czułam cierpienia z powodu doznanej straty.

Dostałam po łydkach kijem niewierności i zdrady Jamesa. Upadłam na ziemię, leżałam tam, krzycząc z bólu, i nie mogłam wstać.

Ale doznałam jedynie stłuczenia. Co prawda silnego.

Jednak wbrew pierwszemu wrażeniu żadna z kości nie została uszkodzona. Teraz z bólem stawiałam na nogi, by sprawdzić, czy nadal mogę chodzić.

I chociaż kulałam, ku swojej wielkiej radości stwierdziłam, że chodzić mogę.

Nie twierdzę, że nie czułam zazdrości. Ani gniewu.

Bo czułam.

Ale nie było tak źle. To uczucie nie było już takie silne i okropne.

Powiem tak: nadal chętnie walnęłabym Denise w brzuch albo podbiła Jamesowi oko, gdyby tylko nadarzyła się okazja, ale przestałam fanta-

zjować o tym, jak to zakradam się do ich miłosnego gniazdka i wylewam na ich śpiące ciała pojemnik wrzącego oleju.

Uwierzcie mi — to naprawdę był duży postęp.

Tak więc zakrwawiona i zgięta wpół zdecydowałam się powrócić do świata, jak najmniej rzucając się w oczy.

Zasypiając, liczyłam w myślach swoje otrzymane od Boga dary.

No, nie do końca jest to prawdą. Nie liczyłam ich w dosłownym sensie. Nie mówiłam sobie: „No to mam pięć darów. Teraz mogę szczęśliwie zasnąć”.

Myślałam o dobrych rzeczach w swoim życiu. Było to radykalne odejście od sposobu rozumowania, jaki towarzyszył mi przez ostatni miesiąc.

Miałam śliczną córeczkę.

Miałam kochającą rodzinę. W każdym razie miałam nadzieję, że znowu mnie pokochają, gdy przestanę się zachowywać jak Antychryst.

Nadal byłam dość młoda.

Miałam gdzie mieszkać.

Za pięć miesięcy mogłam wrócić do mojej pracy.

Cieszyłam się dobrym zdrowiem. (Dziwne — nie sądziłam, że powiem coś takiego przed dziewięćdziesiątką).

A przede wszystkim miałam isierkę nadziei, choć nie wiedziałam, skąd się wzięła.

Spałam jak niemowlę.

Tak naprawdę to wcale nie.

Czy budziłam się co dwie godziny, rycząc jak pociąg i domagając się jedzenia oraz zmiany pieluchy? Nie. Jednak spałam nadzwyczaj spokojnie. A to już bardzo dużo.

Chciałabym móc wam powiedzieć, że gdy się obudziłam następnego ranka, deszcz już nie padał, chmury rozwiały się, a na błękitnym niebie zjawilo się słońce.

Słoneczny dzień, odzwierciedlający mój radosny nastrój, że tak powiem.

Czarne chmury odeszły, podobnie jak moje czarne myśli. Chyba jest o tym jakaś piosenka. Jednak życie jest zupełnie inne. Nadal padał deszcz. Ale co tam.

Jak zwykle obudziłam się o świcie i nakarmiłam Kate.

Delikatnie sprawdziłam swoje odczucia, tak jak sprawdza się językiem dziąsło wokół bolącego zęba. Z radością stwierdziłam, że od wieczora mój nastrój nie uległ zmianie. Byłam pełna życia i nadziei.

Cudowne, niesamowite wrażenie.

Znowu zasnęłam i obudziłam się koło jedenastej. Z łazienki dobiegał jakiś rwetes. Okazało się, że Helen odkryła guzek na swojej piersi i darła się wniebogłosey.

Mama przybiegła na górę i po konsultacji powiedziała ze złością do Helen:

— To nie guzek na piersi. To twoja pierś.

Po czym ciężkim krokiem zaczęła schodzić po schodach, mrużąc do siebie:

— Tak mnie przestraszyć... Zamorduję ją.

Helen ubrała się i poszła do szkoły. Potem ja wzięłam prysznic. Nawet umyłam włosy. I posprzątałam pokój.

Wyciągnęłam spod łóżka dwie butelki po wódce, pozbierałam też puste puszki po mocnym jabolu, a także kartony soku pomarańczowego, i włożyłam wszystko do plastikowego worka na śmieci.

Potem zebrałam wszystkie szklanki, jakich używałam przez ostatnie parę tygodni, i ustawiłam je w wojskowym szyku, by zanieść na dół i wstawić do zmywarki. Pozbierałam odłamki ze szklanki, którą rzuciłam w ścianę pewnej nocy, gdy byłam szczególnie zła i bardzo pijana, po czym zawinęłam je w gazetę.

Poza tym dokonałam symbolicznego aktu wyrzucenia z mojego pokoju wszystkich egzemplarzy „Hello”!

Jednym dzikim ruchem posłałam do śmietnika kilkaset „pysnie urządzonych” domów.

Czułam się oczyszczona.

Nie chciałam już czytać beznadziejnych, prymitywnych czasopism. Od tej pory przerzucę się na ścisłą dietę w postaci „Timesa”, „The Economist” i „Financial Timesa”.

I tylko od czasu do czasu rzucę okiem na „Marie Claire”, którą ojciec kupował co miesiąc niby dla Helen i Anny, ale tak naprawdę to dla siebie.

Uwielbiał ten magazyn. Chociaż uważał go za babski śmieć. Często przyłapywałyśmy ojca na tym, jak czytał go ukradkiem. Mogę dodać, że robił to, zaniedbując swoje domowe obowiązki.

Nierzadko zagłębiał się w lekturze jakiegoś artykułu, może o obrzeżaniu kobiet albo impulsywnych zachowaniach seksualnych, albo też najlepszych metodach usuwania owłosienia z nóg, podczas gdy dywany pozostawały nie odkurzone.

W końcu, po miesięcznym deliberowaniu, zdecydowałam się włożyć ubranie.

Czy uwierzycie, że należące do Jamesa dzinsy, które miałam na sobie w czasie podróży samolotem z Londynu, już na mnie nie pasowały?

To znaczy, były o niebo za wielkie.

Oto skutek miesięcznej diety złożonej z wódki i soku pomarańczowego.

(Ale nie próbujcie tego w domu).

Poszłam więc do pokoju Helen, by dokonać spustoszenia w jej szafie.

Przecież była mi coś winna.

Przez ostatnie dwa tygodnie wysssała ze mnie kupę forsy, żądając haraczku za dostawę alkoholu.

Annę lubiałam i nie chciałam nosić jej bezkształtnych sukienek.

W pokoju Helen znalazłam na krześle obok sterty nowiusieńkich, nie tkniętych, bardzo drogich książek cudowną parę legginsów.

Bardzo mi się podobały. Gdy je włożyłam, moje nogi wydawały się długie i szczupłe.

Mało powiedziane, że mi się podobały.

To był po prostu cud.

Gdyby człowiek, który je wykonał, chciał być kanonizowany, jego szanse oceniałabym na bardzo duże.

W szafie znalazłam piękną błękitną bluzkę z jedwabiu.

Uwierzycie, że również mi się podobała? Przy niej moja skóra wyglądała bardzo czysto, a oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie.

Przejrzałam się w lustrze i doznałam szoku.

„Hej, znam ją”, pomyślałam. „To ja. Właśnie wróciłam”.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy moje odbicie w lustrze wyglądało normalnie. Nie wyglądałam jak arbuz z nóżkami, bo nie miałam już brzucha z powodu ciąży ani nadmiernej ilości sadła. Nie wyglądałam też jak uciekinierka z wariatkowa — potargane włosy, ogromna nocna koszula, obłąkany wygląd.

To byłam po prostu ja, taka jak dawniej.

Spryskałam się należącymi do Helen perfumami Obsession, mimo że nie lubiłam tego zapachu, i stwierdziwszy, że w jej pokoju nie ma już nic, z czego mogłabym skorzystać, wróciłam do siebie.

Nawet trochę się umalowałam. Tak odrobinę.

Nie chciałam, by mama zadzwoniła na policję, by zgłosić, że jakaś obca kobieta dokonała najścia na jej dom.

Potem nachyliłam się nad Kate i przedstawiłam jej nową siebie (a raczej dawną siebie).

— Cześć, kochanie — zagruchałam. — Przywitaj się z mamusią.

Zanim zdążyłam ją przeprosić za mój okropny wygląd w czasie pierwszego miesiąca jej życia, zaczęła przeraźliwie płakać.

Zapewne nie miała pojęcia, kim jestem.

Nie wyglądałam ani nie pachniałam jak osoba, do której obecności była przyzwyczajona.

Uciszyłam ją delikatnie i wyjaśniłam, że właśnie tak naprawdę wyglądam, a ta druga kobieta, która się nią zajmowała przez miniony miesiąc, była okropną personifikacją jej matki.

Najwyraźniej uznała to za wystarczająco rozsądne wytłumaczenie.

Wtedy zesłam na dół do mamy, która oglądała telewizję.

— Cześć, mamó — powiedziałam, wchodząc do pokoju.

— Cześć, kochanie — odparła, odrywając wzrok od „Home and Away”.

Odwróciła się gwałtownie, z powodu spóźnionej reakcji niemal wykręcając sobie szyję.

— Claire! — wykrzyknęła. — Wstałaś! Ubrałaś się! Ślicznie wyglądasz. To wspaniale. — Podniosła się z kanapy, podeszła i objęła mnie mocno. Wyglądała na uszczęśliwioną.

Odwzajemniłam jej uścisk i stałyśmy tak jak idiotki, uśmiechając się ze łzami w oczach.

— Chyba wracam do siebie — powiedziałam drżącym głosem. — To znaczy, wydaje mi się, że zaczynam wracać do siebie. I przepraszam, że byłam taka okropna i przysporzyłam wam tyle zmartwień.

— Nie musisz przepraszać — odparła łagodnie, wciąż trzymając mnie za ramiona i uśmiechając się radośnie. — Wiemy, że przeszłaś piekło. I chcemy, żebyś była szczęśliwa.

— Dziękuję, mamó — wyszeptałam.

— Co więc zamierzasz dziś robić? — spytała wesoło.

— Obejrzę to do końca razem z tobą — powiedziałam, wskazując telewizor. — A potem przygotuję na wieczór kolację dla nas wszystkich.

— To ładnie z twojej strony, Claire — odparła z lekkim powątpiewaniem. — Ale my wszyscy potrafimy obsługiwać mikrofalówkę.

— Ależ nie — zaprotestowałam ze śmiechem. — Chcę przygotować prawdziwą kolację. Wiesz, kupić świeże produkty w supermarkecie i przygotować wszystko od zera.

— Niesamowite. — W jej spojrzeniu pojawiła się tęsknota. — Już dawno nikt nie uszykował prawdziwego posiłku w tej kuchni.

Powiedziała to tak, jak mogłaby przemówić mądra starowinka z dawnej legendy: „Minęło wiele długich, znaczonych nieszczęściami lat od chwili, gdy wysoki, silny młodzieniec z klanu McQuiltych posilał się pod tym samym dachem co młodzieniec z klanu McBrandawnów, a my nie słyszeliśmy, jak stal uderza w stal, po ulicach nie płynęła krew dzielnych młodych rycerzy” albo coś w tym rodzaju.

Na końcu języka miałam uwagę, że nigdy nikt nie ugotował prawdziwego posiłku w tej kuchni, to znaczy w okresie, gdy dom ten był siedzibą klanu Walshów, mama zaś sterowała wszystkimi zakupami produktów żywnościowych. Na szczęście w porę się powstrzymałam.

— To nic wielkiego, mamó — powiedziałam jej. — Zrobię jakiś makaron czy coś w tym rodzaju.

— Makaron — westchnęła tęsknie, jakby wspominała inne życie, inne czasy, inny świat. — Tak. — Kiwnęła głową i w jej oczach rozblęskło olśnienie. — Tak, pamiętam makaron. (Nadal mówiła tym samym, baśniowym tonem).

„Jezu!”, pomyślałam zaalarmowana. „Czyżby przeszłe doświadczenia z gotowaniem sprawiały jej tyle cierpienia, że teraz na samą wzmiankę doznała całkowitego pomieszania zmysłów?”

— W takim razie czy mogę pożyczyć samochód, żeby pojechać do centrum handlowego na zakupy? — Czułam się lekko podenerwowana.

— Skoro musisz — rzekła słabo z rezygnacją.

— A czy mogę pożyczyć trochę pieniędzy? Mam tylko angielskie funty — poprosiłam.

— Przyjmują karty kredytowe — odparła szybko. Napomknięcie o pieniądzach gwałtownie wyrwało ją ze świata marzeń, w którym przebywała przez kilka ostatnich minut.

Ona wcale nie jest skąpa. Naprawdę. Jednak lata trudów, by wykarmić piątkę dzieci i dwoje dorosłych z niewielkiej pensji, wyrobiły w niej rozwagę i przezorność w gospodarowaniu finansowymi zasobami rodziny. A taki nawyk trudno przełamać.

Przynajmniej tak mi wmawiano.

Sama nie miałam doświadczeń tego rodzaju.

Dała mi kluczyki do auta, po czym umieściłyśmy Kate w jej nosidełku na tylnej kanapie.

Mama stała na schodku i machała do mnie, jakbym odjeżdżała na zawsze, a nie do centrum handlowego Superquinn za rogiem.

Była to dla mnie wielka przygoda, gdyż od paru tygodni nie opuszczałam domu. A więc mój stan się poprawiał, wychodziłam na prostą.

— Miłych zakupów — powiedziała. — I pamiętaj, że jeśli zmienisz zdanie co do kolacji, to nie musisz się przejmować. Nie poczujemy się zawiedzeni. Zjemy to, co zwykle. Nikomu nie będzie to przeszkadzało.

Odjeżdżając, zastanawiałam się, dlaczego mam wrażenie, że ona wcale nie chce, abym ugotowała kolację.

W supermarkecie spędziłam cudowne chwile, wędrując alejkami, popychając wózek, na którym podwiesiłam nosidełko z Kate. A także kupując rzeczy dla mnie i mojego dziecka, udając szczęśliwą rodzinę, nawet jeśli miałyby to być szczęśliwa rodzinka z jednym tylko rodzicem.



Zakupiłam dla Kate kolejne dwadzieścia ton pampersów. Mama i tata byli naprawdę kochani, gdy robili wszystkie zakupy dla małej, kiedy ja leżałam powalona rozżaleniem lub alkoholem. Ale nadszedł czas, bym stała się odpowiedzialna. Od tej chwili sama będę opiekować się Kate.

Wrzucałam do wózka przeróżne dziwne i egzotyczne produkty spożywcze. Melony galijskie? Tak, wezmę ze dwa. Pudełko ręcznie produkowanych czekoladek z kremem? Czemu nie. Torebka niebotycznie drogiej, pięknej sałaty? Jasne.

Czułam się świetnie.

Koszty nieistotne, bo i tak miałam zapłacić kartą kredytową. A dokąd zostaną wysłane kwitki z transakcji dokonanej za pomocą karty?

Tak jest. Do mojego mieszkania w Londynie.

Kto więc będzie zobowiązany uregulować należność?

Ponownie dobra odpowiedź.

James.

Uśmiechałam się do innych młodych i nie tak już młodych matek, które również robiły zakupy.

Na pewno wyglądałam na jedną z nich. Młoda kobieta z małym dzieckiem. Żadnych problemów, może z wyjątkiem nieprzespanych nocy w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Nic nie wskazywało na to, że mąż mnie zostawił.

Już nie obnosiłam się ze swoim upokorzeniem.

I nie odmawiałam nikomu szczęścia w życiu. Nie czułam nienawiści do wszystkich innych kobiet, których mąż nie opuścił.

Skąd miałam wiedzieć, czy kobieta, z którą wymieniłam krótki uśmiech przy stoisku z awokado, jest szczęśliwa?

Skąd miałam wiedzieć, czy kobieta, którą delikatnie popchnęłam, zdejmując z półki sos miodowo-musztardowy, wiodła życie zupełnie pozbawione trosk?

Każdy ma jakieś zmartwienia.

Nikt nie jest do końca szczęśliwy.

Nie zostałam specjalnie wybrana przez bogów, aby zaznać życiowej udręki.

Byłam zwyczajną kobietą, miałam zwyczajne problemy i robiłam zakupy pośród innych zwyczajnych kobiet.

Mijałam dział z alkoholem i zobaczyłam rzędy stojących obok siebie butelek z wódką, lśniących i połyskujących srebrnym światłem. Niemal słyszałam, jak wołają do mnie: „Hej, Claire, chodź tutaj! Weź mnie, weź mnie! Czy możemy pojechać z tobą do domu?” Instynktownie skierowałam wózek w ich stronę.

Ale po chwili zawróciłam.

„Przypomnij sobie ciocię Julię”, powiedziałam sobie stanowczo.

Ojciec miał rację. Leżenie w łóżku w stanie upojenia alkoholowego to nie życie. Niczego nie rozwiązuje.

Spłynęła na mnie szokująca myśl, że być może wreszcie wydorostałam.

Zgadzałam się z tezami wykładu ojca o szkodliwości picia alkoholu, zamiast z nich szydzić i chichotać.

Oczywiście miałam świadomość, że taki dzień kiedyś nadejdzie, ale nie byłam nań przygotowana.

Jeśli nie będę uważać, to może już niedługo, oglądając w telewizji listę przebojów, spytam, wskazując wykonawcę: „Czy to chłopak, czy dziewczyna?” Albo powiem: „Dlaczego nie piszą już melodyjnych piosenek? Bo to nie jest piosenka, tylko jazgot”.

Trochę spięta ruszyłam alejką w dziale mrożonych deserów.

Kiedy byłam w ciąży, jadłam ogromne ilości mrożonego kremu czekoladowego. Co zresztą doprowadzało Jamesa do pasji.

Zdecydowałam, że wezmę jedno opakowanie przez wzgląd na dawne czasy.

I jako symbol przekory.

Podniosłam Kate, by pokazać jej rzędy pudełek z kremem czekoladowym.

— Witaj w rodzinie — powiedziałam.

Wzięłam do ręki pudełko, aby dobrze mu się przyjrzała.

— Patrz — powiedziałam jej. — Bez tego zapewne nie byłoby cię tutaj.

Spoglądała na pudełko niebieskimi oczkami i wyciągnęła rączkę, by dotknąć oszronioną powierzchnię. Niewątpliwie stary jak świat zew krwi ciągnął ją do czekoladowego kremu, który przychodził z pomocą jej matce w trudnych chwilach.

Poszłam do kasy i zapłaciłam, odczuwając przy tym wielką satysfakcję, że z konta Jamesa zostanie odprowadzona tak astronomiczna kwota.

Wyruszyliśmy z powrotem do domu.

Po drodze zatrzymałam się koło banku, gdzie wymieniłam funty angielskie na irlandzkie. Chciałam oddać Annie cały dług, do ostatniego pensa, gdy tylko wróci do domu. Przynajmniej teraz będzie mogła zapłacić swojemu dealerowi. I tym sposobem zachowa całe rzepki w swoich kolanach.

Rozdział 9

Kiedy wróciłam, musiałam zadzwonić do drzwi, bo nie wzięłam klucza. Otworzyła mi mama.

— Jestem. Wspaniale spędziłyśmy czas w supermarkecie, prawda, Kate?

Patrzyła, jak wnoszę do kuchni jedną torbę z zakupami za drugą. Gdy rozpakowywałam produkty na stole, stała nade mną i przyglądała się podejrzliwie.

— Dostałaś wszystko? — spytała drżącym głosem.

— Wszystko! — potwierdziłam z entuzjazmem.

— Więc nadal chcesz zrealizować swój pomysł i ugotować dla nich kolację? — Zdawało mi się, że jest bliska płaczu.

— Tak, mamó. Czemu tak się tym denerwujesz?

— Wolałabym, abyś tego nie robiła — odparła zaniepokojona. — Dasz im do myślenia. Potem cały czas będą oczekiwali gotowanych po-

siłków. A kto będzie musiał je przygotowywać? Na pewno nie ty. Bo odfruniesz sobie do Londynu, a ja będę musiała słuchać ich marudzenia.

„Biedna mama”, pomyślałam. Może byłam niewrażliwa, popisując się gotowaniem wymyślnych potraw w jej kuchni.

Urwała na chwilę, gdy z uśmiechem kładłam makaron na półce w lodówce.

— Słuchasz mnie? — Podniosła głos, bo skryłam się za drzwiami lodówki. — Oni bardzo lubią jedzenie z mikrofali — podjęła. — Słyszałaś kiedyś takie powiedzenie: „Nie naprawiaj tego, co nie jest zepsute”? A co to takiego? — spytała nagle, wbijając podejrzliwie palec w torebkę pełną świeżych liści bazylii.

— To bazylia, mamó. — Minęłam ją, by schować do szafki nasiona sosny.

— A na co to? — Patrzyła na bazylię jak na odpady radioaktywne.

— To zioło — wyjaśniam cierpliwie. Biedna mama. Rozumiałam, jak bardzo czuje się zagrożona. I niepewna.

— Na pewno niezbyt dobre, skoro nawet nie wsadzili go do słoika — stwierdziła triumfalnie.

„Być może czuje się niepewnie i mało bezpiecznie, lecz powinna bardziej uważać na to, co mówi”, pomyślałam ponuro.

I natychmiast tego pożałowałam. Czułam się, do licha, niemal szczęśliwa. Nie było potrzeby kłócić się i złościć na innych.

— Nie martw się, mamó — rzekłam przeprasząco. — Nie zrobię nic specjalnego. Pewnie nawet nie zauważą różnicy między tym a mrożonkami.

— Może dziś nie przygotujesz tego tak, jak potrafisz najlepiej — odezwała się przymilnie.

— Może nie — zgodziłam się uprzejmie.

Zaczęłam otwierać i zamykać szafki, szukając utensyliów potrzebnych mi do przygotowania sosu pesto.

Wkrótce okazało się, że jeśli pominąć lodówkę i kuchenkę mikrofalową, nasza kuchnia przypominała muzealny skansen.

Czułam się jak Alicja, która przedostała się na drugą stronę brudnego lustra. Albo może zostałam zmyta przez gwałtowną falę powodzi i znalazłam się w zapomnianej dolinie, całkowicie odizolowanej od świata.

W jednej z szafek znajdowała się ciężka, beżowa, ceramiczna misa służąca do mieszania, na której widniała gruba warstwa kurzu. Zapewne misa była prezentem ślubnym moich rodziców sprzed trzydziestu lat. Wyglądało na to, że do dziś nikt jej nie używał.

Znalazłam też uroczą trzepaczkę, która mogła pochodzić z epoki brązu, a może z jeszcze dawniejszych czasów. Znajdowała się w znakomitym stanie, zważywszy na jej sędziwy wiek.

Była nawet książką kucharska z 1952 roku, zawierająca przepisy, gdzie pośród składników wymieniano jajka w proszku. Tu i ówdzie widać było wyblakłe fotografie w kolorze sepii, przedstawiające bogato zdobione kanapki z epoki królowej Wiktorii.

Zdecydowanie prehistoryczny egzemplarz.

Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby nagle przez drzwi kuchni wparowały do środka dwa dinozaury, stanęły przy blacie, zjadły po kromce chleba z masłem, popiły mlekiem, następnie włożyły swoje talerze i szklanki do zmywarki, a potem skłoniwszy się grzecznie, wybiegły na zewnątrz.

Z żalem pomyślałam o swojej świetnie wyposażonej kuchni w Londynie. O wyciskarce, malakserze, który potrafił zrobić wszystko z wyjątkiem opowiadania dowcipów, o sokowirówce, ale takiej prawdziwej, która wyciągała soki ze wszystkich owoców, nie tylko z cytrusów. Wszystkie te urządzenia bardzo by mi się teraz przydały.

— Nie masz niczego, czym mogłabym siekać? — spytałam poirytowana.

— No... — zaczęła niepewnie. — Może to. Nada się? — Podała mi krajarkę do jajek. Była jeszcze w oryginalnym opakowaniu.

— Dziękuję, ale nie — westchnęłam. — Czym ja posiekam tę bazylię?

— W przeszłości stwierdziłam niejednokrotnie, że istnieje narzędzie, które zazwyczaj bardzo dobrze spełnia taką funkcję. — W jej głosie po-

jawiała się nuta sarkazmu. Najwyraźniej miała już dosyć moich błazeństw. — Nazywa się nóż. Jestem pewna, że gdy zadzwonimy do paru sklepów w Dublinie, znajdziemy taki, który ma je w sprzedaży.

Pokornie wzięłam od niej nóż i zaczęłam siekać bazylię.

— Co ty właściwie robisz? — spytała. Siedząc, przyglądała mi się trochę z niechęcią, trochę z podziwem, jakby nie wierzyła, że w jej własnej kuchni odbywa się tak nietypowa czynność jak gotowanie.

— Sos do makaronu. — Nie przerywałam siekania. — Nazywa się pesto.

Przez chwilę siedziała w milczeniu.

— A co w nim jest? — Wyraźnie powstrzymywała się przed zadawaniem mi kolejnych pytań.

— Bazylia, oliwa z oliwek, nasiona sosny, parmezan i czosnek — odparłam spokojnie i rzeczowo.

Nie chciałam napędzać jej strachu.

— Aha — rzekła cicho, kiwając głową z mądrą miną. Jakby na co dzień miała styczność z takimi składnikami.

— Najpierw bardzo drobno siekam bazylię — powiedziałam takim samym tonem, jakim chirurg wyjaśnia przysłuszanemu pacjentowi szczegóły operacji polegającej na wszczepieniu potrójnych bypasów.

A więc łagodnie, rzeczowo, rozwiewając wszelką mistykę. („Najpierw rozpiłuję pani mostek”).

— Potem dodaję nieco oliwy — podjęłam opis. („Potem otwieram pani klatkę piersiową”).

— Następnie miażdżę nasiona sosny, te z torebki. — Zaszleściłam papierem.

(„Następnie wypożyczam kilka żył z pani nogi — proszę spojrzeć na tę tablicę”).

— W końcu dodaję wyciśnięty czosnek i parmezan—dokończyłam. — To proste.

(„W końcu zaszywam panią. Już za miesiąc będzie pani mogła chodzić codziennie na długi spacer!”)

Mama przyjmowała te informacje spokojnie, w swoim tempie. Muszę przyznać, że byłam z niej dumna.

— Tylko nie przesadzaj z czosnkiem — powiedziała. — I tak trudno nam ściągnąć Annę do domu. Nie chcemy przecież, żeby ta mała wampirzyca pomyślała sobie, że znowu się jej czepiamy.

— Anna to nie wampirzyca — roześmiałam się.

— A skąd wiesz? Przypominają swoim wyglądem. Te włosy, te okropne, długie, purpurowe sukienki, okropny makijaż. Może porozmawiasz z nią i spróbujesz ją nakłonić, żeby coś zrobiła ze swoim wyglądem?

— Ale taki wygląd odpowiada jej charakterowi. — Wsypałam posiekaną bazylię do rondla. — Taka jest Anna. Gdyby wyglądała inaczej, nie byłaby sobą.

— Wiem — westchnęła mama. — Ale te jej stroje. Sąsiedzi na pewno myślą sobie, że w ogóle nie kupujemy jej ubrań. Wygląda jak dzia-dówka. I te buty! Mam wielką ochotę wyrzucić je na śmietnik.

— Mamo, nie rób tego — powiedziałam zaniepokojona. Annie pękłoby serce, gdyby straciła swoje martensy, które tak ślicznie pomalowała w słoneczka i kwiatki.

Muszę przyznać, że byłam również niespokojna o to, czyje buty będzie nosić Anna, jeśli jej własne znajdą się w koszu. Bałam się, że padnie na moje.

— Zobaczą jeszcze — rzekła mama z ponurą groźbą w głosie. — A teraz co robisz?

— Dodaję oliwę.

— Po co ją kupiłaś? — Najwidoczniej sądziła, że jej córki to zupełnie idiotki. — Przecież jest butelka oleju, którego używam do frytek. Mogłaś go wykorzystać i zaoszczędzić trochę pieniędzy.

— A... dziękuję. Następnym razem będę wiedziała.

Nie było sensu wyjaśniać jej, na czym polega różnica między doskonałej jakości tłoczoną na zimno oliwą z oliwek marki Tuscan a olejem Flora, który już dziesięciokrotnie służył do smażenia frytek. Pływały w nim zwęglone szczątki ziemniaków.

Być może niepotrzebnie byłam pretensjonalna, jeśli chodzi o jedzenie, lecz — do diabła — można przeginać także w drugą stronę.

— W porządku! — powiedziałam. — Teraz dokonam sztuczki polegającej na utarciu parmezanu bez siatki ochronnej.

Wyjęłam kawałek sera z lodówki, gdzie zapewne terroryzował wszystkie pozostałe produkty. Opakowania łagodnego sera w plasterkach kurczyły się, przywierając do ścianki, śmiertelnie przerażone obecnością egzotycznego intruza.

Jednak utarcie sera było o wiele trudniejsze, niż się pozornie wydawało.

Szukałam wszędzie, lecz tarki nie udało mi się znaleźć.

W końcu coś wpadło mi w ręce. Trudno to było określić mianem tarki. Nie była okrągła, aby mogła samodzielnie stać na płaskiej powierzchni. Po prostu kawałek metalu poorany dziurami.

Trzeba było mieć o wiele więcej umiejętności ode mnie, by manewrować bryłą sera i utrzymać ją na tym kawałku blachy.

Moje dłonie ślizgały się, więc razem z serem utarłam trochę naskórka z własnych kłykci.

Mama uciszała mnie, gdy przeklinałam, a potem zaczęła nerwowo pociągać nosem, gdy charakterystyczny zapach parmezanu rozszedł się po kuchni.

Z przedpokoju dobiegły czyjeś głosy i śmiech. Mama zerknęła na ścienny zegar.

Spojrzała tam, mimo że od poprzednich świąt wskazówki niezmiennie wskazywały za dziesięć czwarta.

— Wrócili — powiedziała.

Ojciec przywoził Helen ze szkoły niemal każdego wieczoru, więc zjawiali się w domu razem. Robił to, chociaż musiał zboczyć jakieś piętnaście kilometrów ze swojej zwykłej trasy, żeby ją odebrać.

Helen wpadła do kuchni. Wyglądała ślicznie, piękniej niż zwykle, jeśli to w ogóle było możliwe. Promieniała radością. Chociaż miała na sobie tylko dzinsy i sweter, wyglądała przeuroczo. Długie jedwabiste wło-

sy, gładka, niemal przezroczysta skóra, uśmiechnięte oczy i cudnie kształtne usta.

— Cześć wszystkim, jesteśmy w domu — obwieściła. — A co to za smród? Fuj! Ktoś tu rzygał?

Słyszałyśmy osoby rozmawiające w holu. Ojciec mówił do kogoś o męskim głosie.

Widocznie mieliśmy gościa.

Serce we mnie zamarło. Wciąż miałam nadzieję, że niespodziewanie zjawi się James. Jednak ów męski głos należał raczej do jednego z kolegów Helen.

Chociaż właściwiej byłoby określić ich mianem niewolników Helen.

Wiedziałam, że oczekiwanie na przyjazd Jamesa nie ma najmniejszego sensu, a jednak odczułam przykre rozczarowanie na dźwięk słów Helen.

— Przyprowadziłam znajomego. Ojciec pokazuje mu, gdzie ma powiesić kurtkę.

Przeniosła wzrok na mnie.

— Hej! — zawołała. — Co ty robisz w moich ciuchach? Ściągaj je natychmiast.

— Wybacz — zająknęłam się. — Nie miałam nic innego. Kupię sobie parę rzeczy i wtedy będziesz mogła je ode mnie pożyczyć.

— Możesz być tego pewna — odparła złowieszczco. Na tym skończyła temat.

Bogu dzięki! Musi być w dobrym nastroju.

— Kogo przyprowadziłaś? — spytała matka.

— To Adam. Bądźcie dla niego miłe, bo ma napisać dla mnie pracę.

Mama i ja przybrałyśmy wyraz twarzy, który miał odzwierciedlać zarówno podziw, jak i współczucie. Oto kolejny biedak zakochał się i wpadł w szpony Helen. Był skończony. Cała jego przyszłość malowała się w czarnych barwach.

Miał teraz przed sobą egzystencję pełną klęsk i rozpacz. Poświęcił się całkowicie wzdychaniu do ślicznej Helen.

Wymieniłyśmy z mamą spojrzenia. Obie pomyślałyśmy to samo: ja-
gnię idące na rzeź.

Powróciłam do ucierania sera. I moich kłykci.

— To jest mama — usłyszałam głos Helen, która przedstawiała ro-
dzicielkę zagubionemu Adamowi.

(„Uciekaj! Biegnij, a może ocalisz życie! Ratuj się, Adamie, póki
jeszcze możesz” — to właśnie chciałam mu powiedzieć).

— A tam stoi Claire — podjęła Helen. — Mówiłam ci o niej, pamię-
tasz. Ta z dzieckiem.

„Dzięki, Helen, mała wiedźmo”, pomyślałam. „Dzięki tobie moje ży-
cie upodobniło się do koszmarnego dramatu z mydlanej opery”.

Odwróciłam się, gotowa obdarzyć Adama miłym uśmiechem. Wy-
ciągnęłam do niego okaleczoną, woniejącą parmezanem dłoń. I doznałam
lekkiego szoku.

Nie był to jeden z typowych, niedojrzałych chłopaków Helen. Ten
był naprawdę mężczyzną. Zapewniam was, że młodym. Lecz bez wątpie-
nia mężczyzną.

Miał ponad 185 centymetrów wzrostu. Bardzo seksowny.

Długie nogi. Muskularne ramiona. Niebieskie oczy. Kwadratowa
szczęką. Szeroki uśmiech.

Gdyby na ścianie w kuchni wisiał miernik testosteronu, rtęć wystrze-
liłaby w górę, przebijając sufit.

Zdażyłam zobaczyć, jak mocno ściska dłoń mamy, która jeszcze nig-
dy w życiu nie doświadczyła tak zdecydowanego powitania.

Następnie skierował uwagę na mnie. Kątem oka spostrzegłam, że
mama rozciera sobie zgniecioną dłoń i ukradkiem sprawdza, czy silny
uścisk nie odkształcił jej ślubnej obrączki.

— A, witaj — powiedziałam. Byłam oszołomiona, dezorientowana.
Już dawno nie miałam do czynienia z tak wielką dawką skoncentrowanej
męskości.

— Miło cię poznać — uśmiechnął się, trzymając moją sfatygowaną
rękę w swej wielkiej dłoni.

„Mój Boże", pomyślałam. Czułam się przytłoczona. Rozumiecie, jak to jest: gdy zaczynacie zauważać, jak młodo wyglądają wszyscy przy stojni mężczyźni, to oznaka, że się starzejecie.

Słyszałam głos Helen, ale dochodził jakby gdzieś z daleka, przytłumiony szumem krwi w całym moim ciele, która napływała mi do twarzy i wywoływała tak potężny rumieniec, jakiego nie miałam od piętnastego roku życia.

— Poważnie — mówiła Helen. — Czuję okropny smród rzygowin.

— To nie rzygowiny — odparła mama pewnym siebie głosem. — To zapach sera Palmerstown. Wiesz, tego na sos presto.

Rozdział 10

Kolacja była dość dziwna, gdyż Adam wywołał swoją osobą pewne zaskoczenie.

Wokół Helen zawsze kręciło się stado zakochanych w niej mężczyzn (choć lepiej pasuje do nich określenie „chłopcy"). Nie było dnia, by nie dzwonił jakiś młodzieniec i jękając się, sondował, jakie ma szanse, by się z nią umówić.

W domu również nieustannie zjawiali się goście płci męskiej. Zbiegiem okoliczności byli zapraszani na podwieczorek akurat w takim momencie, gdy Helen zepsuł się sprzęt stereo albo chciała przemaalować swój pokój lub — jak w tym wypadku — pragnęła, by ktoś napisał za nią pracę, bo sama nie miała na to ochoty.

A obiecany podwieczorek rzadko kiedy materializował się po wykonaniu zadania.

Adam jednak był inny niż pozostali zalotnicy, którzy z reguły przypominali Jima.

Biednego Jima, jeśli mam użyć pełnego tytułu.

Był wymizerowany i kościsty, cały rok na okrągło ubierał się na czarno. Nawet w najgorętsze dni lata nosił długi czarny płaszcz, który był na niego o kilka numerów za duży, a także wysokie czarne buty. Farbował na czarno swoje gęste włosy i nigdy nie patrzył mi prosto w oczy. Mało się odzywał, a kiedy już coś mówił, jego wypowiedź najczęściej dotyczyła metod dokonywania samobójstwa. Opowiadał też o wokalistach mało znanych zespołów, którzy targnęli się na własne życie.

Kiedyś powiedział do mnie: „Cześć” i uśmiechnął się słodko. Chyba więc pomyliłam się w jego ocenie, lecz później dowiedziałam się, że był kompletnie pijany.

Zawsze nosił ze sobą zniszczony egzemplarz *Nienawiści w Las Vegas* albo *Amerykańskiego psychopaty*, które spoczywały w podartej podszewce jego czarnego płaszcza. Chciał zostać członkiem jakiegoś zespołu i zabić się w wieku osiemnastu lat.

Sądziłam jednak, że zdecydował się przedłużyć sobie życie, bo jego osiemnaste urodziny minęły w poprzednie święta Bożego Narodzenia, a nie słyszałam, by umarł. W przeciwnym wypadku na pewno bym o tym wiedziała.

Helen nienawidziła go z całego serca.

Wciąż do niej wydzwaniał, a wtedy mama kłamała przez zaciśnięte zęby do słuchawki, że córki nie ma w domu. Mówiła coś w rodzaju: „Wyszła gdzieś, pewnie jest pijana”, podczas gdy Helen stała w przedpokoju i machając gwałtownie rękami, mówiła do niej bezgłośnie: „Powiedz mu, że umarłam”.

Po skończonej rozmowie mama krzyczała na nią:

— Nie będę już więcej dla ciebie kłamać. To grzech. Dlaczego sama z nim nie porozmawiasz? Przecież to miły chłopak.

— Dupek — odpowiadała Helen.

— Po prostu jest nieśmiały — broniła go mama.

— Dupek — powtarzała Helen, tym razem głośnie.

W dniach takich jak walentynki lub urodziny Helen przysyłał jej co najmniej jeden bukiet czarnych róż. Pocztą przychodziły ręcznie malo-

wane kartki z wizerunkami złamanych serc w kałuży krwi albo pojedynczej czerwonej łzy. Cholernie symboliczne.

Był okres, kiedy nieustannie przesiadywał w naszej kuchni i rozmawiał z mamą, cały czas ubrany w swój długi, czarny płaszcz. Stała się dlań najlepszą przyjaciółką. Jedynym sprzymierzeńcem w jego staraniach, by zdobyć serce Helen.

Większość przyszłych chłopaków Helen spędzała o wiele więcej czasu z mamą niż z obiektem swoich westchnień.

Ojciec jednak nienawidził Jima. Być może nawet jeszcze bardziej niż Helen.

Chyba czuł się rozczarowany.

Bardzo pragnął męskiego towarzystwa, więc miał nadzieję, że nawiąże bliską więź z Jimem, który był stałym elementem wyposażenia kuchni, podobnie jak pralka czy pudełko na chleb.

Pewnego wieczoru wrócił z pracy i jak zwykle ujrzał Jima siedzącego w kuchni z mamą. Helen od razu poszła do swojego pokoju, gdy tylko dowiedziała się, że Jim jest w domu. Ojciec usiadł przy stole w kuchni i próbował nawiązać z Jimem rozmowę.

— Widziałeś mecz? — spytał.

Chłopak spojrzał na ojca, kompletnie zbity z tropu. Nie miał zielonego pojęcia o żadnym meczu.

Na tym rozmowa dobiegła końca.

Od tej pory dla ojca również był stracony.

Powiedział, że Jim powinien wreszcie przestać gadać o samobójstwie, ale przystąpić do realizacji tego pomysłu w praktyce.

Mama stwierdziła, że po bliższym poznaniu Jim okazał się miłym, pełnym ciepła chłopcem.

I że namawianie kogokolwiek do samobójstwa jest grzechem.

Wydawało się, że Jim cały czas jest gdzieś w pobliżu. Gdy przyjeżdżałam z Londynu, zawsze siedział pochylony nad stołem w naszej kuchni, a nad jego głową kłębiły się czarne chmury, odzwierciedlające tragiczne myśli, które nosił ze sobą wszędzie niczym teczkę.

Ale zawsze mówiłam do niego: „Cześć, Jim”. Przynajmniej byłam dobrze wychowana.

Nawet jeśli całkowicie mnie ignorował.

Potem odkryłam, dlaczego mnie ignorował.

Na drugi dzień po moim przyjeździe z Londynu zadzwonił dzwonek do frontowych drzwi naszego domu. Otworzyłam je i ujrzałam przed sobą dziwną fryzurę ubraną w długi czarny płaszcz.

Nie byłam pewna, czy przyszedł do Helen czy też do mamy, ale ponieważ tej ostatniej nie było w domu, zawołałam siostrę.

— Helen, przyszedł Jim. Zeszła na dół ze zdziwioną miną.

— O, cześć Conor — rzuciła ponurakowi stojącemu przed drzwiami. Potem odwróciła się do mnie. — A gdzie jest Jim? — spytała.

— No... przecież to jest Jim, prawda? — odparłam zdenerwowana, wskazując chłopaka w czarnym płaszczu.

— To nie Jim. To Conor. Jima nie widziałam już od roku. Wejź, Conor — rzekła niechętnie. — Aha, to jest moja siostra, Claire. Przyjechała z Londynu, bo mąż ją zostawił.

— Pięknie się spisałaś, Claire — po chwili syknęła do mnie ze złością, prowadząc Conora do pokoju. — Unikam go już od miesiąca.

Nie ma wątpliwości, że moja siostra będzie się smażyć w piekle. W każdym razie to wyjaśniało, dlaczego Jim ignorował mnie za każdym razem, gdy mówiłam: „Cześć, Jim”. Bo to wcale nie był Jim. Ale wyglądał zupełnie jak on.

A potem za każdym razem, gdy widziałam Jima, mówiłam: „Cześć, Conor”.

Okazało się, że nadal byłam w błędzie.

Bo on miał na imię William.

Ale był wierną kopią Jima i Conora.

Jednak Adam był zupełnie inny niż Jim i jego klony.

Przystojny, (dość) inteligentny, elegancki... no wiecie, normalny! Umiał się zachować w towarzystwie, nie wyglądał tak, jakby miał się zamienić w kupkę popiołu, gdyby padły na niego promienie słonecznego

światła, a poza tym potrafił nie tylko siedzieć nieruchomo i śliniąc się, gapić szklistymi oczami na Helen.

Gdy się z nami przywitał, powiedział uprzejmie do mamy:

— Może pomogę pani nakryć do stołu?

Mama przestraszyła się. Nie tylko propozycji pomocy, która sama w sobie była już czymś niezwykłym.

Przestraszyła ją sugestia, by w ogóle nakryć do stołu.

Widzicie, u nas w domu każdy troszczy się o siebie w porze posiłku i konsumuje kolację przed telewizorem, oglądając serial *Sąsiedzi*, zamiast siedzieć przy stole w kuchni.

— Eee... Nie, dziękuję, Adam. Sama to zrobię. I z trochę głupią miną zabrała się do rzeczy.

— Trafieś dziś na prawdziwą ucztę — powiedziała zalotnie do Adama. Ależ to było żenujące. Dorosła kobieta, a zachowywała się jak bujająca w obłokach nastolatka. — Claire przygotowała dla nas kolację.

— Tak, słyszałem, że Claire świetnie gotuje — uśmiechnął się do mnie. Zmieszałam się, choć było mi przyjemnie. „Nie powinien się do mnie tak uśmiechać, gdy wrzucam do cedzaka makaron”, pomyślałam, masując sobie sparzoną dłoń.

Ciekawe, kto mu powiedział, że świetnie gotuję, bo z pewnością nie zrobiła tego Helen.

A może po prostu chciał być czarujący? Ale co w tym złego?

— Dobrze, panie i panowie, zajmijcie miejsca przy stole i przygotujcie się na główną atrakcję wieczoru — zawołałam, dając im do zrozumienia, że kolacja gotowa.

Adam roześmiał się.

Znowu zrobiło mi się przyjemnie. Żalotne, prawda? Przy wtórze szurania i skrzypienia krzeseł wszyscy zasiedli przy stole.

Adam wyglądał dość dziwnie: był wielki w porównaniu z krzesłem, na którym siedział, jego kwadratowa szczeka i uroda także były raczej śmieszne.

To tak, jakby w waszej kuchni zjawił się Superman albo Mel Gibson wpadł na herbatkę.

Chyliłam czoło przed Helen: tym razem poderwała prawdziwe cacko. Zdrowy i przyjemny dla oka wygląd Adama stanowił miłą odmianę w stosunku do mizernih postaci Jima / Conora / Williama.

Za parę lat będzie wyglądał po prostu zabójczo.

Postawiłam na środku stołu przygotowaną zawczasu sałatkę. Potem nałożyłam makaron z sosem na talerze i zaniiosłam je biesiadnikom.

Pojawienie się jedzenia postawiło mamę, tatę i Helen w nieco kłopotliwym położeniu. Fakt, że wszystko zostało przygotowane w domu, wzbudził podejrzenia u ojca i Helen.

Bardzo słusznie.

Bóg świadkiem, że mieli wszelkie powody, by coś podejrzewać, po cierpieniach, jakich doznali w przeszłości. Pewnie za bardzo im to przypominało koszmarne wytwory maminego gotowania.

Oczywiście mama starała się wywołać ferment. Gdyby z miejsca zniechęciła ich do jedzenia, nie gotowałabym więcej kolacji, w związku z czym wszystko wróciłoby do starego porządku, a mama uratowałaby swoją skórę.

Ledwo postawiłam talerz przed Helen, zabalgotała, jakby miała zwymiotować.

— Fuj! — spojrzała z obrzydzeniem na zawartość talerza. — Co to za świństwo?

— Makaron z sosem — powiedziałam spokojnie.

— Z sosem? — wydarła się. — Przecież to jest zielone.

— Owszem — potwierdziłam. — Jest zielone. Zapewniam cię, że sos może być zielony.

W tym momencie Adam przyszedł mi z odsieczą. Z wyraźnym zadowoleniem wbijał widelec w potrawę.

Przypuszczam, że był jednym z tych ubogich studentów, którzy przez wiele miesięcy ciągnęli bez porządnego obiadu, więc gotowi byli zjeść niemal wszystko.

Jednak on zachowywał się tak, jakby mu naprawdę smakowało. I to było dla mnie wystarczające.

— Przepyszne — powiedział, uroczo przerywając wymysły Helen.
— Powinnaś tego spróbować. Naprawdę.

Spojrzała na niego twardo.

— Ani myślę. Wygląda obrzydliwie.

Ojciec, mama i Helen patrzyli z zapartym tchem na Adama, gdy połykał porcję makaronu. Ich przerażone twarze świadczyły o tym, że w każdej chwili spodziewają się jego śmierci.

Gdy po jakichś pięciu minutach nadal żył i nie wił się na podłodze niczym ofiara Borgiów, błagając o litość i zakończenie męczarni, ojciec zdecydował się spróbować mojego dania.

Cóż, bardzo chciałabym wam powiedzieć, że wszyscy członkowie mojej rodziny po kolei wzięli do ręki widelec i mimo wcześniejszych uprzedzeń ze smakiem zjedli to, co ugotowałam.

I że wszyscy ściskaliśmy się, a potem—kręcąc głowami i uśmiechając się krzywo — przyznawaliśmy otwarcie, w jak wielkim byliśmy błędzie. Obrazek jakby żywcem wzięty z amerykańskiej telenoweli.

Jednak nie mogę tego powiedzieć.

Wstrząsana konwulsyjnym drżeniem Helen, krzywiąc się niechętnie, powiedziała — mimo pozytywnej opinii Adama — że nie tknie makaronu.

Zrobiła sobie parę grzanek.

Déjà vu, czy jak to się nazywa.

Ojciec zjadł trochę i stwierdził, że danie jest pyszne, ale jego proste poczucie smaku nie pozwala mu w pełni docenić tak egzotycznej i wymyślnej potrawy. Powiedział:

— Jestem prostym człowiekiem. Nawet cytrynową bezę spróbowałem po raz pierwszy dopiero, gdy miałem trzydzieści pięć lat.

Mama też zjadła odrobinę, ale z wyraźnym wysiłkiem. Dała do zrozumienia, że wyrzucanie smacznego jedzenia to grzech. Niesmacznego również.

Dlatego zjadła swoją porcję. Według niej żyliśmy na tym świecie, aby cierpieć, ta kolacja została zesłana jako dopust Boży. Jednak mając do wyboru wejście na Croagh Patrick ze złamaną nogą albo zjedzenie do

końca swojej porcji makaronu, gotowa była w każdej chwili zacząć sznurować buty do górskiej wspinaczki.

Jednocześnie była pod wielką presją, by ukryć swoją radość wynikającą z faktu, że ojciec i Helen odmówili jedzenia.

Co jakiś czas nasze spojrzenia spotykały się i wtedy widziałam, z jakim trudem zachowuje pokerową twarz.

Prędzej by umarła, niż przyznała, że jest po prostu zachwycona.

Po jakimś czasie do domu wróciła Anna.

Wyglądała bardzo ładnie — powiedziałabym nawet, że nieziemsko i etnicznie. Miała na sobie długą, wykonaną szydełkiem spódnicę, zwiewne, powłóczyste chusty i szaliki oraz kolorową biżuterię. Gdy weszła do kuchni, od razu było widać, że Adama poznała już wcześniej.

— O, witaj, Adam — wydyszała radośnie i zarumieniła się. Czy wszystkie kobiety na jego widok oblewają się rumieńcem? A może tylko w naszej rodzinie?

Podejrzewałam, że jednak nie.

Jakaż nadzieja pozostała tak młodemu mężczyźnie, który wywierał tak ogromne wrażenie na kobietach? Mógł wyrosnąć jedynie na skończonego drania.

Który oczekuje, że kobiety będą szlochać, mdleć, wrzeszczeć i oddawać mu swoje serce z taką łatwością, z jaką oddychały.

Był zbyt piękny — na własną szkodę.

Przydałby mu się jakiś feler. Albo dwa.

A tak gładka twarz mogła go tylko zepsuć na dobre.

— Cześć, Anno — uśmiechnął się do niej.— Miło cię znowu widzieć.

— Tak... — mruknęła niewyraźnie. Jeszcze bardziej się zarumieniła i przewróciła filizankę. Zapewne jej powieki od wewnętrznej strony były już rozgrzane do czerwoności.

Współczułam jej. Przypuszczalnie wszystkie żyłki w mojej twarzy również uległy uszkodzeniu, gdy wcześniej oblałam się gwałtownym rumieńcem na widok Adama. Każde włoskowate naczynko w moich po-

liczkach pękało niczym pęcherzyk dwutlenku węgla wypływający na powierzchnię szampana.

Rozmowa przy stole nie bardzo się kleiła. Helen, która nigdy nie wyróżniała się jako gospodyni (chyba że pod względem braku kultury), wzięła magazyn (był to w istocie egzemplarz „Hello” — ciekawe, jak się ostał?) i czytała przez całą kolację.

— Helen, odłóż tę gazetę — powiedział wyraźnie zażenowany ojciec.

— Zamknij się, tato — odparła monotonicznie, nawet nie podniósłszy wzroku.

Jednak co pewien czas spoglądała na Adama i uśmiechała się do niego szelmowsko, on zaś patrzył na nią zachwycony i po chwili odpowiadał jej uśmiechem.

Seksualne napięcie wisiało w powietrzu i było tak gęste, że można je było kroić nożem.

Anna, która nigdy nie należała do rozmownych, zupełnie oniemiała. Takie ogromne wrażenie wywarł na niej Adam.

Gdy kierował do niej pytanie, potrafiła jedynie chichotać, a potem zwieszała głowę i zachowywała się jak wiejski przygłup.

Szczerze mówiąc, bardzo mnie to drażniło.

Na litość boską, przecież on był tylko facetem, i to jeszcze młodym, a nie żadnym bóstwem.

Mama i tata nerwowo grzebali widelcami w swoich talerzach. Oni również niewiele się odzywali.

Ojciec spróbował zagadać do gościa.

— Rugby? — mruknął do niego, jakby był w tajnym stowarzyszeniu i chciał wybadać, czy Adam także jest jego członkiem.

— Proszę? — Adam popatrzył na ojca pytająco, starając się odgadnąć, o co mu chodzi.

— Rugby? Może atak?

— Przepraszam, ale co pan ma na myśli?

— Grasz w rugby? — ojciec wyłożył karty na stół.

— Nie.

— Aha — westchnął ojciec niczym balon, z którego spuszczone powietrze.

— Ale lubię oglądać — dodał słabym głosem Adam.

— E tam! — Ojciec właściwie odwrócił się do niego plecami i rozczarowany machnął ręką.

Przypuszczalnie był to koniec ich świeżej przyjaźni.

Nie wiem, dlaczego poczułam, że to do mnie należy zabawianie naszego gościa rozmową. Może nawykłam do przebywania w cywilizowanym towarzystwie, gdzie gości traktowano tak, jak należało, gdzie zaprosiwszy kogoś na kolację, nie zostawia się go swojemu losowi w grupie nie znanych mu osób.

Mówiłam to już chyba tysiąc razy, ale denerwowało mnie zachowanie Helen oraz fakt, że uchodziło jej to zupełnie bezkarnie.

— Więc jesteś z Helen w tej samej grupie? — spytałam go z fałszywym olśnieniem, usilnie próbując nawiązać konwersację.

— Tak. Jestem w jej grupie na antropologii.

Na tym temat się skończył.

Wrócił do jedzenia.

I wciąż nie umierał.

Ojciec nie mógł się temu nadziwić.

Miło było patrzeć na Adama. Miał w sobie coś zdrowego. Ogromny apetyt. I potrafił docenić to, co dobre.

— To naprawdę znakomite — uśmiechnął się do mnie. — Mogę jeszcze trochę?

— Oczywiście — powiedziała kokieteryjnie mama. Niemal przewróciła krzesło, tak szybko zerwała się, aby go obsłużyć. — Przyniosę ci. A może jeszcze jedną szklanek mleka?

— Bardzo dziękuję, pani Walsh — odparł grzecznie.

Jaki miły. Nie mówię tak tylko dlatego, że był jedyną osobą, która zjadła przygotowaną przeze mnie kolację. W męski sposób był tak bardzo chłopięcy. A może był męski w chłopięcy sposób. Wszystko jedno. Podobało mi się to.

Jednak mimo że był niepokojąco przystojny, w jego towarzystwie czułam się wyluzowana, bo wiedziałam, że ma dopiero około osiemnastu lat. Chociaż zachowywał się i wyglądał o wiele bardziej dojrzałe.

Szczerze mówiąc, zaczęłam zazdrościć Helen, że znalazła sobie takiego fajnego faceta.

Jak przez mgłę przypominałam sobie, co to znaczy być młodą i zakochaną.

Ale zaraz przywołałam się do porządku. Naprawię mój związek z Jamesem. A jeśli nie, znajdę sobie kogoś równie uroczonego.

(„Uroczonego??!!”, pomyślałam zaalarmowana. „Czyja właśnie powiedziałam »uroczonego«? Obecnie akurat to słowo najmniej pasuje do Jamesa”).

Lecz Adam—bohater—przyszedł z odsieczą i ocalił rozmowę przy stole.

Mama spytała go, gdzie mieszka.

To część rutynowego przesłuchania—pierwsze z dwóch pytań, które obowiązkowo zadawała każdemu gościowi płci męskiej.

Drugie pytanie miało na celu wybadanie, czym się zajmuje ojciec młodzieńca.

A to z kolei pozwalało ustalić przybliżoną majątność rodziny na wypadek, gdyby Helen miała poprzez małżeństwo zostać jej członkiem. Ponadto mama mogła się w ten sposób zorientować, ile będzie musiała wydać na suknię jako matka ewentualnej panny młodej, aby dobrze wypaść w oczach rodziny jej narzeczonego.

Jednak Adamowi udało się zwieść mamę i uniknąć prośby o pokazanie dowodu wypłaty wynagrodzenia ojca. Dokonał tego, racząc nas zabawnymi historyjkami ze swojego życiorysu.

Okazało się, że pochodzi z Ameryki. Oboje rodzice niedawno wrócili do Nowego Jorku, tak więc sam zajmował mieszkanie w Rathmines.

Chociaż rodzice byli Irlandczykami, a on sam mieszkał w Irlandii od ukończenia dwunastego roku życia, wciąż wyglądał na Amerykanina.

Pomyślałam, że tam w Ameryce muszą czegoś dodawać do powietrza. Może fluoru lub czegoś podobnego, dzięki czemu tamtejsi chłopcy wyrastali na postawnych atletów.

Był to niewątpliwie prztyczek w nos dla tych, którzy twierdzili, że uwarunkowania genetyczne są ważniejsze od środowiskowych.

Gdyby pierwsze dwanaście lat swego życia spędził w Dublinie zamiast w Nowym Jorku, miałby tylko metr sześćdziesiąt pięć wzrostu zamiast metr dziewięćdziesiąt. Miałby jasną, piegowatą skórę, nie zaś lekko oliwkową. Miałby rzadkie, jasnobrązowe włosy zamiast gęstych i czarnych. A jego szczęka nie byłaby kwadratowa, niczym wykuta z granitu, lecz zupełnie pozbawiona wyrazu.

Taki był efekt amerykańskiego stylu życia. Jedzenia wędzonej wołowiny z ryżem, bajgli z serem śmietankowym i wędzonym łososiem, picia wody sodowej i piwa, oglądania baseballu, nazywania dżemu „żelem”, a żelek „jello”, chrupek „chipsami”, a chipsów „frytkami”, wołania do ludzi „Mac”, nawet jeśli nazywają się zupełnie inaczej, mieszkania w domach z podwójnymi drzwiami i wielkim tarasem.

Adam zabawiał nas opowieściami o swoich przeżyciach, gdy przeprowadził się z Nowego Jorku do Dublina. Jak miejscowe dzieciaki powitały go, wołając: „Faszysta imperialista jankes”, i zachowywały się tak, jakby był osobiście odpowiedzialny za inwazję Stanów Zjednoczonych na Grenadę. Tłukły go też za amerykański akcent.

Naśmiewały się także z jego amerykanizmów. Biedny Adam stwierdził: „Nie miałem pojęcia, że wszystko mówię źle”.

Inni chłopcy wołali do niego na przykład: „Hej, Myszko Miki, o której wyrzuciłeś śmieci do pojemnika na chodniku?”

Na co odpowiadał: „Dziesięć na jedenastą, Johnny, a może było dwadzieścia na ósmą”.

Głośny wybuch śmiechu.

Opowiadał też o tym, jak nazwali go osiłkiem, bo w samoobronie pobił paru miejscowych chłopaków. A był przy tym o wiele większy od innych.

Kiwaliśmy współczująco głowami. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, opierając łokcie na blacie i przyglądając się Adamowi, a nasze serca pękały z żalu nad biednym, samotnym dwunastolatkiem, który wszystko robił nie tak, jak należało. Było cicho jak makiem zasiał. Nagle nastrój zmienił się z radosnego w poważny, przygnębiający.

Nawet ojciec wyglądał tak, jakby się miał zaraz rozplakać.

Na pewno myślał sobie: „Może nie gra w rugby, ale nie powinno się go tak traktować”.

Wtedy Adam skierował całą swoją uwagę na moją osobę.

Odkręcił się na krześle i wbił we mnie przenikliwe spojrzenie.

Zabawne, ale poczułam się tak, jakby oprócz mnie nikogo więcej nie było w kuchni.

Był taki ożywiony, pełen entuzjazmu, ciekawy wszystkiego. Jak mały szczeniak. A raczej ogromny szczeniak.

W ogóle nie wyczuwało się w nim cynizmu.

„A więc tak to jest, gdy jest się młodym”, pomyślałam.

— Claire, opowiedz mi o swojej pracy — poprosił. — Helen mówiła mi, że masz odpowiedzialne stanowisko w fundacji charytatywnej.

Jego zainteresowanie sprawiło, że poczułam się jak ogrzewany promieniami słońca pąk, który rozwija się w piękny kwiat.

Lecz zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, do rozmowy wtrąciła się Helen.

— Wcale nie mówiłam, że ma odpowiedzialną pracę — rzekła kwaśno. — Po prostu ma pracę. I tak musiała ją porzucić, gdy urodziła dziecko.

— Ach, dziecko — powiedział. — Czy mogę ją zobaczyć?

— Oczywiście. — Byłam wniebowzięta. Tylko dlaczego Helen jest taka nieprzyjemna?

To znaczy, jeszcze bardziej nieprzyjemna niż zwykle?

— Kate teraz śpi, ale za pół godziny się obudzi i wtedy możesz ją zobaczyć.

— Świetnie. — Wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku. Naprawdę był przeuroczy. Miał niemal granatowe oczy.

I piękne ciało.

To całkowicie obiektywna opinia.

W końcu był chłopakiem mojej siostry, więc mogłam podziwiać jego urodę w sensie czysto estetycznym, tak to można określić.

Czułam się trochę jak doświadczona życiowo staruszka, podziwiająca młodych, przystojnych mężczyzn, z którymi — co była gotowa przyznać—już od wielu lat nie było jej dane poflirtować.

Był tak wysoki i seksowny, mimo że nosił jedynie wytarte dżinsy i szarą bluzę.

Na deser podałam krem czekoladowy, który wywołał o wiele większy entuzjazm niż danie główne. Ojciec, Anna i Helen zaczęli walczyć między sobą o największą porcję, co w obecności gościa wypadło szczególnie kompromitująco.

Adam jednak tylko zaśmiał się dobrodusznie.

Wkrótce potem zabrałam go, żeby zobaczył Kate.

Weszliśmy na palcach do pokoju.

— Mogę ja potrzymać? — spytał z respektem.

— Pewnie—uśmiechnęłam się, wzruszona jego strachliwością.

Pomyślałam, że to najśłodsza rzecz, jaką usłyszałam — taki wielki twardziel chciał obejrzeć moje dziecko.

Tak jakby olbrzymi, muskularny kierowca ciężarówki płakał, słuchając piosenek country. Absurdalne, a zarazem wzruszające.

Ostrożnie podałam mu Kate, a on trzymał ją delikatnie na rękach.

Nawet się nie obudziła.

Idiotka!

Co to za głupie stworzenie.

Po raz pierwszy była w ramionach pięknego mężczyzny i wszystko przespała.

Jakiż cudowny widok. Wielki młody mężczyzna trzymający na rękach śliczne niemowlę.

— Jakie ma oczy? — spytał.

— Niebieskie. Ale wszystkie niemowlęta mają z początku niebieskie oczy. Dopiero potem zmieniają kolor.

Wciąż wpatrywał się w nią zauroczony.

— Wiesz, gdybyśmy my mieli dziecko, na pewno jego oczy byłyby niebieskie — rzekł zamyślony, jakby mówił do siebie.

Skoczyłam jak oparzona. Nie wierzyłam własnym uszom! Czy on próbuje ze mną flirtować? Ogarnęła mnie złość.

Myślałam, że jest miły i niewinny. Taki słodki młodzieniec. Bezczelny!

Mogłabym być jego matką! No, prawie. Ale przyszedł tu z moją siostrą i dał wszystkim do zrozumienia, że jest jej chłopakiem.

Czy w ogóle nie miał wstydu?

Poczucia przyzwoitości?

Jednak myliłam się. Na chwilę nasze spojrzenia się spotkały i wtedy zrozumiałam, że jest bardzo mocno zakłopotany.

Wyraźnie zdawał sobie sprawę z popełnionej przez siebie ogromnej gafy.

Wyglądał na zaleknione dziecko.

Niegrzeczny mały chłopiec.

W powietrzu wisiało napięcie, konsternacja.

— Lepiej wróć do Helen. Mam dla niej napisać pracę — rzekł pośpiesznie. Niemal rzucił Kate w kierunku jej łóżeczka, po czym wybiegł bez słowa z pokoju.

Usiadłam na łóżku. Dziwnie się czułam.

Czy to samopoczucie wynikało z mojej przesadnej reakcji?

A może smuciłam się z powodu własnego cynizmu i pochopnego wyciągania niewłaściwych wniosków?

Czyja przypadkiem nie czułam się... Boże, uchowaj... rozczarowana?

Nie. Zdecydowanie nie. Ale z pewnością trochę głupio.

Powiedziałam sobie, że za długo nie miałam styczności z mężczyznami. Powinnam wrócić do normalnego obiegu. Tak aby przy następnym spotkaniu z atrakcyjnym mężczyzną nie wyciągać nedorzecznych wniosków.

Muszę jednak przyznać, że trochę zaboląła mnie jego reakcja na sugestię, że moglibyśmy mieć dziecko. Nie było powodu, żeby tak się przeraził.

Boże, to jednak takie typowe.

Zgodnie z uświęconą tradycją najpierw wpadłam w złość dlatego, że miał na mnie ochotę, a po trzydziestu sekundach wściekałam się, że nie miał na mnie ochoty.

Racjonalne myślenie nigdy nie było moją mocną stroną.

To znaczy, mogłam sobie być „starszą panią”, ale przecież nie wyglądałam jak narzeczona Draculi. Mogłam mu powiedzieć, że w opinii wielu mężczyzn byłam atrakcyjna.

No, na pewno jest gdzieś taki, który by to potwierdził. Naszą planetę zamieszkują trzy miliardy ludzi. Z tego tłumu bez wątpienia udałoby mi się wyłuskać paru nieszczęśników, którym przypadłabym do gustu,

A ten chłopak miał czelność. Fakt, że sam był przystojniakiem, nie upoważniał go do wywołania u mnie kompleksów na punkcie wyglądu.

Być może nie byłam tak piękna jak Helen. Prawdę mówiąc, nie byłam nawet w przybliżeniu tak piękna jak ona.

Ale za to byłam miła.

Co prawda, miłe zachowanie nie zawsze wystarczało do wzbudzenia zainteresowania płci przeciwnej.

Gdyby tak było, Matka Teresa musiałaby się opędzać od zalotników długim kijem.

A jednak.

Nakarmiłam Kate i ułożyłam ją z powrotem do snu. Potem zeszłam do mamy.

Po drodze minęłam pokój Helen. Drzwi były starannie zamknięte.

Na pewno młodzi schowali się w środku. Nazywa się to pisaniem pracy. Akurat! Być może mama i ojciec kupili tę bajeczkę, ale ja sama stosowałam ją zbyt wiele razy, by nie wiedzieć, co naprawdę oznacza. Mimo wszystko jeśli nawet uprawiali seks, robili to bardzo cicho. Oczywiście nie podsłuchiwałam pod drzwiami. Zresztą i tak mnie to nie ob-

chodziło. Helen mogła się pieprzyć, z kim tylko miała ochotę. Tak samo Adam. Mnie nic do tego.

Z wielką uwagą zaczęłam oglądać z mamą telewizję.

Minęło sporo czasu, zanim usłyszałyśmy głosy Helen i Adama dobiegające z kuchni.

Potem usłyszałyśmy, że go pożegnała.

Zajrzał jeszcze do nas, podziękował za wspaniałą kolację i wyraził nadzieję, że niedługo znowu się zobaczymy.

Pożegnałyśmy go uśmiechem.

— Uroczy, miły chłopiec — powiedziała z zadowoleniem mama.

Nic nie odpowiedziałam. Jak na osobę, która przed chwilą uprawiała seks, wyglądał bardzo schludnie. Ciekawe tylko, dlaczego tak bardzo zaprzętało to moją uwagę?

Rozdział 11

Helen wyprawiła Adama do domu w Rathmines. Był deszczowy i wietrzny wieczór—typowo marcowa pogoda. Gdy zamknęła za nim drzwi, przysła do pokoju, gdzie razem z mamą oglądałam telewizję.

— Przemiły chłopiec — odezwała się mama z aprobatą.

— Naprawdę? — Helen wydawała się jakby nieobecna.

— Przemiły — powtórzyła mama z naciskiem.

— Nie zaczynaj znowu — warknęła poirytowana Helen. Zapadło niezręczne milczenie.

— Ile Adam ma lat? — spytałam po chwili obojętnym tonem.

— Czemu pytasz? — Helen nawet nie odwróciła wzroku od telewizora. — Podoba ci się?

— No co ty — zaprotestowałam, oblewając się gorącym rumieńcem.

— Naprawdę nie? Bo wszyscy za nim szaleją. Wszystkie dziewczyny ze szkoły. Mama też.

Mama zmieszała się trochę, lecz z miejsca gotowa była do obrony. Jednak zanim zdążyła się odezwać, Helen znowu zabrała głos.

— A ty zachowywałaś się, jakby wpadł ci w oko. Ciągłe chichotałaś i uśmiechałaś się do niego. Jesteś gorsza niż Anna. To było upokarzające.

— Ja tylko starałam się być uprzejma — powiedziałam z naciskiem. Naprawdę mnie wkurzyła. I zawstydziła.

— Wcale nie byłaś uprzejma — mówiła Helen monotonnym głosem, wciąż patrząc w ekran. — Wpadł ci w oko.

— Helen, na litość boską, czy miałam go ignorować i nie odzywać się ani słowem? — spytałam ze złością.

— Nie — odparła zimno. — Ale mogłaś się tak nie afiszować z tym, że wpadł ci w oko.

— Helen, ja jestem mężatką — podniosłam na nią głos. — Wcale nie wpadł mi w oko. Poza tym jest ode mnie znacznie młodszy.

— Ha! — zawołała w odpowiedzi. — Więc jednak ci się spodobał. Boisz się tylko, że jest za młody. Nie martw się, bo pani profesor Staunton też jest mężatką i zakochała się w nim, i upiła się, i płakała w barze, i mówiła, że zostawi męża i wszystko. Myślałam, że popękamy ze śmiechu. A ona jest naprawdę stara. Nawet starsza od ciebie!

W tym momencie Helen zerwała się na równe nogi i wybiegła z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Bez wątpienia naruszyła kilka ostatnich dachówek.

— Mój Boże — westchnęła mama znużonym głosem. — Tu nieustannie rozgrywa się bieg sztafetowy. Gdy tylko jedna córka przestaje się zachowywać niczym Antychryst, inna przejmuje od niej pałeczkę. Dlaczego wy wszystkie jesteście takie nieokrzesane? Zupełnie jak Włoszki.

— Co jej się stało? — spytałam mamę. — Dlaczego jest taka wrażliwa na punkcie Adama?

— Przypuszczam, że się w nim zakochała—odparła niepewnie. — A przynajmniej tak myśli.

— Co takiego?! — Doznałam szoku. — Helen się zakochała? Oszałałaś? Jediną osobą, którą Helen kocha, jest ona sama.

— Nieładnie mówić tak o swojej siostrze. — Mama spojrzała na mnie wymownie.

— Nie miałam nic złego na myśli — wyjaśniłam szybko. — Po prostu to ją wszyscy kochają, a nigdy odwrotnie.

— Zawsze musi być ten pierwszy raz — rzekła roztropnie mama. Siedziałyśmy chwilę w milczeniu.

— W każdym razie ona ma rację — odezwała się w końcu.

— Z czym? — Nie wiedziałam, co ma na myśli.

— Wpadł ci w oko.

— Nieprawda — rzuciłam ze złością. Spojrzała na mnie znacząco.

— Nie bądź śmieszna — prychnęła. — On naprawdę jest przeuroczy. Mnie też wpadł w oko. Gdybym była dwadzieścia lat młodsza, sama bym spróbowała.

Nie odezwałam się. Byłam zła.

— Co więcej — podjęła mama — ty jemu też wpadłaś w oko. Nic dziwnego, że Helen tak się dąsa.

— Bzdura! — podniosłam głos.

— Wcale nie — odparła spokojnie mama. — Przecież to oczywiste, że mu się spodobałaś. Chociaż — dodała z powątpiewaniem — odniosłam wrażenie, że ja także przypadłam mu do gustu. Być może należy do tej kategorii mężczyzn, przy których każda kobieta czuje się piękna.

Tym razem zabiła mi porządnego ćwieka.

— Ależ, mamó — próbowałam jej wyjaśnić — przecież Jestem żoną Jamesa, kocham go i chcę naprawić nasze małżeństwo.

— Wiem o tym. Lecz może właśnie potrzebujesz małej przygody... Żeby odzyskać poczucie własnej wartości. I spojrzeć na swoje uczucia do Jamesa z pewnej perspektywy.

Patrzyłam na nią przerażona. O czym ona gada?

Przecież to moja matka, na litość boską. Dlaczego zachęca mnie, mężatkę, do skoku w bok? I do tego z chłopakiem mojej młodszej siostry.

— Mamó! Opanuj się. Napawasz mnie grozą. Nie mam przecież osiemnastu lat. Nie uważam, że najlepszym sposobem na zapomnienie o jednym facecie jest wpełzanie pod innego!

Za późno zorientowałam się, co powiedziałam.

Chętnie odgryzłabym sobie język.

Mama spojrzała na mnie zwięzonymi oczami.

— Nie wiem, gdzie usłyszałaś tak wulgarne wyrażenie — syknęła.
— Ale na pewno nie w tym domu. Czy tak się mówi w Londynie?

— Przepraszam — wymamrotałam zawstydzona. Ale przynajmniej wróciłam na znajomy grunt.

Siedziałam przy niej na kanapie i czułam się okropnie. Jak mogłam powiedzieć coś tak ordynarnego? A raczej — jak mogłam powiedzieć coś tak ordynarnego w obecności mojej mamy? Idiotka.

— No cóż — odezwała się po chwili bardziej pojednawczym tonem — nie mówmy już o tym, co ci się wyrwało.

— Dobrze. — Ale mi ulżyło.

Bogu dzięki! Bo już chciałam pakować swoje walizki i wracać do Londynu.

— A wracając do sprawy — powiedziała — on ma dwadzieścia cztery lata.

— Skąd wiesz? — spytałam zdumiona.

— Aha. — Mrugnęła do mnie porozumiewawczo, dotykając czubka swego nosa. — Mam swoje źródła.

— Spytałaś go? — Dobrze znałam własną matkę.

— Być może — odparła nieśmiało, ale nic więcej nie zdradziła. —
Widzisz więc, że wcale nie jest dla ciebie za młody.

— Mamo! — jęknęłam boleśnie. — O czym ty mówisz? Zresztą ja mam na karku trzydziestkę, a on dopiero dwadzieścia cztery. I tak jest dla mnie o wiele za młody.

— Nonsens — powiedziała żwawo. — Wszystkie tak robią. Zobacz na przykład Britt Ekland. Zawsze fotografuje się z tym chłopakiem, który mógłby być jej wnukiem. A może właśnie nim jest. A ta druga dziwa, no ta, która cały czas chodzi bez ubrania... Jak ona się nazywa?

— Madonna? — odważyłam się zasugerować.

— Nie ta. Wiesz, o którą mi chodzi. Ma tatuaż na tyłku.

— Aha, to pewnie Cher.

— No właśnie. Musi być w moim wieku, a zobacz, jak się zachowuje. Żaden z jej chłopaków nie ma więcej niż szesnaście lat. Ten Ike to pewnie ostatni facet, z jakim była, który miał więcej lat niż ona.

— Ike? — W głowie miałam lekki zamęt.

— Tak. Jej mąż — powiedziała zniecierpliwiona mama.

— Nie, mammo. Cher nie była żoną Ike'a, lecz Sonny'ego. Ike to były mąż Tiny.

— Jakiej Tiny? — spytała zgubiona.

— Tiny Turner — wyjaśniłam łagodnie.

— A co ona ma do tego? — Mamę ogarnęła złość. Patrzyła na mnie jak na wariatkę.

— Absolutnie nic — próbowałam wyjaśniać, ale czułam, że tracę kontrolę nad tą rozmową. — Powiedziałaś, że Cher i Ike... Nieważne. Dajmy temu spokój.

Nadaśana mruknęła coś pod nosem, że wcale nie chce dać spokoju. I że to ja pierwsza napomknęłam o Tinie Turner.

— Nie gniewaj się, mammo — rzekłam pojednawczo. — Rozumiem, o co ci chodzi. Adam nie jest dla mnie za młody.

Wypowiedziawszy te słowa, spojrzałam nerwowo na drzwi. Przechybiałam, że lada chwila wpadnie Helen i krzyknie: „Wiedziałam, że wpadł ci w oko, wstrętne starucho”.

A potem zechce mnie udusić.

Jednak nie wpadła do pokoju. Mimo to nie wyzbyłam się lęku.

— W każdym razie — podjęłam — odłóżmy na bok kwestię wieku. Czy nie zapomniałaś przypadkiem o paru innych ważnych sprawach? Na przykład o tym, że Adam jest chłopakiem Helen?

— Aha! — Podniosła do góry palec wskazujący i spojrzała na mnie wzrokiem starej, mądrej, doświadczonej życiowo kobiety. Niemal widziałam na jej głowie czarną chustę i mrugnięcie oka. — Czy aby na pewno?

— Więc z jakiego powodu tu przyszedł? — spytałam logicznie.

— Żeby pomóc jej napisać pracę.

— A dlaczego miałby to zrobić, gdyby nie był jej chłopakiem? A przynajmniej gdyby nie próbował nim zostać? — Wydawało mi się, że wciąż jestem bardzo logiczna.

— Bo jest miłym, życzliwym człowiekiem? — spytała mama. Lecz w jej głosie zabrzmiała nuta powątpiewania.

— W każdym razie — powiedziałam — było oczywiste, że ona bardzo mu się podoba.

— Czyżby? — spytała głęboko zdumiona.

— Tak — odparłam zdecydowanie.

— Nawet jeśli jest jej chłopakiem, nie zostanie nim długo.

— Dlaczego tak sądzisz? — spytałam. Ciekawe jakie jeszcze informacje wyciągnęła od pięknego Adama.

— Ze względu na zachowanie Helen.

— A — rzuciłam rozczarowana. Więc nie знаła już więcej rewelacji na temat Adama.

— Helen pragnie jedynie, aby on się w niej zakochał. Potem będzie go dręczyć przez jakiś czas, a wreszcie puści go kantem. Zawsze taka była. Nawet jako dziecko. Przed Bożym Narodzeniem całymi miesiącami nagabywała nas, abyśmy kupili jej wymarzoną lalkę albo rower. A gdy zasiadaliśmy do świątecznego stołu, ona zdążyła już zepsuć wszystkie zabawki, jakie przyniósł, jej Mikołaj. Nie była zadowolona, póki nie zniszczyła wszystkiego. Wszędzie walały się głowy i nogi lalek, rowerowe łańcuchy

i siodełka. Można się było o nie zabić.

— Nieładnie mówić tak o Helen — powtórzyłam jej wcześniejsze słowa.

— Może i nie — westchnęła — lecz taka jest prawda. Kocham ją. To naprawdę dobra dziewczyna, ale musi trochę dorosnąć. Nawet nie trochę. Bardzo.

— Przecież sama mówiłaś, że Helen pewnie zakochała się ' w Adamie.

— Mówiłam, że Helen myśli, że się w nim zakochała. To coś zupełnie innego. A nawet jeśli go kocha — chociaż uważam, że do tego nie

dojrzała — to nie zaszkodzi jej, gdy dostanie od życia trochę po pupie. Wszystko przychodzi jej zbyt łatwo. Mały sercowy zawód przywołają do porządku. Zobacz, jak dobry wpływ miał na ciebie. Od razu spokorniałaś.

— Więc chcesz, żebym miała romans z chłopakiem Helen, aby wróciła mi wiara w siebie, a zarazem by nauczyć ją pokory? — Chyba w końcu udało mi się zrozumieć, o co mamie chodzi.

— Dobry Boże — odparła gniewnie — wkładasz w moje usta słowa jakby żywcem wzięte z *Dynastii*. Że niby udaję Pana

Boga i bawię się ludzkim losem. To brzmi okropnie. Tak zimno. Nie twierdzą, że chcę, by cokolwiek się stało, ale naprawdę wyczułam u Adama duże zainteresowanie twoją osobą. A jeśli tak jest, jeśli cokolwiek miałyby się wydarzyć i jeśli przetrwasz zamachy Helen na twoje życie, to może powinnaś poddać się biegowi rzeczy.

— Mamo — westchnęłam. — Zrobiłaś mi wielki mętlik w głowie.

— Wybacz, kochanie. Może się mylę. Może wcale nie wpadłaś mu w oko.

Na pewno nie zdziwi was, że wcale nie spodobało mi się to, co powiedziała.

Miałam już tego dosyć.

— Idę spać — powiedziałam.

— Słodkich snów. — Ścisnęła moją dłoń. — Wpadnę jeszcze do ciebie, żeby pocałować Kate.

Wyszłam.

W sypialni przygotowałam się do snu. Nocna koszula obraziła się na mnie, bo zostawiłam ją w domu, za to włożyłam legginsy i bluzkę Helen, po czym pojechałam na zakupy. Nie omieszkała mi tego wypomnieć.

„Byłam twoją przyjaciółką”, mówiła do mnie. „Pomogłam ci przetrwać najgorszy okres. A ty jesteś kapryśna i nielojalna. Jak tylko ci się poprawiło, gdy poczułaś się lepiej — porzuciłaś mnie”.

„Zamknij się, bo już nigdy cię nie włożę. I dopiero wtedy będziesz miała o czym gadać”, pomyślałam.

Miałam na głowie ważniejsze rzeczy niż psioczenie obrażonej nocnej koszuli.

Kładąc się, zdałam sobie sprawę, że przez ostatnie trzy godziny w ogóle nie myślałam o Jamesie. Prawdziwy cud.

Cały dzień był po prostu niezwykły.

Rozdział 12

Następny dzień wstał zimny i wietrzny.

Wiem, bo nie spałam o świcie.

Typowy marcowy dzień.

Deszcz w końcu przestał padać.

Ale w tym nie było nic symbolicznego.

Powiedzmy sobie szczerze: ten cholerny deszcz musiał się wreszcie skończyć.

Nakarmiłam Kate i siedząc na łóżku, pokołysałam, aby jej się odbiło. Szybko zdałam sobie sprawę, że chociaż najgorszą depresję miałam już za sobą, nowo odkryta wolność niosła ze sobą pewne obowiązki.

Wczorajszy dzień był bardzo miły.

Naprawdę było fajnie.

Ale życie to coś więcej niż miłe spędzanie czasu.

Mały ludzik w mojej głowie, który zazwyczaj mówił mi; „Koniec jest blisko”, teraz deklarował: „Życie to coś więcej niż przyjemności”.

Ludzik ten pracuje w moim departamencie sumienia.

Nienawidzę go.

Podły drań.

Ciągle się zjawia i wszystko mi psuje, zwłaszcza gdy robię . zakupy. Mówi na przykład: „Masz już cztery pary butów” i „Jak możesz uzasadnić wydanie dwunastu funtów na szminkę?”

Psuje mi całą przyjemność. Zazwyczaj kończyło się tak, że nie kupowałam kwestionowanego artykułu. „Przepraszam”, jękałam, gdy

sprzedawca wkładał pantofle do pudełka i obrzucał mnie nienawistnym spojrzeniem. „Rozmyśliłam się”.

A jeśli coś kupiłam, miałam takie poczucie winy, że całą przyjemność diabli brali.

W każdym razie dzisiaj wstrętny ludzik przypomni mi, że mam do zrobienia w życiu o wiele więcej, niż zeglować po alejkach supermarketu i pokazywać Kate pudełka z kremem czekoladowym. Jakich wartości ją uczyłam?

Więcej niż zrobić kolację dla rodziny czy podkochać się w chłopaku mojej siostry.

Z Kate na rękach podeszłam do okna i razem spoglądałyśmy na ogród tak cudownie zaniedbany przez Michaela.

Czułam się tak, jakbym za chwilę miała stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Byłam trochę spięta.

Nadszedł czas, bym przyjęła konsekwencje swojego postępowania.

A nigdy nie byłam w tym dobra.

Na pierwszą oznakę jakichkolwiek kłopotów moja odpowiedzialność zamyka się w łazience mojego mózgu i kategorycznie odmawia wyjścia. Sumienność i poczucie obowiązku mogą ją kusić, ile wejdzie, ale bez najmniejszego rezultatu. Zabarykadowana w środku odpowiedzialność siedzi skulona na podłodze i czeka, aż kłopoty miną.

Musiałam zadać pewne pytania.

Trudne pytania.

Dotyczące pieniędzy, opieki nad naszym dzieckiem i wspólnego domu.

Przysięgam na wszystko, że sprawiało mi to ogromne cierpienie. Gdy myślałam o każdej z tych spraw, mój mózg aż syczał z bólu.

Po raz pierwszy od chwili, gdy James wychodząc ze szpitala, pokazał mi plecy, zaczęłam się zastanawiać nad praktycznymi konsekwencjami rozstania.

Na przykład: czy powinnam się z nim spotkać, żeby porozmawiać o sprzedaży naszego mieszkania?

Czy powinniśmy równo podzielić wspólny majątek?

Byłoby to niezwykle zabawne.

Na przykład: czy wyciągniemy na środek pokoju trzyczęściowy komplet wypoczynkowy i przepiłujemy na pół kanapę, po czym każde zabierze swoją część razem ze sterczącymi skrawkami gąbki oraz po jednym fotelu?

Takie właśnie myśli przychodziły mi do głowy.

Naprawdę nie wiedziałam, jak podzielimy większość naszych wspólnych rzeczy. Bo nie należały one ani do mnie, ani do Jamesa. Należały do nieuchwytej osoby trzeciej, mianowicie do „nas”.

Osoby lub bytu powołanego do życia poprzez związek zawarty między mną i Jamesem. A było to o wiele więcej niż suma elementów składowych.

Jak bardzo pragnęłam, by udało mi się znaleźć owo brakujące: »my«.

Gdyby tylko udało mi się je wytropić, zwabić tymi wszystkimi wspaniałymi rzeczami. Tak jak robi to gospodarz beznadziejnego teleturnieju z nagrodami.

Widzisz ten wspaniały telewizor? .

Jest twój. Zostaniesz teraz?

Obejrzyj świetnie wyposażoną kuchnię.

Piękna, prawda? Może być twoja, jeśli tylko wrócisz.

Chociaż w tak kiepskim teleturnieju nie było nagród w postaci świetnie wyposażonej kuchni.

Przy odrobinie szczęścia można było wygrać na bilet powrotny do domu.

Bardzo pragnęłam, aby tym prostym sposobem udało się przywrócić istnienie owego „my”, złożonego z Claire i Jamesa.

Albo gdybym mogła zamieścić w wieczornych wiadomościach ogłoszenie typu: „Uprasza się, by »my«, złożone z Claire i Jamesa, ostatnio widziane w rejonie (powiedzmy) Kerry, skontaktowało się z policją w Dublinie”.

Wyglądało jednak na to, że „my” nie tylko zaginęło. Ono nie żyło. Zostało zabite przez Jamesa.

W dodatku zmarło, nie pozostawiwszy testamentu.

Zgodnie z prawem cała masa spadkowa „nas” przechodzi na skarb państwa.

Oczywiście w praktyce nic takiego nie mogło się zdarzyć. To było zbyt surrealistyczne i śmieszne.

A teraz podajcie mi tę piłę, bardzo proszę.

Widzicie, mocno wierzyłam, że nieprzyjemne sprawy można załatwić tylko w jeden sposób — a przecież moja obecna sytuacja była bardzo nieprzyjemna. Należało wziąć głęboki oddech, stanąć twarzą w twarz z problemem, spojrzeć mu w oczy, wbić weń spojrzenie i pokazać, kto tu rządzi.

A więc chwycić byka za rogi.

Albo —jeśli wolicie — przełknąć gorzką pigułkę.

Gdyby ktoś poprosił mnie o radę, jak uporać się ze sprawą, która spędza sen z powiek, to właśnie by ode mnie usłyszał.

Naprawdę głęboko w to wierzyłam.

I być może pewnego dnia nawet posłucham swojej własnej rady i wprowadzę ją w życie.

Bo tak szczerze — nigdy dotąd nie miałam odwagi, żeby to zrobić.

Byłam mistrzynią w unikaniu nieprzyjemnych sytuacji.

Mogłam reprezentować Irlandię w odwlekaniu na później.

Kapitan Claire Webster, z domu Walsh, główny odwlekacz, melduje się na rozkaz.

Moim mottem było: „Zrób jutro, co masz zrobić dziś. A jeśli uda ci się to odwlec do przyszłego tygodnia, tym lepiej dla ciebie”.

Ładne, zwarte motto, zawierające w sobie mnóstwo treści. Tak zawsze myślałam.

Aby podsumować moje stanowisko, powiem wam, że nigdy w całym moim życiu nie zmywałam naczyń po kolacji tego samego dnia.

Zawsze obiecałam sobie, że to zrobię.

Że gdy jest się rano na kacu, widok brudnych talerzy i przypominającej poboju kuchenki wzbudza prawdziwe obrzydzenie.

Ale wiecie, jak to jest.

Wieczór się skończył, a na stole leży mnóstwo talerzy z resztkami rozplywającej się „Alaski”, które pozostawiłam własnemu losowi.

We własnej obronie muszę jednak powiedzieć, że do tego momentu zawsze jestem wzorową gospodynią, dbającą o gości, nieustannie przenoszącą talerze, półmiski i sztuce na trasie z kuchni do pokoju i z powrotem. Zupełnie jak taśmociąg.

Tyle że moje poczucie gościnności maleje proporcjonalnie do ilości wypitego przeze mnie wina.

Tak więc w porze deseru jestem już nadto wyluzowana (no dobrze — zbyt nietrzeźwa, skoro nalegacie, by nazywać rzeczy po imieniu) i nie odczuwam najmniejszej potrzeby, by sprzątać ze stołu.

Gdyby rzeczony stół zawalił się na moich oczach pod ciężarem nie uprzątniętych talerzy, roześmiałabym się w głos.

Gdyby goście zażyczyli sobie siedzieć przy czystym stole, sami musieliby wziąć się do roboty.

Wiedzieli, gdzie jest kuchnia.

Czekali na zaproszenie wypisane złoconymi literami?

Na środku stołu zawsze znajdowała się nietknięta misa z owocami.

Więc o co chodzi? Przecież owoce są przepyszne.

Zawsze je kupowałam i nikt nigdy ich nie próbował. Judy twierdziła, że to protestancki deser. Moi przyjaciele mówili, że obrażam ich, proponując na deser coś takiego jak pomarańcza lub banan. Według nich przyzwoity deser — a w zasadzie jedyny dopuszczalny deser — powinien ociekać nasyconymi tłuszczami, rafinowanym cukrem, bitą śmietaną, alkoholem, pianą z białka i cholesterolem.

Taki deser, na widok którego twoje tętnice kurczą się o parę centymetrów.

Jestem pewna, że taka postawa ma swoje źródło w ich dzieciństwie, kiedy to byli pozbawieni podobnych przyjemności.

Pewnie przez dwadzieścia lat musieli po każdym obiedzie zjadać galaretkę z budyniem.

Współczułam im. Sama przeszłam przez takie galaretkowe piekło.

Ale oczekiwanie, że obiorą ze skórki i zjedzą za pomocą widelca i noża wspomniany owoc, było równoznaczne z nakazaniem im opuszczenia na zawsze mego domu.

W rezultacie zawsze kupowałam owoce, a moi goście nigdy ich nie jedli. Rozumiecie, co mam na myśli.

Na stole zawsze wały się tysiące szklanek. Niektóre były przewrócone, a ich zawartość — czy to białe wino, czy dzin z tonikiem, kawa po irlandzku albo whisky — leżała rozlana na obrusie, gdzie różne gatunki mieszały się ze sobą, zawierały bliższą znajomość, tworząc niewielkie akwenty wokół wysepek z soli, którą jakaś biedna, sumienna duszyczka o wysokim poczuciu odpowiedzialności (zazwyczaj James) sypała na blat, by powstrzymać rozprzestrzenianie się żywiołu, jakim były nie dające się opanować hordy czerwonego wina.

A ja tymczasem kołysałam się na dwóch tylnych nogach krzesła, popijając dwudziesty drugi kieliszek Sambucca, albo też siedziałam na kolanach Jamesa i opowiadałam wszystkim, jak bardzo go kocham.

Nie miałam wstydu.

Stopień mojej trzeźwości był niemożliwy do zmierzenia, ale za to stanowiłam jedność z całym wszechświatem. I uświadamiałam sobie, że jestem zbyt pijana, by zawracać sobie głowę sprzątaniami.

— To żaden problem — mamrotałam, szerokim gestem odrzucając propozycje pomocy podchmielonych gości, strząsając przy tym popiół z papierosa do maselniczki albo na białą koszulę Jamesa (w tym stadium wieczoru zwykle zaczynałam palić, chociaż na co dzień już nie paliłam). „Rano posprzątam wszystko w dziesięć minut”.

Najsmutniejsze było to, że niemal wierzyłam w swoje własne słowa.

Wariatka — nigdy nie porzuciłam nadziei, że w środku nocy zjawią się dobre wróżki i wykonają całą pracę. Mogą sobie zabrać moje nowe buty. I zaskórniaki. Niech tylko umyją podłogę w kuchni.

Każdego ranka po imprezie wchodziłam ciężkim krokiem do kuchni i zatrzymywałam się z dłonią na klamce. W mojej głowie powstawała wspaniała wizja, że gdy otworzę drzwi, pomieszczenie będzie lśniło czystością, promienie słońca będą się odbijać od błyszczących powierzchni,

wszystkie pozmywane szklanki, talerze, salaterki, garnki i patelnie będą odłożone na miejsce (we właściwych szafkach. Chciałam, aby te wróżki były inteligentne, a oprócz tego bardzo pracowite). Zamiast tego przezieriałam się przez pobjowisko, bacznie rozglądając się za jakąś nie stłuczoną szklanką, by jak najszybciej zażyć dwie aspiryny. O czystej szklance nawet nie było co marzyć.

Skoro już rozmawiamy o proszonych imprezach, chciałabym uzyskać odpowiedzi na kilka pytań.

Dlaczego ktoś zawsze zdziera etykiety ze wszystkich butelek wina, tak że rano cały stół jest pokryty denerwującymi skrawkami kleistego papieru, który przyczepia się do wszystkiego? Dlaczego zawsze używam maselniczki jako popielniczki? Dlaczego — co prawda pod koniec imprezy — zawsze znajdzie się ktoś, kto powie: „Ciekawe, jak smakuje Dubbonet z Guinnessem?” albo: „Co się stanie, gdy podpalę Jacka Daniela w mojej szklaneczce?”

A potem sprawdza to w praktyce.

Dla porządku oznajmiam, że Guinness powoduje zmianę Dubboneta w obrzydliwą zawiesinę, a Jack Daniels wybucha jak szyb naftowy w Kuwejcie, który z trudem ugasiłaby wyspecjalizowana jednostka ratownictwa chemicznego. Na suficie zaś pozostają osmalone kawałki łuszczącej się farby.

Więc teraz już wiecie.

Naprawdę nie polecam samodzielnego sprawdzania tego w praktyce.

A jeśli już musicie, róbcie to w cudzym domu.

Niech jakaś inna biedna idiotka wyciąga potem z komórki drabinę, płachty do przykrywania mebli, wałek do malowania i inne pędzle.

Muszę oddać sprawiedliwość Jamesowi — chociaż niby dlaczego powinnam to zrobić? Podły drań. Ale umiał dobrze sprzątać, zwłaszcza po wspomnianych imprezach. Nigdy nie upijał się tak jak ja, więc był przynajmniej w takim stanie, by zabrać pozostałości po przyjęciu do kuchni, dzięki czemu rano pokój wyglądał w miarę normalnie. Oczywiście nie udało mu się zlikwidować czarnych śladów pozostawionych na

suficie przez Jacka Danielsa. W każdym razie miałam świadomość, że te ślady da się zamalować. Kolejny raz.

Po ostatnim przyjęciu zostało jeszcze trochę farby.

Na kanapie w pokoju można było również znaleźć dwa spoiniewierane, nie ogolone ciała skacowanych biesiadników (a mam na myśli jedynie kobiety). W rzeczy samej trudniej było się ich pozbyć niż tych plam na suficie. Albo przypalonych śladów po papierosach na dywanie.

Potem pół dnia leżały, jęcząc, domagając się herbaty i paracetamolu. Twierdziły przy tym, że jeśli tylko ruszą się z miejsca, natychmiast puszcza pawia.

W każdym razie robiłam to znowu.

Mam na myśli odwlekanie.

Robiłam wszystko, by nie robić tego, co powinnam. Staralam się myśleć o praktycznych stronach rozstania z Jamesem jak o spojrzeniu prosto w słońce w bezchmurny letni dzień. Było to równie trudne.

Jedno i drugie powodowało łzawienie moich oczu.

Powinnam rozważyć kwestię opieki nad Kate. Ale czy był to naprawdę problem? James nie okazał najmniejszego zainteresowania swoją córką. A poza tym był (tu następuje buczenie i gwizdy) cudzołożnikiem. Ponieważ więc wszelka wina leżała po jego stronie, opieka powinna być automatycznie przyznana mnie.

Ale zamiast poczuć triumf, nie odczułam nawet ulgi.

To żadne zwycięstwo.

Chciałam, żeby James interesował się naszym dzieckiem. Chciałam, żeby miało ono ojca.

Wolałabym zostać pozwana przez Jamesa do sądu, gdzie wywiązałyby się między nami walka na słowa, a on zmieszałby mnie z błotem, nazwał lesbijką, niemoralną kobietą (obawiam się, że bezpodstawnie) czy coś w tym rodzaju. Bo gdyby starał się uzyskać opiekę nad Kate, oczerniając mnie, zależałoby mu na niej.;

Mocno ją przytuliłam. Czułam się bardzo winna. Sama nie wiem gdzie i kiedy, ale doprowadziłam do tego, że biedna niewinna Kate musiała żyć bez ojca.

Zupełnie nie mogłam zrozumieć Jamesa.

Czy wcale nie był ciekaw, co się dzieje z Kate?

Niepojęte.

A może chodziło o to, że Kate jest dziewczynką? Może gdyby urodził się chłopiec, James próbowałby jakoś ułożyć nasze wspólne życie? Kto wie?

Po prostu usiłowałam znaleźć jakikolwiek sens w tej bezsensownej sytuacji.

A co z naszym mieszkaniem?

Kupiliśmy je razem, było zapisane na nas oboje. Więc co teraz? Sprzedać je i podzielić pieniądze? Albo ja spłacam Jamesa i mieszkam tam dalej z Kate. A może James spłaca mnie i zostaje w mieszkaniu razem z Denise?

Wykluczone!

Bez względu na wszystko nie pozwolę Jamesowi sprowadzić innej kobiety do mieszkania, które urządziłam.

Prędzej spaliłabym cały dom od dachu po fundamenty.

No, może nie po same fundamenty. Nie miałam nic przeciwko ludziom, którzy mieszkali na dwóch piętrach pod nami. Nie powinni stracić dachu nad głową tylko dlatego, że mój mąż sprowadził swoją kochankę, swoją dziwę, do rodzinnego domu.

W każdym razie byłam zdecydowana spalić mieszkanie do podłogi. Gillian i Ken, którzy mieszkali bezpośrednio pod nami, będą musieli pogodzić się z faktem, że ich sufit polize jakiś zbłąkany jęzor ognia.

Po moim trupie.

Wiecie, za każdym razem, gdy słyszałam, jak zdenerwowani ludzie wypowiadają to zdanie, sądziłam, że to obdarzeni ognistym temperamentem mieszkańcy południowej Europy. Ze te przesadne reakcje są tylko na pokaz.

W przeszłości sama mówiłam to tysiące razy, ale dopiero teraz użyłam tego zwrotu w dosłownym rozumieniu.

Po moim trupie sprowadzi Denise do mojego domu.

A co z pieniędzmi? Jak utrzymam Kate i siebie tylko z mojej pensji?

Nawet nie bardzo wiedziałam, ile zarabiam.

W każdym razie o wiele mniej niż James.

Od ślubu to jego dochody pozwalały nam normalnie żyć.

A więc będę uboga.

Czułam się tak, jakbym wyszła na balkon i nagle ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że pode mną nie ma gruntu. Tylko ogromna, bezkresna otchłań, w którą mogę spaść.

Myśl, że zostanę bez pieniędzy, przerażała mnie.

Poczułam się jak nic.

Jak kobieta bez twarzy, dryfująca we wszechświecie i nie mogąca się nigdzie zaczepić.

Niechętnie muszę to przyznać: bez męża i jego okazałej pensji nie czułam się w pełni wartościowym człowiekiem.

Ta zależność wywoływała u mnie rozdrażnienie. Powinnam być silną, odważną, niezależną kobietą lat pięćdziesiątych. Taką, która ma mocne zasady, sama chodzi do kina, dba o środowisko naturalne, potrafi wymienić bezpiecznik, korzysta z aromaterapii, ma ogródek ziołowy, płynnie mówi po włosku, raz w tygodniu chodzi na sesję w komorze izolującej od wszelkich bodźców zewnętrznych, a poza tym nie potrzebuje mężczyzny, który mógłby zniszczyć jej poczucie własnej wartości.

Ale nie byłam taką kobietą.

Mimo że chciałam.

Może kiedyś taka się stanę.

Chyba nie będę miała wyboru.

Zostałam postawiona przed faktem dokonanym.

Jednak wtedy byłam raczej typową żoną lat pięćdziesiątych.

Całkowicie odpowiadała mi rola kury domowej, podczas gdy mąż wychodził zarabiać pieniądze.

A jeśli oprócz tego mąż gotów był jeszcze dzielić się obowiązkami domowymi, tym lepiej dla mnie.

Chciałam mieć i jedno, i drugie—dobrze zarabiającego męża, który dodatkowo pomagał w domu.

Ale czy można cieszyć się z posiadania ciasteczka i jednocześnie je zjeść?

Więc co z nim zrobić?

Oprawić w ramki?

Użyć jako osłony przed ciągiem powietrza?

Włożyć do szafy jako zapach?

To jedno z najgłupszych powiedzeń, jakie znam.

W jaki sposób James i ja podzielimy fundusze z naszego wspólnego konta bankowego? To będzie przypominać rozdzielenie bliźniąt syjamskich, połączonych ze sobą najważniejszymi organami. Sercem, płucami, wątrobą. Przecież to niemożliwe.

Aby uniknąć nieuchronnych scysji, byłam niemal gotowa zrzec się wszystkich praw do tych pieniędzy. Jedyna rzecz, jaka mnie przed tym powstrzymywała, to świadomość, że James wydałby moją gotówkę na Denise. Kupowałby jej kwiaty, bilety do teatru, seksowną bieliznę. Przepraszam, ale nie mogłam dopuścić do zużytkowania moich pieniędzy w takim celu. Dla zasady.

To byłoby niemoralne.

Zresztą wczoraj widziałam w centrum handlowym fajne buty i chciałam je sobie kupić.

Nie potrafię opisać tego uczucia — gdy tylko je ujrzałam, od razu wywiązała się między nami głęboka więź, od razu należały do mnie. Mogłam jedynie przypuszczać, że byłyśmy razem w poprzednim życiu. Że były moje, gdy jako ulicznica mieszkałam w średniowiecznej Anglii albo gdy panowałam jako księżniczka w starożytnym Egipcie. A może to one były ulicznicą i księżniczką, a ja butami? Kto wie? W każdym razie miałam pewność, że jesteśmy sobie przeznaczone.

A ja nie miałam bezpośredniego dostępu do pieniędzy. Dlatego musiałam rościć sobie prawo do zawartości naszego konta w Anglii.

Nieprzyjemna, brudna sprawa.

Od tego wszystkiego kręciło mi się w głowie.

Tak jak poprzedniego wieczoru podczas rozmowy z mamą o Cher i Ike'u.

Trzy lata temu, w ten ciepły kwietniowy dzień, kiedy wychodziłam za Jamesa, nie sądziłam, że nasze małżeństwo tak się skończy.

Że coś, co zaczęło się tak pięknie, rokowało tak wspaniałe nadzieje, wywoływało tyle emocji, wygaśnie, pozostawiając mi w spadku złamane serce i dużo kwestii prawnych.

Że będzie mi chodzić po głowie tyle utartych zwrotów.

Że będę się spierać o pieniądze i wspólne rzeczy.

Zawsze myślałam, że ze mną i Jamesem będzie inaczej. Że nie będziemy zmuszeni odgrywać roli małżonków, do jasnej cholery!

A radość, miłość, namiętność zawsze będą dla nas najważniejsze.

Przysięgłam sobie, że nigdy nie nadejdzie taki dzień, kiedy wejdę do pokoju i powiem do Jamesa, nawet na niego nie patrząc: „Płytki w łazience się ruszają. Pójdź i zobacz”.

Albo rzucając mu najkrótsze z przelotnych spojrzeń, nie odezwę się: „Mam nadzieję, że nie wybierasz się na kolację do Reynoldsów w tym swetrze”.

Podobnie ślubowałam, że nie będę kobietą, która chodzi po kuchni i dojada resztki pozostawione na talerzach przez dzieci.

Albo kobietą, która zwraca się do męża: „Tatusiu”. Oczywiście nie w sensie: „Zostaw tę maszynkę, kochanie. To tatusia”. Chociaż nawet to mi się nie podoba.

Chodziło mi o sens: „Zjemy teraz lodziki, tatusiu?” To tak, jak gdybyście przestali cokolwiek dla siebie znaczyć w rezultacie twoich własnych działań. Jak gdybyście przestali istnieć jako ludzie. Zostaliście już tylko rodzicami dzieciom. Kochanek przestał być kochankiem — egzystował wyłącznie jako drugi rodzic waszych dzieci.

Obiecałam sobie, że nigdy nie stanę się mamuszką dla wszystkich.

Bez wątpienia to wspaniałe kobiety. Zdumiałam się swoją wcześniejszą arogancją. Oraz naiwnością. Dlaczego sądziłam, że będę inna?

Czy nie zdawałam sobie sprawy, że tysiące kobiet przede mną ślubowały nie dopuścić do wygaśnięcia magicznej atmosfery w swoich małżeństwach?

Tak samo jak obiecały sobie, że nigdy nie osiwieją, nie dopuszczają, by obwisły im piersi, a na twarzy pojawiły się zmarszczki.

A jednak wszystko to materializowało się w ich życiu.

Nie miały dość silnej woli, żeby walczyć z tym, co nieuniknione, odwrócić bieg rzeczy.

Ja też jej nie miałam.

Położyłam Kate z powrotem do łóżeczka i poszłam wziąć prysznic. Pomyślałam z dumą, że wreszcie zacznam rozumieć, o co chodzi w tym całym życiu.

— Czystość — rzekłam do Kate pewnym siebie tonem, czując się dobrą matką, jest najważniejsza po pobożności. — A czym jest pobożność, powiem ci, gdy trochę podrośniesz.

Stojąc pod prysznicem, nie mogłam przestać myśleć o Jamesie. Nie chodzi o łzawe sentymenty czy gorycz. Wspominałam, jak wspaniale było nam razem. Chociaż zranił mnie w tak okropny sposób, nie mogłam zapomnieć naszych wspólnie spędzonych, cudownych chwil.

Gdy poznałam Jamesa i chodziliśmy gdzieś razem ze znajomymi, obserwowałam go, jednocześnie rozmawiając z kimś innym. Zawsze mówiłam sobie w myślach, że jest bardzo seksowny i przystojny. Zwłaszcza gdy wyglądał poważnie i przypominał urzędnika lub księgowego. Wtedy się uśmiechałam. A on wcale nie sprawiał wrażenia towarzyskiego i miłego.

Uwierzcie mi, ja jednak wiedziałam lepiej.

Podniecała mnie myśl, że gdy impreza się skończy, mój mężczyzna wróci ze mną do domu. Zawsze chciałam, aby tak było.

Widziałam już dosyć mężatek, które przytyły, stały się nieatrakcyjne i odzywały się do swoich mężów jak do parobków. Bardzo mnie to przygnębiało.

Jaki jest sens trwać w związku małżeńskim, jeśli cały urok gdzieś przysł? Jeśli rozmawiacie już tylko o usterkach i rzeczach wymagających naprawy w waszym domu? Albo o kiepskich postępach dzieci w szkole?

Równie dobrze rolę męża spełniłaby wiertarka marki Black & Decker. Albo książka na temat psychologii dziecka.

Mimo wszystko nie potrafiłam połączyć się w sytuacji. Kochałam go. Pragnęłam tworzyć z nim szczęśliwą rodzinę. Starałam się, aby wszystko było cudownie. To akurat wcale nie jest prawdą.

Nie musiałam się starać, gdyż było cudownie bez żadnego wysiłku z mojej strony.

Przynajmniej tak mi się zdawało.

Sądziłam, że oboje zakończyliśmy poszukiwania idealnego partnera. Spotkałam mężczyznę, który kochał mnie bezwarunkowo. Nawet bardziej niż bezwarunkowo kochała mnie moja mama, gdyż — niestety — jej bezwarunkowa miłość była obwarowana pewnymi warunkami.

Rozbawiał mnie tak samo jak moje siostry czy przyjaciółki. A nawet lepiej, bo zazwyczaj nie budziłam się rano u boku sióstr lub przyjaciółek.

Tak więc u boku Jamesa śmiałam się częściej i w znacznie przyjemniejszych okolicznościach i miejscach.

Oraz ze znacznie przyjemniejszych miejsc. Tak mi się wydaje.

Myślałam, że jeśli któreś z nas będzie miało romans, to prędzej ja.

To nie tak, że tego chciałam czy gotowa byłam to zrobić. Rozumiecie, prawda?

Ale to zawsze ja byłam hałaśliwa i wygadana, dusza towarzystwa.

Natomiast James w opinii znajomych uchodził za rozsądnego, i godnego zaufania.

Cichy, zamknięty w sobie, mocny jak skała.

Na tym polega kłopot z facetami, którzy noszą garnitury i okulary do czytania, patrzą na ciebie szczerym wzrokiem i mówią rzeczy w rodzaju: „No cóż, w okresie niskiej inflacji najlepszy jest kredyt o stałym oprocentowaniu” lub „Sprzedałbym bony skarbowe i kupił obligacje państwowe” czy coś takiego.

Można było odnieść wrażenie, że tacy ludzie są przeraźliwie nudni, lecz zarazem solidni jak fundament domu.

Mnie chyba też w ten sposób trochę oszukał.

Mogłam się zachowywać dobrze albo źle, tak jak przyszła mi na to ochota, a on wciąż obdarzał mnie pełnym tolerancji uśmiechem.

Bawiłam go.

Nie, to brzmi trochę protekcyjnie i lekceważąco.

Ale z pewnością wywoływałam w nim radość.

Naprawdę uważał mnie za wspaniałą kobietę.

A ja czułam się przy Jamesie bardzo pewnie i bezpiecznie.

Wiedziałam, że mogłabym zrobić z siebie pośmiewisko, a James nadal by mnie kochał. To upewniało mnie, że wcale nie robiłam z siebie pośmiewiska.

I nie upijałam się już tak często.

Lecz nawet gdy sobie popiłam i następnego ranka budziłam się z okropnym bólem głowy, kurcząc się ze wstydu, gdy przypomiinałam sobie strzępki wydarzeń poprzedniego wieczoru, nadal był dla mnie słodki.

Śmiał się serdecznie, przynosił mi szklanki wody, pochylał się i całował mnie w pulsujące czoło, a ja tymczasem leżałam jak trup w łóżku. Mówił do mnie: „Nie, kochana, wcale nie byłaś obrzydliwa, ale bardzo zabawna” albo „Wcale nie byłaś arogancka, kochanie. Naprawdę wszyscy pękaliśmy ze śmiechu” lub „Twoja torebka na pewno się znajdzie. Pewnie zawieruszyła się pod płaszczami u Lisy. Zaraz do niej zadzwonię” i „Naturalnie, że możesz spojrzeć im w oczy. Przecież wszyscy byli wstawieni. A ty wcale nie byłaś najbardziej pijana z obecnych”.

A jeden raz, gdy miałam najgorszego kaca w życiu i tysiąc razy obiecałam mu, że już nigdy więcej nie wezmę do ust alkoholu, powiedział: „Pośpiesz się, aniołku, masz przesłuchanie o wpół do dziesiątej. Nie możesz się spóźnić, bo adwokat powiedział, że sędzia to wredna kreatura”.

Chwileczkę. Pozwólcie mi coś wyjaśnić, wysłuchajcie mnie.

Tak, jednego wieczoru zostałam aresztowana, ale nie dlatego, że popełniłam jakiś czyn niezgodny z prawem. Po prostu znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Tak wyszło, że przebywałam w klubie, który nie miał licencji na sprzedaż alkoholu. Nie miałam pojęcia, że właściciele klubu popełniają przestępstwo.

O ile pominąć sprzedaż wina po horrendalnie wysokich cenach.

A także wyposażenie bramkarzy w te okropne kurtki.

Za samo ich noszenie powinni dostać po dziesięć lat w więziennej izolatce.

Nie wiem, jak zostałam w to wmieszana. Pamiętam tylko, że sporo wypiliśmy i miałam szampański humor.

Kiedy w klubie zjawili się policjanci, każdy próbował ukryć swojego drinka pod stołem, tylko Judy, Laura i ja uznałyśmy, że zaczyna się wspaniała zabawa.

— Zupełnie jak prohibicja — śmiałyśmy się w głos.

Zdecydowałam, że opowiem funkcjonariuszom swój ulubiony dowcip: Ilu policjantów potrzeba, żeby rozbić żarówkę? Żadnego, bo spadła ze schodów.

Jeden z policjantów poczuł się urażony i stwierdził, że jeśli się nie uspokoję, zaaresztuje mnie.

— No więc aresztuj — uśmiechnęłam się do niego impertynencko i wyciągnęłam przed siebie obie ręce, by nałożyć mi kajdanki. Najwyraźniej nie rozumiałam, że to prawdziwi policjanci, a nie striptizerzy.

I bardzo się zdziwiłam, gdy zrobił dokładnie to, co zaproponowałam.

Naturalnie wykonywał tylko swoje obowiązki. Nie miałam do niego żalu. Podły drań.

Muszę przyznać, że bardzo mnie to zdeprymowało.

Próbowałam mu wyjaśnić, że jestem mieszkającą za miastem młodą przedstawicielką klasy średniej. Że nawet udało mi się wyjść za mąż za księgowego. Chciałam w ten sposób uwypuklić fakt, że jestem po tej samej stronie co on. Że pragnę naprawiać wszelkie zło, walczyć z niesprawiedliwością i tak dalej.

Stwierdziłam też, że aresztując mnie, zniszczą istniejący w mentalności ludzi stereotyp dotyczący pijaka i awanturnika.

Tak więc odjechałam radiowozem, spoglądając przez lzy na Laurę i Judy, które zostały przed klubem.

— Zadzwońcie do Jamesa. — Przesadnie poruszałam ustami, żeby zrozumiały, o co mi chodzi.

Byłam pewna, że on będzie wiedział, co zrobić.

No i wiedział.

Wpłacił za mnie kaucję i wynajął adwokata.

Nigdy, nigdy w całym moim życiu tak bardzo się nie bałam.

Byłam pewna, że biciem wymuszą na mnie przyznanie się do winy, a potem otrzymam wyrok kilkukrotnego dożywocia i już nigdy więcej nie zobaczę ani Jamesa, ani przyjaciół, ani rodziny.

Nigdy już nie zobaczę błękitu nieba, chyba że z placu spacerowego. Bardzo litowałam się nad sobą. Już nigdy nie będę nosić ładnych ciuchów, lecz te okropne, workowate suknie więzienne.

No i będę musiała zostać lesbijką, przyjaciółką jakiejś siłaczki, żeby broniła mnie przed innymi dziewczynami, uzbrojonymi w butelki po coca-coli.

Miałam już ukończone studia, ale to i tak nie będzie miało znaczenia. Znowu zacznę palić.

I wcale nie umiałam dobrze naśladować australijskiego akcentu.

Byłam kompletnie roztrzęsiona.

Kiedy więc James przyszedł na komisariat i wpłacił za mnie kaucję lub — jak mawiał — „wykupił” mnie, trudno mi było uwierzyć, że na zewnątrz nie czekają na mnie ekipy telewizyjne i tłumy ludzi z transparentami.

Przed wejściem zatrzymał się z piskiem opon jakiś radiowóz, ocierając się o krawężnik. Ze środka wytoczyło się pięciu pijanych.

James zabrał mnie do domu.

Od znajomego wziął numer telefonu adwokata i zadzwonił do niego.

Rano mnie obudził, a ja nie mogłam otworzyć oczu, bo miałam okropne przeczucie.

Otarł z moich ust szminkę i powiedział, że wyjdzie mi na korzyść, jeśli nie będę wyglądała jak kobieta sukcesu.

Dlatego też kazał mi włożyć długą spódnicę i bluzkę z golfem.

Siedział w sali sądowej, trzymając mnie za rękę, podczas gdy ja czekałam na swoją kolej.

Nucił mi różne melodie. Siedziałam blada jak ściana, czułam nudności, których przyczyną były zarówno nerwy, jak i przeogromny kac.

To nucenie bardzo mnie uspokajało.

Do momentu, aż zrozumiałam słowa jednej z piosenek.

Coś o kuciu w skale i łańcuchach.

Spojrzałam na niego przez łzy, gotowa powiedzieć, żeby się ode mnie odpieprzył i wracał sobie do domu, skoro moje tragiczne położenie tak go bawi.

Lecz pochwyciłam jego spojrzenie.

I nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

Miał rację.

Cała sytuacja była tak śmieszna, że trudno się było powstrzymać od śmiechu.

Zaczęliśmy rechotać jak dzieci. Sędzia spojrzał na nas surowo.

— Dostaniesz za to dodatkowo dziesięć lat odsiadki — prychnął James i znowu śmialiśmy się do rozpuku.

Otrzymałam karę grzywny w wysokości pięćdziesięciu funtów, którą James z radością zapłacił.

— Następnym razem sama za siebie zapłacisz — wyszczerzył się do mnie.

W ogóle nie rozumiałam jego podejścia. Gdyby ktoś obudził mnie o drugiej w nocy i powiedział, że James został aresztowany, ogarnęłoby mnie przerażenie. I wcale nie byłoby mi do śmiechu.

Zacząłabym się poważnie zastanawiać, za jakiego człowieka wysłałam za mąż.

Wcale bym mu tak nie pobłażała, nie stała u jego boku, nie wybaczała. Zachowałabym się zupełnie inaczej niż on.

Zresztą wcale mi nie wybaczał, gdyż ani przez chwilę nie dał mi do zrozumienia, że zrobiłam coś złego.

Więc gdybym znowu została aresztowana, nikt nie trzymałby mnie za rękę i nie rozśmieszał do łez w sali sądowej.

Nie mówiąc o tym, że sama musiałabym zapłacić cholerną grzywnę.

Czasami był taki słodki. Gdy budziłam się przestraszona w środku nocy, bo coś nie dawało mi spokoju, zachowywał się wspaniale.

— Co się dzieje, kochanie? — pytał.

— Nic—odpowiadałam, nie potrafiąc ubrać w słowa mojego dziwnego niepokoju.

— Nie możesz spać?

— Nie.

— Mam cię zanudzić, abyś zasnęła?

— Tak.

I zapadałam w spokojny sen, ukołysana jego kojącym głosem, którym wyjaśniał mi odpisy podatkowe z powodu dotacji na; cele dobroczynne albo nowe przepisy dotyczące VAT-u, które wprowadziła Unia Europejska.

Zakreśliłam kran i wytarłam się.

„Lepiej będzie, jak do niego zadzwonię”, pomyślałam.

Wróciłam do pokoju i zaczęłam się ubierać.

— Zadzwon do niego! — powiedziałam do siebie ostro.

— Najpierw nakarmię Kate — odparłam niepewnie. Przelewałam z pustego w próżne.

— Zadzwon do niego! — powtórzyłam.

— Chcesz, żeby dziecko umarło z głodu? — spytałam oburzona. — Zadzwonię, gdy ją nakarmię.

— Nie. Zadzwon teraz! Znowu moje stare numery.

Odwlekanie, unikanie odpowiedzialności, ucieczka przed niemiłymi sytuacjami.

Ale tak bardzo się bałam.

Wiedziałam, że muszę porozmawiać z Jamesem o pieniądzach, mieszkaniu i tak dalej. To ani przez moment nie ulegało wątpliwości. Czułam się jednak tak, że w chwili, gdy zacznę z nim rozmawiać, wszystko to stanie się rzeczywistością.

Wtedy zaś moje małżeństwo będzie skończone.

A tego nie chciałam.

— O Boże — westchnęłam.

Spojrzałam na leżącą w łóżeczku Kate. Była taka delikatna, puszysta, pachnąca w różowym kaftaniku.

Ale wiedziałam, że muszę zadzwonić do Jamesa.

Jeśli chodzi o moje sprawy, mogłam sobie być histeryczką i panikarką o zajęczym sercu, ale winna to byłam mojej ślicznej dziecince — musiałam zadbać o jej przyszłość.

— Dobrze — powiedziałam z rezygnacją. — Wygrałaś. Zadzwoń do niego.

Poszłam do pokoju mamy, by skorzystać z jej telefonu. Zaczęłam wybierać służbowy numer Jamesa w Londynie i nagle zaszumiało mi w głowie. Z podniecenia i strachu. Za chwilę usłyszę jego głos. Nie mogłam się doczekać.

Było mi ciepło, lecz zarazem drżałam niecierpliwie. Będę rozmawiać z moim Jamesem, moim najlepszym przyjacielem.

Tyle, że już nim nie był, prawda? Jednak czasami o tym zapomniałam. Tak na chwilę. Oddychałam płytko, z coraz większym trudem chwytając powietrze.

Uzyskałam połączenie i telefon na drugim końcu linii zaczął dzwonić.

Przebiegł mnie nieprzyjemny dreszcz. Myślałam, że zwymiotuję.

Wreszcie usłyszałam głos recepcjonistki.

— Mmm, czy mogę mówić z panem Jamesem Websterem — spytałam drżącym głosem. Wydawało mi się, że dostałam jakiś zastrzyk w usta, który spowodował zeszywnienie warg.

W słuchawce rozległy się ciche trzaski. Za chwilę będę z nim rozmawiać. Wstrzymałam oddech.

I tak mój płytki oddech przynosił mi niewiele pożytku. Kolejny trzask.

A potem znowu odezwała się recepcjonistka.

— Przykro mi, ale w tym tygodniu pana Webstera nie ma w pracy. Może ktoś inny mógłby pani pomóc?

Doznałam tak bolesnego rozczarowania, że z trudem wyjąkałam:

— Nie, dziękuję pani. Odłożyłam słuchawkę. Siedziałam na łóżku mamy.

I nie wiedziałam, co mam teraz zrobić.

Przełamanie się, by do niego zadzwonić, bardzo wiele mnie kosztowało. To nie było łatwe. Lecz z drugiej strony — wbrew sobie — czułam się podekscytowana perspektywą rozmowy z Jamesem. A jego nawet nie było w pracy.

Ależ zawód.

W moich żyłach krążyły litry adrenaliny. Co miałam teraz począć z jej nadmiarem? To dzięki niej na moim czole pojawił się kropelki potu, a moje dłonie wilgotniały i drżały. Dzięki niej doznałam zawrotów głowy.

I nagle uderzyła mnie ta myśl: gdzież podziewa się James? Tylko mi nie mówcie, że zrobił sobie wakacje. Wakacje?

Jak mógł pojechać na wakacje, gdy rozpada się jego małżeństwo? A w zasadzie już leży w gruzach.

„Może jest na jakimś kursie”, pomyślałam zdesperowana.

Już chciałam zadzwonić ponownie do tej recepcjonistki i zapytać, gdzie jest James.

Powstrzymałam się. Nie wyrzucę do kosza tej resztki godności, jaka mi pozostała.

„Może zachorował. Na przykład na grypę”, myślałam dalej.

Przypuszczalnie z wielką radością przyjąłabym wiadomość, że ma złośliwego raka.

Cokolwiek, co uniemożliwiłoby mu wyjazd na wakacje.

Z wielką przykrością myślałam, że teraz James żyje beze mnie i pełną parą korzysta z przyjemności tego życia.

Z drugiej strony i tak wiedziałam, że żyje beze mnie. Wszystkie dowody miałam na tacy. Mieszkał z inną kobietą, nie skontaktował się ze mną choćby tylko po to, aby spytać o Kate. Mimo wszystko wciąż miałam chyba jeszcze nadzieję, że tęskni za mną i w końcu do mnie wróci.

Lecz jeśli wyjechał na wakacje, sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej.

Wymykająca się spod kontroli wyobraźnia podpowiadała mi, że nie obchodzi go absolutnie nic na świecie. Pewnie wyjechał ze swoją panią do jakiegoś egzotycznego kurortu. Popijał Pina Coladę z pantofla Denise. Żył w rytmie strzelających korków od szampana i fajerwerków, pośród dźwięków muzyki, pośród szczęśliwych ludzi i pewnie tańczył w karnawałowej czapeczce, obwieszony serpentynami, pokrzykując przy tym wesoło.

A ja tutaj drżałam z zimna w marcowym chłodzie przekonana, że on mieszka sobie w drogiej rezydencji na Karaibach, gdzie ma do dyspozycji czternastu służących i prywatny basen. A w powietrzu unosi się delikatny zapach pąków uroczynu czerwonego.

Nie wiedziałam, co to takiego ten uroczyn, ale regularnie pojawiał się w podobnych sytuacjach.

Przełknęłam z trudem. Nie sądziłam, że tak się poczuję. Co dalej?

Do pokoju weszła mama, trzymając naręcze wyprasowanych ubrań.

Na mój widok zatrzymała się zaskoczona.

— Co ci się stało? — spytała, patrząc na moją umęczoną twarz.

— Dzwoniłam do Jamesa — odparłam. I zalałam się łzami!

— O Boże. — Odłożyła ubrania i przysiadła koło mnie.

— Co powiedział?

— Nic. Nie było go. Pewnie wyjechał na wakacje z tą tłustą suką. Założę się, że polecili pierwszą klasą. A w łazience mają jacuzzi.

Mama objęła mnie czule. W końcu przestałam płakać.

— Pomóc ci poukładać te wyprasowane rzeczy? — zachlipałam.

Wtedy przestraszyła się już nie na żarty.

— Dobrze się czujesz? — spytała z niepokojem.

— Tak.

— Na pewno? — Wciąż nie była przekonana.

— Tak. — Zaczęło mnie to złościć. Przecież dobrze się czułam.

Powinłam się przyzwyczaić do tych nieustannych nerwów. Teraz będą mi często towarzyszyć. To znaczy, do chwili, aż pogodzę się z faktem, że między mną i Jamesem wszystko skończone. No dobrze, rzeczywiście czułam się okropnie. Cierpiałam. Doznałam szoku. Ale niedługo przestanie mnie tak boleć. Więc nie zamierzałam ponownie zwalić się na tydzień do łóżka. Zbiorę się w sobie i zrobię wszystko, co należy. I zadzwonię do niego w poniedziałek. To odpowiednia chwila na rozmowę.

Wtedy na pewno będzie w kiepskim nastroju, bo wróci do pracy, nostalgicznie wspominając wakacje. Poza tym nie odeśpi jeszcze różnicy czasu.

Próbowałam się pocieszyć, udając, że usłyszenie go w takim stanie sprawi mi ogromną przyjemność.

I to na razie w zupełności wystarczy, jeśli nie będę zagłębiać się w temat.

— Więc poukładajmy te rzeczy, mamó — powiedziałam zdecydowanie.

Przejrzałam stertę świeżo wyprasowanych ubrań, leżących na krześle. Mama wydawała się oszołomiona, gdy zaczęłam je szybko sortować.

— Te włożę do szuflady Anny. — Wzięłam część rzeczy.

— Ale... — zaczęła mama.

— Żadnych „ale” — powiedziałam łagodnie.

— Nie, Claire... — W jej głosie brzmiał niepokój.

— Mamó — nie ustępowałam. Wzruszyłam się jej obawami o moją osobę, lecz koniecznie chciałam wziąć się w garść i być wzorową córką. — Naprawdę dobrze się czuję.

Z tymi słowy wyszłam, kierując się do pokoju Anny. Ponieważ zatrzasnęłam za sobą drzwi, nie dosłyszałam dobrze słów mamy, gdy zawołała za mną:

— Claire, na litość boską! Jak wyjaśnię twojemu ojcu, że jego slipki są w szufladzie Anny?

Przyklękłam przed szafką Anny. I na chwilę się zatrzymałam.

Czy ja przypadkiem nie wkładam slipka ojca do szuflady Anny?

Właśnie to robiłam.

Muszę je zabrać, bo Anna na pewno nie zauważy nic dziwnego, gdy zmieni figi i zacznie chodzić w męskich slipkach wielkich rozmiarów.

Zakładając, że zmieniała majtki.

A w zasadzie, że w ogóle je nosiła.

Pamiętam, jak kiedyś wyrażała się o ubraniach, a zwłaszcza o bieliznie, jako o formie faszyzmu. Gadała coś o cyrkulacji powietrza, o oddychaniu skóry, o kanalikach, które powinny być wolne, nie zakryte. Na tej podstawie zaczęłam podejrzewać, że noszenie majtek nie znajdowało się na liście priorytetów Anny.

Tak więc z bolesnym westchnieniem zebrałam tatusine slipki.

Rozdział 13

Tego wieczoru miałam się spotkać na drinka z Laurą.

W tym miejscu coś wam wyjaśnię.

Laura, Judy i ja razem studiowałyśmy. Wtedy zaczęła się nasza przyjaźń.

Judy mieszkała w Londynie, a Laura w Dublinie.

Nie widziałam się z Laurą od czasu ucieczki z Londynu bez męża, ale z dzieckiem, jednak parę razy rozmawiałam z nią przez telefon.

Mówiłam jej, że wpadłam w zbyt wielką depresję, żeby się z nią spotkać.

Była dobrą przyjaciółką, więc nie obraziła się, lecz pocieszała, abym się nie martwiła, a kiedy będzie mi lepiej, wtedy się spotkamy.

Twierdziłam, że nigdy nie poczuję się lepiej i dlatego już nigdy więcej nie zobaczę jej na oczy, ale zachowam ją w miłej pamięci

Czułam, że w ciągu ostatniego miesiąca parokrotnie dzwoniła do mojej mamy, by dyskretnie dowiedzieć się o stan mego sera (podczas ostatniej kontroli — wciąż złamane), o moje zdrowie psychiczne (niestabilne) i stosunek do ludzi (kompletne dno).

Jednak nie narzucała się i za to byłam jej wdzięczna.

Teraz czułam się o wiele lepiej, więc zatelefonowałam do niej i zaproponowałam spotkanie na mieście.

Laura była zachwycona.

— Zapijemy się — powiedziała uradowana.

Nie wiedziałam, czy to sugestia, czy też przepowiednia. W każdym razie było to przesądzone. — Nie wątpię — zgodziłam się, jako że nasze spotkania i ciągu ostatnich dziesięciu lat nie kończyły się w inny sposób. Poczulałam niepokój.

Zapomniałam, jak nieposkromioną hedonistką jest Laura. Mogłaby nauczyć rzymskich cesarzy paru interesujących Meczy.

Mama powiedziała, że chętnie zajmie się Kate.

Po kolacji (na którą był — podgrzany w mikrofalach — mrożony paszтет z baraniny, zresztą całkiem niezły) poszłam na górę, by przygotować się na pierwsze wyjście w celach towarzyskich od czasu, gdy opuścił mnie mąż.

To naprawdę wielkie wydarzenie.

Tak jak utrata dziewictwa, Pierwsza Komunia lub ślub. Coś, co zdarza się tylko raz.

Kompletnie nie miałam się w co ubrać.

Bardzo żałowałam, że w Londynie zostały wszystkie moje piękne ciuchy. Ależ byłam głupia. Zachowałam się jak skazaniec w drodze na szubienicę. Płakałam dramatycznie, twierdziłam, że moje życie jest skończone i nie będę potrzebowała ubrań u celu drogi.

A przecież wyjeżdżałam tylko do Dublina.

Nie w zaświaty.

To było naprawdę żalosne.

Powinnam była wiedzieć, że prędzej czy później wrócę do normalnego życia.

Może nie do końca szczęśliwego i wspaniałego. Ale znośnego.

W obliczu faktu, że wszystkie moje ładne ubrania były w innym mieście, nie pozostało mi nic innego, jak tylko pożyczyć sobie parę rzeczy należących do Helen.

Byłaby wściekła.

Bez cienia wątpliwości.

Ale i tak była już na mnie wściekła za to, że wpadł mi w oko jej chłopak, więc co miałam do stracenia?

Aluzje dotyczące cieląt, baranów i wieszania.

Zaczęłam gorączkowo przeglądać wieszaki Helen. Naprawdę miała parę fajnych ciuchów.

Czułam przyływ życiowych sił, krew zaczęła we mnie krążyć z dawną werwą.

Uwielbiałam ciuchy.

Byłam jak człowiek na pustyni umierający z pragnienia, który nagle widzi przed sobą lodówkę pełną zimnej coca-coli.

Zdecydowanie za wiele czasu spędziłam w tej nocnej koszuli,

W szafie Helen znalazłam małą sukienkę w kolorze wina, przypominającą krojem dziecięcy fartuszek. Pomyślałam, że nada się idealnie, i szybko ją włożyłam.

Wróciłam do mojego pokoju i obejrzałam się w lustrze. Po raz drugi w ciągu dwóch dni byłam mile zaskoczona tym, co ujrzałam,

Wysoka, szczupła i młoda kobieta.

Zupełnie niepodobna do samotnej matki.

Albo opuszczonej żony.

Bez względu na to, jak one z reguły wyglądają.

W wełnianych rajstopach i butach wyglądałam uroczo, wręcz dziewczęco (ha!) i niewinnie (podwójne ha!).

A jeśli sukienka była na mnie odrobinę za krótka — wszak odznaczałam się znacznie wyższym wzrostem niż Helen — i odsłaniała niepokojąco duży fragment moich ud, tym lepiej.

To kolejna aluzja, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

No i kolejne aluzje o krowie w cielej skórze, tym razem ze strony mamy, która przyszła porozmawiać ze mną, gdy się szykowałam.

Odparłam aluzją, że kije i kamienie potrafią łamać kości w przeciwieństwie do wyzwisk nie posiadających tej niszczącej^ mocy.

Wtedy mama zrobiła aluzję dotyczącą niemożności przeistoczenia świńskich uszu w jedwabne torebki.

Próbowałam szybko przypomnieć sobie kolejny utarty zwrot, lecz bezskutecznie.

— Odwal się — odpowiedziałam.

Miałam już dość aluzji na jeden wieczór. Potrzebowałam normalnej rozmowy.

Nałożyłam makijaż. Byłam podekscytowana perspektywą ; wieczornego wypadu na miasto. Już zapomniałam, co oznacza miło spędzony czas.

Uwielbiałam wychodzić.

Byłam z reguły bardzo towarzyska.

Zanim opuścił mnie mąż, stanowiłam pożądaną osobę w towarzystwie.

I nigdy nie odmawiałam, gdy ktoś mnie zapraszał.

Zwykłam mawiać, że trzeba korzystać z każdej okazji do zabawy, bo niedługo wszyscy pójdziemy do ziemi.

W następnym życiu będzie dość czasu, by siedzieć w domu i prasować ubrania do pracy na nadchodzący tydzień.

Na imprezach zjawiałam się jako jedna z pierwszych.

I naturalnie wychodziłam jako jedna z ostatnich.

Energicznie nałożyłam na twarz grubą warstwę podkładu, który usunął z mego oblicza zimową bladość.

Jeśli chodzi o stosowanie makijażu, byłam zwolenniczką szkoły, która stawiała zarówno na ilość, jak i na jakość.

I chociaż opalenizna była symbolem statusu w latach osiemdziesiątych, a w następnej dekadzie nie miała już racji bytu, to muszę ze skruchą przyznać, że chciałam być opalona.

No dobrze, wystawianie twarzy na promienie słoneczne może się skończyć rakiem skóry, albo co gorsza, może upodobnić nas do Australijczyków. Ale myślałam, że gładka opalona buzia wygląda zdrowo i atrakcyjnie.

Poza tym jaki sens miało zapobieganie śmierci z powodu raka skóry, obsesyjne unikanie słońca, obnoszenie się z trupim wyglądem, skoro na jutro można było zginąć pod kołami autobusu?

Ja w każdym razie nie byłam opalona, jednak żałowałam, że nie jest inaczej. Ale to chyba na jedno wychodzi.

Byłam gotowa nałożyć sobie sztuczną opaleniznę. Abyście nie mogli określić mego oblicza mianem bladego i interesującego.

No, może interesującego tak. Ale nie bladego. Dwa paski różu, po jednym na każdym policzku. Wyglądały dość przerażająco, dopóki ich trochę nie rozmazałam.

Jestem pewna, że mama mruknęła coś w rodzaju: „Clow Coco”, więc odwróciłam się gwałtownie, lecz ona z obojętną twarzą oglądała swoje paznokcie.

Chyba mi się zdawało.

Nałożyłam mocno czerwoną szminkę, aby nikt nie miał wątpliwości, że — mimo dziewczęcej sukni —jestem kobietą.

Kobieta.

Cudowne słowo.

Byłam kobietą.

Wypowiedziałabym to na głos, gdyby nie mama, która nie wybiegła z pokoju, gdy kazałam jej się odwalić, i siedziała na łóżku, obserwując, jak nakładam makijaż. W ciągu ostatniego miesiąca napędziłam biedaczce już dosyć strachu.

Ale to słowo pobudzało wyobraźnię.

Kobieta.

Słowo tak lubieżne. Tak zmysłowe. Zmysłowe?

Zawsze myliłam znaczenie tych dwóch wyrazów.

Wróćmy na ziemię.

Szara kredka do powiek i czarny tusz do rzęs sprawiły, że moje oczy stały się jeszcze bardziej niebieskie.

A do tego umyte, lśniące włosy. Efekt, który udało mi się osiągnąć, sprawił mi ogromną przyjemność.

Oczywiście mama była odmiennego zdania.

— Włóżysz spódnicę do tej bluzki? — spytała.

— Mamo, wiesz doskonale, że to nie jest bluzka, tylko sukienka — odparłam spokojnie.

Nie pozwolę, by zepsuła mi dobry humor.

— Być może jest to sukienka, gdy włoży ją Helen — przyznała. — Ale na tobie wygląda jak bluzka.

Zignorowałam ją.

— Spytałaś Helen, czy wolno ci ją pożyczyć? — Wyraźnie miała ochotę zniszczyć mój dobry nastrój. — Bo na pewno będzie na mnie wściekła. Ty masz to gdzieś. Pójdiesz sobie na miasto, gdzie miło spędzić.

dzisz czas ze swoją hałaśliwą kompanią, racząc się Malibu i Lucozadą, czy co tam pijecie. A ja będę tutaj I oberwie mi się od mojej najmłodszej córki. Żadna z nas nie cieszy się obecnie specjalną sympatią Helen.

— Zamknij się już — odparłam. — Zostawię jej krótki liścik I wyjaśnię, że to pożyczyłam. A ona będzie potem mogła pożyczać sobie moje ciuchy, które sprowadzę z Londynu.

Cisza.

— Czy tak będzie dobrze? — spytałam.

— Tak — uśmiechnęła się. — I naprawdę ślicznie wyglądasz — dodała niechętnie.

Zanim opuściłam sypialnię, spostrzegłam kątem oka jakiś błysk od strony toaletki. Moja ślubna obrączka. Zapomniałam ją włożyć, gdy wyszłam spod prysznic. Leżała tam, mrugając do mnie porozumiewawczo. Na pewno też miała ochotę wyrwać się trochę z domu. Podniosłam ją, lecz nie włożyłam na palec. Moje małżeństwo było skończone. Może zacznę w to wierzyć, jeśli przestanę nosić obrączkę. Odłożyłam ją z powrotem na toaletkę.

Oczywiście była wściekła. Nie mogła uwierzyć, że nie zamierzam jej nosić. A potem zmartwiła się. Jednak nie zmieniłam zdania. Nie mogłam sobie pozwolić na sentymenty. Musiałam wyjść, zanim spłyną na mnie wyrzuty sumienia.

— Wybacz — powiedziałam krótko, odwróciłam się, wyłączyłam światło i wyszłam z pokoju.

Gdy weszłam do ojca, żeby pożyczyć kluczyki do samochodu, oglądał w telewizji golfa.

Myślę, że doznał szoku, gdy udało mi się odwrócić jego uwagę od zawodników w spodniach jakby żywcem zdjętych z misia Ruperta.

— Wyglądasz pięknie. — Wydawał się przestraszony. — Dokąd się wybierasz?

— Do miasta. Mam się spotkać z Laurą.

— Tylko nie zdewastuj samochodu — rzekł z obawą. Ojciec pochodził z małego miasteczka na zachodzie Irlandii

i chociaż od trzydziestu lat mieszkał w Dublinie, nadal nie ufaj rdzennym mieszkańcom stolicy. Wszystkich uważał za kryminalistów i oprychów.

Poza tym nie widział różnicy między centrum Dublina a Bejrutem. Chyba tylko tę, że Bejrut jest o wiele ładniejszy.

— Nie zdewastuję go, tato. Zostawię go na parkingu.

Wcale nie poczuł się uspokojony.

— Tylko na pewno odbierz go przed północą. — Był coraz bardziej poruszony. — Bo wtedy zamykają wszystkie parkingi. Jeśli go nie odbierzesz, rano będę musiał iść do pracy na piechotę.

Na końcu języka miałam uwagę, że wcale nie będzie musiał nigdzie chodzić, jeśli przeze mnie samochód zostanie zatrzymany. Że nic nie stoi na przeszkodzie, by pożyczył sobie samochód mamy lub skorzystał z komunikacji miejskiej.

— Nie martw się, tato — zapewniłam go. — Daj mi kluczyki. Niechętnie spełnił moją prośbę.

— I nie zmieniaj ustawionej stacji radiowej. Nie chcę, żeby rano ogłuszyła mnie jakaś wrzaskliwa muzyka.

— Jeśli coś zmienię, to potem ustawię tak, jak było — westchnęłam.

— A gdy przesuniesz fotel do przodu, pamiętaj, aby potem go cofnąć, bo nie chcę rano odnieść wrażenia, że w nocy przybrałem na wadze.

— Nie obawiaj się — powiedziałam cierpliwie, podnosząc płaszcz i torebkę. — Na razie.

Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż komukolwiek pożyczyć samochód od ojca.

Gdy zamykałam drzwi pokoju, zawołał jeszcze za mną:

— A dokąd ty się wybierasz bez spódnicy? Nie zatrzymałam się.

Czułam się okropnie, że zostawiam Kate. Pierwszy raz wychodziłam z domu bez niej i było mi z tą świadomością bardzo ciężko. Chciałam zabrać ją ze sobą, ale zdałam sobie sprawę, że gdy dorośnie, spędzi mnóstwo czasu w gwarnych, zadymionych pubach, więc ma jeszcze czas.

— Zagląдай do niej co piętnaście minut — powiedziałam płaczliwie do mamy.

— Dobrze.

— Co piętnaście minut — powtórzyłam z naciskiem.

— Tak.

— Nie zapomnisz? — zaniepokoiłam się.

— Nie — odpowiedziała niecierpliwie.

— A jeśli będziesz coś oglądać w telewizji i to cię wciągnie? — wyraziłam obawę.

— Nie zapomnę! — Teraz już nie ukrywała złości. — Potrafię opiekować się małymi dziećmi. Dałam sobie radę z piątką własnych.

— Wiem. Tylko że Kate jest wyjątkowa.

— Claire! Idź już, do licha ciężkiego!

— No dobrze. — Szybko sprawdziłam, czy interkom do mojej sypialni jest włączony. — Już idę.

— Baw się dobrze.

— Postaram się — odpowiedziałam. Nie mogłam opanować drżenia dolnej wargi.

Jazda do miasta była koszmarna.

Wiecie, że jak się dobrze wsłuchać, to każdy dźwięk przypomina płacz małego dziecka?

Szum wiatru w koronach drzew, deszcz na dachu auta, szum silnika.

Byłam pewna, że słyszę, jak Kate płacze za mną cichutko, ledwie dosłyszalnie.

To było nie do zniesienia.

Niemal zawróciłam, by jak najszybciej znaleźć się znowu w domu.

Gdyby w mojej głowie nie zagościł na chwilę zdrowy rozsądek, pewnie tak właśnie bym zrobiła.

— Zachowujesz się nedorzecznie — stwierdził.

— Na pewno sam nie jesteś matką — odpaliłam.

— Nie — przyznał. — Ale musisz zrozumieć, że nie możesz z nią spędzić każdej chwili do końca życia. Co będzie, jak wrócisz do pracy, a ona pójdzie do przedszkola? Jak sobie wtedy poradzisz? Uznaj dzisiejszą sytuację za dobre ćwiczenie.

— Masz rację — westchnęłam i uspokoiłam się na chwilę. Lecz po chwili znowu ogarnęła mnie panika. A jeśli ona umrze tej właśnie nocy?

W tym momencie dojrzałam budkę telefoniczną, niczym oazę na pustyni. Gwałtownie skrzyłam, wywołując zrozumiałą irytację u jadących za mną kierowców. Zaczęli trąbić i krzyczeć coś do mnie, podłe dranie.

— Mamo — zawołałam do słuchawki roztrzęsionym głosem.

— Kto mówi? — spytała.

— To ja. — Myślałam, że lada chwila zaleję się łzami.

— Claire? — Była wściekła. — Czego chcesz, do cholery?!

— Czy nic się nie stało Kate? — spytałam, wstrzymując oddech.

— Przestań! Nic jej nie jest.

— Na pewno? — Aż nie mogłam w to uwierzyć.

— Na pewno — odparła nieco spokojniej. — Słuchaj, z czasem ci to przejdzie. Najgorszy jest pierwszy raz. A teraz baw się dobrze. Obiecuję, że zadzwonię do ciebie, gdyby coś się działo.

— Dziękuję, mamo. — Poczułam się o niebo lepiej.

Wróciłam do samochodu i pojechałam do miasta. Zatrzymałam auto na parkingu (tak jest), po czym udałam się do pubu na spotkanie z Laurą.

Czekała już na mnie.

Jak cudownie było znowu ją ujrzeć. Nie widziałam jej przecież całe miesiące.

Powiedziałam, że ślicznie wygląda, bo tak właśnie było. Ona odwzajemniła mi się tym samym, chociaż wcale nie jestem pewna, czy ślicznie wyglądałam.

Stwierdziła, że wyglądam jak stara wiedźma.

A ja, że wyglądam jak pies.

Powiedziałam jej, że wcale nie wyglądam jak stara wiedźma.

A ona, że ja nie wyglądam jak pies.

Po tej wymianie uprzejmości poszłam po drinki.

W pubie było parę milionów ludzi. Takie odniosłam wrażenie. Jednak udało się nam znaleźć miejsca przy stoliku.

Chyba się starzeję. Był czas, kiedy chętnie stałabym ze szklanką w ręku pośród tłumu, który poruszał mną niczym morską wodą glonami

podczas przyływu. Nie przeszkadzało mi, że osoba, z którą rozmawiałam, stała kilka metrów ode mnie i większość piwa z trzymanej w ręku szklanki rozlała się na mój nadgarstek.

Laura chciała wiedzieć wszystko o Kate. Z radością zaspokoiliam jej ciekawość.

Gdy bylam mlodsza, obiecalam sobie, ze nigdy nie bede nikomu serwowac nudnych opowieci o swoim dziecku. To znaczy, ze nie bede non stop trajkotać o tym, jak maleństwo uśmiechnęło się dzisiaj do mnie po raz pierwszy, jakie jest piękne i tak dalej, podczas gdy słuchacze będą umierali z nudów. Z niepokojem stwierdziłam, że jednak właśnie to robię. Nic na to nie mogłam poradzić. Gdy masz własne dziecko, cała sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko jedno — zrozumiecie mnie, jak urodzicie dziecko.

Być może Laurę z nudów rozboleła głowa, ale bardzo przyzwoicie sprawiała wrażenie, że interesuje się Kate.

— Bardzo chciałabym ją zobaczyć — powiedziała. „Jak miło”, pomyślałam.

— Może przyjedziesz w weekend? — zaproponowałam. — Spędzimy razem popołudnie i będziesz mogła się z nią pobawić.

Potem Laura chciała wiedzieć, jak przebiega poród, więc przez chwilę omawialiśmy tę sprawę, nie omijając krwawych szczegółów.

Do momentu, aż Laura pobladła i była bliska omdlenia. Potem, oczywiście, przeszliśmy do najważniejszego punktu dnia. Do głównego tematu spotkania. Do Jamesa.

Jamesa Webstera, Okrutnie Znikającego Męża.

Laura znała już wszystkie szczegóły.

Z różnych źródeł. Od mojej mamy, Judy i innych znajomych. Nie musiałam jej opowiadać, co zaszło. Bardziej interesowało ją, jak się teraz czuję i co zamierzam. i

— Nie wiem, Lauro. Nie mam pojęcia, czy wrócę do Londynu, czy też zostanę tutaj. Nie wiem, co zrobić z mieszkaniem! i w ogóle ze wszystkim.

— Musisz porozmawiać z Jamesem.

— Wiem przecież — powiedziałam. i Muszę przyznać, z pewną dozą goryczy.

Przez chwilę rozmawialiśmy o moich zobowiązaniach. I próbowałyśmy określić, co mnie czeka w przyszłości.)

Dyskusja o tym zepsuła mi trochę humor, więc zmieniłam temat i spytałam Laure, z kim obecnie uprawia seks.

Powiem wam, że ta kwestia była w rozmowie o wiele zabaw? niej sza.

Otóż szczęśliwcem, który mógł obecnie dostąpić seksualr nych względów Laury, był student sztuk pięknych, lat dzie* więtnaście.

— Dziewiętnaście! — wrzasnęłam tak głośno, że w rękach kilku przestraszonych klientów pubu odległego o pół kilometra popękały szklanki. —Dziewiętnaście! Mówisz poważnie?

— Jasne — roześmiała się. — Ale to jest żalosne. Nie ma grosza przy duszy, więc możemy sobie pozwolić tylko na seks.

— A ty nie możesz zapłacić za was oboje, abyście mogli razem gdzieś pójść? — spytałam.

— Pewnie bym mogła. Ale on wygląda jak dziad. Wstydziłabym się gdziekolwiek z nim pokazać.

— Jest ubrudzony farbą?

— Tak. Ale nie tylko o to chodzi. Ubiera się tak, jakby miał tylko jeden sweter. I żadnych skarpetek. A o jego gaciach lepiej nie wspominać.

— Hm. To brzmi dość okropnie.

— Nie jest tak źle — zapewniła mnie. — Szaleje na moim punkcie. Uwielbia mnie. Uważa za piękną. To miłe.

— Więc naprawdę łączy was tylko seks? — spytałam zaintrygowana. — Nie rozmawiacie?

— Niewiele. Mamy mało wspólnych tematów. On jest z innego pokolenia. Przychodzi, kochamy się i żartujemy, mówi mi, te jestem najpiękniejszą kobietą, jaką zna (pewnie jestem jedyną, jaką zna), a rano idzie sobie, zabierając parę moich sportowych skarpetek i na odchodnym prosząc mnie o parę groszy na bilet autobusowy. I już go nie ma. Super!

„O rany”, pomyślałam, patrząc na nią z podziwem.

— Jesteś naprawdę kobietą lat dziewięćdziesiątych — powiedziałam.
— Trzymasz fason.

— Coś ty. Po prostu nie daję się. Poza tym lepszy rydz niż nic.

— No więc on jest twoim chłopakiem? Przeszłabyś się główną ulicą, trzymając go za rękę?

— Ależ skąd! — przeraziła się. — A gdybym spotkała kogoś znajomego? Nie, ten mały aniołek to środek tymczasowy. Aby nie było mi zimno w łóżku, dopóki nie zjawi się ten pan Właściwy. Tylko nie wiem, dlaczego tak długo zwleka.

Widok Laury przepełniał mnie radością, ale od ponad pięciu lat było to moje pierwsze towarzyskie spotkanie, w którym występowałam jako wolna kobieta.

Poza tym było to pierwsze towarzyskie spotkanie bez ślubnej obrączki. Odnosiłam wrażenie, że jestem bezbronna i naga. Dopiero wtedy zrozumiałam, jak pewnie się czułam, gdy miałam ją na palcu. Ona przemawia do innych, mówi coś w rodzaju: „Nie potrzebuję na gwałt faceta, bo już swojego mam. Naprawdę. Spójrzcie tylko na moją obrączkę”.

Laura rozstała się ze swoim chłopakiem, Frankiem, przed mniej więcej rokiem.

Tak więc mimo faktu, że Laura miała nastoletniego kochanka, wyglądałyśmy na dwie samotne kobiety, popijające wino w zatłoczonym pubie w centrum miasta w czwartkowy, marcowy wieczór.

Ciekawe, czy mężczyźni wyczuwali węchem nasze zdesperowanie.

Ciekawe, czy naprawdę byliśmy zdesperowane.

Czy rzeczywiście poświęcałam Laurze całą uwagę? A może jednym okiem wodziłam po sali w poszukiwaniu atrakcyjnych facetów? Czy liczyłam, ilu z mężczyzn zerknęło na mnie z podziwem od chwili, gdy się tu zjawiłam?

Dla porządku odpowiem, że ani jeden.

Oczywiście i tak bym tego nie liczyła.

Roześmiałam się, bo Laura właśnie powiedziała coś śmiesznego.

Chociaż wcale nie mogę być pewna, czy naprawdę się roześmiałam.

Może chciałam pokazać obecnym w pubie facetom, że jestem szczęśliwa, dobrze się czuję, że bez mężczyzny nie czuję się zredukowana do ułamka swojej wartości.

Boże, naprawdę zaczynałam odczuwać przygnębienie. Jakbym nosiła nad głową migający różowym kolorem neon: „Świeżo porzucona”, który po chwili zmieniał się w pomarańczowo--czerwony napis „Nic niewarta bez mężczyzny”.

Cała moja wiara w siebie gdzieś znikła.

Nigdy nie sądziłam, że będę się czuła w tak widoczny sposób oznakowana.

Gdy byliśmy z Jamesem szczęśliwym małżeństwem, często spotykałam się z dziewczynami na drinka w pubach i w ogóle o tym nie myślałam.

Więc dlaczego nagle urosło to do rangi takiego problemu?

Laura spostrzegła, że spuściłam nos na kwintę, więc spytała, co mi jest. Łkając, wyjaśniłam jej, jak się czuję.

— Nie martw się — powiedziała łagodnie. — Kiedy Frank porzucił mnie dla dwudziestolatki, było mi strasznie wstyd. Jakby to była moja wina. Bez niego czułam się jak zupełne zero. Ale to mija.

— Naprawdę? — spytałam przez łzy.

— Tak, uwierz mi.

— Czuję się odrzucona, niepotrzebna — próbowałam jej wyjaśnić.

— Wiem. I wydaje ci się, że wszyscy to widzą.

— Właśnie. — Byłam wdzięczna losowi, że nie tylko ja tego doświadczyłam. — Już dobrze — powiedziałam, ocierając oczy. — Czas napęlić kieliszki.

Przedarłam się przez rozbawiony tłum i stanęłam przed barem. Co chwilę ktoś mnie potrącał, szturchał łokciem w twarz, ulewał drinka na moje plecy, gdy próbowałam zwrócić na siebie uwagę barmana. Byłam bliska konkluzji, że będę musiała unieść sukienkę i pokazać mu cycki, aby mnie zauważył, gdy ktoś niespodziewanie położył dłonie na mojej talii i uściśnął lekko.

Tylko tego brakowało. Ktoś chciał wykorzystać samotną, dojrzałą kobietę.

Odwróciłam się wściekła tak szybko, jak to tylko było możliwe w tym zatłoczonym miejscu, gotowa wsadzić faceta za molestowanie seksualne.

I oto stanęłam twarzą w twarz z czyjąś pierśią.

Piękny Adam.

Adam, który być może wcale nie jest chłopakiem Helen. Ława przysięgłych nie podjęła jeszcze decyzji w tej sprawie.

— Witaj — uśmiechnął się czarująco. — Zobaczyłem cię z drugiego końca baru. Potrzebna ci pomoc?

— O, witaj. — Zachowałam pozory spokoju, chociaż strasznie się ucieszyłam na jego widok. „Co za szczęście, że Laura wybrała właśnie ten pub”, pomyślałam.

— Miło cię widzieć — powiedziałam. — Nic jeszcze nie zamówiłam, bo ten barman chyba żywi do mnie jakiś uraz.

Roześmiał się.

Ja także się roześmiałam. Zupełnie zapomniałam, że powinniśmy czuć się niezręcznie po tej scenie w mojej sypialni, gdzie zasugerował, abyśmy mieli dzieci.

— Zamówię dla was drinki — zaproponował.

Dałam mu pieniądze i powiedziałam, żeby wziął dwa kieliszki czerwonego wina i coś dla siebie.

Z dumą przypominałam sobie, skąd pochodzę. Nie zapomniałam o swoich korzeniach. Ja też kiedyś byłam studentką, która nie miała grosza przy duszy. Spoglądałam na ludzi, którzy przypalali sobie papierosy pięciofuntowymi banknotami, i z zazdrości pragnęłam, by postawili mi szklaneczkę Carlsberga. Tylko jedną.

Adam dopchał się do baru. Mój policzek niemal leżał na jego piersi. Czułam jego zapach. Mydło. Pachniał świeżo i czysto.

Musiałam wziąć się w garść. Zaczynałam się zachowywać jak Blanche Du Bois. Albo stara, zwariowana alkoholiczka z *Bulwaru Zachodzącego Słońca*, czy jak to się nazywa. Albo jedna z miliona starych czarow-

nic, które występują w każdej historii o Beverly Hills — na granicy życia i śmierci po kilkunastu liftingach, zżerane pożądaniem wobec znacznie młodszych mężczyzn. Smutne i żałosne. Nie chciałam być taka.

Oczywiście już po chwili Adam miał nasze drinki. Takich ja] on barmani traktują z należnym szacunkiem. A dla kobiet takich jak ja nie mają czasu. Zwłaszcza tych, które porzucili mężowie.

Tak jak wszyscy mieszkańcy wszechświata, barman również: wiedział, że poniosłam życiową porażkę.

Adam podał mi dwa kieliszki wina.

— A to twoja reszta — powiedział.

— Nie mam wolnej ręki — odparłam, wskazując kieliszki.

— Nie ma sprawy. — Z tymi słowami wsunął rękę do bocznej kieszonki mojej sukienki.

Przez jedną sekundę jego dłoń spoczywała na moim biodrze. Czuję przez materiał jej ciepło. Wstrzymałam oddech. On chyba też.

Wypuścił drobne, które z brzękiem upadły na dno kieszeni.

Jak miałam się zachować? Strzelić go w twarz, bo za dużo sobie pozwolił? Przecież chłopak musiał mi oddać resztę, a ja nie miałam wolnej ręki. Zrobił to, co trzeba.

Chociaż myślę, że tak atrakcyjni ludzie powinni mieć licencje. Powinni zdać jakiś egzamin, by udowodnić, że są godni zaufania i że zachowują się w sposób odpowiedzialny, gdy pokażą swoją piękną twarz na ulicy.

Zresztą chodziło nie tylko o to, że niewątpliwie był przystojny. Był również wysoki i męski.

Przy nim czułam się jak mała, delikatna kobietka. Znowu dopadł mnie syndrom tej wielkiej nocnej koszuli. — Z kim tu jesteś? — spytał.

— Z Laurą. To moja przyjaciółka.

— Mogę się do was przyłączyć?

— Jasne.

„Czemu nie”, pomyślałam. Jest wesoły, czarujący, więc Laurze też się spodoba.

Chociaż dla niej może się okazać trochę za stary.

Torował mi drogę pośród tłumu ludzi. Muszę przyznać, że gdy byłam przy nim, ludzie zaczęli mnie traktować ze znacznie większym respektem.

W czasie tej wędrówki spadła na mnie najwyżej jedna kropla alkoholu — w porównaniu z hektolitrami, jakie wylądowały na moich plecach, gdy wcześniej podążałam w stronę baru.

To niesprawiedliwe, ale tak właśnie jest.

Mijaliśmy mnóstwo osób, które najwyraźniej znały Adama.

— Dokąd idziesz? — spytała go jedna z dziewcząt. Blondynka o wydatnych, różowych ustach. Bardzo młoda i bardzo ładna.

— Spotkałem starą znajomą — odparł. — Wypijemy razem drinka.

Szybko przebiegłam wzrokiem po tłumie, by upewnić się, że nie ma tu Helen. Na szczęście nie.

Jednak spostrzegłam jakąś starszą kobietę, która intensywnie przypatrywała się Adamowi, gdy ją mijał. Czyżby to była biedna, chora z miłości pani profesor Staunton?

Stwierdziłam, że parę osób obrzuca mnie wrogim spojrzeniem. Same dziewczyny. To było niemal śmieszne.

„Pieprzyć je”, pomyślałam rozbawiona.

Gdyby tylko wiedziały, że z mojej strony nie muszą się niczego obawiać.

Chciałam im powiedzieć, że zostawił mnie mąż, który zresztą nie był nawet w połowie tak przystojny jak obecny tu Adam. Więc co mógł we mnie widzieć taki Adonis?

Poza tym wciąż kocham swojego męża. Nawet pomimo to, że okazał się niewierny. Zaprowadziłam Adama do naszego stolika i dokonałam prezentacji.

Laura oblała się rumieńcem.

Stwierdziłam więc, że wszystkie kobiety tak samo reagują na jego widok. Nie tylko te z mojej rodziny.

Jakimś cudem Adamowi udało się znaleźć wolne krzesło. Taki to już był chłopak.

— Kłamczuch z ciebie — odezwałam się do niego z uśmiechem.

— Dlaczego? — Szeroko otworzył swoje niebieskie oczy. Wyglądał chłopięco i niewinnie.

— Powiedziałeś tamtej dziewczynie, że jestem twoją starą znajomą. :

— Przecież jesteś stara — odparł. — To znaczy w sensie „starsza ode mnie” — dodał szybko. Pewnie spostrzegł, jak zwięzają się szparki moich oczu. — A wiem o tym tylko dlatego że spytałem Helen, ile masz lat. Sądziłem, że jesteś o wielu młodsza.

Patrzyłam na niego w milczeniu. Musiałam przyznać, że uratował swój honor.

— Poza tym — mówił dalej — chociaż spotkaliśmy się tylko raz, mam wrażenie, jakbyśmy bardzo dobrze się znali.

„Tak”, pomyślałam. „Zdecydowanie uratował swój honor”.

Później Laura powiedziała mi, że właśnie wtedy zdjęła majtki i podniosła do góry spódnicę, ale żadne z nas tego nie zauważyło. Nie uwierzyłam w ani jedno jej słowo.

Ale zrozumiałam, co miała na myśli.

Od momentu spotkania z Adamem wieczór znacznie zyska na atrakcyjności.

W każdym razie znacznie poprawił mi się humor.

Wstyd przyznać, ale w towarzystwie mężczyzny poczułam się o wiele lepiej.

Jakby w pewien sposób potwierdzało to moją wartość.

Oczywiście wiedziałam, że jest to smutne i żalosne. Zresztą Ffl-
liułam szczerzy zamiar zmienić swoje nastawienie. i Jednak towarzystwo Adama miało na mnie cudowny wpływ.

Oprócz wielu innych zalet miał także tę, że wspaniale się / nim rozmawiało.

Laura spytała go, skąd mnie zna.

— Studiuję razem z Helen — odpowiedział.

Spojrzała na mnie znacząco. Jakby mówiła: „O Boże, jeszcze Jeden student. Teraz będziemy musiały udawać, że bardzo nas Interesuje przedmiot jego nauki”.

Jednak Adam pokrzyżował jej plany.

Zdaje się, że robi to nagminnie.

— Nie martw się. — Obdarzył Laurę uśmiechem. — Nie musisz mnie pytać, co studiuje.

— Hm — zmieszała się. — Wobec tego nie spytam. Zapadło krótkie milczenie.

— Wiesz, teraz naprawdę jestem ciekawa — rzekła Laura.

— To wcale nie było moją intencją — roześmiał się. — Lecz odpowiadając na twoje pytanie, którego nie zadałaś, jestem na pierwszym roku filologii angielskiej, psychologii i antropologii.

— Na pierwszym roku? — Laura uniosła brwi, robiąc tym samym delikatną aluzję do jego, nazwijmy to, niezbyt chłopięcego wyglądu.

— Tak — potwierdził. — Jestem dorosłym studentem. Przynajmniej tak mi mówią. Ale wcale się tak nie czuję. Chyba tylko wtedy, gdy porównuję się z moimi koleżankami i kolegami z roku.

— Dokuczają ci? — spytałam, z nadzieją oczekując twierdzącej odpowiedzi.

— Nie. Po prostu są młodzi. Ktoś musi taki być. Mają pewnie po osiemnaście lat, dopiero co pokończyli szkoły i zaczęli studiować, by jeszcze na kilka lat odłożyć przyjęcie na siebie odpowiedzialności. A nie dlatego, że chcą się czegoś nauczyć lub uwielbiają przedmiot nauki.

Laura i ja miałyśmy dość przyzwoitości, by na jego słowa zaznać poczucia wstydu. Razem z Judy stanowiłyśmy doskonały przykład obijających się studentek, niechętnych do pracy, zepsuj tych, folgujących swoim zachciankom. i

— No to masz niefart — mruknęłam.

Wymieniłyśmy z Laurą znaczące uśmieški.

— A jak to się stało, że teraz studiujesz? — spytałam go.

— Przedtem jakoś nie miałem ochoty. Sam nie wiedziałem co chcę robić po skończeniu szkoły. Robiłem różne głupie rzeczy — powiedział intrygująco. — Ale ostatnio wziąłem się w garść i uporządkowałem swoje życie, bo znalazło się w rozsypce.

Zaciekawiał nas coraz bardziej.

— No, a teraz jestem gotowy do studiowania. Uwielbiam naukę.

— Naprawdę? — Jego dojrzałość i zdecydowanie wywarły na mnie duże wrażenie.

— Tak. Myślę, że ta zwłoka była dla mnie szczęśliwym zrządzeniem losu — podjął z wahaniem, — Bo teraz potrafię wszystko docenić. Uważam, że każdy powinien kilka lat popracować, zanim zdecyduje, czy chce się jeszcze uczyć.

— Czy tak właśnie było w twoim przypadku? — spytałam — Pracowałeś?

— Mniej więcej — uciął. Było oczywiste, że nie chciał podejmować tego tematu.

Byłyśmy coraz bardziej zaintrygowane.

Więc ten czyściutki Adam ma za sobą jakąś przeszłość.

Przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

„Założę się, że próbuje okazać się kimś tajemniczym, stworzyć mit dotyczący swojej osoby”, pomyślałam złośliwie. „Pewnie przez ostatnie sześć lat pracował w służbie publicznej. I to w najmniej ciekawym wydziale, na przykład przy udzielaniu zezwoleń na chów żywego inwentarza, jeśli w ogóle coś takiego istnieje”.

Laura zadała Adamowi drugie pytanie z serii tych, które kieruje się do studentów. (Pierwsze to: „Co studiujesz?”)

— Co zamierzasz robić po otrzymaniu dyplomu? Czekałam z zapałym tchem.

„Boże, błagam, nie pozwól mu mówić, że chce zostać pisarzem albo dziennikarzem”, modliłam się w duchu.

Byłoby to cholernie banalne.

Zaczęłam go lubić i szanować, a taka odpowiedź zupełnie Zdruzgotałaby wizerunek, jaki sobie o nim wyrobiłam. Złożyłam ręce w modlitwie i spojrzałam ku niebu.

— Chciałbym robić coś, co ma związek z psychologią — odrzekł. „Ho, ho!”, pomyślałam. — Interesuje mnie, jak działa ludzki umysł. Może zostanę jakimś doradcą. Albo wejdę do branży reklamowej. I w ten sposób wykorzystam swoją wiedzę z psychologii — wyjaśnił. — Ale to jeszcze odległa przyszłość.

— A filologia angielska? — spytałam nerwowo. — Nie podoba ci się?

— Podoba. To mój ulubiony kierunek. Ale po jego ukończeniu nie mam perspektyw na dobrą pracę. Chyba że chciałbym zostać pisarzem lub dziennikarzem, lecz takie plany ma co drugi student.

„Bogu dzięki”, pomyślałam.

Cieszyłam się, że lubi anglistykę. Po prostu nie mogłabym znieść kolejnej osoby, która zacznie głądzić o tym, jak zamierza napisać książkę.

Tak więc rozmawialiśmy sobie wesoło i przyjemnie. Laura poszła do baru po następną kolejkę.

Adam spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Jest super — powiedział. — Miło odbyć inteligentną rozmowę z kimś na poziomie.

Rozpromieniłam się. Adam przysunął się do mnie.

„Być może nie mam ciała siedemnastolatki, ale potrafię zainteresować mężczyznę”, pomyślałam zarozumiale.

Czułam się jak dojrzała, silna kobieta, pewna siebie i znająca swoją pozycję na świecie. Uparta, lecz jednocześnie zabawna i rozrywkowa. Dowcipna i mądra.

Wszystko to, oczywiście, wierutne bzdury.

Jeszcze pół godziny wcześniej ryczałam, bo zdawało mi się, że każdy w pubie wie, że mąż mnie opuścił.

Ale wszystko jest kwestią podejścia.

W tamtej chwili czułam się wspaniale.

Dzięki Adamowi.

A czy to ważne, dzięki komu czułam się dobrze?

Czy to nie jest lepsze od depresji?

— Adam, my już wychodzimy. Idziesz z nami? — U boki Adama zjawiała się śliczna blondynka.

— Jeszcze nie, Melisso — odparł. — Zobaczymy się jutro OK?

Wyraźnie było widać, że nie jest OK. Melissa wydawała się oburzona.

— Ale... Myślałam... Nie idziesz na imprezę? — Mówiła tak, jakby nie wierzyła własnym uszom.

— Nie sądzę. — Tym razem w jego głosie zabrzmiała stanowczość.

— W porządku! — Dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nic nie jest w porządku. — Masz swoją torbę. — I rzuciła duży sportowy worek, który z hukiem upadł na podłogę.

Obrzuciła mnie i Laurę jadowitym spojrzeniem.

Zdumionym, lecz jadowitym.

Nie mogła pojąć, co Adam robi w towarzystwie dwóch takich jak my kawałków starego próchna, skoro mógł do woli przebierać w siedemnastoletnich panienkach na wydaniu.

Szczerze mówiąc, ja też nie potrafiłam tego zrozumieć.

Gdy Melissa oddaliła się, Adam westchnął.

— Nie mogłem tego znieść — wyjaśnił znużonym głosem; — Kolejna studencka imprezka. Puszki ciepłego piwa. I zamknięta łazienka, bo schowała się w niej jakaś mająca ochotę na seks parka. Zostawiasz marynarkę na łóżku, a ktoś puszcza na nią pawia. I ta melodyjna muzyczka. Za stary jestem na to.

Autentycznie zrobiło mi się go żal.

Sądziłam, że był jedynie uprzejmy, gdy wspominał o inteligentnej rozmowie.

Niełatwo żyć w otoczeniu chichoczących osiemnastolatek pokroju Helen i Melissy, gdy jest się o wiele bardziej dojrzałym.

Niełatwo też żyć — co rozumiałam po chwili — będąc obiektem westchnień tylu młodszych, zakochanych w starszym koledze nastolatek. Nie komuś takiemu jak Adam, który nie Chciał ich ranić ani denerwować.

Czasami uroda wcale nie wychodzi na dobre. Oczywiście nie mówię tego z własnego doświadczenia. Trzeba wykorzystywać iwoją przewagę w sposób mądry i odpowiedzialny.

Przez następne dziesięć minut obok naszego stolika płynęła fura młodych dziewcząt, które podchodziły, by się pożegnać z Adamem.

Przynajmniej taki miały pretekst. Melissa bez wątpienia puściła farbę, więc przyszyły popatrzeć na stare, obrzydliwe buby, Laure i mnie.

W odwrotnej sytuacji byłabym pierwsza, która zaczęłaby krytykować buty, ciuchy, makijaż i fryzurę winowajczyń.

Tak się jednak złożyło, że Laura wyglądała pięknie — kręcone rude włosy, alabastrowa skóra, bardzo młoda twarz jak na jej trzydzieści lat. Mnie też nic nie można było zarzucić. Ale to z pewnością nie powstrzymało komentarzy dotyczących naszego zaawansowanego wieku. A zresztą, co mnie to obchodzi?

Ktoś podsunął mi pod nos puszkę i potrząsnął nią jak grzechotką.

— Pomożesz potrzebującym dzieciom? — spytał sponiewierany mężczyzna w mokrym płaszczu.

— Jasne — odparłam. Pod wpływem alkoholu okazałam nieco większą hojność niż zwykle, wsuwając do puszek funta.

— A ty? — Spojrzał na Laure.

Do Adama nawet się nie odezwał. Pewnie już na pierwszy rzut oka rozpoznawał biednego studenta.

— Ja pomagam dzieciom w sposób bezpośredni — wyjaśniła.

— Naprawdę? — spytałam zdziwiona. Nic nie wiedziałam o współpracy Laury z jakąś fundacją dobroczynną.

— Tak. Regularnie uprawiam seks z jednym dzieckiem. To chyba jest bezpośrednia pomoc, prawda?

Przerażony mężczyzna szybko przeszedł do innego stolika. Adam ryknął śmiechem.

— Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z pedofilem — powiedział do Laury.

— Żartowałam. Wcale nie molestuję dzieci. To dziecko ma dziewiętnaście lat.

Dopiliśmy drinki i włożyliśmy płaszcze, szykując się do wyjścia. W pubie robiło się pustawo.

Wszyscy pozostali klienci byli w doskonałych humorach i świetnie się bawili, w przeciwieństwie do barmanów, którzy właściwie już błagali wszystkich, żeby sobie poszli.

— Pracuję trzynasty wieczór bez dnia wolnego — powiedział któryś z barmanów do zebranej wokół jednego stolika grupa szczególnie głośnych biesiadników. — Jestem wykończony. Szczerze mówiąc, wyglądał na zmęczonego, ale według mnie tracił czas, odwołując się do ich humanitarnych uczuć.

— Bo się rozplaczę — odpalił ironicznie jeden z młodzieńcowi

— Kończ to piwo albo ci je zabiorę — powiedział groźnie inny barman klientowi przy drugim stoliku. Widać było, że już nieraz przerabiał rolę „gościnnego gospodarza”.

Chłopak wypił duszkiem niemal pół litra przy dopingujących okrzykach swoich kompanów. Wołali: „Zdolny chłopak”, „Nie wylewa za kołnierz” i tym podobne.

Nawet Laura zakrzyknęła:

— Łykaj, łykaj!

Minęliśmy go jakieś pięć minut później. Stał tuż przed wejściem do pubu.

Podtrzymywany przez dwóch równie pijanych kolegów wymiotował obficie.

Na zewnątrz stwierdziliśmy, że deszcz znowu zaczął padać.

— Mój samochód stoi tylko kawałeczek stąd — powiedziała Laura. — Pobiegnę.

Uściskałyśmy się.

— Przyjdę w niedzielę, żeby zobaczyć Kate — dodała. — Miło było cię poznać, Adam.

Uciekła w ciemność, niemal wpadając na rzygającego chłopaka.

— Przepraszam — zawołała do niego, znikając nam z oczu. Przez chwilę staliśmy z Adamem u wejścia do pubu. Nie bardzo wiedziałam, co mam mu powiedzieć.

— Może podwieźć cię do domu? — odezwałam się w końcu. Było mi niezręcznie wystąpić z taką propozycją.

Jakbym była bogatą starszą panią, spragnioną miłości i seksu, która kupuje sobie ubogiego, przystojnego młodzieńca.

— O, dziękuję, bardzo chętnie— odpowiedział. — Spóźniłem się na ostatni autobus.

Uśmiechnął się szeroko. A ja się uspokoiłam.

Przecież to tylko przysługa. Nie starałam się go wykorzystać.

Ruszyliśmy szybkim krokiem mokrymi od deszczu uliczkami w stronę parkingu.

Mówię wam: nie ma nic romantycznego w spacerowaniu w ulewnym deszczu. Totalna katastrofa. Miałam na sobie zamszowe pantofle. Przez resztę życia będę musiała trzymać je nad czajnikiem, *i* którego bucha para, aby powróciły do dawnej świetności.

Wsiedliśmy do samochodu. Rzucił swoją przemoczoną torbę na tylne siedzenie. Gdy sam zajął miejsce obok mnie, wypełnił sobą cały przód pojazdu.

Ruszyliśmy.

Zaczął kręcić gałką radia.

— Nie rób tego! — powiedziałam. — Ojciec mnie zabije. Opowiedziałam mu o rozmowie z ojcem przed wyjazdem z domu. Roześmiał się wesoło.

— Dobrze prowadzisz — odezwał się po kilku minutach jazdy.

Oczywiście w tej samej chwili straciłam głowę, niemal zalałam silnik, a potem o włos minęłam latarnię. Powiedział mi, jak dojechać do jego mieszkania w Rathmines.

Po drodze żadne z nas się nie odezwało.

Słyszeć było jedynie szum opon na jezdni i pisk wycieraczek.

A jednak to milczenie miało w sobie coś miłego.

Zatrzymałam samochód przed jego domem i uśmiechnęłam się na pożegnanie. To naprawdę był cudowny wieczór.

— Dzięki za podwiezienie — powiedział. Zawsze do usług.

— Czy... może... chciałabyś... czy mógłbym cię zaprosić na herbatę? — spytał niezręcznie.

— Kiedy... to znaczy teraz? — odpowiedziałam równie niezdarne.

— Skądże, myślałem o grudniu w przyszłym roku — uśmiechnął się.

Moja odmowa była automatyczna.

Miałam ją na końcu języka, zanim jeszcze o tym wiedziałam, Cisnęło mi się na usta kilka wymówek. Było późno. Przemokłam do suchej nitki. Po raz pierwszy zostawiłam Kate pod; opieką kogoś innego. Helen szykowała się do obcięcia mi głowy maczetą. |

— Tak — odparłam zdumiona swoim zachowaniem. — Czemu nie? Zaparkowałam samochód, po czym weszliśmy do domu.

Ogarnął mnie niepokój, co było zupełnie zrozumiałe. W przeszłości wystarczająco często widywałam mieszkania studentów, by spodziewać się najgorszego.

Wszelkiego rodzaju dziwne układy. Znacnie to, sześć czy siedem osób śpiących w jednym pokoju i ze dwie osoby mieszkające w kuchni, które muszą przejść przez sypialnię, by dostać się do łazienki, a dopiero stamtąd do pokoju dziennego.

Sypialnie podzielone podwieszonymi do sufitu bieżnikami, by stworzyć pozory prywatności. Szafy w przedpokoju. Komody w kuchni. Garnki i wiadra w łazience. Lodówka na podeście przy schodach. Stolik w pokoju zbudowany z czterech niebieskich skrzynek na mleko i kawałka płyty wiórowej.

Kuchnia zwykle wyglądała tak, że jakby uderzył w nią piorun, zapoczątkowałby od zera proces ewolucji. Naderwane i krzywe zasłony, polamane żaluzje wiszące w oknach, na podłodze zmiażdżone puszki po piwie, rezerwuar, w którym pędzono domowe wino.

O, tak. Uwierzcie mi — z własnego doświadczenia wiem, jak wyglądają studenckie mieszkania na tej planecie.

Dlatego odczułam wielką ulgę, gdy Adam otworzył drzwi i wprowadził mnie do mieszkania, które wyglądało zupełnie normalnie, powiem więcej — całkiem ładnie.

— Chodź do kuchni. — Zdjął mokrą marynarę.

W kuchni włączył czajnik i grzejnik. Niejeden z tych okropnych grzejników z dwoma pomarańczowymi spiralkami, typowych dla wynajmowanych kawalerek, lecz normalny grzejnik gazowy, dokładnie taki sam jak ten, który mieliśmy w naszym mieszkaniu w Londynie. A czajnik

był zwyczajnym czajnikiem, nie zaś blaszaną puszką na gazowym palniku.

Byłam trochę podejrzliwa.

— A inni którzy tu mieszkają?—spytałam.—To też studenci?

— Nie. — Pomógł mi zdjąć płaszcz i powiesił go obok grzejnika. — Oboje pracują.

No tak, to wiele wyjaśniało.

— Przemokłaś? — spytał uprzejmie. — Może przyniosę ci sweter?

— Nie, dziękuję. Płaszcz ochronił mnie przed deszczem. Uśmiechnął się.

— No to przyniosę ci ręcznik, żebyś wytarła sobie włosy — powiedział i na chwilę wyszedł z kuchni.

Zaraz też zjawił się z wielkim niebieskim ręcznikiem. Od razu ostudzę wasze rozpalone głowy: nie, nie wytarł mi włosów.

Co sobie myślicie? Że to jakaś romantyczna opowieść spod znaku „Harlequina”?

Wybaczcie, ale jeśli interesują was tego rodzaju historie, poczytajcie sobie inną książkę.

Nie. Podał mi ręcznik, którym wytarłam sobie włosy kilkoma niezbyt energicznymi ruchami. Nie chciałam, żeby sterczały mi na wszystkie strony i wyschły w takim nieładzie.

Szczerze mówiąc, wołałam już dostać zapalenia płuc.

Zdjęłam buty i ustawiłam je przed grzejnikiem. Adam podał mi kubek herbaty, po czym usiedliśmy przy stole w ciepłej, przyjemnej kuchni. Znalazła się nawet paczka ciasteczek.

— Należą do Jenny — wyjaśnił. — Powiem jej rano, że miałem wieczorem szczególnego gościa. Zrozumie.

W jego ustach zabrzmiało to tak naturalnie, uroczo. Bez cienia kokieterii czy nieszczerości.

— Więc kiedy urodziłaś Kate? — spytał, stawiając przede mną cukier.

— Już ponad miesiąc temu.

— Posłuchaj, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu — rzekł niezręcznie — ale Helen powiedziała mi o sytuacji z twoim mężem.

— No i? — W rzeczy samej miałam dużo przeciwko temu.

— No... nic. To znaczy, wiem, że to nie moja sprawa, lecz rozumiem, jak ci ciężko. Mam za sobą podobne wydarzenie i zdaję sobie sprawę, jak okropnie człowiek się wtedy czuje.

— Naprawdę? — spytałam z ciekawością.

— Tak. Aleja naprawdę nie próbuję wtrącać się w twoje życie „To nieważne. Powiedz, co było z tobą”, myślałam gorączkowo. „Możesz się wtrącać w moje życie, jeśli pozwolisz mi wtrącać się w swoje”.

— Poza tym — ciągnął — wiem, że masz w Dublinie wiek przyjaciół, ale pamiętaj, że zawsze możesz porozmawiać ze mną

— Czy ty nie wykorzystujesz mnie jako obiektu jakiegoś psychologicznego doświadczenia? — spytałam podejrzliwie.

— Ależ skąd — zaśmiał się. — Po prostu polubiłem cię już w chwili, gdy się poznaliśmy. A po dzisiejszym wieczorze lubię cię jeszcze bardziej. I chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

— Dlaczego? — Moje podejrzania wzrosły jeszcze bardziej. W końcu miałam pełne prawo zapytać, czyż nie? Przecież to wszystko nie miało dla mnie sensu. Byłam zupełnie zwyczajna. Dlaczego więc Adam stwierdził, że jestem wyjątkowa i warte tego, by się ze mną zaprzyjaźnić?

Wcale nie miałam o sobie złej opinii. Wiedziałam o swoich zaletach. Nie byłam tak po prostu Królową Niskiej Samooceny. Jednak zalety można znaleźć u wielu ludzi. A we mnie naprawdę, nie było nic szczególnego. Oczywiście Adam znał tysiące kobiet - zabawnych, pięknych, inteligentnych, rozrywkowych, bogatych, porzuconych, bystrych, seksownych, interesujących.

Więc dlaczego wybrał właśnie mnie?

— Bo jesteś miła — odpowiedział. Miła! Też coś.

Która chciałaby zostać wybrana przez pięknego faceta takiego jak Adam tylko dlatego, że jest miła?

— Poza tym masz duże poczucie humoru, jesteś inteligentna i interesująca — dodał.

To już lepiej.

Jest szansa, że załapię się też na...? Zgodziłabym się nawet na... Ale nic z tego.

„Seksowna”, „piękna” i „atrakcyjna” nie znalazły się na liście. Ale co tam. Miło było z nim pogadać. Dobrze się czułam w jego towarzystwie.

I wcale nie miałam na niego ochoty.

Chociaż w innych okolicznościach pewnie bym miała.

On też nie miał na mnie ochoty.

Byliśmy dwojgiem dorosłych ludzi, którzy dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Ja miałam męża.

W poniedziałek będę telefonować do Jamesa. Do Adama zaś rościła sobie prawa Helen. A jeśli nie ona, to na pewno jakaś inna kobieta. A więc spokojnie.

— Co robisz jutro? — spytał.

— Nie wiem. Od powrotu z Londynu nie wyrobiłam sobie jeszcze żadnych nawyków. Myślę, że będę się zajmować Kate.

— Właśnie dlatego pytałem, kiedy ona się urodziła. Zastanawiałem się, czy nie wybrałaś się ze mną do siłowni?

— Ja?! — spytałam przerażona. — Dlaczego?

— Nie dlatego, że powinnaś — odparł z niepokojem. — Pomyślałem sobie tylko, że mogłoby ci się to spodobać.

Ja z moim obwisłym, bezkształtnym ciałem miałabym pójść do siłowni z Adonisem. Czy on upadł na głowę?

Lecz z drugiej strony moje ciało pozostanie wiotkie i bezkształtne, jeśli pozostawię je swojemu losowi.

Zresztą zanim urodziłam Kate, bardzo lubiłam chodzić do siłowni.

Może to najlepsza propozycja, jaką otrzymałam od bardzo dawna.

— No cóż... — rzekłam ostrożnie. — Jestem bez formy.

— Od czegoś musisz zacząć — powiedział szybko.

— A kto się zajmie Kate?

— Może twoja mama? Przecież to tylko parę godzin.

— Może — odparłam z powątpiewaniem. Jak na mój gust sytuacja rozwijała się trochę za szybko.

Cholera, przecież wyszłam z domu tylko po to, żeby spotkać się na drinka z Laurą. A teraz zapisuję się do siłowni z człowiekiem, którego poznałam dzień wcześniej.

I do tego wieczorem.

— Słuchaj, przyjdź jutro. Na pewno ci się spodoba. Co masz do stracenia?

Zastanowiłam się.

Co miałam do stracenia?

Tylko własne życie, jeśli o tym wszystkim dowie się Helen.

— Dobra. Przyjdę.

Umówiłam się z nim na trzecią w mieście, chociaż sama nie mogłam uwierzyć, że to robię. Dopiliśmy herbatę. Adam odprowadził mnie do samochodu.

Gdy wsiadłam, zatrzasnął drzwiczki i w strugach deszczu stał przy bramie, patrząc, jak odjeżdżam.

Nie zdążyłam nawet dojechać do końca ulicy, kiedy ogarnęło mnie poczucie winy. Że zaniedbałam Kate.

Że wdałam się w towarzyskie kontakty z chłopakiem mojej młodszej siostry, w każdym razie zupełnie niewinne.

Że zamierzałam marnować czas w siłowni, zamiast porozmawiać z adwokatem, załatwić sprawy finansowe i wszystkie inne.

Gdy tylko znalazłam się w domu, pobiegłam na górę do Kate. Z ulgą stwierdziłam, że żyje i ma się dobrze. Odczułam wyrzuty sumienia, bo byłam przekonana, że musiało się jej stać coś złego.

Przytuliłam ją bardzo mocno, niemal pozbawiając ją przy tym życia.

— Tęskniłam za tobą, kochana — powiedziałam, gdy Kate I trudem chwytiała powietrze. — W poniedziałek zadzwonię do tatusia i spróbuję załatwić nasze sprawy. Obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze.

To był naprawdę cudowny wieczór.

Nie mogłam więc zrozumieć, skąd się wzięło moje przygnębienie.

Rozdział 14

Planowałam zatelefonować do pana Hasdella — adwokata, którego numer podała mi Laura—jak tylko zasiądzie za swoim biurkiem o dziewiątej rano następnego dnia.

Jednak nie potrafiłam się do tego zebrać.

Nakarmiłam Kate.

Pobawiłam się z nią.

Niepokoiliłam się, co na siebie włożę do siłowni.

Niepokoiliłam się, co będzie, jeśli Helen się dowie, że planuję pójść z Adamem do siłowni.

Niepokoiliłam się, że zaniedbuję Kate.

Niepokoiliłam się, co będzie, jeśli mama nie zechce zaopiekować się Kate, bo to uczyni ją współniczką, która pomaga mi w potajemnym spotkaniu z Adamem.

Niepokoiliłam się o wszystko, tylko nie o to, co było naprawdę ważne.

Wiedziałam, że muszę zadzwonić do swojego banku. Jednak w znacznie większym stopniu obchodziło mnie, jak będzie wyglądał mój tyłek w obcisłej koszulce i legginsach, jakie znalazłam w pokoju Rachel.

Moje dziecko rosło bez ojca, lecz ja zamiast zadzwonić do prawnika i cokolwiek załatwić, stałam przed lustrem, wciągając brzuch i sprawdzając swój profil. Jakbym znowu miała piętnaście lat i wykręcała sobie szyję, żeby sprawdzić, jak wygląda moja pupa.

Mama spojrzała na mnie podejrzliwie, gdy spytałam ją, czy może po południu zająć się Kate.

— Znowu? — spytała.

— Tak, ale tylko na dwie godzinki — wybąkałam.

— Dlaczego? Co zamierzasz zrobić?

— Nic specjalnego, mamo. Planowałam wybrać się do siłowni, żeby powrócić do dawnej formy. — Nie chciałam jej okłamywać, lecz powiedzenie prawdy również nie było dla mnie zbyt przyjemne.

— Aha, do siłowni — powiedziała z ulgą. — To dobrze. Tylko uważaj, żeby się nie prze... no wiesz... nie zrobić sobie krzywdy. Pamiętaj, że niedawno urodziłaś dziecko.

— Dziękuję, mamó. — Rozbawiła mnie jej delikatność. — Moje wewnętrzne organy mają się dobrze. Bardzo chciałabym tam pójść.

Nie powinnam była tego mówić. Znowu nabrała podejrzeń.

Wiem, że zachęcała mnie do romansu z Adamem, ale miałam ogromne wyrzuty sumienia i nie chciałam, żeby ktoś wiedział o naszym spotkaniu.

Tak więc pojechałam do miasta obarczona poczuciem winy, pełna obaw, że ktoś mnie przyłapie i że coś złego przytrafi się Kate.

W połowie drogi doszłam do wniosku, że nie nadaję się do takiego życia, w którym królują kłamstwa, intrygi oraz brak dbałości o dziecko. Byłam gotowa natychmiast wrócić do domu.

Jednak ruch na ulicach był tak ogromny, że nim zdołałam zawrócić, zrobiło mi się żal Adama, który na mnie czekał. Pomyślałam więc, że w tej sytuacji spotkam się z nim, ale od razu powiem, że nie mam czasu, i wyruszę z powrotem do domu. Potem nie mogłam znaleźć wolnego miejsca do parkowania. Stamtąd, gdzie się w końcu zatrzymałam, do celu mojej wyprawy było tak daleko, że resztę drogi musiałam pokonać autobusem. W efekcie bardzo się spóźniłam.

Biegłam chodnikiem, gdy ujrzałam go stojącego przed sklepem w miejscu, gdzie się umówiliśmy. Rozglądał się to w jedną, to w drugą stronę z niespokojną miną, całkowicie nieświadomy upojrzeń, jakie rzucały mu przechodzące obok kobiety.

Za każdym razem, gdy go widziałam, doznawałam szoku.

Zapominałam, jak bardzo jest przystojny.

„Ten wysoki, piękny mężczyzna o długich, muskularnych nogach czeka właśnie na mnie”, pomyślałam z dumą.

Tylko dlaczego?!

— Claire! — zawołał, wyraźnie uradowany moim widokiem. — Już myślałem, że nie przyjdiesz.

— Bo nie przyszedłam — mruknęłam.

— Więc przysłałaś w zastępstwie swój hologram czy co? — uśmiechnął się.

— Nie... Posłuchaj, Adam. Nie jestem pewna, czy to jest dobry pomysł — wyjąkałam. — No wiesz... — Urwałam, nie mogąc znaleźć słów.

— Co nie jest dobrym pomysłem? — spytał łagodnie, usuwając mnie z drogi tłumowi przechodniów.

— Spotkanie z tobą i to... Wiesz, jestem mężatką i w ogóle.

— Nie patrzyłam mu w oczy.

Wreszcie podniosłam wzrok. Nie mogłam uwierzyć, że na jego twarzy maluje się tak ogromny ból.

— Wiem, że jesteś mężatką — odezwał się cicho, zaglądając mi w oczy. — Nie śmiałbym robić sobie jakichkolwiek nadziei. Nie chcę czynić ci żadnych awansów. Chcę być twoim przyjacielem.

Zmartwiałam. Dosłownie.

Ze wstydu niemal zapadłam się pod ziemię.

Oczywiście, że nie leciał na mnie.

Ależ jestem głupia, że myślałam inaczej. Skąd u mnie tyle cynizmu? Albo zarozumiałości?

I co mi przyszło do głowy, żeby mówić mu takie rzeczy?

No dobrze, więc miałam wyrzuty sumienia, że się z nim spotykam. Ale czy to nie był mój problem? Dlaczego przypisywałam mu niewłaściwe intencje tylko dlatego, że sama je miałam?

Czy na pewno miałam?

Boże! Nie byłam tego pewna.

— Posłuchaj — odezwał się. — Lepiej wracaj do domu. Nie był zimny ani zły, ale sprawiał takie wrażenie, jakby nie chciał, abym w ogóle go dotykała.

— Nie! — powiedziałam.

Jezu, czyja w ogóle byłam w stanie na cokolwiek się zdecydować?!

— Nie — powtórzyłam spokojniej. — Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić. Głupio zareagowałam. I o wiele z mocno.

Wchodzący i wychodzący ze sklepu klienci rzucali nam zaciekawione spojrzenia.

— Świetnie — usłyszałam, jak młoda kobieta mówi do swe jego towarzysza. — Uwielbiam patrzeć, jak inni się kłócą.

Jej głos dochodził do mnie z głębi ulicy.

— Wtedy wiem, że oprócz mnie na świecie są jeszcze inni zdołowani ludzie — dodała.

„Bez obaw”, pomyślałam. „Na pewno nie jesteś sama”. Adam westchnął z irytacją.

— Czego więc chcesz?

— Niczego. Czy możemy zapomnieć o tej rozmowie i po prostu iść do siłowni, tak jak planowaliśmy?

— Dobrze — odpowiedział niezbyt przyjaznym tonem.

— Hej, bądź dla niej miły. Pocałuj ją — zawołał jakiś parchaty starzec. Obserwował nas z wielkim zainteresowaniem. Z kieszeni obdartego płaszcza sterczały mu otwarte butelki guinnessa. — Przecież jest jej przykro. Prawda, kochanie?

— Chodźmy — rzekłam do Adama. Nie chciałam robić zbiegowiska.

— Szturchnij ją łokciem — zawołał za nami starzec, który nagle przestał być miły. — One nie rozumieją innego języka!

Ruszyliśmy szybko ulicą. Z każdą chwilą jego okrzyki słabły.

— Jezu — powiedziałam z ulgą, gdy skręciliśmy w bok i przestaliśmy go słyszeć.

Adam uśmiechnął się krótko, lecz w powietrzu nadal czuło się napięcie.

W siłowni szybko załatwił mi wpis, po czym udałam się do damskiej szatni. Wyszłam z niej, czując się jak dziewczyna na cenzurowanym. Trzymałam się blisko ściany, żeby nikt nie mógł się dobrze przyjrzeć mojemu tyłkowi.

Niepotrzebnie się martwiłam.

Adam ledwie rzucił na mnie okiem.

— Tu są rowery. — Wskazał kierunek. — A ciężary w tej sali. Reszta urządzeń znajduje się tam.

Z tymi słowy zostawił mnie, abym zabrała się do roboty.

„No to pięknie”, pomyślałam z goryczą. „Mogę sobie naciągnąć wszystkie mięśnie, a on ma to gdzieś”.

Czekałam przez chwilę — może wróci i pokaże mi, jak ćwiczyć.

Mówiąc zupełnie szczerze, przychodziły mi do głowy różne cudowne myśli, dość nieprzyzwoite, że Adam pochyla się nade mną, gdy leżę na ławeczce pod sztangą, aby poprawić ciężarki lub coś w tym rodzaju. I że wtedy doznajemy tego samego wrażenia: jesteśmy na tyle blisko, aby się pocałować.

Takie tam romantyczne bzdury.

Adam całkowicie mnie zignorował, więc niechętnie doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę zrealizować powstałe w mojej wyobraźni pomysły i rzeczywiście poćwiczyć.

Zrobiłam rozgrzewkę, porozciągałam się trochę.

I zanim się obejrzałam, moje samopoczucie znacznie się poprawiło.

„W zasadzie nie jestem szczęśliwa”, zapewniałam się. „Poprzez ćwiczenia ludzie sztucznie osiągają stan euforii. To feromony czy coś takiego. Nie, to endorfiny, prawda?”

Dobry Boże, zmieniałam się w Helen.

Rzuciłam ukradkowe spojrzenie na Adama.

(Hm! To było w stylu romantycznej powieści. Ich bohaterowie zawsze „rzucają ukradkowe spojrzenia”).

No dobrze. Niczego nie rzuciłam.

Nie popełniłam żadnego przestępstwa.

Chociaż znałam pewnego chłopaka w pubie, który chętnie wykorzystałby każdą okazję, by się na mnie gapić.

Ale ja patrzyłam na Adama, gdy nie wiedział, że to robię.

Wyciskał i podnosił ogromnie wielkie ciężary.

Wyglądał wspaniale.

Poważny, zawzięty, przystojny mężczyzna. Taki, który serio dba o swoje ciało.

I rozsądny.

Miał na sobie spodnie od dresu i koszulkę, lecz naprawdę robił wrażenie.

Piękne, silne ramiona, świecące od potu.

I naprawdę śliczny tyłeczek.

Przepraszam. Nie powinnam tego mówić.

Ale taki właśnie był.

Po mniej więcej godzinie doszłam do wniosku, że mam już dosyć.

— OK — uśmiechnął się. — Weź prysznic. Spotkamy się później w kafejce.

Gdy się tam zjawiłam, czekał już na mnie. Zmitreżyłam mnóstwo czasu na makijaż.

Miał wilgotne, połyskujące włosy. Na stoliku przed nim stała bateria kartonów z mlekiem.

— Nareszcie — powiedział na mój widok. — No i co? Podobało ci się?

— Bardzo.

— Więc cieszysz się, że przyszłaś? — Patrzył na mnie obojętnie.

— Tak. — Spojrzałam mu w oczy.

— To dobrze — roześmiał się. Zawtórowałam mu śmiechem.

Bogu dzięki! Odczułam wielką ulgę, że już się na mnie nie gniewa.

Wzięłam dla siebie filiżankę kawy i usiadłam obok niego.

Poza nami w kafejce nie było nikogo.

Pomyślałam, że w piątkowy wieczór normalni ludzie mają Ciekawsze zajęcia.

Na przykład pójść do pubu i zapić się.

Nagle znowu zrobiło się miło. Poprzednie napięcie gdzieś Wikło.

Nie myślałam o niczym przykrym czy racjonalnym.

Nie spytałam go, czy Helen jest jego dziewczyną, on zaś odwzajemnił się, nie poruszając tematu Jamesa.

Nie spytałam go o wykłady, a on bardzo elegancko nie wypytywał o moją pracę.

Spytał natomiast, jakie jest moje ulubione zwierzę.

A ja spytałam go, co pamięta z wczesnego dzieciństwa.

Rozmawialiśmy o dyskotekach, o czasach, gdy każde z nas miało piętnaście lat.

I o tym, co chcielibyśmy umieć robić, gdybyśmy mieli możliwość wyboru.

— Ja chciałbym umieć latać — powiedział.

— Więc czemu się nie nauczysz?

— Nie o to chodzi — odparł ze śmiechem. — Chciałbym latać o własnych siłach, nie samolotem. A ty co byś chciała?

— Czasami chciałabym poznać przyszłość. Nie wszystko i nie wiele lat naprzód. Może to, co zdarzy się za parę godzin.

— Fajnie by było. Pomyśl o forsie wygranej na wyścigach konnych. Roześmiałam się.

— Albo chciałabym być niewidzialna. To by dopiero była zabawa. Można się wiele dowiedzieć o ludziach, gdy nie wiedzą, że są obserwowani.

— Masz rację — odparł. Zapadło krótkie milczenie.

— Chciałbym podróżować w czasie — odezwał się w końcu

— O, tak — podekscytowałam się. — Wyobraź sobie wycieczkę w przyszłość. Albo w przeszłość, do ciekawej epoki, na przykład do starożytnego Egiptu. Chociaż z moim szczęściem, wylądowałabym pewnie jako stary, nędzny gladiator.

— Nie jestem pewien, czy w starożytnym Egipcie byli gladiatorzy — powiedział uprzejmie.

Zapewne przywykł do poprawiania Helen.

— W każdym razie jestem pewien, że byłabyś księżniczką. Może nie Kleopatram. Masz zbyt jasny kolor. — Delikatnie dotknął moich włosów. — Ale na pewno księżniczką.

— Na pewno? — wyjąkałam. Dowcipna i miłościwa — oto cała ja.

A moje drugie i trzecie imię to Iskrząca i Cięta.

— Hm, a ty w jaką epokę chciałbyś się udać? — spytałam by przestawić rozmowę na mniej osobiste tory, abym znowu mogła normalnie oddychać.

— No cóż, czasami chciałabym odbyć podróż wstecz w moim życiu. Wrócić do czasu, gdy naprawdę byłam szczęśliwa. Albo zmienić różne

rzeczy. Naprawić to, co zepsułem. Zrobić to, czego nie zrobiłem, mimo że powinienem.

Znowu mnie zaintrygował. Co tak dramatycznego zaszło w jego życiu? Zanim jednak zdążyłam cokolwiek wy badać, zorientowałam się, że jest już dziesięć po siódmej.

— Jezu! — Podskoczyłam struchlała. — Zobacz, która godzina. Myślałam, że jest dopiero koło piątej.

Podniosłam torbę i ruszyłam do wyjścia.

— Muszę lecieć. Dzięki, że mnie tu przyprowadziłeś. Pa.

— Zaczekaj. Odprowadzę cię do samochodu.

— Nie musisz — odparłam. Uciekłam.

Byłam przerażona.

Kiedy zleciał ten czas?

Jak mogłam w taki sposób zaniedbać Kate?

Bóg mnie ukarze. Na pewno coś jej się stało.

Nie mogłam uwierzyć, że czas minął tak szybko.

Jechałam do domu z ogromną szybkością. Ulice nie były już zatłoczone z powodu późnej pory.

Gdy weszłam do domu, mama spojrzała na mnie podejrzliwie, mocno zaciskając usta.

— Teraz się wraca? — spytała wzburzona.

— Przepraszam — wydyszałam. — Straciłam poczucie czasu.

— Nakarmiłam Kate — powiedziała.

(Bogu dzięki! To oznacza, że maleństwo jeszcze żyje!)

— Dziękuję, mamó.

— Pięć razy.

— Dziękuję, mamó.

— I przewinęłam ją.

— Dziękuję, mamó.

— Trzy razy.

— Dziękuję, mamó.

— Mam nadzieję, że doceniasz to.

— Ależ tak, mamó.

— Ona nie jest moim dzieckiem.

— Wiem, mamó.

— Minął już czas, gdy zajmowałam się wychowaniem dzieci.

— Wiem, mamó. Znowu nabrała podejrzeń. Dlaczego byłam taka miła?

Szybko wskoczyłam na nią podniesionym głosem.

— To jest również twoja krew — powiedziałam. Kiepsko to wyszło.

Po prostu nie mogłam się skoncentrować na wywołaniu w sobie złości na mamę. Myślałam: „Ależ ona jest denerwująca”, ale gdy już zaczynałam się na nią wkurzać, moje myśli wędrowały ku Adamowi i nagle czułam się szczęśliwa.

No, może nie szczęśliwa. Radosna.

Straciłam trochę głowę. Nigdy się tak dziwnie nie czułam.

Wielki oddział moich myśli maszerował w kierunku złości, lecz po drodze myśli zakręciły w złą stronę ku Adamowi i — o dziwo — dotarły do zupełnie innego celu, jakim okazało się błogie zadowolenie.

Uwierzcie mi, że nie mogłam położyć kresu powstałej w wyniku tego konsternacji i zakłopotaniu.

Naburmuszone myśli stały w roboczych kaftanach, spoglądając na kierownika w nadziei, że ten rzuci nieco światła na sytuację.

„Moi mili, co my tu robimy?” „Kto prowadzi?” „Zgubiliśmy się!” „Tego nie było w kontrakcie”. „Wytyczyć granice!” i kilka podobnych zażaleń.

Ruszyłam na górę do Kate.

Spała w swoim łóżeczku, nakarmiona i przewinięta. Nie dawała najmniejszego powodu do niepokoju. Mały aniołek.

Sapała z zadowoleniem przez sen, poruszając delikatnie grubiułkami nóżkami.

Doznałam szoku. Zrozumiałam, jak wielkie spotkało mnie ; szczęście.

Ten śliczny, maleńki człowieczek to moje dziecko. Ja ją urodziłam. Była moją córką.

Po raz pierwszy tak naprawdę zdałam sobie sprawę, że moje małżeństwo nie było porażką.

James i ja możemy nie być razem, ale stworzyliśmy tego wspaniałego małego człowieka.

Żywe cudo.

Nie byłam przeklęta.

Nie byłam ogłupiała.

Byłam naprawdę wielką szczęściarą.

Rozdział 15

Piątkowy wieczór spędziłam razem z mamą przed telewizorem. W ciągu ostatnich dwóch dni wystarczająco dużo oddawałam się przyjemnościom. Poza tym byłam kompletnie wykończona. Opieka nad małym dzieckiem to męczące zajęcie. Chociaż już słyszę, jak pytacie: „A skąd ty możesz o tym wiedzieć?”

No dobrze, przyznaję, że rodzice bardzo mi pomagali, ale mimo wszystko czułam się półżywa.

Nie miałam pojęcia, jak sobie poradzę, gdy wrócę do pracy.

Jak ludzie to robią?

Czułam się bardzo niezaradna.

Zwłaszcza gdy myślałam o kobietach w... w Chinach? Wiecie, one gołymi rękami pracują w polu, potem mówią: „Przepraszam na chwilkę”, jakby chciały pójść do toalety na wytworknym przyjęciu, a tymczasem podnoszą sukienkę i wyskakuje z nich nowe dziecko — prosto na zaoraną ziemię albo do worka z nasionami.

„O tak, teraz czuję się znacznie lepiej” — to ich słowa.

I wracają do pracy — do uprawiania roli, wykorzenia wielkich dębów jedną ręką. A wszystko to z noworodkiem przy piersi.

A przed nastaniem nocy zachodzą w następną ciążę.

Nowo narodzone maleństwo otrzymuje mundurek i jest kierowane do pracy jako kierowca traktora.

Kiedy oglądałam z mamą telewizję, moje myśli krążyły wokół Adama. I za każdym razem czułam, jak przenika mnie dziwny dreszcz, zupełnie jakbym była dorastającą nastolatką.

Spędziłam w jego towarzystwie bardzo przyjemne chwile.

Był taki miły.

Taki świeży, wesoły, interesujący i okazujący zainteresowanie.

Nie miał w sobie krzty cynizmu, dlatego tak bardzo go polubiłam. Tak mi się wydawało.

Przypomniał mi, co oznacza myśleć pozytywnie.

Tym bardziej przyjemny był nieskrywany podziw, jaki mi okazywał ten piękny mężczyzna.

Bo nie ma nic gorszego niż nieskrywany podziw ze strony brzydala.

W takiej sytuacji wołałabym, aby w ogóle nikt mnie nie podziwiał.

Pomińmy jednak fakt, że Adam był piękny. Nie dlatego lubiłam z nim przebywać. Gdybym nie kochała Jamesa, być może Adam wpadłby mi w oko.

Nie chcę przez to powiedzieć, że mi się nie podobał.

Był niezwykle atrakcyjnym mężczyzną.

A ja przecież mam oczy.

Jestem tylko człowiekiem, to chyba zrozumiałe.

Mówiąc hipotetycznie, możliwe jest kochać jednego mężczyznę — w moim wypadku Jamesa, a podkochiwać się w innym — w moim wypadku w Adamie.

Przecież takie zauroczenie nie przynosi żadnej szkody.

Nie chciałam przez to powiedzieć, że jestem zmienna w uczuciach.

Było mi z tym dobrze.

Bo nie musiałam pracować nad tą fascynacją.

A gdybym nawet — uchowaj Boże — pomogła fascynacji rozwinąć skrzydła, to jeszcze nie byłby koniec świata, prawda?

Chyba że dowiedziałyby się o tym Helen. Wtedy koniec świata okazałby się całkiem możliwy.

Ale to wszystko przy założeniu, że wpadłam Adamowi w oko.

Byłam tego pewna.

Czy to przejaw zarozumiałości?

Może stosował tę samą sztuczkę wobec wszystkich kobiet?

Wiecie, sprawiał wrażenie szczerego, bezbronnego, pełnego zachwytu, więc kobiety uznawały go za najmiłszego faceta, jakiego kiedykolwiek poznały, zupełnie innego od pozostałych.

I zanim się spostrzegły, łądowały w łóżku Adama, a ich majtki — w jednym z czterech narożników jego pokoju. Rano zaś zostawiał je w spokoju ze słowami: „Gdy mówiłem, że rano nadal będę cię szanował, kłamałem”.

Potem dzwonił do nich po trzech dniach, żeby powiedzieć: „Aha, słuchaj, ten kondom pękł. Mówiłaś, że właśnie przechodzisz owulację, tak?”

„Tak”, pomyślałam ze złością. „To wstrętny drań, który wykorzystuje biedne kobiety, takie jak ja. No dobrze, nie byłam biedna, ale za to bezbronna i narażona na wszelkie niebezpieczeństwa.

Jak on śmie! Sprawia, że czuję się piękna i wyjątkowa. Bezczelny podlec!

Jeśli uważa, że pójdę z nim do łóżka, to niech się lepiej przygotuje na złą wiadomość.

Adam, kochanie, rozmyślałam się.

Dopiero po chwili rozumiałam, że w myślach odbyłam z Adamem cały romans — od fascynacji do momentu, aż mnie porzucił, a ja rozzłościłam się na niego.

„O rany”, pomyślałam. „Czyżby chwilowa niepoczytalność znowu do mnie wróciła?”

— Co ci jest? — spytała mama, odrywając wzrok od inspektora Morse'a. — Wydajesz się rozgniewana.

— Nic, mamó.—Zatoczyłam lekko głowę.—Po prostu myśle.

— Byle nie za dużo. Tym razem miała rację.

Lecz zanim zdążyła rozpocząć pogadankę na temat zagrożeń, jakie niesie uniwersyteckie wykształcenie, oraz niebezpieczeństw otwarcia się na świat, zadzwonił telefon.

— Ja odbiorę — rzuciłam szybko i wybiegłam z pokoju, przerywając jej w połowie zdania.

— Jaki jest pożytek z intelektualisty? — wołała za mną. — Jestem pewna, że James Joyce nie potrafił zmienić wtyczki.

— Halo — powiedziałam do słuchawki.

— Helen? — spytał męski głos.

— Helen nie ma w domu. Zaginęła. Pewnie upiła się gdzieś. Mężczyzna zaśmiał się.

— Adam? — spytałam lekko drżącym głosem. Szok doznany na dźwięk jego głosu wytrącił mnie z równowagi.

Nie mogłam uwierzyć, że spędził popołudnie ze mną, a teraz dzwonił tu do Helen, do mojej siostry!

Cóż to za potwór, który bawił się nami i nastawiał nas przeciwko sobie?

Już wiedziałam.

To naprawdę był podły drań, tak jak wszyscy inni.

— Claire — powiedział. — Tak, to ja.

„Czego chcesz?“, pomyślałam zimno. „Oczekujesz medalu za to, że istniejesz?“

— Tak? — rzekłam lodowatym głosem. — Powtórzę Helen, że dzwoniłeś.

— Zaczekaj. Zadzwoniłem, żeby porozmawiać z tobą.

— Zabawne. — W mojej intonacji dominowała pogarda. — Boja mam na imię Claire, a nie Helen.

— Wiem o tym — mówił rzeczowym tonem. — Ale myślałem, że będzie trochę nie na miejscu, jeśli zadzwonię do ciebie, odbierze Helen, a ja jej nie rozpoznam.

Milczałam.

— To znaczy — podjął łagodnie — Helen także jest moją przyjaciółką. Gdyby nie ona, nigdy nie poznałbym ciebie.

Nadal nic nie mówiłam.

— Gniewasz się? Czy zrobiłem coś źle? Teraz poczułam się głupio. Ależ ze mnie histeryczka.

— Nie — odparłam znacznie słodszy głosem. — Oczywiście, że się nie gniewam.

— To dobrze. Jeśli taka jest prawda.

— Jest.

— Chyba nie masz mi za złe, że dzwonię, ale uciekłaś tak nagle, że nie miałem możliwości spytać cię, czy... może... to znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu... czy spotkamy się jeszcze. Oczywiście, o ile znajdziesz czas.

Ogromnie mi ulżyło. Poczulałam, jak spływa na mnie fala wielkiego szczęścia.

Podobno szczęście rodzi się co minutę.

— Tak — powiedziałam, oddychając z trudem. — Bardzo chętnie.

— Bardzo miło spędziłem z tobą czas. Rozpierała mnie duma i radość.

— Ja także.

— Co robisz jutro? Zastanowiłam się.

Rany, ten chłopak naprawdę kuł żelazo póki gorące.

— Jadę do miasta, żeby kupić parę ciuchów. Przed sekundą to wymyśliłam.

— Więc możemy spotkać się na małą kawę, jeśli chcesz — powiedziałam. — Ale będę musiała zabrać ze sobą Kate.

— To świetnie. — Rzeczywiście wydawał się uradowany. — Kate jest śliczna. Koniecznie ją zabierz.

— A więc dobrze. — Jego entuzjazm trochę mnie ostudził. „Chociaż z drugiej strony — pomyślałam chytrze — jeśli tak bardzo lubi Kate, może uda mi się wlepić mu opiekę nad dzieckiem, gdy znowu zechcę się spotkać z Laurą na drinka”.

Muszę jednak przyznać, że najmiłszą rzeczą tamtego wieczoru, gdy popijałyśmy wino z Laurą w pubie, było spotkanie Adama.

Umówiliśmy się więc nazajutrz w mieście. Wróciłam do mamy.

— Kto dzwonił? — spytała, zerkając na moją uszczęśliwioną, czerwona twarz.

Otworzyłam usta, żeby jej powiedzieć, ale muszę wam coś wyznać — w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Nie mogłam.

Sama nie wiedziałam dlaczego. A może wiedziałam.

Może dlatego, że przestało to być takie niewinne. Może nigdy takie nie było.

LR

Rozdział 16

Następny dzień uzmysłowił mi na dobre — chociaż i tak? zdawałam sobie z tego sprawę — jak bardzo zmieniło się moje; życie od urodzenia Kate.

Zwłaszcza jedna z najważniejszych dziedzin mojego życia. ,

Oczywiście, mam na myśli dziedzinę robienia zakupów.

Moje dawne sklepowe życie ulotniło się niczym poranna rosa w południowym słońcu, znikło na zawsze.

Koniec ze starym obyczajem, który polegał na tym, że wbiegałam jak burza do sklepu z ciuchami, wybierałam sobie ze trzydzieści strojów, a potem spędzałam sześć cudownych godzin w przymierzalni, podziwiając się w lustrze.

O tak, miły panie.

Zdziwiłbyś się, jaką różnicę stanowi dziecko przypięte szelkami do twojego brzucha.

Bardzo utrudnia poruszanie się.

Nie wspomnę o lęku, że ktoś wpadnie na Kate i zrobi jej krzywdę.

Albo — co gorsza — zbudzi ją.

Tamtego dnia w supermarkecie nie było najgorzej, bo szerokimi alejkami chodziły głównie inne spokojne matki. Byłam pewna, że nie będą się przepychać i nie zgniotą Kate.

Ale teraz było sobotnie popołudnie w butikach z ciuchami!

Dziewczyny robiące w tym dniu zakupy okazały się bez cienia wątpliwości najemniczkami, które dostały wolne popołudnie, a na co dzień brały udział w okaleczaniu ludzi gdzieś w byłej Jugosławii.

Mówię wam, to zdeprawowane kobiety.

Zupełnie obłąkane.

Nie potrafiłam się odprężyć i normalnie poszperać w rzeczach.

Bałam się, że Kate lada chwila otrzyma uderzenie w głowę, szturchańca w swoje miękkie żebra od jakiegoś diablity, która za wszelką cenę musiała sięgnąć po jakąś sukienkę.

Sama nie wiedziałam, czego szukam, gdyż kompletnie zatraciłam poczucie własnej tożsamości.

Stałam ogłupiała u wejścia do jednego ze sklepów, wykonując co chwilę uniki przed falą klientów. Zachodziłam w głowę, czy lepiej czuję się w dżinsach i bluzie, czy też w spódnicy do kostek i przykrótkim swetrze.

„Kim teraz jestem?“, zastanawiałam się.

Minęło dużo czasu od chwili, gdy ostatni raz kupowałam sobie ubrania.

Jeśli nie liczyć drelichowych kombinezonów.

Albo rzeczy z elastyczną gumką w pasie. Lub kilometrów materiału.

Dopiero od tygodnia nosiłam normalne majtki. Coś wam wyjaśnię.

Może nie wiecie, ale w momencie urodzenia dziecka nie wraca się od razu do normalnego życia, a przede wszystkim do normalnych ubrań.

Nic bardziej fałszywego!

Mija sporo czasu, zanim niektóre procesy w organizmie ulegną zastopowaniu. Nie chcę, by to zabrzmiało ohydnie i krwawo, ale myślę, że mogłabym konkurować z Lady Makbet.

I nie mów mi, paniusiu, że wszędzie pełno krwi!

Z tego powodu musiałam nosić te śmieszne, foliowe gacie.

Były okropne i wielkie.

Sięgały mi po pachy.

Jednak z radością mogę ogłosić, że wróciłam do normalnych majtek. Powtórzę: wróciłam do normalnych majtek. A reszta moich ubrań? Już nie byłam w ciąży. Byłam po prostu kobietą. Co więc miałam nosić? Nie umiałam się określić.

Nieprędko zacznę znowu pracować, więc nie potrzebowałam rzeczy do biura.

Nawet w ten sposób nie mogłam określić swego stylu.

Po prostu musiałam coś sobie kupić. Kimkolwiek byłam.

Zdjęłam z drążka parę sukienek i przedarłam się przez tłum do przymierzalni, cały czas zgięta w pół, aby chronić Kate. W przymierzalni oczekiwała mnie kolejna przykra niespodzianka.

Gdzie mam położyć Kate?

To nie sportowa torba, którą można rzucić na podłogę i nie martwić się, że ktoś ją nadepnie.

Szybko zawróciłam i ruszyłam z powrotem przez tłum, opuściwszy głowę. Wyglądałam jak szarżujący byk.

Kupiłam sporo rzeczy, chociaż żadnej z nich nie przymierzyłam. Po prostu musiałam coś kupić.

Musiałam dbać o reputację.

W przeszłości moje imię stanowiło legendę wśród Kobiet Które Kupują.

Kiedyś nie było czegoś takiego, jak wybór między czarną i zieloną parą. Jak stanie i zastanawianie się — z palcem przytkniętym do policzka, ze zmarszczonym czołem jak u niezdecydowanej dziewczynki.

Nie, proszę pana, wtedy kupowałam obydwie pary.

Abstrahując jednak od dbałości o reputację, nie miałam co na siebie włożyć. A musiałam zrobić wrażenie na mężczyźnie.

Zapłaciłam za wszystko kartą.

Powinnam raczej powiedzieć: James zapłacił.

Byłam zdumiona, że gdy ekspedientka podała mi torby z zakupami, nie rozległy się dzwonki systemu alarmowego, a przed sklepem nie zatrzymały się z piskiem opon policyjne radiowozy, z których wybiegli funkcjonariusze z psami, gotowi mnie pochwycić.

Albowiem miałam pewność, że o niebo przekroczyłam limit na koncie.

Po tych niezbyt przekonujących, aczkolwiek owocnych zakupach, wyruszyłam na spotkanie z Adamem, który był przecież głównym powodem mojego przyjazdu do miasta.

Mówiąc szczerze, zakupy stanowiły jedynie pretekst. Sprytny wybieg.

Brnęłam przez uliczny tłum, osłaniając rękami Kate. Mijały mnie kolejne fale klientów.

„Spróbujcie ją tylko dotknąć. Pozabijam”, myślałam wściekle, rzucając nienawistne spojrzenia przechodniom.

Którzy — w swojej niewinności — patrzyli na mnie z obawą.

Prócz lęku o Kate, poczułam drażące mnie od środka jeszcze jedno, dziwne uczucie.

Niestrawność?

Ze zdumieniem stwierdziłam, że to podekscytowanie.

Podekscytowanie w postaci motylków, które rozpoczęły w moim żołądku szaleńczy taniec. Z pewnością odsunęły na bok krzesła i stoły, po czym ruszyły w tango. W objęciach podrygiwały na wszystkie strony, wymachiwały nóżkami wysoko w powietrze, krzyczały i co chwila zmieniały partnerów, bawiąc się na całego.

„O Matko”. W końcu zrozumiałam. „Więc o tym już powszechnie wiadomo”. Pragnę Adama.

Powinam raczej powiedzieć: PRAGNĘ ADAMA!!!!

Czy powinny się rozleć dźwięki niebiańskich fanfar? Czy nagle cały świat powinien mi się jawić w różowych kolorach? Czy powinam przejść, a raczej przebiec resztę drogi na spotkanie z nim w zwolnionym tempie? A potem rzucić mu się w ramiona, kręcić się dookoła i uśmiechać się razem z nim jak para radosnych przygłupów?

Nie, to do mnie niepodobne. Ja musiałam natychmiast wyzwolić w sobie obawy. Resztę drogi na spotkanie przebyłam, powłócząc nogami i myśląc intensywnie.

Dlaczego musiałam mieć na niego ochotę?

Co ze mnie za człowiek?

Kochałam Jamesa, a od naszego rozstania minęło tylko sześć, prawie siedem tygodni, więc czy nie powinam być mu nadal wierna?

Czułam się jak zdrajczyni.

Tylko dlaczego, do cholery?!

James uprzyjemniał sobie życie, więc dlaczego ja nie miałabym tego robić?

Ale to nie takie proste.

Seks bez więzi emocjonalnej nigdy nie był moją specjalnością.

A zresztą kto tu w ogóle mówił o seksie? O Boże!

Byłam zupełnie rozkojarzona.

Nie mogłam zrozumieć własnych odczuć.

W głowie miałam jeden wielki mętlik.

Naprawdę pragnęłam Adama, lecz towarzyszyło temu wielkie poczucie winy — jakże nisko upadłam, skoro przecież powinnam nadal kochać Jamesa.

Ale czy ja go kochałam?

Bałam się o tym myśleć. To zbyt ogromny temat do rozważań.

Potem ogarnęła mnie złość na Jamesa. Dlaczego nie miałabym po-flirtować z Adamem i zaznać trochę przyjemności?

Jednak po chwili sumienie znowu dało o sobie znać, gdyż Adam był miłym człowiekiem i zasługiwał na lepszy los niż traktowanie go jak balsamu na zranioną duszę.

Albo poprawiającą humor wizytę u fryzjera.

Czy też depilację nóg.

Znowu się rozżościłam, bo wcale nie myślałam o Adamie w ten sposób. Rozmowa z nim, przebywanie w jego towarzystwie wywoływały we mnie prawdziwy dreszcz emocji. Chociaż znałam go dopiero kilka dni.

To doprowadziło mnie do pierwotnej kwestii — jak mogłam pragnąć kogoś, kogo poznałam zaledwie przed paru dniami, podczas gdy nadal kochałam Jamesa?

„Kurwa mać!”, pomyślałam wściekła.

Musiałam wyrzucić z głowy wszystkie podobne wątpliwości. Teraz i tak sobie z nimi nie poradzę. Właśnie miałam spotkać się z mężczyzną, którego pragnęłam, więc ogarnęły mnie zupełnie inne obawy.

Na przykład to, czy ładnie wyglądam.

Albo czy on mnie pragnie.

I jak miałam go zaciągnąć do łóżka.

Naprawdę ważne sprawy.

Zebrałam siły, szykując się do spotkania.

Po chwili ujrzałam go, jak stał w umówionym miejscu, przed wejściem do kawiarni.

Poczułam lekki skurcz z żołądku.

Wyglądał bosko.

— Cześć. — Obdarzył mnie szerokim uśmiechem. — Spóźniłaś się tylko kwadrans. Widzę, że zaczynasz osiągać mistrzostwo w tej dziedzinie.

— Przymknij się — odpowiedziałam z uśmiechem. — Wybacz.

Cudownie było znowu go widzieć.

— Witaj, aniołku. — Zajrzał do zawiniętej w becik Kate. Chociaż wolę myśleć, że był to jedynie pretekst, by zerknąć na moje cycki.

Kate nie odezwała się.

Weszliśmy do środka, torując sobie drogę pośród gęstwiny ludzi.

Było sobotnie popołudnie, wszędzie panował nieopisany ruch.

Jakby wszystkich ogarnął jakiś amok.

Syndrom robienia zakupów czy coś w tym rodzaju.

Na pewno jest na to jakiś medyczny termin.

Według mnie to zjawisko musi mieć związek z mistralem, który często schodzi na wioski i miasteczka w... chyba we Włoszech. Wtedy wszyscy mężczyźni tłuką swoje żony, psy wyją, kury przestają znosić jajka, kobiety płaczą, krzyczą (słusznie, w końcu dostaje im się od mężów) i nie chcą wykonywać żadnych domowych zajęć.

Jakby całą ludność dopadło napięcie przedmiesiączkowe, a wszystkie zbiory uległy znacznemu opóźnieniu.

Lecz amok związany z mistralem był dziecinną zabawą w porównaniu z szaleństwem panującym owego sobotniego popołudnia.

Kiedyś czytałam, że robienie zakupów ma ogromny wpływ na poziom adrenaliny w organizmie.

Podnosi również ciśnienie krwi, powoduje hiperwentylację, wychodzenie oczu z orbit, a także różne inne skutki.

Całe to podniecenie było dla mnie absolutnie zrozumiałe.

Podobno kolejnym efektem jest wzrost poziomu cukru we krwi.

I dlatego wszyscy chcą się napić mocnej, słodkiej herbaty albo kawy oraz mają ochotę na coś słodkiego po, a nawet w trakcie orgii zakupów.

To chyba równie silna potrzeba jak papieroski po stosunku.

W wyniku intensywnego kupowania Dublin był pełen maniaków o czerwonych twarzach (to z powodu wysokiego ciśnienia krwi), wyłupiających oczach, którzy w dodatku doznali hiperwentylacji. Nosili setki toreb, portfele pełne zadowolonych z dobrze wykonanej pracy kart kredytowych.

Więc jeśli chcecie się napić kawy, jak to było naszym zamiarem, nie czekajcie z zapartym tchem na wolny stolik.

Staliśmy na środku zatłoczonej kawiarni, podczas gdy żałosne dziewczynki z wybałuszonymi oczami przepychały się obok, niosąc tace z kawą i pączkami. Na pewno przebywały tam już od tygodni, lecz nadal nie potrafiły znaleźć sobie miejsca.

Adam — jak to on — znalazł jedyny stolik, jaki zwolnił się w ciągu ostatnich trzech tygodni. To była jedna z zalet przebywania w towarzystwie wysokiego mężczyzny.

Dopiero gdy upewnił się, że obie z Kate zajęłyśmy wygodne miejsca, poszedł po kawę.

Prawdziwy bohater!

W okamgnieniu wrócił, niosąc tacę pełną różnych ciastek. — Nie wiedziałem, co lubisz — wyjaśnił. — Wziąłem więc po jednym z każdego rodzaju.

— Adam, nie powinieneś. Przecież jesteś biednym studentem. Byłam tak wzruszona, że niemal zapłakałam.

Pewnie wydał całe swoje letnie stypendium na moje ciastka.

— Poza tym i tak wszystkich nie zjem — skłamałam.

— Nie martw się. — Wyglądał cudownie, gdy się uśmiechnął. — Jeśli coś zostawisz, ja to zjem.

Usiadł i skierował całą swoją uwagę na mnie.

— Co u ciebie? — spytał. Udało mu się nadać tej wypowiedzi ton szczerzego zainteresowania.

— W porządku. — Uśmiechnęłam się wstydliwie. Było mi głupio, czułam się jak prostytutka.

Co się dzieje?

Gdy zdajesz sobie sprawę, że kogoś pragniesz, zmieniasz się w totalnego półgłówka. Przynajmniej ja tak robię.

— Czy mogę potrzymać Kate, żeby było ci łatwiej? — spytał.

— Jeśli chcesz. — Wyjęłam ją z szelek i podałam prosto w jego delikatne ramiona.

Szcześciara!

„Szkoda, że jeszcze nie umie mówić”, pomyślałam z żalem. W przeciwnym razie wyciągnęłabym od niej pełną relację o tym, jakie to uczucie, gdy Adam trzyma cię w ramionach.

Siedzieliśmy, rozmawiając na błahe tematy, podczas gdy wokół nas przelewały się niespokojne fale ludzi o zmiennym poziomie cukru we krwi. Adam, Kate i ja byliśmy w oazie spokoju pośród chaosu panującego w Dublinie.

Jakbyśmy we trójkę przebywali w naszym własnym świecie.

Nie rozmawialiśmy dużo. Siedzieliśmy, odpoczywając w milczeniu, popijając kawę, zjadając ciastka. Wokół nas leżały torby z moimi zakupami.

Adam zajął się bawieniem Kate, podziwiał ją, oglądał jej maleńkie paluszki, dotykał ślicznej twarzyczki.

Spoglądał na nią z takim uniesieniem, niemal z modlitwą na twarzy, że zaczęłam się trochę niepokoić.

„Do diabła z Laurą”, pomyślałam. „Może to Adam molestuje małe dzieci!”

— Jak sądzisz — zaczął mówić do mnie z namysłem, chociaż nie spuszczał wzroku z Kate — czy gdyby ludzie nie znali prawdy, pomyśleliby, że jestem ojcem Kate? No wiesz, że stanowimy typową rodzinę, która wybrała się na sobotnie zakupy.

Podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się.

Chociaż wcześniej dokładnie to samo przyszło mi do głowy, słysząc jego słowa, poczułam się trochę, no nie wiem, dziwnie, tak, dziwnie i smutno.

Poczułam, że jestem nielojalna.

Było mi przyjemnie, że Adam tak bardzo polubił Kate.

Jednak nie był jej ojcem.

Ojcem Kate był James.

Ale nie było go z nami.

Wszystko to takie dziwne, śmieszne, pomieszane i smutne zarazem.

Dlaczego Adam nie mógł być jej ojcem?

Albo dlaczego rodzony ojciec nie potrafił się nią zainteresować?

— Chciałbyś mieć dzieci? — spytałam Adama. — To znaczy nie teraz, ale w ogóle kiedyś?

Znieruchomiał i przez chwilę siedział bardzo spokojnie. Potem odwrócił się i spojrzał na mnie.

Miał bardzo dziwną minę.

Smutną. Wydawał się niemal zagubiony.

Jednak zanim zdążył mi odpowiedzieć, naszą rozmowę przerwały jakieś dziewczęce głosy.

— Hej, zobaczcie, to Adam.

— Fajnie, gdzie jest?

— Adam, jak się masz?

— Adam, gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

Trzy młode piękności, zapewne koleżanki ze studiów, zebrały się wokół naszego stolika.

Tak jak zwykle obstały Adama. Były śliczne niczym egzotyczne ptaki.

Kolorowe i hałaśliwe.

Przez moment zachwyciły się Kate, ale potem zupełnie straciły nią zainteresowanie, gdy okazało się, że nie jest córką Adama. Chociaż dlaczego miałyby nią być? Adam dokonał prezentacji.

— To jest Kate — powiedział, unosząc jej małą różową rączkę i machając nią do dziewcząt.

Wyglądało to tak cudownie — moja córeczka i ten piękny mężczyzna — że serce mi niemal pękło.

Dlaczego nie ma tu Jamesa, żeby tak zrobił? Nawet gdy czuję się szczęśliwa, smutek jest tuż, tuż.

— A to jest Claire — mówił dalej Adam.

— Cześć. — Uśmiechnęłam się sztucznie do dziewcząt o młodej, półprzezroczystej skórze, ubranych w krzykliwe ciuchy. Staralam się nie czuć jak stara krowa.

— A to są...

Wymienił trzy imiona, być może Alethia, Koo i Freddie albo Alexia, Sooz i Charlie.

A może nawet były to Atlanta, Jools i Micki.

Dziwne imiona. Ale fajne.

I — mogę przysiąc — zmyślone.

Imiona, w których zamiast „c” występuje „k”, a tam, gdzie powinno być „s”, stoi „z”.

Imiona, które z pewnością nie widnieją na ich metrykach urodzenia.

Wiedziałam, że naprawdę ich imiona to coś takiego, jak Mai-read, Dymphna i Mary. Wiecie, zwykłe, ładne imiona. Dobre imiona.

Lecz — nie obrażając Mairead, Dymphny i Mary — trochę pozbawione blasku i splendoru.

Te piękne dziewczyny, które obstały Adama, wyraźnie potrzebowały krzykliwych imion, aby pasowały do ich krzykliwego wyglądu.

Wszystkie trzy były do siebie bardzo podobne.

Miały krótkie włosy.

Bardzo krótkie.

Sooz / Koo / Jools była niemal zupełnie łysa.

Atlanta / Alexia / Alethia wyglądała na bardzo niebrzydkie kaczątko z kępą puszystych blond włosów.

Po prawdzie, przypominała trochę Kate.

„Co oznacza, że Adam — przypuszczalnie pedofil — na pewno za nią szaleje”, pomyślałam z goryczą.

Doznałam uczucia lekkiej zazdrości.

Cała czwórka zaczęła rozmawiać o jakiejś imprezie, która odbyła się poprzedniego wieczoru.

Bardzo chciałam, żeby sobie poszły, żeby Adam znowu był tylko dla mnie i dla Kate.

Próbowałam udawać dorosłą wobec tych trzech ślicznych kobiet, zwracających na siebie uwagę Adama.

Bolała mnie twarz od robienia zadowolonej miny. Oni gadali, śmiali się swobodnie, a ja sprawiałam wrażenie, jakby mi nie przeszkadzało, że siedzę i jestem ignorowana.

Wyglądało na to, że trzy koleżanki Adama nastawiały się na dłuższą z nim rozmowę.

Serce we mnie zamarło, gdy przysunęły sobie krzesła i przysiadły się do naszego małego stolika, a każda niemal siedziała mu na kolanie.

Nie kupiły nawet jednej filiżanki herbaty.

Staralam się nie wydawać sądów na ich temat.

Wiem, co oznacza być ubogą studentką.

Muszą oszczędzać swoje fundusze na piwo i narkotyki.

Rozumiałam to.

Lecz kiedy Freddie / Charlie / Micki zabrała się do jednego z ciastek — moich ciastek — byłam bliska płaczu.

Chciałam tupnąć nogą i zawołać histerycznie jak rozpaskudzone dziecko: „To moje ciastko. Adam mi je kupił!”

Przełknęłam z trudem.

Poczułam się bardzo nieswojo.

Głupio było myśleć, że ktoś taki jak ja mógł zająć choćby najmniejsze miejsce w życiu kogoś takiego jak Adam.

Był młody, przystojny, szczęśliwy, żył na fuli.

A ja czułam się staro i głupio, byłam zmęczona.

Gdy Adam rozmawiał ożywiony z dziewczętami, wstałam i nałożyłam szelki do noszenia Kate.

Potem bezceremonialnie odebrałam ją Adamowi (Oddawaj moje dziecko!), przerywając zajmującą konwersację na temat niejakiej Olivii

Burkę, która wczoraj na imprezie zrobiła Malcolmowi Travisowi laskę na oczach wszystkich.

Mimo uzalania się nad sobą i ogólnej depresji, z przyjemnością stwierdziłam, że Adam w najmniejszym stopniu nie starał się oceniać zachowania Olivii Burkę. Skrytykował tylko Malcolma, który miał stałą dziewczynę imieniem Alison. A Olivia nic o niej nie wiedziała.

— Co za typ — rzekł Adam. — Zachowując się w ten sposób, okazuje brak szacunku dwóm kobietom jednocześnie.

Racja, bratku!

Kate zaczęła płakać, gdy zabrałam ją z ramion Adama. Wcale nie ganiłam jej za to.

Adam odwrócił się do mnie zdziwiony.

— Chyba jeszcze nie idziesz? — spytał.

— Idę — odparłam w miarę obojętnie. — Kate jest zmęczona, poza tym niedługo muszę ją przewinąć.

Spojrzałam na śliczne dziewczyny.

— Cześć. Miło było was poznać.

„Przynajmniej nikt nie posądzi mnie o brak kultury”, pomyślałam z satysfakcją.

— Cześć — odpowiedziały chórem. — Pa, pa, Kate. Zrobiło mi się głupio.

Miłe dziewczyny. To ze mną było coś nie tak. Zazdrośnica.

Dziecinna, nadwrażliwa i zepsuta.

Obarczona dzieckiem, torbami i poczuciem krzywdy, starając się zachować godność i spokój, ruszyłam przez zwarty tłum.

Czułam na sobie wzrok Adama, lecz nie spojrzałam mu w oczy. Zatrzymał mnie, zanim zdążyłam zrobić dwa kroki. Mówiąc zupełnie szczerze, co nie zawsze przychodzi mi łatwo, bardzo chciałam, aby to właśnie zrobił.

— Claire — powiedział zdumionym tonem. — Dokąd idziesz?

— Do domu — bąknęłam.

Miałam nadzieję, że nie spostrzegł, jak zżera mnie zazdrość.

— Słuchaj, przepraszam cię. — Zajrzał mi w oczy. — Czy one grały ci na nerwach?

— Skądże. Przecież były miłe.

— Nie musisz udawać. — Patrzył na mnie z troską. — Wiem, że takiej kobiecie jak ty musiały wydać się głupimi siksami.

— Nie, Adam, naprawdę były miłe — powtórzyłam. Czułam się fatalnie.

Towarzystwo Alexandrii, Zoo i Geni, czy jak tam się nazywały, nie przypadło mi do gustu dlatego, że byłam o nie zazdrosna. Nie dlatego, że byłam bardzo dojrzała i odnosiłam się do młodszych z lekceważeniem.

Adam zaś przypisywał mi różne szczytne motywy.

Uważał mnie za osobę inteligentną, podczas gdy w rzeczywistości byłam zepsutym bachorem, oczekującym zainteresowania jak małe dziecko.

— To są naprawdę fajne dziewczyny — powiedział. — Chciałem być tylko z tobą i Kate, ale nie wiedziałem, jak w kulturalny sposób wymówić się od ich towarzystwa — wyjaśnił.

— Nie ma sprawy. Posłuchaj, muszę iść — rzekłam, gdy następna osoba z tacą wpadła na mnie, utyskując, że stoję na środku przejścia.

— Na pewno wszystko w porządku? — Stanął bardzo blisko mnie.

— Tak.

— Naprawdę? — Przysunął twarz bliżej mojej.

— Naprawdę — przyrzekłam. Jednak nie ruszyłam się z miejsca. Chciałam tam zostać, tuż przy nim.

Tylko przez chwilę.

Chciałam, żeby mnie pocałował.

Jednak miałam niewielkie szanse, by moje pragnienie się spełniło, bo wokół nas kłębiły się tysiące ludzi. Nie wspomnę o fakcie, że Kate pewnie udusiłaby się z braku powietrza, gdyby Adam wziął mnie w ramiona.

— Odprowadzić cię do samochodu? — spytał.

— Nie ma potrzeby.

— Zobaczymy się wkrótce — powiedział łagodnie.

— Tak. — Posłałam mu lekki uśmiech. Miły.

Prawdziwy.

A on położył dłonie na moich ramionach, przyciągnął mnie do siebie (z największą uwagą, by Kate nie zaznała najmniejszego dyskomfortu) i złożył najdelikatniejszy w świecie pocałunek na moim czole.

Zamknęłam oczy i poddałam się nastrojowi chwili.

Przestałam oddychać, bo nie mogłam uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Jego usta były ciepłe i jędrne.

Pachniał mydłem i ciepłą, gładką skórą.

Poprzez ogólny gwar usłyszałam czyjś głos:

— Zobacz, to znowu oni.

— Jacy oni? — spytał ktoś inny.

— Ci dwoje, co wczoraj kłócili się przed sklepem Switzera. Głosy należały do dziewcząt, które z upodobaniem przysłuchiwały się naszej wczorajszej rozmowie.

Boże, czy to naprawdę było wczoraj? Dziewczęta głośno kontynuowały dyskusję.

— Tak, to oni. Chyba się już pogodzili.

— Cholera!

Otworzyłam oczy i spojrzałam na Adama. Zaczęliśmy się śmiać.

— Brakuje jeszcze tylko tego obdartusa z guinnessem — powiedział.

— W takim razie naprawdę już lecę. Wychodząc, minęłam rozmawiające dziewczęta.

— Jestem pewna, że wczoraj nie miała dziecka — odezwała się jedna z nich.

— Myślisz, że to jego? — spytała druga. Nie zatrzymałam się.

Czułam mrowienie na czole do chwili, aż znalazłam się niemal pod domem. Tak, tak, wiem.

Pocałunek w czoło raczej nie kwalifikuje się jako wyuzdany seks.

Nie mogłabym wymienić tytułu choćby jednego szwedzkiego filmu, którego tematem był pocałunek w czoło.

Jednak było w nim tyle tęsknoty, delikatności, tyle swoistego erotyzmu, że był o wiele lepszy niż wyuzdany seks.

No, może równie dobry.

Rozdział 17

Laura odwiedziła mnie w niedzielę po południu. Siedziałyśmy rozwalone, popijając herbatę, zajadając delikatesowe ciasteczka (te dla Michaela) i bawiąc się z Kate.

Te zabawy polegały głównie na karmieniu, przewijaniu i wywoływaniu gazów.

Laura miała na sobie brudną, poplamioną farbą koszulkę, która zapewne należała do jej nastoletniego kochanka.

Wyglądała młodo, wydawała się bardzo zadowolona, tryskała humorem.

Miała powody.

Poprzedniej nocy kochała się cztery razy. Próbowала mnie zabawiać opowieścią o tych namiętnych chwilach, jednak co pewien czas przerywało nam wejście kóregoś z moich rodziców.

— Masz jakieś wieści od Jamesa? — spytała. Dała już spokój nieprzyzwoitym historyjkom, gdy ojciec po raz chyba dwudziesty wyszedł z pokoju.

Wszedł, kiwnął Laurze głową, po czym zaczął podnosić z kanapy poduszki i przesuwać fotele, mrużąc przy tym, że nie zdążył przeczytać „The Independent” i że zabije Helen, jeśli to ona zabrała mu gazetę.

Głędził, jak to zawsze płaci za prasę, więc dlaczego potem właśnie on nie może sobie poczytać.

Trzy minuty później wrócił, żeby sprawdzić, czy ogień dobrze się pali. Przy okazji odbył dyskusję—głównie z samym sobą—na temat zalet antracytu.

(„Ma w sobie mnóstwo ciepła, nawet jeśli jest droższy”).

Laura i ja po prostu siedziałyśmy skulone na kanapie, Kate na kolanach Laury, i każda z nas — nawet Kate — ze znudzonym obliczem czekała, aż ojciec skończy tyradę i wyjdzie.

Ledwie znikł za drzwiami, gdy zjawiała się mama, by ostentacyjnie zaproponować nam herbatę, ale tak naprawdę chciała sprawdzić, czy przyczyniłam się do zniknięcia ciasteczek.

Spytała o ojca Laury.

— Geoff Prendergast to wspaniały człowiek — powiedziała do Laury. — Naprawdę nie wiem, skąd cię wytrzasnęli.

Po czym wyszła, zabierając ze sobą ciasteczka.

— James się odezwał? — spytała ponownie Laura, gdy zostałyśmy same.

— Wyjechał — odparłam krótko. — Ale zadzwonię do niego jutro.

Nie chciałam rozmawiać o Jamesie. W każdym razie nie wtedy. Miałam tego dosyć.

Wywlekania faktów, międlenia ich, doszukiwania się w tym wszystkim jakiegoś sensu, lękania się o to, co robić dalej.

Jak mówią w Nowym Jorku — skończ sprawę, a jeśli nie możesz skończyć, przestań o niej gadać.

Dobra rada.

Dopiero po godzinie Laura spytała mnie o Adama.

Dziwne, że tak długo zwlekała.

— Więc jak wygląda sprawa z tym młodym Lochinvarem?

— spytała jakby od niechcenia, pocierając kolistym ruchem plecki Kate.

— Z kim? — spytałam. Celowo udawałam tępą.

— Z pięknym Adamem — powiedziała z nutką rozdrażnienia w głosie.

— Co z nim?

— Po pierwsze, on szaleje za tobą, a po drugie, jest śliczny. Gdyby był o pięć czy sześć lat młodszy, sama bym się nim zainteresowała.

— Lauro, on wcale za mną nie szaleje — zaprotestowałam.

Oczywiście powiedziałam to tylko dlatego, żeby Laura nalegała, że Adam naprawdę oszalał na moim punkcie. Wtedy zaznałabym takiego samego uczucia ciepłej rozkoszy.

— Szaleje za tobą — powtórzyła. — A ty o tym wiesz.

— I co z tego? Jeśli nawet to prawda, a nie mamy żadnego dowodu, to co mam z tym zrobić?

— Idź z nim do łóżka.

Ta dziewczyna nie miała ani krzty wstydu.

— Lauro! Przecież jestem mężatką! — krzyknęłam na nią.

— Naprawdę? Więc gdzie jest twój mąż? Milczałam.

— Claire — odezwała się łagodnie po kilkuminutowej ciszy.

— Chciałam tylko powiedzieć, że to wspaniały facet, któremu wpadłaś w oko. A ty dużo przeszłaś. Nawet jeśli ułoży ci się jeszcze z Jamesem, mogłabyś tymczasem trochę się zabawić.

— Co tu się dzieje? Wszyscy namawiają mnie do romansu z Adamem. Nawet moja własna matka!

— Mama powiedziała ci, żebyś przespaała się z Adamem? — zapiszczała zdumiona Laura.

— Nie dosłownie. Ale to miała na myśli.

— Więc co cię powstrzymuje? — spytała zachwycona. — Masz błogosławieństwo mamy. To wspaniały omen.

Pomyślałam chwilę.

— Masz rację — westchnęłam. — Chyba powinnam to zrobić.

— Co? — zawołała. — Mówisz poważnie?

— Boże kochany! — podniosłam głos. — Przecież właśnie sama mnie do tego namawiałaś.

Wiedziałam, że to się stanie. Po prostu wiedziałam.

Ludzie zachęcają się nawzajem do zrobienia rzeczy, których ta druga osoba na pewno nie robi. A potem doznają szoku, gdy ich żart przeradza się w rzeczywistość.

Sama nie jestem tu bez winy.

Całymi latami namawiałam ojca, żeby kupił sobie dzinsy. „Tato, będziesz świetnie w nich wyglądał”, przekonywałam go często.

„Daj mi spokój. Za stary jestem”, odpowiadał. „Wcale nie”.

A ja niemal umarłam z powodu doznanego szoku, gdy pewnego dnia tata pojawił się w sztywnych, granatowych wrangle-rach, których nogawki były wywinięte jakieś trzydzieści centymetrów.

— Tak, wiem — rzekła Laura, wyraźnie zmieszana. — Ale to do ciebie niepodobne. Zawsze byłaś taka lojalna.

— Lauro, chyba nie będę nielojalna wobec Jamesa, jeśli się prześpię z Adamem, prawda? — spytałam uprzejmie.

Widziałam, jak bardzo była zaskoczona.

Jednak pod płaszczkiem rozrywkowej dziewczyny zawsze byłam Claire, Opoka Wierności.

Mój parawan rozwiązłego życia był cienki jak papier, a w zasadzie przezroczysty.

Wiele razy udawałam grzeszną, lecz robiłam to bez przekonania.

Zawsze chciałam być nudziarą, która na stałe związała się z mężczyzną, ale ponieważ w oczach całego towarzystwa było to czymś poniżającym, robiłam, co tylko mogłam, by ukryć swoje prawdziwe pragnienia.

Niewiele osób znało mój wstydlivy sekret.

— Claire, masz ochotę na tego Adama?

To zabawne, jak w ciągu kilku minut „piękny Adam” przeistoczył się w „tego Adama”.

— Pewnie, że mam. — Roześmiałam się, widząc jej przerażenie. — To smakowity kąsek. Nie zauważyłaś?

— Jest przystojny — przyznała ostrożnie. — Ale co ty o nim wiesz?

— Wiem, że jest miły, że dzięki niemu czuję się piękna, mądra i pojętna.

— Claire, pamiętaj, że teraz jesteś szczególnie bezbronna. Dopiero co wyszłaś z depresji.

— Poważnie? — Wydawało mi się, że to zabrzmiało bardzo inteligentnie. — W każdym razie — dodałam zdziwiona — dlaczego najpierw nakłaniasz mnie do romansu, a gdy mówię, że to zrobię, zaczynasz mnie osądzać?

— Wybacz — odparła pokornie. — Naprawdę cię przepraszam. Myślałam tylko, że wiadomość o zainteresowaniu Adama twoją osobą poprawi ci samopoczucie. Ani na sekundę nie sądziłam, że cokolwiek zrobisz w tym kierunku. Jesteś wierną kobietą jednego mężczyzny. Dlatego doznałam lekkiego szoku.

— Lauro, w tej chwili nie jestem niczyją kobietą — przypomniałam jej.

— Wiem, ale tak bardzo kochasz Jamesa... Sama nie wiem... Nie sądziłam, że w ogóle pomyślisz o innym mężczyźnie.

— Rzeczy i ludzie się zmieniają — odrzekłam. — Już nie wiem, co czuję do Jamesa. Natomiast jestem pewna, że czuję się cudownie w towarzystwie Adama.

Nagle Laura się zreflektowała.

— Jeśli tak, to nie mogłaś sobie znaleźć lepszego kochanka. Jest bardzo przystojny. Poza tym miły i inteligentny — dodała po krótkim namyśle.

To spostrzeżenie w ustach Laury miało swoją wagę, gdyż zwykle bardziej interesowało ją, co facet ma między nogami, a nie w głowie.

— Powinnaś trochę potrenować — uśmiechnęła się. — Nie powiedzieli ci, jakie ćwiczenia pozwolą ci wrócić do dawnej formy? Ćwiczenia dna miednicy, czy jak to się nazywa. Chyba nie chcesz, żeby seks z Adamem przypominał rzut kielbasą w głąb studni.

— Dzięki, Lauro — odparłam oschle. — Widzę, że jestem wyjątkową zdobyczą dla każdego faceta.

Kiedy wyszła, nie potrafiłam sobie znaleźć miejsca. Byłam sama.

Anna wykonała jeden ze swoich słynnych numerów, czyli po prostu znikła.

Helen była zapewne u Lindy. Akurat z tego się cieszyłam.

Z powodu Adama miałam tak ogromne wyrzuty sumienia, że nie mogłabym jej spojrzeć w oczy.

Byłam niemal pewna, że Adam nie jest jej chłopakiem. Ale musiałam zyskać pewność.

W każdym razie nie zniosłabym myśli, że jest jej mężczyzną. Bo jak by to o nim świadczyło?

Ze to jakiś dziwak, który czerpał radość, rozbijając rodziny i nastawiając siostrę przeciwko siostrze.

Jeśli był chłopakiem Helen, a ona dowiedziałyby się o naszych dwóch umówionych spotkaniach, nastąpiłaby masakra, przy której rzeź hugenotów okazałaby się równie przyjemna jak bożonarodzeniowy poranek.

Czy czułam się niełojalna wobec Helen?

Oczywiście, że tak.

Chociaż nie do końca.

Gdyby Adam okazał się jej chłopakiem, natychmiast zerwałabym z nim wszelkie kontakty. To akurat było proste.

Tylko co począć, jeśli nie byli ze sobą, lecz Helen miała na niego ochotę?

No cóż, gdyby Adam odwzajemniał jej pragnienie, zrobiłabym dokładnie to, co opisałam powyżej — zerwałabym z nim kontakty.

Ale gdyby Helen miała na niego ochotę, lecz on by jej nie chciał, tylko — o słodyczy — pragnął właśnie mnie... co wtedy?

To by dopiero było.

Naprawdę kochałam Helen.

Bóg jeden wie, dlaczego, ale kochałam.

I nie chciałam zrobić nic, co sprawiłoby jej przykrość.

Naprawdę nic.

Nie tylko dlatego, że się jej bałam.

Najlepsze co mogłam zrobić, to porozmawiać o tym z Adamem.

Spytać go wprost, co jest między nim i Helen.

A jeśli coś jest, przejść do kolejnej fazy niepokoju.

Wszystko sprowadzało się do tego, że jeśli nie zaryzykuję, nie poznam prawdy.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek z moich ust padną takie słowa, lecz życie naprawdę jest zbyt krótkie.

Powinniśmy chwycić każdą okazję obiema rękami.

I to właśnie zamierzałam zrobić, jeśli chodzi o Adama.

Zgadza się, dobrze usłyszeliście aluzję—zamierzałam chwycić go obiema rękami.

— Mój Boże, Claire — jęknęła mama, gdy po raz kolejny zmieniłam kanał w telewizorze. — Co się z tobą dzieje? Nie możesz usiedzieć spokojnie? Zachowujesz się, jakbyś miała piórko w majtkach.

— Przepraszam, mamo.

W tym momencie zadzwonił telefon.

— Jezu, Claire! — furknął ojciec niczym pies, któremu drzwiami przytrzaśnięto ogon, gdy skoczyłam do aparatu, deptając mu stopy.

— Halo — wydyszałam do słuchawki.

— Witaj, czy ojciec jest w domu? — usłyszałam czyjś niewyraźny głos.

— Tato — zawołałam. — Taaato! Ciocia Julia do ciebie. „Cholera”, pomyślałam.

Oznaczało to, że ojciec przez parę godzin będzie wisiał na telefonie.

Gdy dzwoniła pijana ciocia Julia, nie sposób było zakończyć z nią rozmowę.

Zwykle telefonowała, by przeprosić za to, że oszukiwała przy grze w palanta — a grali w nią jakieś czterdzieści pięć lat temu.

Zastanowiło mnie, dlaczego tak bardzo chciałam, żeby linia telefoniczna była wolna. Ustąpiłam miejsca ojcu, który z ponurą miną pokuśtykał do aparatu.

Czy ktoś zapowiadał, że do mnie zadzwoni?

Czy oczekiwałam jakiegoś telefonu?

Nie i jeszcze raz nie.

Jednak ciepła iskierka nadziei podpowiadała mi, że może — tak, właśnie „może” — Adam do mnie zatelefonuje. Nie obiecał, że to zrobi. Ale czułam, że może.

Przysiadłam w holu, bezwstydnie podsłuchując rozmowę ojca z ciocią Julią.

Zazwyczaj była dosyć interesująca, a nawet dziwaczna. Jak długo potrwa ta pogaduszka?

— Julio, posłuchaj mnie — powiedział zdenerwowany ojciec.

„O matko — pomyślałam — ta rozgrywka w palanta musiała być dla ojca sprawą bardzo honorową, skoro tak się zirytował.

— Zmocz ścierkę i szybko rzuć ją na wierzch! — ryknął do słuchawki.

„Świetnie”, pomyślałam. Okazało się bowiem, że ciocia Julia była jedynie w trakcie procesu palenia swojego domu. Wcale nie dzwoniła po to, by godzinami użalać się, przeproszać i głądzić po pijacku.

— Nie, Julio. Pod kranem. Pod kranem! — krzyknął ojciec. A jak inaczej zamierzała zmoczyć ścierkę?

Lepiej o tym nie myśleć.

— Julio, teraz odłożę słuchawkę, a ty zrób to samo — powiedział ojciec wolno i wyraźnie, jakby rozmawiał z czterolatkiem. — Potem zadzwoń pod 998 do straży pożarnej. A potem od-dzwonisz do mnie, powiesz, co zrobiłaś, i potwierdzisz, że strażacy już do ciebie jadą.

Rzucił słuchawkę i oparł się o ścianę.

— Jezu — wyrzucił z siebie. Był kompletnie wyczerpany.

— Co tym razem zbroiła? — spytała mama, która właśnie weszła do holu.

— Jakimś sposobem podpałiła jedną z fajerek na kuchence i ogień wymknął się spod kontroli — westchnął ojciec. — Boże, czy to się kiedyś skończy?

Zadzwoił telefon.

— To ona — powiedział. Mama sięgnęła po słuchawkę.

— Halo.

Nagle wyraz jej twarzy uległ wyraźnej zmianie.

— Tak, jest tutaj. A kto mówi? To do ciebie. — Podała mi słuchawkę z obojętną miną. — Adam.

— Aha — odetchnęłam z ulgą.

Właśnie na to czekałam cały wieczór, chociaż zupełnie nieświadomie.

— Halo — powiedziałam. Byłam wniebowzięta, ale starałam się to ukryć przed rodzicami.

— Claire. — Usłyszałam cudowny głos. — Jak się masz?

— W porządku — odparłam niezręcznie. Mama i tata wciąż stali w holu, nie spuszczać ze mnie wzroku. — Idźcie stąd — syknęłam do nich, machając wolną ręką.

— Mamy awaryjną sytuację — warknął ojciec. — Zostaw ten telefon.

— Za chwilę.

— Masz jedną minutę — odparł groźnie. Z tymi słowy oboje wyszli.

— Przepraszam za to — powiedziałam do Adama, gdy rodzice niechętnie wrócili do pokoju. — Mamy tu mały rodzinny kryzys.

— Czy wszystko w porządku? — spytał z niepokojem.

— Tak.

Teraz ja się zaniepokoiłam. Czyżby martwił się o Helen? O swoją dziewczynę Helen?

— Chyba się nie gniewasz, że dzwonię. Nie chcę, żebyś uważała mnie za jakiegoś natręta. Jeśli chcesz, żebym przestał dzwonić, po prostu mi o tym powiedz.

„Bądź sobie natrętem, ile tylko chcesz”, pomyślałam.

— Oczywiście, że się nie gniewam. Lubię z tobą rozmawiać.

— Super. — Słyszałam uśmiech w jego głosie. Usiadłam na podłodze, sadowiąc się wygodnie na godzinną pogawędkę.

I właśnie wtedy usłyszałam chrobot klucza w drzwiach.

— O Boże — powiedziałam, gdy moich uszu dotarł wrzask Helen.

— Wróciłam! Dawajcie jeść, bo was oskarżę o zaniedbanie!

— Co się stało? — spytał Adam.

— Helen wróciła.

— Tak? Pozdrów ją ode mnie.

— Lepiej nie — wyrwało mi się.

— Dlaczego? — spytał zdumiony.

Helen minęła mnie w holu. Przechodząc, mrugnęła i uśmiechnęła się czarująco.

— Cześć, Claire, masz świetne buty — powiedziała, nie zatrzymując się.

Czasami, a właściwie, gdy najmniej się tego spodziewam, Helen potrafi być taka słodka i urocza, że mogłabym ją zabić.

— Dlaczego? — ponownie spytał Adam.

Podjęłam decyzję: nadszedł czas, by raz na zawsze rozstrzygnąć tę kwestię.

Jeśli Adam kręcił ze mną i z moją siostrą, nadeszła dobra sposobność, by położyć temu kres.

Wzbierała we mnie złość.

Bezczelny smarkacz.

Przystojniak myśli sobie, że może nami wszystkimi poniewierać. Szybko rosła we mnie wściekłość spowodowana przekonaniem, że mam rację.

— Posłuchaj mnie, Adam — powiedziałam ostro, gdy tylko usłyszałam dobiegające z pokoju odgłosy kłótni pozostałych domowników i wiedziałam, że mogę swobodnie rozmawiać. — Naprawdę nie wiem, jak mam to powiedzieć. A w zasadzie nie wiem nawet, co powinnam powiedzieć.

— Na litość boską, o co ci chodzi? — przerwał gwałtownie. „No, powiedz mu”, dodawałam sobie otuchy. „Masz pełne prawo wiedzieć”.

Jednak zaczęłam tracić pewność siebie.

— Może to nie moja sprawa, ale czy ty jesteś chłopakiem Helen? — spytałam w końcu.

Zapadła cisza.

„O Boże”, pomyślałam. „On z nią chodzi. Jego uprzejmość dla mnie wynika z faktu, że jestem jej starszą siostrą. A teraz on już wie, że wpadł mi w oko”.

„Cholera jasna! Powinnam była trzymać język za zębami. Brakiem cierpliwości zepsułam wszystko”.

— Claire — odezwał się w końcu kompletnie zbity z tropu. — O czym ty mówisz?

— Wiesz o czym. — Było mi głupio, lecz zarazem odczułam wielką ulgę.

— Nie wiem — odparł zimno.

— Aha. — Teraz już naprawdę było mi wstyd.

— Więc myślisz, że jestem chłopakiem Helen? — Jego głos już nie był zimny. Był lodowaty.

— Sądziłam, że... możesz być... — zapytałam upokorzona.

— A na jakiej zasadzie umawiałem się z tobą? — spytał z pogardą. — No więc? — ponaglił mnie, gdy milczałam. — Myślisz, że jestem albo wyjątkowo głupi, albo wyjątkowo cyniczny. Sam nie wiem, która z tych opinii jest dla mnie bardziej obraźliwa.

Nadal milczałam.

Głównie dlatego, że zabrakło mi słów. Czułam się fatalnie.

Adam jedynie okazywał mi życzliwość i pełne szacunku zainteresowanie.

Nie miałam dowodu, że cokolwiek łączy go z Helen.

I zraniłam go, podając w wątpliwość jego szlachetne intencje.

— Claire — powiedział zmęczonym głosem. — Claire, Claire, Claire, posłuchaj mnie. Nie jestem i nigdy nie byłem chłopakiem twojej siostry Helen. I wcale nie chcę nim być. To wspaniała dziewczyna — dodał szybko. — Ale ona nie jest dla mnie.

— Adam — wyjąkałam — naprawdę przepraszam, nie wiedziałam...

— Ja też przepraszam — powiedział. — Wciąż zapominam, co niedawno przeszłaś. Wycierpiałaś się. Trudno cię winić za to, że wszystkich facetów uważasz za dwulicowych drani.

„Mój bohater”, pomyślałam ciepło.

Wyjął mi te słowa prosto z ust. Skoro wiedział, nie musiałam sama mu tego wyklądać. Oszczędził mi ogromnego stresu. Co za facet!

Tylko jak to możliwe, że tak doskonale mnie rozumie?

„Może to transseksualista?”, pomyślałam ze strachem. „To pewnie jest ta jego wielka tajemnica. Że urodził się jako kobieta. Albo że jest kobietą uwięzioną w męskim ciele, i to jakim!”

— Claire — mówił dalej, przerywając moje spekulacje na temat jego płci. — Nie wiem, jaką wyrobiłaś sobie o mnie opinię, ale z pewnością różni się ona od tej, na którą miałem nadzieję sobie zasłużyć.

— Nie, Adam... — zaprotestowałam słabo. Tyle chciałam mu powiedzieć, ale nie wiedziałam, od czego zacząć.

— Posłuchaj mnie przez chwilę, dobrze?

W jego głosie zabrzmiało tyle chłopięcej szczerości, że nie mogłam się nie zgodzić.

— Oczywiście.

— Mam wiele znajomych kobiet, lecz nie romansuję z każdą z nich. W zasadzie prawie wcale nie romansuję. To znaczy w porównaniu z innymi ludźmi z mojego roku, ale być może oni są szczególnie płodni.

— W porządku — odparłam. Wolałam, żeby się już zamknął. Chciałam mu powiedzieć, że nie musi mi niczego tłumaczyć. Ustaliłam, że nie jest chłopakiem Helen, i to w zupełności mi wystarczyło.

Czułam się głupio z powodu moich wcześniejszych oskarżeń i odstawiania teatralnych scen. Teraz chciałabym o tym wszystkim zapomnieć.

Biedak!

Znał mnie dopiero kilka dni, a już wynikło między nami kilka drobnych sprzeczek.

Co mu strzeliło do głowy, żeby się mną interesować?

Nie zdążyłam się nad tym zastanowić, gdy w holu ponownie zjawił się ojciec z marsową miną.

— Claire! — wrzasnął. — Odłóż telefon. Natychmiast!

— Musisz kończyć? — spytał Adam.

— Tak. Przepraszam.

Nie chciałam kończyć rozmowy, dopóki nie miałam pewności, że wszystko jest w porządku. To znaczy, że Adam nie gniewa się na mnie, bo uważałam go za egoistycznego Casanovę.

Nie zaszkodziłoby również, gdyby w jakiś sposób dał mi do zrozumienia, że nie tylko nie chce romansować — jak delikatnie to ujął — z Helen, ale mógłby to zrobić ze mną.

Czyli — jak mawiała moja mama — chciałam jeszcze dzemu na osłodę.

— No widzisz, niemal zapomniałem, po co do ciebie dzwonię — powiedział.

— Tak? No więc po co?

„Powiedz mi, że wpadłam ci w oko. No powiedz”, przynaglałam go w myślach.

— O jedenastej leci dobry film. Na pewno ci się spodoba. Powinnaś go obejrzeć, jeśli nie będziesz zmęczona.

— Aha. — Ręce opadły mi do kostek. — Dzięki. Cholerny film!

Oddając mu całą sprawiedliwość!

— To na razie — powiedział Adam.

Chciałam krzyknąć: „Nie, zaczekaj, nie odchodź. Porozmawiajmy jeszcze chwilę. Podaj mi swój numer, abym mogła od-dzwonić. Czy spotkamy się jutro? E tam, jutro, czy spotkamy się jeszcze dzisiaj?”

— Claire! — zagrzmiał groźnie ojciec.

— OK, to na razie — powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Odczuwałam przede wszystkim zmęczenie.

W chwili, gdy skończyłam rozmawiać, od strony pokoju dotarły do mnie odgłosy szamotaniny.

Ojciec i Helen miotali się przy drzwiach.

Ojciec chciał natychmiast zadzwonić do cioci Julii, żeby sprawdzić, czy pożar został opanowany.

Jednak Helen miała wobec telefonu zupełnie inne plany.

— Muszę zadzwonić do Anthony'ego! — krzyczała. — Chcę, żeby we wtorek ktoś mnie zawiózł do Belfastu.

— Pożar u Julii jest ważniejszy — nalegał ojciec.

— Niech się jej spali cały dom. To ją nauczy. Stara alkoholiczka.

Nasza Helen była życzliwa do samego końca.

Zostawiłam ich i poszłam na górę, po czym zabrałam Kate do pokoju mamy, aby tam w małym telewizorze obejrzeć film, o którym wspominał Adam.

Przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić.

„I przy najbliższym spotkaniu będziemy mogli porozmawiać o tym filmie”, pomyślałam.

Jeśli w ogóle będzie następny raz.

Rozdział 18

Czas stanął w miejscu, gdy byłam Alkoholichką-Matką z Piekieł (a ściślej mówiąc, także Alkoholichką-Córką z Piekieł i Alkoholichką-Siostrą z Piekieł). Lecz teraz, gdy znowu zaczęłam w miarę normalnie żyć, czas ruszył z kopyta i nim się obejrzałam, już gnał cwałem przed siebie.

Dzień mijał za dniem niczym w filmie, w którym reżyser chce szybko przenieść akcję naprzód i pokazuje scenę, jak kartki kalendarza przewracają się szybko w podmuchach silnego wiatru, a ten po chwili wyrывa je i unosi gdzieś daleko wraz z pożółkłymi liśćmi symbolizującymi jesień, by po chwili ukazać płatki śniegu oznajmiające nadejście zimy.

Weekend minął, zanim się obejrzałam.

Co nie oznacza, że dla takiego obiboka jak ja istniała jakakolwiek różnica między weekendem a roboczymi dniami tygodnia.

Każdy dzień był wolny od pracy.

Lecz oto nadszedł poniedziałkowy poranek.

James powinien już wrócić z Karaibów. Albo z Mustique. Czy też z maleńkiej prywatnej wysepki tuż u wybrzeża piekła. Lub z jakiegokolwiek innego miejsca, gdzie przebywał, podły, niewierny drań.

Będę musiała do niego zadzwonić.

Byłam całkiem spokojna. Cóż, trzeba w końcu to zrobić.

Oczywiście łatwo było mi zachować spokój w sprawie Jamesa, gdy zamartwiałam się na śmierć o Adama.

Trudno mi było odnaleźć się w niejasnych okolicznościach, dotyczących obu mężczyzn jednocześnie.

Chyba zachodził u mnie transfer uczuć i tak dalej. Doktor Freud miałby ze mnie piękny materiał do badań.

Lecz przed telefonem do Jamesa musiałam załatwić jeszcze jedną ważną sprawę.

Czekała mnie kontrolna wizyta u lekarza w sześć tygodni po porodzie.

Muszę przyznać, że los nie szczędził mi zabawnych sytuacji.

Było to symboliczne, zwrotne w moim życiu wydarzenie.

Stanowiło formę potwierdzenia, że poród się udał. Coś w rodzaju przyjęcia po premierze filmowej. Z tą różnicą, że aktorzy i twórcy filmu nie muszą siadać w ginekologicznym fotelu i poddawać swych intymnych części ciała badaniu przez obcych facetów.

No, chyba że bardzo tego pragną.

Kate również miała być przebadana w klinice dla dzieci.

Pojechałyśmy samochodem.

Byłam z siebie dumna. Każdy dzień, gdy udało mi się zwlec z łóżka i normalnie funkcjonować, stanowił dla mnie cudowne wydarzenie.

Życie i związane z nim obowiązki znowu zaczęły być dla mnie przyjemnością.

Kate już uprzednio była dwa razy w klinice.

Tak więc wiedziała, czego się spodziewać. Jednak ja nie byłam gotowa na kakofonię wrzasków, która powitała nas przy wejściu. W poczekalni było chyba z tysiąc krzyczących wniebogłosy niemowląt i ich zdenerwowanych matek.

Niektóre z nich darły się głośniejszymi od swoich dzjeji.

— Żeby przestał płakać choćby na pięć minut — mówiła przez łzy jedna z kobiet, nie kierując swoich słów do nikogo konkretnego.

„Jezu”, pomyślałam przerażona. Nagle zrozumiałam, jak ogromne mam szczęście.

Po pierwsze, Kate była wręcz nienormalnie spokojnym dzieckiem, a po drugie, w opiece nad nią pomagali mi rodzice i — w pewnym stopniu — Helen z Anną.

Mama z ojcem wozili ją na badania kontrolne, gdy ja zachowywałam się jak Antychryst.

Boże, nawet nie przypuszczacie, jak bardzo było mi wstyd.

Jak mogłam tak okropnie zaniedbać własne dziecko?

To się już nigdy nie powtórzy.

Nie dopuszczę, by kiedykolwiek jakikolwiek facet doprowadził mnie do takiej depresji jak James.

Było mi niedobrze na myśl, że nie opiekowałam się Kate tak jak powinnam, gdyż usychałam z tęsknoty za mężczyzną.

Kate miała badanie przede mną.

Zaniosłam ją do gabinetu.

Pielęgniarka była śliczną, rudą dziewczyną z Galway. Dlaczego wszystkie pielęgniarki są zawsze piękne i seksowne?

Musi istnieć jakaś stara legenda wyjaśniająca to zjawisko. Dawno temu żyło plemię kobiet, które wyróżniały się niezwykłą urodą.

Mężczyźni szaleli za nimi, przez co wszystkie inne kobiety czuły się niepotrzebne i brzydkie.

W związku z tym dochodziło do starć i aktów przemocy.

Rozpadały się rodziny, gdy szczęśliwi dotąd w swoich związkach małżeńskich mężczyźni zakochiwali się w tych pięknościach.

Kobiety z mniej urodziwych plemion popełniały samobójstwo, bo nie mogły konkurować z owymi syrenami.

Należało coś przedsięwziąć.

Tak więc Bóg ogłosił, że wszystkie piękne kobiety muszą zostać pielęgniarkami, nosić okropne pantofle i fartuchy, w których ich tyłki wydawały się szczególnie wielkie. Tym sposobem atrakcyjność owych kobiet znacznie by spadła.

Tym sposobem do dzisiaj urodziwe kobiety muszą zostawać pielęgniarkami, aby ich piękne kształty były ukryte pod obrzydliwymi fartuchami.

Nie potrafię tylko wyjaśnić, w jaki sposób ta moja bajka tłumaczy istnienie supermodelek, które paradują w mocno odkrytych i uwydatniających ich zgrabne sylwetki ciuchach.

Wszystko jedno.

Pielęgniarka starannie zamknęła za nami drzwi, lecz dobiegające z korytarza wrzaski były tak samo głośne. Tylko od czasu do czasu na pierwszy plan wybijało się donośne jęczenie:

— Błagam, przestań płakać chociaż na pięć minut.

— Czy ten hałas nie doprowadza pani do szału? — spytałam ciekawie.

— Skądże. Zupełnie nie zwracam na niego uwagi. Zaczęła badać Kate.

Moja mała córka nawet nie zakwiliła. Byłam z niej bardzo dumna.

Chciałam otworzyć drzwi i powiedzieć, niczym wychowawczynie w szkole: „Widzicie? Tak trzeba się zachowywać. Przyglądajcie się tej wzorowej dziewczynce i naśladowujcie ją”.

Obserwowałam, jak pielęgniarka uważnie ogląda Kate.

„Miałabym za swoje, gdyby się okazało, że jest w bardzo złym stanie”, pomyślałam ze zgrozą.

Ale nie, wszystko było w porządku.

Moje sumienie prawie doznało rozczarowania.

— Ładnie przybiera na wadze — powiedziała pielęgniarka.

— Dziękuję — odparłam z radością.

— Jest zdrowiuteńka. — Uśmiechnęła się do mnie.

— Dziękuję — powtórzyłam.

Otworzyłam drzwi, aby wyjść, a wtedy jak obuchem uderzyła mnie świeża fala wrzasków.

Przedarliśmy się przez tłum ryczących niemowlaków o czerwonych twarzyczkach.

Zorientowałam się, że niektóre z nich były poddawane szczepieniu BCG, co przyczyniało się do ogólnie panującej atmosfery zdenerwowania i zgiełku.

Ostrożnie niosłam Kate pośród ogłuszających krzyków.

Gdy z ulgą zamykałam za sobą drzwi, usłyszałam jeszcze raz tę samą, zrozpaczoną matkę:

— Chociaż na trzy minutki. Proszę. Musiałyśmy chwilę poczekać na wizytę u ginekologa.

W tym czasie czytałam jakiś archaiczny egzemplarz magazynu „Woman's Own” (musiał być stary, bo przedstawiane w nim krynoliny już dawno wyszły z mody). Kate spała sobie cichutko.

Jakie grzeczne dziecko.

Wreszcie zostałam wywołana do gabinetu.

Lekarzem był miły stary dziwak. Szary garnitur, siwe włosy, nawet dość uprzejmy.

— Dzień dobry pani... Claire. Tak, Claire, i dziecko imieniem. .. Catherine — odczytał z karty na biurku. — Proszę siadać.

Po chwili uniósł wzrok na stojące przed biurkiem krzesło. Ponieważ było puste, rozejrzał się z niepokojem po gabinecie, by sprawdzić, gdzie się podziałam.

A ja tymczasem postawiłam nosidełko z Kate na podłodze i z szybkością światła ściągnęłam figi, po czym ułożyłam się na samolocie.

Przyzwyczajenie to druga natura.

Następnym razem, gdy wybiorę się do lekarza, bez względu na powód tej wizyty — od bólu ucha po wykręcony nadgarstek — będę musiała pamiętać, żeby w pierwszym odruchu nie zrzucać majtek i nie gramolić się od razu na kozetkę.

Lekarz wykonał swoją powinność, przeprowadzając niezbędne badanie, używając przy tym mojej starej przyjaciółki, czyli obślizgłej rękawiczki.

Wybaczcie, jeśli jestem obrzydliwa.

Naprawdę bardzo wam współczuję.

Kiedyś sama mdlałam już na myśl o czymś tak trywialnym jak po-branie rozmazu.

A teraz, gdy miałam już za sobą ciążę i poród, gotowa byłam poddać się nacięciu macicy jedynie pod miejscowym znieczuleniem, jednocześnie rozmawiając wesoło z chirurgiem o wczorajszym filmie w telewizji.

Po cholere mi w ogóle środki znieczulające?

Zapominam jednak, że inne kobiety nie miały w swoim życiu równie hartujących doświadczeń.

— Pięknie się zagoiło — powiedział lekarz takim tonem, jakby chodziło o wielkie osiągnięcie.

— Dziękuję. — Uśmiechnęłam się, patrząc na niego między nogami.

Poczułam się jak sześciolatka, która bezbłędnie odrobiła matematykę.

— Tak, żadnych komplikacji — mówił dalej. — Czy wszelkie krwawienie już ustało?

(Wybaczcie, obiecuję, że to nie potrwa długo).

— Tak, jakiś tydzień temu.

— Wszystko się ładnie zrosło.

— Dziękuję.

— Może pani już zejść.

— Więc wszystko jest w porządku? — spytałam, wkładając ubranie.

— Tak. Wszystko dobrze.

— To... kiedy mogę rozpocząć współżycie? — wyrwało mi się.

(Dlaczego w ogóle o to spytałam?)

— Minęło już sześć tygodni postu, więc może pani zacząć w każdej chwili. Nawet teraz.

Odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno, lecz przerwał raptownie, gdy stanął mu przed oczami obraz Rady Lekarskiej, która po przesłuchaniach stawia wnioski o pozbawienie go prawa do uprawiania zawodu.

Między żartem a obsceniczną propozycją istnieje bardzo cienka linia.

Może doktor Keating nie dostrzegł jeszcze tej różnicy.

— Hm, tak, w każdej chwili — powiedział.

— Czy będzie mnie bolało? — spytałam z niepokojem.

— Z początku może być trochę nieprzyjemnie, ale bólu raczej nie powinna pani odczuwać. Trzeba poprosić męża, by postępował z panią nadzwyczaj delikatnie.

— Mojego męża? — spytałam zdumiona.

Nawet przez moment nie pomyślałam o swoim mężu.

— Tak, męża — odparł równie zdziwiony. — Przecież jest pani mężatką, prawda, pani... pani Webster—rzekł, zerknąwszy do swoich notatek.

— Tak, oczywiście. — Zarumieniłam się. — Pytałam tylko... tak ogólnie. Nie planowałam jeszcze seksu z żadnym partnerem.

Pomyślałam, że gdybym zamiast słowa „seks” użyła słowa „stosunek”, pomogłoby to rozładować trochę niezręczną atmosferę, jaka powstała w gabinecie.

— Aha — odparł znudzony.

W powietrzu zawisło milczenie. Doktor Keating był oszołomiony.

„Czas uciekać”, pomyślałam. Chodź, Kate. Wróciłyśmy do domu.

— Jak poszło? — spytała mama, otwierając nam drzwi.

— Dobrze — odparłam. — Pielęgniarka powiedziała, że Kate ładnie przybiera na wadze.

— A co z tobą?

— Wszystko w najlepszym porządku. Mogę być dumna z mojej pochwy.

Mama spojrzała na mnie z niesmakiem.

— Nie musisz być wulgarna — syknęła.

— Wcale nie jestem.

Była cholernie wyczulona na tym punkcie.

— Chodź, napijemy się herbaty, zanim w telewizji zaczną się *Sąsiedzi* — powiedziała.

— Czy... ktoś dzwonił, gdy mnie nie było? — spytałam obojętnym tonem, stąpając za nią do kuchni.

— Nie.

— Hm.

— A co, czekałaś na telefon? — Przyjrzała mi się uważnie.

— Nie. — Postawiłam nosidełko z Kate na stole w kuchni.

— Więc dlaczego pytasz? — spytała tonem, który miał mi dać do zrozumienia, że mimo pozorów wcale nie jest taka głupia. — I zabierz małą ze stołu! — Trzepnęła mnie ścierką. — Przecież tutaj jemy.

— Ależ ona jest czysta! — zaprotestowałam z oburzeniem. Jak śmiała?

Zawsze starannie myłam Kate. Była całkowicie aseptyczna.

Nie znaleźlibyście na niej nawet pojedynczej bakterii. Klinicznie wyjałowione dziecko.

„Więc Adam nie zadzwonił”, myślałam, popijając herbatę. Ciekawe, czy wciąż jeszcze gniewał się na mnie? Może w ogóle więcej nie zadzwoni? Wcale nie miałabym mu tego za złe. Nie po tym, jak się wobec niego zachowałam. Ponadto nie miałam jego numeru, więc nawet nie mogłam zadzwonić.

Zatem to na pewno koniec. Skok w bok, którego nie było.

Namiętny, lecz nie skonsumowany romans. Związek dusz, który zniszczyły okoliczności. Kochankowie, którzy kochali się na odległość.

Chociaż wtedy było dopiero wczesne popołudnie. Należało dać chłopakowi trochę czasu.

Jednak nie zadzwonił.

Kręciłam się po domu całe popołudnie, zniechęcona i zblazowana.

Nic mi się nie chciało robić. Nawet czytać.

Kate trochę płakała, a mnie brakowało do niej cierpliwości.

Bez przekonania oglądałam popołudniowe telenowełe razem z mamą, bo nie potrafiłam nic wymyślić, by się od tego wymigać.

Myślę, że wolałabym przesiedzieć kilka odcinków trzeciorzędnych australijskich oper mydlanych, w których występowali ci sami aktorzy, niż wdać się w rozmowę z mamą o tym, jak to uniwersytecka edukacja uderzyła mi do głowy.

Zorientowała się, że coś jest nie tak.

— Jesteś bardzo smutna — odezwała się.

(Chociaż dosłownie powiedziała: „Claire, wyglądasz jak sucha gałąź nad studnią szczęścia”).

— Uważasz, że nie mam powodów? — spytałam ostro.

— Wybacz. Bóg świadkiem, że nie jest ci łatwo. Miała rację. Nie było mi łatwo.

Tyle że ona myślała o moim związku z Jamesem, a nie o braku związku z Adamem.

— To ja przepraszam — powiedziałam. Zrobiło mi się głupio, że tak na nią naskoczyłam.

Nadeszła godzina szósta, w zamku rozległ się zgrzyt klucza, gdy ojciec otwierał sobie drzwi, a ja z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że nie zadzwoniłam do Jamesa.

Cholera jasna!

Naprawdę chciałam to zrobić, ale z powodu innych ważnych wydarzeń — mojej wizyty u lekarza i faktu, że Adam nie telefonował do mnie — kompletnie o tym zapomniałam.

Postanowiłam, że naprawię to jutro z samego rana.

Dramat, jaki się rozegrał w porze kolacji, pozwolił mi na jakiś czas zapomnieć o innych sprawach.

Helen wróciła do domu razem z ojcem i zażądała na kolację potraw z McDonalda.

— Nie! — krzyczał ojciec. — U McDonalda kupujemy tylko w święta.

— To głupota! — odkrzyknęła. — Inne, normalne rodziny chodzą tam każdego dnia.

Umiała dokuczyć.

W końcu jak zwykle postawiła na swoim i ojciec z piskiem opon odjechał, by zrealizować długie i skomplikowane zamówienie w McDonalddie.

— Tylko bez korniszonów w Big Macu! — zawołała za nim Helen.

Ale jego już nie było.

Bezczelnie przyczepiłam się do Helen w nadziei, że usłyszę od niej coś na temat Adama.

Oczywiście mogłam wziąć byka za rogi i normalnie poprosić ją o jego numer, skoro z nim nie chodzi i w ogóle nic ich nie łączy.

Jednak nie ośmieliłam się.

Ustaliłam, że ona go nie interesuje.

Lecz nie byłam pewna, co Helen czuje do niego.

Po kolacji, którą zresztą biedny ojciec totalnie pomieszał -t korniszony w szarlotce mamy, cheeseburgery zamiast Big Ma-ców z dodatkowym serem (co oczywiście wywołało oskarżenie o skąpstwo), zwykła coca-cola zamiast dietetycznej — ojciec kazał Helen iść do swojego pokoju i uczyć się.

Biedak.

Chyba uczył się asertywności.

O dziwo, Helen wykonała jego polecenie niemal bez protestów. To znaczy, nazwała ojca draniem i porównała reżim panujący w domu do terroru w hitlerowskich Niemczech. Lecz po tym udała się do swego pokoju. Prawdziwy cud.

Dałam jej kilka minut, po czym zabrałam Kate i zapukałam do pokoju siostry.

Usłyszałam gwałtowną szamotaninę. Pewnie Helen na gwałt upychała coś pod łóżkiem.

— Jezu, Claire, nie rób tego więcej! Myślałam, że to ojciec. Była blada. Oczy miała okrągłe z przerażenia.

Ze szpary między łóżkiem i ścianą wyjęła egzemplarz magazynu o nazwie „Prawdziwe zbrodnie”, czy coś w tym rodzaju.

— Czy ty w ogóle kiedykolwiek się uczysz? — spytałam ciekawie.

— E tam — prychnęła z pogardą.

— A co zrobisz, jak oblejesz? — Przysiadłam na łóżku.

— Daj mi ją. — Helen wyciągnęła ręce i wzięła Kate. — Nie obleję.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem.

„Boże, gdybym to ja miała tyle pewności siebie” — pomyślałam.

— Więc jak leci w szkole? — rzuciłam z nadzieją, że powie coś o Adamie.

— W porządku. — Moje zainteresowanie wprowadziło ją w osłupienie.

Nie powiedziała ani słówka o Adamie. A ja po prostu nie potrafiłam jej spytać.

I właśnie wtedy usłyszałam dzwonek telefonu. Zadzwoił pierwszy raz w ciągu całego dnia.

Jak błyskawica zerwałam się z łóżka i zbiegłam do holu.

„Bogu dzięki, że nie spytałam Helen o numer Adama”, pogratulowałam sobie z ulgą. Wszystko wyszłoby na jaw, a teraz wcale nie było takiej potrzeby.

— Halo — powiedziałam miłym, spokojnym i przeproszającym głosem.

„Przepraszam cię, Adam. Już nigdy nie będę taką jędzą”.

— Dobry wieczór, czy mogę mówić z Jackiem Walshem? — usłyszałam czyjś głos.

W pierwszym odruchu nie mogłam pojąć, dlaczego Adam chce rozmawiać z ojcem.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że to wcale nie Adam.

Drań!

Jak śmiał!

Przez niego omal skręciłam kark, biegnąc po tych schodach.

— Tak, chwileczkę, panie Brennan. Zaraz go poproszę. Przygnębiona weszłam na górę.

Dużo wolniej, niż przedtem zbiegałam do holu.

Wróciłam do pokoju Helen.

Spokorniałam.

Nadal była mi potrzebna.

Bawiła się z Kate i nie uznała za stosowne skomentować mojego szaleńczego biegu do telefonu.

To była jedna z zalet obcowania z taką egoistką jak Helen.

Rzadko zwracała uwagę na to, co jej nie dotyczyło.

W tym momencie przyszła Anna. Miała rozwiane włosy, powłóczyłą spódnice i dosyć niewyraźną minę.

Ucieszyłam się na jej widok.

Nie widziałyśmy się od paru dni.

Chodziła po różowej, przytulnej sypialni Helen w butach, które wywoływały rozpacz u mamy, po czym usiadła koło nas.

Ze swojej torby (haftowanej, pokrytej paciorkami i lustreczkami) wyjęła ze sto czekoladowych tabliczek i batonów, po czym zaczęła się pożywiać.

Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego.

Mogłam tylko przypuszczać, że miało to jakiś związek z narkotykami.

— Anno, czy... masz... napad głodu? — spytałam. Czułam się jak stara ciotka.

— Uhu — kiwnęła głową.

Usta miała pełne czekolady z rodzynkami i herbatnikami.

— Hej! — zabalgotała i wykonała groźny gest w kierunku Helen, która zaczęła zrywać papierki z batonów i wchłaniać je w całości. — Kup sobie swoje — przemówiła wreszcie, gdy przez chwilę miała puste usta.

— Daj mi tylko Bounty i Mintcrisp. Nie wezmę nic więcej — obiecała Helen.

Oczywiście kłamała. Anna zgodziła się. Biedaczka.

Resztę wieczoru spędziłam, leżąc na łóżku Helen, zajadając czekoladę, słuchając jednym uchem przekomarzania się Helen i Anny oraz czekając na telefon od Adama.

I wiecie co? Nie zadzwonił.

„To nieważne”, powiedziałam sobie. „Wcale nie mówił, że zatelefonuje.

Na pewno zrobi to nazajutrz.

A przynajmniej w ciągu paru następnych dni, pocieszałam się. Przecież to oczywiste, że mnie lubi”. Jednak w głębi duszy wiedziałam, że nie zadzwoni. Nie wiem skąd, po prostu wiedziałam. Widocznie od chwili odejścia Jamesa moje zdolności przewidywania nadchodzącego nieszczęścia nieco się poprawiły. Ta odrobina praktyki mogła okazać się pomocna.

Rozdział 19

Następnego ranka nasz dom przypominał Dworzec Centralny w godzinach szczytu.

Helen wybierała się na dwudniową szkolną wycieczkę do Belfastu i widocznie uważała, że jej przygotowania nie tylko powinny odbywać się w ostatniej chwili, ale też zaangażować całą rodzinę.

Nie obudziłam się — jak zwykle — na dźwięk płaczu Kate. Obudził mnie odgłos czyjegoś skradania się przy moim łóżku.

Ktoś czał się w moim pokoju i najwidoczniej miał niecne zamiary.

Usiadłam.

— Kto tu jest? — ziewnęłam. Helen.

Mogłam się domyślić.

Kierowała się do drzwi z naręczem moich nowych ciuchów.

— Claire! — Podskoczyła, upuszczając na podłogę jeden z moich nowiutkich butów. — Myślałam, że śpisz.

— Widzę — rzuciłam sucho. — A teraz odłóż wszystko na miejsce.

— Suka — mruknęła, rzucając stertę moich rzeczy na podłogę. Z pewnością miały odjechać do Belfastu.

„Przykro mi, kochane”, pomyślałam. „Zabiorę was tam innym razem”.

Słyszałam, jak schodzi do kuchni, gdzie po chwili rozległ się gwar podniesionych głosów. Co się z nią dzieje?

Gdziekolwiek się pojawia, wywołuje kłótnię.

Kate już nie spała. Leżała spokojnie, patrząc w sufit.

— Dlaczego nie zapłakałaś, kochanie? — spytałam ją łagodnie, z nutką wymówki w głosie. — Dlaczego mnie nie obudziłaś, gdy niedobra ciocia Helen kradła moje ubranka?

Podniosłam ją i przeniosłam do swojego łóżka, trzymając w ramionach jej małe, ciepłe ciało.

Jakiś czas leżałyśmy w łóżku, co chwilę zapadając w krótką drzemkę i słuchając odgłosów kłótni dobiegających z kuchni. Pomyślałam, że powinnam już wstać. Może Helen przed odjazdem powie coś o Adamie.

Przytuliłam Kate mocniej do siebie. Mój piękny, cudowny skarb.

I właśnie wtedy zaczęła się domagać jedzenia, więc szybko coś na siebie narzuciłam, potykając się przy tym o stertę ubrań leżących na podłodze. Razem zeszyliśmy na dół.

A tam trwała niewielka dyskusja.

Anna, mama i Helen siedziały przy stole pokrytym resztkami śniadania, ciasteczkami, paczkami płatków, kubkami po herbacie i pustymi kartonami po mleku.

Mama i Helen kłóciły się głośno.

Anna uśmiechała się uszczęśliwiona, wyczyniając jakieś dziwne rzeczy ze stokrotką i spinaczem do papieru.

— Nic nie wiem o żadnym zielonym szaliku i rękawiczkach — mówiła do Helen zdenerwowana mama.

— Zostawiłam je na lodówce. Co z nimi zrobiłaś?

— Gdybyś nie zostawiła ich na lodówce, lecz odłożyła na właściwe miejsce, wiedziałabyś, gdzie są.

— Ale na lodówce to akurat jest właściwe miejsce — odparła Helen.
— Zawsze tam zostawiam swoje rzeczy.

— Dzień dobry — powiedziałam grzecznie. Zostałam totalnie zignorowana.

Bez wyraźnej przyczyny otwarte były tylne drzwi, przez które wnikały do kuchni powiewy iście syberyjskiego powietrza. To śmieszne.

Przecież w pomieszczeniu znajdowało się małe dziecko. Wszyscy mogliśmy wpaść w ciężką chorobę. Podeszłam szybko do drzwi i przytrzymując jedną ręką Kate, drugą starannie zamknęłam drzwi na zatrask.

— Nie powinnaś była tego robić — rzekła ponuro Anna. Spojrzałam na nią zdziwiona.

Wydawało mi się, że jest jeszcze zbyt wcześnie, nawet jak na Annę, żeby zachowywać się tak tajemniczo.

— Dlaczego? — spytałam cicho. Chciałam ją trochę rozbawić. — Czy Bogini Poranka ukarze mnie za zamknięcie jej wejścia do kuchni?

— Nie. — Anna popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

W tym momencie za drzwiami rozległy się przytłumione warknięcia i odgłosy szamotaniny.

Ktoś lub coś zdenerwowało się z powodu zamkniętych drzwi.

Jak na Boginię Poranka słownictwo było raczej niewybredne.

Anna z westchnieniem podeszła i otworzyła drzwi.

Na stopniu stał ojciec, niemal całkowicie zakryty stertą wysuszonych ubrań.

— Kto zamknął te cholerne drzwi?! — ryknął spoza naręcza dżinsów i swetrów.—Mogłem się spodziewać, że to ty — syknął na Annę stojącą z dłonią na klamce.

— Tato, to moja wina — powiedziałam szybko. Anna była na granicy płaczu. — Zrobiłam to, bo było nam zimno — wyjaśniłam, gdy ojciec spojrział na mnie z wyrzutem. — A nie dlatego, żebyś nie mógł wejść.

Jezu, co za menażeria nerwusów.

W porównaniu z resztą rodziny byłam najzupełniej normalna.

— Dobra. — Rzucił ubrania na stół, nie zważając na nie dojedzone resztki tostów i miseczki z płatkami. — Co z tego chcesz zabrać?

— Helen, dlaczego masz taki trudny charakter? — westchnęła mama. — Masz szafy pełne ubrań, ale potrzebujesz właśnie tego, co suszy się w ogródku.

Helen uśmiechnęła się jak kociak. Uwielbiała słuchać, że ma trudny charakter. Czowała się wtedy taka silna. Bo naprawdę taka była.

Z pogardliwym uśmieszkiem wybrała parę ubrań ze sterty i podała je ojcu.

— Co mam z nimi zrobić? — spytał zdziwiony.

— Trzeba je wyprasować — odparła równie zaskoczona.

— Wyprasować? Ja?

— Zamierzasz wysłać mnie do Belfastu w pogniecionych ciuchach?

— spytała oburzona Helen. — Przecież jestem ambasadorem wolnego

kraju. Nie mogę jechać do Belfastu ubrana jak dziadówka. Pomyślą sobie, że katolicy to obrzydliwe brudasy.

— Tak, tak, tak. — Ojciec podniósł ręce, broniąc się przed jej żywiołowym orędziem.

Biedak.

Nie miał szans.

W kuchni zapanował spokój.

Zaczęliśmy jeść tosty, pić kawę, nawiązywać — mówiąc ogólnie — konwersację.

— Zgadnijcie, u kogo będę mieszkać w Belfaście? — spytała niewinnym, melodyjnym głosem Helen. Swobodnym i zblazowanym.

Znałam ten ton.

Czułam, że nadciągają kłopoty.

— U kogo? — spytała Anna.

— U protestantów — odparła przytłumionym, budzącym grozę głosem.

Mama spokojnie popijała herbatę.

— Mamo, nie słyszałaś? — rzuciła rozdrażniona Helen. — Powiedziałam, że będę mieszkać u protestantów.

— No i co? — Podniosła na nią wzrok.

— Przecież ich nienawidzimy, prawda?

— Nie, Helen. Nie czujemy nienawiści do nikogo — odparła tak, jakby tłumaczyła czteroletniemu dziecku.

— Nawet do protestantów?

Helen wyraźnie miała ochotę na sprzeczkę.

— Nawet do protestantów.

— A jeśli zmienię się pod ich wpływem i zacznę się bawić w układanie kwiatków?

Helen jakimś zrzędzeniem losu wyrobiła sobie dość fałszywą i bardzo ogólną opinię na temat protestantów.

Że stanowią śmieszne połączenie Belzebuba i panny Marple.

Oczywiście mieli rogi, racice, ziali ogniem i przyrzadzali dżem domowej roboty.

— No i co z tego? — spytała uprzejmie mama.

— A jeśli przestanę chodzić na mszę? — W głosie Helen pojawiło się przerażenie.

— I tak nie chodzisz — wtrąciła się Anna.

Zapadło niemiłe, pełne napięcia milczenie.

Na szczęście Kate, która widocznie wyczuła ten nastrój, rozładowała niezręczną sytuację, odzywając się głośnym płaczem.

Pomyślałam, że ma przed sobą wspaniałą przyszłość jako ambasador lub pracownik ONZ.

W kuchni zapanował chaos, jako że Anna i Helen też rzuciły się, by pomagać w przygotowaniu butelki dla mojego dziecka.

Ojciec wyjął deskę i zajął się prasowaniem. Wcisnął guzik pary z taką gorliwością, że już po chwili nasza kuchnia przypominała saunę.

Tylko mama siedziała, jakby była wykuta z kamienia.

Jednak po pewnym czasie również ona zaangażowała się w nasze działania. Zaczęła sprzątać ze stołu i z ponurą miną wyrzuciła zimne tosty do śmieci.

A szkoda, bo ja bardzo lubię zimne tosty. Miałam jednak dosyć rozumu, by nie wdawać się z mamą w dyskusję chwilę po tym, jak dowiedziała się, że jedna z jej córek nie chodzi na mszę.

Nawet jeśli rzeczoną córką nie byłam ja.

Wszystko wróciło do normy.

Przy czym „norma” to pojęcie bardzo względne.

To, co dla jednego człowieka jest normą, dla innego stanowi całkowicie wrogie, anarchiczne, zwariowane środowisko.

Popelniane przez Helen gafy nigdy nie deprymowały jej na długo.

Chwilę później podjęła swoją bezmyślną gadaninę.

— Ciekawe, jak to będzie w Belfaście. A jeśli zostanę zabita? Wszystko może się zdarzyć. Mogę zginąć od kuli albo od wybuchu. Być może widzicie mnie ostatni raz w życiu.

Patrzyliśmy na nią oniemiałi, szarpani emocjami. Nawet Kate przycichła.

Niemożliwe, żebyśmy mieli aż tyle Szczęścia.

— Albo zostanę porwana — rozmarzyła się. — Jak Brian Keenan. On też ma dwie brzydkie siostry! — dodała triumfalnie, znalazłszy podobieństwo między sobą a ofiarą uprowadzenia. — Tyle że ja mam cztery brzydkie siostry — zamyśliła się. — Nie szkodzi.

— Nie są brzydkie — odezwała się urażona mama.

— Dzięki, mamó — rzuciłam Helen złośliwy uśmiezek.

— Tak, dzięki — dołączyła się Anna.

— Co wy? — rozzłościła się mama. — Miałam na myśli siostry Briana Keenana.

— Aha — odparłam słabo.

Helen ciągle gadała o swoim porwaniu.

A w moim sercu pojawiło się wielkie współczucie dla ewentualnych porywaczy.

Każdy, kto uprowadziłby Helen, miałby pewność, że został wystrychnięty na dudka. Ze ona jest jakąś straszliwą, tajną bronią przyslaną z zewnątrz, aby wykończyć organizację porywaczy od środka.

Nic nie było w stanie jej przestraszyć.

Mogłaby siedzieć skuta łańcuchami w brudnej piwnicy razem z uzbrojonym po zęby, szczupłym, młodym, bladym fanatykiem o wydatnych mięśniach i płonących oczach, a następnie nawiązać rozmowę i spytać, gdzie kupił swój piękny sweter.

Albo też rozgadać się na jakikolwiek inny temat.

Bez zastanowienia mogłaby powiedzieć: „Chyba będziecie musieli mnie trochę torturować. Co zrobicie? Moglibyście odciąć mi ucho i wysłać je pocztą z żądaniem okupu. To byłoby fajnie. Ucho i tak nie jest mi potrzebne, bo słyszę wszystko uchem wewnętrznym. A nie małżowiną. Chociaż potem byłby problem, gdybym chciała nosić okulary, bo przekrzywiałyby się na jedną stronę. Ale są jeszcze szkła kontaktowe. Tak! Mogłabym kazać ojcu kupić mi te kolorowe szkła. Może brązowe? Myślisz, że byłoby mi ładnie z brązowymi oczami?”

A biedny terrorysta byłby już kompletnie wyczerpany i przerażony. W tej sytuacji mógłby powiedzieć:

„Zamknij się, suko”.

Być może usłuchałaby na krótko, zanim podjęłaby monolog:

„Fajne kajdanki. Ja też mam podobne, ale byle jakie, plastikowe. To pewnie jedna z zalet tej roboty, że można sobie pożyczyć dobre kajdanki. Wiesz, żeby na przykład skuć swoją dziewczynę. Chociaż to pewnie problem, gdy masz więźnia. Ale mnie to nie przeszkadza. Zabierz je sobie wieczorem. Obiecuję, że nie będę próbowała uciekać...”

I tak dalej, i tak dalej, aż facet zupełnie się załamał.

Dorośli mężczyźni wybuchaliby płaczem:

„Ona jest straszna, straszna! Zrobię, co chcecie, ale niech ona przestanie!”

Tak więc Helen wróciłaby bezpiecznie do domu nie tylko z nienaruszonym okupem, ale z dodatkowymi pieniędzmi, na które zrzuciliby się terroryści, oraz z liścikiem dla rodziny, wyrażającym najgłębsze współczucie.

W końcu wyjechała. Któryś kolega z uczelni, biedny idiota imieniem Anthony, miał wątpliwą przyjemność towarzyszyć jej podczas trzygodzinnej jazdy do Belfastu.

Tak więc zasiadła obok kierowcy w samochodzie z pobożną miną i butelką święconej wody w ręku.

Przed wyjazdem ani słowem nie wspomniała o Adamie.

Głupia krowa.

Może on też wybierał się do Belfastu. Może już tam był.

Może wszystkie linie telefoniczne w Rathmines zostały odcięte i dlatego nie zadzwonił.

Może w czasie jazdy rowerem został potrącony i teraz leżał ranny w szpitalu.

Najważniejsze było to, że jednak nie zadzwonił.

I nie zamierzał tego zrobić.

A więc co ja powinnam w tej sytuacji uczynić?

Zdziwiło mnie to, że przez ostatnie dni prawie wcale nie myślałam o Jamesie.

W mojej głowie był tylko Adam, Adam, Adam.

Podobnie jak stewardowie na Titanicu bardziej niepokoiłi się pełnymi popielniczkami, które należało oczyścić, niż ogromną wyrwą w burcie statku, przez którą do środka wdzierały się hektolitry wody, tak samo ja martwiłam się tym, co nieistotne, ignorując naprawdę ważne sprawy. Czasami tak jest łatwiej.

Bo chociaż w kwestii wyrwy nic nie mogłam zrobić, to jednak było w mojej mocy oczyszczenie popielniczki. Piękna analogia.

W konsekwencji takiego rozumowania cały wtorek spędziłam, wążając się bezmyślnie po domu.

Nie jak pijany trener rugbystów na libacji.

Po prostu czułam się przygnębiona i wyglądałam wręcz tragicznie.

Czy zadzwoniłam do Jamesa?

Przykro mi, ale nie.

Przechodziłam fazę uzalania się nad sobą.

Zaatakowała mnie wyjątkowo jadowita forma biadolenia.

Oczywiście to mnie nie usprawiedliwia.

Bóg mi świadkiem, że nie próbowałam się tłumaczyć.

Ale byłam... byłam... w depresji, do jasnej cholery!

Rozdział 20

Następny dzień wcale nie okazał się lepszy.

Jezu! Czy spotkaliście kiedyś osobę, która uzalałaby się nad sobą tak jak ja?

To było niedorzeczne i musiało się wreszcie skończyć.

Zwlokłam się z łóżka i zajęłam się Kate. A potem sobą.

Nie martwcie się, nie będzie powtórki etapu, kiedy to upijałam się i unikałam kąpieli.

Nie było ze mną aż tak źle.

Jakoś przetrwałam ten dzień.
Szczerze mówiąc, nie dokonałam niczego wielkiego.
Nie odkryłam lekarstwa na raka.
Nie wynalazłam rajstop, w których nie leciałyby oczka.
Wstydzę się przyznać, ale również nie zadzwoniłam do Jamesa.
Wiem, wiem! Przepraszam, zdaję sobie sprawę, że powinnam była to zrobić, że unikałam wykonywania swoich obowiązków.
Ale czułam się taka samotna, taka pusta.
Mój smutek, poczucie samotności i inne emocje kwalifikowały się do gatunku „Zagubienie” i do podgatunku „Odrzucenie”.
Ale to nie usprawiedliwiało mojej beczynności. Tak jakbym pozwoliła, by trawa rosła pod moimi stopami. Oczywiście zawsze bardziej zielona. Zwłaszcza gdy nie ma do niej dostępu.
Wybaczcie tę mieszaninę powiedzonek.
W każdym razie wstałam w czwartek.
I zadzwoniłam do Jamesa.
Nawet nie byłam zdenerwowana.
Dzięki Adamowi.
Nie ma tego złego i tak dalej.
Bo przed rozmową z Jamesem nastawiłam się tak: „Phi, niech ci się nie wydaje, że jesteś wyjątkowy, bo nie jesteś. Nie tylko ty potrafisz sprawić, że czuję się smutna, samotna i odrzucona. O, nie! Są miliony innych, którzy potrafią zrobić dokładnie to samo co ty. Więc miarkuj się!”
Może nie było to idealne nastawienie z punktu widzenia mojej samooceny, ale nieważne.
Wybrałam numer do Londynu. Nawet nie drżały mi ręce. Głos też.
„A to ciekawe”, pomyślałam.
James nie był już w stanie zredukować mnie do trzęsącego się ludzkiego wraku.
Przynajmniej w momencie, gdy wybierałam jego służbowy numer.
Ale nie dajmy się ponieść.

Pewnym siebie, spokojnym głosem poprosiłam recepcjonistkę, żeby mnie z nim połączyła.

Wydawało mi się, że Londyn jest oddalony o miliony kilometrów. Jak inna planeta. Zupełnie jakbym codziennie w „Wiadomościach” nie oglądała migawek z tego miasta. Głos recepcjonistki dobiegał z jakiegoś bardzo odległego, egzotycznego miejsca.

Co odzwierciedlało mój nastrój. Moje życie z Jamesem stało się czymś odległym i egzotycznym.

A może odniosłam takie wrażenie dlatego, że recepcjonistka była Greczynką?

Wszystko jedno. Spokojnie czekałam, żeby z nim porozmawiać.

No bo czym tu się przejmować? Co miałam do stracenia? Nic.

Jak ktoś kiedyś powiedział—jakiś przygnębiony, sardoniczny mizantrop — wolność jest wtedy, gdy nie ma nic do stracenia.

Zanim to usłyszałam, sądziłam, że wolność to możliwość pójścia na basen w czasie menstruacji.

Byłam źle poinformowana.

Oczywiście, mając dwanaście lat, wierzy się we wszystko. Czy wiecie, że nie można zajść w ciążę, jeśli się to robi na stojaka? To prawda.

A wiecie, że można zajść w ciążę, gdy się ssie męskiego ptaszka?

Wiedziałam, że nic takiego mi się nie przytrafi, bo nigdy nie robiłam czegoś tak obrzydliwego jak ssanie męskiego ptaszka.

I ani przez moment nie wierzyłam, że ktokolwiek na świecie zrobiłby coś tak wstrętnego.

W wieku dwunastu lat nie znałam jeszcze terminu „akt pozostający w sprzeczności z naturą”, ale gdybym tylko go znała, uczepiłabym się go ze wszystkich sił.

Mogłabym uronić łzę nad swoim niewinnym, pełnym idealizmu dzieciństwem.

Ale z drugiej strony nie wiedziałam, co mnie omija.

Przepraszam, chcieliście wiedzieć, jak mi poszło z Jamesem.

Nie mówiłam?

Nie było go.

Uczestniczył w jakimś spotkaniu. Nie podałam swojego nazwiska.

I macie w zupełności rację, podejrzewając, że odczułam pewną ulgę, gdy nie musiałam z nim rozmawiać. Ale ja byłam w porządku. Przecież zadzwoniłam do niego, prawda? Niech ktoś spróbuje powiedzieć, że nie. Czy to moja wina, że go nie było? Oczywiście, że nie.

Oznaczało to, że na parę godzin mogę wyzbyć się poczucia winy.

Tak więc w porze lunchu byłam w doskonałym nastroju. Wzięłam Kate na ręce i zakręciłam się dookoła. Musiałyśmy stanowić przepiękny widok. Śliczne dziecko w kochających ramionach oddanej matki. Co prawda Kate przestraszyła się i zaczęła płakać, ale to nieważne.

Miałam dobre intencje.

I serce we właściwym miejscu.

Nawet jeśli punkt ciężkości Kate we właściwym miejscu nie był.

— Chodź, kochanie — powiedziałam. — Włożymy najładniejszy kaftanik, pojedziemy do miasta i popatrzymy sobie na ludzi.

Tak więc pojechaliśmy do miasta.

Nie mogłam z czystym sumieniem kupować sobie więcej ciuchów.

Nie po sobotnim szaleństwie zakupów. Ale mogłam kupować nowe ubranka dla Kate. Ha! Nie traćcie czasu, i tak nie uda się wam wywołać we mnie poczucia winy.

Miałam żelazne alibi. '

Z każdym dniem dowiadywałam się czegoś dobrego o Kate. Wzbogacała całe moje życie.

Kupiłam jej najmniejszą dzinsową sukienkę bez rękawów.

Nawet ta najmniejsza okazała się na nią za duża, ale już niedługo Kate urośnie tak, że będzie mogła ją nosić. Była naprawdę śliczna.

Kupiłam jej też najśłodszy kaftanik, błękitny w granatowe grochy, i—uwaga—do kompletu maleńką kurteczkę z zamkiem błyskawicznym i kapturkiem.

Gdy pozna jakieś fajne dzieciaki, będzie do nich pasować.

I skarpetki.

Mogłabym godzinami opowiadać o tych skarpetkach.

Tak maleńkie, puszyste, przytulne, ciepłe i miękkie, w których schowają się maleńkie, różowiutkie stopki Kate.

Czasami spływała na mnie tak ogromna fala miłości, że chciałam przytulać Kate ze wszystkich sił, ale bałam się ojej zdrowie.

Potem jakiś czas chodziłyśmy po księgarni.

Zawsze gdy znalazłam się w promieniu stu metrów od księgarni, czułam, jak w moich żyłach krąży zwiększona dawka adrenaliny.

Uwielbiałam książki.

Niemal tak samo jak ciuchy. A to już coś znaczy.

Uwielbiałam je dotykać, kochałam ich zapach. Księgarnia była dla mnie jaskinią Aladyna. Za tą lśniącą okładką można znaleźć inne światy, historie życia wielu ludzi. Wystarczy tylko zajrzeć.

Tak więc zdecydowałam się zajrzeć do świata i życia osoby imieniem Samantha, która — jak się wydaje — „miała wszystko”. Pałacyk we Florencji, mieszkanie w Nowym Jorku, dom tuż przy pałacu Buckingham, mnóstwo bezcennych klejnotów, jedno czy dwa wydawnictwa, odrzutowiec, superchłopaka —jakiegoś hrabiego czy księcia — oraz wielki, okryty mrokiem sekret i tragiczną, równie tajemniczą przeszłość.

Mogłabym się założyć, że zanim jej los się odmienił, była lesbijską prostytutką.

Sama prostytutka to za mało szokujące.

Potrzebne było coś więcej. Jakiś hak.

Miłość lesbijską jeszcze nie spowszedniała ludziom, którzy na dźwięk tego słowa nadal odczuwali ekscytujący dreszczyk.

A co będzie, gdy ludzie przestaną się przejmować lesbijkami?

Aż bałam się pomyśleć.

Uprawianie seksu ze zwierzętami?

Uprawianie seksu z trupami?

Uprawianie seksu z szefami firm reklamowych?

To dopiero wzbudzające obrzydzenie, szokujące perspektywy.

Mogłabym kupić coś na poprawę humoru.

Coś autorstwa siostr Bronte. A może nawet Josepha Conrada. Z tego zawsze można się było pośmiać.

Jednak wolałam mniej wymagającą lekturę.

Na wszelki wypadek kupiłam jakąś kompletną szmirę.

Gdy wyszłam z księgarni, trzymając kurczowo moje dziecko oraz bestseller w złocistej okładce, znalazłam się przed tą samą kawiarnią, w której byłam z Adamem w sobotę. A ponieważ miałam godzinkę czy nawet dwie wolnego czasu, więc weszłam do środka, usiadłam i — zgadnijcie — półtorej godziny po mnie w kawiarni zjawił się Adam.

Co za zbieg okoliczności.

Zbyt piękne, żeby było prawdziwe, co?

Czemu to przypisać, jeśli nie Bożej interwencji?

Wyjaśnijcie to, jeśli potraficie.

Nie wierzyłam zbyt w siły nadprzyrodzone, ale wiedziałam, kiedy Bóg znajduje się przy mnie. Nie udało mi się was przekonać? Wobec tego wyjaśnię.

Zapewne miałam taką maleńką, maluteńką iskierkę nadziei, że jeśli pojedę do miasta, to może natknę się gdzieś na Adama.

I że skoro był w sobotę w tej konkretnej kawiarni, gdzie przebywały również jego koleżanki z roku, to istniała niewielka szansa, że jednak wpadnie tu również w czwartkowe popołudnie.

Wszyscy wiedzą, że studenci — jeśli tylko nie upijają się i nie biorą narkotyków — przesiadują godzinami w kawiarenkach nad jedną filiżanką zimnej kawy na dziesięć osób i bawią się cukrem.

Być może ja sama też trochę za długo bujałam się nad jednym czajniczkiem herbaty i wafelkiem w czekoladzie.

Ktoś mógłby nawet stwierdzić, że czekałam na Adama.

Kiedy w końcu wszedł, nie mogłam określić tego zdarzenia mianem duchowego czy metafizycznego.

Można nawet powiedzieć, że zorganizowałam nasze spotkanie.

Chociaż to nie fair. Szczęście sprzyja lepszym. Bóg pomaga tym, którzy biorą los w swoje ręce. Nawet Bóg nie pojedzie zaparkowanym samochodem. Gdybym została w łóżku cały dzień z tabliczką czekolady i egzemplarzem „Marie Claire”, czy spotkałabym Adama? Odpowiedź może być tylko jedna: nie.

Siedziałam tam, jednym okiem czytając o tym, jak Samantha przejmie czyjąś firmę, a drugim bacznie obserwując drzwi. Chociaż miałam nadzieję, że przyjdzie i nawet poniekąd czekałam na to, jego pojawienie się kompletnie mnie zaskoczyło.

Był taki... taki... piękny.

Wysoki, silny. A zarazem chłopięcy.

— Tylko spokojnie — powiedziałam do siebie. — Oddychaj głęboko.

Oparłam się odruchowi, by rzucić Kate na stół, pobiec do niego i wpaść w jego ramiona.

Przypomniałam sobie, że już wykorzystałam cały limit emocjonalnych zachowań dotyczących jego osoby, więc chyba lepiej będzie postępować jak przystało na normalną, zrównoważoną kobietę.

Cholera, jak trochę poćwiczę, to może nawet taka się stanę! Tak więc siedziałam zrównoważona, wyniosła, starając się emanować spokojem, opanowaniem i samokontrolą.

W końcu mnie zobaczył. Wstrzymałam oddech.

Oczekiwałam, że zacznie przebierać nogami i parskać jak przestraszony koń, po czym rzuci się do drzwi, jakby goniło go stado wściekłych psów.

Myślałam, że pobiegnie jak zając przez kawiarnię, przewracając stoły i krzesła, rozlewając kawę i herbatę niewinnych świadków, że z nastroszonymi włosami i wybałuszonymi oczami zacznie krzyczeć do wszystkich, dziko wytykając palcem mnie i Kate: „Ta tutaj to wariatka. Nie podchodźcie do niej!”

Jednak nic takiego nie zrobił.

Uśmiechnął się do mnie.

Muszę przyznać, że był to powściągliwy uśmiech. Niemniej uśmiech.

— Claire — powiedział i podszedł do naszego stolika. — O, jest i Kate.

Nie pomylił się ani razu.

Niewiele rzeczy mogło ujść jego uwagi.

Pocałował Kate.

A mnie nie.

Ale zdołałam to przeżyć.

Byłam tak uszczęśliwiona jego widokiem, a jeszcze bardziej faktem, że chciał ze mną rozmawiać. Nie obchodziło mnie, którą z nas pocałował.

— Może przysiadzisz się do nas? — zaproponowałam uprzejmie.

Zrównowazona. Opanowana. Idealna pani domu.

Nienaganne maniery. Emocje — jeśli w ogóle miałam jakiegokolwiek — pod całkowitą kontrolą.

Siedziałam z podniesioną głową, z lekko ściągniętymi ustami, z nieprzeniknionym obliczem.

Nic w moim wyglądzie nie mogło go przestraszyć.

— Zgoda — odpowiedział.

Ostrożnie i asekuracyjnie. Uważnie mnie obserwował. Może spodziewał się, że oskarżę go o chęć przespania się z moją mamą.

— Przyniosę sobie kawę — powiedział.

— Dobrze — uśmiechnęłam się wspaniałomyślnie. Równowaga i spokój emanowały (mam nadzieję) z każdej pory mego ciała.

Poszedł.

A ja czekałam.

I czekałam.

Pomyślałam ze smutkiem, że pewnie zwiął. Na pewno nie chce mieć ze mną do czynienia. Ostatnio coraz lepiej udaje mi się zniechęcać do siebie ludzi.

Pewnie zaklinał się w małym okienku w męskiej toalecie, próbując wydostać się na zewnątrz pośród odoru pojemników na śmieci, gnijących liści kapusty i butelek po brandy, które zazwyczaj zalegają wokół zaplecza restauracji i kafejek.

Włożyłam książkę do torby — tak bardzo ucieszyłam się na widok Adama, że zapomniałam zakryć okładkę tego kiczu — i ułożyłam Kate wygodniej w nosidełku.

„Przynajmniej próbowałam”, rzekłam do siebie w myślach.

Byłam zadowolona.

Nie dostałam tego, co chciałam, ale przynajmniej brałam odpowiedzialność za swoje życie. Próbowałam coś naprawić, do czegoś doprowadzić.

Nie zachowywałam się jak bierna ofiara, czekająca na to, co przyniesie jej los.

Wzięłam ster w swoje ręce.

Nie udało się, trudno.

Najważniejsze to próbować.

Kiedy następnym razem poznam miłego faceta, nie będę się zachowywać jak głupia nastolatka, która podejrzewa wszystkie inne kobiety o to, że chcą się przespać z jej idolem.

Byłam właśnie gotowa do wyjścia, gdy Adam wyszedł beztrąsko z za rogu, niosąc tacę z kawą i ciastkami.

Drań!

Już byłam całkowicie dorosła, mądra, dojrzała i to wszystko na nic.

Tak dobrze się czułam — smutna, lecz bogatsza o doświadczenia własnych błędów—a on musiał wrócić i wszystko zepsuć.

Znikło gdzieś moje refleksyjne, różowe, introspekcyjne wrażenie wewnętrznego ciepła.

Egoista!

Miałam wielką ochotę powiedzieć mu, żeby spadał i zostawił mnie w spokoju. Niecałe pięć minut temu pogodziłam się z jego utratą, więc co miałam teraz z nim zrobić?

Miło spędzać czas w jego towarzystwie?

Postradaliście rozum?

— Przepraszam, że tak długo mnie nie było — powiedział. — Kajsjerka dostała jakiegoś ataku i... hej... dokąd idziesz?

Wydawał się autentycznie zaskoczony. A potem zły.

— Przepraszam — wybąkałam opadła z sił.

Jeśli kiedykolwiek miał powody, by uważać mnie za chorą na nerwy histeryczkę, teraz mógł jedynie stwierdzić, że jestem niezrównoważoną suką, która miewa częste napady złego humoru.

— Dlaczego odchodzisz? — spytał. Był jednocześnie poirytowany i urażony. — Przepraszam, że tak długo mi zeszło. Myślałem, że zaczekasz.

— Myślałam, że sobie poszedłeś.

— Dlaczego? — Był zupełnie zaskoczony. — Dlaczego miałbym sobie pójść?

— Nie wiem. — Zrobiło mi się niedobrze ze wstydu. „Tym razem popsulaś wszystko na dobre”, pomyślałam.

— Posłuchaj! — powiedział. Uderzył tacą w stół, rozlewając kawę. Podskoczyłam przestraszona.

— Siadaj! — rzucił ze złością. Położył dłonie na moich ramionach i zdecydowanie posadził mnie na krześle.

„Jezu, nie tak ostro”, pomyślałam.

— Przepraszam, Kate — odezwał się ze skruchą. Widocznie na jej twarzyczce pojawiło się zaskoczenie zmianą w jego zachowaniu.

— A teraz — znowu wpadł w złość — mów, co się z tobą dzieje.

— Jak to? — spytałam niewinnie.

Widać było, jak stara się zapanować nad wzburzeniem. Przestraszyłam się.

— Dlaczego tak mnie traktujesz? — spytał ostro, zbliżając do mnie twarz.

Nie wierzyłam własnym oczom.

Gdzie się podział ten miły, wyrozumiały Adam?

Kim był ten rozjuszony facet, który zajął jego miejsce?

— Niby jak? — spytałam zahipnotyzowana. Bałam się go, ale nie mogłam oderwać wzroku od jego niebieskich, pełnych złości oczu. Podobnie jak królik stojący w światłach reflektorów nadjeżdżającego samochodu.

— Jak jakiegoś przestępcę.

— Wcale nie — zaprotestowałam zdumiona. Przecież nie traktowałam go jak przestępcę, prawda?

— Właśnie, że tak — warknął, wbijając palce w moje ramiona. — Prawdę mówiąc, robisz to od naszego pierwszego spotkania. Poznałem

cię, polubiłem, chciałem cię widywać, co w tym złego? — powiedział z furją.

— Nic — szepnęłam.

— To dlaczego zachowujesz się, jakbym był draniem w typie Casanovy, jakbym kręcił z twoją siostrą, a teraz jeszcze myślisz, że poszedłbym sobie, zostawiając cię tutaj. Dlaczego?

Ludzie siedzący przy innych stolikach zaczęli przyglądać się nam z zainteresowaniem, lecz Adam ich nie zauważył, ja zaś uznałam, że nie powinnam zwrócić na nich jego uwagi, przynajmniej nie wtedy, gdy był w takim nastroju.

— Nie widzisz, jakie to dla mnie obraźliwe?

— Nie. — Prawie bałam się na niego spojrzeć.

— Ale tak właśnie jest!

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Siedziałam i patrzyłam na niego. Wbijał we mnie spojrzenie swoich niebieskich oczu. Nagle zdałam sobie sprawę, że jesteśmy bardzo blisko siebie.

Nasze twarze dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów. Widziałam pojedyncze włoski jego zarostu, delikatnie opaloną skórę policzków, równe białe zęby, seksowne usta... Nagle znieruchomiał.

Cała złość i porywczność gdzieś się ulotniły.

Siedzieliśmy niczym posągi i patrzyliśmy na siebie. Wciąż trzymał mnie za ramiona.

Bardzo mocno czułam jego siłę, a zarazem jego bezbronność.

W powietrzu wisiało napięcie, wibrujące w zupełnej ciszy.

Odsunął się. Potem kompletnie wyczerpany opadł na krzesło. Jego ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała.

— Adam — odważyłam się odezwać. Nawet nie podniósł na mnie wzroku. Siedział z opuszczoną głową.

A ja patrzyłam na jego piękne czarne włosy.

— Adam — powtórzyłam, delikatnie dotykając jego ramienia. Zeszywniał, ale nie odsunął się.

— To nie twoja wina, ale moja — powiedziałam niezdarnie. Nastąpiło krótkie milczenie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał. Przynajmniej tak mi się wydawało, że to właśnie powiedział.

Trudno było go zrozumieć, bo właściwie opierał podbródek na piersi i mówił prosto w swój sweter.

— Że problem tkwi we mnie. — Trudno mi było wydusić to z siebie. Ale musiałam to powiedzieć. Należało mu się.

Zdenerwowałam go, więc przynajmniej powinnam mu wyznać, co się dzieje w mojej głowie. Powiedział do mnie coś jeszcze.

— Przepraszam, Adam, nie rozumiałam cię. Podniósł głowę i spojrział na mnie.

Był w złym humorze, ale wyglądał pięknie.

— Pytałem, na czym polega twój problem — powtórzył z irytacją.

Znowu przeszedł mnie strach. Musiałam to wszystko naprawić.

Jednak trudno było z nim rozmawiać, gdy zachowywał się w tak onieśmielający mnie sposób.

— To dlatego, że nie czuję się bezpiecznie i jestem podejrzliwa. Milczał.

Tylko patrzył na mnie ponuro.

— Ty nie zrobiłeś nic złego — mówiłam drżącym głosem. Posepnie skinął głową.

Przynajmniej wydawało mi się, że skinął. Tak to wyglądało.

Chociaż ruch był bardzo nieznaczny i ponury. Oczywiście, być może poruszył głowę tylko po to, by nieznacznie zmienić jej pozycję.

Ale to wystarczyło, by zachęcić mnie do dalszej rozmowy.

— Myślałam, że poszedłeś sobie, bo nie chciałeś ze mną rozmawiać.

— Rozumiem — odparł beznamiętnie. Miałam ochotę go zdzielić.

„Okaz jakąś reakcję, na litość boską! Powiedz mi, że to śmieszne, że zawsze będziesz chciał mnie widywać”.

Nie odezwał się.

Może nie spodobało mu się, że naprowadzam go na mówienie mi miłych rzeczy. W porządku.

Może powinnam przestać nim manipulować. Nie tylko nim, ale wszystkimi.

Lecz czasami przychodziło to tak samo instynktownie jak oddychanie.

I wcale nie byłam z tego dumna. Spróbowałam mu wyjaśnić.

— Myślałam, że nie chcesz ze mną rozmawiać po naszej niedzielnej rozmowie przez telefon, gdy byłam taka nierozsądna.

— Bo byłaś — zgodził się.

— Ale ja się boję — rzekłam smutno.

— Czego? — Już nie był taki wściekły.

— Wszystkiego... — powiedziałam. I z przerażeniem stwierdziłam, że mam oczy pełne łez.

Przysięgam, że nie zrobiłam tego celowo.

Byłam tak samo jak on zaskoczona swoim płaczem.

— Przepraszam. — Pociągnęłam nosem. — Nie robię tego, abyś był dla mnie miły.

— To dobrze — powiedział. — Bo to i tak nic nie da. „Bezwzględny skurczybyk”, przeleciało mi przez głowę. Jednak natychmiast odrzuciłam tę myśl.

— Reaguję na płaczące kobiety tylko wtedy, gdy nie ukończyły drugiego roku życia — uśmiechnął się półgębkiem, dotykając twarzyczki Kate.

— Aha. — Odważyłam się zaśmiać, chociaż nadal płakałam.

— Więc czego tak się boisz? Co powoduje, że jesteś dla mnie taka okropna? — spytał. Tym razem złagodniał o wiele bardziej.

— Takie zwykłe sprawy — odparłam, próbując zebrać się w sobie.

— Jakie? — nalegał.

— Boję się, że stracę kogoś, na kim mi zależy, że zrobię z siebie idiotkę, że zostanę skrzywdzona, że odstraszę od siebie ludzi, że jestem zbyt nachalna, zbyt wyniosła... — trajkotałam. — Mam mówić dalej? Bo wysłuchanie tej listy zajmie ci parę godzin.

— Nie. Dobrze już, dobrze. Ale my wszyscy tego się boimy.

— Naprawdę? — spytałam zdumiona.

— Oczywiście — zapewnił mnie. — Dlaczego ci się wydaje, że jesteś taka wyjątkowa? Nie masz monopolu na odczuwanie takich obaw. Poza tym, jakim sposobem ja wywołuję w tobie strach?

— Myślałam, że chcesz mnie skłócić z Helen—powiedziałam.

— Przecież mówiłem ci, że nie — znowu się złościł. — I mówiłem, że rozumiem, dlaczego tak się czułaś, chociaż wcale mi się to nie podobało.

— Ale dlaczego jesteś taki wrażliwy na tym punkcie? — Chwilowo przestałam myśleć o własnym nieszczęściu. — Myślałam, że wszyscy mężczyźni lubią, gdy uważa się ich po części za chłopców.

— Ja tego nie lubię. — Był smutny. Wiedziałam, że myśli nie tylko o mnie i o Helen.

Co wydarzyło się w jego życiu? Jakie cierpienie w sobie nosił? Musiałam się dowiedzieć.

Lecz najpierw należało rozwiązać bieżące nieporozumienia. Odważnie brnęłam dalej.

— Po naszej niedzielnej rozmowie wiedziałam, że zachowałam się jak histeryczka, że pewnie zniechęciłam cię i już więcej do mnie nie zadzwonisz — wyrzuciłam z siebie, obserwując spod rzęs jego reakcję.

— No cóż... — powiedział wolno.

„Prędzej, na litość boską, bo dłużej nie wytrzymam”, pomyślałam.

— Nie miałem zamiaru do ciebie zadzwonić — dokończył.

— Aha.

Więc miałam rację. Instynkt sprawdził się na sto procent. Za to minus milion procent dla mojego samopoczucia. Poczułam się tak, jakby koń kopnął mnie w brzuch. Chociaż to nie jest prawda, bo nigdy żaden koń w brzuch mnie nie kopnął.

Myślicie, że teraz siedziałabym sobie tutaj razem z wami, gdybym otrzymała kopniaka w brzuch od konia?

Odpowiedź może być tylko jedna: nie.

Lecz właśnie tak się czułam, gdy w wieku dziesięciu lat spadłam z muru i wylądowałam na brzuchu na przypominającym beton trawniku

utwardzonym promieniami letniego słońca. Wstrząs, szum w głowie, brak powietrza — wszystko to nastąpiło w jednej chwili.

No więc niemal tak samo poczułam się teraz.

— Nie dlatego, że nie chciałem — podjął nieświadomy mojego cierpienia. — Sądziłem, że tak będzie najlepiej dla ciebie.

— Jak to? — pisałam. Od razu zrobiło mi się lepiej.

— Bo zbyt wiele ostatnio przeżyłaś. Nie chciałem cię ani trochę zdenewrować, nie chciałem też sprawiać dodatkowych kłopotów.

„Mój aniołek”.

— Wcale mnie nie denerwowałeś.

— Z twojego zachowania wynikało coś innego.

— Ale nie robiłeś tego celowo — sprzeciwiłam się.

— Wiem. Dlatego wcześniej straciłem samokontrolę, za co bardzo cię przepraszam, ale sam kontakt ze mną zdawał się wywoływać u ciebie rozdrażnienie.

Ulga spływała na mnie ogromnymi falami.

— Przepraszam, że tak trudno było ze mną wytrzymać. Ale... Nabralam głęboko powietrza.

To będzie ryzykowne. Zamierzałam ujawnić swoje uczucia.

— Wolalabym spotykać się z tobą, niż zerwać kontakty — wydusiłam z siebie.

— Naprawdę? — odezwał się z nadzieją w głosie. Był taki chłopięcy, podekscytowany.

— Tak.

— Na pewno?

— Tak.

— Ufasz mi?

— Adam. — Zaśmiałam się przez łzy. — Powiedziałam, że chcę spotykać się z tobą. Nikt nie wspominał o zaufaniu.

— OK. — Teraz on również się roześmiał (jednak nie przez łzy). — Ale czy uwierzysz mi, gdy powiem, że chcę się widywać z tobą, a nie z Helen?

— Tak — odparłam poważnie.

— I że gdy kasjerka pokłóciła się z kimś o wydawaną resztę, a potem dostała ataku i uciekła, a ja musiałem czekać i czekać, żeby zapłacić za kawę, to nie pomyślisz, że uciekłem tylnym wyjściem?

LR

— Nie pomyszę — zgodziłam się.

— Więc jesteśmy przyjaciółmi? — spytał z nadzieją.

— Tak. — Skinęłam głową. — Jesteśmy przyjaciółmi. Mimo że w moim mózgu dźwięczały słowa: „Przepraszam, *przyjaciółmi!* Czy powiedziałas *przyjaciółmi!* Nie sądzę, że przyjaciele zachowują się tak, jak ty chciałabyś postępować z Adamem. Laura jest twoją przyjaciółką, a przecież nie zrywasz z niej ubrania przy każdym spotkaniu, a właśnie to — popraw mnie, jeśli się mylę — chciałabyś robić z Adamem”.

— Cicho bądź — szepnęłam do siebie.

— Co mówisz? — Adam spojrzał na mnie z niepokojem. Pewnie pomyślał, że znowu mi coś odbiło.

— Nic — uśmiechnęłam się. — Absolutnie nic.

— A więc skoro wyjaśniliśmy już sobie całe nieporozumienie, to kiedy możemy się spotkać?

— Och, nie wiem — odparłam zawstydzona.

— Masz jakieś plany na niedzielny wieczór?

—' Chyba nie. — Udawałam, że się zastanawiam, chociaż mój kalendarzyk był równie pusty jak Sahara.

— Może przygotuję dla nas kolację? — spytał. — Świetny pomysł.

— Dobrze. Jenny i Andy wyjechali na weekend, więc będziemy mieli mieszkanie dla siebie.

— Aha.

Byłam kobietą światową.

Wiedziałam, że wizyta u mężczyzny, w którego mieszkaniu nie ma innych domowników, oraz przygotowana dla mnie kolacja oznaczały znacznie więcej niż kotlet wieprzowy z kością i ciasto na deser.

„Świetnie”, pomyślałam.

Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście.

— To brzmi bardzo zachęcająco — powiedziałam. Umówiliśmy się na niedzielę wieczorem. Odprowadził mnie i Kate do samochodu, którym wróciliśmy do domu.

Rozdział 21

Przygotowania na niedzielę. Składniki:

Jedna zaniedbana, odrzucona, zniechęcona dwudziestodwuletnia kobieta, która niedawno urodziła dziecko. Duża dawka poczucia winy. Odrobina antycypacji. Paczka niepokoju o wygląd swojego ciała. Szczypta podniecenia (jeśli możliwe, dzikiego). Łyżka stołowa skondensowanej, głębokiej rozpacz. Niewielka ilość paniki wywołanej rozstępami na skórze. Dwie czarne samonośne pończochy zakończone koronką. Jedna para interesujących czarnych majtek. Jeden czarny stanik z rodzaju fantazyjnych. Jedna butelka czerwonego wina. Jedna sukienka. Jedna para pantofli. Dekoracja:

Kurewsko czerwona szminka. Kilka warstw czarnego tuszu. Przepis:

Pończochy, majtki i stanik odłożyć na bok do późniejszego wykorzystania. Wziąć kobietę.

Upewnić się, że jej oczy i skóra nadają się jeszcze do użytku.

Dodać poczucie winy, antycypację, niepokój, podniecenie, rozpacz i panikę.

Dokładnie wymieszać.

Gotować kilka dni na wolnym ogniu.

W średniej wielkości łazience przygotować kobietę do golenia nóg, farbowania włosów i malowania paznokci stóp.

Około godziny przed rozpoczęciem nasączyć dokładnie drogim balsamem do ciała, często obracając.

Dodać pończochy, parę ciekawych czarnych majtek i fantazyjny czarny stanik. Kilkakrotnie wypróbować uwodzicielskie spojrzenie, pozwalając włosom opaść na twarz i patrząc przez rzęsy przy opuszczonej lekko głowie.

Sprawdzić, czy potrafi westchnąć głęboko i wygiąć plecy w łuk, mówiąc przy tym z kamienną twarzą: „Kochanie, to było cudowne” i „O Jezu, nie przestawaj”.

Zmusić siostrę, najlepiej Annę, żeby zaopiekowała się wspomnianym wcześniej dzieckiem.

Dodać sporą dawkę kurewsko czerwonej szminki, kilka warstw czarnego tuszu, krótką, zapinaną na guziki, różową (w końcu to kolor namiętności) sukienkę, seksowne czarne pantofle z zamszowymi paseczkami na kostkę i jedną butelkę czerwonego wina.

Dopilnować, by nie zacząć konsumpcji wina z butelki przed dotarciem na miejsce przeznaczenia.

Dodatkowo prezerwatywy w torebce zawsze stanowią miły akcent.

Jeśli nie można ich zdobyć — bo na przykład nie jest na nie sezon — trzeba zastosować dużą dawkę samozaparcia. Nie zawsze jest idealnym substytutem, lecz spełnia swoją funkcję.

Podawać na łóżku z przystojnym facetem.

Postąpiłam co do joty zgodnie z instrukcją. Miałam szczęście, gdyż udało mi się zdobyć prezerwatywy, a to dzięki Laurze. Co za kobieta!

Czułam się całkiem nieźle.

Nawet się nie zdenerwowałam, gdy okazało się, że dzięki farbie do włosów (to jest uwydatniacz do włosów, kochanie, nie musimy farbować włosów, jedynie uwydatniamy ich naturalną barwę), no dobrze, więc dzięki uwydatniaczowi moje uszy i włosy były do siebie kolorystycznie idealnie dopasowane.

Ale i tak byłoby znacznie gorzej, gdyby przybrały inny kolor niż głęboki, lśniący odcień kasztanu.

Na przykład ten wasz heban czy śliwka.

Około wpół do ósmej w niedzielę szykowałam się do wyjścia.

Szłam grzeszyć i nie czułam z tego powodu ani odrobiny niepokoju.

Pocałowałam Kate na dobranoc.

Gdy już szłam ku drzwiom w płaszczu zapiętym niemal do wysokości brwi — to na wypadek, gdyby mama ujrzała mój wyzywający image — rozległ się dzwonek telefonu.

— Claire, to do ciebie — zawołała Helen. O Boże!

Ale to była Laura.

Chciała życzyć mi powodzenia i spytać, czy przećwiczyłam nakładanie prezerwatywy zębami, tak jak wcześniej mnie uczyła.

— Nie, nie ćwiczyłam! — odpowiedziałam.

Pragnęłam jak najszybciej skończyć tę rozmowę i uciec z domu, zanim ktoś mnie zobaczy.

— Dlaczego nie? — spytała Laura. — Nie możesz tak po prostu przyjechać do niego i oczekiwać, żeby był zachwycony nudnym, staroświeckim seksem. Musisz wykazać trochę inwencji.

— Ale dałaś mi tylko dwie sztuki — powiedziałam wystraszona. — Nie chciałam ich zmarnować. A poza tym na czym miałam ćwiczyć?

— Miejmy nadzieję, że dobrze się spiszesz już z pierwszą gumką. Bo w przeciwnym razie nie będziesz miała okazji, by wykorzystać drugą — rzekła ponuro.

— Przestań już, Lauro. I tak jestem zdenerwowana!

— To dobrze — zaśmiała się. — Wtedy wszystko wychodzi o wiele lepiej.

Obiecałam jej, że zadzwonię nazajutrz i opowiem wszystko z pikantnymi szczegółami.

— Albo jeśli wrócę wcześniej, to zadzwonię jeszcze dzisiaj.

— Jeśli wrócisz wcześniej, to nie będziesz miała o czym opowiadać.

— No tak — odparłam. Miała rację.

— Słuchaj, uciekam już — powiedziałam ze złością i odłożyłam słuchawkę, gdy wyjaśniała jakąś skomplikowaną figurę miłosną, którą podobno widziała kiedyś na pokazie w Bangkoku. W każdym razie mogła ją wykonać jedynie kobieta znacznie bardziej wygimnastykowana ode mnie.

Potrafiłam uprawiać seks. Urodziłam dziecko. Jak ona sądziła: skąd się ono wzięło?

A skoro już mówimy o seksualnych figlach, to muszę wam coś wyznać.

Zaczekajcie.

Otóż lubię pozycję „na misjonarza”. No i powiedziałam!

Zostałam tak wychowana, że teraz bardzo wstydzę się przed samą sobą.

Sprawiam pewnie wrażenie zamkniętej w sobie nudziary. Ale wcale taka nie jestem. Nie twierdzę, że jest to jedyna pozycja, jaką lubię. Lecz chętnie do niej wracam.

Oczywiście to nie czas i miejsce, by omawiać ulubione pozycje.

Powiem wam tylko, że według mnie mineta to najnudniejsza rzecz, jaką Bóg stworzył. Wolałabym cały dzień porządkować druki, niż poddać się temu na pięć minut.

Gdy skończą to parominutowe siorbanie, zachowują się tak, jakby oczekiwali wdzięczności. Są dumni, jakby zasłużyli na medal. I wydaje im się, że z tego tytułu przysługuje im roczny abonament na ciągnięcie druta na każde żądanie.

Oczywiście, niektóre kobiety są gorącymi zwolenniczkami tego... ale... przepraszam.

W końcu wyszłam i pojechałam do jego domu.

Rozdział 22

Zaparkowałam samochód tuż przed jego domem i podeszłam do drzwi, ogarnięta mieszaniną podniecenia i wstydu. Przypomniałam sobie, że zostawiłam w aucie butelkę wina, więc szybko po nią wróciłam.

Bez niej nigdzie nie mogłam się ruszyć.

Niezbędna dla kurażu.

Bez względu na kraj pochodzenia.

Adam otworzył drzwi niemal natychmiast. Gdybym go nie znała, mogłabym przysiąc, że krył się w holu, czaił za zasłoną i czekał na mój przyjazd. A może naprawdę tak było.

Bardzo się starał, by sprawić wrażenie równie szczęśliwego i pod-ekscytowanego jak ja.

Wydawał się lekko zaniepokojony. Miał pietra? Zmienił zdanie?

A może to przedwstępne nerwy? Lecz po chwili ruszył ostro na przód.

— Witaj — uśmiechnął się.

— Witaj — odpowiedziałam również z uśmiechem pomimo zdenerwowania.

„Jak cudownie”, pomyślałam rozemocjonowana. Czułam się niebezpiecznie dekadentka. Na randce z pięknym mężczyzną.

„Czy kiedykolwiek pragnęłam jakiegoś mężczyzny tak jak Adama?”, zastanowiłam się. „Chyba tak”, westchnęłam. Na chwilę wrócił mi rozsądek.

Ale już po chwili wydawało mi się, że nigdy nikogo nie pragnęłam. W ogóle.

„Ciekawe, po ilu minutach wylądujemy w łóżku”, myślałam. „Jak długo wytrzymam, zanim on wykona pierwszy ruch?

A jeśli to okaże się wielką katastrofą?

Może pomyśli sobie, że jestem odrażająca. Przecież dopiero co urodziłam dziecko.

Może ja pomyślę, że on jest odrażający, bo nie przypomina w niczym Jamesa.

O Boże!” Moje myśli szalały.

Powinnam była zostać w domu. Oglądanie *Coronation Street* nie wywołuje takich strasznych dylematów.

Zanim rzuciłam się do drzwi, bełkocząc, że to jedna wielka pomyłka, objął mnie ramieniem (Ach, cóż to za ramię!) i poprowadził do kuchni.

— Zdejmij płaszcz — powiedział. — Czego się napijesz?

— Ale... no dobrze. Kwaterkę czerwonego wina poproszę. Usiadłam na krześle.

Roześmiał się.

— Jesteś zdenerwowana, kochanie? — spytał aksamitnym głosem, wlewając wino do kieliszka.

, Jezu”, pomyślałam wystraszona. „Nie pytaj mnie takim tonem”.

I tak dostatecznie się bałam. Jeśli zaczniesz się zachowywać jak superpodrywacz, natychmiast ucieknę.

Teraz brakowało tylko, żeby zmienił dzinsy i bluzę na jedwabną bonżurkę i paradował wokół mnie z onyksową cygarniczką.

— Nie jestem zdenerwowana — wydusiłam z siebie. — Jestem przerażona jak cholera.

— Dlaczego? — spytał, udając zdumienie. — Przecież nie gotuję aż tak źle.

„Aha, więc tak chcesz to rozegrać?“, pomyślałam. „Udawana beztrocka, co? W porządku“.

Uśmiechnęłam się nobliwie.

I wlałam cały kieliszek wina prosto do gardła, zanim zdałam sobie sprawę, co robię.

— Spokojnie — zaniepokoił się, siadając przy mnie i ujmując moją dłoń. — Nie ugryzę cię.

„Nie? No to wracam do domu“.

— Zjemy coś tylko i porozmawiamy — powiedział łagodnie. — Nie masz powodów do niepokoju.

— No dobrze. — Spróbowałam się odprężyć. — Więc co będziemy jedli?

— Własnej roboty zupa winogronowa, Boeuf Bourguignonne z ziemniaczkami Dauphinois, a na deser zabaglione według mojego przepisu.

— Poważnie? — zdumiałam się.

Nie sądziłam, że Adam lubi gotować tak oryginalne potrawy.

Myślałam, że woli zwykłe ziemniaki i kotlety schabowe. No i że stawia bardziej na ilość niż na jakość.

— No coś ty — uśmiechnął się. — Żartujesz? Dostaniesz spaghetti po bolońsku, o ile mi wyszło.

— Jasne — roześmiałam się. Był taki miły.

I naprawdę sensowny.

— A jeśli będziesz grzeczna — urwał, patrząc na mnie znacząco — to znaczy bardzo grzeczna, to dostaniesz jeszcze krem czekoladowy.

— Ojej — zawołałam rozradowana. Znaczące spojrzenie w połączeniu z zapowiedzią kremu czekoladowego zrobiły swoje. — Wspaniale. Uwielbiam ten krem.

— Wiem. Jak myślisz, dlaczego go kupiłem? Poza tym — dodał kusząco — jeśli okażesz się naprawdę bardzo grzeczną, będziesz go mogła zjeść prosto z mojego brzucha.

Wybuchłam śmiechem. Rzeczywiście był przeuroczy.

Nie mogłam opanować dreszczu na myśl o jego płaskim, pięknie umięśnionym brzuchu.

Chociaż zapewne on oczekiwał właśnie takiej reakcji.

Pośpiesznie nalałam sobie następny kieliszek wina, lecz tym razem zmusiłam się, by wypić je małymi łydkami.

Zabrał się do przygotowania kolacji i stało się oczywiste, że nie robił tego na co dzień. Nie pasował do roli kucharza. Biegał od kuchenki do zlewozmywaka i z powrotem, podczas gdy makaron wykypiał, a sałata wyraźnie zwiędła niemal na moich oczach.

Chociaż dzięki temu miałam piękny widok na jego tyłeczek.

W przeciwieństwie do większości innych rzeczy, nie miał naturalnych uzdolnień w dziedzinie kulinarnej.

Co było jeszcze bardziej wzruszające, bo tak się starał specjalnie dla mnie.

Miał nietęgą minę, gdy ostrożnie niósł talerze i z szacunkiem postawił przede mną moją porcję.

— Napij się jeszcze wina. — Nalał mi kolejny kieliszek. To spora zmiana w stosunku do jego zachowania sprzed

dziesięciu minut, kiedy bardziej przypominał członka lokalnego oddziału Anonimowych Alkoholików.

— Chcesz mnie upić i wykorzystać? — spytałam, udając wzburzenie.

— Chcę cię upić, żebyś nie zauważyła, jeśli to spaghetti nie nadaje się do jedzenia — zaśmiał się.

— Na pewno jest znakomite.

Przykro mi stwierdzić, że zjadłam tylko odrobinę. Nie dlatego, że było niedobre.

Chociaż do końca nie wiem, jak smakowało.

Po prostu byłam tak zdenerwowana, w powietrzu wisiało tak duże napięcie, że byłam gotowa powiedzieć mu: „Adam, kochanie, oboje wiemy, po co tu przyszłam, więc pomińmy ceregiele”.

On też nie mógł jeść.

Chociaż być może w jego wypadku powodem nie było zdenerwowanie, tylko smak potrawy.

Siedzieliśmy przy stole twarzami do siebie, grzebiąc widelcami w spaghetti. Sałatka w miseczce była nienaruszona, smutna, opuszczona.

Rozmawialiśmy półsłówkami.

Od czasu do czasu podnosiłam wzrok i widziałam, jak mnie obserwuje.

Wyglądał tak, że robiło mi się bardzo gorąco. Być może w ogóle nic nie zjadłam.

Bałam się, że jeśli cokolwiek przełknę, mój brzuch zacznie sterczeć jak u grubasa.

A czy z takim brzuchem można pokazać się facetowi w czasie pierwszej wspólnej nocy?

Bałam się również, że gdy podniosę spaghetti do ust, makaron odwinie się nagle i wystrzeli prosto w moją twarz, plamiąc mnie czerwonym sosem.

Mój sposób reagowania na jedzenie w towarzystwie mężczyzny to doskonały barometr, wskazujący na mój stosunek do niego.

Jeśli nie mogę jeść, to znaczy, że za nim szaleję.

Jeśli rano wmuszę w siebie parę tostów i szklanę soku, to widomy znak początku końca.

A gdy zacznę dojadać resztki z tego talerza, to już definitywnie koniec.

Albo rychły ślub.

Tak to było do tej pory.

— Nie jesz więcej? — spytał, patrząc na moją nietkniętą porcję.

Chyba był rozczarowany. Zrobiło mi się wstyd.

— Przepraszam cię — odparłam niezręcznie. — To jest na pewno bardzo smaczne, ale po prostu nie mogę jeść. Nie wiem dlaczego. Wybacz mi. — Spojrzałam na niego błagalnie.

— Nie szkodzi. — Zabrał talerze.

— Ugotujesz coś dla mnie innym razem? — spytałam smutno.

— Oczywiście. Ale proszę cię, nie siedź z taką nieszczęśliwą miną.

— To dlatego, że się denerwuję, a nie z powodu jedzenia.

— Denerwujesz się? — Usiadł obok mnie. — Przecież nie masz powodu.

— Nie mam? — Spojrzałam mu prosto w oczy. To było z mojej strony zupełnie bezwstydne. Przyznaję się bez wahania.

Ale przecież tego wieczoru zmarnowałam już dość czasu.

— Nie — mruknął. — Nie masz powodu, żeby się denerwować.

Bardzo delikatnie objął mnie ramieniem, opierając dłoń na mojej głowie.

Zamknęłam oczy.

Nie mogłam uwierzyć, że to robię, lecz nie zamierzałam się wycofać.

Poczułam aromat jego skóry, gdy zbliżył do mnie twarz.

Czekałam na pocałunek.

Był cudowny. Słodki, delikatny, stanowczy.

Pocałunek w wykonaniu mężczyzny, który potrafi wspaniale całować, lecz nie daje odczuć, że ta wprawa wynika z praktyki uskuteczniejszej na tysiącach innych kobiet.

Gdy oderwał ode mnie usta, spojrzałam na niego przestraszona.

Co to miało oznaczać?

— Czy tak dobrze? — spytał cicho.

— Czy dobrze? — odetchnęłam z emocji. — O wiele lepiej niż dobrze.

Zaśmiał się.

— Pytałem, czy dobrze robię, całując cię. Nie chciałbym posunąć się za daleko.

— Dobrze — odpowiedziałam.

- Wiem, że zostałam skrzywdzona.
- Ale ty jesteś moim przyjacielem. Więc wszystko w porządku.
- Chciałbym być dla ciebie kimś więcej niż przyjacielem.
- Dobrze.
- Naprawdę? — Patrzył na mnie, oczekując potwierdzenia.
- Naprawdę. „Jezu!”

Nie zostawiłam sobie zbyt wiele miejsca do manewru. Zresztą wcale nie chciałam.

Zacząłam to, więc doprowadzę to do końca. Znowu mnie pocałował. Tak samo cudownie jak za pierwszym razem.

Odsunął się trochę, lecz szybko przyciągnęłam go z powrotem do siebie.

Przyglądał mi się jak zaczarowany. — Jakaś ty piękna — powiedział.

— Wcale nie — zmieszałam się.

— Ależ tak. Naprawdę.

— Nie. To Helen jest piękna.

— Posłuchaj — uśmiechnął się. — Nie chcę, żebyś uznała to za frazes z hollywoodzkiego filmu, ale jesteś piękną kobietą.

— Tak?

— Tak. Chwila ciszy.

— I jesteś ślicznym kociakiem.

— Dzięki — zaśmiałam się. — Jaka szkoda, że z ciebie taka poczwara.

Zawtórował mi śmiechem. Nie było w nim ani odrobiny próżności, Zresztą gdy jest się takim przystojnym, próżność wcale nie jest potrzebna.

To wszyscy inni odczuwają za ciebie twoją próżność.

Znowu mnie pocałował.

Cudownie.

Przy nim, w jego ramionach czułam się tak bezpiecznie, a zarazem wiedziałam, że również jemu daję poczucie spokoju. Że on potrzebuje mnie tak samo jak ja jego.

— Czy wiesz, że znamy się niecałe dwa tygodnie? — spytał.

„O, nie. Czy to oznacza, że nie pójdzie ze mną do łóżka? Wyznacz na to jakiś termin? Na przykład powie, że możemy się kochać dopiero, gdy miną trzy miesiące naszej znajomości”, myślałam.

— Tak — przyznałam. — Dokładnie dziesięć dni.

— Ale wydaje się, że dłużej. Znacznie dłużej. „Bogu dzięki”.

— Tak się cieszę, że cię poznałem. Jesteś wyjątkowa.

— Skądże. Jestem całkiem zwyczajna.

— Dla mnie jesteś wyjątkowa.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem. — Odchylił się do tyłu i spojrzał na mnie. — Jesteś bardzo interesującą kobietą, masz własne zdanie na każdy temat, no i duże poczucie humoru. Ale przede wszystkim jesteś taka urocza... No i w ogóle porządna.

— Wcale nie zawsze. Powinieneś mnie zobaczyć parę tygodni temu. Wyglądałam jak Myra Hindley, którą dopadło napięcie przedmiesiączkowe.

Roześmiał się.

A ja wpadłam w złość. Na samą siebie.

Oto piękny facet prawi mi komplementy, a ja usiłuję go przekonać, że w rzeczywistości jestem zupełnie inna.

Zazwyczaj było odwrotnie. To ja mówiłam facetom miłe rzeczy o sobie, a przez resztę wieczoru oni starali się przekonać mnie, że jestem zupełnie inna.

Znowu nachylił się i pocałował mnie.

Co za rozkosz.

Chciałam oddać się jej całkowicie.

Być z nim, nie odczuwając wyrzutów sumienia, lęku, zażenowania.

Miałam wrażenie, że przy nim byłam naprawdę we właściwym miejscu.

„Pamiętaj, że niedawno wyrządzono ci krzywdę”, przywoływałam się do porządku.

„No i co z tego? Przecież nie wychodzę za niego za męża”, odpowiadałam sama sobie. „Nie mogę się trochę rozerwać?”

Chyba mogę.

Ale przecież nie godzi się sypiać z każdym byle facetem, który mi to zaproponuje.

Lecz to nie jest byle facet.

To uroczy, słodki mężczyzna, któremu nie jestem obojętna, przynajmniej tak mi się wydaje, a on również nie jest mi obojętny”.

Ze zgrozą stwierdziłam, że on naprawdę wiele dla mnie znaczy.

Nie twierdzę, że go kochałam, bo to byłoby kłamstwo. Jednak miał w sobie coś, co mnie ujęło. I nie chciałam sprawić mu bólu. Czy miałam taki zamiar?

Czy przespanie się z nim oznaczało przyjęcie na siebie jakiegoś zobowiązania?

Wiedział, że jestem mężatką. Znał moje uczucia wobec Jamesa. I może wcale nie chciał się wiązać.

Może chciał być ze mną, bo wiedział, że naprawdę jestem z kimś innym, więc on nadal pozostanie wolny i swobodny. Boże!

Co za męczarnia! Trzeba się zdecydować. Wstałam i wzięłam go za rękę. Spojrzał na mnie pytająco.

— Dobrze się czujesz? — spytał. — Może coś ci zrobić?

— Tak — mruknęłam.

— Co?

— Połóż mnie.

Jednak powiedziałam to całkiem bezgłośnie. Nie chciałam, żeby uznał mnie za wulgarną. Bo wcale taka nie byłam. W każdym razie nie cały czas.

Zaczęłam iść w stronę kuchennych drzwi. Wciąż trzymałam go za rękę.

Czułam się wyzwolona, rozwiązała.

— Dokąd idziemy? — spytał, udając niewiniątko.

— Do pubu na drinka.

Na jego twarzy odmalowało się bolesne rozczarowanie.

— Żartuję, wariacie — uśmiechnęłam się. — Idziemy na górę.

Tak więc poszliśmy na górę. Ja pierwsza, a on grzecznie za mną. Nadal trzymałam go za rękę.

Z każdym krokiem byłam coraz bardziej przekonana, że to, co robię, jest dobre.

Dotarliśmy do szczytu schodów, gdzie Adam wziął mnie w ramiona i po raz kolejny pocałował.

Coś wspaniałego. Był taki duży i silny. Przez bluzę czułam gładką skórę na jego plecach. Po chwili odwrócił mnie i poprowadził ku drzwiom.

— To mój pokój — powiedział. — Chyba że przywiodłaś mnie na górę, abym cię oprowadził po całym domu.

— To może poczekać. — Podniecona i zdenerwowana, ledwie zdobyłam się na odpowiedź.

Miał przyjemny pokój.

Był bardzo dokładnie posprzątany, więc natychmiast zrozumiałam — chociaż wcześniej też nie miałam co do tego wątpliwości — że starannie wszystko zaplanował, by zaciągnąć mnie do łóżka.

Pokoje mężczyzn są ładnie posprzątane tylko wtedy, gdy pierwszy raz idziecie z nimi do łóżka. Potem pomieszczenie znowu wygląda tak, jakby uderzyła w nie bomba.

Zupełnie jakby po skonsumowaniu znajomości facet wołał: „W porządku, kochani, możecie wyłazić!”

I wtedy spod łóżka wyłania się cała armia brudnych slipek, przepoconych skarpet, a także kubków, talerzy, czasopism motoryzacyjnych, obrzydliwych swetrów, brudnych spodenek i koszulek piłkarskich, szklanek po piwie, kalendarzy z panienkami, książek Stephena Kinga, wilgotnych ręczników, słoików z dżemem, a wszystkie te rzeczy przepychają się łokciami, hałasują i głośno protestują, że tyle czasu musiały spędzić w ukryciu. A potem zaczynają się przeciągać, otrzepywać z kurzu, by wreszcie ułożyć się w artystycznym nieładzie na dywanie, tam, gdzie było ich miejsce.

„Co tak długo?“, woła wesoło jakaś skarpetka do zwycięskiego uwoźdźciela. „Opierała się trochę, co?“

„Myślałyśmy, że zostaniemy tam na zawsze“, żartują brudne spodenki do gry w krykieta. „Chyba tracisz formę“.

Adam ułatwił mi zadanie: pocałował mnie, więc nie musiałam samodzielnie maszerować prosto do łóżka, usiąść na nim i spojrzeć na niego wyczekująco.

Więc pocałował mnie i jakby pokierował mną, a po chwili, wiecie, znaleźliśmy się przy łóżku, no a skoro już tam byliśmy, przyszło nam do głowy, że można by się na nim położyć, bo inaczej pozostanie nam tylko obejść je dookoła.

Zaraz też zaczął rozpinąć guziki mojej sukienki. A ja wsunęłam mu rękę pod bluzę, dotykając skóry na jego brzuchu i piersi.

Bardzo powoli, delikatnie odpiął wszystkie guziki i zaczął mnie rozbiierać.

Było mi dobrze, ale dziwnie. Dziwnie, ale dobrze.

Minęło dużo czasu od chwili, gdy poszłam z kimś do łóżka pierwszy raz, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

Zabawne uczucie, że mężczyzną obok mnie nie był James.

Nie straszne, nie przykre.

Ale właśnie nieco zabawne.

Wstydziłam się trochę swojego ciała i tego, że Adam je zobaczy.

Nigdy nie byłam do końca bezwstydną. Nie nadawałam się na tancerkę występującą nago przed publicznością.

Z Jamesem czułam się dobrze. Nie miałam z nim żadnych problemów. To znaczy w końcu. Jednak nawet przy nim bardzo długo nie mogłam wyzbyć się nieśmiałości.

Adam wciąż powtarzał mi, że jestem piękna. Cieszył się moją bliskością, pieścił mnie, przytulał i całował. Po chwili zupełnie się odprężyłam. Możecie uważać mnie za nienowoczesną, ale nic nie podnieca mnie bardziej niż słowa, które utwierdzają mnie w przekonaniu, że jestem piękna.

Schowajcie swoje pieszczoty języczkiem czy ogniste kręcenie biodrami. Pięć minut odpowiednich komplementów działa na mnie znacznie mocniej.

Po kolejnej serii pocałunków i bliższego poznawania się —jeśli tak to chcecie określić — stało się jasne, że wydarzenia zmierzają w ściśle określonym kierunku. Adam odsunął się ode mnie.

— Jezu! — powiedział. — Ależ z ciebie czarodziejka. Jesteś cudowna. Już tracę głowę.

Uniosłam się nieco i patrzyłam z góry, jak wędruje dłońmi po moim brzuchu.

Byłam szczęśliwa, że nic nie zjadłam.

Adam miał cudowne ciało. Piękną twarz.

W ogóle był zachwycający.

Czym sobie na niego zasłużyłam?

Moje oczy wędrowały po jego piersi w dół. Podziwiały pięknie wyrzeźbiony brzuch Adama, lecz gdy mój wzrok padł jeszcze niżej, szybko spojrzałam w bok.

Tylko jak mam opisać to, co działo się pod brzuchem Adama, żeby nie okazać się zbyt wulgarną albo zbyt nieśmiałą?

Trudno opowiadać o seksie. Można przekroczyć granicę dobrego smaku i wtedy relacja brzmi jak czysta pornografia, można też zachować się powściągliwie i okazać się zamkniętą w sobie, wiktoriańską pisarką, która regularnie cierpi z powodu bolesnych skurczów pochwy i po dwudziestu siedmiu latach małżeństwa zwraca się do małżonka "panie Clements".

Może wystarczy, jak powiem, że z małych żołądki wyrastają ogromne dęby?

Niedobre? Dyskretne, ale symboliczne?

W każdym razie na pewno nie obraźliwe dla nikogo. A poza tym chyba nie ma już wątpliwości, że twardym narzędziem Adama można było przecinać diamenty.

Ops!

To było wulgarne, wulgarne, wulgarne!

Chociaż skoro już o tym mówimy, mogę dodać, że jego wielkość napawała mnie lękiem o bezpieczeństwo żyrandoli. To znaczy, gdyby wykonywał jakieś gwałtowne ruchy.

A miałam szczerą nadzieję, że tak właśnie będzie.

Żartuję. Wcale nie był taki wielki.

Miał średnią wielkość.

Ani przerażająco ogromny, ani żałośnie mały. Po prostu w sam raz.

Oczywiście są pewne pozbawione sumienia kobiety, które mówią każdemu facetowi, z którym są w łóżku, że ma naj większy penis, jaki w życiu widziały.

Tak po prostu. Rutynowo.

Kurczą się przerażone na materacu i patrząc z przerażeniem na rzeźzonego faceta, mówią: „O matko! Trzymaj się ode mnie z daleka razem z tym potworem. Co ty zamierzasz nim robić? Pieprzyć mnie czy rozwalić drzwi?”

Podstępna taktyka.

Bo oczywiście facet jest zachwycony.

Wierzy, że ma członek jak armata, przez co czuje się niezwykły i bardzo męski.

A potem daje kobiecie taki wycisk, którego ta długo nie zapomni.

Ale ja tego nie robię.

O, nie!

No, jeżeli już, to bardzo rzadko.

Poza tym nie mogę opisać, co się działo pod brzuchem Adama, bo nie przychodzi mi do głowy odpowiednie słowo oznaczające jego... no wiecie... jego...

Cholera, jak mam wam coś opisać, jeśli brakuje mi wyrazu, który to opisuje?

Oczywiście tym wyrazem jest penis.

Ale to brzmi bardzo naukowo, jak termin medyczny.

Chyba nie chciałabym, żeby ktoś mi powiedział: „Masz naprawdę śliczną pochwę”.

Niezbyt romantyczne, prawda?

Nie bardzo pasuje do języka uczuć, gdzie królują serca i kwiaty.

Dlatego uważam, że penis za bardzo przypomina lekcje biologii w szkole, gdy czerwona jak burak nauczycielka szybko i pobieżnie opisuje układ rozrodczy człowieka klasie złożonej z chichoczących nastolatków.

To opis zbyt odległy od prawdziwego życia. Lecz jak inaczej mam go nazwać?

Wiem, że istnieją setki słów, lecz żadne z nich nie wydaje się właściwe.

Może pałeczka?

Obecnie to dość modne słowo.

Zresztą nie wiem.

Brzmi trochę instrumentalnie.

Chociaż z drugiej strony, dlaczego nie?

Kutas?

Też mi się nie podoba.

Z jakiegoś powodu przypomina mi podstarzałe gwiazdy muzyki rockowej, które mówią z londyńskim akcentem, noszą te okropne, wytarte dżinsy i długie siwe włosy.

Jeszcze gorsze są sytuacje, gdy facet nadaje swojemu członkowi jakieś imię. Słyszeliście o czymś takim?

Facet uśmiecha się i chrząka znacząco.

— George chyba się budzi.

Kolejny znaczący i przymilny uśmieszek.

— Myślę, że George chce wyjść i zabawić się trochę. Przypochlebne spojrzenie w oczy i nadzieja na twarzy.

— George chce się pobawić w chowanego. Lubieżny, obrzydliwy uśmiech.

Fuj!

No cóż, niech George rusza sobie na poszukiwanie innej towarzyszki do zabawy.

Niesmak, który pozostaje, wystarcza, by zdecydować się na wieczny celibat.

Więc cóż, ponieważ brakuje mi odpowiedniego słowa, zastosuję język Millsa i Boon i nazwę go Pulsującą Męskością.

Na szczęście Adam nie zapoznał mnie imiennie ze swoją Pulsującą Męskością.

Chociaż wcale nie jestem pewna, czy już byłam gotowa zaprzyjaźnić się z Pulsującą Męskością.

Muszę przyznać, że przyzwyczaiłam się do Pulsującej Męskości Jamesa. Nie było to szczególnie ciężkie (wybaczcie dwuznaczność), ale ja-koś przywykłam.

Nie chciałam się opierać Pulsującej Męskości Adama (na razie opierałam o nią tylko moje udo), lecz perspektywa bliższej znajomości trochę mnie niepokoiła.

Adam chyba to wyczuł, bo chwycił moje ramię (Adam, nie łap mnie za ramię, na litość boską! Przecież nie ma na nim nawet pojedynczego erogennego atomu) i powiedział szybko:

— Claire, nie musimy nic robić. Jeśli chcesz, możemy sobie tylko poleżeć.

Hm, gdybym brała od faceta jeden grosz za każdą obietnicę, że „tylko sobie poleżymy”, byłabym już milionerką. Ileż to razy słyszałam takie słowa, gdy nie miałam pieniędzy na taksówkę lub spóźniłam się na ostatni autobus i musiałam spędzić noc u mężczyzny.

„Możesz u mnie przenocować. Mieszkam zaraz za rogiem”, mówił wtedy.

„Prześpię się na kanapie”, odpowiadałam szybko.

„Równie dobrze możesz spać ze mną w łóżku, będzie ci wygodniej”.

„Nie, kanapa w zupełności mi wystarczy”.

„Słuchaj, nawet cię nie dotknę. Czy tego się boisz?”

„No... tak”.

„Bez obaw. Nie tknę cię nawet palcem”.

A zaraz potem owe brzemiennie w skutki słowa: „Możemy sobie tylko poleżeć”.

Oczywiście nie zmrużyłam oka, bo musiałam spędzić noc na zapasach w stylu wolnej amerykanki.

Albo stałam z twarzą przyciśniętą do ściany, bezskutecznie usiłując uciec od faceta i z trudem chwytając powietrze, gdyż jego sztywny penis wbijał mi się w plecy.

Bałam się, że jeśli odetchnę i tym sposobem opuszczę dolną część kręgosłupa o jedną dziesiątą milimetra — oczywiście mimowolnie — prosto na jego gorący członek, zostanie to uznane jako znak zachęty i przyzwolenia.

A gdybym nie zrobiła mu dobrze — że tak powiem — istniało duże prawdopodobieństwo, że facet zszargałby moje dobre imię w całej Irlandii, określając mnie „kusicielką od siedmiu boleści” i „zatwardziałą lesbijką”, a także wieloma innymi strasznymi i całkowicie niezasłużonymi epitetami.

Mówiłby na przykład: „Leciała na mnie cały wieczór. Nikt się nie nabierze na ten stary numer, że nie miała forsy na taksówkę”.

Do dziś wydaje mi się, że mam na plecach niewielkie wgłębienie w kształcie penisa.

Jednak Adamowi wierzyłam. Wiedziałam, że mówił szczerze. Miałam do niego zaufanie.

Skoro powiedział, że możemy sobie po prostu poleżeć, to tak właśnie myślał.

Ale czy akurat tego chciałam? Szczerze mówiąc, nie. Owszem, byłam zdenerwowana.

Lecz przecież chciałam się z nim kochać, do jasnej cholery! Jeśli teraz zaczniesz okazywać mi szacunek, będę krzyczała.

— Nie przestawaj — szepnęłam do niego. Zapewne nie musiałam mówić szeptem.

Nie chciałam też przesadnie odgrywać roli zdenerwowanej, grzecznej dziewczynki.

A więc dobrze. Czas na działanie.

— Słuchaj — powiedziałam zawstydzona. — Zostawiłam torebkę na dole.

— Po co ci torebka? Nie musisz przecież poprawiać makijażu.

— Nie chodzi o makijaż, głuptasie.

— Więc o co? Drażnił się ze mną.

— Uspokój się, Claire — powiedział lekko rozdrażniony i położył mnie na plecach. — Pewnie chodzi ci o prezerwatywy?

— No.,, tak. — Byłam trochę zawstydzona.

— Nie martw się. Mam tutaj kilka.

— Aha.

Nie bardzo wiedziałam, co jeszcze powiedzieć. Jego otwartość pięknie ostudziła mój zapał. Oczywiście miał rację. Czego się tu wstydzić?

Miałam tylko jedno zmartwienie — żeby się nie zbłąźnić. Znowu mnie pocałował. I wtedy sprawy przybrały poważniejszy obrót. Ten pocałunek położył kres wszelkim żartobliwym pogaduszkom.

Spojrzałam w jego pociemniałe z pożądania oczy.

— Claire — szepnął (nareszcie zabierze się do rzeczy). — Już od dawna z nikim nie byłem.

„Naprawdę?“, zdumiałam się w myślach.

Sądziłam, że ktoś tak uroczy i przystojny jak Adam codziennie bierze udział w jakiejś orgii.

Jednak on wydawał się bardzo wybredny. Nieraz widziałam, jak odpędzał piękne kobiety.

„A jednak wybrał mnie“, pomyślałam z miękkim sercem. „Mógł mieć niemal każdą, ale wybrał mnie“.

Coś musiało się za tym kryć.

Może za chwilę zaprezentuje mi swoją kolekcję noży albo wyciągnie piłę łańcuchową, którą potnie mnie na kawałeczki.

— Nie szkodzi — odszepnęłam. — Ja też dawno się nie kochałam.

— A.

Po chwili odezwał się nieco głośniej:

— Dlaczego rozmawiamy szeptem?

— Nie wiem — zachichotałam.

Potem nastąpił rytuał z prezerwatywą. Wiecie, jak to wygląda: szukanie po omacku w szufladzie, szelest rozrywanego papieru, a następnie wątpliwości: „Czy to w tę stronę? Czy odwrotnie?“ A po osiągnięciu powodzenia pozostaje tylko obserwować, jak erekcja znika.

Tyle że u Adama tak nie było. To znaczy nie znikła. Bogu dzięki. Niestety, w tym miejscu muszę nieco okroić swoją relację.

Przepraszam, że was zawiodę, ale nie podam szczegółowego, technicznego opisu moich intymnych spotkań z Adamem. (Tak, mam nadzieję, że zauważyliście liczbę mnogą w słowie „spotkań”).

Oczywiście, mogłabym przekazać wam relację, która przypominałaby podręcznik studenta pierwszego roku anatomii.

Albo relację brzmiącą jak list czytelniczki do magazynu pornograficznego, pełen stękania, wygiętych pleców i niewyobrażalnej gimnastyki.

Jednak to nie oddałoby istoty cudownych, szczęśliwych przeżyć, jakich doznałam w trakcie całego aktu (mówiąc ściślej — trzech aktów).

Powiedzmy sobie, że wszyscy wspaniale spędzili ten czas.

Przez „wszyscy” rozumiem, oczywiście, nas dwoje.

Żadne z nas nie miało powodów do narzekania.

To była czysta przyjemność.

Warta każdej zainwestowanej sekundy.

Na pewno jeszcze tu wrócimy i tak dalej.

Wstydziałabym się wam powiedzieć, że całował mnie wszędzie. Dosłownie wszędzie. A gdy tego nie robił, delikatnie gryzł mnie po całym ciele, wywołując cudowne dreszcze.

Za żadne skarby nie opiszę wam tego, jak Adam już był we mnie. I jak bardzo bałam się bólu, a on okazał się samą delikatnością. Nie bolało. Było fantastycznie.

Nie myślcie też sobie, że opowiem, jak leżąc na mnie, szeptał mi do ucha namiętne słowa, jaka jestem piękna, jak cudownie smakuje moja skóra, jak go podniecam.

Musicie uruchomić swoją wyobraźnię, by domyślić się, że objęłam go nogami, by przyciągnąć go głębiej we mnie. Myślałam, że umrę, jeśli przestanie, i że on umrze, jeśli nie przestanie.

Nie muszę wam mówić, że gdy on... kiedy było po wszystkim, oboje leżeliśmy spoceni, dysząc ciężko, po czym on spojrzał na mnie i zaśmiał się cicho.

— Jesteś niesamowitą kobietą — powiedział z podziwem.

Muszę uciec się do eufemizmu, by to opisać.

Może: „Kiedyś dojdzie mój książę”.

Z radością mogę wam oznajmić, że już doszedł.

Dla porządku dodam, że ja też.

Jest jeszcze coś.

Zanim Kate przyszła na świat, słyszałam pogłoski, takie niezbyt wiarygodne, że po urodzeniu dziecka seks daje o wiele więcej przyjemności.

W wyniku różnorodnych przesunięć, wstrząsów i urazów w... w drogach rodnych, łącznie z tymi okropnymi szwami, następują tam pewne zmiany.

Efekt jest taki, że u kobiety bardzo zwiększa się wrażliwość oraz wyczulenie na własne strefy erogenne, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

A w ogóle seks staje się bez porównania przyjemniejszy i daje znacznie więcej radości.

Chętnie podzielę się z wami spostrzeżeniem, że jest to w stu procentach prawda.

Seks z Adamem był inny, i to znacznie, od mojego współżycia z Jamesem.

Gdy minął odczuwalny na wstępie dyskomfort, było naprawdę wspaniale.

Lepiej niż z Jamesem.

Oto uboczny efekt urodzenia dziecka, który zasługuje na znacznie lepszą prasę.

Oczywiście, istnieje prawdopodobieństwo, że opowiadam totalne bzdury.

Być może domniemany lepszy seks wynika wyłącznie z faktu, że Adam miał większą Pulsującą Męskość niż James. Nigdy nie wierzyłam w brednie typu „wielkość to nie wszystko”. Nie spotkacie bogacza, który powie: „Pieniądze nie kupią szczęścia”. Na tej samej zasadzie „wielkość to nie wszystko” mówią jedynie faceci z małymi penisami.

Potem, gdy było już po wszystkim — to znaczy po trzecim razie — leżeliśmy w łóżku, śmiejąc się i gawędząc.

— Pamiętasz ten dzień w siłowni? — spytał Adam.

— Mmm. — Byłam tak odprężona i szczęśliwa, że ledwie mogłam mówić.

— To było straszne.

— Dlaczego?

— Bo miałem na ciebie straszną ochotę.

— Tak? — Byłam bardzo mile zaskoczona.

— Tak.

— Poważnie? — spytałam jeszcze raz, jakbym cierpiała na chorobę nerwową.

— Tak! — potwierdził z naciskiem. — Nie mogłem na ciebie patrzeć, bo pewnie bym się na ciebie rzucił.

— Ale wyglądałeś tak poważnie, złowieszczo, byłeś pochłonięty swoimi ćwiczeniami — przypomniałam mu. — Całkowicie mnie ignorowałeś.

— Tak — odparł sucho. — Omal naciągnąłem sobie wszystkie mięśnie. Nie mogłem się na niczym skoncentrować, bo myślałem o tobie. Świetnie wyglądałaś w tym kostiumie.

— O! — Przytuliłam się do niego, czując nowy, przyjemny dreszczyk.

Około wpół do drugiej powiedziałam:

— Chyba wrócę już do domu.

— Nie. — Objął mnie ramionami i nogami. — Nie puszczę cię. Przykuję cię łańcuchem. Będziesz moją łózkową niewolnicą.

— Adam — westchnęłam. — To piękne, co mówisz. Minęła chwila, gdy odezwałam się niechętnie:

— Naprawdę będę się zbierać.

— Skoro musisz.

— Wiesz, że tak.

— Zostałabyś, gdyby nie Kate?

— Tak.

Usiadł na łóżku i obserwował mnie, gdy wkładałam ubranie. Zapinając guziki sukienki, spojrzałam na niego. Uśmiechał się do mnie, ale smutno, ze zrozumieniem.

— Czy coś się stało? — spytałam.

— Ciągłe przede mną uciekasz.

— Wcale nie — oburzyłam się. — Po prostu muszę jechać.

— Przepraszam. — Tym razem obdarzył mnie prawdziwym uśmiechem.

Wyskoczył z łóżka.

— Odprowadzę cię do drzwi.

— Ani się waż bez ubrania. A jeśli zobaczy cię ktoś z ulicy? Nie było cienia wątpliwości.

Okazałam się nieodrodną córką mojej matki.

Przy drzwiach wycisnął na mych ustach długi pocałunek.

To prawdziwy sukces, że w ogóle opuściłam jego dom.

— Zostań — wyszeptał w moje włosy.

— Nie mogę — odparłam twardo, chociaż miałam ochotę wrócić prosto na górę i pójść z nim do łóżka.

— Zadzwoń jutro — powiedział.

— Pa.

Kolejny pocałunek.

Dalszy ciąg perswazji.

Zdecydowany opór z mojej strony.

Niechętna kapitulacja.

W końcu dotarłam do samochodu.

Ależ osiągnięcie.

Pojechałam do domu.

Ulice były ciemne i puste.

Czułam się szczęśliwa.

Nie miałam nawet wyrzutów sumienia, że zostawiłam Kate. A jeśli miałam, to bardzo znikome.

Rozdział 23

Zaparkowałam samochód i włożyłam klucz do frontowych drzwi domu. W pokoju dziennym paliło się światło.

„Dziwne”, pomyślałam, bo zazwyczaj o tej porze wszyscy już głęboko spali.

„Boże, spraw, aby to nie była Helen. Żeby się nie dowiedziała, skąd wracam i co robiłam”.

To pewne, że działalność ostatnich paru godzin miałam wyraźnie wypisaną na twarzy.

A może to Anna?

Może składała w kuchni ofiarę z kozła?

No wiecie — tańczyła w ogrodzie owinięta ociekającymi krwią płachtami, śpiewała do księżyca, odgryzała główki żywym nietoperzom i tak dalej.

Weszłam do holu. W tej chwili otworzyły się drzwi pokoju dziennego i ukazała się w nich mama, a tuż za nią ojciec. Oboje w piżamach. Mama miała na sobie różowy, pikowany szlafrok, a na głowie w pobliżu czoła kilka pomarańczowych wałków.

Oboje byli bladzi, wystraszeni, jakby wydarzyło się jakieś nieszczęście.

Co było prawdą, jeśli chcecie za takowe uznać mój nierozważny wybryk z Adamem.

— Claire — odezwała się mama. — Jak dobrze, że wróciłaś.

— Co się stało? — spytałam przerażona.

— Chodź i usiądź — rzekł ojciec, przejmując inicjatywę. Poczulałam skurcz w żołądku.

Naprawdę musiało wydarzyć się coś strasznego.

— Czy to coś z Kate? — spytałam błagalnie mamę, chwytając ją za ramię. — Czy coś jej się stało?

Przez moją głowę przelatywały tysiące dramatycznych obrazów.

Umarła we śnie. Została porwana.

Udusiła się.

Helen upuściła ją na podłogę. Anna rzuciła na nią urok. A to wszystko moja wina. Zostawiłam ją.

Zostawiłam ją i pojechałam kochać się z Adamem. Jak mogłam?

— Nie, nie — uspokoiła mnie mama. — To nie Kate.

— Więc kto? — Znowu pojawiły się koszmarne wizje. Czy coś się stało którejś z moich sióstr?

Czy jakiś gangster zastrzelił Margaret w Chicago?

Czy Rachel znikła w Pradze?

Czy Anna dostała pracę?

Czy Helen złożyła przeprosiny?

— To James — wyrzuciła z siebie mama.

— James — powtórzyłam nieprzytomnie. Powoli usiadłam na kanapie. — Boże, James.

James.

Nawet o nim nie pomyślałam, gdy byłam przekonana, że coś złego przytrafiło się komuś, kogo kocham.

Gdy byłam w łóżku z Adamem, coś się stało mojemu mężowi. Co ze mnie za kobieta?

— Co z Jamesem? — spytałam.

Siadając, patrzyli na mnie z troską i współczuciem.

— Powiedźcie mi wreszcie — krzyknęłam. — Mówcie! Byłam przygotowana na najgorsze.

James miał wypadek albo coś w tym rodzaju, gdy przeforsował się w ferworze namiętności z innym mężczyzną.

Zrozumiałam, że moje życie jest skończone.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko przejść na celibat. Może wstąpić do klasztoru. Chociaż tyle mi pozostało.

To moja kara za to, że przespałam się z niekochanym mężczyzną.

Już nigdy, do końca życia nie spotkam się z Adamem. To wszystko jego wina.

Gdybym nie poszła z nim do łóżka, Jamesowi nic by się nie stało.

— On tutaj jest — powiedziała cicho mama.

— Tutaj! — wrzasnęłam jak oparzona. — Co to znaczy: tutaj? Gorączkowo rozejrzałam się po pokoju, jakbym oczekiwała, że nagle wyłoni się zza zasłony albo spod kanapy i z łagodnym uśmiechem, ubrany w smoking, z cygarem w ustach powie coś w rodzaju: „Moja żona, jak mniemam”.

— Chcecie przez to powiedzieć, że jest w domu? — spytałam histerycznie.

Byłam kompletnie oszołomiona. Dlaczego teraz?

Dlaczego zdecydował się pojawić właśnie w tym momencie?

I czego chciał?

— Nie — odparła mama z lekką złością. — Myślisz, że pozwoliłabym mu zostać tutaj po tym, co się stało? Zadzwoił tu. Jest w Dublinie, ale mieszka w hotelu.

— Aha. — Byłam bliska omdlenia. — Chce się ze mną spotkać?

— Oczywiście — rzekł ojciec. — Ale nie musisz tego robić, jeśli ty nie chcesz.

— Jack — powiedziała do niego mama. — To oczywiste, że musi się z nim zobaczyć. Jak inaczej cokolwiek ustalą? Ona musi myśleć o dziecku.

— Mary, ja tylko mówię, że jeśli nie jest na to gotowa, nie wolno nam wystawiać jej na taki stres. Pomożemy jej w każdy możliwy sposób.

— Jack! — rzuciła ostro mama. — Ona jest dorosła i...

— Ależ, Mary...

— Przestańcie! — powiedziałam głośno.

Wiedziałam, że lepiej od razu ukreć temu łeb. To mogłoby trwać i trwać w nieskończoność.

Oboje spojrzeli na mnie zaskoczeni. Jakby zapomnieli, że w ogóle tam jestem.

— Chcę się z nim zobaczyć — powiedziałam trochę ciszej. — Masz rację, mamó, jestem dorosła. Jestem jedyną osobą, która może to załatwić. I rzeczywiście muszę myśleć o Kate. Ona jest tu najważniejsza. Dziękuję ci, tato. — Skinęłam mu głową. — To miło, że mogę na was po-

legać, że w razie potrzeby staniecie u mego boku i skrzykniecie ludzi gotowych do linczu.

— Do linczu? — powtórzył niewyraźnie ojciec. — No, nie wiem. Ale jeśli będzie trzeba, poproszę paru chłopaków z klubu golfowego. Zobaczą, co powiedzą.

— Tato, ja tylko żartowałam.

— Powiedział, że zadzwoni do ciebie rano — odezwała się mama.

— O której?

— O dziesiątej.

— Dobrze.

Jeśli James powiedział, że zadzwoni o dziesiątej, to na pewno zadzwoni o dziesiątej.

Nie osiemnaście sekund po ani pół minuty przed, ale dokładnie o dziesiątej.

Może i zostawił mnie dla innej, lecz w pewnych sprawach był najsołidniejszym człowiekiem pod słońcem.

— A która jest teraz? — spytałam.

— Dwadzieścia po trzeciej — stwierdził ojciec.

— Więc pójdę już spać. Jutro będzie wielki dzień. Ale wiedziałam, że przecież nie zmrużę oka.

— Wszyscy pójdziemy spać. A... gdzie byłaś do tej pory?

— Kochałam się z Adamem — odpaliłam. Ojciec parsknął nerwowym śmiechem. Mama wydawała się dotknięta.

„I dobrze”, pomyślałam. „Sama pierwsza zasiałaś to ziarno w mojej głowie”.

— Pytam poważnie — rzekła. — Gdzie byłaś?

— Jestem poważna. — Uśmiechnęłam się. — Dobranoc. Mama struchlała. Nie wiedziała, czy ma mi wierzyć, ale z pewnością podejrzewała najgorsze. Gdy zamykałam za sobą drzwi, stała, zamykając i otwierając usta jak wyjęta z wody złota rybka.

Pewnie nawet nie poczuła, że ojciec szarpie ją za szlafrok. — Który z nich to Adam? — syknął do niej.

Rozdział 24

Położyłam się do łóżka.

Miałam rację.

Nie mogłam zmrużyć oka.

Po co James tu przyjechał?

Czyżby to była próba pojednania?

Czy też chciał omówić nie załatwione kwestie?

A jeśli tak, to czy ja będę w stanie to znieść?

Czy chciałam pojednania?

Czy nadal był z Denise?

Nagle uderzyła mnie myśl — a jeśli ona przyjechała z nim?

Gwałtownie usiadłam na łóżku. Wpadłam w złość.

Podły drań, chyba tego by nie zrobił?

Zmusiłam się do spokoju. Nie miałam potwierdzenia, że zrobił coś takiego, więc nie było sensu się wściekać bez wyraźnego powodu.

Musiałam przede wszystkim myśleć o Kate. Ona była tu najważniejsza.

Chciałam, żebyśmy z Jamesem załatwili wszystko w sposób cywilizowany, aby on istniał w jej życiu.

Gdyby nawet nigdy więcej nie chciał mnie widzieć, pragnęłam, aby był dla niej.

Więc nazajutrz nie mogłam się na niego rzucić z maczetą.

Trudno mi było w to uwierzyć.

Jutro się z nim zobaczę.

A jeśli niemożliwe stanie się rzeczywistością i on zechce znowu być ze mną?

Co wtedy? Nie wiedziałam. A co z Adamem?

Z mężczyzną, którego łóżko przed chwilą opuściłam? Teraz nie mogłam o tym myśleć.

W mojej głowie było tak tłoczno, że zostały już tylko miejsca stojące. Niektóre odważne myśli stały, popijając drinki poza moją głową, na deszczu, gdzie przynajmniej było trochę przestrzeni.

Jednak miejsca dla Adama nie było.

„Daj sobie spokój”, pomyślałam. „Nie myśl o tym teraz. Zaczekaj, aż to wszystko się skończy tak czy inaczej i dopiero wtedy o nim pomyśl”.

Zacząłam się zastanawiać, dlaczego.

Wiecie, dlaczego James mnie zostawił. Dlaczego odszedł z Denise, choć w moim mniemaniu nasz związek był taki udany. Już od pewnego czasu nie dręczyłam się tą sprawą.

Jednak jutro spróbuję uzyskać odpowiedzi przynajmniej na część tych pytań.

Jeśli uda mi się zrozumieć istotę tego, co się stało, co sama źle zrobiłam, może łatwiej będzie mi żyć.

Szkoda, że w moim mózgu nie ma jakiegoś przełącznika, że nie mogę go wyłączyć, tak jak na przykład telewizora. Pstryknąć i tym sposobem natychmiast opróżnić swój umysł z przykrych obrazów i niepokojących myśli. Zostawić wygaszony ekran.

Albo gdybym tak mogła zdjąć głowę, postawić ją na stoliku przy łóżku i zapomnieć o wszystkim do rana. A gdy będzie mi potrzebna — z powrotem nasadzić ją na miejsce.

Nadszedł ranek, lecz ja wciąż nie mogłam zasnąć.

Wyskoczyłam z łóżka, czując, że zdrętwiały mi uda od wewnętrznej strony.

„Co to może być?”, pomyślałam zdziwiona. I nagle przypomniałam sobie. „A, tak”. Zarumieniłam się. Przed oczami stanęły mi wydarzenia ostatniego wieczoru. „Seks z Adamem. Ale teraz nie mogę o tym myśleć”.

Niech szlag trafi Jamesa!

Nie dane mi było zaznać przyjemności przewracania się z boku na bok i pełnego uniesień wspomnienia namiętnej nocy z Adamem.

Zamiast tego musiałam wstać i ganiać jak kot z pęcherzem, by przygotować się na jego przyjazd. Jakby był papieżem albo głową państwa.

Nakarmiłam Kate z butelki, wykapałam ją i ubrałam w najładniejszy kaftanik. Różowy w szare słoniki.

Posypałam ją talkiem, a potem przytuliłam, wchłaniając cudowny, mleczny zapach małego dziecka.

— Ślicznie wyglądasz — zapewniłam ją. — Spodobałabyś się każdemu mężczyźnie. A jeśli on tego nie zauważy, to jest jeszcze większym głupcem, niż myślałam.

Chciałam, żeby wyglądała jak aniołek, jak najpiękniejsze dziecko świata. Żeby James cierpiał, patrząc na nią.

Żeby pragnął ją przytulać, całować, karmić, napawać się jej zapachem.

Żeby po prostu zrozumiał, ile stracił.

Pragnęłam, by zechciał do nas wrócić.

O pierwszym brzasku cały dom już tętnił życiem. Anna i Helen wiedziały o telefonie Jamesa. Około wpół do ósmej Helen zjawiła się w moim pokoju. Podbiegła do Kate.

— Ślicznie ją ubrałaś. Pięknie wygląda. To mu da do myślenia. Miejmy nadzieję, że nie wyrzyga się na niego albo nie zrobi kupy, gdy będzie ją trzymał.

Podniosła Kate, podziwiając jej kaftanik.

— Może zawiążemy jej we włosach różową kokardkę? — spytała. — Będzie pasować.

— Gdyby miała więcej włosów, wzięłabym to pod uwagę. Jednak kiedy zaproponowała, by nałożyć Kate makijaż, uznałam to za drobną przesadę.

Wolałam zachować makijaż — i to w całości — dla siebie.

— Ciebie też musimy zrobić na bóstwo — oświadczyła Helen. Chyba nie spodobał mi się jej ton.

Pojawiła się w nim pewna wątpliwość, defetyzm.

Wtedy przyszedł ojciec.

— Zaraz wychodzę do pracy — powiedział. — Pamiętaj, co mówiłem. Nie musisz do niego wracać tylko ze względu na Kate.

— A kto mówi, że on zechce do niej wrócić? — spytała głośno Helen.

Nie musiała tego mówić. Ale trochę racji miała. Weszła mama.

— Jak się czujesz? — odezwała się łagodnie.

— Dobrze.

— W porządku. Idź wziąć prysznic, a ja z Helen popilnujemy Kate.

— No dobrze. — Trochę mnie zdziwiła ta aktywność i pomoc organizacyjna. Przypomniałam sobie ranek, gdy wychodziłam za męża.

Zjawiała się Anna.

Pomyślałam, że zaraz zejść na dół, otworzę drzwi i zacznę zapraszać obcych przechodniów.

Uśmiechnęła się do mnie słodko, podając mi coś w wyciągniętej ręce.

— Weź ten kryształ, Claire. Włóż go sobie do kieszeni, noś przy sobie. Przyniesie ci szczęście.

— Będzie potrzebowała czegoś więcej niż twoich bublowa-tych kryształów — stwierdziła brutalnie Helen.

— Uspokój się, Helen — powiedziała ostro mama.

— Też coś! — oburzyła się Helen.

— Musisz być taka wredna?

— Wcale nie jestem. Ale jeśli będzie ładnie wyglądała i sprawi wrażenie zadowolonej, to może on ją zechce. Do tego nie potrzeba żadnych kryształów.

Niemalże doznałam szoku.

Być może jest jedną z najbardziej irytujących idiotek, jakie znam, ale w dziedzinie męskiej psychiki — muszę jej oddać sprawiedliwość — okazała się prawdziwą mistrzynią.

Jednak bez względu na wszystko, przyjąłem kryształ od Anny.

Nigdy nic nie wiadomo.

Musiałam na chwilę oderwać się od rodziny. Nie potrafiłam zebrać myśli. Przed rozmową z Jamesem potrzebowałam spokoju.

Zdecydowałam, że zadzwonię do Laury. Ona mi powie, co robić.

— Cześć, Lauro — zaczęłam drżącym głosem, gdy odebrała telefon.

— Claire! — wykrzyknęła. — Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Zgadnij, co się stało.

„Z ust mi to wyjęłaś”, pomyślałam.

— Co? — spytałam.

— Ten gnój, Adrian, rzucił mnie.

Adrian, czyli dziewiętnastoletni student sztuk pięknych.

— Co takiego?

— Tak. — Zaczęła płakać. — Uwierzysz?

— Myślałam, że ci na nim nie zależy? — Zdumiałam się.

— Ja też tak myślałam. Ale to nie wszystko. Zgadnij, dlaczego mnie rzucił.

— Dlaczego? — Czyżby zabrakło jej skarpetek?

— Bo poznał inną. Zgadnij, ile ona ma lat.

— Trzydzieści — zaryzykowałam.

— Nie! — krzyknęła. — Cholera, trzydzieści siedem.

— Jezus Maria! To ci dopiero!

— Tak. — Tak szlochała, że ledwie mogła mówić. — Twierdzi, że jestem niedojrzała.

— Szelma.

— Że potrzebuje kogoś' poważniejszego.

— Ma tupet!

— A przecież to ja robiłam mu łaskę, że z nim chodziłam. A on mnie rzucił — załkała. — Puścił bez skarpetek. Znowu nie będę znała nazwiska żadnego z wykonawców z listy przebojów.

— To straszne. — Zrezygnowana pokręciłam głową.

— Muszę kończyć. — Wpadła w tragiczną nutę. — Spóźnię się do pracy. Później porozmawiamy.

Odłożyła słuchawkę.

No i co? Pewnie myślała, że dzwonię, by opowiedzieć jej

O mojej namiętnej nocy z Adamem. Nie miała pojęcia o dramatycznych wydarzeniach, które nastąpiły w tym czasie.

Kilka sekund siedziałam, patrząc na telefon. Do kogo zadzwonić? Nie zadzwonię.

Spróbuję załatwić to samodzielnie.

Jeśli sama sobie nie poradzę z własnymi problemami, to nikt,; inny również tego nie zrobi.

Wzięłam prysznic, umyłam włosy i wróciłam do pokoju, gdzie trwała jakaś beznadziejna sprzeczka między Anną, Helen (oczywiście) i mamą.

Wszystkie krzyczały jednocześnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na Kate.

— Wcale cię nie przedrzeźniałam — zaprzeczyła Anna dobitnie, czyli niezbyt przekonująco.

— Robiłaś to! — stwierdziła Helen.

— Nie wykrzywiła się na ciebie. — Mama starała się załagodzić kłótnię. — Raczej tylko spojrzała. i

Gdy weszłam do pokoju, zapadła cisza.

Wszystkie trzy popatrzyły na mnie wyczekująco. i

Chyba zdecydowały się odłożyć na bok dzielące je różnice zjednoczyć się ze mną przeciwko wspólnemu wrogowi, a więcej Jamesowi.

Pośpiesznie wyszukały ciuchy i ubrały mnie.

— Musisz ślicznie wyglądać — powiedziała Anna.

— Tak — przyznała Helen. — Lecz daj mu do zrozumienia że wcale się nie starałaś i wrzuciłaś na siebie byle co. ;

— Ale przecież on ma tylko zadzwonić do mnie o dziesiąte — przypomniałam im. — Nic nie wspominał, że tu przyjdzie.

— Tak — zgodziła się mama. — Lecz nie przyjechał taki kawał drogi do Dublina, żeby tylko zatelefonować. Mógł zrobić to z Londynu.

Słusznie.

— Dobra, dziewczyny — powiedziałam do Anny i Helen. — W takim razie zróbcie mnie na bóstwo.

— Mówiliśmy tylko, że pożyczymy ci ciuchy i zrobimy makijaż — rzekła Helen. — Nie było mowy o dokonywaniu cudów.

Jednak mówiła to z uśmiechem.

Uzgodniłyśmy w końcu, że włożę legginsy i niebieską jedwabną bluzkę, którą miałam na sobie w dniu, kiedy przyszedł tu Adam. „Adam”, pomyślałam tęsknie.

Po chwili jednak odsunęłam go energicznie na trzeci plan. „Nie teraz”, pomyślałam posepnie.

— Wyglądasz ładnie i szczupło. — Helen cofnęła się o krok, by mi się przyjrzeć. — A teraz makijaż.

Organizowała to wszystko jak wojskową kampanię. Na wzmiankę o moim makijażu Annie rozbłyły oczy. Podeszła z plastikową torbą pełną ołówków.

— Odsuń się. — Helen trąciła ją łokciem. — Ja to zrobię. Ty pewnie wymalowałabyś jej twarz w gwiazdki, słoneczka i tym podobne nowoczesne, kretyńskie kształty.

Anna trochę zbaraniała.

— Nie — wyjaśniła Helen nieco łagodniejszym tonem. — Ona musi wyglądać tak, jakby wcale nie była umalowana. Naturalnie pięknie.

— Tak — zawołałam podekscytowana. — Tak właśnie zrób. Ciekawe, dlaczego Helen jest dla mnie taka miła.

Może widziała we mnie konkurentkę w walce o względy Adama? Gdybym wróciła do Jamesa, Adam zostałby już tylko dla niej.

A może to cyniczne z mojej strony?

W końcu to moja siostra.

Zresztą i tak niczego nie podejrzewała.

Muszę przyznać, że gdy Helen ukończyła swoje dzieło, wyglądałam naprawdę pięknie.

Świeże oblicze, czysta skóra, rozpromienione oczy, swobodny strój.

— Uśmiechnij się — powiedziała. Spełniłam polecenie.

Wszystkie kiwnęły głowami z aprobatą.

— Dobrze — stwierdziła mama. — Rób tak zawsze.

— Która godzina? — spytałam.

— Prawie wpół do dziesiątej.

— Jeszcze pół godziny. — Zaczynałam się denerwować. Usiadłam na łóżku.

Mama, Anna, Helen i Kate już na nim były.

— Posuń się — powiedziałam, siadając na stopie Anny.

— Au! — zawyła Helen, gdy Anna szturchnęła ją łokciem w twarz.

Siedziałyśmy stłoczone, niemal pokładając się nawzajem na sobie.

To było jak wspólne czuwanie.

Wiedziałam, że zostaną tam ze mną do chwili, aż zadzwoni James. Czułam się jak na tratwie pełnej rozbitków, stłoczonych, ściśniętych. Nikt nie zaproponował, żeby się rozdzielić.

— Zagrajmy w coś — powiedziała mama.

— Dobrze — zgodziłyśmy się wszystkie chórem. Oczywiście z wyjątkiem Kate.

Mama знаła świetne gry słowne, dzięki którym szybko mijał nam czas, gdy w dzieciństwie odbywaliśmy dalekie podróże samochodem.

Tak się złożyło, że w momencie, gdy zadzwonił James, grałyśmy w grę wymyśloną przez (kogóż innego?) Helen. Miała dość wyraźny związek z moim niedawnym stanem. Należało podać wszystkie możliwe słowa opisujące ciążę.

Wydaje mi się, że mama miała na myśli coś innego, gdy zachęcała nas, abyśmy same wymyślały nowe wersje gier, których nas uczyła.

— Być w kłopotcie — zawołała Anna.

— Być na ławce rezerwowych! — wrzasnęła Helen.

— Oczekiwać dziecka — powiedziała cicho mama, rozdarta między dezaprobatą a pragnieniem zwycięstwa.

— Claire, twoja kolej — przynagliła mnie Anna.

— Nie — odparłam. — Ciii, czy to dzwoni telefon?

Rozdział 25

— Halo — powiedziałam, nie mając innej koncepcji.

— Claire. — To był głos Jamesa. A więc to on.

W końcu udało nam się porozmawiać.

— Witaj, James.

No i zabrakło mi słów.

Nie byłam poinformowana, jak powinnam się odzywać do męża, który mnie zostawił. Zwłaszcza że on z pewnością nie starał się odzyskać moich względów.

Potrzebna nam książka opisująca, jak gadać z takim zbiegłym mężem.

No wiecie, coś w rodzaju poradnika. Są takie, które mówią, jakim nożem otwierać muszelki z małżami, inne — jak zgodnie z etykietą odzywać się do, na przykład, biskupa (dla porządku podam: „Piękny pierścień, Wasza Ekscelencjo” jest w sam raz na pierwsze spotkanie).

Więc ta książka podawałaby w delikatnej formie wskazówki, ile razy w pojedynczym zdaniu można wykorzystać słowo „drań” albo w jakich okolicznościach niestosowne jest używanie przemocy fizycznej i tak dalej.

Na przykład, jeśli twój chłopak / mąż / facet po prostu znikł na parę dni po szczególnie ważnym meczu i właśnie wrócił do domu z zieloną twarzą, nie ogolony, rozczochrany, należy powiedzieć:

„Gdzie, kurwa mać, byłeś przez ostatnie trzy dni, pijany, zawszony śmierdzielu?”

Zamilkły.

Tak, to był dzwonek telefonu.

— Czy ja mam odebrać? — spytała mama.

— Nie. Dziękuję ci, ale sama to zrobię. Z tymi słowami wyszłam.

Ponieważ jednak nikt takiej książki jeszcze nie napisał, musiałam polegać na własnym instynkcie.

— Jak się masz? — spytał James.

„Tak jakby cię to obchodziło”, pomyślałam.

— Bardzo dobrze — odparłam grzecznie. Cisza.

— A... a ty jak się masz? — spytałam pośpiesznie. Jezu, gdzie się podziały moje maniery?

Czy można się dziwić, że mnie zostawił?

— Dobrze — powiedział w zadumie. — Całkiem dobrze. „Nadęty skurwiel”, pomyślałam.

— Claire — mówił dalej. — Jestem w Dublinie.

— Wiem — odrzekłam niegrzecznie. — Mama mi wspomniała, że dzwoniłaś wczoraj wieczorem.

— Nie wątpię, że ci wspomniała.—W jego głosie zabrzmiał ledwie wyczuwalna ironia.

Nie można powiedzieć, że James był głupcem. Draniem—jak najbardziej. Ale nie głupcem.

— Gdzie się zatrzymałeś?

Wymienił jakiś tani pensjonat w centrum miasta. Przy ulicy którą można by określić mianem frontowej. To zupełnie nie w stylu Jamesa. Do niego bardziej pasował przytulny, duży hotel, pełen kantorów, sklepów sprzedających lakierowane gałązki tarniny i krasnoludki w puszkach. Na podstawie podanego przez Jamesa adresu zorientowałam się, że nie przyjechał do Dublin: służbowo, bo w przeciwnym razie mieszkałby na koszt firmy w znacznie ładniejszym i droższym miejscu. Więc skoro nie w interesach, to po co tu przyjechał?

— Czym mogę ci służyć? — spytałam oschle. Nie on jeden potrafił być ironiczny.

Mój ton miał mu powiedzieć, że nie nasikałabym na niego4 nawet gdyby się palił.

— Czym możesz mi służyć? Chciałbym, żebyśmy się spotkali. Zrobisz to dla mnie?

— Oczywiście — rzekłam posłusznie.

„Jak inaczej miałabym ci połamać wszystkie kości?”, pomyślałam.

— Naprawdę? — zdumiał się, jakby oczekiwał zażartej kłótni.

— Ależ tak — zaśmiałam się. — Czemu tak się dziwisz? „Bo gdy już połamię ci wszystkie kości, utnę ci penis i wetknę ci go do gęby, a przecież tego również nie uda mi się zrobić przez telefon, prawda?”, myślałam dalej.

— No... nic, nic. To... to świetnie. Nadal wydawał się zaszokowany. Z pewnością spodziewał się, że nie zechcę się z nim spotkać. To by wyjaśniało jego przymilny ton i zdziwienie na moją zgodę.

Szczerze mówiąc — co bym zyskała, nie wyrażając zgody na to spotkanie?

Chciałam uzyskać odpowiedzi na kilka pytań.

Na przykład: dlaczego przestałeś mnie kochać?

I ile pieniędzy zamierzasz dawać mi na Kate?

Jak inaczej mieliśmy ustalić prawny status każdego z nas i stosunek do Kate, gdybyśmy się nie spotkali, by to wszystko omówić?

Może oczekiwał, że kompletnie się załamam?

A tu, proszę! Teraz wcale nie byłam załamana, prawda?

Nie czułam się lepiej, ale jakkolwiek by na to spojrzeć, bardzo mi się poprawiło.

Co za dziwne uczucie!

Kiedy to się stało?

Wiem, jak to jest, gdy rozpada się jakiś związek. Znajomi gadają różne bzdury w rodzaju: „Mało to innych dookoła?” albo „Z nim nigdy nie byłabyś szczęśliwa”. Gdy dochodzą do słów: „Ja to naprawię”, spróbujcie powstrzymać instynktowne pragnienie, by podbić im oko.

Nie rezygnujcie z tej metody, bo jest naprawdę skuteczna.

Jestem tego żywym dowodem.

Jedyny problem polega na tym, że w tym wypadku czas dłużej leczy rany.

Wskazana jest więc dla tych z nas, które się śpieszą. Efekt murowany.

Przypuszczam, że seks z Adamem również nie zaszkodził memu odrodzeniu. Musiałam jednak myśleć o chwili obecnej.

— Gdzie się spotkamy? — spytał James.

— Może przyjedziesz tutaj, do domu?

Nie chciałam załatwiać tych spraw na obcym gruncie, lecz u siebie. I najlepiej na moich warunkach.

— Możesz przyjechać taksówką. Albo autobusem, tylko poproś konduktora, żeby cię wysadził przy rondzie na końcu...

— Claire! — przerwał mi ze śmiechem. — Byłem w waszym domu wiele razy. Wiem, jak tam dojechać.

— Oczywiście — odparłam gładko. Ja też to wiedziałam.

Ale nie mogłam sobie odmówić przyjemności potraktowania go jak kogoś zupełnie obcego. Niech wie, że tu już nie ma dla niego miejsca.

— Więc może o jedenastej trzydzieści? — zaproponowałam stanowczo.

— No... dobrze.

— Świetnie — rzekłam lodowato. — To do zobaczenia. Nie czekając na odpowiedź, odłożyłam słuchawkę.

Rozdział 26

Kłamałabym przed wami i przed samą sobą, gdybym nie przyznała, że sprawiłoby mi ogromną satysfakcję, gdyby James wrócił do mnie na kolanach, jako kompletnie załamany facet. Byłabym zachwycona, gdyby czołgał się na czworaka do moich drzwi, z płaczem błagając, abym go przyjęła. Pragnęłam, aby był nie ogolony, brudny, w łachmanach, żeby miał długie, zmierzwione włosy, obłąkaną twarz, na której malowałaby się ogromny żal wywołany świadomością, że stracił jedyną kobietę, którą naprawdę kochał. I kiedykolwiek jeszcze mógł pokochać.

Ten obraz w mojej wyobraźni był tak żywy, że gdy o w; dwunastej pojawił się przy furtce, byłam strasznie rozczarowana, bo szedł w całkowicie wyprostowanej pozycji.

Prehistoryczni ludzie musieli odczuwać takie samo niedowierzenie, gdy jeden z ich towarzyszy zeskoczył z drzewa i zaczął nagle paradować jedynie na dwóch nogach.

Stałam przy oknie i patrzyłam, jak podchodzi do drzwi. Oczywiście stałam w odpowiedniej odległości. Gdyby zobaczył mnie z nosem rozplaszczonym na szybie, moja ambicja doznałaby znacznego uszczerbku.

Ciekawiło mnie, jak on wygląda. A teraz miałam go zobaczyć.

Na myśl o tym poczułam bolesne ukłucie. Nie był już mój, więc teraz będzie inaczej wyglądał. Zabraknie subtelnego, choć wyraźnego piętna, które na nim zostawiłam.

W pewnym sensie James był w przeszłości częścią mnie, więc podświadomie — muszę przyznać, że czasami również przewrotnie — sprawiałam, że wyglądał w określony sposób.

Mówiąc uczciwie, jego wygląd świadczył o mnie. Więc nie mogłam pozwolić, żeby chodził jak dziad.

A teraz nie miałam już na to wpływu.

Więc jak wyglądał?

Inaczej?

Czy roztył się przy Denise? Czy był źle ubrany?

Czy Denise wyposażyła go w takie same kuse kurteczki i spodnie od dresów jak swoich trzech synków? W kolorach lurkusu i purpury. Obrzydlistwo.

Czy będzie wyglądał jak bezlitosny drań, który zjawi się po to, by odebrać mi dom i dziecko?

Lecz on wyglądał zupełnie normalnie.

Szedł z rękami w kieszeniach. Mógł być każdym, iść naprawdę wszędzie.

Jednak był trochę inny niż kiedyś.

Szczuplejszy.

I jeszcze coś... Tylko co? Nie miałam pewności... czy... czy zawsze był taki niski?

Poza tym nie był ubrany tak, jak oczekiwałam.

Za każdym razem, gdy myślałam o spotkaniu z nim, wyobrażałam go sobie w tym ponurym garniturze, który miał na sobie, kiedy odwiedził mnie w szpitalu. Dziś włożył dzinsy, niebieską koszulę i coś na kształt marynarki.

Bardzo sportowo. Luzacko.

Wyraźnie nie przykładał do tego spotkania należytej wagi.

Poczułam się niestosownie, absurdalnie.

Jak kat, który zjawił się na szafocie w hawajskiej koszulce i baseballowej czapeczce nałożonej daszkiem do tyłu, po czym z szerokim uśmiechem zaczął opowiadać kawały z serii „puk, puk... kto tam?”

Zadzwoił. Nabrałam powietrza i podeszłam do drzwi.

Serce waliło mi jak młotem.

Otworzyłam. I oto ujrzałam go.

Taki sam. Taki sam, że aż poczułam ukłucie w sercu.

Nadal miał ciemnobrązowe włosy, bladą i szczupłą twarz, zielone oczy.

Uśmiechnął się krzywo i po chwili niezręcznej ciszy powiedział obojętnym tonem:

— Jak się masz, Claire?

— Dobrze. — Uśmiechnęłam się lekko, uprzejmie. — Wejdz. Wszedł do holu. Nagle tak zaszumiało mi w głowie, że prawie przykleklam.

Co innego było rozmawiać z nim spokojnie przez telefon. Fizyczne spotkanie okazało się o wiele trudniejsze.

Mimo wszystko musiałam się zachować jak dorosła osoba.

Minęły już dni, gdy z płaczem uciekałam do swojego pokoju.

Zresztą on też nie wydawał się uszczęśliwiony.

Wiedziałam, że już mnie nie kocha, ale przecież był tylko człowiekiem. W każdym razie tak mi się wydawało. I nie mógł nie poddać się chociaż na chwilę nastrojowi wywołanemu naszym spotkaniem.

Ale dobrze go znałam. W okamgnieniu odzyska zimną krew. Ja musiałam zrobić to samo.

— Może zdejmiesz marynarkę? — spytałam uprzejmie, jakby był akwizytorem, który wpadł, żeby namówić mnie do kupna systemu centralnego ogrzewania.

— Chyba tak — odparł niechętnie. Zrzucił ją i ostrożnie mi podał, bardzo się przy tym starając, żeby przypadkiem nie dotknąć mojej dłoni.

Patrzył tęsknie na marynarkę, jakby już nigdy nie miał jej odzyskać i chciał zapamiętać każdy szczegół jej wyglądu. Czego się obawiał?

Przecież nie ukradłabym mu tej cholernej marynarki. To nie było zbyt miłe.

— Powieszę ją — rzekłam, gdy nasze spojrzenia po raz pierwszy spotkały się na dłużej.

Popatrzył na moją twarz.

— Dobrze wyglądasz, Claire — stwierdził spokojnie.

Powiedział to z entuzjazmem pracownika firmy pogrzebowej, zwracającego się do ofiary wypadku drogowego, która wbrew wszelkim oczekiwaniom przeżyła katastrofę.

— Tak. — Kiwnął głową, nieco zaskoczony. — Naprawdę dobrze wyglądasz.

— A dlaczego nie miałabym dobrze wyglądać? — Uśmiechnęłam się znacząco. Mam nadzieję, że dojrzał w tym uśmiechu moją dumę, a także ironię, w równych proporcjach.

Dałam mu odczuć, że chociaż już mnie nie kocha, chociaż mnie unieszczęśliwił i poniżył, byłam rozsądną kobietą i pokonałam depresję.

Niemal zażartowałam z całej sytuacji i właśnie zaprosiłam go — sprawcę całego zła — by śmiał się razem ze mną. Trudno mi było uwierzyć, że naprawdę to zrobiłam. Byłam z siebie zadowolona.

Bo chociaż — Bóg mi świadkiem — nie czułam się spokojna, zamierzałam odstawić pierwszorzędny teatr i udawać, że jestem całkowicie opanowana.

Jednak James nie uznał mojego żartu za lekki i niezłośliwy, chociaż takie właśnie wrażenie starałam się stworzyć. Zrzucił mi lodowate spojrzenie.

Znowu zachowywał się jak pracownik zakładu pogrzebowego. Nędzny kutas.

Skoro ja byłam gotowa zachowywać się miło i spokojnie, to chyba on mógł się do tego dostosować. W końcu co miał do stracenia?

Może przygotował sobie piękną przemowę o tym, jak pogodzę się z jego odejściem, jaki on był dla mnie niedobry, jak do siebie nie pasowaliśmy, jak mi będzie lepiej bez niego. Może rozczarował się, że nie będzie mu dane jej wygłosić?

Pewnie stał przed lustrem w swoim pokoju w tym podrzędnym pensjonacie The LiffeySide (spełnia przepisy przeciwpożarowe, kabiny prysznicowe i czajniki elektryczne w każdym pokoju, telewizja satelitarna, na żądanie gości — poranne pijackie rozróby pod oknami) i ćwiczył, jak to będzie, gdy obejmie mnie przepaszająco i powie zdławionym z emocji głosem, że chociaż nadal mnie kocha, to już nie jest we mnie zakochany.

Kilka sekund staliśmy w holu. James wyglądał tak, jakby cała jego rodzina została właśnie posiekana maczetami. Ja nie przedstawiałam lepszego widoku. Napięcie było przeogromne.

— Chodź do jadalni — przejęłam inicjatywę. W przeciwnym razie stalibyśmy tak cały dzień, bladzi, przygnębieni, sparaliżowani nerwami. — Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał. Poza tym jest tam stół, gdyby trzeba było rozłożyć jakieś dokumenty czy coś w tym rodzaju.

Posępnie skinął głową i pierwszy ruszył korytarzem.

Bezczelny! Czemu stara się sprawić wrażenie, że jest aż tak spięty?

Przecież to ja zasługiwałam na prawo zachowywania się w taki sposób.

W jadalni czekała Kate.

Leżała w swoim nosidełku. Wyglądała prześlicznie. Podniosłam ją i przytuliłam jej twarzyczkę do swojego policzka.

— To jest Kate — powiedziałam po prostu. Patrzył na nas, poruszając bezgłośnie ustami.

Wyglądał trochę jak złota rybka. Tyle że bardzo blada i poważna.

— Jest... bardzo duża, bardzo urosła — wykrztusił w końcu.

— Niemowlęta szybko rosną. — Kiwnęłam mądrze głową.

Oczywiście podtekst był taki: „Gdybyś się interesował, draniu, byłbyś przy niej, gdy rosła”. Ale nie powiedziałam tego głośno.

Nie musiałam. On wiedział.

Zakłopotanie i wstyd miał wyraźnie wypisane na twarzy.

— Na imię ma Kate? — spytał.

W jednej sekundzie ogarnęła mnie taka wściekłość, że miałam ochotę go zabić.

Nawet się nie dowiedział, jak jego córka ma na imię. Było wiele osób, które mógł o to spytać.

— Po Kate Bush? — zapytał. Miał na myśli słynną piosenkarkę. Lubiłam ją, ale nie przyszłoby mi do głowy nadawać jej imię mojej pierworodnej córce.

— Tak — odparłam gorzko. — Po Kate Bush.

Szkoda mi było strzepić języka, by podać mu prawdziwy powód. Co go to obchodziło?

— Hej! — Właśnie coś przyszło mu do głowy. — Czy mogę ją potrzymać?

W innych okolicznościach można by napisać, że powiedział to z entuzjazmem.

Moja złość i gorycz wylewały się prosto na jego starannie uczesaną głowę.

Chciałam krzyknąć: „Oczywiście, że możesz ją potrzymać, czekała na to dwa miesiące. Jesteś jej ojcem, do jasnej cholery!” Jednak ugryzłam się w język.

Czułam się jak zdrajczynie, jak matka z Trzeciego Świata, którą sytuacja ekonomiczna zmusiła do sprzedania własnego dziecka bogatemu obcokrajowcowi. Mimo to podałam mu Kate.

I ten wyraz jego twarzy.

Jakby nagle zachorował na niedorozwój umysłowy. Uśmiezek, błyszczące oczy, rozanielona mina. Oczywiście trzymał ją źle. W poprzek zamiast wzdłuż. Poziomo zamiast pionowo.

Tak trzymają dzieci ludzie, którzy nie mają o nich pojęcia.

Wiem, bo sama to robiłam przez pierwsze dwa dni po urodzeniu Kate, dopóki jedna z matek, która już nie mogła znieść wrzasków Kate, udzieliła mi zmęczonym głosem stosownych instrukcji. (Pionowo, nie poprzecznie!)

Jednak nie odczułam nawet odrobiny współczucia dla Jamesa za to, że popełnił ten sam błąd.

Kate zaczęła płakać.

Nic dziwnego. Biedne dziecko.

Obcy facet trzymał ją jak zwinięty dywan.

Wy też byście płakali.

James wystraszył się.

— Co jej jest? — spytał. — Co zrobić, żeby przestała? Rozanielona mina znikła.

Zastąpił ją strach.

Wiedziałam, że ta scenka pod tytułem „miły facet” była zbyt piękna, by mogła okazać się prawdziwa.

— Weź ją. — Wyciągnął ku mnie ręce z Kate i spojrzał na nas z jawnym niesmakiem.

W świecie Jamesa najwyraźniej nie było miejsca na płaczące kobiety.

Nie zawsze był taki.

Przecież ożenił się ze mną. A ja nie słyszałam z tego, że powstrzymałam się od płaczu. Zawsze uważałam, że lepiej się wyryczeć, niż dusić wszystko w sobie.

Ale teraz, gdy patrzyłam na jego skrzywioną twarz, zaczęłam się zastanawiać — i to nie po raz pierwszy — jaki się z niego zrobił łajdak.

— Hm. — Uśmiechnęłam się lodowato. — Chyba cię nie lubi.

Roześmiałam się, jakby to miał być dobry dowcip, po czym odebrałam ją z wyciągniętych rąk Jamesa.

Spieszyło mu się, by jak najszybciej mi ją oddać. Przytuliła się do mnie i po chwili przestała płakać.

Przez chwilę poczułam gorzką satysfakcję, że Kate stanęła po mojej stronie przeciwko niemu.

Potem zrobiło mi się smutno i wstyd.

James był ojcem Kate.

Powinnam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby się polubili.

Ja mogłam sobie znaleźć innego mężczyznę, którego pokocham.

Lecz Kate miała tylko jednego ojca.

— Wybacz. — Uśmiechnęłam się przepraszająco. — Ona cię nie zna. Musi się przyzwyczaić. Teraz się boi.

— Masz rację. To musi trochę potrwać. — Odzyskał nieco humor.

— No właśnie — zapewniłam go. Lecz po chwili uderzyła mnie przerażająca myśl: a kiedyż to zamierza on spędzić z nią owo „trochę czasu”?

Jeśli przyjechał do Dublina, żeby zabrać Kate do Londynu, to prędzej umrze. Innej możliwości po prostu nie było.

Do tej pory nie starał się odgrywać roli troskliwego ojca, czego więc chciał?

— Kawę.

— Co takiego? — spytałam ostro.

— Czy mógłbym dostać kawę? — zapytał.

Patrzył na mnie, jakby działo się ze mną coś dziwnego. Ile razy mnie pytał, zanim usłyszałam?

— Jasne — odparłam.

Włożyłam Kate z powrotem do nosidełka, po czym udałam się do kuchni, żeby zrobić mu kawę.

Powinnam zaproponować ją wcześniej. Emocje jednak były zbyt silne i w ogóle nie przyszło mi to do głowy.

W kuchni odczułam pewną ulgę.

Westchnęłam głęboko, zamknawszy za sobą drzwi. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że z trudem napełniłam czajnik wodą.

Przebywanie z nim okazało się bardzo trudne. Męczyło mnie udawanie, że czuję się znakomicie. Wyzwaniem było również okiełznanie wezbranej we mnie złości.

Jednak musiałam to zrobić.

Zamierzałam uzyskać dla Kate tyle, ile tylko było możliwe. Zanio-
słam kawę do jadalni. Nie podałam ciasteczek.

Wybaczcie, ale po prostu nie byłam aż tak wielkoduszna. James po-
chyłał się nad Kate i starał się nawiązać z nią rozmowę.

Mruczał coś pod nosem, prowadząc jakąś pełną napięcia dyskusję.

Jakby była jego koleżanką po fachu, a nie dwumiesięcznym niemow-
lęciem.

Nie zachowywał się tak, jak wobec małych dzieci postępują normal-
ni, mili, pełni ciepła ludzie. Wicie, tak jakby swój mózg zostawili przed
progiem.

A więc nucą śpiewnie, zadają retoryczne pytania.

Na przykład głupio pytając: „A kto jest najpiękniejszą dziewczynką
na świecie?” Właściwą odpowiedzią jest nie —jak moglibyście oczeki-
wać — Cindy Crawford, lecz Kate Webster.

On rozmawiał z nią chyba o reformie systemu podatkowego.

I wydawało mu się, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Postawiłam kawę na stole i w momencie, gdy porcelana dotknęła
mahoniowego blatu, uświadomiłam sobie, że przygotowałam ją dokład-
nie tak, jak James lubi.

Strasznie się wkurzyłam.

Czy nie mogłam choćby udawać, że zapomniałam? Czy nie mogłam
zrobić mu kawy z mleczkiem i dwoma łyżeczkami cukru, zamiast czarnej
bez cukru z dodatkiem zimnej wody? A potem, gdyby się nią krztusił, ob-
lizując swoje sparzone, przesłodzone usta, czyż nie mogłabym mu po-
wiedzieć: „Och, wybacz, zapomniałam, że pijesz bez cukru”. Ale nie.

Przegapiłam znakomitą okazję, by mu pokazać, że nic już dla mnie
nie znaczy.

— O, dziękuję ci. — Pociągnął łyk. — Pamiętałaś, jaką lubię.

— Uśmiechnął się z satysfakcją.

W tej chwili najchętniej poszłabym do kuchni, żeby oblać się benzy-
ną i podpalić. Taka byłam wściekła.

— Bardzo proszę — odparłam przez zaciśnięte zęby. Zapadło mil-
czenie.

Po chwili James zaczął mówić.

Nagle jakby przełączył się na swobodny tryb zachowania. Nerwość, jaką okazywał przy drzwiach wejściowych, nagle gdzieś wyparowała.

Szkoda, że nie u mnie.

— Wiesz, nie mogę uwierzyć, że tu jestem — powiedział lekko, opierając się na krześle. Kubek z kawą trzymał ukryty w obu dłoniach.

Jednak ton głosu świadczył o tym, że bez problemu w to uwierzył.

— Nie mogę uwierzyć, że mnie wpuściłaś.

„Nie ty jeden”, chciałam mu odpalić, lecz powstrzymałam się.

— Dlaczego? — spytałam z chłodną galanterią.

— Hm. — Pokręcił głową, uśmiechając się krzywo, jakby nie potrafił wyjaśnić, skąd w jego głowie pojawiają się takie myśli.

— Sądziłem, że być może twoja matka i siostry zrobią mi coś złego, gdy się pojawię. Na przykład wyleją mi na głowę wrzący olej lub coś w tym rodzaju.

I siedział tam, patrząc mi prosto w oczy z pełnym samozadowolenia uśmieszkiem, przyjmując do wiadomości fakt, że bez problemu został wpuszczony do jaskini lwa, jakby mu się to należało, i że jest tu całkiem bezpieczny, chociaż ja pochodzę ze zwariowanej rodziny mieszkającej w kraju dzikusów.

Opanowałam pragnienie, by rzucić się przez stół i wyrwać mu zębami krtań, sycząc przy tym: „Wrzący olej byłby dla ciebie za dobry”.

Zamiast tego posłałam mu krótki, chłodny uśmieszek.

— Nie bądź śmieszny, James. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, bez względu na to, co sobie o nas myślisz. Dlaczego mielibyśmy zrobić ci krzywdę? Przecież — zaśmiałam się dźwięcznie, jakby lodowe igielki uderzyły w szkło — pragniemy, abyś pozostał w zdrowiu i mógł zarabiać pieniądze na alimenty dla Kate.

Zapadła cisza.

— Co to znaczy „na alimenty”? — spytał powoli, jakby w życiu o tym nie słyszał.

— James, chyba wiesz, co to są alimenty. — Niemal zasłałam z wrażenia.

Mierzyłam go wzrokiem. Co się dzieje?

Przecież był księgowym, do znudzenia gadającym o finansach.

Powinien być za pan brat z umowami dotyczącymi czyjegoś utrzymania.

Po prawdzie zdziwiłam się, że nie przywiózł ze sobą długiej, szczegółowej umowy do podpisania. Wiecie, takiej z wyliczonymi kosztami utrzymania Kate przez resztę życia, symulacjami ekonomicznymi, wartościami funduszków powierniczych, amortyzacją i tak dalej.

Przecież był facetem, który potrafił — i bez wątpienia często to robił — wyliczyć napiwek dla kelnerki z dokładnością do czternastego miejsca po przecinku.

Oczywiście nie dlatego, że był skąpy.

Tylko bardzo, bardzo dobrze zorganizowany.

Zawsze skrobał na kopertach albo serwetkach i przedstawiał szczegółowe obliczenia, które — o dziwo — niemal zawsze okazywały się poprawne.

W ciągu pięciu minut potrafił wyliczyć co do grosza koszt remontu twojej łazienki, biorąc pod uwagę wszystko, łącznie z farbą, kranami, robocizną, herbatnikami dla robotników; dni pracy (oczywiście twoje własne) stracone z powodu nie przespanych nocy, gdy robotnicy znikli na trzy tygodnie, zostawiając wannę na podeście schodów i tak dalej... On naprawdę myśli o wszystkim!

— Alimenty — powtórzył w zamyśleniu niezbyt zachwyconym tonem.

— Tak, James — odparłam ze stoickim spokojem.

Mimo że mój żołądek zataczał się na wszystkie strony jak murarz na promie płynącym po wzburzonym morzu. Murarz, który wypił osiemnaście puszek piwa zakupionych w sklepie bezcłowym.

Umarłabym, gdyby James robił jakieś trudności z pieniędzmi. Nie, wycofuję się. Nie umarłabym. To ja jego bym zabiła.

— Tak, rozumiem — powiedział zaskoczony. — Rzeczywiście mamy do omówienia bardzo wiele spraw.

— Owszem — potwierdziłam jowialnie.—A skoro tu jesteś, mamy dobrą sposobność, żeby to zrobić.

Uśmiechnęłam się szeroko.

Z taką niechęcią, że chyba uszkodziłam sobie mięśnie twarzy.

Ale musiałam zachowywać się tak przyjaźnie, jak to tylko możliwe.

— Więc... — podjęłam żywo, próbując sprawić wrażenie, że dokładnie wiem, o czym mówię. — Wiem, że żadne z nas nie jest obeznane z takimi sprawami, ale czy według ciebie nie powinniśmy ustalić najważniejszych kwestii między nami, a prawnikom pozostawić stawianie kropek nad „T” i daszków nad „i”? (Pozwoliłam sobie na mały uśmiech, który całkowicie zignorował). — A może wolisz, by wszystkim od a do z zajęli się nasi prawnicy?

— Aha! — Nagle rozjaśnił się, unosząc palec wskazujący jak Hercules Poirot, który demonstruje karygodny błąd w rozumowaniu. — Dobrze by było, gdybyśmy mieli prawników. Ale ich nie mamy, prawda? — Spoglądał na mnie uprzejmie, lecz z pewnym politowaniem, jakbym była nie w pełni rozwinięta umysłowo.

— Ale... no cóż, ja mam — odparłam.

— Masz? Naprawdę? No, no, no. — Był rzeczywiście zaskoczony. I to niezbyt przyjemnie.

— No... oczywiście, że mam.

— Ho, ho, widzę, że zabrałaś się do dzieła — rzekł mało sympatycznym tonem. — Nie traciłaś czasu.

— James, o co ci chodzi? Minęły dwa miesiące.

I pomyśleć, że miałam wyrzuty sumienia z powodu odwlekania na później i marnowania czasu. W mojej głowie panował zamęt. Czyżbym zrobiła coś źle?

Czy istniał jakiś protokół? Jakiś termin, który powinnam respektować, zanim zajmę się wrakiem mojego małżeństwa?

Coś w rodzaju zakazu tańczenia w czerwonej sukni przed upływem sześciu lat od śmierci męża, czy jak to tam było ze Scarlett O'Harą, której zachowanie tak zbulwersowało społeczność Adanty.;

— Tak — odezwał się James. — Chyba rzeczywiście minęły ; już dwa miesiące.

Westchnął.

Przez chwilę w mojej głowie zagościła niedorzeczna myśl, że było mu smutno.

I zrozumiałam: faktycznie było mu smutno. f

Każdy facet byłby przygnębiony, gdyby nagle zdał sobie sprawę, że musi utrzymywać dwie rodziny.

Zapewne wyobraził sobie honorarium prawnika i agencji nieruchomości, które zwiększają się jak okiem sięgnąć w przyszłość;; podczas gdy my załatwiamy wszystkie sprawy związane z roz[^]kładem naszego małżeństwa.

Oczywiście utrzymanie tych trzech małych brzdąców Denidem wykłtych do kolorowych ciuszków, również nie będzie tanie.

Chociaż powinno, o ile sprawy do końca będą załatwione jak; należy.

Tak więc odłożyłam wszelkie współczucie, jeśli takowe w ogóle miałam, na bok.

— James, czy przywiozłeś dokumenty i akty dotyczące mieszkania?

— No... nie — wydawał się lekko oszołomiony.

— Dlaczego? — zdenerwowałam się.

— Nie wiem. — Spoglądał na swoje buty. Cisza.

— Chyba o tym nie pomyślałem. Wyjechałem z Londynu w wielkim pośpiechu.

— Czy w ogóle masz przy sobie jakieś dokumenty? — Z trudem powstrzymywałam się, żeby go nie strzelić. — Wiesz, wyciągi bankowe, nasze polisy emerytalne i tym podobne rzeczy?

— Nie — odparł krótko. Bardzo pobladł. Na pewno był wściekły, że dał się tak przyłapać.

Tego rodzaju niedbalstwo było do niego niepodobne, niezgodne z jego charakterem. Chociaż zachowywał się niezgodnie ze swoim charakterem już od dłuższego czasu. Może przechodził załamanie nerwowe? Albo tak się zadurzył w tej tłustej Denise, że wyparowała mu część mózgu.

Kiedy do niej uciekł, z pewnością trochę szwankował mu wzrok. Przecież to samo mogło stać się z mózgiem.

— Czy naprawdę potrzebne nam te wszystkie dokumenty? — spytał.

— No, pewnie nie od razu, ale skoro chcemy ustalić pewne rzeczy podczas twojej wizyty, byłoby wskazane mieć je ze sobą.

— Chyba udałoby mi się otrzymać kopie niektórych dokumentów faksem — powiedział wolno. — Jeśli tak bardzo tego chcesz.

— Nie chodzi tylko o to, czego ja chcę — odparłam nieco zdezorientowana. — Chodzi o ustalenie, co do kogo należy.

— Co za brudy! — rzekł z odrazą. — Chcesz przez to powiedzieć, że mamy ustalić rzeczy w rodzaju „to jest mój ręcznik, a to twój rondel”?

— No właśnie.

„Co się z nim dzieje? Czy w ogóle o tym nie pomyślał?”, zastanawiałam się

— James — odezwałam się, gdy zaszokowany usiadł na krześle. — A ty myślałeś, że jak to będzie? Że przyjdą dobre wróżki specjalizujące się w rozwodach i za pomocą czarów załatwią wszystko, gdy my będziemy sobie smacznie spali?

Zdobył się na nieznaczny uśmiech.

— Masz rację — powiedział smutno. — Tak, masz absolutną rację!

— Wiem — zapewniłam go. — I jeśli poprawi to twój na? strój, oddaję ci wszystkie nasze spodki.

— Dzięki — rzekł cicho.

— Poza tym nie martw się — powiedziałam, udając dobroduszną, tak jakbym miała ochotę poklepać go po ramieniu. — Jestem pewna, że nadejdzie dzień, gdy oboje będziemy to wszystko wspominali ze śmiechem. .

Oczywiście byłam przekonana, że nic takiego się nie wydarzy.

Miałam niejasną świadomość, że robię coś z gruntu niewłaści* wego, starając się pocieszać go, zachęcać, by był silny i wytrwały*

To było bardzo dziwne, dla mnie kompletnie niezrozumiałe.

Zwykle nie popełniałam takich błędów. j

Nie co dzień można mnie było przyłapać, jak smaruję sobie łokieć maścią na hemoroidy. Albo moczę tyłek w soku cytrynowy. Ale —jak wspomniałam wcześniej — to była trudna sytuacja.

Nagle James podniósł się i stał kilka chwil, chyba trochę zagubiony. Zapewne planował, jak ściągnąć z Londynu kopie dokumentów kredytu hipotecznego, jak również kopie innych dokumentów! Chyba czuł się upokorzony swoim własnym niedbalstwem.

— Lepiej już pójdę — powiedział.

— Dobrze. Może po prostu wróc do hotelu (do hotelu, dobra kawał!) i postaraj się, by przefaksowano ci dokumenty z Londynu? A my spotkamy się później.

— Dobrze. — Wciąż był niezwykle cichy. Nie mogłam się doczekać, kiedy sobie pójdzie.

Miałam już tego dosyć.

Właśnie dopełniał się akt rozpadu naszego małżeństwa. Porozmawialiśmy jak kulturalni ludzie. W moim przekonaniu nawet zbyt kulturalni. To było trochę jak sen. Okropność.

— Zadzwońię po południu — powiedział.

Pożegnał się z Kate w taki sposób, jakby wyjaśniał jej zasady naliczania emerytury, ale przynajmniej starał się nawiązać z nią pewną więź.

W końcu udało mi się go pozbyć.

Wyglądał na wyczerpanego. A ja naprawdę czułam się wyczerpana.

Rozdział 27

Ledwie zamknęłam za nim drzwi, zaczęłam ryczeć.

Jakby instynktownie wiedziały, że wyszedł — o czym ja mówię, przecież leżały na podłodze w sypialni nad jadalnią z uszami na szklankach, próbując pochwycić każde słowo — Anna, Helen i mama w magiczny sposób ukazały się w drzwiach. Wszystkie z niepokojem wypisanym na twarzy.

Byłam speszona.

Kate jakby to wyczuła, bo zaczęła płakać.

A może po prostu była głodna.

W każdym razie darła się dość głośno.

— Co za drań — wydukałam pośród łkań. Łzy szczypały mnie w twarz. — Lekko sobie to wszystko traktuje. Jak maszyna bez ludzkich uczuć.

— Nie przejął się niczym nawet w najmniejszym stopniu? — spytała mama.

— Jedyne, jedyne, co zrobiło wrażenie na tym kutasie, to pranie brudów przy podziale majątku.

— To całkiem niezłe — rzekła uspokajająco Helen. — Może więc wszystko zostawi tobie. Dostaniesz całość.

„Niezła próba, Helen”, pomyślałam. Chociaż nie to chciałam wtedy usłyszeć.

— Więc nie było mowy o pojednaniu? — spytała mama. Twarz miała pobladłą, oczy pełne niepokojem.

— Ani słowa! — wybuchłam, wywołując nową falę płaczu Kate, którą trzymała na rękach sprawiająca wrażenie nieszczęśliwej Anna.

— Pojednanie! — wrzasnęła Helen. — Chyba nie przyjmiesz go z powrotem? Nie po tym, jak cię potraktował.

— Nie o to chodzi.— Pociągnęłam nosem. — Chciałam mieć przynajmniej wybór. Sposobność, by powiedzieć mu, żeby się odwalił i że nie dotknęłabym go nawet pięciometrowym wiosłem. Ale gnój nie miał tyle przyzwoitości, by do tego dopuścić.

Wszystkie trzy współczująco pokiwały głowami.

— I do tego był taki z siebie zadowolony! — wyrzuciłam z siebie. — Pamiętałam, jak lubi mieć podaną kawę!

Wszystkie trzy gwałtownie nabrały powietrza. Kręciły głowami z dezaprobatą dla mojej głupoty.

— To źle — rzekła Anna. — Teraz on wie, że nadal ci na nim zależy.

— Wcale mi nie zależy — zaprotestowałam gwałtownie. — Nienawidzę go do szpiku kości. Bezczelny typ! — Łzy spływały mi po rozmazanych policzkach.

— Co? — spytały, podchodząc krok bliżej, by usłyszeć o kolejnym draństwie Jamesa.

— On się zdenerwował sprawą podziału naszych wspólnych rzeczy, a ja, JA próbowałam go pocieszać. Pomyślcie tylko! Ja go pocieszałam. Po tym wszystkim, co się wydarzyło.

— Faceci. — Anna z niedowierzaniem pokręciła głową. — Nie da się z nimi żyć.

— Nie da się z nimi żyć — podchwyciła mama. — Ale wystrzelać też ich nie można.

Nastało krótkie milczenie.

— Kto tak mówi? — zdziwiła się Helen.

— Więc na czym stanęło? — spytała mama.

— Na razie na niczym. Ma zadzwonić po południu.

— Co będziesz robić do tego czasu? — Pełne niepokoju spojrzenie mamy mimowolnie powędrowało ku barkowi, choć od kilku lat stał zupełnie pusty. Jednak przyzwyczajenie jest drugą naturą. Może powinna raczej mimowolnie spojrzeć przez okno na ogród i pod zbiornik z olejem, ale nieważne.

— Nic — odparłam. — Czuję się bardzo zmęczona.

— Idź się położyć — powiedziała szybko mama. — To było dla ciebie ciężkie przeżycie. My się zajmiemy Kate.

Helen chciała zaprotestować. Nawet otworzyła już usta, lecz po chwili je zamknęła.

Muszę powiedzieć, że to graniczyło z cudem.

— Dobrze. — Wdrapałam się po schodach na górę i położyłam do łóżka. Wciąż miałam na sobie te same piękne ciuchy, które włożyłam rano. Ale nie było już śladu po tej uśmiechniętej, atrakcyjnej kobiecie, którą wtedy byłam. Pozostał wrak z czerwoną twarzą, opuchniętymi oczami i rozmazanym makijażem.

Po południu mama obudziła mnie, delikatnie potrząsając moim ramieniem.

— Dzwoni James — szepnęła. — Porozmawiasz z nim?

— Tak. — Wygramoliłam się z łóżka. Ledwie widziałam na oczy, w pogniecionym ubraniu zataczałam się niczym lunatyk.

— Halo.— wybełkotałam do słuchawki.

— Claire — odezwał się szorstko, niemal władczo. — Próbowałam ściągnąć nasze dokumenty faksem, ale w tym cholernym mieście nie ma ani jednego punktu przyjmującego fakсы.

Od razu ogarnęło mnie poczucie winy. On to sprawił. Jakbym na złość jemu osobiście poszła i pozamykała wszystkie punkty przyjmujące fakсы.

— Wybacz, James — wyjąkałam. — Szkoda, że o tym nie wspomniałeś wcześniej, bo powiedziałabym ci, abyś kazał je przesłać do biura ojca.'

— No trudno — westchnął z irytacją. Chciał mi dać do zrozumienia, że gdy trzeba coś zrobić, on sam powinien dopilnować wszystkiego, a nie angażować członków mojej najbliższej rodziny. — Teraz już za późno. Zostały wysłane pocztą, więc powinny tu dotrzeć jutro rano.

„Akurat”, pomyślałam, mając na uwadze wolne tempo funkcjonowania irlandzkiej poczty w porównaniu z angielską. Jednak nie odezwałam się. Niewątpliwie gdy jutro rano dokumentów nie będzie, znowu ja zostanę obarczona winą za to opóźnienie.

— Ale myślę, że i tak powinniśmy spotkać się wieczorem — powiedział rzeczowo. Profesjonalista w każdym calu. Słusznie, James: czas to pieniądz.

Mimo wszystko miał rację. Należało się spotkać. Było tyle spraw do omówienia.

Chciałam załatwić wszystko tak szybko, jak to tylko możliwe, aby zacząć nowe życie.

Przecież nie miałam innego powodu, prawda?

Nie byłam aż tak żalosna, by sądzić, że jeśli spędzi ze mną dość czasu, to odżyją w nim uczucia do mojej osoby.

A może dobrze się czułam w jego towarzystwie.

Do diabła z tym!

Muszę coś wyznać: fakt, że mnie już nie kochał, był dla mnie czymś fascynującym.

Na tej samej zasadzie jak ludzie zawsze oglądają krew na jezdni i pokieroszowane wraki samochodów na lawetach. Wiem, że to straszne, ale zarazem bardzo mnie to przyciąga. Wiem, że później będę się tym denerwować, lecz to jest silniejsze ode mnie.

A może po prostu chciałam dać mu popalić?

— Więc co zrobimy? — spytał. — Przyjechałbym do ciebie, ale chyba nie jestem mile widziany w twoim domu.

Chyba się przesłyszałam. Bezczelny!

Wredny, podły, bezczelny typ!

Nie miał prawa czuć się mile widziany, ale przecież potraktowałam go kulturalnie.

Czego nie można powiedzieć o sposobie, w jaki on mnie potraktował.

Czy nie zrobiłam mu kawy? Czy poszczułam go psami?

Co prawda i tak nie mieliśmy psów, ale nie o to chodzi.

Ha, mogłam napuścić na niego Helen!

Czego on się spodziewał, do cholery?!

Wiwatujących tłumów z brytyjskimi flagami wzdłuż ulic wiodących z lotniska? Czerwonych dywanów i orkiestr dętych? Może należało ogłosić święto narodowe? A ja powinnam oczekiwać go u drzwi w seksownym negligu i uśmiechając się zalotnie, oznajmić: „Witaj, kochanie”?

Byłam skołowana.

Nie miałam pojęcia, co mu powiedzieć. Przykro nam, proszę pana, ale tłuste cielaki właśnie się skończyły.

Mówił tak, jakby się dąsał. Jakby chciał usłyszeć ode mnie coś w rodzaju: „Nie bądź głupi, James. Oczywiście, że jesteś mile widziany”.

Ale James się nie dąsał. Był na to zbyt dojrzały. A żaden rozsądny mężczyzna nie mógł oczekiwać, że przyjmę go z otwartymi ramionami.

Tylko co mu powiedzieć?

— Przykro mi, że odniosłeś takie wrażenie — wydusiłam z siebie. — Jeśli ja lub moja rodzina zachowaliśmy się wobec ciebie w sposób mało gościnny, mogę jedynie złożyć na twoje ręce wielkie przeprosiny.

Oczywiście wcale tak nie myślałam.

Gdyby moja rodzina naprawdę go obraziła, na przykład gdyby po jego wyjściu Helen robiła- w jego kierunku obrzydliwe miny lub gesty z okna na piętrze albo pokazała mu swój tyłek, lub jeszcze coś gorszego, mogłabym jej tylko przyklasnąć.

Ale musiałam go udobruchać.

Uprzejme słowa więzły mi w gardle, lecz najważniejsza była Kate.

Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż uświadomienie Jamesowi, jak niemile był widziany w moim domu, lecz obróciłoby się to przeciwko mnie. Nie chciałam, by Kate dorastała bez ojca. Tak więc stwierdzenie, że James nie był niemile widziany (tylko na tyle mogłam się zdobyć), było ceną, jaką musiałam zapłacić.

— Więc mam przyjechać? — spytał niechętnie. „Co się z nim dzieje?”, pomyślałam.

Zachowywał się jak małe dziecko, którym można dowolnie manipulować.

— Nie chciałabym, abyś tu przyjeżdżał, skoro nie czujesz się mile widziany. Lepiej spotkamy się na mieście. Tam nie będziemy skrupowani.

Nastąpiło długie milczenie, gdy James przetrawiał moją propozycję.

— Dobrze — odparł zimno. — Moglibyśmy wybrać się na kolację.

— Brzmi wcale nieźle — powiedziałam, myśląc przy tym, że faktycznie zabrzmiało to nieźle.

— No, muszę coś jeść — rzekł niezbyt miłym tonem — więc możesz mi towarzyszyć.

— Zawsze byłeś niezwykle elokwentny. — Zmusiłam się, by zabrzmiało to żartobliwie. Mimo to posmutniałam.

Umówiliśmy się w jednej z restauracji w centrum miasta o wpół do ósmej.

Przygotowania były jeszcze staranniejsze od porannych. To oczywiste, że chciałam pięknie wyglądać. A także bardzo seksownie.

James zawsze uwielbiał moje nogi, zwłaszcza gdy chodziłam w szpilkach, nawet jeśli dzięki temu równałam się z nim wzrostem.

Więc włożyłam te najwyższe, najkrótszą sukienkę, oczywiście czarną, a także parę najbardziej prześwitujących rajstop.

Miałam szczęście, bo czyż nie ogoliłam sobie nóg poprzedniego wieczoru? Gdy szykowałam się na seks z Adamem. Ale nie mówmy teraz o tym.

Nałożyłam grubą warstwę kosmetyków.

— Więcej tuszu — nalegała stojąca z boku Helen. — Podkładu też.

Subtelny poranny makijaż nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Więc teraz poszłyśmy na całość.

Gdy malowałam usta jakimś piekącym świństwem, które miało utrwalić warstwę pomadki, uderzyła mnie myśl, jakie to wszystko okropne. Beznadziejne.

W ten sposób malowałam się na początku, gdy zaczęłam chodzić z Jamesem. A teraz robiłam z siebie laleczkę, wysilałam się, żeby wyglądać jak najpiękniej na Wielki Finał naszego związku.

Co za marnotrawstwo.

Nieudane związki można opisać właśnie jak zmarnowany makijaż.

Zapomnijmy o śmiechu, kłótniach, seksie, zazdrości. Ale zdejmijcie kapelusze i uczcijcie minutą milczenia legiony bezimiennych tubek podkładu, tuszu, ołówków do oczu, różów i szminki, które poległy, aby to wszystko stało się możliwe. Jednak poległy nadaremnie.

Przejrzałam się w lustrze. Muszę przyznać, że wyglądałam dobrze. Wysoka, szczupła, prawie elegancka. Ani śladu arbuza.

— Jezu. — Helen pokręciła głową z wyraźnym podziwem. — Popatrz tylko na siebie. A przecież jeszcze niedawno byłaś grubą, starą suką.

To dopiero komplement.

— Zaczesz włosy do góry — zasugerowała Helen.

— Nie mogę. Są za krótkie.

— Wcale nie. — Podeszła do mnie i szczotką szesała wszystkie na czubek głowy.

Cholera, miała rację. Musiały urosnąć, gdy kompletnie je zaniedbywałam przez ostatnie dwa miesiące.

— Och! — zachwyciłam się. — Nie miałam długich włosów od szesnastego roku życia.

Helen zajęła się wsuwkami i spinkami, a ja uśmiechałam się jak głupia do swojego odbicia w lustrze.

— James rozchoruje się z żalu — powiedziałam. — Będzie mu przykro, że nie może mieć takiej lali jak ja. Jak tylko mnie zobaczy, będzie mnie błagał na klęczkach, żebym go przyjęła z powrotem.

Piękna wizja śliniącego się, skruszonego Jamesa prysła nagle, gdy Helen odezwała się podniesionym głosem:

— Coś ty zrobiła ze swoimi uszami?!

— A co z nimi nie tak?

— Są purpurowe.

— To tylko farba. Lepiej będzie, jak zakryję je włosami — rzekłam ze smutkiem. Bardzo szybko przyzwyczaiłam się do nowej, pięknej fryzurki.

— Nie, wymyślimy coś. — Oczy Helen rozbłyły. — Zaczekaj. — I wybiegła.

Wróciła z Anną, która aż gwizdnęła na mój widok, a także z paroma ciuchami w garści oraz butelką terpentyny.

— Ja zmyję to ucho, a ty drugie — poleciła Helen.

Tak więc na spotkanie z Jamesem poszłam z czerwonymi, otartymi niemal do żywego ciała, krwawiącymi uszami. A tak chciałam, by miały ładny, kasztanowy kolor, piękny połysk, pełne kształty.

Ale włosy były zaczesane do góry.

Rozdział 28

Muszę przyznać, że wejście do tej restauracji było dla mnie jednym z najprzyjemniejszych przeżyć, jakich kiedykolwiek doświadczyłam. James podniósł wzrok znad gazety i dosłownie, naprawdę dosłownie osłupiał.

— Claire. — Był całkowicie zbity z pantałyku. — Hm, pięknie wyglądasz.

Posłałam mu uśmiech, mam nadzieję tajemniczy, enigmatyczny, pewny siebie.

— Dziękuję — mruknęłam z zadowoleniem.

„To cię nauczy zostawiać mnie, podły draniu”, pomyślałam, siadając na krześle w taki sposób, by obejrzał sobie moje uda w przezroczystych, lśniących rajstopach oraz obcisłą czarną i bardzo krótką sukienkę.

Nie mógł oderwać ode mnie wzroku.

To było wspaniałe uczucie.

W drodze od samochodu do restauracji zauważyłam kilka ciekawych spojrzeń, jakimi obrzucili mnie mężczyźni. Może jak na poniedziałkowy wieczór w kwietniu byłam ubrana trochę przesadnie, ale kogo to obchodzi.

Kelner, młodzieniec w źle dopasowanym smokingu, zapewne Włoch, ale mówiący z dublińskim akcentem, przybiegł natychmiast i spędził niepotrzebnie dużo czasu, układając serwetkę na moim kroczu.

— Już dziękuję — powiedziałam, gdy trwało to zdecydowanie zbyt długo.

— Bardzo proszę — wycedził. Jak on był Włochem, to ja Matką Boską. Mrugnął do mnie ponad głową Jamesa.

Naprawdę!

I wtedy opętała mnie istna paranoja. Może on wziął mnie za dziwkę. Czy wyglądałam na prostytutkę? Wiedziałam, że moja sukienka jest zbyt krótka. Ale miałam to gdzieś.

James uśmiechnął się do mnie. Pięknie, ciepło, z podziwem i aprobatą. Przez moment ujrzałam mężczyznę, którego poślubiłam.

W tej chwili zauważył kelnera. Pochylił się, żeby lepiej przyjrzeć się moim nogom pod stołem. Jego uśmiech natychmiast znikł, a ja poczułam się jak mała sierotka.

— Claire. — Zmarszczył brwi niczym wiktoriański patriarcha. — Okryj się. Zobacz, jak patrzy na ciebie ten kelner.

Zaczerwieniłam się.

W tej krótkiej sukience poczułam się strasznie głupio zamiast seksownie i pewnie.

Pieprzony James, to wszystko przez niego.

Zachował się jak jakiś cholerny Amisz. A przecież nie zawsze był taki. Kiedyś najbardziej podobałam mu się w najkrótszych spódniczkach. No cóż, czasy się zmieniły.

Opuściłam głowę i mściwie zaczęłam szukać w menu najdroższych potraw.

— Chyba powinniśmy porozmawiać o pieniądzach — odezwałam się po odejściu kelnera.

— Nie ma problemu. Ja zapłacę. Mam kartę.

— Nie, James. — Ciekawe, czy celowo udawał takiego tupa-ka. — Musimy porozmawiać o naszych pieniądzach. Wiesz, twoich i moich. O naszej sytuacji finansowej.

Mówiłam specjalnie powoli, jakbym tłumaczyła małemu dziecku.

— A, rozumiem. — Pokiwał głową.

— Więc mamy jakieś pieniądze? — spytałam z niepokojem.

— Oczywiście — odparł zły. Trafiłam go w czułe miejsce. Podałam w wątpliwość jego zdolność do zapewnienia bytu żonie i rodzinie. Powinnam raczej powiedzieć: żonie i rodzinom.

— Dlaczego nie mielibyśmy mieć pieniędzy? — spytał.

— Bo ja nie pracuję i dostaję jedynie śmiesznie niski zasiłek, a ty musisz spłacać pożyczkę hipoteczną oraz czynsz za drugie mieszkanie i...

— Co to znaczy: czynsz za drugie mieszkanie? — rzucił głośno, wyraźnie zbulwersowany.

— No wiesz, za mieszkanie, w którym mieszkacie ty i... i... Denise.
— Wymawiając jej imię, byłam bliska śmierci.

— Ale ja wróciłem do naszego mieszkania. — Spojrzał na mnie trochę zdumiony. — Nie wiedziałaś?

Nagle przyszło mi do głowy kilka pomysłów jednocześnie. Czy mogłabym zabić go widelcem?

Czy jeśli będzie mnie sądzić kobieta, mogę liczyć na łagodniejszy wyrok?

Jakie jedzenie dają w więzieniu?

Co wyrośnie z Kate, jeśli jej matka zgładzi ojca?

Poprzez szum tych morderczych myśli dotarł do mnie głos Jamesa:

— Claire, dobrze się czujesz?

Tak mocno ścisnęłam nóż do smarowania pieczywa, że aż rozbolała mnie ręka. Co prawda nie widziałam swojej twarzy, ale na pewno jarzyła się pełną furii czerwienią.

— Chcesz przez to powiedzieć — wysyczałam w końcu — że wprowadziłeś tę kobietę do mojego domu?!

Myślałam, że się zakrztuszę albo zwymiotuję.

— Nie, skądże, Claire — odparł szybko, wyraźnie zaniepokojony. Za wszelką cenę chciał uniknąć głośnej awantury. — Tylko ja wróciłem do naszego mieszkania. A Deni... a ona nie.

— Aha.

Byłam kompletnie oszołomiona, nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Nie byłam pewna, co czuję.

— Ja już... no wiesz... nie jestem z nią. I to od jakiegoś czasu.

— Aha.

W pewien sposób to było jeszcze gorsze. Nadal chciałam go udusić.

Pomyśleć, że wyrzucił na śmietnik nasze małżeństwo, nasz związek, dla czegoś, co nie przetrwało nawet dwóch miesięcy.

Cóż za marnotrawstwo! Poczucie tak bezsensownej straty było trudne do zniesienia.

— Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?! — wybuchłam. Co się stało z niezwykle wydajnym systemem poczty pantoflowej, z którego korzystałam wspólnie ze znajomymi?

— Może nikt jeszcze o tym nie wie—powiedział uspokajająco James. — Nie rozgłaszałem tego wszem wobec. Zresztą w ciągu ostatniego miesiąca prawie w ogóle z nikim się nie spotykałem — wyjaśnił. Zależało mu, abym nie straciła samokontroli.

„On chyba przechodzi załamanie nerwowe”, pomyślałam. „Zachowuje się zupełnie jak zjawia lub odludek w rodzaju Howarda Hughesa”.

— Wyjechałem na kurs — mówił dalej.

— Aha.

No dobrze, więc nie przechodził załamania nerwowego, nie zachowywał się jak zjawia lub odludek w rodzaju Howarda Hughesa.

Mogłam się tego spodziewać. James był zbyt praktyczny, żeby pozwolić sobie na załamanie nerwowe. Jeśli nie miało ono finansowego uzasadnienia, nie byłby nim zainteresowany.

To przynajmniej oznaczało, że gdy do niego dzwoniłam, nie wyjechał na wakacje z Denise.

Co za marnotrawstwo poczucia trwogi i poniżenia.

W tym momencie zaczęła mnie zżerać ciekawość.

Co się wydarzyło między nimi?

— Dała ci kopa? — spytałam. Próbowałam powiedzieć to lekkim tonem, lecz w moim głosie zabrzmiała gorycz. — Wróciła do tego swojego Mario czy Sergio, czy jak mu tam?

— Nie, Claire. — Patrzył na mnie uważnie. — Po prawdzie, to ja odszedłem od niej.

— Do licha. — Gorycz sączyła się ze wszystkich porów mojego ciała. — Wchodzi ci to w nawyk. To znaczy porzucanie kobiet — dodałam złośliwie, na wypadek, gdyby nie zrozumiał.

— Wiem, co miałaś na myśli, Claire. — Ton jego głosu sugerował, że on jest ponad to wszystko, ale jako miły facet był gotowy zrobić mi przyjemność.

— Zresztą — podjęłam, nie zwracając uwagi na jego słowa — myślałam, że dżentelmen nigdy nie mówi, że porzucił kobietę. Uważam, że po męsku byłoby powiedzieć, że to ona zostawiła ciebie, nawet jeśli tak nie było.

Sama się zdumiałam nielogicznością mojej wypowiedzi. W swoim głosie usłyszałam wyraźną nutę hysterii. Jednak nie umiałam się powstrzymać, kontrolować rozhuśtanych emocji.

— Nie rozpowiadam całemu światu, że ją zostawiłem — powiedział przez ściśnięte zęby. — Mówię o tym tobie. Sama spytałaś, przypominasz sobie?

— Więc dlaczego nie rozpowiadasz całemu światu, że ją zostawiłeś? Chcę, żebyś to robił. — Głos zaczął mi niebezpiecznie wibrować. — Dlaczego wszyscy mają myśleć, że wyrzuciłeś na śmietnik tylko mnie i Kate, a to ona kopnęła cię w zadek? Dlaczego właśnie jej chcesz oszczędzić upokorzenia?

— Dobrze, Claire. — Westchnął głośno w obliczu moich nieracjonalnych żądań. — Jeśli to sprawi ci przyjemność, powiem wszystkim, jak to było z Denise.

— Świetnie. — Moja dolna warga trzęsła się jak galareta. To było straszne! Gdzie się podziała ta Claire, która już odzyskała równowagę ducha? Tak bardzo starałam się opanować, nie dać mu odczuć, jak mocno mnie skrzywdził, jaka byłam zrozpaczona. Jednak cały mój bój wypłynął znowu na powierzchnię. Byłam bliska załamania.

Jakież to poniżające. Ja denerwowałam się miotana emocjami, a on zachował pełną samokontrolę. Kontrast był wręcz tragiczny.

— Idę do toalety — powiedziałam. Może tam uda mi się wziąć w garść.

— Zaczekaj. — Zatrzymał mnie, gdy chciałam wstać. Wyciągnął rękę przez stół i chwycił moją dłoń.

Odrącałam ją ze złością.

— Nie dotykaj mnie — powiedziałam płaczliwie.

Zaraz oznajmię mu coś w rodzaju: „Kiedy odszedłeś, straciłeś prawo, żeby mnie dotykać”.

— Kiedy odszedłeś, straciłeś prawo, żeby mnie dotykać — wyrzuciłam z siebie. O dziwo.

Wiedziałam to, po prostu wiedziałam! Ten, kto pisał listę dialogową mojego życia, miał do dyspozycji niewielki budżet mydlanej opery.

Ale dokładnie to miałam na myśli.

Chciałam go zranić do żywego. Aby zaznał takiego samego cierpienia jak ja. Aby pragnął kogoś do bólu i zrozumiał, że nie może go mieć.

A przede wszystkim pragnęłam, by odczuł, że to wszystko jego wina. Kto do tego doprowadził? Ty sam.

— Claire, proszę cię, usiądź. — Wolno puścił moją dłoń. Nawet nie-
żle udało mu się przyblednąć. Na sekundę poczułam się winna. Jezu,
przecież ja nie mogę wygrać tej bitwy.

— Uspokój się, James — rzekłam zimno. — Nie zrobię tu sceny.

Miał dość przyzwoitości, by odrobinę się zawstydzic.

— Nie o to się martwiłem.

— Naprawdę? — Uśmiechnęłam się z pogardą.

— Owszem, naprawdę — powiedział cierpliwie. — Claire, musimy poważnie porozmawiać.

— Nie ma o czym — wypaliłam automatycznie. Cholera! Znowu
wyświechtane powiedzonko. Gotowa byłam

zapaść się pod ziemię. Co za żenujące przedstawienie.

A niech tam, lecz to nawet nie było prawdą. Rzeczywiście pozostało
mnóstwo rzeczy to omówienia.

„Spokojnie, tylko spokojnie”, rzekłam do siebie w myślach. „Powin-
niśmy rozmawiać jak kulturalni ludzie, prawda?” To rozsądek słodko za-
dał pytanie ośrodkowi argumentacji w moim mózgu.

„Chyba tak”, padło w odpowiedzi, aczkolwiek niechętnie.

„Więc czy możemy chociaż spróbować zachować spokój?”, pytał da-
lej rozsądek.

„Muszę przestać”, powiedziałam do siebie, nabierając głęboko powietrza. „I przestanę”.

— Claire — odezwał się James. Próbował nadać głosowi łagodną barwę i znowu wyciągnął rękę po moją dłoń. — Wiem, że źle cię potraktowałem.

— Źle! — wybuchłam, zanim zdążyłam się powstrzymać. — Źle! Ładnie to ująłeś.

Tyle na temat rozsądku i zachowania spokoju.

Mimo żalonych wysiłków, by ukryć emocje, teraz już otwarcie zrzuciłam rękawice. Udawanie spokojnej, dorosłej i kulturalnej poszło w drzazgi. Natomiast on zachował równowagę.

To zawsze robił bardzo dobrze.

— Wobec tego nie źle, ale okropnie — przyznał.

W jego głosie nie wykryłam specjalnego żalu czy skruchy. Mówił to tak, jakby chciał mi dogodzić.

Nieczuły drań! Podły egoista! To nieludzkie.

— Jak mogłeś być taki nieodpowiedzialny? — wyskoczyłam na niego. Wiedziałam, że to go ugodzi mocniej niż cokolwiek innego. Mógł przyjąć prosto na szczękę oskarżenie o nieuprzejmość, okrucieństwo, bezlitosność. Ale przypisywanie mu braku odpowiedzialności to był cios poniżej pasa.

— Jak mogłeś nas tak po prostu zostawić? Potrzebowałam cię.

Zakończyłam to bardzo wysokim tonem. Zapadło milczenie.

Przez moment siedział spokojnie, co nie wróżyło nic dobrego. Po chwili na jego twarzy zagościła jakaś nowa emocja, której jeszcze nie znałam.

Gdy przemówił, stało się jasne, że zaszła w nim zasadnicza zmiana. Coś pękło. Wyczerpał się limit cierpliwości. Chciał sięgnąć po rezerwę tolerancji, ale wszystkie zapasy się skończyły.

Koniec z miłym Jamesem. Zresztą i tak nie dał się zbyt łatwo poznać z tej strony.

Odezwał się nieco śpiewnym, nonszalanckim, niezwykłym jak na niego głosem.

— Tak. Ty. Oczywiście. Potrzebowałaś. — Robił długie przerwy między słowami.

— Co... co takiego? — spytałam zaskoczona.

Wciąż nurzałam się w smutku wywołanym poczuciem straty i porzuceniem mnie przez Jamesa, jednak zdołałam spostrzec, że w nim zaszła gwałtowna zmiana. I że ta zmiana nie jest dla mnie korzystna. Zbyt łatwo się ze mną zgodził. Świadczył o tym szczególnie ton jego głosu.

— No — mówił dalej w ten sam sposób — potwierdzam tylko, że masz rację. Przecież tego chcesz, prawda? Powtórzę więc: ty mnie potrzebowałaś.

Co takiego się stało? Nastąpił nowy, nieoczekiwany zwrot. Czułam się tak, jakbym nagle wtrąciła się do dyskusji obcych ludzi. Albo jakby James swoim pilotem zmienił kanał. Nadał tkwiłam po kolana w naszej poprzedniej rozmowie, tej o odejściu Jamesa, która doprowadziła mnie prawie do załamania. Tymczasem on zapoczątkował nową dyskusję na zupełnie inny temat. Usilnie próbowałam zrozumieć, o co mu chodzi.

— James, co tu się dzieje? — spytałam zbita z tropu.

— Nie rozumiem — odparł oschle.

— Chodzi mi o to, że nagle stałeś się jakiś dziwny — powiedziałam nerwowo.

— Dziwny — rzekł z namysłem, następnie rozejrzał się po sali, jakby zwracał się do niewidzialnej widowni. — Ona mówi, że jestem dziwny.

Tak odzywa się facet, który ucina sobie pogawędkę z nie istniejącymi ludźmi.

— Bo jesteś — rzekłam. W rzeczy samej z każdą chwilą zachowywał się coraz bardziej osobliwie. — Powiedziałam tylko, że potrzebowałam ciebie...

— Wiem, co powiedziałaś — przerwał mi ze złością. Śpiewny, nonszalancki ton gdzieś znikł.

Pochylił się nad stołem i zbliżył do mnie swoją pełną wściekłości twarz. „Teraz się zaczniesz”, pomyślałam.

Ogarnęła mnie mieszanina ulgi i strachu. Przynajmniej dowiem się, co mu odbiło.

— Powiedziałaś, że potrzebowałaś mnie — prychnął z irytacją, wznosząc oczy ku niebu. — Co za niedomówienie!

Zrobił przerwę — czyżby dla lepszego efektu? — i spoglądał na mnie z kamienną twarzą.

Zabrakło mi odwagi, żeby się odezwać. Siedziałam, jakby padł na mnie urok. Co będzie dalej?

— Wiem, że ty mnie potrzebowałaś — rzucił mi prosto w twarz. — Potrzebowałaś mnie cały czas, zawsze znalazłaś tysiąc powodów. Jak miałbym o tym nie wiedzieć?

Patrzyłam na niego. Nie byłam zdolna, żeby zrobić cokolwiek innego.

Nieczęsto wpadał w złość, lecz kiedy już do tego dochodziło, szedł na całość. Robił pełne dramatyizmu przedstawienie. Ale nie dzisiaj. Nie znałam źródła jego rozdrażnienia, jednak wyraźnie starał się dać mi do zrozumienia, że wina leży po mojej stronie.

Tego nie było w scenariuszu.

To ja miałam rację. On był draniem. Właśnie tak.

— Byłem ci potrzebny do wszystkiego — prawie krzyknął. W tym momencie powinnam chyba wspomnieć, że James nigdy nie krzyczał. Nigdy też nie podnosił głosu.

— Żądałaś ciągłej uwagi — mówił dalej. — Ciągłego wsparcia. A nigdy nie obchodziłem cię ja, nie obchodziło cię, co czuję, czego potrzebuję.

Patrzyłam na niego z otwartymi ustami. Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Dlaczego mnie atakuje? Przecież to on mnie zostawił, prawda? Więc jeśli chodzi o jakiegokolwiek zarzuty, to mogłam je stawiać tylko ja.

— James... — zaczęłam słabo.

Zignorował mnie. Znowu oskarżycielsko celował we mnie palcem.

— Byłaś niemożliwa. Wykończyłaś mnie. Nie wiem, jakim sposobem tak długo z tobą wytrzymałem. I nie wyobrażam sobie, jak ktokolwiek mógłby z tobą żyć.

Pięknie! Tego było już za wiele. Ogarnęła mnie furia.

Sąd koleżeński.

Co za niesprawiedliwość.

Nie mogłam puścić mu tego płazem.

Wściekłam się.

— Rozumiem. Więc teraz to wszystko moja wina. To ja namówiłam cię do romansu i odejścia. Zabawne, bo jakoś nie przypominam sobie, żebym przystawiła ci pistolet do głowy. Musiało to umknąć z mojej pamięci.

To prawda, co mówią: sarkazm to najniższa forma dowcipu. Ale nie mogłam się powstrzymać. Krytykował mnie. Poczucie krzywdy dotknęło mnie do żywego.

— Nie, Claire. — Faktycznie mówił przez zaciśnięte zęby. Jeszcze nie widziałam, by ktoś tak robił. Sądziłam, że to tylko taka przenośnia. — Oczywiście, że do niczego mnie nie zmuszałaś.

— Więc o co ci chodzi?

Poczułam dziwne ssanie w żołądku. Strach.

— O to, że życie z tobą było podobne do życia z bardzo wymagającym dzieckiem. Ciągle chciałaś gdzieś wychodzić. Jakby życie było jedną, nie kończącą się imprezą. I tak właśnie myślałaś. Cały czas śmiałaś się i bawiłaś. Więc z nas dwojga to ja musiałem być dorosły. Musiałem martwić się o pieniądze i rachunki. A ty byłaś straszną egoistką. To ja, gdy byliśmy na przyjęciu, musiałem przypominać ci o pierwszej w nocy, że rano musimy wstać do pracy. A potem musiałem znosić, jak nazywałaś mnie nudną kreaturą.

Ten potok słów kompletnie mnie ogłuszył. To, co powiedział, spadło na mnie nieoczekiwanie jak grom z jasnego nieba, a poza tym było potwornie niesprawiedliwe.

— James, taki był układ, korzystny dla nas obojga — zaprotestowałam. — Ja byłam roztrzepana, a ty poważny. Wszyscy o tym wiedzieli. Byłam trzpiotką, która cię rozśmieszała, pomagała rozładować stresy. A ty byłeś silny. Obojgu nam to odpowiadało i tak właśnie było. I dlatego tak dobrze sprawdziło się to w praktyce.

— Wcale nie. Miałem już dosyć tego bycia silnym.

— I nigdy nie nazwałam cię nudną kreaturą! — wykrzyknęłam. Wiedziałam, że w tym, co powiedział, tkwił jakiś zasadniczy błąd.

— Nieważne. Przez ciebie tak się czułem.

— Ale przecież powiedziałeś, że ja... — zaczęłam protestować.

— Claire, do cholery! — rzucił wściekle. — Znowu zaczynasz zbierać dla siebie punkty. Opuść sobie. Nie możesz chociaż ten jeden raz przyznać się do winy?

— Tak, ale... — powiedziałam słabo.

Nie miałam pojęcia, na czym polega moja wina.

Nieważne. Brakowało mi czasu, żeby się nad tym zastanawiać. James zaczerpnął powietrza i gotował się do następnego ataku. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko uważnie go wysłuchać.

— Wszystko psułaś — westchnął. — A ja musiałem to naprawiać.

— To nieprawda! — krzyknęłam.

— Uwierz, tak właśnie się czułem. Po prostu nie chcesz przyznać, że to prawda. Zawsze był jakiś dramat. Albo uraz. Lecz to ja zawsze musiałem wszystko naprawiać.

Milczałam. Brakło mi słów.

— I wiesz co? — mówił dalej. — Nigdy nie jest tak, że budzisz się pewnego ranka i nagle wiesz, co to znaczy być dorosłą. W jedną noc nie nauczysz się płacić rachunków. Trzeba na to pracować. Pracować nad swoją odpowiedzialnością.

— Wiem, jak się płaci rachunki — oburzyłam się. — Nie jestem taką skończoną idiotką.

— Więc dlaczego to ja zawsze musiałem załatwiać te sprawy? — spytał sztywno.

— James. — Rozpaczliwie szukałam możliwych sposobów obrony, ale w głowie miałam kompletny zamęt. — Naprawdę próbowałam być pomocna.

Dobrze pamiętałam moment, gdy siedziałam z Jamesem, podczas gdy on z mądrą miną przeglądał czeki i paragony ze sklepów, wklepując wszystko w kalkulator. Tego dnia zaproponowałam mu pomoc. A on, z

bardzo sugestywnym błyskiem w oku, powiedział, że będzie robił to, w czym jest dobry, a ja powinnam zająć się tym, co sama umiem. I jeśli dobrze sobie przypominam, a co do tego nie mam wątpliwości, potem kochaliśmy się na biurku. Wyciągi bankowe oraz potwierdzenia transakcji kartami Access i Visa za lipiec 1991 roku nadal noszą dość interesujące ślady. Nie znalazłam jednak dość odwagi, żeby mu to teraz wytknąć.

— Naprawdę starałam się ci pomagać — powtórzyłam. — Ale mi nie pozwalałeś. Powiedziałeś, że lepiej sobie z tym poradzisz, bo masz głowę do matematyki.

— A ty po prostu zaakceptowałaś to stwierdzenie? — spytał nieprzyjemnie. Kręcił przy tym głową, jakby nie mógł uwierzyć w moją głupotę.

— Chyba tak — odparłam. Poczułam się nieswojo.

Miał rację. To on musiał się martwić, gdy przychodziły różne noty ponagłujące i groźby odłączenia telefonu. Ale naprawdę myślałam, że chciał to robić. Oczywiście żadnych takich not ani gróźb nigdy nie było. James by do tego nie dopuścił. Sądziłam, że lubi kontrolować sytuację. Że będzie bezpieczniej, jeśli tylko jedno z nas zajmie się takimi sprawami. Myliłam się.

Chciałam cofnąć czas. Gdyby się to udało, zwracałabym większą uwagę na takie sprawy jak termin płatności kolejnej raty naszego kredytu hipotecznego.

— Przepraszam — rzekłam niezręcznie. — Myślałam, że sam chcesz to robić. W przeciwnym razie, zajęłabym się tym.

— A niby dlaczego miałbym chcieć robić to wszystko? Który człowiek o zdrowych zmysłach z przyjemnością wzięłby na siebie całą odpowiedzialność za domowe rachunki i płatności?

— Tak, masz rację — przyznałam.

— W każdym razie to nie twoja wina — rzekł nieco cieplejszym tonem. — Zawsze byłaś trochę bezmyślna.

Przełknęłam tę uwagę. Nie pora teraz zrazić go sobie jeszcze bardziej.

Ale przecież nie byłam bezmyślna. Wiem o tym. Jednak James uważał inaczej.

— Gdybyś tylko nie była taka bezmyślna w naprawę ważnych momentach. Bo problemy w naszym małżeństwie nie wynikły tylko z braku twojej odpowiedzialności, ale również z tego, jak się przez ciebie czułem.

— Co masz na myśli? — Szykowałam się na kolejną porcję oskarżeń, których wcale nie chciałam słyszeć. Musiałam jednak się dowiedzieć, dlaczego mnie porzucił.

— Zawsze wszystko kręciło się wokół ciebie, pamiętasz?

— Jak to? — zdumiałam się.

— Wraciałem z pracy do domu po bardzo ciężkim dniu, ale ty nie chciałaś ze mną o tym rozmawiać. Mówiłaś tylko o tym, jak minął twój dzień, opowiadałaś mi różne historie, oczekując, że będę się śmiał.

— Przecież cię pytałam, a ty zawsze mówiłaś, że to zbyt nudne, żeby mi wyjaśniać. Opowiadałam ci śmieszne historyjki, bo wiedziałam, że miałaś okropny dzień, i chciałam cię rozbawić.

— Nie próbuj się usprawiedliwiać — rzekł z mocą. — Było oczywiste, że nie miałaś ochoty wysłuchiwać żadnych nieprzyjemnych rzeczy. Pragnęłaś jedynie wesołej zabawy, a przykre fakty w ogóle cię nie interesowały.

— James... — zaczęłam słabo. Co miałam powiedzieć? Wszystko sobie dobrze przemyślałam.

I przysięgam, że ja o niczym nie miałam pojęcia. Nie podejrzewałam, że on tak się czuł, a ja zachowywałam się w tak nieznośny sposób.

Ale czy James przypadkiem nie starał się zrzucić na mnie całej winy za fiasko naszego małżeństwa?

Czy przypadkiem nie usiłował mną manipulować?

Musiałam to sprawdzić.

— James — odezwałam się cicho. — Wybacz, że o to pytam, ale czy ty nie starasz się uwolnić od winy za porzucenie mnie? No wiesz, obarczając mnie odpowiedzialnością za wszystko, co się stało.

— Na litość boską — prychnął. — Mogłem się spodziewać od ciebie właśnie takiej dziecinnej, egoistycznej odpowiedzi.

— Wybacz — szepnęłam. — Nie powinnam była pytać. Milczenie.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?! — wybuchłam. — Byliśmy tak blisko. Było tak pięknie.

— Wcale nie byliśmy blisko. Pięknie też nie było — rzucił brutalnie.

— Było.

Odebrał mi już prawie wszystko. Ale wspomnień mi nie odbierze.

— Claire, jeśli było tak pięknie, to dlaczego cię zostawiłem? — spytał cicho.

Co mogłam odpowiedzieć. Miał rację. Ale chwileczkę. Znowu zaczął rzucać oskarżenia pod moim adresem. Jego skargom nie było końca.

— Claire, byłaś zupełnie niemożliwa. Musiałem ukrywać przed tobą wiele spraw. Sam musiałem dźwigać ciężar nabrzmiąłych problemów, bo ty nie dałabyś sobie z nimi rady.

— Dlaczego nie spróbowałaś?

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby mi odpowiedzieć.

— Miałaś tyle na głowie. Wracalem wykończony z pracy, a ty pod wpływem chwilowego impulsu postanawiałaś urządzić imprezkę z kolacją dla ośmiu osób. Potem musiałem ganiać jak kot z pęcherzem do sklepu po piwo, otwierać butelki z winem, robić bitą śmietanę.

— James, to się zdarzyło tylko jeden raz. I było dla szczęścia, a nie dla ośmiu osób, zresztą twoich znajomych, którzy przyjechali z Aberdeen. To miała być niespodzianka dla ciebie. Poza tym ja zrobiłam bitą śmietanę.

— Nie będziemy wchodzić w szczegóły — odparł gniewnie. — Nie wątpię, że potrafisz usprawiedliwić wszystko, o czym mówię, ale to była twoja wina.

„Mogę starać się usprawiedliwić wszystko, co robiłam, bo według mnie postępowałam słusznie”, pomyślałam.

— Myślałam, że lubiłeś, gdy byłam spontaniczna. Nawet mnie do tego zachęcałeś.

— Tak to wygląda z twojej strony — rzucił pogardliwie. — Pewnie tak chcesz to widzieć — dodał nieco uprzejmiej.

Żwawym krokiem szedł do nas uśmiechnięty kelner, ale zatrzymał się nagle i gwałtownie skręcił w bok, gdy James rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Więc myślałeś, że pomożesz mi wydorosnąć, że jeśli mnie zostawisz, terapia wstrząsowa odniesie skutek. — Powoli zaczynałam rozumieć. Strzępki faktów układały się w całość. — Szkoda, że sięgnąłeś po tak drastyczne metody.

— Wcale nie dlatego cię zostawiłem. Nie po to, żebyś wydorosła. Szczerze mówiąc, według mnie było to niemożliwe. Chciałem być z kimś, dla kogo byłem ważny, kto by się o mnie troszczył. Denise właśnie taka była.

Przełknęłam tę gorzką pigułkę.

— Przecież dla mnie byłeś ważny. Kochałam cię. — Musiałam go przekonać. — Nigdy nie dałeś mi szansy, żebym ci pomagała, żebym była silna. A teraz jestem silna. Mogłam się

O ciebie troszczyć.

Popatrzył na mnie pobłaźliwie, jak ojciec na dziecko.

— Może i mogłaś — odparł nawet dość uprzejmie.

— Ale teraz już tego nie sprawdzimy — pomyślałam głośno. Serce mi pękało z żalu. Tyle straciłam, tyle zmarnowanych szans, tyle niezrozumienia.

Nastąpiła dziwna cisza.

— Pewnie nie sprawdzimy — rzekł szybko. Co teraz?

Było mi niedobrze, smutno i przykro. Smutno za nas oboje.

Smutno za Jamesa, który na swoich barkach dźwigał tyle zmartwień.

Smutno za siebie, że mnie nie rozumiał.

A może smutno za siebie, bo nie dałam się zrozumieć?

Smutno za Kate, niewinną ofiarę.

— Pewnie myślałeś, że bez ciebie kompletnie się załamie? — spytałam. Było mi gorąco. Poniżenie, złość i wstyd robiły swoje.

— Chyba tak — przyznał. — Nie możesz mnie za to winić.

— Nie. — Zwiesiłam głowę. — Ale wcale nie pękałam. — Łzy płynęły mi po policzkach. — Poradziłam sobie bez ciebie.

1 w przyszłości też sobie poradzę.

— To widzę. — Kiwnął głową. Z pewnym rozbawieniem patrzył na moją wilgotną twarz. — Chodź tu, głuptasie. — Niezdarnie przyciągnął mnie przez stół, spychając na bok przyprawy i flakon z kwiatami. Przyłożył moją głowę do swego ramienia, co zapewne miało mnie pocieszyć.

Zostałam przez moment w tej pozycji. Czułam się trochę głupio i nieprzyjemnie. Po chwili wyprostowałam się. Nie przysłużę się swojej sprawie, jeśli nadal będę zachowywać się jak dziecko wymagające podtrzymania na duchu.

Ale to również mu się nie spodobało.

— Co jest? — rozzłościł się.

— Nie rozumiem. — Zastanawiałam się, co teraz źle zrobiłam.

— Dlaczego odsuwasz się ode mnie? Może i zostawiłem cię dla innej kobiety, ale przecież nie mam wścieklizny. — Uśmiechnął się krzywo. Aleja nie okazałam rozbawienia jego żartem.

— Nie masz.

„Czego on chce ode mnie? Cokolwiek zrobiłam, wszystko było źle”, myślałam.

Miałam już wszystkiego dosyć.

Sprawy wyglądały o wiele prościej, gdy był niewiernym draniem. Wtedy wiedziałam, na czym stoję. Rozumiałam sytuację. Ale on chyba ma rację. Lubiłam być nieodpowiedzialna. W przeciwnym razie przyjęłabym na siebie moją część winy za rozpad naszego małżeństwa.

Nie mogłam się jednak zgodzić, że cała wina leżała po mojej stronie. To on mnie zostawił. I złamał mi serce.

Nie nastąpiło nic z tego, czego oczekiwałam. Sądziłam, że może mnie spytać, czy wróciłabym z nim do Londynu. Albo że nadal będzie się zachowywał jak ostatni drań. Lecz nie przyszło mi do głowy, że sama będę przeproszać za spowodowanie całej sytuacji.

Poprzednio wszystko było czarne lub białe. On był ciemnością, a ja światłem. On złoczyńcą, ja ofiarą.

Teraz wszystko się pomieszało.

Ja wyrządziłam wszelkie zło, on stał się męczennikiem.

To nie w porządku.

Nie było mi lekko, ale postanowiłam spróbować.

— Posłuchaj, James. — Przestałam płakać. — To wszystko jest dla mnie trochę szokujące. Muszę przemyśleć to, co powiedziałeś. Teraz już pójdę. Porozmawiamy jutro.

Z tymi słowami zerwałam się i ruszyłam do drzwi, zostawiając go przy stoliku. Bezgłośnie poruszał ustami jak niespokojna złota rybka.

— Dobra robota, kochanie — rzucił za mną jeden z kelnerów, gdy przechodziłam obok. — On nie jest w twoim typie.

Pojechałam do domu na pełnym gazie, przeskakując przez skrzyżowania na czerwonym świetle, ryzykując życie i zdrowie przechodniów oraz innych użytkowników dróg.

Rozdział 29

Włożyłam klucz do zamka, gdy —jakby za sprawą cudownych zdolności parapsychologicznych — otworzyły się drzwi do kuchni, po czym Anna, Helen i mama wybiegły do holu, żeby mnie przywitać. A może po prostu usłyszały, jak parkuję samochód.

— No i jak było? — spytała mama.

Wyraźnie nie miały nic lepszego do roboty. W przeciwnym razie mydlana opera mojego życia nie cieszyłaby się aż takim zainteresowaniem.

— Co się stało?! — zawołała Helen.

— Same dobre wiadomości —jęknęłam przez łzy, ruszając po schodach na górę do Kate.

— Och, to dobrze — rozpromieniła się mama.

— No wiecie, sposób, w jaki James mnie porzucił, by żyć z inną kobietą, i to, że nawet nie znał imienia Kate. Ale teraz wszystko jest już w

porządku. Bo wszystko to moja wina. Sama się o to prosiłam. A nawet błagałam na kolanach!

Wpadłam do swojego pokoju, zostawiając je zdumione u podnóża schodów.

Na mój widok Kate zaczęła ryczeć. A co mi tam. Przyłączyłam się do niej. Przyjęcie na siebie winy nie było łatwe, co chyba was nie dziwi.

Jednak zamiast na Jamesie, wyładowałam swoją frustrację na mamie i siostrach, co nie było fair. Cichy głos w zakamarkach umysłu przypominał mi, że próbowałam powiedzieć o tym Jamesowi, lecz on uznał to za kolejny dowód mojej niedojrzałości. Pewnie miał rację. Jak zwykle.

„Co za wrzód na tyłku”, pomyślałam buntowniczo.

Ale teraz musiałam zaprzestać buntu. Nie byłam już dwudziesto-dziewięcioletnią nastolatką. Jeśli mam być czułą, rozważną, troskliwą dorosłą kobietą, to mogę zacząć od razu.

Na przykład zajmując się zaspokajaniem potrzeb Kate.

— Co ci przynieść, kochanie? — spytałam. Ciekawe, czy James uznałby to przejaw dorosłości. Muszę z tym skończyć!

On miał rację, a nie ja. Próbowałam utulić płaczące dziecko.

— Masz suchą pieluszkę? A może chciałabyś butelkę? Mogę cię też przytulać i rozpieszczać. Do wyboru, do koloru. Wystarczy powiedzieć.

Nie. Nawet tego nie umiałam. Według Jamesa ludzie nie powinni mi nawet mówić, czego pragną. Gdybym nie była egoistką, sama powinnam to wiedzieć.

Dla pewności zrobiłam wszystko. Zmieniłam jej pieluszkę, nakarmiłam, powiedziałam, że jest piękniejsza niż Claudia Schiffer.

Mama, Anna i Helen zmaterializowały się w pokoju. Wślizgnęły się po cichu, niepewne, czy bardzo się wściekam.

— Hej — powiedziałam, ujrawszy pierwszą głowę, która ostrożnie wychynęła zza drzwi. — Wejdźcie. Przepraszam za to na dole. Byłam zdenerwowana. Nie miałam prawa wyzywać się na was.

— No to dobrze — odezwała się Helen. Wszystkie trzy weszły do środka i usiadły na łóżku, a ja zajęłam się Kate, opowiadając w tym samym czasie przebieg mojego spotkania z Jamesem.

— To zabawne, ale teraz, gdy wiem, jak trudno było ze mną wytrzymać, łatwiej mi zrozumieć, dlaczego mnie zostawił — powiedziałam. — Przynajmniej jest w tym jakiś sens.

— Claire — rzekła powoli mama. — Na pewno nie byłaś aż taka zła, jak on mówi.

— Wiem, i też tego nie pojmuję — przyznałam. — Ale gdy mu to wytknęłam, stwierdził, że właśnie takiej reakcji po mnie oczekiwał.

Tak więc wszystko zostało już powiedziane. Równie mnie podsumował.

Noc była straszna, podobna do pierwszych nocy po odejściu Jamesa. Gdy mama i siostry w końcu wyszły — rezygnując z dalszego pocieszenia mnie, że na pewno nie jestem taka zła — nie mogłam zasnąć. Leżałam na plecach, wpatrując się w ciemność. A w mojej głowie roiło się od pytań.

To wszystko spadło na mnie jak grom. Nie miałam pojęcia, że jestem taką niedojrzałą egoistką. Przedtem nikt się na to nie uskarżał. Oczywiście byłam pełna wigoru, może trochę zbyt głośna i żywa. Ale przecież zawsze liczyłam się z uczuciami innych ludzi.

Przyszło mi do głowy, że być może James przesadził, opisując moje wady. Może nawet zmyślał. Jednak szybko odrzuciłam taką myśl. Po prostu starałam się uniknąć odpowiedzialności. Dlaczego James miałby wmawiać mi nieprawdę? Jak sam powiedział — a jego słowa wciąż dźwięczały w mojej głowie — „czy zostawiłbym cię, gdybym był szczęśliwy?”

Przyznaję, że nie mogłam ścierpieć, gdy nie miałam racji. Nie umiałam poczuwać się do winy. Czułam się poniżona, zawstydzona, obnażona, przyłapana na gorącym uczynku. A przecież byłam taka zadowolona z siebie, uważałam, że mam rację. Teraz dowiedziałam się czegoś innego. Lekcja pokory.

Nawet gdy byłam małą dziewczynką i robiłam błędy ortograficzne w szkole, nie umiałam skłonić głowy, przełknąć gorzkiej pigułki i powiedzieć: „Tak, pani ma rację, to mój błąd”.

No cóż, trening czyni mistrza.

W końcu zasnęłam.

LR

Rozdział 30

Ojciec obudził mnie rano, rzucając mi pod nos dużą kopertę.

— Masz — powiedział zły. — To dla ciebie. Spóźnię się do pracy.

— Dzięki, tato — odparłam śpiąco. Podciągnęłam się trochę wyżej i odgarnęłam włosy z oczu.

Spojrzałam na list. Miał londyński stempel. Poczułam zimny dreszcz emocji, bo zrozumiałam, że to papiery dotyczące naszego mieszkania oraz inne dokumenty, o których przysłanie prosił James.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Watykanu, by zgłosić cud. Na pewno jeszcze nigdy nic nie dotarło z Londynu do Dublina tak szybko.

Jednak zamiast tego pomyślałam, czy mam zadzwonić do Jamesa.

Chyba tak będzie lepiej.

Chociaż w Watykanie mogłabym się liczyć z lepszym przyjęciem.

W książce telefonicznej znalazłam numer do pensjonatu The Liffey-Side. Odebrała jakaś kobieta, której powiedziałam, że chcę rozmawiać z Jamesem.

Poprosiła, bym chwilę zaczekała. Słyszałam w tle jakieś odgłosy przypominające serie z karabinu maszynowego. To mogła być tylko pralka, ale gdybyście znali The LiffeySide i uliczkę, przy której się znajduje, skłanialibyście się do wersji z karabinem.

— Halo — powiedział James oficjalnym tonem ważniaka.

— To ja.

— Claire. — Starał się, by zabrzmiało to przyjaźnie. — Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

— Tak? — Ciekawe dlaczego? Czy przypomniał sobie jeszcze jeden podły sposób, w jaki go traktowałam? Może pominął jakąś ważną krytykę, dotyczącą mego zachowania w miejscu publicznym, którą zapomniał wygłosić wczoraj wieczorem?

Musiałam być czujna. Dorosła. Koniec z egoizmem.

— Uwierzysz? — mówił z niedowierzaniem. — W tym kraju przed dziewiątą rano nie ma ani jednego otwartego kiosku z gazetami. Od chwili, gdy wstałem, usiłuję kupić „Financial Timesa”, ale bez powodzenia.

— No proszę, niewiarygodne — odparłam, czując narastającą irytację. Staralam się ją skrzętnie ukryć. Musiałam pamiętać, że chociaż „Financial Times” jest dla mnie mało ważny, są ludzie, dla których ma on duże znaczenie, na przykład dla Jamesa, więc jako troskliwą altruistkę powinno mnie to obchodzić.

— Czy właśnie w tej sprawie miałeś do mnie dzwonić? — spytałam. — Aby mi to oznajmić?

— Nie, oczywiście, że nie. Chwileczkę. A, tak — przypomniał sobie. — Chciałem spytać, czy dobrze się czujesz po naszym spotkaniu. Wiem, że byłem dla ciebie trochę... no... ostry. Teraz rozumiem, że byłaś zupełnie nieświadoma swojego egoistycznego i bezmyślnego zachowania. Bolesna prawda mogła cię odrobinę zszokować.

— Tak, odrobinę — przyznałam. Znowu nie wiedziałam, co mam o tym myśleć. Czulałam się jak podejrzana, którą przesłuchuje dwóch policjantów; jeden uprzejmy, a drugi antypatyczny. Gdy już przyzwyczaiłam się do tego niemiłego, przychodzi drugi i jest tak uroczy, że aż chce mi się płakać i rzucić mu w ramiona. Co prawda, James był tylko jeden, ale efekt — zupełnie taki sam. Teraz, gdy był taki słodki, chciałam — no tak, zgadliście — rozplakać się i rzucić mu się na szyję.

— Nie byłaś okropna celowo — podjął temat. — Po prostu nie uprzytomniłaś sobie tego faktu.

— To prawda. — Pociągnęłam nosem.

Byłam rada, że w końcu zechciał być dla mnie miły. Poczulałam taką ulgę, że aż chciało mi się płakać.

— Musisz się lepiej starać. — Zaśmiał się. — Prawda?

— Hm, pewnie tak. Mam dobrą wiadomość, James. — Zamierzałam wyłożyć główny cel tej rozmowy.

— Co takiego? — spytał. Chyba był zadowolony.

— Przyszły dokumenty! — powiedziałam triumfalnie. — Nie mogłam w to uwierzyć. To chyba pierwszy wypadek w historii irlandzkiej poczty.

— No i co? — spytał ostro.

„O Matko”, pomyślałam. „Znowu się na mnie zdenerwował. Rozumiem, co miał na myśli. Wkurzam go, nie zdając sobie z tego sprawy”.

— No... to bardzo dobrze — rzekłam bezsilnie. — Nie musimy czekać i tracić czasu. Możemy od razu zacząć załatwiać nasze sprawy.

— Aha. — Był trochę zaskoczony. Ogłupiały. — Aha — powtórzył. — Tak. W porządku.

— Może przyjedziesz tutaj? — zaproponowałam. — Obiecuję, że nikt nie wyleje na ciebie wrzącego oleju.

Zmusiłam się do łagodnego śmiechu. Jakby niedorzeczna była sama sugestia, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo z rąk moich lub mojej rodziny.

— W porządku — rzekł krótko. — Będę u ciebie za godzinę. I odwiesił słuchawkę. Tak po prostu.

Coś zaświtało mi w głowie.

Czy James cierpi na schizofrenię?

A może ktoś z jego rodziny leczył się na jakąś chorobę psychiczną?

Trudno mi było dotrzymywać kroku jego ciągłym zmianom nastroju.

Coś musiało to wywoływać.

Może dowiem się, kiedy przyjedzie. Tymczasem chciałam przejrzeć dokumenty, by sprawdzić, czy w ogóle mam jakieś prawa. Dokładnie po godzinie odezwał się dzwonek do drzwi. James. Powitał mnie lekkim uśmiechem i pytaniem o zdrowie Kate.

— Może sam ją spytasz? — odpowiedziałam pytaniem.

— A... No, dobrze.

Udaliśmy się do jadalni, gdzie czekała Kate. James połaskotał ją z wahaniem, ja zaś przeszłam do kuchni, by zrobić kawę.

Po chwili wróciłam z gotowym napojem i uśmiechnęłam się do Jamesa.

— No dobrze — rzekłam uprzejmie. — Zaczniemy? Wskazałam gestem dokumenty rozłożone na stole. Usiedliśmy.

— Chyba najlepiej będzie zacząć od dokumentów dotyczących mieszkania — powiedziałam.

— OK — odparł słabym głosem.

— Spójrz na tę klauzulę. — Wskazałam punkt dotyczący sprzedaży mieszkania przed spłaceniem kredytu hipotecznego.

— Mówi ona, że...

Zacząłam wyjaśniać i wysuwać różne propozycje, przygotowując je od czasu do czasu przepisami prawnymi. Byłam z siebie dumna. Wyglądało na to, że doskonale wiem, o czym mówię. Chyba wywarło to na nim odpowiednio silne wrażenie. Chociaż się rozstaliśmy, zależało mi, by uznał mnie za kompetentną kobietę, a nie za jakiegoś zepsutego, ograniczonego półgłówka.

Po chwili zorientowałam się, że przestał zwracać uwagę na moje słowa.

Oparł się wygodnie na krześle i wpatrywał w moją twarz, nie zaś w dokument, którego zawilości z takim wysiłkiem mu wyjaśniałam.

Urwałam w połowie zdania.

— Co z tobą, James? Dlaczego mnie nie słuchasz? Potargał lekko moje włosy w sposób, jakim okazuje się sympatię małemu dziecku — co wprawilo mnie w niemalże osłupienie

— i powiedział z uśmiechem:

— Możesz już przestać, Claire. Przekonałaś mnie.

— O czym cię przekonałam? „Co on gada?”

— Przekonałaś mnie, że się zmieniłaś. Nie musisz grać tego przedstawienia do końca.

— Jakiego przedstawienia?

— Wiesz przecież. — Z uśmiechem patrzył mi prosto w oczy.

— Całe to udawanie, że musimy sprzedać mieszkanie i uzgodnić wysokość alimentów dla Kate. Możesz już dać spokój.

Nie odezwałam się. Co miałam powiedzieć?

— To nie jest przedstawienie — zapiszczałam.

— Claire. — Znowu się uśmiechał. — Przestań! Muszę przyznać, że w pewnej chwili mnie wystraszyłaś. Naprawdę myślałem, że ty to wszystko na poważnie. Ale czy koniecznie musiałaś robić ten cyrk ze ściąganiem dokumentów z Londynu? Nie przesadziłaś?

— James — powiedziała słabo.

Zapewne przyjął to jako pewnego rodzaju kapitulację. Objął mnie i przyciągnął do siebie. Siedziałam tam z głową sztywno opartą na jego ramieniu.

— Posłuchaj, wiem, że byłaś trudna. Cholernie trudna. — Słyszałam w jego głosie smutny uśmiech. — Ale teraz widzę, że się starasz i bardzo chcesz mnie przekonać, jaka jesteś odpowiedzialna, rozważna i dojrzała.

— Jestem?

— Tak. — Odsunął się i spojrzał mi w oczy. — Jesteś. Więc na początek możemy pozbyć się tego. — Zaszleścił papierami i zsunął je w nierówną stertę.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie będziemy sprzedawać mieszkania. — Znowu się uśmiechnął.

Trochę uważniej przyjrzał się mojej bladej twarzy.

— O Boże! — Dramatycznym gestem uderzył się dłonią w czoło. — Nie wiedziałaś, prawda?

— Nie.

Chwycił mnie mocno za ramiona i przysunął do mnie twarz.

— Kocham cię. — Zaśmiał się cicho. — Nie wiedziałaś o tym, głupstaku?

— Nie. — Lada chwila mogłam wybuchnąć płaczem.

Czy to nie dziwne, że czasem ulgę odczuwa się tak samo jak strach?
A szczęście tak samo jak rozczarowanie?

— Jak ci się wydaje, dlaczego przyjechałem do Dublina? — Potrząsnął mną lekko i znowu uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie wiem. Może po to, by załatwić nie załatwione sprawy.

— Pewnie myślałaś, że nigdy ci nie wybaczę twojego zachowania?
„Szczерze mówiąc, nie przyszło mi to do głowy”, pomyślałam.

— Ale ja ci wybaczyłem — powiedział miłym głosem. — I jestem gotowy spróbować ponownie. Wszystko ułoży się inaczej, ponieważ bardzo wydorostałaś.

W milczeniu kiwnęłam głową. Dlaczego nie czułam się szczęśliwa? On wciąż mnie kochał. Nigdy nie przestał mnie kochać. Odszedł z mojej winy.

Lecz teraz się zmieniłam i wszystko można było naprawić. Czyż nie tego chciałam? Nie tego?

Popatrzył na moje blade, zdziwione oblicze i pogłaskał mnie pod brodą.

— Nie gniewasz się już o tę historię z Denise, prawda? — spytał, jakby to był zupełnie nedorzeczny pomysł.

— Właśnie, że się gniewam — powiedziałam cicho. Czułam, że teraz, gdy jest dla mnie taki miły, nie mam prawa się uskarżać.

— Ale to było nic — zaprotestował ze śmiechem. — Tylko reakcja na moje samopoczucie wywołane twoim zachowaniem. Jestem pewien: drugi raz nie popełnisz tego samego błędu. — Wydawało mu się, że powiedział coś zabawnego.

— Posłuchaj, James. — Czułam, że moja głowa eksploduje. Musiałam na chwilę uwolnić się od niego. — Wszystko to dla mnie wielka...

— Niespodzianka! — wtrącił się. — Tak, wiem.

— Muszę pobyć sama i przemyśleć te sprawy.

— A o czym tu myśleć?

— James. Bardzo mnie skrzywdziłeś i upokorzyłeś. Nie mogę wyzbyć się tego uczucia tylko dla twojej przyjemności.

— O rany — westchnął. — Znowu wracamy do „biednej Claire”. Myślałem, że się zmieniłaś. A co powiesz o tym, jak ty mnie raniłaś i poniżałaś?

— Nigdy nie chciałam...

— Ja również nie starałem się ciebie zranić — odparł z nutą niecierpliwości w głosie. — To się po prostu stało.

— Ale mówiłeś, że kochasz Denise — przypomniałam sobie to, co najbardziej mnie zabolalo.

— Ja tylko myślałem, że ją kocham — powiedział ostrożnie, jakby wyjaśniał coś małemu dziecku. — Lecz okazało się, że było inaczej.

Zamilkł na chwilę.

— No dobrze! — rzucił z mocą. — Chcesz, abym przyznał się do błędu. W porządku. Zrobię to. Tylko po to, żeby ci pokazać, jak mi zależy na naszym małżeństwie.

Znowu zrobił przerwę, a potem odezwał się śpiewnym głosem jak mały chłopiec, którego miałoby się ochotę zabić:

— Popełniłem błąd. Wystarczy ci to?

— Dziękuję — rzekłam uprzejmie. Mógłby już sobie pójść.

— Oczywiście jeśli zamierzasz nadal się dąsać i gniewać, to nie ma sensu, abym tu siedział, prawda? W takim wypadku pojedę prosto na lotnisko, a stamtąd do Londynu, po czym już nigdy więcej nie wrócę do tej sprawy.

— Nie rób tego. — Wystraszyłam się myśli, że znowu mnie zostawi. Jednocześnie wystraszyłam się, że zostanie. Tego było za wiele.

Kutas jeden bez uprzedzenia mnie zostawił. Potem wrócił i powiedział, że to była moja wina. Ale nadal mnie kocha i chce jeszcze raz spróbować. Czy to jest logiczne zachowanie?

— Claire. — Wrócił do roli miłego faceta. — Widzę, jak cię to przytłacza. Co jest absolutnie zrozumiałe. Myślałaś, że jesteś zupełnie sama, a teraz okazuje się, że masz otwartą drogę do poprzedniego, szczęśliwego życia. Trudno ci jednocześnie wszystko to ogarnąć.

— Zgadza się — mruknęłam.

— Więc zostawię cię na dwie godzinki.

— Dzięki. — Co za ulga.

— Zorientuję się w sprawie biletów. Którego dnia chciałabyś wracać do Londynu?

— No, nie wiem. — Znowu ogarnęła mnie panika. Wcale nie chciałam wracać do Londynu. Przynajmniej z Jamesem.

— Najlepiej od razu, co? — Mrugnął do mnie porozumiewawczo. — Ile czasu zajmie ci pakowanie?

— Nie wiem, James. — Byłam przerażona. — Bardzo długo, mam przecież mnóstwo rzeczy Kate.

— A tak, Kate — powiedział, jakby właśnie sobie o niej przypomniał. — Dla niej też zarezerwuję bilet.

— Nic jeszcze nie rób. Daj mi trochę czasu na załatwienie swoich spraw.

— No cóż. — Zmarszczył brwi. — Siedząc tutaj, nie chodzę do pracy. Więc chciałbym wrócić jak najszybciej, skoro już wszystko ustaliliśmy.

— Później o tym porozmawiamy. — Poprowadziłam go do drzwi.

— Tylko nie zwlekaj za bardzo, bo przecież...

— Czas to pieniądz. Tak, wiem — dokończyłam za niego znużonym głosem.

Zamknąwszy za nim drzwi, oparłam się o nie. Byłam wyczerpana.

— Poszedł? — syknął ktoś.

To mama. Wysunęła głowę ze swojego pokoju, spoglądając na mnie z góry.

— Tak — odpowiedziałam.

— Co się stało? — Ujrzała moją pobladłą twarz.

— Nic.

— To dobrze.

— James powiedział, że nadal mnie kocha.

— Co takiego?! — wrzasnęła.

— Chyba mu powiedziałaś, gdzie może sobie wsadzić takie wyznaczenie?! — krzyknął jakiś głos spoza pleców mamy.

— Claire, kochanie. — Mama zbiegła po schodach. — Chodź. Usiądź. Opowiedz mi wszystko. To wspaniała wiadomość.

Zaprowadziła mnie do kuchni.

— Gdzie Kate? — spytała.

— W jadalni. — Usiadłam bezsilnie na krześle.

— Przyniosę ją.

Wyszła i po chwili wróciła z uradowaną miną.

— Więc co powiedział? — spytała niecierpliwie.

— Że nadal mnie kocha i chce, żebym wróciła — rzekłam obojętnie.

— Czyż to nie wspaniale?

— Zapewne — odparłam z powątpiewaniem.

— A co z tą Denise? — Przyjrzała mi się uważnie.

— Podobno nigdy jej nie kochał — mówiłam cicho. — Zwrócił się ku niej, gdy odczuł, że nie poświęcam mu dość uwagi, troski i nie daję miłości.

— Więc skończył z nią?

— Tak.

— Wierzysz mu?

— To zabawne, ale wierzę.

— Więc wszystko w porządku.

— Naprawdę?

Milczała kilka sekund, zastanawiając się nad czymś.

— Claire — powiedziała poważnym tonem — nie popełnij błędu, nie pozwól, by duma stanęła na drodze przebaczenia. Wciąż go kochasz, a on ciebie. Nie odrzucaj tego wszystkiego jedynie z powodu zranionych uczuć.

Nie odzywałam się, a ona mówiła dalej, jakby patrząc gdzieś w dal rozmarzonymi oczami.

— Wiele małżeństw przechodzi kryzys. I ludzie potrafią je pokonać. Uczą się wybaczać. A po pewnym czasie potrafią nawet zapomnieć. Później małżeństwo jest jeszcze silniejsze, jeśli się nad nim pracuje i pozostaje razem.

„O nie”, pomyślałam. „Poznaję ten scenariusz. Matka wyjawia córce, że wiele lat temu miała romans z kimś w rodzaju najlepszego przyjaciela męża. Albo — co bardziej prawdopodobne

— że ojciec miał z kimś romans. (Co takiego? Chcesz mi powiedzieć, że tata miał romans?) A matka była gotowa zabrać dzieci i zostawić go. (Byłaś jeszcze małeńka). Lecz matka nie odeszła. Wybaczyła mu. Ojciec miał wyrzuty sumienia i był pełen skruchy. A teraz ich małżeństwo było silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej”.

Jeśli chciała opowiedzieć mi podobną historyjkę, to chyba jednak zmieniła zdanie. Rozmarzenie ulotniło się z jej spojrzenia.

Wróciła do terażniejszości.

— Zbliżnienie się ran zajmie trochę czasu — powiedziała.

— Nie stanie się to w jednej chwili. Ale kiedyś zniknie.

— Nie wiem, mam — mruknęłam. — Nie czuję się z tym dobrze.

— Jak to?

— Nie wiem... — westchnęłam. — Nie mam poczucia triumfu. Albo zwycięstwa. I nadal jestem na niego zła.

— To dobrze, że się gniewasz. Masz do tego pełne prawo. Ale porozmawiaj z nim na ten temat. Moglibyście oboje udać się do poradni małżeńskiej. Lecz nie pozwól, by gniew przesłonił ci wszystko. Mówimy przecież o ojcu twojego dziecka. Jeśli sama nie potrafisz stłumić swojej złości, pomyśl o Kate. Zrób to dla niej. Czy chcesz pozbawić dziecko ojca tylko z powodu swojej złości? — zakończyła tę przemowę trochę uniesionym głosem.

Nie zdążyłam się odezwać, gdy ruszyła dalej. Jeszcze bardziej emocjonalna inwektywa.

— A teraz o tym, że nie masz poczucia triumfu ani zwycięstwa z odzyskania Jamesa. To takie puste. Dziecinne. Koniecznie chcesz się poczuć zwycięzcą. A w takiej sytuacji nie ma ani wygranych ani przegranych. Jeśli pomożesz małżeństwu wrócić na właściwą drogę, wtedy zwycięzysz. Zatriumfujesz.

Powinna zająć się pisaniem przemówień dla rewolucjonistów. To było naprawdę przejmujące.

— Dobrze. — Wcale nie byłam przekonana. — Skoro jesteś tego taka pewna...

— Jestem. Twoje małżeństwo było przecież bardzo udane. Wiem, że mieliście problemy i nie bardzo potrafiliście je rozwiązać. Ale na pewno oboje wyciągnęliście z tego wnioski.

— Chyba tak.

— A poza tym, skoro chce do ciebie wrócić, to nie mogłaś być taka zła, jak on twierdzi. — Uśmiechnęła się.

Mnie jednak nie chciało się śmiać.

Nie mogłam uwierzyć, że miałam taki nieznośny charakter. Kto to powiedział: „Uważaj na swoje marzenia, bo mogą się spełnić”?

A jakiś święty czy ktoś taki powiedział: „Wysłuchane modlitwy przynoszą więcej łez niż te, których Bóg nie wysłuchał”. Teraz wiem, co miał na myśli.

Zostałam bardzo mocno skrzywdzona. Bardzo go kochałam. I chciałam wrócić do Jamesa, mojego małżeństwa, dawnego życia. A teraz, gdy to się spełniło, nie wiedziałam, o co robiłam tyle hałasu.

Dlaczego?

Miałam możliwość odbudować swoje małżeństwo, lecz przede wszystkim musiałam zaakceptować fakt, że jestem niedojrzała, egoistyczna i trudna we współżyciu. I byłam ciężarem dla Jamesa. To wcale nie było proste. Wiedziałam, że to prawda. Nie było innej przyczyny, dla której mnie porzucił. Lecz jeśli nie byłam pewna, na czym polegają moje błędy, jak mogłam uniknąć powtórzenia ich w przyszłości?

Nadal czułam się bardzo poniżona i skrzywdzona tym, że pieprzył się z tą grubą krową. Ale nie pozwolił mi nic powiedzieć. Nie mogłam zrędzić z tego powodu, gdyż byłoby to odczytane jako zachowanie egoistyczne i niedojrzałe. Byłam na przegranej pozycji.

Wiedziałam, że go kocham. Tylko nie mogłam sobie przypomnieć, za co. Wydawał się taki... taki... pompatyczny. Czy zawsze był taki? Chłodny i pozbawiony poczucia humoru?

Więc jak ułoży się przyszłość?

Czy będę się bała opowiadać mu zabawne historie, robić nonszalanckie uwagi?

Czy będę się bała oprzeć na nim, by poczuć się bezpiecznie — tak jak to było w przeszłości — gdyż wtedy on poczuje się samotny i zaniedbany? Nasze role się odwróciły.

Nie wiedziałam, jak powinniśmy zachowywać się wobec siebie.

Wszystkiego trzeba będzie uczyć się od nowa. Straszna perspektywa.

Co było złe w naszym dotychczasowym postępowaniu? Gdyby posłuchać Jamesa, można by odnieść wrażenie, że bardzo wiele.

Ale mnie się to podobało. Wcale nie byłam przekonana, że po dokonaniu zmian wszystko układałoby się między nami tak samo dobrze.

Jednak istniał tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać — wrócić z nim i spróbować jeszcze raz.

Musiałam to zrobić, choćby ze względu na Kate. Warto było spróbować. W imię wspaniałej przeszłości. Lecz teraźniejszość była okropna.

Wciąż odczuwałam złość, upokorzenie, cierpienie. Miałam ochotę trzasnąć go za każdym razem, gdy mówił mi, jaka jestem dziecinna.

A więc dobrze. Odetchnęłam głęboko. Rozprostowałam ramiona.

Wrócę z nim do Londynu. Kate miała prawo do ojca. I spróbuję wszystko naprawić.

Zabawne. Pragniecie czegoś do bólu, a gdy los spełnia wasze marzenie, okazuje się, że wymaga ono gruntownego remontu, burzenia ścian, instalacji nowych kabli i rur, więc w pewnym momencie myślicie sobie: „Pieprzyć to, już tego nie chcę. Wystarczy mi coś znacznie mniejszego, bez ogródka, ale przynajmniej wykończonego, gotowego do zamieszkania”.

Mama wciąż siedziała i przypatrywała mi się z niepokojem na twarzy.

— W porządku, mamó. Wrócę do niego. Spróbuję jeszcze raz.

W zasadzie nie pozostawało nic więcej do powiedzenia. Podniosłam się. Westchnęłam.

— Lepiej zadzwonię do Jamesa i powiem mu, że wracam. Poszłam do telefonu. Czułam się tak, jakbym miała stanąć

przed plutonem egzekucyjnym. Wybrałam numer The LiffeySide.

— James — powiedziałam, słysząc jego głos. — Myślałam

o naszej rozmowie i podjęłam decyzję.

— Jaką? — spytał szorstko.

— Wrócę z tobą. Spróbuję jeszcze raz.

— To dobrze. — Czułam, że się uśmiechnął. — Tym razem bardziej się postaramy, prawda?

— I koniec z Denise?

— Koniec ze wszystkimi, jeśli się nam uda.

Nie spodobała mi się ukryta w tym zdaniu groźba.

— James — powiedziała nerwowo. — Wiesz, że to nie jest dla mnie łatwe. Nadal czuję się zdradzona. I nadal cierpię. To nie zniknie tak od razu.

— Nie — zgodził się bardzo rzeczowym tonem. — Może nie od razu. Ale musisz pracować nad tym, by pozbyć się tych odczuć. Nie ma dla nas przyszłości, jeśli mi nie wybaczysz.

— Wiem — powiedziała. Niemal pożałowałam swoich wcześniejszych słów.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

— Ale ty też nie byłeś w porządku, prawda?

— Już się do tego przyznałem — odparł zimno. — Czy będziemy do tego wracać codziennie przez resztę życia?

— No, nie... ale...

— Ale nic. To już przeszłość. Musimy o niej zapomnieć

i patrzeć na to, co przed nami.

„Dla ciebie to o wiele łatwiejsze niż dla mnie”, pomyślałam. Ale nie było sensu mówić tego na głos.

— Więc mam zarezerwować bilety do Londynu? — spytał, przerywając moje milczenie.

— James, nie wiem. Potrzebuję ze dwa dni, żeby wszystko poukładać.

Myśl o wyjeździe przerażała mnie.

— Claire, ja nie mogę czekać dwóch dni — zdenerwował się. — Mam teraz mnóstwo pracy.

— Więc nie cieszysz się, że zgodziłam się wrócić do ciebie już po dwóch dniach? — spytałam z goryczą. — A gdybym tak stawiała opór i przekonanie mnie zajęłoby ci cały tydzień?

— Claire, nie ma sensu tak mówić — powiedział gładko. — Przekonałem cię przecież i to jest najważniejsze.

Cisza.

— Przekonałem cię, prawda? — Gdybym nie znała prawdy, mogłabym pomyśleć, że w jego pytaniu zabrzmiała niepewność.

- Tak — odparłam tępo. — Przekonałeś mnie.
- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.
- Tak. — Wcale nie byłam taka pewna, lecz nie miałam ani sił, ani ochoty podawać w wątpliwość jego słów. — James, przecież ty możesz natychmiast wracać do Londynu. A ja przylecę razem z Kate na początku przyszłego tygodnia.
- A co tu będziesz robić przez cały tydzień? — rozzłościł się.
- No... muszę się pożegnać ze znajomymi... i zrobić parę rzeczy...
- Zawahałam się.
- Wolałbym, żebyś przyjechała wcześniej — powiedział twardo.
- Nie, James, wybaczone, ale... potrzebuję odrobinę czasu, żeby przywyknąć do nowej sytuacji.
- Obyś tylko nie zmieniła zdania.— Zaśmiał się z przymusem.
- Nie zmienię — odparłam zmęczonym głosem. Wiedziałam, że mogłabym się już wycofać. — Nie zmienię.
- Świetnie! Wobec tego chyba od razu wrócę do Londynu. Jeśli teraz pojadę na lotnisko, to złapię jakieś połączenie. Może mi zwrócą za nie wykorzystany nocleg?
- Szkoda, że nie podjęłam decyzji wcześniej i nie zawiadomiłam cię o niej. Pewnie już za późno, żebyś odzyskał pieniądze za dzisiejszą noc.
- Nie szkodzi — rzekł uprzejmie. — Widocznie tak musiało być. Co za dupek! Dyszałam sarkazmem!
- Zadzwoń do ciebie wieczorem, gdy dojadę do domu — obiecał.
- Dobrze — powiedziałam cicho.
- Pozdrów ode mnie Kate.
- Pozdrowię.
- To do zobaczenia wkrótce.
- Do zobaczenia.

Rozdział 31

— Więc kiedy wyjeżdżasz? — spytała mama.

— Wyjeżdżasz?! — wrzasnęła Helen.

— Tak — bąknęłam. Wiedziałam, jak słabo i żałośnie muszę wyglądać w jej oczach.

— Chyba zwariowałaś! — krzyknęła.

— Helen, nic nie rozumiesz... — chciałam jej wyjaśnić. — To nie była jego wina. Bardzo się ze mną męczył, bo ja byłam wymagająca i dziecinna. A on nie mógł tego wytrzymać. Więc zdesperowany odszedł do innej.

— I ty w to wierzysz?! — prychnęła z pogardą. — Oszalałaś. Sam fakt, że zaczął ciupciać inną, wystarczająco źle o nim świadczy, ale jeśli w dodatku ciebie o to wszystko obwinia, to już zupełna bzdura. Nie masz za grosz godności?

— Helen, to jest o wiele ważniejsze niż godność — usilnie starałam się ją przekonać. Może wtedy udałoby mi się przekonać nawet samą siebie. — On jest ojcem mojego dziecka. Byliśmy szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi — taka była prawda — i jeśli oboje nad tym popracujemy, tamte czasy mogą wrócić.

— To dlaczego wyglądasz jak siedem nieszczęść? Powinnaś być rozpromieniona. Facet, który cię kocha, przyjmuje cię z powrotem, mimo że cię zdradził.

— Helen, wystarczy — powiedziała ostrzegawczo mama. — Ty tego nie rozumiesz. Nie byłaś mężatką, nie masz dziecka.

— I wcale nie chcę tego doświadczyć, jeśli potem mam być potraktowana jak śmieć! — rzuciła mi z pogardą. — Ty zwariowałaś — dodała i energicznym krokiem wyszła z pokoju.

— Ma trochę racji — powiedziała mama po krótkim milczeniu.

— Jak to? — spytałam apatycznie.

— No, nie wydajesz się zbyt... uszczęśliwiona. Zaczynasz mieć wątpliwości, prawda?

— Nie — westchnęłam. — Nie mam wątpliwości. Dla dobra wszystkich chcę spróbować jeszcze raz. Ale to nie jest w porządku. Czuję się

jak marionetka, którą on manipuluje. Jakby w ogóle nie dopuszczał możliwości mojej odmowy. Odzyskanie Jamesa ma być dla mnie cudownym zrządzeniem losu. Właśnie o to mu chodziło, żebym zrozumiała, jaka ze mnie szczęściara!

— Ale czyż to nie szczęście dla ciebie, że masz drugą szansę? Nie wszystkie kobiety ją otrzymują — rzekła mama.

— Nie o takie szczęście mi chodzi. — Bardzo chciałam, żeby zrozumiała, o co mi chodzi. Sama też chciałam to zrozumieć. — On chce, żebym czuła się szczęściarą, mimo że na to nie zasługuję. Jest dla mnie miły, chociaż wcale nie musi, ale jest dobrym człowiekiem. Robi to z dobroci serca. Czy też z innej przyczyny. Nie wiem. Ale to jest nie w porządku.

— Lecz jest miły dla ciebie. — Mama uczepliła się jedynej ważnej dla niej rzeczy.

— Tak, ale...

— Ale co?

— Ale... ale... jest miły dla mnie w taki sposób, jak traktuje się niegrzeczne dziecko, które bardzo nabroilo, ale uzyskuje przebaczenie. Można o mnie powiedzieć wiele, ale na pewno nie jestem niegrzecznym dzieckiem.

— Pewnie cierpisz na lekką paranoję — mama starała się poddać rozwiązanie.

„Wielkie dzięki, mamo”.

— To nie było dla niego łatwe — powiedziała. — No wiesz, przyjazd tutaj, przeprosiny, przyznanie się do błędu.

— Właśnie o to chodzi! Wcale mnie nie przeprosił, tylko przyznał się do błędu.

— Claire, po prostu jesteś zdenerwowana. Nie przyjechał, zalewając się łzami, z naręczem czerwonych róż, nie błagał, żebyś go przyjęła.

— A szkoda, bo to byłoby miłe.

— Kwiaty nie mają znaczenia. Liczy się miłość.

— Tak — odrzekłam ponuro. — Czuję się tak, jakby chwycił mnie w potrzask! — wybuchłam. W końcu zrozumiałam, co mi jest. — Muszę

cały czas zachowywać się wzorowo, bo w przeciwnym razie on znowu mnie porzuci. Nie mogę powiedzieć na niego złego słowa, bo będzie to dowód, że myślę tylko o sobie. Powinnam być mu wdzięczna, bo mnie znowu zechciał, ale już nigdy nie wolno mi uskarżać się na cokolwiek. On może zachowywać się, jak chce, a ja muszę trzymać buzię na kłódkę.

— Nie musisz znosić kolejnych wyskoków z jego strony — rzekła z nutką pogroźki w głosie. — Niech tylko obje ci się o uszy cokolwiek o innej kobiecie, natychmiast tu wracaj.

— Dziękuję, mamó.

— A tymczasem ciesz się z tego, że masz drugą szansę. Wykorzystaj ją. Postaraj się. Jestem pewna, że będziesz mile zaskoczona.

— Spróbuję — obiecałam.

W końcu co miałam do stracenia?

— Jest jeszcze coś — powiedziała nieśmiało.

— Co?

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

— O co chodzi? Powiedz mi, na litość boską! — zażądałam.

— No więc... — Wyglądała na zakłopotaną. — Ten Adam dzwonił do ciebie.

Adam!

Poczułam gwałtowny skurcz w sercu. A może to odezwał się mój żołądek. Wszystko jedno — coś skurczyło się ze mnie.

— Kiedy? — spytałam, wstrzymując oddech. Byłam pod-ekscytowana, oszołomiona, radosna.

Rozumiecie, poczułam się tak, jak powinnam się poczuć pod wpływem Jamesa.

— Kilka razy — przyznała bardzo zażenowana. — Wczoraj rano, wczoraj po południu, kiedy Spałaś. I wczoraj wieczorem, gdy nie było cię w domu.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

— Sądziłam, że nie będę ci zawracać głowy, gdy ty próbujesz załatwić swoje sprawy z Jamesem — rzekła pokornie.

— Sama powinnam o tym decydować! — rzuciłam ze złością. Nagle uderzyła mnie pewna myśl.

— Powiedziałaś mi, gdzie byłam wczoraj wieczorem? — spytałam szybko.

— Powiedziałam, że wyszłaś na spotkanie z mężem — broniła się. — Dlaczego miałabym tego nie powiedzieć? Przecież to prawda.

— Tak, ale... — urwałam.

Jakie to miało teraz znaczenie? Przecież i tak zamierzałam wrócić do Londynu, do Jamesa. Z Adamem koniec.

Ale musiałam się z nim zobaczyć. Pożegnać się, podziękować za to, że był dla mnie taki miły, że dzięki niemu poczułam się znowu piękna, powabna, interesująca i wyjątkowa.

— Zostawił swój numer? — spytałam z nadzieją.

— Nie. — Odwróciła głowę, wyraźnie zawstydzona.

— Może jeszcze zadzwoni — powiedziałam z niepokojem.

— Może — zgodziła się, ale była pełna wątpliwości. „Co ona mu nagadała?”

— Więc jeśli zadzwoni, chcę z nim rozmawiać, rozumiesz?

— Nie musisz z miejsca odgryzać mi głowy — mruknęła. Zgodnie z zapowiedzią James zadzwonił do mnie we wtorek wieczorem, by poinformować, że szczęśliwie dojechał do domu. Spytał, czy ustaliłam już datę swojego powrotu.

— Jeszcze nie — odparłam słabo. — Ale obiecuję, że niedługo-

— Postaraj się — rzekł sugestywnie, co wywołało we mnie nagły dreszcz strachu, niemal przerażenia. Myśl o spędzeniu z nim nocy, uprawianiu seksu nie była zbyt przyjemna.

Gdy tylko skończyłam rozmowę i odłożyłam słuchawkę, telefon znowu zadzwonił. Adam!

Piękny, wysoki, miły, zabawny, słodki Adam.

— Witaj, Claire — usłyszałam jego cudowny głos.

— Cześć, Adam. — Byłam uszczęśliwiona, czułam się dziewczęco, radośnie, uśmiechałam się i rumieniłam.

— Słyszałem, że należy ci pogratulować — odezwał się lodowatym, twardym głosem.

To podziałało jak kubeł zimnej wody na moją gorącą euforię wywołaną jego głosem.

— Jak to... ? — spytałam. Byłam wyrachowaną suką, która uwiodła go dla swojej przyjemności, a tak naprawdę wcale się nim nie interesowała. A teraz, gdy wrócił mój mąż, Adam przestał być dla mnie użyteczny.

— Helen właśnie powiedziała mi, że wracasz do Londynu, do Jamesa — rzucił oskarżycielsko.

— Tak, to prawda — odparłam ze skruchą. — Czuję, że muszę to zrobić. Ze względu na Kate.

— A ze względu na siebie?

Myślałam, że się poryczę. Chciałam powiedzieć mu, jak obrzydliwa jest dla mnie myśl o powrocie do tej wiecznie niezadowolonej, świętoszkowatej świni.

Jak widzicie, James z każdą sekundą tracił w moich oczach, Adam zaś coraz więcej zyskiwał. Bardzo chciałam z nim być.

Lecz nie mogłam mu tego powiedzieć. Musiałam spróbować ułożyć sobie życie z Jamesem. Pragnienie, żeby być z kimś innym, nie przysłużyłoby się dobrze mojemu małżeństwu.

— Będzie OK — odezwałam się.

— Właśnie widzę — odparł z goryczą.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Wstydziłam się.

— A co ze mną? Czy tamten niedzielny wieczór nic dla ciebie nie znaczył?

— Oczywiście, że znaczył.

— Nie sędzę, skoro po dwóch dniach wracasz do innego faceta — powiedział bez ogródek.

— Adam, to nie tak... — gorączkowo próbowałam mu wyjaśnić. — Ja muszę... muszę jeszcze raz spróbować.

— Dlaczego? Przecież był dla ciebie taki okropny — zauważył.

— No tak... ale to nie była jego wina. Parsknął pustym śmiechem.

— A czyja? Nie mów mi, proszę, nic mi nie mów. Powiedział ci, że to ty jesteś wszystkiemu winna.

— No więc... tak... ale...

— Nie mogę w to uwierzyć — przerwał mi ze złością. — Jesteś inteligentną kobietą, i to bardzo, a pozwoliłaś temu idiocie wmówić sobie, że jesteś nic niewarta. Co on ci naopowiadał?! — podjął po chwili, dając upust wezbranej złości. — Pomyślmy. Potrzebował seksu, gdy ty byłaś w ciąży i nie mogłaś go zaspokoić? Czy o to chodziło?

— Nie — odparłam cicho.

— Albo za bardzo koncentrowałaś się na jeszcze nie narodzonym dziecku, poczuł się zignorowany, zepchnięty na bok, więc gdzie indziej musiał szukać uczucia?

— To również nie. — Bogu dzięki nie odgadł prawdziwych przyczyn.

— Rozumiem, że nie powiesz mi dokładnie, dlaczego to była twoja wina — mówił podniesionym głosem — ale bądź pewna, że ty nie byłaś niczemu winna. Dlaczego pozwalasz, żeby manipulował tobą w taki sposób?

„Dobre pytanie”, pomyślałam. No właśnie, dlaczego pozwalałam mu manipulować sobą? A tak, wróciła mi pamięć.

— Bo kiedyś było nam bardzo dobrze i warto jeszcze raz spróbować. — Zabrzmiało to mało przekonująco i nieszczerze.

Nawet dla mnie. — Przeżyłam z tobą wspaniałe chwile. Dzięki tobie poczułam się piękną, wyjątkową, wartościową kobietą.

— Zawsze do usług — powiedział sarkastycznie.

— Nie gniewaj się na mnie, proszę. Bardzo mi przykro. Naprawdę. Nie mam wyboru. Muszę to zrobić.

— Masz wybór.

— Nie mam. Poza wszystkim innym, co z Kate?

— Więc wrócisz do godnego pożałowania życia w związku z facetem, który cię nie szanuje, nie dba o ciebie, a ty zrobisz to tylko dla Kate.

— Ale on dba o mnie — zaprotestowałam.

— Dziwnie to okazuje.

— Czy jest szansa, żebyśmy zostali przyjaciółmi? — Desperacko starałam się cokolwiek uratować z tej nieprzyjemnej sytuacji.

— Nie.

— Dlaczego? — spytałam nerwowo.

— Bo nie mogę uwierzyć, że rozmawiam z tą samą kobietą, z którą spędziłem niedzielny wieczór. Tamta była inteligentna, miała duże poczucie własnej godności, wiedziała, czego chce.

— Jestem inteligentna i mam poczucie godności. — Byłam bliska płaczu. Musiałam go przekonać. Nie chciałam go stracić. Wiedziałam, że romans z Adamem nie jest możliwy. Nie teraz. Lecz nadal był dla mnie wspaniałym mężczyzną i pragnęłam zostać jego przyjaciółką.

— W każdym razie — westchnął — nie mogę być twoim przyjacielem, bo oczekuję od ciebie znacznie więcej. I jestem pewien, że ty również nie możesz być dla mnie przyjacielem. Za bardzo ciągnie nas ku sobie.

— Cóż, skoro nie możemy być przyjaciółmi, w ogóle nie będziemy dla siebie istnieli — rzekłam. Czułam ogromny ból, lecz musiałam to powiedzieć. Nie mogłam wrócić do Jamesa, mając w sercu uczucie dla Adama. Musiałam być twarda, żeby uprościć sytuację. Na dłuższą metę uczciwe i jasne postawienie, sprawy było mniej bolesne.

Miałam nadzieję, że blefuje, bo zupełnie nie byłam gotowa na jego kolejne słowa.

— Więc nie będziemy dla siebie istnieli—powiedział sztywno. Wpadłam w panikę.

Z powodu tonu jego głosu, dlatego, że sprawiłam mu wielki zawód, z powodu uświadomienia sobie, że mogę go już nigdy nie zobaczyć.

— Podasz mi swój numer telefonu? — wyrzuciłam z siebie. Nie mogłam znieść myśli, że już teraz wszystko się skończy

między nami. Pragnęłam coś ocalić z nadzieją, że będzie dla mnie miły.

Gdyby powiedział, że nadal jest moim przyjacielem, miałabym pewność co do słuszności swojego postępowania.

— Nie — odpowiedział tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

— Dlaczego? — Mimo to chciałam spróbować. — Bo po co ci on?

— Żeby do ciebie zadzwonić.

— A po co miałabyś do mnie dzwonić?

— Żeby porozmawiać. — Byłam bliska płaczu. — Nie chcę cię stracić.

— Claire — westchnął — nie bądź głupia. Podjęłaś decyzję. Jedziesz do Londynu, by żyć z innym mężczyzną. Nie możesz mieć nas obu. Nie ma sensu, żebyś do mnie dzwoniła. Nie będziemy przyjaciółmi. Koniec. Kropka.

— Więc nie zostało mi już nic do powiedzenia, prawda? — odezwałam się ze smutkiem. Zrozumiałam, że nie dostanę tego, czego pragnęłam. On nie da mi swego błogosławieństwa.

A niby dlaczego powinien?

— Nie — stwierdził.

— Zawiodłam cię, prawda?

— Zawiodłaś siebie — odparł zimno.

— Rozczarowałam cię, prawda? — Coraz mocniej wcierałam sól w żywe rany.

— Tak... rozczarowałaś mnie — rzekł po krótkim wahaniu.

— No więc... uważaj na siebie. — Czułam się strasznie głupio. Tyle mu chciałam powiedzieć, lecz z moich usta padały jedynie wyświechtane frazesy.

— Będę uważał.

— Przykro mi. — Co za okropne uczucie.

— Na pewno nie tak bardzo jak mnie. Odłożył słuchawkę.

Chwilę stałam przy aparacie. Myślałam, że serce mi pęknie. Bardzo się bałam. Czy właśnie popełniłam straszliwą pomyłkę?

Czy znajdowałam się w zwrotnym punkcie swojego życia? Czy naprawdę byłam dla Adama aż tak ważna?

Co za różnica? Już zdecydowałam, w którym kierunku pójdę.

Ale czy był on właściwy?

Skąd miałam wiedzieć?

W mojej głowie panował zamęt. Bałam się, czułam, że nie kontroluję swego życia.

Miałam do wyboru dwie możliwości życiowej drogi. Z Jamesem jedną i być może z Adamem.

Czy odrzuciłam tę niewłaściwą? Źle zrozumiałam swoje przeznaczenie? Czy rozstanie z Jamesem musiało nastąpić po to, abym mogła poznać Adama i być o wiele szczęśliwsza? Czy dlatego cierpiałam, abym potem była silniejsza?

Więc czy źle to wszystko odczytałam?

Jednak było już za późno. Zdecydowałam się. I zrealizuję to, co postanowiłam. Zwariuję, jeśli ciągle będę zmieniać zdanie.

Moja przyszłość to James. Adam już nie istniał w moim życiu.

Pewnie byłam dla niego jedynie niezłą dupą. Ta świadomość była całkiem przyjemna. Może chodziło mu tylko o seks.

A jeśli nie?

Co wtedy powinnam zrobić?

Musiałam o nim zapomnieć. I wiedziałam, że zapomnę.

Przecież znałam go dopiero trzy tygodnie.

On po prostu, no wiecie... wywarł na mnie pewien wpływ. Ujął mnie w zupełnie nieoczekiwany sposób. Dzięki niemu poczułam, że mi na nim zależy, że daję mu coś z siebie, że jestem wyjątkowa i wspaniała. James nie dał mi tego odczuć.

Hej, może to tylko moje szalejące ego. Skoro James nie starał się, abym miała o sobie zbyt wysokie mniemanie, uczepiłam się pierwszego faceta, przy którym czułam się wspaniale.

Ale — szczerze mówiąc — wcale tak nie było.

Adam był wyjątkowy.

On i ja byliśmy wyjątkowi.

Niestety już nie teraz.

Teraz Adam czuł dla mnie jedynie pogardę. Za moją głupotę, za to, że kupiłam te beznadziejne wyjaśnienia Jamesa. I za tempo, w jakim po wyjściu z jego łóżka poszłam do innego faceta. Nawet jeśli był nim mój mąż.

Bolało mnie, że Adam tak źle o mnie myśli. Ale nie winiłam go za to. Ja też nie miałam o sobie dobrego zdania.

Rozdział 32

Po wtorkowej rozmowie z Adamem usilnie starałam się o nim zapomnieć. Odganiałam każdą myśl związaną z jego osobą. Starałam się myśleć o czymś miłym, na przykład o życiu w Londynie. O powrocie do swojego mieszkania. O spotkaniu starych znajomych. O powrocie do pracy. O pobycie w mieście, gdzie w co drugim sklepie można kupić buty.

A między mną i Jamesem wszystko dobrze się ułoży. Będę szczęśliwa. Dostanę to wszystko, czego tak strasznie pragnęłam w ciągu pierwszego miesiąca po jego odejściu.

Będzie mi się żyło znacznie lepiej. Jakby zdrady Jamesa w ogóle nie było. Miałam nadzieję, że będę mogła po prostu wyrzucić z życiorysu te trzy miesiące i wszystko będzie znowu tak, jak planowałam. Kate będzie miała ojca, a ja męża. Wrócimy do naszego poprzedniego życia. A jeśli będę musiała uważać, by nie zachowywać się jak rozkojarzona trzpiotka, być poważna, dbać o szczęście i spokój ducha Jamesa — nie była to wielka cena.

Miałam pewność, że nie taki diabeł straszny, że jeśli się postaram, nie będzie aż tak źle. Nauczę się mojej nowej osobowości. Z korzyścią dla siebie. A wtedy ustąpi to uczucie strachu, które mi teraz towarzyszy.

Część mojego smutku należało oczywiście przypisać rozstaniu z rodziną. Bez względu na to, jacy byli, przywykłam do nich w ciągu tych ostatnich tygodni. Ich anarchiczny wzór rodzinnego życia wydawał się o wiele bardziej atrakcyjny niż uporządkowana, spokojna egzystencja u boku Jamesa.

Będę za nimi tęskniła. Za mamą, tatą, Anną.

Cholera, być może nawet za Helen.

A może nie.

To było trudne. Wciąż dawały o sobie znać nachodzące mnie od czasu do czasu fale złości i poczucie krzywdy wyrządzonej mi przez Jamesa. Niełatwo było mi powstrzymać odruch, by chwycić za telefon i powiedzieć mu, jaki egoistyczny z niego drań, że nie miał prawa wzbudzić we mnie poczucia winy za całe zło, które się stało. Że nie jestem złą. Że nie jestem nawet egoistką. Ani niedojrzałą osobą. Lecz mogłam sobie wyobrazić jego reakcję na moje słowa — racjonalne wyjaśnienia i oskarżenia pod moim adresem. Wtedy poczułabym się jeszcze gorzej. Bardziej sfrustrowana. Jakbym samej sobie sprawiła jeszcze większy zawód.

Jedyne, co umożliwiło mi opanowanie całej wezbranej złości, była świadomość, że gdzieś, jakoś — w sposób zupełnie niezamierzony — popełniłam błąd. W mojej głowie wciąż kołatały się jego słowa wypowiedziane wtedy we włoskiej restauracji: „Czy zostawiłbym cię, gdybym był szczęśliwy?”

Tak więc nie miałam wyboru. Musiałam przyjąć, że to moja wina. Nie opuściłby mnie, nie wykonałby tego okropnego ruchu, jakim było nawiązanie romansu, uświadomienie sobie, że kocha inną, gdyby to nie była moja wina.

James nie uganiał się za kobietami. Nie był frywolny. Długo i głęboko zastanawiał się nad każdą sprawą — moim zdaniem, o wiele za długo i głęboko. Nie robił głupich rzeczy dla samej zabawy. Musiał już nie mieć wyboru, dojść do końca drogi.

Wszystko się ułożyło. Wspólne życie z Jamesem wróci do normy. Potrzeba jedynie trochę czasu. Postępowałam właściwie.

W końcu zdecydowałam, że wrócę do Londynu w następny wtorek.

Zdążę się spakować, a przede wszystkim przygotuję się, by zapomnieć o urazie do Jamesa, by zacząć myśleć o nim pozytywnie.

W piątek po południu, po dwóch dniach gorączkowego pakowania rzeczy do walizki, potem odnajdywania ich w szafie Helen, ponownego pakowania, kolejnego odnajdywania ich po kilku godzinach, tym razem pod łóżkiem Helen, znowu układania wszystkiego w mojej walizce i tak

dalej, zdecydowałam się zadzwonić do Jamesa do pracy, by powiadomić go o godzinie mojego przylotu. To było dziwne uczucie. Od ostatniego wtorku dzwonił do mnie przynajmniej raz dziennie, dopytując się, kiedy wracam. Jakby... nie mógł się mnie doczekać i obawiał się, że nie wrócę. Oczywiście moja cyniczna połowa wysnuła z tego wniosek, że pewnie brakowało mu seksu albo praczki od czasu, gdy przestał mieszkać z Denise, dlatego z taką niecierpliwością oczekiwał mojego przyjazdu.

Z drugiej strony, zupełnie niezwykle było wrażenie, że jestem mu potrzebna. Zwłaszcza po tym, jak protekcyjnie i z wyższością potraktował mnie w czasie pobytu w Dublinie, gdy dał mi odczuć, jaką to robi mi łaskę, przyjmując mnie z powrotem.

Usiłował to skrętnie ukryć, ale chyba jednak nie był do końca pewien mojego zachowania.

Nie musiał się martwić.

Zamierzałam wrócić.

Mimo że tego nie chciałam. Chyba.

Połączyłam się z jego biurem. Odebrał jakiś mężczyzna.

— Przykro mi, ale pana Webstera nie ma teraz w biurze.

Wszyscy wiemy, co teraz nastąpi. Doszliśmy do punktu w książce, kiedy bezosobowy głos mówi dalej: „Nie, pan Webster pojechał do szkoły rodzenia ze swoją przyjaciółką, Denise” albo „Nie, pan Webster wziął wolne popołudnie, żeby wrócić do domu i pieprzyć się ze swoją przyjaciółką, głupią Denise” lub coś w tym rodzaju. Na co ja odpowiadam: „Dziękuję. Nie, nie zostawię wiadomości”, po czym odkładam słuchawkę drżącymi dłońmi, a następnie odwołuję rezerwację na bilety do Londynu.

Jednak nic takiego się nie stało. Bezosobowy głos spytał mnie po prostu:

— A z kim mam przyjemność? Musiałam się nad tym zastanowić. Więc kto dzwoni? Przypomniałam sobie.

— Jestem... jego żoną.

— Claire! — wykrzyknął mężczyzna. Był taki jowialny, bo zapewne chciał ukryć zmieszanie. — Jak się masz? Mówi George. Miło cię słyszeć.

George był partnerem Jamesa i jego przyjacielem. Był na swój sposób także moim przyjacielem — jako wesoły kompan do kufelka, chłopięcy, a zarazem udający wielkiego macho.

Był miłym facetem. Gdybyście po prostu zaakceptowali pewne jego cechy, na pewno znaleźlibyście z nim wspólny język. Na przykład, nie oczerniałabym go, twierdząc, że gra w rugby. Ale nie ulegało wątpliwości, że był kibicem i oglądał zawody.

Lubiłam go, a z jego żoną, Aisling, zaśmiewaliśmy się nie raz do rozpuku. Wielokrotnie upijaliśmy się wszyscy razem.

— Witaj, George. — Poczulałam się trochę zażenowana. Rozmawiałam z nim pierwszy raz od czasu, gdy James mnie zostawił. Teraz nie bardzo wiedziałam, co dalej. Czy powinnam nawiązywać do tego zdarzenia?

A może beczelnie wywalić prosto z mostu, tyle że w formie żartu, okraszonego uwagami pełnymi smutku i użalania się nad sobą. Może coś w rodzaju: „Cześć, tu Claire, ale możesz do mnie mówić Denise, jeśli łatwiej ci będzie to zapamiętać”.

Zrozumiałam, że przez pierwsze dwa tygodnie po powrocie do Londynu często będę się znajdowała w podobnej sytuacji.

Jeżu, ależ to będzie upokarzające.

Lecz George ocalił mnie, przechodząc od razu do rzeczy.

— Więc wracasz do niego? — Zaśmiał się. — Bogu dzięki. Być może zaczniesz w końcu pracować jak należy.

— Aha — rzekłam grzecznie.

— Tak — mówił dobrodusznie. Był wesoły, bo zapewne wrócił z długiego i obficie zakrapianego lunchu. No cóż, w końcu był piątek. — Jak mam ci to powiedzieć, Claire? Nie było łatwo. Wiesz, jaki on jest. Nie umie rozmawiać o uczuciach, zresztą kto z nas to potrafi? No i jest zbyt dumny, na własną szkodę. Ale nawet ślepiec zobaczyłby, jak bardzo James cię kocha. Wystarczyło na niego zerknąć, by się zorientować, że bez ciebie jest kompletnie załamany. Załamany! Nic mi nie mów! To cudownie, że go przyjął z powrotem. W przeciwnym razie musielibyśmy

go zwolnić. — Roześmiał się głęboko. Odezwały się trzy półlitrowe kufelki piwa wypite w czasie lunchu.

„Co on gada?“, pomyślałam.

Chyba nie... na pewno nie... z pewnością nie naśmiewał się ze mnie?

Do moich oczu napłynęły łzy, łzy wściekłości i wstydu.

Czy wszyscy zabawiali się moim kosztem?

No dobrze, szczerze mówiąc, przyznaję, że w innych okolicznościach pierwsza śmiałabym się do rozpuku z opuszczonej żony, która z taką łatwością przyjmuje z powrotem męża, co czmychnął do innej. Poza tym musiałam się liczyć z faktem, że na boku ludzie będą się śmiać z mojego żalosego postępowania, ze zgotowania Jamesowi tak radosnego przyjęcia na łono rodziny.

Jednak George chyba nie szydziłby sobie ze mnie tak otwarcie. Wiedziałałam doskonale, że James nie był załamany moją nieobecnością. A George wiedział, że ja wiem. Nie mogło być inaczej. Obaj byli facetami, ale chyba przynajmniej czasem rozmawiali na inne tematy niż futbol i samochody.

George zazwyczaj był taki miły. Nie rozumiałam, dlaczego żartował z tego, co zaszło między mną i Jamesem. Dlaczego był taki okrutny?

Bardzo mnie to zabolalo, ale nie mogłam płakać. Musiałam bronić swoich racji. Zgnieść to w zarodku. Bo w przeciwnym razie wszyscy uznają, że mają prawo żartować sobie ze mnie.

— Naprawdę? — spytałam z dużą dawką sarkazmu.

Tym jednym słowem chciałam dać mu do zrozumienia, że być może James potraktował mnie w sposób pozbawiony szacunku, ale przez to nie stałam się automatycznie workiem do bicia. Mógł mnie skrzywdzić — no... nie mógł, ale wiecie, co mam na myśli — ale to nie upoważniało nikogo do strojenia sobie ze mnie żartów.

A George miał niezły tupet! Pomyśleć, że kiedyś tak go lubiłam.

Jednak w ogóle nie odpowiedział na moje: „Naprawdę?“ Wyraźnie mój sarkazm do niego nie trafił. Mówił dalej rubasznym głosem:

— Nie jestem specjalistą od związków małżeńskich, ale cieszę się, że się dogadaliście i zakończyliście ten smutny epizod. Dobrze, że mu wy-

baczyłaś. To musiało być dla ciebie straszne. Ale pewnie gdy zobaczyłaś, w jakim jest stanie, rozumiałaś, jak mu było przykro i smutno. Wyglądał jak żywy trup, prawda?

Wszystko to nie mieściło się w mojej głowie. O co tu chodzi?

Czy George żartuje sobie ze mnie?

Wcale nie byłam tego pewna. Wydawało mi się, że mówi szczerze.

A jeśli nie żartuje, to o czym gada, do jasnej cholery?!

Co miał na myśli, mówiąc „żywy trup”? Czy na pewno rozmawialiśmy o tym samym Jamesie? Tym samym świętoszkowatym, wiecznie niezadowolonym Jamesie, który przyleciał do Dublina, żeby się ze mną spotkać?

Zanim zdążyłam uporządkować myśli, George znów przemówił.

Był w nastroju do rozmowy. Nuda piątkowego popołudnia i wypite piwo rozwiązały mu język.

— Mam nadzieję — powiedział, udając powagę — że miałaś dość rozumu, by nie wybaczyć mu od razu, i zażądałaś co najmniej dwóch błyskotek ze szlachetnego kruszcu oraz wakacji na Malediwach.

„Żartujesz sobie?”, pomyślałam oniemiała. „Mam szczęście, że w ogóle mnie zechciał. To ja niemal musiałam jemu obiecać błyskotki i wakacje”.

— No... — mruknełam. Ale George gadał dalej.

— On strasznie cię kocha i myślał, że nie ma już dla niego nadziei, wiesz? Myślał, że nie zechcesz mieć z nim nic do czynienia. Po prawdzie, nikt nie mógłby cię za to winić.

— George! — przerwałam mu głośno. Musiałam ustalić, co się dzieje. — O czym ty mówisz?

— O Jamesie — zdumiał się.

— Twierdzisz, że było mu przykro z powodu naszego rozstania?

— Można powiedzieć „przykro”. — Zaśmiał się. — Ale ja określiłbym to inaczej: był zdruzgotany.

— Skąd o tym wiesz?— spytałam cicho. Ciekawe, gdzie tkwiło źródło tych rewelacji. Bo z pewnością ktoś mu nieźle nakłamał.

— James mi powiedział. Czasami rozmawiamy, wiesz? Nie tylko kobiety mają monopol na szczerą, otwartą rozmowę!

— Tak, ale... czy jesteś pewien?

— Oczywiście — oburzył się. — Cierpiał na myśl, że ciebie nie ma. Cierpiał! Powtarzał mi: „George, tak bardzo ją kocham. Jak mogę ją odzyskać?” A ja odpowiadałem mu: „James, powiedz jej prawdę. Przepróż ją”. Myślałem, że zwariuję.

— Naprawdę? — wyjąkałam.

Więcej nie potrafiłam z siebie wydusić. Szumiało mi w głowie. Przecież nic takiego się nie zdarzyło. Więc o co tu chodzi?

— Claire — powiedział współczująco. — Wiem, że bardzo to przeżyłaś. Ale on też. Bo wiesz, jak on nie lubi nie mieć racji. Prawdę mówiąc, rzadko jej nie ma. Więc przyznanie się do błędu i złożenie przeprosin było dla niego czymś prawie niewykonalnym. Myślę, że obrzydło ci już wysłuchiwanie słowa „przepraszam”, na którego dźwięk pewnie dostajesz mdłości.

Znowu się roześmiał.

Byłam już pewna, że to nie żarty, nie jakaś wymyślna i okrutna sztuczka. George mówił to wszystko na poważnie. Nie mogłam tylko pojąć, dlaczego jego opowieść tak bardzo się różni od wersji, jaką podał mi James.

Wcale nie obrzydło mi słowo „przepraszam”. Bardzo chciałabym je usłyszeć, ale na pewno nie rozpoznałabym go — zwłaszcza w ustach Jamesa — nawet gdyby skoczyło na mnie i chwyciło mnie za gardło.

Musiałam się jednak skupić, bo George mówił dalej:

— Dziwne, ale James zawsze myślał, że prędzej ty będziesz miała romans, a nie on.

— Dlaczego? — Chyba wiedziałam, co ma na myśli. Zawsze byłam postrzegana jako trzpiotka, a James jako solidny i mocno stąpający po ziemi.

— Bo ty na imprezach czułaś się jak ryba w wodzie. Byłaś pełna życia i charyzmy. A James zawsze myślał, że nie dotrzymuje ci kroku i nie zasługuje na ciebie. Zawsze! Bał się, że jest zbyt poważny i nudny. Nam,

księgowym, niełatwo zaimponować kobietom. Uważają nas za mało atrakcyjnych. Uwierzysz?

— Nie miałam pojęcia, że James uważał się za zbyt poważnego i nudnego dla mnie.

— Daj spokój — odparł z niedowierzaniem. — Musisz przyznać, że z was dwojga to ty zawsze byłaś duszą towarzystwa.

— Tak — zgodziłam się niepewnie. Tak tymczasowo, żeby zachęcić George'a do mówienia.

— A James... — roześmiał się. — No cóż, nie znalazłabyś lepszego chłopca, ale jego nigdy nie otaczał wianuszek znajomych, których potrafiłby rozbawić do łez.

— Masz rację. Ale może gdybym spuściła trochę z tonu, on nie czułby się takim nudziarzem.

— A po co? Przecież wtedy nie byłabyś sobą.

„Wiem”, myślałam gorączkowo. „Ale on właśnie tego ode mnie oczekuje”.

— Może James nie chciał mieszkać z kimś tak hałaśliwym i energicznym jak ja — zasugerowałam. — Może działałam mu na nerwy.

To było niewybaczalne. Bezczelnie ciągnęłam George'a za język, zachęcałam go, żeby sypał przyjaciela.

— Nie bądź niemądra — zaśmiał się. — Wcale nie działałaś mu na nerwy. Czasami trudno było mu wytrzymać, ale przyczyna tkwiła w nim samym. Ego i poczucie niepewności. Czasami trudno żyć z kimś, kto jest o wiele bardziej popularny i lubiany.

— Aha, rozumiem.

I wiecie co? Chyba naprawdę zrozumiałam. Przynajmniej zaczęłam rozumieć.

Czy powinnam powiedzieć o tym George'owi?

Musiałam jednak przemyśleć wszystkie te rewelacje. Ich nadmiar mógłby mnie doprowadzić do porządnego bólu głowy.

Zaczęłam powoli wycofywać się, żeby zakończyć rozmowę.

— Jak to możliwe, że nagle zostałeś takim ekspertem w dziedzinie stosunków panujących w małżeństwie? — spytałam zaczepnie. — Stałeś się wobec mnie taki wrażliwy i dżentelmeński.

— No... — Był zmieszany, lecz jednocześnie zadowolony. — Aisling kupiła mi książkę na ten temat.

— Ach, tak. — Roześmiałam się. — No cóż, dziękuję ci, George. Bardzo mi pomogłeś.

— To dobrze. Cieszę się. Wszystko się ułoży, zobaczysz. „Wcale nie”, pomyślałam.

— James czuł się zagrożony (świadome użycie przez George[^] żargonu związanego z małżeńskimi zależnościami) twoją witalnością. A powinien zrozumieć, że twoja witalność uzupełnia jego spokój i opanowanie. — George mówił tak, jakby cytował urywek z podręcznika psychologii. — Ale możecie wyjść z tego kryzysu... — Zmieszany urwał na moment. — .. i ponownie zdefiniować parametry waszego związku.

— George, jestem pod wrażeniem. — Miałam go już dosyć. Nie wiedziałam, jak długo wytrzymam tę rozmowę. — Widzę, że świat emocji nie jest ci obcy.

— Tak — odparł nieśmiało. — Badam nawet kobiecą część swojej

Wybuchłabym śmiechem, gdybym nie była taka skołowana i niespokojna.

— George, rozmowa z takim wrażliwym mężczyzną to prawdziwa przyjemność. Wykazujesz duże zrozumienie dla dynamiki naszego związku. Nie każdy mężczyzna byłby tak zorientowany.

— Dziękuję, Claire — odparł z dumą. Niemal słyszałam, jak się uśmiecha. — Chyba dużo się nauczyłem. I nie boję się płakać.

— Świetnie. — Przeraziłam się, że zechce mi to zademonstrować.

„Jak mam zakończyć tę rozmowę, nie dając mu do zrozumienia, że nie interesuje mnie jego rozwój emocjonalny?“, myślałam zdesperowana.

— A czy ty pielęgnujesz wasze dziecko i dbasz o nie? — spytałam łagodnie.

— Co takiego? — zdziwił się.

Nie rozumiał mnie. Widocznie Aisling jeszcze nie wyjawiała mu dalszego ciągu.

— Przecież wiesz, że nie mam dzieci, Claire.

— Wiem. — Nie było sensu ponaglać go, bo mogło to zniweczyć dotychczasowe wysiłki Aisling.

— George... — Przerwałam mu liryczny opis, jak to wszystko wyszło Jamesowi na dobre, bo usłuchał jego rad, a teraz ja i on będziemy bardzo szczęśliwi i... — George — powtórzyłam głośniejszym głosem. W końcu zdołałam przywołać jego uwagę.—George, chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko dobrze rozumiałam. James kocha mnie i zawsze mnie kochał. Czuł się niepewnie i bał się, że jest dla mnie zbyt nudziarski. Czy dobrze rozumiałam?

— Ale przecież ty to wiesz — odparł zdziwiony.

— Tylko sprawdzam.

George gadał dalej. Może działała tu moja wyobraźnia, ale chyba opowiadał coś o menstruacji u mężczyzn.

Ledwie go słuchałam. Miałam o wiele poważniejsze problemy, którymi się martwiłam.

A mówiąc ściślej — dlaczego James powiedział George'owi, że tak strasznie mnie kocha i boi się mnie stracić, a mnie wmawiał, jak to trudno

ze mną wytrzymać, ale że przyjmie mnie z powrotem w akcie wielkiej łaski?

Nawet ślepiec dostrzegłby rozbieżność między tymi dwiema wersjami.

A więc James okłamał George'a albo okłamał mnie. Jakiś ledwie wyczuwalny instynkt podpowiadał mi, że to ja zostałam okłamana.

Musiałam z nim porozmawiać i przekonać się.

— George. — Znowu mu przerwałam. — Muszę porozmawiać z Jamesem. Czy możesz go poprosić, żeby do mnie zadzwonił? To ważna sprawa.

— Jasne. Powinien wrócić za około pół godziny.

— Dzięki. To na razie. Rozłączyłam się.

Usiadłam, próbując doszukać się jakiegoś sensu w tym, czego przypadkowo dowiedziałam się od George'a. A więc James zawsze mnie kochał. I czuł się zagrożony moim... no... po prostu przeze mnie, z braku lepszego określenia.

Czy to dlatego potrzebował romansu z inną kobietą? I dlaczego musiał stwierdzić, że to wszystko była moja wina i że muszę się całkowicie zmienić, aby dać naszemu małżeństwu jakąkolwiek szansę na przyszłość?

Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Ale jedno wiedziałam — na pewno coś się działo.

Rozdział 33

Dla pewności zadzwoniłam do Judy.

— Claire! — zawołała uradowana. — Wróciłaś?

— Jeszcze nie — odparłam posepnie. Chciała coś powiedzieć, ale ja byłam szybsza.

— Posłuchaj, Judy — rzuciłam gwałtownie. — Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

— No to dawaj. Czy wszystko w porządku? Wydajesz się zdenerwowana.

— Bo jestem zdenerwowana i skołowana. Nie wiem, co się dzieje.

— Jak to? — spytała delikatnie.

— Wiesz, że pogodziliśmy się z Jamesem — zaczęłam.

— Tak.

— A czy wiesz, że James miał romans z mojej winy?

— O czym ty mówisz?

— Powiedział mi, że to wszystko przeze mnie. Że byłam niedojrzałą, bezmyślną i wymagającą egoistką i że przyjmie mnie z powrotem tylko wtedy, jeśli się radykalnie zmienię.

— Mówi, że to on ciebie przyjmie? — spytała z niedowierzaniem. — Claire, chwileczkę, zwolnij trochę. Coś tu nie pasuje.

No cóż, jeśli Judy zauważyła, że coś tu nie pasuje, więc nie było to wytworem mojej wyobraźni.

Nie wiedziałam tylko, czy mam się z tego cieszyć.

— Claire, zacznijmy jeszcze raz, dobrze? James powiedział, że musiał odejść do innej, bo nie mógł z tobą wytrzymać. Czy dobrze zrozumiałam?

— Tak — odparłam strapiona. Muszę przyznać, że w ustach Judy zabrzmiało to bardzo nieprzekonująco. W ustach Jamesa było to o wiele bardziej logiczne i sugestywne.

— A teraz twierdzi, że przyjmie cię, jeśli ty się zmienisz? A jak miałybyś się zmienić?

— No, wiesz. Chce, żebym była mniej imprezowa. Spokojniejsza. I bardziej rozważna.

— Rozumiem — powiedziała zaaferowana. — Chce, żebyś była taka jak on, ten kutas nudny jak flaki z olejem, co? Bo w przeciwnym razie będzie cię stale pilnował i wyciszał. Co za absurd!

Urwała. Nagle przyszło jej do głowy coś jeszcze.

— Ależ ty jesteś głupia! Chcesz mi powiedzieć, że uwierzyłaś w ten stek bzdur? Nie widzisz, że to jest najstarszy numer świata?

— Jak to? — spytałam. Ale wcale nie chciałam usłyszeć odpowiedzi.

— On ma romans. Nagle uświadamia sobie, że popełnił wielki błąd. Chce cię odzyskać, bo naprawdę cię kocha, co widać przecież gołym okiem, ale boi się, że każesz mu iść do diabła. Więc wymyśla historyjkę, że to wszystko twoja wina, abyś miała wyrzuty sumienia, a potem była mu wdzięczna, bo on nadal chce być z tobą, mimo że jesteś taka okropna. A zresztą... — Zaczerpnęła powietrza i naprawdę wpadła w złość. — Wiem na sto procent, że on kłamie.

— Tak? — Więcej nie byłam w stanie powiedzieć.

— Tak. Michael mi powiedział. Michael, chłopak Judy i przyjaciel Jamesa.

— Jakiś miesiąc temu Michael i James wybrali się do pubu na piwo, a raczej na całą beczkę piwa, nieważne. James upił się i nie przestawał gadać o tobie. Podobno szaleje na twoim punkcie. Od zawsze. I że zawsze bardziej cię kochał niż ty jego. I zawsze się bał, że cię straci. Nie mógł sobie z tym poradzić. Więc gdy doszły jeszcze dodatkowe stresy związane z dzieckiem, postanowił to skończyć i zwił do Denise, która, powiedzmy sobie szczerze, nie mogła uwierzyć, że złapała takiego faceta jak James.

— Rozumiem — odparłam gładko. — To ciekawe, bo niemal dokładnie to samo powiedział mi dzisiaj George.

— Nie mogę uwierzyć, że musiałaś to usłyszeć od George'a lub ode mnie. James szalał za tobą i bał się, że cię straci. Nie wiedziałaś o tym?

Wyraźnie ją rozczarowałam.

— Poza tym on tobą manipuluje. — Uniosła się. — Wykorzystuje sytuację, aby mieć cię pod kontrolą. Mówi ci, że to przez ciebie odszedł do innej, a jeśli nie zmienisz się według jego widzimisię, znowu cię zostawi. Typowe!

— Judy, uspokój się na chwilę. To bardzo ważne.

— No dobrze. — Zmieszła się. — Posłuchaj, gdy mówiłam, że jest kutasem nudnym jak flaki z olejem, nie miałam na myśli...

— W porządku — powiedziałam spokojnie. — To nie ma znaczenia.

— Wiesz, jak to jest—mówiła.—Wyrwało mi się, bo byłam zdenerwowana.

— Judy! Daj już temu spokój! Muszę uporządkować myśli.
— Przepraszam. I słucham cię.
— James miał romans i powiedział, że to moja wina, tak?
— Tak jest — potwierdziła.
— Powinien był mnie przeprosić, ale tego nie zrobił, tak?
— Tak.
— Przekonał wszystkich, że mnie kocha. Tylko mnie wmówił coś innego, tak?
— Tak.
— Skrzywdził mnie, poniżył, skołował, skompromitował, okłamał, stłamsił i zmusił, żebym przeprosiła go za to, że jestem sobą, tak?
— Tak.
— I nie zamierza mnie przeprosić ani pocieszyć, tak?
— Tak.
— Nie potrzebuję takiego faceta, tak?
— Tak. Ale... Claire... co ty teraz zrobisz?
— Zabiję skurczybyka.
— Spokojnie, Claire — wyjąkała.
— Bez obaw. Nie zabiję go. Ale zrobię mu duże kuku.
— Wobec tego w porządku. — Odetchnęła z ulgą. — Nie warto iść przez niego do więzienia.
— Dzięki za radę. Masz rację. To naprawdę kutas nudny jak flaki z olejem.
— Absolutnie — powiedziała ochoczo.
— To na razie. Powodzenia. Pa, pa. Co dalej?
Powinnam poczekać, aż James do mnie zadzwoni. Ale przynajmniej miałam już pełną jasność. James strasznie, naprawdę strasznie mnie rozgniewał.
Pomyślałam, że uczciwość nakazuje powiedzieć mu o tym. Osobiście.
Wkrótce potem zadzwonił James. Był zachwycony, że wcześniej do niego telefonowałam.

Z trudem zmusiłam się do normalnej rozmowy. W każdej chwili mogłam wybuchnąć.

— Jak cudownie słyszeć twój głos, Claire — powiedział.

— Co robisz dziś wieczorem? — spytałam obcesowo.

— No... nic specjalnego. — Spodobało mi się, że zaniepokoił go mój oschły ton.

— To dobrze. Bądź w domu koło ósmej. Muszę z tobą porozmawiać.

— O czym? — Zaniepokoił się.

— Zobaczysz.

— Nie, powiedz mi teraz. — Zaniepokoił się jeszcze bardziej.

— Musisz poczekać do wieczora — odparłam uprzejmie, ale bardzo stanowczo.

Milczał.

— A więc do ósmej, James — zakończyłam.

— OK — mruknął. Odłożyłam słuchawkę.

Wciąż myślałam o tym, czego się niedawno dowiedziałam.

Widzicie, ja wiedziałam, że nie jestem taka zła, jak wmawiał mi James. I wcale nie z braku wiary, że mam taki wredny charakter. Chociaż nie chciałam uwierzyć, że jestem złym człowiekiem, ale... wszystko jedno, na pewno wiecie, o co mi chodzi. Miałam poczucie, że James mnie okłamywał, a przynajmniej bardzo przesadzał, określając mnie mianem okropnej, dziecinnej, egoistycznej i nierozsądnej suki, jaką podobno byłam przez cały okres naszego małżeństwa.

Nie miałam jednak pojęcia, dlaczego tak mnie okłamał.

Odnosiłam wrażenie, że tym sposobem chciał mi odebrać poczucie własnej wartości, abym skurczyła się do rozmiarów, jakie byłyby dla niego zadowalające.

Nie odpowiadała mu moja pewność siebie. Przerażała go.

W cyniczny sposób zdecydował więc, że mnie stłamsi, abym stała się od niego zależna. Podły drań.

Wiecie, chyba mniej go nienawidziłam, gdy dowiedziałam się o jego romansie z Denise. Obecnie miałam do czynienia ze zdradą znacznie większego kalibru.

— Mamo — zawołałam, stając u szczytu schodów.
— Co? — odkrzyknęła z kuchni.
— Jesteś mi potrzebna.
— Do czego?
— Żebyś dziś wieczorem zajęła się Kate. I zawiozła mnie na lotnisko.
— Co ty mówisz?
— Lecę do Londynu. Chciałabym, żebyś zaopiekowała się Kate — powiedziałam logicznie i spokojnie.
— To już wtorek? — zdumiała się.
— Nie, mamo. Piątek. Ale mimo to lecę do Londynu.
— A we wtorek będziesz leciała drugi raz? — Wciąż była zdziwiona.
— Być może. — Nie potrafiłam jej odpowiedzieć, bo sama nie wiedziałam, jak to będzie.
— O co tu chodzi? — spytała podejrzliwie.
— Muszę załatwić parę spraw z Jamesem — odparłam.
— Myślałam, że już wszystko sobie wyjaśniliście — stwierdziła. Miała prawo tak uważać.
— Ja też tak myślałam. Ale w ciągu ostatniej godziny wypłynęły nowe, nazwijmy to, dowody. Więc muszę się z nim zobaczyć.
— Kiedy wrócisz?
— Niedługo — obiecałam. — Bardzo cię proszę, mamo. To dla mnie ważna sprawa. Potrzebuję twojej pomocy.
— No dobrze — powiedziała nieco cieplejszym tonem. — Załatw wszystko i nie śpiesz się.
— Nie będzie mnie najwyżej dzień albo dwa.
— W porządku.
— Chciałabym też pożyczyć trochę pieniędzy.
— Czy ty nie przesadzasz?
— Proszę.
— He ci trzeba?
— Niewiele. Za bilet zapłacę kartą. Ale chciałabym mieć trochę na drobne wydatki. Wiesz, na metro, kastety i tym podobne.

— Dam ci pięćdziesiąt funtów, ale muszę je mieć z powrotem w przyszłym tygodniu.

— Pięćdziesiąt w zupełności wystarczy.

Taką miałam nadzieję. Nie wiedziałam, gdzie spędzę najbliższą noc, lecz coś mi mówiło, że nie będzie to w małżeńskim łóżu z Jamesem.

Nie szkodzi. Miałam paru byłych chłopaków, którzy nie przestali się we mnie podkochiwać. Więc przynajmniej mogłam liczyć na nocleg.

Oraz na sztywny penis w plecach.

Włożyłam zabójcze ciuchy.

Sądziłam, że tak będzie stosownie.

Nie mam na myśli panterki, hełmu z siatką i wetkniętymi weń liśćmi oraz dwóch pasów amunicji przerzuconych przez pierś. Nie. Włożyłam seksowną, krótką, czarną spódniczkę, czarny żakiet, przejrzyste pończochy i bardzo wysokie szpilki. Włożyłabym jeszcze płaski czarny kapelusik z woalką, gdybym taki posiadała. Ale — na szczęście — nie miałam go.

Chciałam wyglądać jak wściekła morderczyni rodem z piekła. Z perspektywy czasu wydaje mi się jednak, że włożenie kapelusika byłoby zbyt makabryczne.

Przypominałabym jedną z tych eleganckich wdów, które pięknie wyglądają przy grobie małżonka, ale są znienawidzone przez całe miasto, podejrzewające je o zabicie męża i zagarnięcie jego majątku, który on zamierzał przeznaczyć na budowę nowego szpitala.

Mój szokujący wygląd przestraszył mamę, gdy szłam po schodkach na dół, lecz kiedy ujrzała malującą się na mojej twarzy determinację i złość, postanowiła pozostawić to bez komentarza.

— Gotowa? — spytałam.

— Tak. Muszę tylko znaleźć kluczyki do samochodu. Westchnęłam. To mogło potrwać kilka dni.

Podczas gdy mama biegała z pokoju do pokoju, wysypując zawartość torebek na kuchenny stół, obmacując kieszenie płaszczy i mrużąc przy tym coś pod nosem jak biały królik (nie myślę się, to był biały królik,

prawda?) z *Alicji w krainie czarów*, nagle otworzyły się drzwi, po czym do wnętrza wtargnęła Helen z właściwą sobie pompą i ceremonią.

— Wiesz, co się stało?! — ryknęła od progu.

— Co? — spytałam niegrzecznie. Nic mnie to nie obchodziło.

— Adam ma dziewczynę!

Krew odpłynęła mi z twarzy, serce we mnie zamarło. O czym ona gada? Czyżby ktoś dowiedział się o Adamie i o mnie?

— To jeszcze nie wszystko! — mówiła dalej Helen rozkosznym głosem. — Ma małe dziecko!

Patrzyłam na nią. Może to jakiś żart?

— Jakie znowu dziecko? — wydusiłam z siebie.

— Małe dziecko. Niemowlaczka. Dziewczyneczkę — rzuciła z pogardą. — A myślałaś, że co? Małą żyrafę? Jezu, czasami naprawdę zaczynam się o ciebie martwić.

Zaszumiało mi w głowie. Co to miało oznaczać? Kiedy to się stało? Dlaczego Adam nic mi nie powiedział?

— Ale to dziecko dopiero co się urodziło czy jak? — spytałam. Nawet nie starałam się ukryć żalu, lecz Helen, jak zwykle bardzo wrażliwa, niczego nie zauważyła.

— Chyba nie — odparła. — Wcale nie jest podobna do Kate. Ma włosy i nie wygląda jak starzec.

— Kate wcale nie wygląda jak starzec! — rozzłościłam się.

— A właśnie, że tak. — Zaśmiała się. — Jest łysa, gruba i nie ma zębów.

— Zamknij się! — rzuciłam ze złością. — Usłyszysz cię. Dzieci rozumieją takie rzeczy, wiesz? A ona jest piękna.

— Spokojnie — rzekła łagodnie. — Co się tak wściekasz? Milczałam.

Zamurowało mnie.

— Ależ to było komiczne — mówiła dalej. — Adam przyprowadził tę dziewczynę i dziecko do szkoły, a zaraz połowa dziewczyn chciała popełnić samobójstwo. Może sobie darować egzaminy u profesor Staunton, bo i tak nie zda. Ale na niego spojrziała! Nienawidzi go z całej duszy!

— Nigdy przedtem nie widziałyście tej dziewczyny? — spytałam. Usiłowałam cokolwiek z tego zrozumieć. Czy chodził z nią i jednocześnie kręcił ze mną? Wyraźnie tak było. Małego dziecka z czuprynką nie kupuje się w supermarkecie. To wymaga czasu.

— Nigdy. Podobno dawno temu strasznie się pokłócili, a on długo nie widział dziewczyny i dziecka. Ale teraz wrócili do siebie.

Helen zaczęła śpiewać na całe gardło. Jakąś okropną piosenkę o cudownych, szczęśliwych powrotach. Tanecznym krokiem weszła po schodach na górę.

„Zaczekaj!”, chciałam zawołać. „Jeszcze nie skończyłam. Mam do ciebie jeszcze mnóstwo pytań”.

Lecz ona poszła do łazienki, trzaskając drzwiami. Wciąż słyszałam jej śpiew, tyle że bardziej przytłumiony.

Stałam w holu kompletnie zdruzgotana.

I ogłupiała.

To prawda, co mówią: głupota nie boli.

„Teraz nie mogę o tym myśleć”, powiedziałam sobie. „Wrócę do tego kiedy indziej, gdy wszystko się zmieni. Gdy będę szczęśliwa i wolna. Ale nie teraz”.

Zmusiłam się do porzucenia tych myśli. Weszłam do komórki w moim mózgu, gdzie mieszkały myśli o Adamie, i wyłączyłam elektryczność, zabiłam deskami drzwi i okna, aby nic się nie wydostało.

Piękny widok to to nie był. Na pewno wpłyną skargi od sąsiednich myśli. Ale nie miałam wyboru. Musiałam załatwić sprawy dotyczące swojego małżeństwa, więc należało odsunąć wszystko, co niepotrzebnie zajmowało moją uwagę.

Mama w końcu odnalazła kluczyki do samochodu. We trójkę z Kate wsiadłyśmy i pojechałyśmy na lotnisko. W milczeniu.

Widziałam, jak mamę zżerała ciekawość, jak bardzo chciała zapytać, co się stało, jednak — za co byłam jej wdzięczna — nie odezwała się.

To prawdziwy cud, ale naprawdę przestałam myśleć o Adamie. Byłam tak wściekła na Jamesa, że w moim umyśle nie pozostało już miejsca na nic więcej. Obszar złości był wypełniony do granic wytrzymałości ty-

siącami myśli o Jamesie. Nie było nawet stojącego miejsca na myśli o Adamie, które z nadzieją dobijały się do drzwi.

Może niebyło to do końca uczciwe, ale... kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.

Rozstanie z Kate było straszne, lecz musiałam ją zostawić. Dzieci nie powinny patrzeć, jak mamusia zabija ojca, bo zostanie im uraz do końca życia.

Ucałowałam Kate w hali odlotów.

— Do zobaczenia, kochanie — powiedziałam.

Uściskałam mamę.

— Czy mogę cię o coś spytać? — odezwała się z niepokojem, szukając na mojej twarzy oznak zbliżającego się wybuchu złości.

— Proszę — odparłam uprzejmie.

— Czy James wrócił do tej Denise?

— Nic mi o tym nie wiadomo. — Uśmiechnęłam się gorzko.

— Bogu dzięki. — Odetchnęła z ulgą.

Kochana, biedna mama. Gdyby tylko wiedziała. Denise to najmniejszy problem. Ale był inny, większego kalibru niż Denise. Ha, to też o czymś świadczy.

Tak szczerze, czy nie sądzicie, że na tym etapie mogłabym już pozwolić skłaniać się ku przebaczeniu? Czy nie nadszedł czas, abym przestała tak okropnie się o niej wyrażać?

To było takie proste.

Odwróciłam się na szpilkach i zdecydowanie ruszyłam przez halę. Niełatwo było iść pewnym krokiem, gdy co chwilę zderzałam się z niefrasobliwymi ludźmi, którzy stojąc w otoczeniu walizek i toreb, rozmawiali, opierali łokcie o poręcze wózków, jakby wcale im się nie śpieszyło, jakby to nie było lotnisko, gdzie każdy chce zdążyć na samolot.

Próbowałam energicznie zarezerwować miejsce do Londynu.

Lecz okazało się to niemożliwe.

Miła i bardzo opanowana przedstawicielka linii Aer Lingus pozwoliła mi zarezerwować miejsce jedynie w sposób bardzo spokojny i bezstresowy.

Między rozmową o rosyjskim prezydencie (czyż alkohol to nie prawdziwa plaga?) a rozmową o pogodzie (miejmy nadzieję, że sucha aura się utrzyma) udało mi się dostać na listę oczekujących na najbliższy samolot do Londynu.

Żadnych problemów. Co w moim mniemaniu było ogromnym marnotrawstwem mojego wojowniczego nastroju. Nieczęsto byłam gotowa stanąć w obronie swoich racji, domagać się należnych praw, wywoływać kłótnię i tak dalej, a przecież dzisiaj była ku temu idealna sposobność.

Tylko czekałam na jakąś okazję, by wszcząć awanturę.

Jednak wszyscy byli uprzejmi, życzliwi i całą sprawę udało mi się załatwić bez najmniejszego zgrzytu.

Cholera.

Było dziesięć po piątej.

Lot przebiegł bez godnych odnotowania wydarzeń.

Byłoby fajnie, gdyby ten waśniak o wyglądzie biznesmena, który siedział obok, usiłował do mnie zagadać albo jeszcze lepiej — podrywać mnie, bo wtedy mogłabym dać upust swojemu wzburzeniu.

Wiem, że to dziecinne, ale pragnęłam zmyć komuś głowę. Pomyślałam, by poćwiczyć trochę głos typu Joan Collins. Taki wyniosły, napawający lekkiem, brzmiący niczym kawałki lodu wpadające do szklanki. Powiedzieć coś w rodzaju: „Nie próbowałabym nawiązać ze mną rozmowy. Jestem wściekła i nie mam pewności, jak długo potrafię być uprzejma”.

Jednak facet tylko mruknął niewyraźnie „przepraszam”, gdy szukając po omacku swojego pasa bezpieczeństwa, dotknął mojego biodra, a poza tym kompletnie mnie ignorował. Po prostu otworzył swój imponujący, skórzany neseser i już po chwili zanurzył nos w powieści Catherine Coakson. Na pewno ją znacie. To książka o pewnej nieślubnej córce, dziewczynce z ciemnym znamieniem, na którą ma ochotę jej kuzyn, którą macocha bije szpicrutą, która w wieku trzynastu lat zostaje zgwałcona przez lorda z wielkiego pałacu, uciekając przed nim, wpada w sidła na króliki i musi się poddać amputacji stopy, a powstała rana zostaje kauteryzowana rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem, przy wtórze krzyków dziewczynki odbijających się głośnie echem pośród hałd żużlu.

Czy one wszystkie są takie?

W każdym razie facet bardziej interesował się Catherine Cookson niż mną, co trochę mnie zdenerwowało. Strasznie pragnęłam wylądować się na kimś. Przymierzyć się do prawdziwej masakry, która nastąpi później. Ale nic z tego.

Potem zawstydziałam się i spróbowałam nawiązać z nim rozmowę — uśmiechając się, gdy podał mi tackę z jedzeniem; proponując, że pomogę otworzyć mu pojemniczek z mlekiem, gdy miał z tym problemy; częstując go miętówką (bo swożajadł), by zawiózł ją dla swojej córeczki i tak dalej.

Okazał się bardzo miły. Porozmawialiśmy o książce, którą czytał. Poleciałam mu kilku innych autorów. A zanim wylądowaliśmy na Heathrow, byliśmy już po imieniu. Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni, wyraziliśmy radość z nawiązania tak miłej znajomości, po czym życzyliśmy sobie nawzajem powodzenia w dalszej drodze.

Znowu zostałam sama. Jedynie z moimi myślami, obawami i gniewem.

Jeśli nie brać pod uwagę dziewięćdziesięciu miliardów ludzi na Heathrow, byłam zupełnie sama w Londynie.

Gdyby to był film, a nie książka, ujrzelibyście przebitki z czerwonymi autobusami i czarnymi taksówkami, które mijają gmach Parlamentu i Big Bena, policjantów w zabawnych kaskach, którzy kierują ruchem przed pałacem Buckingham, i uśmiechnięte dziewczęta w bardzo krótkich spódniczkach, stojące pod znakiem „Witajcie na Carnaby Street”.

Lecz ponieważ to jest tylko książka, musicie skorzystać z wyobraźni.

Na lotnisku Heathrow... na lotnisku Heathrow... panował ogromny ruch. To jeden z możliwych sposobów opisanie tego miejsca.

Totalny obłęd.

Nie mogłam uwierzyć, że przebywało tam tylu ludzi. Zupełnie jakbym zobaczyła przeniesioną do rzeczywistości scenę Sądu Ostatecznego z jakiegoś renesansowego obrazu.

Albo ceremonię otwarcia igrzysk olimpijskich.

Ludzie wszelkich nacji, w przeróżnych egzotycznych strojach mijali mnie w dzikim tempie, mówiąc wszystkimi znanymi pod słońcem językami.

Dlaczego oni wszyscy tak się śpieszą?

Wokół panował ogłuszający hałas. Ogłoszenia przez megafony. Zaginieni chłopcy. Zaginieni mężczyźni. Zaginione wartościowe bagaże. Utracona cierpliwość. Stracone panowanie nad sobą. Stracone rozumy. Cokolwiek wymienicie, prawdopodobnie zostało to stracone lub zaginęło.

Już zapomniałam, że taki właśnie jest Londyn. Był czas, gdy poruszałam się w takich warunkach z najwyższą łatwością. Lecz obecnie przywykłam do tempa, jakie obowiązuje w Dublinie, więc w ogóle zwolniłam i ostygłam. Stałam przerażona w hali przylotów jak wieśniaczka, oszołomiona tym mrowiem ludzi. Co chwilę przeproszałam tych, którzy wpadali na mnie, utyskując głośno.

Wzięłam się w garść. Przecież to tylko Londyn.

A mogłam znaleźć się w jakimś naprawdę okropnym miejscu.

Na przykład w Limerick. Przepraszam, to tylko żart.

Gdziekolwiek spojrzałam, wszędzie, absolutnie wszędzie stały małe grupki biznesmenów — w obrzydliwych garniturach czekali na swoje bagaże lub na samolot. Na ziemi stały ich teczki, zapewne pełne pornograficznych magazynów.

Wszyscy pili piwo, ściskali sobie dłonie, udawali miłych i dobroduszych facetów, prześcigali się, który najgłośniej ryknie śmiechem, który najbardziej lekceważąco wyrazi się o swojej żonie, który zrobi najbardziej wulgarną uwagę o jednej z kobiet obecnych na konferencji, z której właśnie wracali lub na którą się udawali. Z różnych stron dolatywały mnie wypowiedzi w rodzaju: „Ja nie wyrzuciłbym jej z łóżka za pierdzenie” albo „Nie, ona ma za małe cycki” i „Wszyscy ją mieli, nawet chłopaki z działu korespondencji”.

Ciekawe, jakie słowo opisuje grupę biznesmenów? Musi być taki wyraz.

Konferencja biznesmenów ? Teczka biznesmenów ? Spotkanie biznesmenów? Poliester biznesmenów? Wąskie prążki biznesmenów?

Nic z tego. Żadne z powyższych określeń nie oddaje chamstwa tych małych grup. Może niewierność biznesmenów? Nielojalność biznesmenów? Nieszczerość biznesmenów?

Zauważyłam, jak jeden z nich gapi się na mnie. Szybko odwróciłam wzrok. On powiedział coś do czterech czy pięciu innych, którzy stali obok niego. Usłyszałam głośny wybuch śmiechu, po czym wszyscy zaczęli wyciągać szyje i wychylać się, by lepiej mi się przyjrzeć.

Dranie! Miałam ochotę ich pozabijać!

A wszyscy byli tacy nieciekawi, szara masa. Jak śmieli zachowywać się wobec mnie tak arogancko? A w zasadzie wobec każdej kobiety. Powinni być wdzięczni, gdyby jakaś kobieta miała ochotę dotknąć ich końcem kija. „Pieprzyć ich!”, pomyślałam gniewnie.

Czas jechać.

Nie miałam bagażu. Nie planowałam zostać tak długo, by cze­gokolwiek potrzebować. Dzięki temu ominęło mnie piekło wyławiania walizek z taśmy bagażowej.

Odetchnęłam, rozprostowałam ramiona, zacisnęłam zęby i ruszyłam przez halę w kierunku stacji metra, zdecydowanie przeciskając się przez tłum ludzi, niczym badacz Amazonii, który musi torować sobie drogę w gęstym buszu.

W końcu dotarłam na stację. Japonia z pewnością dbała o zachowanie narodowego wizerunku. Musiałam odczekać w przybliżeniu siedem lat, zanim synowie Kraju Kwitnącej Wiśni zorientowali się, jak działają automaty biletowe — a ja myślałam, że oni wszyscy to geniusze w sprawach techniki. Kupiłam sobie bilet i wsiadłam do kolejki jadącej w kierunku centrum miasta. Miałam za mało pieniędzy, by wziąć taksówkę. Pociąg był napakowany przedstawicielami wszystkich narodowości kuli ziemskiej.

Nie mam potrzeby brać udziału w posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych. Już kiedyś tam byłam.

Podróż zatłoczonym metrem była tak niewygodna i nieprzyjemna, że w pewnym sensie mogłam ją potraktować jako Bożą łaskę. Nawet gdybym nie była w nastroju do zabijania na początku podróży, to istniała du-

za szansa, że po opuszczeniu pociągu całkowicie owdładnie mną żądza krwi.

Jakiś pasażer był tak miły, że pozwolił mi zapomnieć o nadchodzącym starciu z Jamesem, a uczynił to, przyciskając do mnie swoją erekcję za każdym razem, gdy pociąg wchodził w zakręt.

Jakieś dziesięć minut przed ósmą dojechałam do swojej stacji.

Rozdział 34

Gdy wyszłam z metra na moją ulicę, poczułam nagły skurcz w żołądku. Wszystko było tak znajome — sklep z gazetami, pralnia samoobsługowa, monopolowy, hinduska restauracyjka serwująca dania na wynos.

Z jednej strony wydawało mi się, że byłam tu nieobecna całe lata świetlne, z drugiej — że wcale nie wyjeżdżałam. Ruszyłam w kierunku swojego domu. Serce biło mi mocno, kolana dziwnie drżały.

Byłam zdumiona. Odrobinę zszokowana.

Nie spodziewałam się, że tak zareaguję na powrót do starych kątów. Gdy minęłam róg ulicy i zobaczyłam swoje mieszkanie, to, które dzieliłam z Jamesem, na moim czole wystąpiły kropelki potu. Szłam powoli, niechętnie.

Teraz, gdy byłam już na miejscu, nie bardzo wiedziałam, co mam zrobić.

Wcale nie chciałam tam być.

„Czy naprawdę muszę odbyć tę konfrontację?“, pytałam sama siebie gorączkowo. „Może się mylę. Może James naprawdę kocha mnie taką, jaka jestem. Może powinnam odwrócić się na pięcie, wrócić do domu i udawać, że wszystko jest w porządku“.

Stałam przed wejściem do bloku i oparłam rozpaloną twarz o chłodną szybę.

Już nie byłam taka rozdrażniona. Wcale nie byłam zła. Czułam tylko lęk i smutek.

Zza rogu wyjechała taksówka. Była wolna. Pomyślałam z nadzieją, że po prostu mogę ją zatrzymać i odjechać stąd. Nie muszę nic robić.

Niech wszystko zostanie po staremu.

A propos starego. Muszę pamiętać, żeby zabrać z mieszkania kilka starych biustonoszy. Teraz, gdy moje cycki wróciły — niestety — do normalnej wielkości, wszystkie staniki, jakie miałam w Irlandii, były o wiele za duże.

Ten chwilowy zanik koncentracji spowodował, że nie zdążyłam zatrzymać taksówki.

Wyszło na to, że chyba jednak nie odjadę. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Spotkam się z Jamesem i wreszcie poznam całą prawdę.

Przypomnijcie mi, w jakim celu tu jestem... A tak, już pamiętam. James okłamał mnie. Okłamał w sprawie swoich uczuć do mnie, w sprawie podstaw naszego małżeństwa.

Znowu wzbierała we mnie złość. To dobrze. Gdy czułam gniew, przestawałam się bać.

Nerwowo zaczerpnęłam powietrza.

Czy powinnam zadzwonić do mieszkania i delikatnie ostrzec Jamesa o swoim przybyciu? A może wejść prosto do środka, jakby to była moja własność? Gdy wszyscy wiedzą, że do mnie należy tylko połowa mieszkania. „Nie, to mój dom. Sama sobie otworzę drzwi”, pomyślałam.

Drżącą ręką szukałam w torebce kluczy. Minęły całe wieki, zanim jednym z nich trafiłam do zamka.

Znajomy, przywołujący wspomnienia zapach holu był jak uderzenie obuchem w głowę. Poczułam się jak w domu. Starłam się zignorować wzruszenie — to nie był odpowiedni moment na sentymenty.

Wjechałam windą na drugie piętro. Ociągając się, poszłam korytarzem do drzwi mieszkania. Gdy usłyszałam dźwięki włączonego telewi-

zora, poczułam jeszcze mocniejszy skurcz w sercu. A więc James był w domu. Nie mogłam się już wycofać.

Weszłam do środka i nonszalancko wkroczyłam do pokoju.

Na mój widok James doznał takiego szoku, że niemal wyzionął ducha.

W pewien perwersyjny sposób byłabym zadowolona, gdybym przyłapała go na jakimś świństwie. Na przykład w czasie sadomasochistycznego seansu z czternastoletnią dziewczyną. Albo jeszcze lepiej, z czternastoletnim chłopcem. Albo jeszcze o wiele lepiej, z czternastoletnią owcą. Lub też oglądającego teleturniej *Liczy się każda sekunda* (to byłoby już obrzydliwe i absolutnie niewybaczalne).

Chodziło mi o to, że nie musiałabym wtedy stawać do konfrontacji. Po prostu odeszłabym ze świadomością, że on jest wstrętnym, okropnym człowiekiem. Bez cienia wątpliwości. Wszystko byłoby jasne jak słońce. Żadnych możliwości powrotu.

Ale ten przekorny drań wyglądał tak niewinnie, jakby ćwiczył to cały dzień. W telewizji leciała telenowela *Coronation Street*, James zaś spokojnie czytał sobie gazetę. Nawet stojący przed nim kubek zawierał coca-cole, a nie alkohol. Czysty jak łąka.

— Claire... co... co ty tu robisz? — Gwałtownie wstał z kanapy. Wyglądał tak, jakby zobaczył ducha.

Z pewnością był to dla niego ogromny wstrząs. Myślał, że jestem w innym mieście, setki kilometrów od Londynu.

Jednak w normalnych okolicznościach powinien okazać odrobinę zadowolenia na mój widok. Powinien być przyjemnie zaskoczony, a nie przerażony.

Gdyby naprawdę mnie kochał, miał czyste sumienie i żadnych powodów do obaw czy wstydu, czyż nie byłby wniebowzięty z powodu mojego pojawienia się?

Wydawał się zdenerwowany. Wicie, taki niespokojny. Zastanawiał się, po co przyjechałam. Wiedział, że coś tu nie gra.

I wtedy nagle zrozumiałam, że te wszystkie wątpliwości nie były jedynie wytworem mojej chorej wyobraźni. Tu naprawdę coś było nie tak, jak powinno. Wystarczyło spojrzeć na twarz Jamesa.

Powiedziałam sobie, że nie mogę być smutna. Potem niech pęknie mi serce, ale teraz muszę być silna.

— Cu... cudownie cię widzieć — powiedział wstrząśnięty. Był bliski hysterii.

Spojrzałam na jego pobladłą, pełną niepokoju twarz i nagle odczułam taką wściekłość, że miałam ochotę go ugryźć.

Ale chciałam być wściekła. Chciałam, by wściekłość płynęła w moich żyłach.

„Gniew jest dobry”, myślałam. „Gniew przynosi ulgę w cierpieniu. Gniew daje mi siłę”.

Rozejrzałam się po pokoju. Mimo ogarniającego mnie drżenia, posłałam mu przyjemny uśmiech.

— Ładnie tu — powiedziałam słodko. O dziwo, głos mi nie drżał. — Widzę, że przyniosłeś z powrotem swoje książki, płyty i inne rzeczy. I...

Odepchnęłam go lekko i weszłam do sypialni. Otworzyłam szafę.

— Widzę, że przyniosłeś z powrotem także wszystkie swoje ubrania. Bardzo miło.

— Claire, co ty tutaj robisz? — wykrztusił.

— Nie cieszysz się na mój widok? — spytałam bałamutnie ; i z wymuszonym uśmiechem.

— Ależ tak! — wykrzyknął. — Oczywiście, tylko że... nie, oczekiwałem ciebie... wiesz... myślałem, że zadzwonisz.

— Doskonale wiem, co myślałeś. — Spojrzałam na niego ciężkim wzrokiem.

Muszę przyznać, że zaczynało mi się to podobać. Mimo że piekło było nieuniknione. Nastąpiło krótkie milczenie.

— Czy coś się stało, Claire? — spytał ostrożnie.

Był przerażony. Od momentu, gdy weszłam do mieszkania, wiedział, że nie przybyłam z misją miłości. Zachowywał się tak, jakby miał coś ciężkiego na sumieniu.

A może rozmawiał już z George'em i zdawał sobie sprawę, że wiem o jego dwulicowości?

Ale przynajmniej chciał porozmawiać.

To dało mi do myślenia.

Może wszystko będzie dobrze.

A może byłam aż tak beznadziejnie żałosna?

— Claire — powtórzył niecierpliwie. — Czy coś się stało?

— Tak — odparłam słodko. — Stało się.

— Co? — patrzył na mnie z niepokojem.

— Odbyłam dziś bardzo ciekawą rozmowę z George'em — rzekłam swobodnie.

— Tak? — Udawał, że nie zrobiło to na nim wrażenia. Jednak przez jego twarz przebiegł jakiś skurcz, może strachu albo złości?

— Tak. — Oglądałam sobie paznokcie. — Tak właśnie było. James patrzył na mnie w milczeniu, jak mysz na kota.

— No właśnie — mówiłam dalej swobodnym tonem. — I przekazał mi zupełnie inną wersję wydarzeń dotyczącą ciebie i mnie.

— Aha. — Przełknął z wysiłkiem.

— Podobno zawsze mnie kochałeś. A twój jedyny problem ze mną polegał na strachu, że cię zostawię.

Milczał posepnie.

— Czy to prawda, James? — spytałam ostro.

— Nie powinnaś zwracać żadnej uwagi na George'a. — Odzyskał nieco pewności siebie.

— Wiem o tym, James. Dlatego zadzwoniłam do Judy. I wiesz co? Ona powiedziała mi dokładnie to samo.

Znowu cisza.

— James — westchnęłam. — Czas, żebyś zaczął mi mówić, o co tu chodzi.

— Już ci powiedziałem.

— Wcale nie! — rzuciłam głośno. — Miałeś romans z inną kobietą, zostawiłeś mnie w dniu, gdy urodziłam nasze dziecko, a potem zapragnąłeś, żebym wróciła. Ale zamiast mi to powiedzieć, musiałeś wysmażyć

cały stek kłamstw, poniżyć mnie, nazwać mnie zdziecinniałą, głupią i bezmyślną egoistką. — Tu podniosłam głos o kilka decybeli. — I zamiast mnie przeprosić za to podle potraktowanie, wymyśliłeś, że to wszystko moja wina. — Mówiłam coraz głośniejsze. — I zdecydowałeś, że zastraszysz mnie, abym stała się kimś innym, słabą, bezwonną kobietą, która nie będzie z tobą polemizować. I nie przyćmi twego blasku. Ani nie odbierze ci poczucia bezpieczeństwa!

— Wcale tak nie było — zaprotestował słabo.

— Właśnie, że tak było! — krzyknęłam. — Nie mogę uwierzyć, że byłam aż tak głupia, by uwierzyć w twoją beznadziejną opowiadankę!

— Claire, musisz mnie wysłuchać — powiedział ze złością.

— Wcale nie muszę. Niby dlaczego miałabym cię słuchać? Spróbujesz wcisnąć mi kolejne kłamstwa?

Nie odpowiedział.

— No?! — krzyknęłam.

Siedziałam, patrząc na niego. Pragnęłam, by przemówił, by wszystko naprawił.

„Przekonaj mnie”, myślałam błagalnie. „Chcę się mylić. Powiedz mi, że się mylę. Wyjaśnij mi to. Nawet zgodzę się na przeprosiny. Przeprosiny mi wystarczą”.

Powoli usiadł na kanapie, kryjąc twarz w dłoniach. Spodziewałam się z jego strony jakiejś reakcji, ale zaskoczona stwierdziłam, że on płacze.

Jezu! Co miałam mu powiedzieć?

Nie cierpię widoku płaczących mężczyzn. Chociaż... to wcale nieprawda.

Nie ma radośniejszego obrazka niż dorosły mężczyzna, który płacze. Zwłaszcza jeśli robi to przede mną.

Co za poczucie władzy. Zupełnie nieporównywalne.

Jeśli płakał, to na pewno było mu bardzo przykro, że zachowywał się wobec mnie tak okropnie — ale za to teraz wszystko będzie dobrze.

Przeprosi mnie.

Przyzna się, że nie miał racji..

Serce zaczynało mi mięknąć.

Lecz wtedy podniósł na mnie wzrok, a ja widząc jego twarz, doznałam kolejnego szoku. Był wściekły!

— To właśnie cała ty! — krzyknął.

— Co takiego? — spytałam słabo.

— Cholerna egoistka! — ryknął. Magicznym sposobem wszystkie ślady po płaczącym mężczyźnie nagle znikły.

— Jak to?

— Wszystko było dobrze! Wszystko już ustaliliśmy, mieliśmy zacząć od nowa, a ty miałaś wydorośleć, stać się trochę bardziej rozważna. Ale nie mogłaś tego tak zostawić, co?

— A co miałam zrobić? — rzekłam spokojnie. — George mówi mi jedno, a ty zupełnie co innego. Opowieść George'a jest o wiele bardziej wiarygodna. Zwłaszcza że potwierdziła ją Judy.

Bardzo, ale to bardzo się starałam zachować rozsądek. Widziałam, że James był ogromnie rozdrażniony, co napawało mnie pewnym lękiem, lecz postanowiłam wytrwać przy swoim zdaniu. „Boże, daj mi siły, abym mogła stawić mu czoło”, modliłam się w duchu. „Nie dopuść, abym znowu przyjęła na siebie winę za wszystko, co się stało. Przynajmniej raz nie chcę okazać się tchórzem”.

— Oczywiście, ty im wierzysz — powiedział wrogo. — Łatwo ci uwierzyć w miłe rzeczy na swój temat. Po prostu nie mogłaś przyjąć prawdy z moich ust, co?

— James. — Starałam się opanować. — Chcę dotrzeć do sedna sprawy. Chcę wiedzieć, dlaczego powiedziałaś George'owi, że bardzo mnie kochasz i że boisz się mnie stracić, mnie zaś utwierdzałaś w przekonaniu, że ledwie możesz ze mną wytrzymać. To nie ma sensu.

— Powiedziałem ci prawdę — odparł obrażony.

— Więc co powiedziałaś George'owi?

— On źle to zrozumiał.

— Więc Judy też źle to rozumiała? — spytałam zimno.

— Pewnie tak — powiedział bez zastanowienia.

— Aisling, Brian i Matthew również źle to zrozumieli?

— Na to wychodzi.

— Posłuchaj mnie, James — rzekłam poważnie. — Bądź rozsądny. Przecież oni wszyscy nie mogą się mylić, prawda?

— Mogą — rzucił gwałtownie. — I mylą się.

— James, przecież jesteś logicznie myślącym facetem. — Zaczynało mnie ogarniać uczucie desperacji. — Nie widzisz, że ktoś tu kłamie? Nie pomyślałeś, że prędzej czy później te różne opowiadki do mnie trafią? Nie wiesz, że rozmawiam z przyjaciółmi na wszystkie tematy?

Nie odezwał się. Siedział na kanapie i z rękami skrzyżowanymi na piersiach spoglądał na mnie wyzywająco.

Jeżu! To było równie okropne jak wyrywanie zębów.

Dobrze! Postanowiłam spróbować jeszcze raz. Bez względu na wszystko opanuję się. Nie będę próbowała go zamordować ani zranić tak mocno, jak zamierzałam. Jeszcze raz schowam do kieszeni swoją dumę. Dam mu jasno do zrozumienia, że jestem gotowa wybaczyć mu ten romans. Uwierzcie, to nie było łatwe.

Zwłaszcza gdy jednocześnie starałam się bronić swoich racji i nie pozwolić mu, by znowu mnie stłamsił.

Musiałam pamiętać, że istnieje bardzo cienka granica między okazaniem zrozumienia a żalonym podporządkowaniem się, między obroną swoich racji a wściekłym wymachiwaniem siekierą.

— James. — Jakimś cudem nadal mówiłam spokojnie. — Musimy to wyjaśnić. Jeśli zadam ci kilka pytań, czy możesz mi odpowiedzieć po prostu „tak” albo „nie”?

— Jakich pytań? — spytał podejrzliwie.

— Na przykład, czy okłamałeś mnie, gdy twierdziłeś, że to z mojej winy odszedłeś do innej?

— Chcesz przez to powiedzieć, że będziesz tu siedzieć i przesłuchiwać mnie? — oburzył się. — Wolne żarty! Za kogo ty się uważasz? Chcesz ze mnie zrobić jakiegoś kryminalistę!

Byłam bliska płaczu.

— James, wcale tego nie chcę! Naprawdę. Chcę tylko, żebyś ze mną porozmawiał, powiedział mi, co czujesz, co się dzieje. Chcę, żebyś był wobec mnie szczery. W przeciwnym razie nie ma dla nas przyszłości.

— Rozumiem — odezwał się szorstko. — Chcesz, żebym powiedział coś w rodzaju: „Jesteś cudowną osobą, Claire. Nie wiem, dlaczego wdałem się w ten romans, bo przecież ty jesteś taka wspaniała”. To chcesz usłyszeć?

„Tak”, pomyślałam.

— Nie — powiedziałam słabo. — Ja tylko...

— Chcesz, żebym wziął całą winę na siebie, co? — Podniósł głos. — Żebym okazał się złoczyńcą, któremu ty i twoi znajomi chętnie przypiszą każde draństwo, co? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? Tego chcesz?! — krzyknął, zbliżając do mnie twarz.

— Ale ty jesteś złoczyńcą—powiedziałam zdumiona. — To ty miałeś romans, a nie ja.

— Jezu! — Tym razem ryknął już na całe gardło. — Nie odczepisz się od tego tematu? Nie przestaniesz mnie obwiniać? Więc mówię ci, że nie czuję się winny, jasne? Zawsze byłem dla ciebie bardzo dobry. Wszyscy o tym wiedzą. Nie ja tu jestem zły. Ty jesteś zła!

Zapadła cisza. Taka, że aż dzwoniło mi w uszach. Siedziałam nieruchomo. Byłam zdruzgotana. James ze złością wypuścił powietrze i zaczął chodzić po pokoju. Nie patrzył na mnie.

Zdałam sobie sprawę, że cała się trzęsę.

„Czy jestem złym człowiekiem?”, pomyślałam.

Jakiś wewnętrzny głos mówił mi, żebym nie była śmieszna. To już za daleko zaszło. Musiałam trzymać się tego, co niewątpliwie było prawdą. To James miał romans, a nie ja. Nie zmuszałam go do tego. Sam dokonał wyboru. Powiedział mi, że nie dało się ze mną wytrzymać, ale wszystkim innym opowiadał, jak bardzo mnie kocha.

James chciał, abym wzięła na siebie winę za jego romans.

Gdy tak siedziałam cała drżąca, nie mogąc zebrać myśli, doznałam olśnienia. Zrozumiałam coś, czego do tej pory w ogóle nie zauważyłam. James nie chce się przyznać i nigdy się nie przyzna, że nie ma racji. Nie

przyjmie na siebie winy za swój romans. Oczywiście nie zaprzeczał, że miał ten romans — zapewne trudno mu było zapomnieć Denise — lecz nie zgadzał się na przyjęcie za to jakiegokolwiek odpowiedzialności.

W powietrzu wisiało napięcie.

Z reakcji Jamesa wywnioskowałam, że przenigdy, nawet za milion lat, nie przyzna się, że mnie okłamał, a George'owi powiedział prawdę.

Ja jednak wierzyłam George'owi. Miałam pewność, że tego nie zmyślił — poza wszystkim innym był na to za głupi. Miałam również pewność, że James ani przez chwilę nie przypuszczał, że opowiadka przekazana George'owi dotrze do moich uszu. Czuł się całkowicie bezpiecznie, mówiąc George'owi, jak bardzo mnie kocha, mnie zaś — jak trudno wytrzymać z tak nieznośną i egoistyczną osobą jak ja. Wiedziałam, że James boi się wszelkiej niepewności. Nie lubi, gdy nawet w pracy nie ma pełnej kontroli. Przy mnie także chciał czuć się panem sytuacji.

Nadal pragnęłam dotrzeć do sedna sprzeczności między wersjami dla George'a i dla Claire, jednak tym razem trochę inaczej. Z jednej strony miałam ochotę powiedzieć mu, żeby się odpieprzył, że jest nieodpowiedzialnym, niedojrzałym kaleką emocjonalnym i że nawet dziecko spostrzegłoby, jak stara się mną manipulować. Lecz z drugiej strony, oczywiście było, że dręczył go niepokój. Albo też nie mógł pozbierać myśli.

Może potrzebował tego, by ktoś głośno nazwał jego obawy po imieniu, gdyż on sam bał się to zrobić. A wtedy udałoby mi się trochę go uspokoić.

Warto było spróbować.

— James — powiedziałam łagodnie. — Nie musisz się wstydzić, że mnie kochasz. Miłość i chwilowa niepewność nie są oznakami słabości. To jest ludzkie. Zupełnie normalne. Jeśli powiedziałeś George'owi, że mnie kochasz, to nie musisz mnie okłamywać. Nie wykorzystam tego przeciwko tobie. I gdy przyjechałeś do Dublina, nie musiałeś udawać, że masz do mnie ledwie resztkę uczucia. Do licha, przecież nikt cię nie potępi za to, że kochasz swoją żonę. A co do romansu, to popełniłeś błąd. — Uwierzcie, kosztowało mnie to wiele wysiłku. — Nikt nie jest doskonały. Wszyscy popełniamy błędy. Przecież możesz być ze mną szczery.

Nie musisz grać przede mną, żeby poczuć się bezpieczniej. Możemy nad tym wspólnie popracować i żyć dalej w zgodnym małżeństwie.

Skończyłam mówić. Byłam wyczerpana.

Nastąpiła cisza. Ledwie mogłam oddychać. James siedział, milcząc, i wpatrywał się w podłogę. Wszystko zależało od tego, co teraz powie.

— Claire — odezwał się wreszcie.

— Tak? — byłam spięta, zupełnie skamieniała.

— Nie wiem, skąd wzięłaś te brednie, ale dla mnie wszystko, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu.

A więc to już koniec. Przegrałam.

— Nie wiem, o co ci chodzi. Nigdy nie mówiłem, że cię nie kocham. Twierdziłem tylko, że będziesz musiała się zmienić, abyśmy mogli dalej razem żyć. Mówiłem, że musisz wydorosnąć, że jesteś taka bezmyślna...

— Wiem, co mówiłeś, James. — Zdecydowałam się przerwać mu, zanim kolejny raz wygłosi całe przemówienie. Gadał tak, jakby czytał z kartki. Albo jakby był odpowiednio zaprogramowanym robotem, który odzywał się po naciśnięciu właściwego guzika.

Miałam już dosyć.

Koniec poniżania mnie, dziękuję bardzo. Koniec tłumienia złości. Szczerze mówiąc, brakowało mi słów, ale było to słodkie uczucie. Doznaliście tego kiedyś?

Zrobiłam, co mogłam. Ale to nie wystarczyło. Lecz na tym koniec. Po prostu nie było warto.

— W porządku — powiedziałam.

— W porządku? — spytał zdziwiony.

— Tak — potwierdziłam.

— To dobrze — odezwał się ojcowskim, zadowolonym z siebie tonem. — Ale czy na pewno? Nie chcę, żebyś co parę miesięcy znowu wywlekała to wszystko i rzucała mi w twarz bezsensowne oskarżenia.

— Nie będę.

Zamaszystym ruchem ściągnęłam ze stołu swoją torebkę, chwyciłam gazetę, po czym wstałam i zaczęłam wkładać zakiet.

— Co robisz? — zdumiał się James.

— A jak myślisz? — spytałam z niewinną miną.

— Nie wiem.

— Więc chyba powinnam ci powiedzieć, prawda?

— No... tak. — Niepokój w jego głosie wywołał u mnie zimny dreszcz.

— Odchodzę.

— Odchodzisz?! — huknął. — Gdzie odchodzisz? Przecież dopiero co wszystko ustaliliśmy.— Zamilkł, a po chwili roześmiał się z ulgą. — Wybacz... przez chwilę... — Pokręcił głową na swoją głupotę. — Przecież wrócisz. Musisz zabrać swoje rzeczy i Kate. Ale miałem nadzieję, że zostaniesz na noc i moglibyśmy.. . no... być blisko siebie. Nie szkodzi. Możemy poczekać kilka dni. Więc o której mam cię oczekiwać we wtorek?

— James. — Zaśmiałam się trochę szyderczo, trochę współczująco. — Nic nie rozumiałeś, co?

— Czego nie rozumiałem? — spytał ostrożnie.

— Nie wrócę we wtorek. W ogóle nie wrócę — wyjaśniłam uprzejmie.

— Jezu, o co ci teraz chodzi?! — ryknął. — Przed chwilą wszystko sobie wyjaśniliśmy, a ty teraz...

— Nie, James. — Przerwałam mu lodowato. — Nic nie wyjaśniliśmy. Kompletnie nic. Może ty wyjaśniłaś, tak, by twój wizerunek miłego faceta pozostał nienaruszony, lecz ja nie załatwiłam z tobą absolutnie nic.

— A o czym gadamy od godziny? — spytał wrogo.

— No właśnie.

— Co?! — warknął. Patrzył na mnie tak, jakby mi odbiło.

— Powiedziałam: „No właśnie”. O czym gadamy od godziny? Bo ja równie dobrze mogłabym mówić do ściany.

— Aha, więc znowu wracamy do ciebie, co? — Miał nieprzyjemny tom. — Dbasz tylko o siebie, obchodzą cię jedynie twoje własne odczucia...

Tego było już za wiele!

— Zamknij się! — rozkazałam. Wypadło to o wiele głośniejsze, niż zamierzałam.

Zatkało go i faktycznie zamilkł.

— Nie zamierzam więcej słuchać twoich bzdur o tym, jaka to jestem zła! — krzyknęłam. — Ja nie pieprzyłam się z kimś innym. Ty to robiłeś. Do tego jesteś na tyle niedojrzały i egoistyczny, że nie umiesz przyznać się do tego i przyjąć odpowiedzialności.

— Ja jestem niedojrzały i egoistyczny? — Zdumiał się. — Ja? — Dramatycznym gestem stuknął się palcem w pierś. — Ja? Chyba coś ci się pomieszało.

— Absolutnie nie! — krzyknęłam. — Wiem, że nie jestem doskonała, ale przynajmniej potrafię się do tego przyznać.

— Więc dlaczego nie przyznasz, że w naszym małżeństwie byłaś tak egoistyczna i bezmyślna? — spytał z lekkim triumfem.

— Bo to nieprawda! Wiedziałam, że to nieprawda, ale kochałam cię i chciałam, żeby było ci dobrze, więc sama siebie przekonałam, że to jednak musi być prawda. Myślałam, że jeśli się poprawię, poprawi się nasze małżeństwo. Ale ze mną było wszystko w porządku, a ty po prostu mną manipulowałeś.

— Jak śmiesz?! — Aż poczerwieniał ze złości. — Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. Byłem idealnym mężem!

— James — rzekłam z lodowatym spokojem. — Nie ma wątpliwości, że w ciągu tych lat byłeś dla mnie bardzo dobry. Jeśli spojrzysz wstecz, przekonasz się, że z wzajemnością. Kochaliśmy się, to była podstawa wszystkiego. Ale ty chyba zacząłeś wierzyć w to, co mówisz. Romans z inną kobietą nie jest dla mnie czymś dobrym. Nie potrafisz tego uzasadnić. — Urwałam. Tym razem James nie miał gotowej, pełnej oburzenia odpowiedzi. — Ale — podjęłam — nie jesteś pierwszym człowiekiem, który przekroczył granicę zła. To przecież nie koniec świata. Moglibyśmy pokonać tę przeszkodę. Ale ciebie najbardziej interesuje twój nieskazitelnny wizerunek. Takiego wyboru dokonałeś.

Ruszyłam ku drzwiom.

— Nie rozumiem, dlaczego odchodzisz — powiedział.

— Wiem o tym.

— Powiedz mi, dlaczego.

— Nie.

— Dlaczego, do cholery?!

— Już próbowałam kilka razy. Dlaczego miałbyś mnie wysłuchać teraz, skoro poprzednio tego nie robiłeś? Nie zamierzam marnować więcej czasu. Nie będę już próbować.

— Kocham cię — powiedział cicho. Drań.

Tym razem w jego ustach zabrzmiało to naprawdę szczerze. Przygryzłam wargę. To nie czas, by okazać słabość.

— Nieprawda — rzekłam dobitnie.

— Ależ tak — zaprotestował głośno.

— Nieprawda — powtórzyłam. — Gdybyś mnie kochał, nie porzuciłbyś mnie dla innej.

— Ale...

— Poza tym — nie dopuściłam go do głosu — gdybyś mnie kochał, nie starałbyś się zmienić mnie w stłamszoną kobietę, która się ciebie boi, nie manipulowałbyś mną, nie sprawował nade mną kontroli. A przede wszystkim, nie bałbyś się przyznać do błędu. Potrafiłbyś wznieść się ponad siebie, ponad swoje ego i przeprosić mnie.

— Ale ja cię kocham. — Próbował wziąć mnie za rękę. — Musisz mi uwierzyć.

— Nie wierzę. — Z niesmakiem odtrąciłam jego dłoń. — Nie wiem, kogo lub co kochasz, ale na pewno nie mnie.

— Ale naprawdę!

— Nie, James — powiedziałam bardzo spokojnie. — Tobie potrzebna jest jakaś idiotka, którą mógłbyś kierować. Może wrócisz do Denise?

— Nie chcę Denise. Chcę ciebie.

— To przykre, bo nie możesz mnie mieć.

Wyglądał tak, jakby dostał kopniaka w brzuch. Podobnie jak ja wyglądałam w dniu, gdy powiedział mi, że odchodzi.

Oczywiście nie chodziło mi o banalną zemstę, mam nadzieję, że to dostrzegacie.

— A wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? — spytałam.

— Co? — Był blady.

— Że przez ciebie zważyłam w samą siebie. Byłam gotowa zmienić się, stać się inną osobą. Przez ciebie straciłam swoją niezależność. Usiłowałeś zniszczyć moją osobowość. A ja ci na to pozwoliłam!

— To było dla twojego dobra — rzekł bez przekonania. Zmrużyłam oczy.

— Starannie dobieraj kolejne słowa, dupku, bo mogą być ostatnimi, jakie wypowiesz.

Przybladł jeszcze bardziej, jeśli to było w ogóle możliwe, po czym zamknął usta.

— Już nigdy nie pozwolę, żeby ktoś mnie terroryzował — powiedziałam z determinacją. Podoba mi się myśl, że miałam wtedy choć trochę animuszu niczym Scarlett O'Hara, gdy wygłaszała swój monolog: „Bóg mi świadkiem, że już nigdy nie będzie mi zimno, nigdy nie będę głodna”. — Zawsze będę sobą — mówiłam dalej. — Będę sobą niezależnie od tego, czy to dobrze czy źle. A jeśli jakiś mężczyzna, nawet Ashley, spróbuje mnie zmienić, pozbędę się go tak szybko, że zaszumi mu w głowie.

James kompletnie przeoczył aluzję do *Przeminęło z wiatrem*. Zero wyobraźni.

— Nie próbowałem cię terroryzować — powiedział zbulwersowany.

— James. — Byłam już wyczerpana. — Ten temat jest już zamknięty.

— Pomińmy przeszłość — odezwał się pośpiesznie. — A co powiesz na to, gdybym... hej, posłuchaj... gdybym obiecał, że w przyszłości już nie będę cię terroryzować?

Zabrzmiało to tak, jakby nagle dokonał epokowego odkrycia. W porównaniu z nim, Archimedes wyskakujący z wanny w swojej baraniej skórze wydałby się powściągliwy i pełen rezerwy.

Spojrzałam na niego z politowaniem i odrazą.

— Oczywiście, że nie będziesz mnie terroryzował, bo nie będziesz miał okazji.

— Nie mówisz poważnie. Zmienisz zdanie.
— Nie zmienię — zaśmiałam się dźwięcznie.
— Zmienisz — nalegał. — Nie poradzisz sobie beze mnie. „Pomyli-
łeś się, niestety”, myślałam.
— Dokąd idziesz? — spytał wściekle, gdy podniosłam torebkę.
— Do domu — odparłam po prostu. Gdybym teraz wyszła, zdążyła-
bym jeszcze na powrotny samolot do Dublina.
— Nie możesz odejść — wstał.
— No to popatrz, co robię. — Energicznie odwróciłam się na szpil-
kach, które idealnie nadawały się do tak efektownego manewru.
— A co z mieszkaniem? Co z Kate? — spytał.
Miło było się dowiedzieć, co jest dla niego najważniejsze: najpierw
mieszkanie, a dopiero potem Kate.
— Będę się z tobą kontaktować — obiecałam, z przyjemnością cytując
słowa, które on wypowiedział do mnie tego strasznego dnia w szpitalu.
Ruszyłam do drzwi.
— Wrócisz tu — rzucił za mną. — Nie poradzisz sobie beze mnie.
— Już to mówiłeś. Ale nie czekaj na mnie z zapartym tchem. — To
były ostatnie słowa, jakie do niego wypowiedziałam, zanim zamknęłam
za sobą drzwi.
Udało mi się dojść do metra i dopiero wtedy się rozplakałam.

Rozdział 35

Niewiele pamiętam z podróży metrem na lotnisko. Minęła w okamgnieniu.

Miałam świadomość, że postąpiłam słusznie. Przynajmniej tak mi się wydawało. Z tym, że to było prawdziwe życie i żadna decyzja nie była łatwa. To nie tak, że jak skreślisz w prawo, wiecznie będziesz żyć w szczęściu, a jak skreślisz w nieodpowiednim miejscu, twoje życie stanie

się koszmarem. W życiu bardzo trudno przewidzieć, która decyzja jest właściwa, gdyż to, co można zyskać, często jest niemal równe temu, co można stracić.

Skąd miałam wiedzieć, czy dobrze zrobiłam? Chciałam, żeby ktoś podszedł do mnie ze złotym pucharem lub medalem, uścisnął mi dłoń, poklepał po ramieniu i pogratulował trafnego wyboru.

Chciałam, by moje życie było jak gra komputerowa: zła decyzja — to utrata jednego życia, dobra decyzja — to zdobywanie punktów. Po prostu chciałam wiedzieć, mieć pewność.

Wciąż wymieniałam powody, dla których mój związek z Jamesem nie miał żadnej przyszłości. On chciał, żebym była kimś innym. Nie był zadowolony ze mnie, gdy byłam sobą. A ja nie byłabym szczęśliwa, gdybym się zmieniła, aby jego zadowolić. Nie podobał mi się też kompleks świętego, na jaki cierpiał James.

Gdybym go przyjęła z otwartymi ramionami, byłby zadowolony, bo myślałby, że wszystko mu wybaczyłam. Tak jak on sobie wszystko wybaczył. A gdyby doszło między nami do pierwszej kłótni w nowym, ulepszonym związku, wszystko znowu wyszłoby na wierzch. James był pompatyczny i świętoszkowaty, mnie zaś uważał za kapryśną i niedojrzałą. To lepiej, że nasze małżeństwo było skończone. Została tylko maleńka odrobina wątpliwości.

Myślałam, że gdybym była miłsza, silniejsza, delikatniejsza, zdecydowana, bardziej cierpliwa i uprzejma, słodsza, bardziej przykra, okrutna, autokratyczna, gdybym częściej gryzła się w język, może wtedy uratowałabym swoje małżeństwo?

Te myśli były prawdziwą torturą.

Bo w końcu to ja podjęłam decyzję. Ja powiedziałam, że nasze małżeństwo nie ma sensu. Wiem, że James nie dał mi wielkiego wyboru, jednak to ja pociągnęłam za spust, że tak powiem.

Czułam się winna.

A potem powiedziałam sobie: „Dziewczyno, oprzytomnij. To, co zaproponował James, nie było warte papieru, na którym spisał swoją ofertę. To była fikcja małżeństwa całkowicie na jego warunkach, która

nie przetrwałaby tygodnia. A gdyby nawet, to kosztem mojego szczęścia. Czyli — pyrrusowe zwycięstwo".

Kołysałam się w metrze, a myśli krążyły jak oszalałe w mojej biednej głowie.

Boże. Dorosłość to straszna rzecz. Nie cierpiałam podejmować decyzji w ciemno. Pragnęłam, by rzeczy dobre i złe miały wyraźne etykiety. By rozlegała się ponura muzyka, gdy na ekran wkracza złoczyńca, więc nie można go omyłkowo wziąć za postać pozytywną.

Szkoda, że nie mogłam wybierać między zabawą z piękną księżniczką w pachnącym ogrodzie a perspektywą odegrania roli posiłku dla obrzydliwego potwora w śmierdzącej jamie. Niezbyt trudny wybór, prawda? Nie wymagał bicia się z myślami podczas bezsennych nocy.

Bycie ofiarą nie jest zbyt przyjemne, lecz, do diabła, przynajmniej wtedy sytuacja jest jasna. Wiadomo, że słuszość leży po naszej stronie.

Czułam także rozczarowanie. I to silne. Kiedyś kochałam Jamesa. Teraz nie byłam już tego pewna. Nawet jeśli żywiłam do niego uczucie, było ono zupełnie inne. Jakaś forma pojednania sprawdziłaby się lepiej niż jawny antagonizm. To znaczy pojednanie, które prowadziło do zgodnego współżycia, a nie jakiś bezsensowny kompromis.

Posmutniałam. Potem rozżłościłam się. Następnie poczułam wyrzuty sumienia. Znowu ogarnął mnie smutek. Koszmar!

Przed kompletnym zbzikowaniem powstrzymało mnie tylko jedno. W każdej chwili mogłam wrócić do Jamesa. Nawet teraz — wysiąść z metra, przesiąść się do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku i powiedzieć Jamesowi, że myliłam się i że powinniśmy spróbować od nowa.

Jednak powstrzymałam się.

A to już o czymś świadczyło, nawet dla kogoś tak skołowanego, głupiego, roztargnionego jak ja.

Gdybym go naprawdę kochała i chciała z nim być, wróciłabym.

Więc wiedziałam, że postępuję słusznie. Tak myślałam. I tak w kółko.

Na Heathrow panował znacznie mniejszy ruch. Było o wiele spokojniej. Jak pierwszego dnia styczniowej wyprzedaży w sklepach. Cudownie.

Samolot do Dublinu był niemal pusty.

Miałam dla siebie cały rząd foteli, więc gdy naszła mnie potrzeba, mogłam sobie popłakać, by ukoić nerwy.

Stewardesy patrzyły na mnie zaintrygowane.

Widziałam, jak rzucały mi pełne niepokoju spojrzenia.

Pewnie myślały, że właśnie poddałam się aborcji.

W Dublinie padał deszcz. Pas startowy lśnił i błyszczał w ciemności. Hala przylotów była pusta. Mijałam nieruchome taśmy, postukując szpilekami na kamiennej podłodze.

Nie zawiadomiłam nikogo o swoim powrocie, więc nikt na mnie nie czekał.

W ogóle nie było żadnych osób oczekujących na pasażerów.

Zauważyłam jednego bagażowego, który wyjaśniał jakiemuś oszomionemu mężczyźnie, że spóźnić się na jeden samolot to niefart, ale spóźnić się na dwa samoloty, to już niedbalstwo.

Mijałam pozamykane sklepy, stojące w ciemnościach kantory, opuszczone punkty wynajmu samochodów. W końcu dotarłam do zalewanego strugami deszczu wyjścia.

Na zewnątrz czekała jedna jedyna taksówka. Kierowca czytał gazetę.

Wyglądał tak, jakby siedział tam od kilku lat.

Wiózł mnie w zupełnej ciszy. Słyszałam jedynie szmer wycieraczek i uderzenia kropli deszczu w dach pojazdu.

Jechaliśmy przez pogrążone we śnie przedmieścia. W końcu zatrzymał się przed moim domem. W oknach było ciemno. Podziękowałam kierowcy za wspólną podróż. On tak samo kulturalnie podziękował mi za pieniądze, które mu dałam. Pożegnaliśmy się.

Było dziesięć po pierwszej.

Cichutko weszłam do środka. Nie chciałam nikogo obudzić.

Nie było to — niestety — podyktowane troską o spokojny sen domowników. Po prostu nie chciałam odpowiadać na nieuniknione liczne pytania.

Stęskniłam się za Kate i chciałam ją jak najszybciej zobaczyć, lecz nie było jej w moim pokoju.

Widocznie mama pomyślała, że nie wrócę do domu, i przeniosła łóżeczko do sypialni rodziców.

Ale ja strasznie chciałam ją przytulić. Bardzo mi jej brakowało.

Na palcach weszłam do ich sypialni z nadzieją, że nie obudzę mamy.

Udało mi się wykraść córeczkę. A potem wyczerpana padłam na łóżko. Zasnęłam, trzymając w ramionach moją Kate.

Rozdział 36

Rano czułam się trochę lepiej. Co prawda, moje rany nie zablźniły się, ból nie minął, ale byłam gotowa czekać, czekać, aż sprawy przybiorą korzystny obrót, aż cierpienie odejdzie.

Zdecydowałam, że nie będę z Jamesem, a jako dziewczynka przywykła do natychmiastowej gratyfikacji chciałam od razu poczuć się wspólnie, chciałam, by owoce tej decyzji natychmiast spadły na moje niecierpliwe kolana.

Pragnęłam otrząsnąć się z przeszłości i wejść w nowy świat, zrzucić z siebie oznaki poprzedniego wcielenia, wyzbyć się wszelkich śladów uczucia do Jamesa, wszelkiej wątpliwości i wahania. Oczekiwałam natychmiastowej, cudownej transformacji. Chciałam, by dobra wróżka — wyspecjalizowana w tych sprawach — dotknęła mnie swoją czarodziejską różdżką, posypała magicznym, odradzającym proszkiem, abym natychmiast zapomniała o wszelkich uczuciach, jakie kiedykolwiek miałam do Jamesa, o tym, że w ogóle istniał.

Chciałam zostawić swój żal pod poduszką, aby rano już go nie było. Nie obraziłabym się nawet, gdybym po przebudzeniu nie znalazła w tym samym miejscu żadnych pieniędzy.

Jednak nie istniało magiczne lekarstwo, nie było dobrej wróżki. Wiedziałam to już od dawna.

Musiałam przez to przejść sama. I być cierpliwa. Dopiero czas pokaże, czy podjęłam właściwą decyzję.

Nadal nie wiedziałam, czy dobrze zrobiłam, odchodząc od Jamesa. Jednak pozostanie z nim na pewno byłoby pomyłką.

Postarajcie się to zrozumieć.

A jeśli wam się uda, może mi to sami wyjaśnicie?

James zadzwonił o ósmej rano. Nie chciałam z nim rozmawiać. Następnie zadzwonił o ósmej czterdzieści. To samo. Dziesięć po dziewiątej. Ponownie to samo. Potem nastąpiła nieoczekiwana cisza niemal do jedenastej, gdy nastąpiły trzy telefony w krótkich odstępach. To samo. To samo. To samo. Kwadrans po południu kolejny dzwonek. To samo. Za pięć pierwsza, pięć po pierwszej i dwadzieścia po pierwszej kolejne telefony. To samo itd. Dzwonił regularnie przez całe popołudnie w około półgodzinnych odstępach. Ostatni raz koło szóstej. Tak samo — patrz wyżej.

Mama zachowała się bardzo przyzwoicie, odbierając wszystkie telefony. Muszę przyznać, że w awaryjnych sytuacjach ta kobieta jest warta tyle batoników Mars, ile sama waży.

Ojciec wrócił z pracy dwadzieścia po szóstej, a za dwadzieścia siódma wpadł do pokoju, gdzie siedziałam z Kate i przeglądałam dokumenty dotyczące mieszkania.

— Claire! — ryknął na mnie. — Idź i pogadaj z nim, na litość boską!

— Nie mam mu nic do powiedzenia — rzekłam słodko.

— Nie interesuje mnie to — mówił dalej podniesionym głosem. — On mówi, że będzie dzwonił całą noc, aż w końcu podejdiesz do telefonu.

— Połóżcie słuchawkę z boku — zaproponowałam, ponownie skupiając się na dokumentach.

— Claire, nie możemy tego zrobić. Helen ciągle odkłada ją na miejsce.

— No właśnie, czy moje życie towarzyskie ma ucierpieć tylko dlatego, że wyszłaś za maniaka?—usłyszałam dobiegający z zewnątrz przytłumiony głos Helen.

— Proszę cię, Claire — powiedział błagalnie ojciec.

— No dobrze — westchnęłam, odkładając długopis, którym robiłam notatki.

— Czego chcesz, James? — powiedziałam do słuchawki.

— Wrócił ci już rozum? — spytał gniewnym głosem.

— Nie wiedziałam, że wyprawiłam go na wycieczkę — odparłam uprzejmie. Zignorował to.

— Dzwoniłem cały dzień, a twoja matka mówi mi, że nie chcesz ze mną rozmawiać. — Ledwie nad sobą panował.

— Zgadza się — rzekłam pogodnie.

— Ale musimy porozmawiać.

— Wcale nie.

— Claire, kocham cię. — Spoważniał. — Musimy się porozumieć.

— James. — W moim głosie zabrzmiał chłód. — Nie będzie żadnego porozumiewania się. Ustaliliśmy to, co się dało. I dotarliśmy do punktu bez wyjścia. Ty uważasz, że masz rację, a ja myślę, że jej nie masz. Nie zamierzam tracić więcej czasu i energii, aby przekonać i ciebie, i siebie do zmiany stanowiska. Życzę ci wszystkiego najlepszego i mam nadzieję, że zachowasz się jak człowiek na poziomie, zwłaszcza ze względu na Kate, lecz my nie mamy już o czym rozmawiać.

— Claire, co się z tobą stało? — Był wyraźnie zszokowany. — Nigdy taka nie byłaś. Zmieniłaś się bardzo. Stałaś się twarda, nieprzystępna.

— Tak? Może zapomniałam ci o czymś powiedzieć — odparłam swobodnie. — Wiesz, mój mąż miał romans. I to wywarło na mnie pewien wpływ.

Wiem, że to było nieprzyjemne, lecz nie potrafiłam się powstrzymać.

— Bardzo zabawne — powiedział.

— Wcale nie, James. To nie było ani odrobinę zabawne.

— Posłuchaj. — Znowu się zdenerwował. — Taka rozmowa nigdzie nas nie doprowadzi.

— Mnie to odpowiada, bo nigdzie się razem nie wybieramy.

— Bardzo to dowcipne, Claire. Prześmieszne. — Był na mnie wyraźnie zły.

— Dziękuję — odparłam z wyjątkową słodyczą.

— Posłuchaj mnie. — Zmienił ton na oficjalny, jeszcze bardziej pompatyczny niż zwykle. Niemal słyszałam, jak szeleści kartkami papieru. — Mam dla ciebie... no... propozycję.

— Czyżby?

— Tak. Claire, naprawdę cię kocham i nie chcę, żebyśmy się rozstali, więc jeśli poprawi ci to samopoczucie, gotów jestem... hm... pójść na pewne ustępstwo wobec ciebie.

— Jakie? — spytałam. Wcale nie byłam zainteresowana.

Zaskoczona zdałam sobie sprawę, że żadna jego propozycja, absolutnie żadna, nie jest w stanie poprawić naszych stosunków. Nie kochałam go już. Nie wiem dlaczego ani kiedy przestałam. Ale to był fakt.

Spróbowałam skoncentrować się na słowach Jamesa.

— Gotów jestem zapomnieć o tym, że po powrocie do mnie miałaś się zmienić. Widzę, że masz bardzo twarde stanowisko w kwestii podjęcia wysiłków, aby się zmienić na osobę bardziej dojrzałą, rozsądną... tak jak rozmawialiśmy. Więc jeśli zmienisz zdanie i zechcesz zostać ze mną, będę cię tolerował taką, jaką byłaś w przeszłości. Chyba nie byłaś taka zła — powiedział niechętnie.

Krew mnie zalała. Na chwilę zapomniałam, że on już nic mnie nie obchodzi. Miał tupet! Bezczelny! Aż nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

— Zadowolona? — spytał ostrożnie.

— Pytasz, czy jestem zadowolona?! — wrzasnęłam. — Absolutnie. To jeszcze pogarsza sprawę.

— Dlaczego?—jęknął. — Przecież mówię, że ci wybaczam i wszystko będzie dobrze.

Niemal wybuchłam. Chciałam mu wygarnąć tyle rzeczy.

— Ty mi wybaczasz?! — spytałam osłupiała.—Ty mi? O, nie, James. Wszystko ci się pomieszało. Jeśli ktoś miałby tu wybaczać, to tylko ja tobie. Z tym, że wcale ci nie wybaczam.

— Chwileczkę... — wtrącił się.

— To jest zapewne przyczyna, dla której odszedłeś do tej grubej krowy. Bo ja byłam niedojrzałą egoistką. A teraz gotów jesteś przymknąć na to oczy. Jednak wtedy okazało się to wystarczająco ważnym powodem, aby mnie zdradzić. Zdecyduj się, James! Więc jest to ważne czy nie?

— No, to jest ważne.

— Skoro tak, nie możesz na to przymknąć oczu — rzuciłam wściekle. — Jeśli chcesz, abym była taka a nie inna, i to jest dla ciebie ważne, to jaki związek nas czeka, jeśli nie mogę być właśnie taka?

— No dobrze. — Był już zdesperowany. — Więc to nie jest ważne.

— Jeśli nie jest ważne, to dlaczego z tego powodu odszedłeś do innej? — zapytałam triumfalnie.

— Czy możemy dać już temu spokój? — W jego głosie zabrzmiała panika.

— Nie. Być może ty potrafisz, ale dla mnie to nie jest takie łatwe.

— Claire — powiedział błagalnie. — Zrobię, co tylko zechcesz.

— Nie wątpię — odparłam ze smutkiem. — Nie wątpię. Nie miałam ochoty na dalszą kłótnię. Szkoda mi było czasu.

— Muszę już kończyć, James.

— Czy zastanowisz się nad tym, co powiedziałem?

— Tak — zgodziłam się. — Ale porzuć wszelką nadzieję.

— Znam cię, Claire. Zmienisz zdanie. Wszystko będzie dobrze.

— Do widzenia, James.

Mówiąc szczerze, myślałam o tym, co powiedział James. Byłam to winna Kate.

Argumenty za i przeciw powrotowi do Jamesa odbijały się wewnątrz mojej głowy jak tenisowa piłka.

Jedyną rzeczą, jakiej nie mogłam ignorować, z jaką nie mogłam polemizować, wmawiać sobie, że jest inaczej, był fakt, że już nie kochałam Jamesa.

To znaczy, nie był mi obojętny. Nie chciałam, by przytrafiło mu się coś złego. Ale nie kochałam go tak, jak kiedyś. Chciałabym wiedzieć, dlaczego tak się stało, lecz przyczyn mogło być wiele. Miał romans — co chciał puścić w niepamięć. To bardzo podkopało moje zaufanie do niego. Poza tym uważał, że powinnam przyjąć na siebie winę za jego zdradę. Zmroził mnie także fakt, że nie zachował się po męsku — nie przyznał się do winy i nie przeprosił. To zniszczyło resztkę szacunku, jaką do niego miałam. Nawet teraz nie umiał powiedzieć, że się myli. Co prawda, zmniejszał stawiane mi wymagania, ale w taki sposób, jakby robił mi wielką łaskę.

Zdradził mnie. A potem jeszcze pogorszył sytuację, traktując mnie jak idiotkę.

A może po prostu przestałam lubić niskich mężczyzn.

Wiedziałam jedno: to, co umarło, nie da się ożywić. Nie da się reanimować miłości, która wydała ostatnie tchnienie.

Dwa dni później zadzwoniłam do Jamesa i powiedziałam mu, że nie będzie zgody.

— Dajesz się ponieść ambicji — powiedział. Jakby był na specjalnej odprawie przed tą rozmową.

— Nie — rzekłam zmęczonym głosem.

— Chcesz mnie ukarać.

— Wcale nie — skłamałam. (Oczywiście, było mi przyjemnie, że sytuacja się odwróciła).

— Mogę poczekać — obiecał.

— Lepiej nie czekaj.

— Kocham cię — szepnął.

— To dobrze.

James ciągle dzwonił, po dwa, trzy razy dziennie. Sprawdzał, czy zmieniłam zdanie, czy — jak to określił — wrócił mi rozum.

Rozmawiałam z nim bardzo grzecznie. Nie byłam obrażona. Mówił, że za mną tęskni. Pewnie tak było.

Te rozmowy denerwowały mnie. Trudno uwierzyć, że jeszcze trzy miesiące wcześniej gotowa byłam zabić, żeby tylko do mnie zadzwonił. A teraz gotowa byłam to zrobić, jeśli nie przestanie dzwonić.

Potem złość mi przeszła. Pozostał tylko smutek. Życie to bardzo dziwne zwierzę.

Rozdział 37

Nie mogę stwierdzić, że byłam szczęśliwa. Ale nie było mi też źle, nie czułam się tak zdruzgotana jak zaraz po odejściu Jamesa.

Ogarnął mnie spokój. Pogodziłam się z faktem, że moje życie już nigdy nie będzie takie samo, jak kiedyś planowałam. Moje dawne marzenia nigdy nie miały się spełnić. Nie będę miała z Jamesem czwórki dzieci. Ja i James nie zestarzejemy się razem. Chociaż zawsze sobie obiecywałam, że nasze małżeństwo przetrwa wszelkie próby, nie rozpadnie się, teraz byłam w stanie zaakceptować to — bez specjalnej przykrości — że jednak się rozpadło.

Naturalnie byłam smutna. Idealistka — wychodziłam za mąż pełna ogromnych nadziei i oczekiwań. Było mi smutno także za Jamesa.

Czułam się starsza i o wiele mądrzejsza.

Była to dla mnie lekcja pokory, tyle że długa i bardzo trudna.

Miałam niewielki wpływ na to, co się działo zarówno w moim życiu, jak i w życiu innych.

A gdy słyszałam, jak ktoś mówi do mnie: „Nic nie dzieje się bez przyczyny" albo „Pan Bóg zamyka jedne drzwi, ale otwiera inne", z łatwością potrafiłam powstrzymać się, by nie trzasnąć go w twarz. Z wielką łatwością.

Nie miałam świadomości, że moje życie jest już skończone.

Być może nieodwracalnie przeobrażone, lecz z pewnością nie skończone.

Małżeństwo rozpadło się, lecz miałam śliczne dziecko. Miałam wspaniałą rodzinę, bardzo dobrych przyjaciół i pracę, do której mogłam wrócić. Kto wie, może nawet pewnego dnia poznam miłego mężczyznę, który przyjmie mnie razem z Kate. Ale tymczasem postanowiłam po prostu żyć dalej, a jeśli spotkam na swojej drodze idealnego faceta, postaram się zrobić dla niego miejsce obok siebie.

Zabrałam się do tych nużących czynności prawnych, które powinienam wykonać wieki temu. No, może nie wieki. Wtedy nie byłam jeszcze gotowa. Chyba teraz był właściwy moment.

Ale to nie miało znaczenia. Nie zrobiłam tego wcześniej, więc przystąpiłam do działania teraz.

Chciałam uzyskać opiekę nad Kate. James powiedział, że nie będzie się sprzeciwiał, jeśli otrzyma nieograniczony dostęp do dziecka. Byłam szczęśliwa, bo chciałam, by Kate znała swojego ojca. Miałam szczęście, że James okazał się taki rozsądny. Mógł się okazać celowo złośliwy, stwarzać problemy, lecz muszę mu oddać sprawiedliwość — zachował się, jak należy.

Uzgodniliśmy sprawy dotyczące naszego mieszkania. Zdecydowaliśmy, że zostanie sprzedane, a zanim to nastąpi, zamieszka w nim James.

Ta sprawa okazała się dosyć nieprzyjemna. James źle zareagował na dokumenty, które otrzymał od mojego adwokata. Chyba wtedy dotarło do niego, że to już koniec.

— Więc już nie wrócisz do mnie, tak? — spytał smutno.

I chociaż to ja byłam prowodyrką całej sytuacji, chociaż tego właśnie chciałam, i mnie było bardzo smutno.

Ogarnął mnie wielki żal. Szkoda, że sprawy tak się potoczyły, że wszystko się zepsuło.

Ale tak właśnie się stało.

Łzawe powroty za pięć dwunasta zdarzają się w tanich romansidłach. W życiu raczej rzadko.

A jeśli nawet, to zazwyczaj w sytuacji, gdy zainteresowane strony spożyły nieco alkoholu.

Bardzo długo nikt nie interesował się kupnem naszego mieszkania. W pewien sposób cieszyło mnie to, bo trudna do zniesienia była myśl, że ktoś inny zamieszka w miejscu, które nadal określałam mianem „mój dom”. Jednak z drugiej strony, martwiłam się, bo brakowało mi pieniędzy. To zapewne wina Jamesa. Przypuszczalnie zanudzał potencjalnych nabywców gadaniną o ulgach podatkowych dla osób pobierających kredyty hipoteczne. Pewnie zasypiali, nim zdążyli obejrzeć sypialnię. Nie powinnam być taka złośliwa. Chyba chciał dobrze.

Rozmawiałam z moją szefową. Ustaliłyśmy, że wrócę do pracy na początku sierpnia. Gdybym nie miała już za sobą najgorszego kryzysu, perspektywa powrotu do pracy na pewno wpędziłaby mnie w totalną depresję.

Może miałam nieodpowiednie zajęcie, może zabrakło mi powołania do wykonywania pracy lub po prostu urodziłam się w niedzielę. Wszystko jedno. Nie należałam do grupy tych szczęściarzy (choć dla mnie to raczej dziwacy), co uwielbiają oddawać się swojej pracy. W najlepszym wypadku praca była dla mnie środkiem do celu, w najgorszym — piekłem na ziemi. Nie mogłam się doczekać emerytury. Jeszcze tylko trzydzieści jeden lat. Chyba że w tym czasie szczęśliwie umrę.

Przepraszam, to był żart.

A więc za pięć tygodni miałam wrócić do biura. Urzędowanie siedem godzin dziennie, pięć dni w tygodniu, czterdzieści osiem tygodni w roku.

Jezu!

Dlaczego nie mogłam urodzić się bogata?

Wybaczcie, wiem, że nie powinnam się uskarżać. To wielkie szczęście, że miałam pracę. Tylko chciałam mieć kogoś, kto zaopiekowałby się mną i Kate. Fantazjowałam. Nawet gdybym została z Jamesem, musiałabym wrócić do pracy. Po prostu uzmysłowiłam sobie, jak bardzo jestem

osamotniona, jaka odpowiedzialność na mnie spoczywa. Nie pracowałam już tylko na siebie. Miałam na utrzymaniu dziecko.

Wiedziałam, że James będzie łożył na Kate. Tak, byłam tego pewna. I wynajęłam bardzo drogiego prawnika, który to udowodnił. Nie dlatego, żeby James wykazywał złą wolę. Ale dni, gdy mogłam wydać miesięczną pensję na szminki, czasopisma i alkohol, już minęły. I to dawno.

Dorosłość odbiega od wzorca, w jaki każą nam wierzyć. Teraz było już za późno, ale szkoda, że zawczasu nie sprawdziłam dokładniej, na czym to polega.

Chciałam dostać refundację, lecz zużyłam już wszystko i nie mogłam odzyskać pieniędzy.

Znalazłam dla siebie i Kate lokum w Londynie. Dokładniej mówiąc, Judy znalazła.

Ja nie byłabym w stanie tego dokonać, przebywając w Dublinie. No, chyba że miałabym ochotę wydać na agencje nieruchomości kwotę równą deficytowi budżetowemu całego państwa.

Jakiś znajomy znajomego znajomego Judy wyjeżdżał w lipcu do pracy w Norwegii i szukał kogoś, kto zaopiekowałby się jego mieszkaniem przez dziewięć miesięcy. Byłam w stanie pokryć czynsz, dzielnica również okazała się znośna. Judy obejrzała mieszkanie i zapewniła mnie, że posiada ono dach, podłogę oraz komplet ścian. Następnie Judy okłamała znajomego znajomego znajomego, że jestem czysta, schludna, spokojna i wypłacalna. Nie mam pewności, czy w ogóle wspomniała o Kate.

Andrew — tak miał na imię — zadzwonił do mnie, aby się upewnić, czy nie jestem jakąś wariatką, która obleje jego cenne mieszkanie benzyną i podpali je, zanim biedak zdąży choćby dojechać na lotnisko.

Przez telefon udawałam aż do przesady dobrze ułożoną. Podkreśliłam, że według mnie czystość powinna być nierozłącznie powiązana z pobożnością i że jestem za przywróceniem kary śmierci dla włamywaczy i zaśmiecających ulice.

— Może bardziej stosowna byłaby publiczna chłosta. Nabraliby respektu — zasugerował.

— Hmm — odezwałam się ostrożnie. Nie wiedziałam, czy żartuje, czy też mówi poważnie.

Andrew przysłał mi umowę, a ja jemu wszelkie referencje, informacje dotyczące konta bankowego i — co najważniejsze — trochę pieniędzy (pożyczonych od ojca — czy ja kiedyś wydorosłeję?)

Przez następne dziesięć dni ustalaliśmy szczegółowo przez telefon, co mam robić z korespondencją przychodzącą na jego nazwisko. I którym roślinkom mam opowiadać dowcipy. Miałam nagrywać każdy odcinek *Brookside* i wysyłać mu co tydzień.

Udzielał mi różnorodnych cennych porad.

Ostrzegł mnie, że kobieta mieszkająca na dole jest wariatką.

— Nie szkodzi—odparłam nieopatrznie.—Pewnie ją polubię.

— I nie chodź do najbliższej chińskiej restauracji. Ostatnio znaleźiono u nich w lodówce owczarka niemieckiego. Następna restauracja jest o wiele lepsza.

— Dzięki.

— Zużyj wszystko, co zostało w kuchennych szafkach i w barku.

— Dziękuję — odparłam entuzjastycznie.

— Jeśli coś się stanie, nie wahaj się i natychmiast do mnie dzwoń. Zostawię ci numer, pod którym będę osiągalny.

— Dzięki — powiedziałam jeszcze raz.

— Na pewno będzie ci tu dobrze — obiecał. — To śliczne, przewiewne mieszkanie.

— Rozumiem, dzięki. — Przełknęłam. Pomyślałam o swoim ślicznym mieszkaniu, które wykańczałam, meblowałam i dekorowałam przez wiele lat. Obiecałam sobie, że kiedyś będę miała następne. Gdy nadejdzie właściwy moment.

Poczułam się jeszcze gorzej, gdy zrozumiałam, że „śliczne, przewiewne mieszkanie” to zwrot używany przez agentów nieruchomości do opisanía lokalu z wybitymi szybami.

O rany.

— W październiku przyjadę na krótko do Londynu — powiedział. — Mam nadzieję, że wtedy się spotkamy.

— Świetnie.

„Miły facet”, pomyślałam, odkładając słuchawkę. „Jak na neonazistę. Ciekawe, jak wygląda”.

Rozdział 38

Mężczyźni.

Tak, mężczyźni. Ta niemiła kwestia musiała się pojawić prędzej czy później.

Chcę postawić sprawę jasno. Wcale nie spodobał mi się ten Andrew. Po prostu miło rozmawiał ze mną przez telefon (z wyjątkiem tej uwagi na temat publicznej chłosty). A ja znowu oficjalnie byłam samotną kobietą, więc zaczęłam myśleć w sposób charakterystyczny dla takiej sytuacji. Nic nie mogłam na to poradzić. To z pewnością reakcja uwarunkowana genetycznie. Lub hormonalnie.

Byłam po prostu ciekawa. Myślenie o takich rzeczach nie robi nikomu krzywdy. Niczego nie planowałam, nie czyniłam żadnych kroków.

Przecież gdybym była tak bardzo spragniona faceta, zostałamby z Jamesem, prawda?

Podejrzewam jednak, że mi nie uwierzycie po tym, jak zachowywałam się wobec Adama.

W porządku, nie musicie mi wierzyć, lecz Adam był wyjątkiem.

Był kimś specjalnym.

Wiecie już, że miał dziewczynę i małe dziecko. Co o tym sądzicie? Mała sensacja, prawda?

Ale miało to swoją logikę. Zawsze myślałam, że tkwi w nim coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. W moim mniemaniu jego straszną tajemnicą mogło być nadużywanie narkotyków, jakiś niewielki wyrok pozbawienia wolności lub też coś innego, mającego w sobie ele-

ment rozgłosu czy nawet splendoru. Nie byłam przygotowana na wieść o ojcostwie i rodzinie Adama.

Doznałam szoku. Dodam — bardzo niemiłego. Lecz gdy Helen przyniosła tę wiadomość, nie mogłam jej poświęcić pełnej uwagi. Właśnie wybierałam się na lotnisko, by złapać samolot do Londynu i tam zakończyć swoje małżeństwo. Oczywiście, wiadomość była zła, ale miałam wtedy na głowie inne rzeczy, nie byłam więc w stanie zastanowić się nad nią i wyrobić sobie opinii.

W kolejnych tygodniach również starałam się o tym nie myśleć.

Nie mogłam marnować czasu na marzenia, gdy miałam do załatwienia tyle spraw. Poza tym moja przygoda z Adamem dobiegła końca, zanim jeszcze dowiedziałam się o jego dziecku, więc rozmyślanie o tym nie mogło mi przynieść żadnego pożytku. Adam należał do przeszłości.

Prawdę mówiąc, nie lubiłam o nim myśleć. Nie dawało mi to przyjemności, lecz przynosiło ból. Gdy przypadkowo zawitał w mojej świadomości, zniknął po pięciu sekundach, jak marynarz wyrzucony za burtę w lodowate wody Antarktydy. W mojej głowie rozlegał się alarm, na którego dźwięk dwóch potężnie zbudowanych ochroniarzy pozbywało się go ze zdwojoną szybkością.

Nawet gdy przychodził mi na myśl, zawsze miałam pod ręką jakiś diabelnie skomplikowany, nudny dokument, który musiałam rozgryźć.

Helen ciągle kręciła się w pobliżu. Uczyła się do egzaminów, wywołując niemały zamęt. Stale zrzedziała, zadawała tysiące pytań i twierdziła, że może mieć nadzieję na pozytywny wynik, jeśli prześpi się ze wszystkimi wykładowcami. Tym sposobem zajmowała moją uwagę, a ja nie myślałam o Adamie. Nie myślałam w ogóle o niczym, pozostały mi jedynie rozwijające się w zwolnionym tempie fantazje o brutalnych morderstwach.

Był czerwiec, zrobiło się pięknie i ciepło. Czasami, gdy byłam sama z Kate w ogródku i leżałam w pólśnie, wystawiając twarz do słońca, spokojna, wyciszona, gdy może powinnam myśleć o Jamesie — moje wizje przypadkowo wędrowały ku Adamowi. Przypominałam sobie, jaki był słodki, jak cudownie się przy nim czułam.

W takich chwilach obniżonej koncentracji pozwalałam sobie tęsknić za nim, odczuwać smutek wywołany jego nieobecnością. Ale tylko na moment. Nie chciałam za nim tęsknić ani w ogóle o nim myśleć.

Postawmy sprawę jasno: nie podobało mi się to, co usłyszałam od Helen. Ta wiadomość nie była miła memu sercu ani żadnemu innemu z moich wewnętrznych organów. Nie czułam się oszukana przez niego. Nie miałam prawa wyrażać sprzeciwu, bo przecież sama byłam mężatką. Z gadaniny Helen wywnioskowałam jedynie, że gdy flirtował ze mną, nie utrzymywał kontaktów z tamtą dziewczyną.

Jeśli to można nazwać flirtem.

Gdyby nie było to dla mnie takie przykre, zastosowałabym chyba określenie "Jednorazowy wyskok", które dobrze oddawało istotę zdarzenia.

Myślę, że czułam się trochę, hm, no nie wiem, wrobiona. Byłam niemądra, pochlebiali mi, że Adam poświęcał mi tyle uwagi. To cudowne czuć się tak pożądaną i podziwianą. Zwłaszcza po tej historii z Jamesem.

A teraz miałam wrażenie, że chciał mnie tylko ze względu na Kate. Nie to, że pragnął Kate. Nic z tych rzeczy. Chciał mnie, bo byłam matką. Pewnie przypominałam mu jego dziewczynę. Nie wiedziałam, co ich łączyło, lecz jeśli ona uciekła z dzieckiem, musiał to bardzo przeżyć i potraktował mnie jako zastępstwo.

Poczułam się trochę... hm... chyba upokorzona. Doznawałam dreszczu rozkoszy na myśl, że Adam wybrał właśnie mnie. Nie chodziło mu jednak o moją osobę, lecz sytuację, w jakiej się znalazłam.

Czułam się skrzywdzona.

I było mi głupio, bo myślałam, że ktoś tak cudowny jak on mógłby poważnie interesować się kimś tak zwyczajnym jak ja. Gdzie ja miałam głowę?

Na swoją obronę mogłam powiedzieć tylko jedno: nie byłam sobą. Wiele przeszłam i rozsądek rzadko u mnie gościł.

Gdy już mówimy o Adamie, to powinnam wyznać jeszcze jedno — rozzłościł mnie.

Nie bardzo, ale trochę. Wkurzył mnie tym, że zagrał sobie na moich uczuciach. Sprawił, że poczułam się wyjątkowa, a wcale taka nie byłam. A potem uraczył mnie tą świętoszkowatą mową o powrocie do Jamesa. Nie miał w tym żadnego interesu, jeśli byłam mu obojętna. Ludzie muszą sobie zasłużyć na prawo wywoływania we mnie poczucia winy. Nie powinienam była tego prawa rozdawać tak łatwo.

Mijały dni, a ja coraz więcej czasu spędzałam na drzemkach w nasłonecznionym ogrodzie, moje odczucia zaś zmieniały się. Zaczęłam dostrzegać drugą stronę zagadnienia. Co więcej, traktowałam to z coraz większą dozą metafizyki. A to było dla mnie czymś naprawdę nietypowym.

Zapewne taki był efekt nadmiaru słońca.

Może Adam zjawił się w moim życiu w określonym celu. Sprawił, że odbudowałam swoją wiarę w siebie i dzięki temu miałam dość siły, by stawić czoło Jamesowi. Być może słowa Adama dały mi również bodziec do podjęcia właściwej decyzji w sprawie mojego małżeństwa.

Miło byłoby pomyśleć, że Kate i ja pomogłyśmy Adamowi pokonać ból spowodowany rozstaniem z jego dziewczyną i dzieckiem. Może dzięki nam zrozumiał, jakie były dla niego ważne, zależnie od tego, czy on je zostawił, czy też one jego.

Cudowne było uczucie, gdy opuszczała mnie cała gorycz. Zaczęłam się cieszyć, że poznałam Adama. Zdawało mi się, że spotkaliśmy się na krótko w określonym celu. To musiało krótko trwać. Oboje wynieśliśmy z tego korzyść, co również napawało mnie radością.

Może to tylko stek mistycznych bzdur opartych na przesadach. Ale nie należałam do osób, które doszukują się w zdarzeniach przeróżnych znaków, zwiastunów, przyczyn i kluczy. Wręcz przeciwnie. Jak wspomniałam wcześniej, zawsze żartowałam sobie z ludzi, którzy twierdzili, że wszystko dzieje się w jakimś celu. Oczywiście, nie byłam taka nieprzyjemna jak Helen, lecz z drugiej strony, nie okazywałam pobłażliwości. Ach, egzystencjalizmie — na imię ci Claire.

Moje nietypowe stanowisko mogło się przejawiać wypowiedziami w rodzaju: „Adam i ja kochaliśmy się, bo mieliśmy ochotę na seks. To wszystko”. Nie umiałam jednak być cyniczna, niewzruszona i tak dalej.

To — oczywiście — niepokojący symptom, ale co miałam począć?

Lecz dzięki temu leżenie na słońku w ogródku dawało mi teraz o wiele więcej przyjemności. Ilekroć pomyślałam o Adamie, nie czułam rozdzierającego bólu. Ogarnął mnie jakiś spokój. Nie tęskniłam za tym, by poczuć się rozczarowaną, okłamaną, poniżoną czy głupią. Miło było znać go przez ten krótki czas. Może nawet tak było lepiej.

Wiecie, jak to jest. Niekiedy spotykacie kogoś wspaniałego, ale to trwa tylko chwilę. Może w czasie wakacji, w pociągu, nawet w kolejce do autobusu. Ociera się o wasze życie na krótki moment, lecz w bardzo specjalny sposób. I zamiast zalewać się łzami, że nie może zostać dłużej, że nie możecie się lepiej poznać, czyż nie lepiej cieszyć się, że w ogóle się zjawiał?

Wyraźnie czułam, że dobiegł końca pewien etap mojego życia. Zaczęłam przygotowywać się — emocjonalnie i odzieżowo — do powrotu do Londynu.

Zaczęłam pakować ubrania. Entuzjastycznie rozwinęłam wielkie sieci, odwiedzając wszystkie szafy w domu, zwłaszcza tę należącą do Helen, przejrzałam wszystkie szuflady i wieszaki.

Wciąż klóciłam się ze wszystkimi członkami rodziny, ale wiedziałam, że rozstanie z nimi będzie strasznym przeżyciem. Zwłaszcza z mamą. Nie tylko dlatego, że bardzo pomagała mi przy Kate. Naprawdę. Czułam, że będę za nią tęskniła. Mój wyjazd przypominał wyprowadzkę z rodzinnego gniazda. A nawet gorzej, bo gdy opuszczałam dom przed siedmiu laty, cieszyłam się z tego, śpieszyłam się, by jak najszybciej zacząć korzystać z wolności.

Teraz było inaczej. Miałam o siedem lat życiowego bagażu więcej. Prasowanie własnych ubrań czy płacenie rachunków nie będzie dla mnie żadną nowością.

Jednak musiałam wrócić do Londynu.

Przecież tam miałam pracę. A w Dublinie nikt nie dobijał się do moich drzwi z ofertami pracy. Chociaż prawdę mówiąc, nie zgłaszałam nigdzie, że szukam zatrudnienia.

Wszelako był jeszcze ważniejszy powód: w Londynie przebywał ojciec Kate. Chciałam, by często go widywała, by czuła, jak ojciec ją kocha (no... byłam pewna, że ją pokocha, gdy lepiej ją pozna), by dorastała, mając w swoim życiu mężczyznę. Bo jeśli oczekiwała ode mnie, że dostarczę jej tatusia mieszkającego razem z nami, to chyba nie byłabym w stanie jej usatysfakcjonować. Może kiedyś poznam innego mężczyznę, lecz nie żywiłam zbyt wielkich nadziei.

Ta sprawa przysporzyła mi nowych zmartwień. Co będzie, jeśli Kate nie spodoba się ten nowy facet? Jeśli zacznie odczuwać zazdrość, wściekać się, a wreszcie ucieknie z domu? Boże!

Na razie za wcześnie było się tym przejmować. Na razie miałam o wiele większy problem: czy w ogóle spotkam jeszcze jakiegoś mężczyznę?

Chociaż nie miałam takiego zamiaru. Naprawdę. Nie rozpaczałam na myśl, że mogę już nigdy nie mieć mężczyzny.

Odczuwałam jedynie lekki niepokój.

Zdecydowałam, że wrócę do Londynu piętnastego lipca. Mogłam się już wprowadzić do nowego mieszkania, spokojnie się zagospodarować i poszukać opiekunki dla Kate, zanim wrócę do pracy.

Tymczasem—zgodnie z długą tradycją—znalazłam kolejne powody do zmartwień. Jak sobie poradzę z Kate, gdy będę zupełnie sama? Bardzo się uzależniłam od mamy, od jej cennych sugestii, podających możliwe powody, dla których Kate nie chciała przestać płakać albo jeść, albo wymiotować i tak dalej.

— Zawsze możesz do mnie zadzwonić — obiecała mama.

— Dziękuję. — W oczach miałam łzy.

— Na pewno sobie poradzisz.

— Tak? — spytałam żałośnie. Chociaż dobiegałam trzydziestki, w towarzystwie mamy nadal potrafiłam zachowywać się jak dziecko.

— O, tak — powiedziała. — Ludzie nie zdają sobie sprawy, jacy są twardzi, do chwili, aż zmuszą ich do tego okoliczności.

— Pewnie masz rację — przyznałam.

— Mam. A ty? Przecież nieźle sobie poradziłaś, mimo że musiałaś wiele przecierpieć.

— Chyba tak.

— To prawda. Pamiętaj, jeśli coś cię nie zabiło, to na pewno dodało ci sił.

— Więc jestem silniejsza? — spytałam słabo dzieciennym głosem.

— Jezu! Gdy mówisz takim tonem, zaczynam się zastanawiać.

— Aha — zezłościłam się. Chciałam, żeby była dla mnie miła, powiedziała mi, jaka jestem wspaniała i zaradna.

— Claire, nie ma sensu pytać mnie, czy jesteś silniejsza. Sama to wiesz najlepiej.

— A więc jestem — odparłam wrogo.

— To dobrze. — Uśmiechnęła się. — I pamiętaj: sama to powiedziałaś. Nie ja.

W środę poprzedzającą dzień mojego wyjazdu byłyśmy z Anną i Kate w ogródku. Wciąż świeciło słońce. Anna była, hm, jak to powiedzieć, chwilowo bez pracy, więc spędziłyśmy ostatni tydzień, walkoniąc się w ogródku. Miałyśmy na sobie biustonosze bikini oraz mocno wycięte szorty i chciałyśmy się trochę opalić.

Ja wygrywałam.

Łatwo chwytałam opaleniznę. W przeciwieństwie do Anny. Tyle że ona była mała i delikatna, ślicznie wyglądała w bikini, ja zaś czułam się przy niej jak wielka jałówka. Nie byłam już gruba, lecz przy jej filigranowej postaci czułam się ogromna. Byłam zadowolona ze swojego wzrostu, tylko nie podobało mi się to wrażenie, że przypominam sportsmenkę z drużyny olimpijskiej NRD.

Jeśli więc wygrywałam na froncie opalenizny, to było to zwycięstwo o przysłowiowy włos.

Przy rozdziale genów ona dostała zgrabne, filigranowe ciało, a ja gładką, złocistą skórę.

Miała cienkie nogi. A ja nie.

Za to ja miałam piersi, których jej natura poskapiła.

Coś za coś.

W pewnej chwili naszą uwagę zwróciło kuchenne okno. Mama uniosła zasłonkę i zaczęła stukać w szybę, gwałtownie gestykułując.

— Czego ona chce? — spytała sennie Anna.

— Pewnie wita się z nami — rzekłam, powoli unosząc głowę z leżaka, żeby na nią popatrzeć.

— Cześć — powiedziałyśmy słabo i pomachałyśmy z wysiłkiem rękami. Mama wciąż stukała. Jej gesty były coraz gwałtowniejsze i nawet wulgarne.

— Ty idź — powiedziałam do Anny.

— Nie mogę. Idź sama.

— Jestem zbyt śpiąca, więc musisz iść ty.

— Nie, ty. — Zamknęła oczy.

Mama weszła energicznym krokiem do ogródka.

— Claire, telefon! — ryknęła. — I następnym razem, gdy zapukam w okno, masz natychmiast przyjść. Nie robię tego, żeby poprawić sobie samopoczucie.

— Przepraszam, mamo.

— Uważaj na Kate — rzuciłam Annie, wbiegając do domu.

— Uhu — mruknęła.

— I posmaruj ją jeszcze trochę kremem z filtrem! — krzyknęłam przez ramię.

Weszłam, potykając się, do kuchni, niemal ślepa w ciemnym wnętrzu po uprzednim przebywaniu w blasku słońca.

— Halo — powiedziałam do słuchawki.

— Witaj, Claire — odezwał się James.

— O, witaj. — Ciekawa byłam, czego chce. Nie chciałam z nim gadać, chyba że zadzwonił, aby mnie zawiadomić o sprzedaży mieszkania.

— Jak się miewasz? — spytał grzecznie.

— Dobrze. — Czekałam, żeby przeszedł do rzeczy.

— Muszę ci coś oznajmić — powiedział ciężko.

— No to mów — zachęcałam go serdecznie.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, ale poznałem kogoś.

— Aha. Więc czego ode mnie oczekujesz? Gratulacji?

— Nie. Nie ma takiej potrzeby. Ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli ci o tym powiem, skoro poprzednim razem narobiłaś o to tyle hałasu. Wyteżyłam wszystkie siły, żeby nie odłożyć słuchawki.

— Dziękuję ci, James — wycedziłam. — To bardzo ładnie z twojej strony. A teraz wybacz, lecz muszę kończyć.

— Nie chcesz, żebym ci o niej opowiedział? — spytał szybko.

— Nie.

— I nie masz nic przeciwko temu? — zaniepokoił się.

— Nie! — Wybuchłam śmiechem.

— Jest od ciebie znacznie młodsza — powiedział złośliwie. — Ma dopiero dwadzieścia dwa lata.

— To miło — rzekłam spokojnie.

— Ma na imię Rita.

— Ładne imię.

— Zajmuje się obliczaniem współczynników ryzyka w ubezpieczeniach. — Był już trochę zdesperowany.

— Cudownie — zawołałam. — Na pewno macie ze sobą wiele wspólnego.

— Co się z tobą dzieje? — krzyknął.

— Nie rozumiem, co masz na myśli.

— Dlaczego zachowujesz się tak, jakby cię to w ogóle nie obchodziło? — zagrzmał. — Mówię ci, że mam nową dziewczynę.

— Zapewne zachowuję się tak, jakby mnie to nie obchodziło, gdyż w rzeczy samej nic a nic mnie to nie obchodzi. — Nic innego nie przyszło mi do głowy. — Aha, i jeszcze jedno, James.

— Tak? — spytał z nadzieją.

— Kate czuje się dobrze. Zapomniałeś spytać, ale jestem pewna, że to po prostu małe przeoczenie z twojej strony. Muszę kończyć. To wspa-

niała wiadomość, James. Cieszę się razem z tobą. Oby wam się szczęściło do końca życia i tak dalej. Żegnam. — Rzuciłam słuchawkę.

Żałosna kreatura. Czego ode mnie oczekiwał? Że wybuchnę płaczem i zacznę go błagać, aby mnie przyjął? Czy niczego się nie nauczył?

Wróciłam do ogródka. Anna oprzytomniała i na siedząco bawiła się z Kate. Była śliczna. To znaczy Kate. Zresztą Anna też była śliczna, lecz nie tak jak Kate, która poza tym miała już zaczątki swojej własnej osobowości. Gdy mówiło się do niej, gulgotała, czasami śmiała się, patrzyła prosto w oczy. To było prawie jak rozmowa.

Chociaż w tej chwili wcale nie było jej do śmiechu. Leżała w żółtym kapelusiku, miała różową, błyszczącą buzię i chyba nie miała już ochoty na dalsze opalanie. Zdawała się mówić: „Jest mi gorąco, nudno i mam już dosyć rozmowy z tą wariatką”.

— Kto dzwonił? — spytała Anna.

— James — prychnęłam. Jego imię z trudem przechodziło mi przez gardło.

— Co mu odbiło?

— Ma nową dziewczynę — rzekłam szorstko.

— Przeszkadza ci to? — spytała ciekawie.

— Oczywiście, że nie — oburzyłam się.

— To czemu jesteś taka wściekła?

— Bo przeszkodził mi w opalaniu, zmusił do wstania i wejścia do domu, a wszystko po to, żeby mi to zakomunikować. Niesłychane! Co za dupek.

Gdzieś miałam Jamesa. Martwiłam się o Kate.

— Nie sądzisz, że trochę się przypiekła? — spytałam Annę z niepokojem. — Chyba powinnam użyć mocniejszego filtra.

— Może — odparła z powątpiewaniem. — Ale chyba mocniejszego już nie robią.

Miała rację. Nasmarowałam Kate kremem z najwyższym na świecie współczynnikiem filtra. Czyżbym była nadopiekuńcza matką? Nic nie mogłam na to poradzić. Bałam się o nią. Przecież to maleńkie dziecko o bardzo delikatnej skórze. Wolałam nie ryzykować.

— Chyba zabiorę ją do domu — powiedziałam. — Tak dla bezpieczeństwa.

— Uspokój się.

— Nie. Zabiorę ją. Może się przypiec.

— Zostań — poprosiła. — Nie będę miała z kim rozmawiać. Wtedy usłyszałyśmy jakieś odgłosy dobiegające z kuchni, gdzie zapanował niezwykły ruch.

— Helen wróciła—powiedziałam do Anny. — Z nią możesz się pobawić.

— O, nie — jęknęła. — Zacznie gadać, że się zabije, jeśli nie zda, że chyba nie zniesie seksu z profesorem Macauleyem, i będzie zadawać tysiące dumnych pytań o starożytnej Grecji. A co ja wiem o starożytnej Grecji? — spytała głosem ofiary. — Według niej powinnam wiedzieć wszystko o Zeusie i jemu podobnych tylko dlatego, że pracowałam przez pół roku w barze w Santorini. — Zaczęła zbierać swoje rzeczy. — Chyba pójdę z tobą.

Lecz zanim zdążyła uciec, do ogródka wparowała Helen, ubrana w dżinsową spódniczkę i koszulkę. Włosy miała upięte na czubku głowy i jak zwykle wyglądała pięknie.

Na nasz widok zatrzymała się, obrzucając nas twardym spojrzeniem.

— No, proszę — powiedziała z goryczą. — Wy to macie życie, małpy.

— Cześć, Helen — powitała ją ostrożnie Anna.

— Lenie patentowane, leżą i próżnują, a ja muszę się zarzynać i wkuwać — mówiła z oburzeniem.

Osloniłam dłonią oczy przed słońcem, żeby na nią popatrzeć. Była wściekła. I dopiero wtedy zorientowałam się, że nie przyszła sama.

Przyprowadziła gościa.

Mężczyznę.

Wysokiego i przystojnego.

Pięknego, o niebieskich oczach, ciemnych włosach, kwadratowej szczęce, wysokiego, przystojnego mężczyznę, który miał na sobie wyblakłe dżinsy i białą koszulkę.

Który opalił się od czasu, gdy go ostatnio widziałam.

Nie sądziłam, że może jeszcze wyprzystojnieć, lecz najwyraźniej byłam w błędzie.

Drań!

— Cześć, Adam — powiedziałam. Miałam ochotę poryczeć się.

— Witaj, Claire — odparł uprzejmie.

Wstrzymałam oddech, czekając, aż wejdzie do domu. Ze zgrozą stwierdziłam, że wcale nie miał takiego zamiaru. „Cholera”, myślałam gorączkowo. „Zaraz tu podejdzie”. Helen i Adam podeszli do małej oazy, utworzonej przeze mnie, Annę i Kate, w postaci leżaków, puszek z dietetyczną coca-colą, kremu do opalania, kobiecych czasopism i chrupek. Adam stał przez chwilę nade mną i Anną. Wydawał się trochę spięty. Znikł gdzieś jego zwykły urok. Był zmieszany i chyba trochę zły.

Serce waliło mi jak młotem. Byłam kompletnie zaskoczona. Jezu, dlaczego Helen nie mogła mnie ostrzec, że przyprowadzi pięknego Adama? Nałożyłabym makijaż i jakieś ładniejsze bikini. Bo gdy wcześniej wspomniałam, że leżałam w ogródku ubrana w biustonosz bikini i wycięte szorty, bynajmniej nie sugerowałam, jakobym przypominała swoim wyglądem te seksowne kociaki z serialu *Baywatch*. Absolutnie! Szorty były stare i zrobione z obrzydliwego dżinsu, a krój miały zaiste dziwaczny. Nie poprawiały mego wyglądu, natomiast optycznie wydatnie poszerzały mój tyłek. Lycra w biustonoszu znacznie się powyciągała, czyniąc go obwisłym i mocno odkształconym.

Znowu syndrom książkowych romansów w konfrontacji z rzeczywistością. Tamte dziewczyny zaskoczone niespodziewaną wizytą mężczyzny zawsze akurat wychodzą spod prysznic, pachną aromatem balsamu do ciała, mają wilgotne włosy, których kosmyki wymykają się spod ręcznika, a w ogóle wyglądają cudownie, niewinnie i naturalnie.

Aż się chce rzygać.

Lecz w rzeczywistości można postawić wszystkie pieniądze na to, że gdy zjawi się nieoczekiwany gość płci męskiej, którego lubisz / kochasz / pragniesz, będziesz wyglądała najgorzej, jak to tylko możliwe. Przy najmniej ze mną zawsze tak było. Może wy miałyście więcej szczęścia.

„Nie chcę, żeby tak stał nade mną i się gapił”, pomyślałam nerwowo.
— Adam, zasłaniasz mi słońce — powiedziałam żartobliwym tonem.
— Może usiądziesz.

Usiadł. To niesamowite, jak mężczyzna tego wzrostu i postury potrafił usiąść z taką gracją. Przepraszam. Nie powinnam była tego zauważyć i zrobić niniejszej dygresji.

Uśmiechnął się do Anny.

— Cześć — powiedział do niej.

— Cześć, Adam — odparła wdzięcznie.

— Jak się masz? — spytał takim tonem, jakby naprawdę chciał usłyszeć odpowiedź.

„Czort z nią! A ja?”, chciałam krzyknąć z mocą.

— Dobrze. — Anna uśmiechnęła się nieśmiało.

— Jezu — mruknęła Helen, dając Annie do zrozumienia, że jest wręcz żałosna.

Adam i Anna kontynuowali swoją zdawkową rozmowę. Tymczasem Helen skierowała swoją uwagę na mnie.

— Złaż stąd. — Próbowwała zepchnąć mnie z leżaka. — Wracam prosto z egzaminu. Muszę się położyć.

— Proszę. — Wstałam. — I tak miałam już iść. Musiałam dać jej odczuć, że nie zmusiła mnie do zwolnienia dla niej miejsca.

Zabawa w to, kto tu rządzi. Byłam taka dziecinna.

— Tak — rzuciła szybko Anna, czerwona jak burak. — Ja też idę.

— Dlaczego? Dokąd się wybieracie? — spytała Helen.

— Do środka — odrzekłam.

— Świetnie. — Była naprawdę wkurzona. — Właśnie zdawałam straszny egzamin, a dziś wieczorem muszę powtórzyć cały kurs z antropologii, a wy nie chcecie zostać nawet na pięć minut, żeby pogadać i pomóc mi się odprężyć.

— Ale Kate jest za gorąco — stwierdziłam.

— No to idź — powiedziała ponuro. — Idź. — Spojrzała na Adama.
— Zaczniemy za dziesięć minut, dobrze?

— Dobrze — zgodził się.

— Co zrobimy na początku?

— A co byś chciała? — spytał.

Właściwa odpowiedź. Wyraźnie miał odpowiednie podejście do Helen.

— Może temat „rodziny patologiczne”. Ostatnio trochę się tego naglądałam.

Zarżała złośliwie.

— Helen — upomniała ją zmieszana Anna.

— Co? — odparła wrogo. — To tylko żart. Ale on się naprawdę naglądał. Prawda? — Spojrzała na Adama.

— Chyba tak — odparł uprzejmie.

Miałam już dosyć. Podniosłam Kate i ruszyłam przez trawnik (ha, trawnik! Niezły żart!). Dwa pierwsze kroki ciągnęły się przez całe kilometry. Myślałam tylko o tym, że Adam gapi się na mój szeroki tyłek w tych okropnych szortach.

W końcu dobrnęłam do kuchni. Co za ulga!

Zorientowałam się, że w ogródku został mój magazyn. A niech tam. Z własnej woli na pewno nie zbliżę się do Adama.

O rany!

Zdenerwowałam się. Bo przez ostatnie parę tygodni zaczęłam podejrzewać, że Adam może wcale nie był taki przystojny, a na moją wcześniejszą ocenę mocno wpłynął syndrom porzuconej żony. Może byłam tak wdzięczna za okazywane mi zainteresowanie, że aż wmówiłam sobie, jaki to on jest cudowny.

Ale nie. To nieprawda. Drań naprawdę był piękny. Nie wymyśliłam sobie tego, nie dałam się ponieść wyobraźni.

Opalony wyglądał jeszcze ładniej. W koszulce z krótkim rękawkiem jego ramiona wydawały się jeszcze większe i bardziej muskularne.

Jezu! Tego było dla mnie za wiele, zwłaszcza że od niemal pięciu miesięcy żyłam w celibacie, jeśli pominąć tę jedną noc z Adamem.

Właściwie ten stan trwał znacznie dłużej, bo James nie dotknąłby mnie nawet kijem przez ostatnie cztery miesiące ciąży.

A zresztą, o co Adamowi chodziło? Dlaczego był wobec mnie taki oschły? Przecież nie musiał. Czyżby miał obawy, że rzucę się na niego? Że się nie opanuję? Pragnął utrzymać mnie na dystans?

Nie musiał się bać. Był całkowicie bezpieczny. Nie zamierzałam wchodzić między niego i tę jego dziewczynę. Już nie byłam taka głupia jak kiedyś. Potrafiłam rozpoznać przegraną sytuację.

„Czy to nie dziwne?“, pomyślałam, niosąc Kate na górę.

„Ostatni raz, gdy widziałam Adama, wychodziłam z jego łóżka. Przeżyliśmy najbardziej intymne chwile, jakie mogą być udziałem kobiety i mężczyzny. A teraz zachowujemy się jak zupełnie obcy sobie ludzie“.

Rozdział 39

W domu Kate poczuła się znacznie lepiej. Była uśmiechnięta, gulgotała i kopała nóżkami, gdy położyłam ją w nosidełku. Ujęłam jej gorące stopki, żeby pokręcić jej nóżkami. Bardzo to lubiła. Przynajmniej taką miałam nadzieję, gdyż sama to uwielbiałam. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Co to? Przecież w naszym domu nikt nigdy nie pukał.

Po chwili drzwi otworzyły się i do środka wszedł Adam. Przy nim od razu wszystko wydało się bardzo małe, jak w domku dla lalek.

„O matko“, pomyślałam przerażona. Gwałtownie porzuciłam nóżki Kate. „Czego on chce?“

Może nie mógł uwierzyć, że miałam na sobie tak okropne szorty, i przyszedł, żeby to sprawdzić jeszcze raz.

— Claire — odezwał się nieśmiało. — Czy możemy chwilę porozmawiać?

Stał tam, taki wielki, piękny. Na jego twarzy widać było lekki niepokój.

Spojrzałam na niego i nagle coś się we mnie stało (nie! nie to!), coś wspaniałego.

Poczułam ogromną radość, tak wielką, że niemal mnie powaliła na podłogę. Niespodziewanie w moim sercu zawitała nadzieja i szczęście. Takie uniesienie, gdy człowiek pogodziwszy się już ze stratą, dowiaduje się, że wszystko będzie dobrze.

Wiecie, o czym mówię. O takim uczuciu, które zdarza się raz albo dwa w całym życiu.

— Tak, oczywiście — powiedziałam.

Zbliżył się, potarł stopkę Kate, po czym usiadł obok mnie na łóżku. Materac ugiał się tak mocno, że niemal sięgnął podłogi, ale to nieważne.

— Claire. — Spojrzał na mnie błagalnie swoimi bardzo niebieskimi oczami. — Chciałbym ci wyjaśnić sprawę mojej dziewczyny i dziecka.

— Tak? — spytałam. Chciałam, by zabrzmiało to rzeczowo i spokojnie. Tak jakby jego bliskość nie wywierała na mnie większego wrażenia.

Ale ta bliskość przytłaczała mnie. Jak mówiłam wcześniej, pierwszą rzeczą, jaką w nim zauważyłam, była męskość. Teraz miałam wrażenie, jakby nasączył całe łóżko testosteronem albo jakby zatoczył rundę wokół pokoju z kadzidłem w ręku, z tym, że zamiast kościelnych wonności, było ono napełnione esencją męskości.

Jeśli myślałam o seksie z Adamem, to jedynie dlatego, że nie mogłam się powstrzymać. Jestem tylko człowiekiem. Zraniona krwawie. A siedząc pół metra od pięknego mężczyzny, mam ochotę zedrzeć z niego ubranie.

Chcę tylko powiedzieć, że nie ja wymyślam te wszystkie zasady.

Musiałam się jednak opanować. Adam nie przyszedł tu, by zaferować mi swoje ciało. Przyszedł — przynajmniej miałam taką nadzieję — abyśmy mogli wyprostować to, co się działo w naszym życiu, gdy się poznaliśmy. Może wtedy zostalibyśmy przyjaciółmi.

Bardzo chciałam, abyśmy byli przyjaciółmi. Był taki interesujący, wesoły, słodki. Aż chciało się przebywać w jego towarzystwie. Wyjątkowy facet. Jego dziewczyna miała wielkie szczęście.

— Claire, dziękuję ci, że chcesz mnie wysłuchać.

— Ojej, weź się w garść. Nie bądź taki unижony.

— Po prostu... nie wiem. — Zawahał się. — Na pewno... zdziwiłaś się, gdy Helen powiedziała ci, że mam dziecko.

— Owszem... zdziwiłam się — odparłam z lekkim uśmiechem.

— No dobrze. — Przesunął dłonią po swych ślicznych, jedwabistych włosach. — Może zdziwienie nie jest adekwatnym słowem.

— Może — zgodziłam się uprzejmie.

— Powinienem był ci powiedzieć.

— Dlaczego? Przecież nie chodziliśmy ze sobą, ani nic takiego. Spojrzał na mnie ze smutkiem.

— Nawet jeśli nie chodziliśmy ze sobą, czułem, że powinienem był ci o tym powiedzieć. Ale bałem się, że cię wystraszę — dodał.

— To było mało prawdopodobne, zważywszy na sytuację, w jakiej ja się znajdowałam.

— Ale zastanawiałem się, co sobie o mnie pomyślisz, o facecie, który nie ma prawa widzieć się z własnym dzieckiem. Chciałem ci powiedzieć. I wiele razy byłem już bliski tego, lecz tchórzyłem w ostatniej chwili.

— Więc dlaczego mówisz mi teraz?

— Bo wszystko jest już załatwione.

— No cóż, czyż to nie wielkie szczęście, że Helen zaprosiła cię tu akurat dzisiaj, gdy ja właśnie jestem w domu? — spytałam z lekką ironią.

— Claire, gdyby cię tu dzisiaj nie było, zadzwoniłbym. Myślałem, że już dawno temu wyjechałaś do Londynu. W przeciwnym razie skontaktowałbym się z tobą znacznie wcześniej. Naprawdę — dodał, widząc moją sceptyczną minę.

— No dobrze. — Poddalam się. — Wierzę ci. No to opowiedz mi. — Zmusiłam się, by nie dać po sobie poznać, że zżera mnie ciekawość.

Zawsze lubiłam takie ciekawe opowieści o życiu, nawet jeśli miały ze mną luźny związek.

Kate zaczęła pojękiwać. „Błagam, nie płacz teraz”, myślałam gorączkowo. „Naprawdę chcę tego posłuchać. To ważne dla mamusi”.

Uwierzycie? Uspokoila się. Z pewnością odziedziczyła pewne dobre cechy po swoim ojcu.

A teraz proszę o ciszę, panie i panowie. Adam rozpoczął swoją opowieść.

— Chodziłem z Hannah... — zaczął.

— Kto to jest Hannah? — przerwałam.

Zawsze dobrze jest na samym początku ustalić, kim są główni bohaterowie.

— Matka mojego dziecka — wyjaśnił.

— Rozumiem. Mów dalej.

— Chodziłem z nią dość długo, jakieś dwa lata.

— Aha. — Kiwnęłam głową.

— I skończyło się.

— O, to się chyba stało dość nagle.

— Wcale nie. To znaczy żadne z nas nie uciekło do kogoś innego ani nic w tym rodzaju. Po prostu nasz związek dotarł do kresu.

— Rozumiem.

— Więc rozstaliśmy się.

— Aha. Jak dotąd wszystko jasne.

— Ale nadal zachowałem do niej wiele sympatii. Tęskniłem za nią. Lecz każde nasze spotkanie było okropne. Ona płakała i pytała, dlaczego nam nie wyszło, czy możemy spróbować jeszcze raz i tak dalej.

— Aha. — To znałam z własnego doświadczenia.

— I zawsze kończyło się tym, że szliśmy do łóżka.

Mówiąc to, zmieszał się. Nie wiem dlaczego. Przecież wszyscy tak robią, gdy rozstają się z kochaną niegdyś osobą, którą na swój sposób nadal kochają, prawda?

Taka jest reguła.

Rozstajecie się, mówicie sobie, że zostaniecie przyjaciółmi, spotykacie się po tygodniu na pierwszego drinka już jako przyjaciele, upijacie się, stwierdzacie, że to bardzo dziwne, gdy nie możecie się dotykać nawet w czuły sposób, całujecie się, przestajecie się całować, mówiąc: „Nie możemy”, znowu się całujecie, mówicie: „To śmieszne”, ponownie całujecie się, mówicie: „Może tylko ten jeden raz”. „To dlatego, że tak mi ciebie brakuje”.

Jedziecie autobusem do niego, zaczynacie się kochać właściwie w czyimś ogródku zaraz po wyjściu z autobusu, dochodzicie do jego domu, wszystko jest takie znajome, zaczynasz płakać, bo tu już nie jest twoje miejsce. Kochacie się, znowu płaczesz, idziecie spać, masz koszmarnie sny, że jesteście razem, a po chwili rozstajecie się, budzisz się rano z potwornym uczuciem, że chciałabyś umrzeć.

Wszyscy znają ten scenariusz. To jedna z głównych zasad rządzących zakończeniem związku miłosnego. Adam musi być bardzo naiwny, skoro sądził, że tylko jemu się to przytrafiło.

— W każdym razie Hannah zaszła w ciążę — powiedział.

— Ojej — rzekłam współczująco.

Rzucił mi dość ostre spojrzenie. Myślał, że ironizuję. A wcale tego nie robiłam.

— Porozmawialiśmy o tym i rozważyliśmy wszystkie możliwości. Ona chciała wyjść za męża. A ja nie chciałem się żenić, bo uważałem to za głupotę. Nie widziałem sensu w zawieraniu ślubu po to, by dać dziecku stabilny dom, skoro rodzice i tak się już nie kochali.

— Hmm — mruknęłam niezobowiązująco. Z technicznego punktu widzenia miał rację. Lecz jako kobieta solidaryzowałam się z nieszczęsną Hannah.

— Pewnie myślisz, że jestem ostatnim draniem — powiedział z nieszczęśliwą miną.

— Wcale nie. Zgadzam się z tobą, że w takiej sytuacji małżeństwo niewiele daje.

— Widzę, że naprawdę masz mnie za drania.

— Nieprawda. — Zdenerwowałam się. — Mów dalej.

Jak na mój gust, za dużo tu było charakterystyki postaci, a za mało akcji.

— Myśleliśmy o tym, żeby po urodzeniu dziecka oddać je do adopcji, lecz ona tego nie chciała. Potem rozmawialiśmy o aborcji.

Rzuciłam szybkie spojrzenie na Kate. Nie mogłam się powstrzymać. Poczułam się szczęśliwa, że nie musiałam brać pod uwagę aborcji, gdy dowiedziałam się o swojej ciąży.

— Aborcja wydawała się jakimś rozwiązaniem — powiedział zmęczonym głosem. — Lecz żadne z nas nie chciało tego przeprowadzić.

— Nie wątpię. — Chciałam, by zabrzmiało to wiarygodnie. „Czy ten facet jest prawdziwy?“, pomyślałam. Zawsze sądziłam, że dla większości mężczyzn aborcja była niemal jak sakrament, dar zesłany z nieba, aby ułatwić i uprzyjemnić im życie. Dar, który miał załatwić sprawę małych niedogodności życiowych w postaci dzieci przeszkadzających w wesołej, kawalerskiej egzystencji.

Oczywiście zawsze się znajdzie grupa nieomylnych świętoszków twierdzących, że aborcja to morderstwo. Przekonacie się, że mężczyźni, którzy to mówią, mają dziewczyny lub przyjaciółki, które akurat nie są w ciąży. Lecz w chwili, gdy ich kobieta będzie miała „wypadek“, sprawa zacznie przedstawiać się zupełnie inaczej. Z tylnej szyby samochodu natychmiast znikają naklejki Stowarzyszenia Obrony Nienarodzonych Dzieci, a ich miejsce zajmują inne, z napisem „Moje ciało — moja decyzja“, albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, „Jej ciało — moja decyzja“.

Często pierwsi niezobowiązująco sugerują, że być może teraz nie jest najlepszy moment na dziecko i że w aborcji nie ma nic złego. Że jest prostsza od wyrwania zęba. I że w większości wypadków nie trzeba nawet zostawać na noc. I nie ma sensu odczuwać wyrzutów sumienia, bo w tym stadium to nie jest dziecko, a jedynie parę komórek. Obiecują, że ją odwiozą, a potem po nią przyjadą. I może za parę tygodni wyjadą razem na weekend, by mogła wrócić do równowagi. A potem, zanim się spostrzeże, ląduje na stole operacyjnym w drogiej „lecznicy“, odziana w pa-

pierową koszulę z rozcięciem wzdłuż całych pleców, i z wbitym w przedramię igłą odlicza od dziesięciu do zera.

Przepraszam. Trochę się zagalopowałam.

Jak widzicie, mam pewne zasady, ale być może teraz nie czas wywlekać je na światło dzienne. W każdym razie Adam przekonał mnie, że nie należy do takich mężczyzn.

Jeszcze tylko jedna dygresja i już się zamknę. Pokażcie mi faceta w ciąży, bez grosza przy duszy, opuszczonego przez partnerkę, a potem wsadźcie go na skrzynkę i powiedzcie mi, że według niego aborcja to coś złego. Ha! Założę się, że pogna jak strzała, by złapać pierwszy prom do Anglii.

Ale wróćmy do Adama — feministy.

Wciąż z powagą opowiadał mi i wyjaśniał, spoglądając na mnie błagalnie pięknymi oczami.

Czy wiecie, że on miał przecudowne rzęsy? Takie gęste i długie... Przepraszam.

Hm.

— Powiedziałem jej, że jeśli urodzi dziecko, zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc. Obiecałem, że wspomogę ją finansowo i że chętnie wezmę dziecko do siebie. Albo zgodzę się, by mieszkało z nią. Lub też będziemy się dzielić. Powiedziałem, że zrobię wszystko, co ona zechce. Pragnąłem, by urodziła dziecko, lecz ostateczna decyzja należała do niej. Ja nie mogłem za nią zdecydować i wywierać na nią nacisku, żeby urodziła. Ona się bała. Wiedziałem to. Miała dopiero dwadzieścia dwa lata.

— Ojej, to bardzo smutne.

— Tak było — powiedział z udręką. — Straszna sytuacja.

— Co było dalej?

— Wmieszali się jej rodzice. Gdy dowiedzieli się, że rozważaliśmy aborcję, dostali szału. Mieli swoje racje. I zabrali ją spod mojego podobno złego wpływu do swojego domu w Sligo.

— Jezu. — Wyobraziłam sobie Hannah zamkniętą na klucz w wieży na jakimś pustkowiu, niczym księżniczka o długich, złotych włosach. — To straszne. Barbarzyńskie. Zupełnie średniowieczne.

— Nie — powiedział szybko, abym wszystko dobrze zrozumiała. — Nie było aż tak źle. Oni chcieli dobrze. Myśleli o dziecku. To był w końcu ich wnuk, więc chcieli dopilnować, by Hannah nie poddała się zabiegowi. Ale nie pozwolili mi rozmawiać z nią, gdy telefonowałam. Powiedzieli, że gdy dziecko się urodzi, mam zostawić ich w spokoju.

— Poważnie? — oburzyłam się. — Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym. No, może i słyszałam. Ale to dotyczyło jakichś stukniętych chamów. I co było dalej? Czy ta Hannah nie miała nic do powiedzenia? Nie powiedziała swoim rodzicom, gdzie ich miejsce? Przecież to dorosła kobieta.

— No cóż, wtedy również ona nie chciała mnie widzieć — wyznał niezręcznie. — Pojechałam do Sligo. W trakcie rozmowy powiedziała mi, że nie chce mieć ze mną więcej do czynienia i że bym się nie wtrącał, gdy urodzi się dziecko.

— Ale dlaczego? — zawołałam.

— Nie mam pojęcia. Chyba byli rozgoryczeni, ponieważ nie chciałam się z nią ożenić. A ona była zła, że zrobiłam jej dziecko. Rodzice wmówili jej, że muszę być synem Szatana, skoro rozważałam możliwość zabiegu.

— Rozumiem. I co było dalej?

— Zasięgnąłem porady prawnika, by się zorientować, co mogę zrobić. I wiesz co? Nie miałem prawie żadnych praw. Właściwie nic. Lecz nawet gdybym nalegał na przyznanie mi prawa do widywania dziecka, nie chciałem, żeby wywiązała się zażarta walka przed sądem. Nie mogłem uwierzyć, że Hannah mi to zrobiła. To było straszne.

Milczał chwilę.

Kate zachowywała się podejrzanie cicho, co wywołało mój niepokój. Ale wyglądała dobrze.

— Najgorzej było wtedy, gdy urodziło się dziecko — mówił dalej Adam. — Nawet nie wiedziałem, czy w ogóle przyszło na świat, czy było

zdrowe, jakiej było płci. Zadzwoiłem do niej do domu i ojciec powiedział mi, że urodziła się zdrowa dziewczynka. I że Hannah też czuje się dobrze, ale nie chce ze mną rozmawiać.

— Okropne — westchnęłam.

— To prawda. Przez cały rok nie miałem żadnych wiadomości. Koszmar. Nie mogłem nic zrobić.

Moją uwagę zwrócił teraz odgłos czyichś kroków na schodach. Po chwili do pokoju wpadła Helen. Popatrzyła to na mnie, to na Adama.

— Co tu się dzieje? — Zdumiała się. Zaniemówiłam. Nie miałam pojęcia, co mam jej powiedzieć. Tradycyjnie Adam przyszedł mi na ratunek.

— Helen, czy zechciałabyś na chwilę nas zostawić?

— Nie! — odparła brutalnie. — Nie zechciałabym. — Przez moment walczyła ze swoją ciekawością. — A dlaczego? — spytała.

— Później ci wyjaśnię. — Spojrzał na nią życzliwie.

Stała przy drzwiach. Na jej ślicznej twarzy wyraźnie malowały się podejrzenie i zazdrość.

— Pięć minut — rzuciła mi jadowite spojrzenie i wybiegła z pokoju.

— O Boże—jęknęłam. — Lepiej już idź.

— Nie. Ona i tak jest już na mnie wściekła. Równie dobrze mogę zostać i dokończyć opowiadanie.

— W takim razie, robisz to na własne ryzyko — odezwałam się nerwowo. Podziwiałam jego odwagę.

— W porządku. — Wcale się nie przejął. — Tak jak mówiłem, przez cały rok nie miałem od niej żadnych wiadomości i powoli zacząłem się godzić z zaistniałą sytuacją. A tu nagle jakiś miesiąc temu zjawiała się jak grom z jasnego nieba. Nie mogłem w to uwierzyć. I przywiozła ze sobą Molly.

— Kto to Molly? Twoja córka?

— Tak. Okropne imię dla takiego maleństwa, prawda?

— Mnie się podoba — odparłam z rozdrażnieniem, chyba dlatego, że imię mojego dziecka również nie należało do najpiękniejszych z możliwych.

— Być może. Ale musiałabyś ją zobaczyć. Jest prześliczna. Powinna nosić piękne imię. Jak Mirabelle albo...

— Czy to nie brzmi jak nazwa restauracji? — przerwałam. Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała nasza rozmowa. Zwłaszcza że słuchała jej Kate. Nie chciałam, by wpadła w jakieś kompleksy. Ona też nie miała szczęścia. Bałam się, że za trzydzieści lat, gdy będzie narkomanką, alkoholyczką, anorektyczką i kleptomanką, całą winą za taki stan rzeczy obarczy mnie.

Powie, że to przeze mnie, bo nie dałam jej jakiegoś ładnego, dziewczęcego imienia.

— Nie przejmuj się imieniem swego dziecka — powiedziałam. — Co było dalej?

— No więc pogodziliśmy się. Przeprosiła mnie, że byłem odsunięty od Molly od chwili jej urodzenia, ale chciała wiedzieć, czy jest za późno, by zacząć wszystko od nowa.

— No i?

— W pierwszej chwili chciałem jej powiedzieć, żeby spierdalała. „Jezu”, z trudem powstrzymałam okrzyk. Nie mogłam uwierzyć, że Adam zachowywał się tak... normalnie.

Uwaga. Oto pierwsza strona gazety. Szokujący nagłówek: „Adam chowa urazę!”

— Ale potem zrozumiałem, że tym samym odciąłbym sobie nos, aby ocalić twarz.

„Co za rozczarowanie”, pomyślałam. Wydawało mi się, że zachowa się w sposób niedojrzały i dziecinny. Nieważne. Na wszystko jest jeszcze czas.

— Więc jak kulturalni ludzie doszliśmy do porozumienia w sprawie opieki nad Molly. Hannah i ja znowu jesteśmy przyjaciółmi, w każdym razie staramy się nimi być.

— Aha — powiedziałam zaskoczona.

Ciekawiło mnie, co oznacza owo „przyjaciółmi”. Czy ciup-ciają się przy każdej sposobności, czy też są naprawdę i dosłownie przyjaciółmi.

Był tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć. Odetchnęłam głęboko.

— Czy to znaczy, że ty i Hannah, no wiesz, nie chodzicie ze sobą? — spytałam obojętnym tonem.

— Nie — zaśmiał się, patrząc na mnie z wyrzutem, jakbym w ogóle nie słuchała jego opowieści.

(„Bogu dzięki!”)

— Nie — powtórzył. — Sądziłem, że to oczywiste. W tym cała rzecz. Dlatego ten układ jest taki dobry. Mogę uczestniczyć w życiu mojego dziecka, ale nie muszę być uczuciowo związany z jego matką. Jednocześnie mogę przyjaźnić się z Hannah, bo szanuję ją i podziwiam — dodał szybko. Zawsze chciał być w porządku.

— Jesteś szczęśliwy, że będziesz widywał swoje dziecko? — spytałam cicho.

Skinął głową. Myślałam, że zaraz się rozpłaczę.

„Tylko nie płacz”, pomyślałam rozpaczliwie. „Mam już dosyć tych nieoczekiwanych męskich zachowań. Przestań reagować tak emocjonalnie. Nie bądź babą. Bo w przeciwnym razie dam ci klapsa”.

„Spytaj go”, odezwał się w mojej głowie jakiś cichy głos.

„Odwal się”, odparłam.

„No, dalej”, nalegał głos. „Co masz do stracenia?” „Nie”, powiedziałam. Czułam się bardzo niezręcznie. „Daj mi spokój”.

„Przecież zżera cię ciekawość. Poza tym masz prawo wiedzieć.” „Zamknij się”, odparłam przez zaciśnięte zęby. „O nic nie będę go pytać!”

„W takim razie ja to zrobię”.

Ze zgrozą stwierdziłam, że otwieram usta i pytam Adama:

— Czy dlatego właśnie lubiłeś ze mną przebywać? Z powodu Kate? Dlatego że miałam dziecko?

Co zablamaż!

Że też miałam tupet, aby to powiedzieć. Moja podświadomość po prostu nie nadawała się do towarzystwa.

— Nie! — krzyknął Adam. — Po trzykroć nie. Bałem się, że tak właśnie sobie pomyślisz, zaczniesz się w tym doszukiwać freudowskich podtekstów i dojdiesz do wniosku, że lubiłem z tobą przebywać, bo szukałem kogoś, kto zastąpiłby mi utracone dziecko i dziewczynę.

— Chyba nie możesz mnie za to winić, prawda? — spytałam, ale bez cienia złości czy ironii.

— Ale po co miałbym szukać jakiejś wymówki, aby być z tobą? Jesteś wspaniała!

Nie odezwałam się. Siedziałam tylko, czując się trochę zakłopotana, trochę szczęśliwa.

— Poważnie — mówił dalej. — Musisz mi uwierzyć. Jakie ty masz zdanie o sobie? Jesteś niezwykła. Tylko mi nie mów, że o tym nie wiedziałaś. — Nie odpowiedziałam. — No więc?

— Nie — mruknęłam.

— Spójrz na mnie. — Delikatnie przyłożył dłoń do mojego policzka i skierował moją twarz ku swojej. — Posłuchaj. Jesteś taka piękna. I miła, inteligentna, zabawna, cudowna i wesoła. To tylko kilka powodów, dla których tak bardzo lubię z tobą być. Fakt, że masz dziecko, nie ma tu znaczenia.

— Naprawdę? — Zarumieniłam się jak nieśmiała pensjonarka.

— Naprawdę. — Roześmiał się. — Lubiłbym cię, nawet gdybyś nie miała dziecka.

Uśmiechał się do mnie.

Wyglądał pięknie.

O Boże. Moje serce topniało.

— Mówię szczerze — powiedział.

— Wierzę ci.

Także się uśmiechnęłam. Mimowolnie.

Siedzieliśmy na łóżku z uradowanymi minami jak para debili.

— A więc w końcu poszłaś za moją radą — powiedział w końcu z lekką naganą.

— Za jaką radą? A, chodzi ci o Jamesa. W końcu nie wróciłam do niego, ale nie z powodu tego, co ty powiedziałeś.

— To dobrze. — Zaśmiał się. — Cieszę się, że zmieniłaś zdanie. Nieważne pod czyim wpływem. Zaslugujesz na kogoś znacznie lepszego niż on.

— Czy mogę cię o coś spytać?

— Oczywiście.

— Jak wygląda Hannah?

Spojrzał na mnie znacząco i znowu parsknął śmiechem.

— Ma długie kręcone blond włosy. Wzrostem jest podobna do Helen czy Anny. Ma brązowe oczy.

— Aha.

— Zadowolona?

— O co ci chodzi?

— Że nie jest podobna do ciebie. Że nie próbowałem zastąpić jej tobą.

Trzeba mu oddać sprawiedliwość. Był dość spostrzegawczy. Cieszyłam się, że ta Hannah nie była do mnie podobna, ale teraz ogarnęła mnie zazdrość, bo z opisu wynikało, że jest filigranowa i śliczna.

Jezu, czy kiedykolwiek byłam ze wszystkiego zadowolona? Zaczęłam się śmiać. Zachowałam się jak głupia.

— Tak, Adam, cieszę się, że nie próbowałeś zastąpić jej mną. Ale teraz wracaj lepiej do Helen.

Wstałam.

On zrobił to samo i natychmiast poczułam się taka mała. Staliśmy, nie wiedząc, co powiedzieć. Wiedziałam tylko, że nie chcę się z nim pożegnać.

— Jesteś bardzo wyjątkową kobietą. — Przyciągnął mnie do siebie i objął mocno.

A ja, głupia, pozwoliłam mu.

Duży błąd. Wielki, kolosalny, ogromny błąd.

Do tej pory nie było jeszcze tak źle, bo nie istniał między nami fizyczny kontakt. Ale w chwili, gdy mnie objął, na emocjonalnym froncie rozpętało się prawdziwe piekło. Tęsknota, pragnienie i pożądanie (tak, a

nawet więcej!), a także żal i miłe ciepło. W jego ramionach przypominałam sobie, jak cudownie się przy nim czuję. Wróciły wspomnienia.

Ukryłam twarz na jego piersi. Czułam przez cienki materiał koszulki, jak bije jego serce. Ten sam zapamiętany przeze mnie zapach mydła i ciepłej, męskiej skóry.

Chciałam tak zostać już na zawsze, bezpieczna, przytulona do jego pięknego, muskularnego ciała, w delikatnych objęciach długich ramion.

Odsunęłam się.

— Sam też nie jesteś taki zły — odparłam. Zabijcie mnie, ale nie wiem, dlaczego stanęły mi w oczach łzy.

— Życzę ci szczęścia — powiedział.

— Ja tobie też. Wywinęłam się z jego objęć.

— No to... żegnaj — Pociągnęłam nosem.

— Dlaczego „żegnaj”? — Uśmiechnął się.

— Ponieważ w niedzielę wracam do Londynu, więc pewnie już nigdy się nie zobaczymy. — W każdej chwili mogłam się rozryczeć. Zastanawiałam się tylko, skąd u niego ten uśmieszek. Kto dał mu prawo, żeby się teraz cieszyć? Czy nie miał za grosz wyczucia sytuacji? To wcale nie było śmieszne. Wręcz przeciwnie.

Czułam się fatalnie. Cierpiałam. Chciałam, żeby już sobie poszedł.

— Nigdy już nie będziesz wychodzić z domu? — spytał. — Nie możesz nająć opiekunki do dziecka?

— Oczywiście, że wezmę opiekunkę — rzekłam ze smutkiem. — Lecz mimo to nadal nie będę mogła się z tobą spotykać. Chyba że od czasu do czasu przylecisz do Londynu, by spędzić ze mną wieczór. A jakoś nie bardzo potrafię to sobie wyobrazić.

— Nie—powiedział zadumany.—Masz rację. Nie ma sensu latać do Londynu na wieczorne spotkanie, skoro i tak tam będę.

W pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że się przesłyszałam. Ale gdy ujrzałam jego uśmiechniętą twarz, zweryfikowałam tę opinię.

Spłynęła na mnie ogromna nadzieja, uczucie tak cudowne, że niemal rozsadzało mnie od środka.

— O czym ty mówisz? — Ledwie mogłam oddychać. Musiałam usiąść.

— No... przeprowadzam się do Londynu — powiedział cicho. Usiadł obok mnie na łóżku. Próbował zachować powagę, ale uśmiech sam wracał na jego usta.

— Naprawdę? — pisnęłam. — Jak to? Dlaczego? I nagle coś mi zaświtało.

— Nie mów mi. Nie masz gdzie mieszkać i zastanawiałeś się, tylko się zastanawiałeś, czy mógłbyś spać u mnie na podłodze. Tylko przez parę nocy, maksymalnie rok. Mam rację? — spytałam gorzko.

Wybuchnął śmiechem.

— Claire, jesteś przezabawna.

— Dlaczego? — zezłościłam się. — Z czego się śmiejesz?

— Z ciebie! — Wciąż ryczał histerycznie. — Ja mam gdzie mieszkać. Nie jestem aż tak głupi, by przymilać się do ciebie, żeby potem mieć odwagę spytać, czy mogę u ciebie zamieszkać. Myślisz, że jestem samobójcą? Wiem, że byś mnie zamordowała.

— To dobrze. — Trochę zmięklam. Przynajmniej czuł pewien respekt.

— Myślisz, że dlatego przyszedłem z tobą porozmawiać? — spytał poważnie. — Może i jestem głupi, ale wydawało mi się, że uświadomiłem ci już, jak bardzo cię lubię i ile dla mnie znaczysz. Nie wierzysz mi?

— Nie możesz mnie winić za to, że jestem podejrzliwa — dąsałam się.

— Nie — westchnął. — Musimy popracować nad tym, abyś uwierzyła, jaka jesteś wspaniała, abyś zrozumiała, że nie kierują mną żadne ukryte pobudki, gdy chcę być z tobą. Nie chcę cię dla twojego dziecka. Ani dla twojego mieszkania. Po prostu chcę ciebie.

— Chcesz mnie? — szepnęłam. Nagle odżyłam, poczułam się bardzo seksowna. Taka silna, świadoma faktu, że jestem kobietą, a on mężczyzną, i że między nami pulsuje silne fizyczne napięcie. Jego oczy pociemniały, z niebieskich stały się niemal czarne.

— Bardzo ciebie chcę — powiedział poważnie.

W pokoju zapadła kompletna cisza. Nawet Kate nie wydała najmniejszego dźwięku. Napięcie seksualne można było kroić nożem.

Przerwałam to, żeby któreś z nas — albo oboje — nie ucierpiało z powodu samoistnego spłonięcia.

— Chcę coś wyjaśnić — powiedziałam rzeczowo. — Więc przyjeżdżasz do Londynu. Po co? Dlaczego?

— Mam pracę — powiedział, jakby to miało tłumaczyć wszystko.

— A twoje studia? — zdumiałam się. — Rzucasz naukę?

— Nie. Ale będzie inaczej. Będę studiował wieczorowo.

— Dlaczego? — Nic z tego nie rozumiałam. — Dlaczego to robisz?

— Bo muszę pracować i łożyć na dziecko. W Dublinie nie ma pracy. A mój ojciec załatwił mi posadę w pewnym banku komercyjnym w Londynie. Mimo to zdobędę dyplom, tyle że zajmie mi to więcej czasu.

— A co z twoim dzieckiem? Dopiero co poznałeś córeczkę i teraz znowu ją zostawisz? To straszne!

Tym razem on się zdumiał.

— Ale Molly jedzie ze mną. Zabieram ją do Londynu.

— Jezu — szepnęłam. — Tylko mi nie mów, że zamierzasz ją uprowadzić. Słyszałam o ojcach, którzy to robili.

— Skądże! — zdenerwował się. — Hannah chce, żebym ją zabrał, a sama wybiera się dookoła świata. Na pewien czas ma dosyć odpowiedzialności. To chyba nie jest zbieg okoliczności, że nagle poczuła wyrzuty sumienia, bo nie pozwalała mi widywać Molly, gdy w tej samej chwili zrozumiała, że będzie potrzebowała opiekunki do dziecka na cały rok.

— O rany. To niezbyt dobre rozwiązanie. A co z biedną Molly? I dlaczego rodzice Hannah nie nalegali, by im zostawić małą na ten czas?

— Hannah miała z nimi ogromną przeprawę, gdy zdecydowała się wyjechać na cały rok — wyjaśnił Adam. — A Molly nic się nie stanie. Mam nadzieję. Jak tylko zaczniesz mówić, zafunduję jej terapię. Żartowałem — dodał, widząc moją przerażoną minę. — Wiem, że dziecko nie powinno się wychowywać w takich warunkach. Nie powinno się go zabierać z rodzinnego domu, matka też nie powinna na rok zniknąć z hory-

zontu, by dziecko musiało wylądować u ojca, który nawet go nie zna. Ale zrobię, co tylko będę mógł.

— A co będzie, jak Hannah wróci i zechce zabrać Molly z powrotem do Irlandii? — zaniepokoiłam się.

— Claire — rzekł łagodnie, ujmując moje dłonie. — Uspokój się. Kto wie, co będzie za rok? Później będę się o to martwił. Czy na razie możemy zostać w terażniejszości?

Nie odezwałam się.

Myślałam.

Miał rację.

Gdy w życiu nieoczekiwanie zjawia się szczęście, trzeba je maksymalnie wykorzystać. Może nie zabawić długo, a gdy odejdzie, pozostanie tylko straszna myśl, że przepadła okazja na zaznanie prawdziwego szczęścia, bo zmarnowany czas wypełniło zamartwianie się, kiedy owo szczęście zniknie.

— Tak więc wracając do głównego celu mojej wizyty — ożywił się. — Czy mogę cię o coś spytać?

— Oczywiście. — Uśmiechnęłam się.

— Jeśli okażę się zbyt bezpośredni, od razu mi powiedz — powiedział z nutą czarującego samopotępienia. — Czy uważasz, że jest to możliwe, abyśmy spotkali się kiedyś w Londynie? Moglibyśmy wynająć jedną opiekunkę do dzieci. No i, oczywiście, kiedy tylko będziesz potrzebowała opieki do dziecka, z radością służę swoją osobą.

— Dziękuję ci, Adam — odpowiedziałam uprzejmie. — Bardzo chętnie spotkam się z tobą w Londynie. Oczywiście ty również, gdy będziesz potrzebował opiekunki do dziecka, nie wahaj się mi powiedzieć.

— Poważnie — powiedział, obniżając głos o kilka oktaw. — To dla mnie bardzo ważne. Czy naprawdę będziemy mogli widywać się w Londynie?

— Oczywiście — zachichotałam. — Z radością spotkam się z tobą.

Uniosłam wzrok i nasze spojrzenia spotkały się. Spostrzegłam na jego twarzy podziw, sympatię i niewątpliwe pożądanie. Może była tam również miłość. Uśmiech zamarł mi na ustach.

— Och, Claire — szepnął, pochylając się, żeby mnie pocałować. — Tęskniłem za tobą.

W tym momencie Kate zdecydowała, że dłużej nie ma ochoty być ignorowana, i zaczęła wyć jak policyjna syrena.

Właśnie wtedy do pokoju wpadła Helen i na nasz widok stanęła jak wryta. Patrzyła, jak siedzimy na łóżku. Adam trzymał mnie za rękę, moja uniesiona głowa czekała na jego pocałunek.

— Kurwa mać, nie wierzę własnym oczom — powiedziała wolno.

Przygotowałam się do obrony. Zemsta będzie szybka i straszna.

Spojrzałam na swoje stopy i nagle przeraziłam się. Usłyszałam jej płacz.

Helen i łzy? To jakaś pomyłka. Rzecz niewiarygodna! Spojrzałam na nią, ogarnięta żalem i współczuciem. Sama również byłam bliska płaczu.

I nagle zrozumiałam, że ona wcale nie płacze. Suka jedna pękała ze śmiechu. Ryczała na całe gardło.

— Ty i Adam, nie mogę. — Kręciła głową. Śmiała się do łez, które spływały po jej policzkach. — Ale obciach.

— Dlaczego? — spytałam ze złością. Po żalu i współczuciu wszelki ślad zagaął. — Coś ze mną nie tak?

— Nic. Nic. Ale jesteś taka stara, a... — Urwała. Znowu krztusiła się ze śmiechu. — Ale miałaś minę! Jakbyś ducha zobaczyła. A ja myślałam, że on leci na mnie! — zawołała, śmiejąc się do rozpuku. Takie to było zabawne, że nie mogła się wyprostować. Przyłgnęła do ściany, a po chwili zgięła się wpół i wyszła.

Patrzyłam na nią zimno, podczas gdy Kate darła się na całe gardło.

Adam wydawał się jakby nieobecny. Jeśli było tu coś zabawnego, niestety umknęło to mojej uwagi. Wzięłam Kate na rękę, zanim z wysiłku popękały jej żyłki, i skinęłam głową Adamowi.

— Pogadaj z Helen — zaproponowałam. Wstał i poszedł jej szukać.

Kołysałam Kate, próbując ją uspokoić. Była cudownym dzieckiem, ale — Bóg mi świadkiem — czasami nie miała wyczucia sytuacji.

Słyszałam, jak Helen śmieje się, idąc na dół po schodach. Po chwili wróciła.

— Ty głupia cipo—powiedziała wesoło, siadając obok mnie na łóżku. — Wszystkich nas oszukałaś. Udawałaś załamanie z powodu odejścia Jamesa, a cały czas nosiło cię za Adamem.

— Nie, Helen — zaprzeczyłam słabo. — To nie było tak. Zignorowałam mnie. Miała na głowie ważniejsze rzeczy.

— Jaki on jest? — Zbliżyła się konspiracyjnie i ściszyła głos o kilka decybeli. — Dużego ma?

— Co to za pytanie? — udałam oburzenie.

— Nikomu nie powiem — skłamała.

— Helen! — Poczulałam lekki zawrót głowy. Chyba już wolałabym, żeby się na mnie wściekła.

Teraz będę musiała znosić jej przyjaźń, bo to dawało jej prawo wyciągania ode mnie informacji, jaki Adam jest w łóżku, aby mogła wygadać to wszystkim dookoła.

— A gdzie on w ogóle jest? — spytałam.

— W kuchni, podlizuje się mamie. Nieważne. — Była rozentuzjasmowana. — Myślę, że on cię kocha.

— Spadaj, Helen. — Byłam już zmęczona.

— Naprawdę tak myślę — powtórzyła.

— Tak? — spytałam ostrożnie. Ale byłam głupia. Przecież w ogóle nie powinnam jej słuchać. W moim wieku powinnam mieć więcej rozumu.

— Tak. — O dziwo spoważniała.

— Dlaczego?

— Bo mu stanął, gdy teraz o tobie gadał. — Ryknęła śmiechem. — Ale cię zrobiłam, co?

— Spadaj już, dobra?

Jak na jeden dzień, miałam już dosyć.

— Wybacz — chichotała. — Tym razem naprawdę. On cię kocha. Wiem o tym. A przecież jeśli ktoś tu się zna na zakochanych facetach, to właśnie ja.

Słusznie.

— A ty go kochasz? — spytała.

— Nie wiem — odparłam niezręcznie. — Nie znam go jeszcze wystarczająco dobrze. Ale bardzo go lubię. Wystarczy?

— Musi. — Zamyśliła się. — Mam nadzieję, że się pokochacie. I będziecie razem bardzo szczęśliwi.

— O rany, dzięki, Helen. — Wzruszyłam się. Miałam łzy w oczach. Ujęły mnie jej szczere życzenia.

— Tak — powiedziała dyplomatycznie. — Założyłam się, że ta krowa Melissa Saint nie poderwie go do końca lata. Powoli zaczynałam się trochę niepokoić, ale zrobiło się pięknie. Dar z nieba. Ona jest już bez szans, bo teraz ty go zgarniesz. Nigdy tak łatwo nie zarobiłam stu funciaków. — Zatarła radośnie ręce. — Tak — powiedziała z zadowoleniem. — Muszę przyznać, że to wszystko wyszło mi całkiem nieźle.

LR